



# Zygmunt Miłoszewski

## Kwestia ceny

Zygmunt Miłoszewski

# KWESTIA CENY



Copyright © by Zygmunt Miłoszewski  
Wydanie I  
Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Rozdział 1. Burza na Morzu Czarnym](#)

[Rozdział 2. Pożegnanie w Paryżu](#)

[Rozdział 3. Bitwa morska](#)

[Rozdział 4. Jaskinia Błękitnego Snu](#)

[Rozdział 5. Propozycja nie do odrzucenia](#)

[Rozdział 6. Wyspa przeklęta](#)

[Rozdział 7. Dzieci natury](#)

[Rozdział 8. Projekt Vincent](#)

[Rozdział 9. Wielka Galeria Ewolucji](#)

[Rozdział 10. Złote klatki](#)

[Rozdział 11. Taka piękna pandemia](#)

[Rozdział 12. Upadek](#)

[Rozdział 13. Pożegnanie Zofii](#)

[Rozdział 14. Zew oceanu](#)

[Rozdział 15. Zemsta Siwobrodego](#)

[Rozdział 16. Powstanie Warszawski](#)

[Rozdział 17. Do abordażu](#)

[Rozdział 18. Długowieczny](#)

[Epilog](#)

[Od autora](#)

*Dla Marty i jej Taty*

Ponieśmy za idee śmierć, ale nie zaraz.

Georges Brassens (tłum. Anira Wojan i Filip Łobodziński)

## Rozdział 1. Burza na Morzu Czarnym

*Sztorm w r. 1905 • Polska nie chce, żebym wracał • Paniczek i rosyjski nuworysz • Port w Odessie • Człowiek jakby z mgły • Żadna kobieta nie może się do tego zbliżyć*

1

Miał szczerze dość rozmów o Polsce i ocierania się o śmierć, a ostatnimi laty chyba niczym innym się nie zajmował. Teraz akurat nie musiał z nikim dywagować o ojczyźnie, z czego prosty wniosek, że – po raz kolejny – umierał. Tym razem ostatecznie. I czuł się z tym źle.

Huknęło.

Takiego dźwięku nie może wydać woda. W żadnym wypadku. Woda to aksamitna ciecz przeciekająca pieszczotliwie między palcami, spływająca z pluskiem z misy fontanny w Ogrodzie Saskim, szemrząca w czasie przyboju między kamieniami na sachalińskich plażach. Tymczasem ten huk przywodził na myśl rozpędzoną lokomotywę, która uderza z impetem w kamienny mur. Wibracje ogłuszyły go i mało nie pozbawiły przytomności, kadłub parowca zadygotał od ciosu fali, zazgrzytał i nie tyle pochylił się, co runął w dolinę między grzywaczami. Benedykt, zaklinowany stopami o wręg kadłuba, a plecami o skrzynię ze swoim dobytkiem, poczuł, że leci do tyłu, statek położył się na burcie, w niewielkim bulaju mignęło szare, nieprzyjazne niebo.

Polska nie chce, żebym do niej wracał, przemknęło mu przez głowę. Głupia myśl. Polski przecież nie ma. A nawet gdyby istniała, to wciąż stanowiłaby jedynie wyobrażony, umowny byt, żyjący tylko dzięki wierze swoich obywateli. Wsparta urzędnikami, pieczętkami i przepisami nie stałaby się – podobnie jak żadne inne państwo – niczym więcej niż wspólnym wyobrażeniem. Marą, złym



duchem, strzygą o mocy pozbawiania człowieka szczęścia, wolności i życia. Pierwszego i drugiego pozbawiła go wiele dekad temu, trzecie najwyraźniej zabiera mu teraz.

Statek wierzgnął i położył się na drugi bok. Benedykt musiał z całej siły naprężyć mięśnie w obolałych nogach, żeby nie polecieć twarzą na dół. Ktoś obok miał mniej szczęścia, odnotował lecące ciało i głucho uderzenie.

– Bładź – zakląło ciało.

Z bulaja odpłynęła szarość, najpierw na chwilę zalała go piana, a potem mrok, kiedy skierowany był już nie w niebo, lecz w głębinę Morza Czarnego. Benedykt pomyślał, że to koniec, że tym razem przekoziółkują, odwrócą się kominem do dołu, skończy się niepewność i zostanie jedynie techniczne pytanie, czy prędzej się utopią, czy umrą z braku powietrza.

Statek zajęczał przeciągle, jakby próbował wypowiedzieć pełne zdanie, i wyprostował się.

Benedykt napiął ciało, spodziewając się kolejnego uderzenia, ale mijały sekundy i poza silnym bujaniem do przodu i do tyłu, typowym dla sztormującego statku, nic wyjątkowego się nie działo. Pozwolił sobie na rozluźnienie mięśni szczęki i głębokie westchnienie.

Oddech smakował wymiocinami. Ze wstrętem przełknął ślinę, ale pomogło to niewiele. Splunął i po raz setny od początku piekielnego sztormu pomyślał, że nie musi siedzieć w ładowni, która zapewne stanie się grobem wszystkich w niej zgromadzonych. Już nie jest zesańcem, wraca do Europy jako poważany uczonek, ma na statku kabinę, łóżko i kto wie, może nawet miejsce w szalupie ratunkowej.

Nie mógł jednak zostawić skrzyni. Musiał ją chronić za wszelką cenę, nawet za cenę życia, rozumiał, że taki koszt, z jego punktu widzenia oczywiście znaczny, w szerszej perspektywie kompletnie nie ma znaczenia.

Poczuł ciepły dotyk na swojej dłoni, zaciśniętej na mocującym skrzynię powrozie.

– *Tusu kuru?*

Benedykt uśmiechnął się do dziesięcioletniego chłopca, który nieoczekiwanie stał się najmiłszym jego sercu towarzyszem podróży,

dokładając starań, aby uśmiech nie zdradził jego wewnętrznego przekonania, że umrą tu obaj, i to raczej prędzej niż później.

– *Aj-Ojna?*

– Spróbuję – odpowiedział po ajnuskę, uznawszy, że nie jest to dobry moment na tłumaczenie chłopcu, że nie jest szamanem, że nie wierzy w Ducha Najwyższego ani w ogóle w żadnego ducha i że zginą nie z woli przodków, tylko przez przekłętą rosyjskiego kapitana, który nie potrafi patrzeć na barometr.

Zamknął oczy i zaintonował cicho modlitwę do przodków. Chłopiec przylgnął ufnie do jego ramienia, a razem z ciepłem jego ciała na Benedykta spłynął pełen smutku spokój. Ze słowami pieśni wróciły obrazy wioski. Pożegnania ze wszystkimi o zamglonym świecie. A wcześniej ledwo widoczna w mroku twarz Pukusy, która ani słowem nie skomentowała jego snuty przez całą noc opowieści o tym, że wróci. Że przecież nie zostawi jej i dzieci. Że sprowadzi ją do Polski, że przekona starszyznę, tylko najpierw musi tam, w ojczyźnie, wszystko przygotować. Wysłuchiwała go bez słowa, bez słowa go kochała i zasnęła z głową na jego ramieniu.

Nie sposób było nie usłyszeć tego dźwięku. Mimo wycia wiatru, hałasu fal, trzeszczenia kadłuba, płaczów i przekleństw zgromadzonych w ładowni ludzi oraz dudnienia tłoków maszyny parowej, cichy syk sprawiał, że najstarsze części mózgu stawały na baczność.

Syk narastał, obrastał w kolejne dźwięki – każdy gorszy. Gulgot, kojarzący się z wpadaniem brudnej, rynsztokowej wody do kanału w czasie ulewy. Gardłowy charkot, jak obrzydliwy gruźliczy kaszel. Grzmot, niczym ten przewalający się nad kresowymi polami w czasie burzy, potężny, gnany wiatrem, nienapotykalący żadnej przeszkody, kładący do ziemi łąny pszenicy. Wszystkie te dźwięki współgrały, wzmacniały siebie nawzajem aż do ogłuszającej symfonii, przerażającej w sposób najbardziej pierwotny, odzierającej z człowieczeństwa, sprowadzającej zadufaną w sobie małpę do właściwego jej poziomu bezradnego wobec natury stworzonka.

Benedykt Czerski wziął chłopca w ramiona, objął, usiłując jak najbardziej osłonić niewielkie ciało, nabrał powietrza, skulił się i czekał na śmierć.

Ten sam sztorm, który robił wszystko, żeby wysłać statek z Benedyktem i jego bezcenną skrzynią na dno Morza Czarnego, spadł na Odessę z taką siłą, że Bronisław Najdarowski odsunął się od okna w salonie. Jeszcze przed chwilą miał widok chłuszczącej miasto burzy za hipnotyzujący pokaz sił natury, ale teraz zaczął się obawiać, że kolejne uderzenie deszczu i wiatru wepchnie do środka szybę. Gwałtowna nawałnica nie tyle przetaczała się nad miastem, co próbowała zetrzeć je z powierzchni ziemi.

– Ty mówisz: „wielki uczonec”, ja mówię: „nieprzewidywalny szalenciec” – powiedział, patrząc na spływający po szybie wodospad. – Pamiętaj, że Czerski to nie ta sama osoba, która wyjechała trzydzieści lat temu. Zgarnęli go zresztą przypadkiem, z rozpędu i przez kolegów. I podobno już wtedy był dziwny, żaden spiskowiec, wzorowy uczeń, zakochujący się w każdej brzyduli, co przeszła drugą stroną ulicy. A teraz? Porozmawiaj z Sieroszewskim, on ci opowie. Brodaty szaman z żoną dzikuską i dziećmi dzikusiątkami. Kompletnie oszalał, podobno rozsierdził dwa imperia, walcząc o te brodate baby z ogonami.

– Sieroszewski koloryzuje – mruknął jego towarzysz, znany w Odessie jako Ludwik Ochocki, z głębi stojącego w bezpiecznej odległości od okna fotela. – Spytaj go o godzinę, to ci opowie, jak się musiał pojedyńkować z bogiem czasu, żeby zdobyć tę wiedzę.

– I tak nie widzę, jak Czerski mógłby nam się przysłużyć.

– Pieniędzmi.

Najdarowski prychnął.

– Jak? Będzie pokazywał po jarmarkach te baby z ogonami? Mój drogi, jest dwudziesty wiek, byle ogon nie robi na ludziach wrażenia. A już na pewno nie tutaj, czasami takie dziwa zwożą z imperium, że najprostszym chłopom spowszedniały.

– Imperium. Z szacunkiem się wypowiadasz.

Odwrócił się, zły, żeby spojrzeć Ochockiemu w oczy.

– A żebyś wiedział, że z szacunkiem – warknął. – Bo ja, w przeciwieństwie do was, spiskowców od siedmiu boleści, coś ryzykuję. Nie siedzę po spelunach i nie nucę ze łzami w oczach, że „tobiem winien miłość, a ojczyźnie życie”, tylko dzień w dzień

wydeptuję ścieżki, które kiedyś dadzą nam więcej niż jakieś kolejne powstanie, po którym dostaniemy po łbie i trzeba będzie czekać następne pokolenie, aż się nowych, tak samo durnych, spiskowców wychowa. Widziałem imperium i nie tylko. Ogromny, piękny, pusty świat dla wszystkich, w którym nigdy nie zabraknie miejsca dla człowieka. Wystarczy się dogadać. I my moglibyśmy być w końcu mądrzejsi i się w końcu z kimś porozumieć, zamiast kłaść łeb pod topór. To nie są diabły siedmioogoniaste, tylko normalni ludzie. Dogadać się można. I trzeba.

Z fotela dobiegło ciężkie westchnienie.

– Ty mówisz: „piękny świat” – powiedział Ochocki – ja słyszę: „świat bez Polski”.

– A nawet jeśli? Czas nie stoi w miejscu. Nie ma wyznawców Swaroga, Jadźwingów i Żmudzinów, kiedyś nie znano chrześcijan, a i Polacy nie chodzą po planecie od zarania świata.

– Bronku, ja się nie chcę kłócić. Nie o to, nie teraz. Mówię ci, że Czerski może przynieść naszej sprawie fortunę.

Najdarowski pokręcił głową, patrząc na burzę, ale już tylko z rezygnacją.

– Niby jak?

Ochocki pochylił się, fotel zaszeleścił.

– Ludzie są głupi – zaczął. – Nie wiem, czy czytałeś Darwina, ale jeśli ma rację, to wygląda na to, że nie ulepił nas Bóg z rajskiej gliny, tylko któregoś pięknego dnia małpa zeszła z drzewa...

– ...i zamieszkała w Gnieźnie, skąd wziął początek cały rodzaj ludzki.

– Nie przerywaj. Jeśli Darwin ma rację, a przyznasz, że jego teoria brzmi bardziej logicznie niż religijne bajdurzenia, o których mamy przecież takie samo zdanie, to nie jesteśmy efektem świadomego projektu wyższej istoty, lecz zwierzęciem trochę mądrzejszym od innych.

– To ostatnie to już odważna teza.

– A skoro jesteśmy zwierzętami – ciągnął Ochocki niezrażony – to rządzą nami zwierzęce instynkty, bardziej one decydują o naszych wyborach niż mądre księgi, pochodzenie społeczne czy wykształcenie. A jaki jest najsilniejszy instynkt?

– Chędożenie.

Ochocki wywrócił oczami.

– Instynkt przetrwania. My jako zwierzątko po prostu chcemy przeżyć za wszelką cenę i bardzo, ale to bardzo, nie chcemy umierać.

– Chyba że jesteśmy polskimi patriotami – zaripostował zgryźliwie Najdarowski.

– I złapiemy się każdej szansy, nawet ulotnej, żeby żyć choć trochę dłużej, choć trochę zdrowiej. Majątek, pozycja, sława, miłość, przyjaźń, wszystko to schodzi na dalszy plan, jeśli ktoś postawi nam przed nosem panaceum, które pozwoli przestraszonemu zwierzątku przetrwać o kilka chwil więcej.

Bronisław skrzywił się, jakby gotowy do nowej kpiny, ale zamiast tego zrobił rundkę wokół pokoju, zatrzymał się przy kredensie, poprawił stojące na nim kieliszki. Burza nie przechodziła, Odessa ciągle była we władaniu deszczu i wiatru, w ciszy mieszkania obaj mężczyźni usłyszeli to teraz wyraźnie i jednocześnie spojrzeli w okno, zza którego dobiegało potępieńcze wycie żywiołów.

– Mój drogi, czy proponujesz mi interes w postaci średniowiecznego wozu zaprzęzonego w osiołka, którego właściciel oferuje węzową maść na wszelkie dolegliwości? Co to życie przedłuży, ciężę usunie, zęb wyhoduje i kuśkę nadmucha?

Ludwik Ochocki westchnął tak głęboko, że prawie zakołysały się ciężkie story w oknach.

– Będziesz musiał poddać swoją osobowość wielkim zmianom, jeśli chcesz w Warszawie znaleźć wiotką i wrażliwą arystokratkę.

– Znasz mnie, ja baby potrzebuję do łóżka i do prowadzenia interesu. Krzepkiej mieszczeni, Żydówki najlepiej, a nie jakiejś lalki.

– Znam cię i dlatego się martwię. Ale mniejsza. Drwisz, ale tak, dokładnie to ci proponuję. Ponieważ ludzkie zwierzę nie zmieniło się od czasu średniowiecznego wozu. Ciągłe chce wierzyć w cudowne maści, które zapewnią mu przetrwanie. Tylko mamy już dwudziesty wiek, Bronisławie, czas nowoczesności i nauki. Pomyśl o tym, że nawet maszyna parowa, niedawna rewolucja, dziś wydaje się wczorajsza, zastępują ją elektryczność, silnik spalinowy, automobile, aeroplany. Darwin odkrył pochodzenie gatunków, Mendel prawo dziedziczenia, Röntgen potrafi zajrzeć w głąb ciała bez skalpela, nauka wydiera naturze jej tajemnice i zmienia nasze

życie w tempie, jakiego ludzkość nie doświadczała nigdy wcześniej. Tak, dziś ludzie nie uwierzą obwoźnemu, szczerbatemu szarlatanowi, ale ubranemu w surdut i biały kitel uczonemu – już tak.

Bronisław Najdarowski po raz pierwszy w czasie tej rozmowy spojrzął na spiskowca bez pełnej irytacji kpiny.

– Słucham cię uważnie.

– Powiedzmy, że w epoce wielkich odkryć przyrodniczych, gdzieś na rubieżach, jak to mówisz z szacunkiem, imperium, w krainach dzikich ludów, dziwów i szamańskiej magii, pewien badacz odkryłby substancję o cudownych leczniczych właściwościach. A nauka z mocą i przekonaniem poświadczyłaby odkrycie panaceum. I nagle od Warszawy po Władywostok niesie się wieść o cudownej pastylce, efekcie wyjątkowej symbiozy tajemnej wiedzy prastarych plemion z nowoczesnością naukowych odkryć. Na tyle drogiej, że musi być skuteczna, na tyle taniej, żeby każdy mógł sobie na nią pozwolić. Któż nie zaryzykuje paru kopiejek dla szansy zdrowego, długiego życia?

Twarz Bronisława wykrzywiła się w kupieckim uśmiechu.

– Nieźle masz to wszystko przemyślane, mój drogi.

– Nawet nazwę wymyśliłem. I projekt etykiety. Potrzebuję tylko znawcy kupieckich szlaków imperium, specjalisty od handlu i dystrybucji, którym będziesz ty. Oraz wiarygodnego, ekscentrycznego badacza dalekich ludów, odkrywcy cudownej substancji, która nikomu nie zaszkodzi, a Polsce wypisze czek na wolność. Który to badacz, mam nadzieję, nie idzie właśnie na dno, zatopiony przez tę piekielną burzę.

3

Po wczorajszym sztormie nie zostało nawet wspomnienie. Może pewna parność w powietrzu, intensywność w zapachu kwiatów, rzadki w Odessie aromat wilgotnej ziemi, charakterystyczny bardziej dla nawykłych do deszczów metropolii północy niż do słonecznego czarnomorskiego portu.

W stronę nabrzeża maszerowali energicznie dwaj mężczyźni w letnich surdutach, jeden smukły i energiczny, o wąskiej twarzy skorego do żartów salonowego intelektualisty, bardziej chłopiec niż mężczyzna. I drugi, dojrzały, składający się z samych kątów prostych, zdecydowany, emanujący pewnością siebie, zdający się zostawiać w kamiennym bruku wgnębienia po swoich krokach.

Skreśli w stronę niewielkiego i cokolwiek zdezelowanego parowca, z którego portowe dźwigi ściągały kolejne skrzynie. Robotnicy pokrzykiwali na siebie po ukraińsku, formani objeżdżali ich po rosyjsku, kapitan darł się w niezrozumiałym języku, który mógł być kiedyś rosyjskim, ale alkohol zamienił go w chrapliwy bełkot. Poza tym spośród różnych grup marynarzy, robotników portowych i pasażerów można było usłyszeć strzępki polskiego, rumuńskiego oraz najdziwniejszych narzeczy i dialektów narodów oraz plemion imperium.

Bronisław Najdarowski już dawno zauważył, że jedynie patriotyczne uczucia stoją na przeszkodzie temu, by bezgranicznie zachwyił się Rosją. Imperium było niczym ocean, tyle tylko, że ocean to nudny bezmiar wody, a Rosja – bezmiar krajobrazów, bogactw, ludzi, zwyczajów, oberż, faktorii, osad, języków. Nieraz myślał – ale prędzej by sobie język odgryzł, niż powiedział to na głos – czy nie lepiej być częścią tego bogactwa niż prowincjonalnym, skłóconym ze wszystkimi ksiąstewkiem, padającym co i raz ofiarą albo silniejszego sąsiada, albo własnych wad.

W jego kupieckim życiu najbardziej liczyła się kwestia ceny, zimna kalkulacja, czy efekt wart jest kosztów i ryzyka. Czemu w takim razie angażuje się w te patriotyczne hece, w których cena jest zawsze absurdalnie wysoka, a zyski niezmiennie mizerne? Ot, zagadka.

– Boże, co tam się dzieje – szepnął Ludwik, przerywając tok jego myśli.

Przy kilku skrzyniach i workach stała postać wywiędła, zniszczona, człowiek jakby z mgły. Jedna ręka, obandażowana, wisiała bezładnie na temblaku, drugą wychudzony brodaczonek próbował odpędzić rosnącą kobietę, typową samicę tutejszej odmiany

*homo sapiens*, której klony licznie zaludniały rosyjskie bufety i burdele.

– *Nie lzia! Nie lzia!* – krzyczał brodacz, odganiając zdumioną matronę, czym w końcu ją zirytował, kobieta popchnęła go, przewracając na brukowane nabrzeże, i sięgnęła do jednego z worków.

– *Nie lzia!* – wydarł się straszliwie chudy brodacz, wyszarpnął zza pazuchy nagana i strzelił w powietrze.

Ruchliwy port zamarł. Robotnicy, tragarze, pasażerowie, handlarze, gromadka syberyjskich tubylców, szalony brodacz i rosyjska matrona, mewy nawet – wszyscy zastygnęli, jakby nagle ktoś zatrzymał kinematograf.

Pierwsza otrząsnęła się matrona.

– *Job twoju mać, tupoj chuji!* – zagrzmiała i ruszyła w stronę Czerskiego z mordem w oczach.

Ludwik z Bronisławem spojrzeli na siebie i pognali rodakowi na ratunek, ponieważ mimo posiadania rewolweru to starcie mogło się dla niego skończyć w jeden tylko sposób. W ostatniej chwili dopadli matronę i nie bez wysiłku odciągnęli od Czerskiego, ostatecznie uspokajając złorzeczącą na wymyślne sposoby kobietę wciśniętym w dłoń zwitkiem banknotów.

Dopiero wtedy wrócili do brodatego nędznika.

– Żadna kobieta nie może się do tego zbliżyć! – krzyknął do nich po polsku. – Żadna! To jest śmiertelnie niebezpieczne. Rozumiecie?

– Benedykt! Jakże się cieszę! – Ludwik podbiegł do roztrzęsionego łachmaniarza i wyściskał go serdecznie, na wszelki wypadek nie pozwalając Najdarowskiemu dojść do głosu. – Mój Boże, co się stało z twoim ramieniem?

– Bulaj – mruknął przybysz, ciągle nie puszczając nagana i rozglądając się dokoła podejrzliwie – czyli okienko takie na statku, wystrzeliło od fali, kawałek szkła mnie poharatał.

– Lekarz cię obejrzy. Panowie, pozwólcie. Bronisław Najdarowski, kupiec, człowiek interesu, miłośnik nauki, a przede wszystkim oddany polskiej sprawie patriota. Benedykt Czerski, kiedyś zesłaniec, dziś sławny na całą Rosję badacz plemion dalekiej Syberii



i ich zwyczajów. Podajcie sobie dłonie, panowie, ponieważ czeka was wspólna podróż do Warszawy.

Bronisław ostrożnie uścisnął zdrową dłoń Benedykta, bojąc się, że ten człowiek, bardziej wyglądający na jurodiwego niż na naukowca, rozpadnie się pod wpływem dotyku.

– *Tusu kuru?* – chłopiec pociągnął Czerskiego za poły kurtki.

Ten uklęknął i przytulił go do siebie, wypowiadając szereg słów, z których Bronisław nie rozpoznał ani jednego. Nie był to na pewno rosyjski, nie był też japoński, właściwie nie przypominał żadnego znanego języka. Chłopiec słuchał, a potem rozplakał się nieoczekiwanie, Polak przygarnął go czułym gestem i przytulił mocno. Dopiero kiedy mały przestał płakać, wstał i lekkim popchnięciem odesłał do matki, która zatroskana stała kilka metrów dalej. Bronisław ze zdumieniem zauważył, że kobieta miała wąsy. Nie, nie wąsy, raczej rodzaj malunku henną lub tatuażu nad górną wargą. Kobieta pogładziła się po włosach, po czym przesunęła palcem od wytatuowanej wargi wzdłuż ramienia aż do palców opuszczonej lewej ręki. Benedykt w odpowiedzi potarł kilkakrotnie dłonie, a następnie pogładził brodę. Po czym uklonił się zwyczajnie, po europejsku.

– Musimy zadbać o zbiory. Przede wszystkim wałki – powiedział do nich po polsku, nie uznając za stosowne wytłumaczyć się ze swojego zachowania. – A pan jaką dziedziną nauki jest zainteresowany?

– Chemią – odparł Bronisław.

– Panowie, potem porozmawiacie o nauce, w pociągu będzie czasu aż nadto. Teraz trzeba zjeść obiad, a przede wszystkim wznieść toast. Za Polskę!

No proszę, pomyślał Czerski, ledwo skończyłem ocierać się o śmierć, a już zaczyna się drugi koszmar. Co za klątwa.

## Rozdział 2. Pożegnanie w Paryżu

*Rozejm r. 1918 • Duchy cmentarza Montparnasse • Przeklęty artefakt •  
Szczęściarz bez nóg • Rysunek niedźwiedzia*

1

Z zamkniętymi oczami słuchał listopadowego wiatru. Wziął głęboki oddech, skupił się. Ludzie zwykle nie zastanawiają się, z ilu dźwięków składa się wiatr. Lekki szelest to poruszany na ziemi piasek. Gwizd to powietrze owiewające cienkie gałązki. Szum to pocierające o siebie liście, do tego dochodzi jeszcze trzeszczenie pni, chrobot zahaczających o siebie konarów, hałasowanie strug powietrza w kanalikach usznych. Powiedzieć, że wieje, to skrótowo ująć fakt, że matka natura zaczęła koncert na wielu instrumentach, każdy inny, każdy w innej tonacji i na inny temat. Był czas, kiedy potrafił w szepcie natury rozpoznać jej zamiary. Czy przyniesie zmianę pogody? Deszcz? Mróz? A może to tylko duchy rozmawiają ze sobą, przypominając żywym, że mają na nich baczenie.

To akurat opus wiatru wydawało się smutne, pogrążone w molowej tonacji, ale też Benedyktowi wszystko ostatnio zdawało się przygnębiające, nie potrafił wypędzić z głowy myśli, że wyjazd był błędem. Nie z Polski, opuszczenie Polski nigdy nie jest błędem. Nie powinien nigdy opuszczać Wschodu, Sachalinu, osady, Pukusy, przyjaciół, dzieci. W Odessie jeszcze tego nie czuł, w czasie podróży koleją już dokuczała mu mieszczańska ciasnota umysłowa współpasażerów, ale ciągle uspokajała rozciągająca się za oknem przestrzeń. A potem? Jakże się Polska zdała po Syberii mała i uboga. Nie tylko geograficznie, ale w każdym możliwym sensie tych słów. Ludzie samotni, zapatrzeni w siebie, kurczowo przywiązani do codzienności. Nieznośny prymat materii nad wszystkim, co duchowe. A teoretycznie ponadczasowa religia – złośliwa, prostacka, używana jak kij do okładania się po głowach. Bardziej w swej istocie

barbarzyńska niż jakiegokolwiek pogańskie wierzenia, z którymi się zetknął przez ostatnie dekady.

Powinien był wtedy w Warszawie odwrócić się na pięcie i tą samą drogą wrócić w miejsce, gdzie go kochano i podziwiano, gdzie czekało na niego proste i dzięki tej prostocie głębokie szczęście.

Został.

Niczego dzięki temu nie zyskał. A stracił wszystko.

Teraz codziennie, jak stary dziwak, którym wszak był w istocie, przychodził nocą w to samo miejsce, żeby na cmentarzu Montparnasse łowić nieliczne zapachy i dźwięki natury, w Paryżu nielegalnej i niechcianej bardziej nawet niż on. Przychodził, siadał na ławeczce i przemawiał cicho do grobu Heni Pustowójtówny. Za którymś dopiero spacerem znalazł mogiłę polskiej powstanki i z czasem jej nagrobny profil z zadartym nosem stał się najbliższym mu w Paryżu obliczem, co najlepiej świadczyło o skali jego samotności i zdziwaczenia.

– Okłamywać cię nie chcę – wyszeptał do pomnika – więc musisz wiedzieć, że to nasze ostatnie spotkanie. Opuszczam Paryż. Nie dziw się, tłumaczyłem ci przecież, że tutaj nic się nie zmieniło. Może nikt mną nie gardzi, tak jak w Polsce, ale też nikt mnie i moich nauk nie potrzebuje. Świat się zmienia, wszyscy patrzą tylko dookoła siebie i tylko do przodu. A że coś dalej? A że coś dawniej?

Nieopodal huknął wystrzał. Wzdrygnął się. Ale zaraz potem rozległy się śmiechy i wiwaty. Świętują zawieszenie broni, może ktoś strzelił w niebo, a może to tylko petarda.

– Poszedłem do Marysi pożegnać się. Przykra wizyta, ale też nigdy nasze spotkania nie były wesołe. Nawet wtedy, kiedy wydawało się, że łączy nas coś więcej. Choć znasz mnie, pewnie tylko roiłem coś sobie. Ona ma swoje smutki i swoje badania, ja swoje. Jedyne, co nas łączy, to nauka i żal do Polski, jak nas tam potraktowano i jak zlekceważono, a to niedobra podstawa przyjaźni. Cieszę się, że tutaj traktują ją lepiej. Może dlatego, że jej nauka bardziej jest użyteczna niż moja, a może dlatego, że bardziej w niej widzą Francuzkę niż Polkę. Znać, że te spotkania nawzajem napędzają nasze żale, dlatego myślę, że to dobrze, iż nie będziemy się więcej widywać. Naprawdę tak myślę.

Wyciągnął spod kurtki aluminiową, szczelnie zamykaną butelkę oraz kilka kartek zwiniętych w rulon i zabezpieczonych woskowym papierem.

– Napisałem – nie chciał używać słowa „testament”, więc zawahał się – napisałem list do tych, którzy kiedyś będą chcieli wykorzystać lub kontynuować moje badania. Tamten świat zasługuje na to, żeby go poznać i ocalić, nie dać zniszczyć, nie rozpuścić w tym, co może i mocniejsze, ale też pośledniejsze pod wieloma względami. Dobrze zabezpieczyłem najważniejsze znaleziska, dzienniki i mapy. Mógłbym wysłać, ale dokąd? Tutaj nikogo właściwego nie poznałem, Warszawie nie ufam, a w Rosji po rewolucji nie wiadomo przecież, co z tym robią. A tamten przeklęty artefakt w ogóle chciałem wrzucić do Sekwany, żeby zginął, przepadł na wieki, nigdy nikogo już nie skrzywdził...

Przerwał gwałtownie, wstał i rozejrzał się, nagle przestraszony, że ktoś go podsłuchuje, przełknął nerwowo ślinę. Zawsze wiedział, że zabranie totemu z Sachalinu było błędem, ale ostatnio uwierzył, że ściga go z tego powodu przez świat ajnuska klątwa. Na początku śmiał się z siebie, teraz myśl ta zamieniła się w obsesję, która nie pozwalała mu normalnie żyć. Gdyby nie brak pieniędzy i zdrowia, wróciłby na Daleki Wschód, odnalazł jaskinię, zwrócił bestię i przeprosił bogów.

Za późno, wszystko za późno. Zadumał się, popatrzył nad nagrobkami w stronę świateł miasta.

– Tak, słyszę sam siebie. Powiedzmy, że nie chcę, żeby to był mój problem. Niech się kto inny tym martwi. Inna epoka. Inna nauka. Inni ludzie.

Odkręcił zakrętkę z butelki, wsunął do środka zwitek papierów. Zakręcił i wyciągnął z kieszeni kawałek laku oraz świeczkę i zapalki. Wstał, ukucnął w kącie między płytą nagrobka a pomnikiem, żeby osłonić płomień od wiatru, po czym zapalił świeczkę. Oczekał chwilę, aż się rozpali, i postawił na płycie, a potem dokładnie pokrył lakiem szczelinę pomiędzy butelką i zakrętką. Kiedy uznał robotę za skończoną, nachylił się w stronę świeczki, by ją zgasić, ale rozmyślił się.

Schował butelkę do kieszeni kurtki, sprawdził jeszcze, czy w drugiej kieszeni ma swoje dokumenty, starannie zawinięte

w nawoskowany papier. Miał. Nie zostało mu już nic do zrobienia.

– Dbaj o swojego ducha, Heniu – powiedział. – Dbaj o inne duchy i dbaj o tych, którzy pomocy duchów potrzebują.

Potarł kilkakrotnie ręce, przejechał trzy razy dłońmi po brodzie, skłonił się na koniec nagrobkowi po europejsku i ruszył w stronę bramy cmentarza, w stronę wiwatów, śmiechów i świateł, gdzie dźwięki miasta za chwilę zupełnie zagłuszyły wiatr.

## 2

Quentin Lebron miał trochę nieszczęścia, trochę szczęścia i trochę przemyśleń.

Nieszczęścia, ponieważ na wojnie stracił obie nogi, a chociaż nogami się nie dupczy, nie je i w nosie nie dłubie, to jednak mają kilka innych użytecznych zastosowań i Quentinowi nóg brakowało.

Za swoje wielkie szczęście uważał z kolei fakt, że na wojnie stracił jedynie obie nogi. We frontowym lazarecie miano go za wariata, ponieważ całymi dniami śmiał się, żartował i śpiewał z radości. A on nie mógł uwierzyć w to, że przeżył. Przeżył! Nikt go bez nóg do okopów nie zaciągnie, nikt nie każe biec w chmurę gazu bojowego albo prosto na niemieckie karabiny, muszą go odesłać do domu, bo choć na tej wojnie widział naprawdę wszystko, to żołnierza bez nóg nie spotkał nigdy.

Po utracie nóg szczęście uśmiechnęło się do niego po raz drugi już w Paryżu, gdyż dostał pracę. Teraz, kiedy z frontu wracali wszyscy, nie miałyby na to szans. O jego robocie może nie marzyła każda panienska z dobrego domu, ale można ją było wykonywać, jeżdżąc na platformie na kółkach. Więcej, poruszanie się na poziomie podłogi sprawiało, że obowiązki wypełniało się łatwiej właśnie takiemu kalece jak on.

A przemyślenia? Wyglądało na to, że kiedy na górze raz już odkrecono zawór rurociągu, przez który z ziemi trzeba dostarczać trupy, to nie zamierzano go zamknąć tylko dlatego, że jacyś śmiertelnicy podpisali zawieszenie broni. Śmierć z żalem opuściła okopy pod Sommą i razem z resztą maruderów przywędrowała do Paryża – tak przemyślał Quentin. Jak inaczej wytłumaczyć

rosnącą liczbę trupów znajdujących w parkach, bramach, ciemnych zaułkach, a przede wszystkim wyławianych z Sekwany? Najpierw stanowiło to sensację, potem ciekawostkę, teraz już tylko administracyjny problem.

Przede wszystkim postanowiono odciążyć policję. Jeśli ofiara nie miała w sercu dziury po kuli lub podeźniętego brzytwą gardła albo jeśli w gabinecie komisarza nie siedziała burżuazyjna rodzina, żądająca „całej prawdy o tym, co się stało, nasz Pierre nigdy by czegoś takiego nie zrobił”, nikt nawet nie wspominał o rozpoczynaniu śledztwa.

Trupy ewidencjonowano i fotografowano, żeby zachować pozory porządku, po czym trafiały one do kostnicy, w której pracował Quentin. Pracował – i tutaj znowu szczęście uśmiechnęło się do niego – nie w chłodni przy sinych trupach, lecz przy ciepłym piecu. Do niego trafiały na podłogę ściągnięte ze zwłok ubrania, między którymi sprawnie jeździł na platformie, przeszukując kieszenie, przebiegając palcami po podszewkach, bebesząc torby i pugilaresy. W tych ostatnich nigdy nie znalazł nawet złamanego sou, co należało albo przypisać tajemniczej skłonności ofiar bandyckich porachunków i samobójców do pedantycznego pozbywania się gotówki aż do ostatniego grosza, albo – przemyślał Quentin – skrupulatności paryskich maruderów i bezdomnych, wypłacających sobie rekompensatę za traumę znalezienia zwłok.

Wrzucił do pieca sztywną od krwi sukienkę jakiejś biednej kurwy i zabrał się za przeszukiwanie następnej kupki odzieży, w której od razu rozpoznał ubiór topielca, przesycony charakterystycznym zapachem Sekwany. Bure spodnie, bura koszula, bura kurtka, wszystko proste i siermiężne, kimkolwiek była ofiara, nie gustowała w modnych krojach i odważnych kolorach.

Znalazł dokumenty, zawinięte w woskowany papier, przetarł je szmatą, zerknął do środka. Obce nazwisko, zakończone na -ski, pewnie Polak, miał kiedyś, w szczęśliwych dwunożnych czasach, dziewczynę z Lille, która nazywała się Piekarski. Polacy to właściwie byli z nami czy przeciwko nam? Z jednej strony Polacy to tacy Rosjanie, czyli z nami. Z drugiej ktoś mu opowiadał, że trzymali z Niemcami. Zresztą, co za różnica. Czas spędzony w okopach

oduczył go dzielenia ludzi ze względu na narodowość, religię i poglądy. Martwi to martwi, żywi to żywi, reszta nie ma znaczenia.

Wrócił do ubrań, wyciągnął ze spodni zaskakująco dobry skórzany pasek, który postanowił zatrzymać i sprzedać. Obejrzał, na wewnętrznej stronie klamry widniał napis w rosyjskim chyba alfabcie. Czyli jednak Polacy to Rosjanie. Koszulę odrzucił na bok. Buty też, nie nadawały się do niczego. Zabrał się za kurtkę i szybko znalazł w niej metalową butelkę.

Ciekawe.

Aluminiowa? Stalowa? Srebrna? Nie znał się, nie miał pojęcia, ile może być warta. Nie miał też pojęcia, czy to coś ważnego, co musi postawić na stole, coś zbędnego, co powinno trafić do pieca, czy coś w szarej strefie pomiędzy, co pomoże mu dorobić do lichej pensji.

Potrząsnął. Nic.

Zauważył zalakowaną zakrętkę i uznał, że to wystarczająco dziwne, aby zostawić butelkę w spokoju. O mało co nie postawił jej na stole obok dokumentów, ale zawahał się. A jeśli jest srebrna? Może być dużo warta. Spojrzał na ubrania. Ledwie przyzwoite, na pewno nie należały do kogoś, kogo szuka pół Paryża. Wrócił do dokumentów, spojrzawszy na datę urodzenia. Stary, biedny Polak. Kolejny obcy, któremu miasto światła nie miało nic do zaoferowania.

Raz się żyje. Wydłubał szybko opinelem lak spod zakrętki, wyobrażając sobie zwitki banknotów albo woreczki wypełnione diamentami.

Nic z tego.

W butelce znalazł jedynie kilka kartek, zapisanych językiem, z którego nie rozumiał ani słowa. Parę rysunków, wśród nich szkic niedźwiedzia, obok kilka notatek pełnych wykrzykników i znaków zapytania.

Rozejrzał się, wzruszył ramionami, podjechał na platformie do pieca i wrzucił w ogień kartki razem z ubraniami, a butelkę schował do worka. Kto wie, może jednak jest srebrna.

## Rozdział 3. Bitwa morska

*Wiosna na oceanie • Najnowocześniejszy pirat ery nowożytnej •  
Erotyczne niesprawiedliwości • Statek „Vincent”, błagam, pomóżcie •  
Śmiertelne niebezpieczeństwo, odbiór • Czarne włosy i czarny golf*

1

Mimo rosnącego napięcia atmosfera na łodzi ciągle panowała wakacyjna. Amadou i Pascal kłócili się o zakończenie *Gry o tron*, Niale i Kandia obgadywały z Aimée perspektywy jej zamążpójścia, na zmianę to polecając, to odradzając kolejnych absztyfikantów, a dwa berbecie, których imion nie znał – i nigdy nie próbował zapamiętać, godząc się niechętnie z wadą swojego białego mózgu, dla którego wszystkie te czarne brzdące wyglądały identycznie – okładały się pośrodku łodzi pomarańczowymi kamizelkami ratunkowymi. Ocean łagodnie kołysał, słońce świeciło, dwójkowa bryza przynosiła akurat tyle orzeźwienia, ile trzeba – raj.

Wystawił twarz do słońca, ściągnął gumkę i pozwolił, żeby wiatr rozwiązał jego długie, białe, niestety przerzedzone już włosy.

Za późno, pomyślał po raz milionowy, za późno wszystko zacząłem. Ile jeszcze pożyję? W dobrym zdrowiu najwyżej dwadzieścia-trzydzieści lat. Potem przyjdzie jakiś rak, demencja, zacznie się dogorywanie, oszukiwanie samego siebie, że „ciągle dobrze się czuję jak na swoje lata”, że „mogło być gorzej”, że „ta koszula odejmuje mi dobre dziesięć lat”. Kto wie, może nawet będzie musiał wrócić do Europy, do tamtejszych lekarzy, klinik, terapii. Przysięgał sobie, że na pewno nie będzie to smutny deszczowy Rotterdam, powrót tam byłby przyznaniem się do klęski.

Halbe van Veldhoven, uważający siebie – zupełnie słusznie – za najnowocześniejszego pirata ery nowożytnej, nie był głupi, nie marzyła mu się ani wieczna młodość, ani nieśmiertelność. Ale takie



sto dwadzieścia lat we w miarę dobrej formie, żeby ciągle czuć smak steku z tuńczyka, docenić nowy serial na HBO i pogłaskać młodą czterdziestoletnią dziwkę po miękkich piersiach – no co by to komu szkodziło?

A może tylko on tak myślał, bo zaczął prawdziwe życie zbyt późno? Może jak ktoś zaczyna żyć nie po czterdziestce, tylko po dwudziestce, to wtedy te siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat wydaje mu się całkiem sensowne?

Wzruszył ramionami. I tak jest lepiej, niż mogłoby być. Przecież już myślał, że dociągnie emerytury pod sinym holenderskim niebem, przerzucając kartki z jednego stosu na drugi w biurze armatorskim, gdyby nie durny wywiad, jaki obejrzał w sobotniej telewizji śniadaniowej. „Dlaczego przestępcy wpadają? – mądrzył się jakiś policjant, któremu profesjonalny telewizyjny make-up nie zdołał ukryć beznadziejnej cery i piątkowego przepicia. – Wpadają, ponieważ są głupi. Inteligentni, wykształceni ludzie mają inne sposoby na życie niż czajenie się w ciemnych zaułkach albo włamanie do lombardów. Przestępcami zostają ci, którym nic innego w życiu nie wyszło, w pewien sposób wszyscy są nieudacznikami i amatorami, dlatego tak łatwo nam ich łapać”.

W tamtej dokładnie chwili Halbe van Veldhoven pomyślał, że jemu też w życiu nic nie wyszło i postanowił narodzić się na nowo.

Zapisał telefon satelitarny.

– Tak, chieffie?

– Wyświetlają nam się już na radarze, dwanaście mil jeden dziewięć pięć od was.

– AIS cały czas wyłączony?

– Tak. Lecą pięć węzłów kursem zero trzy zero, nigdzie im się nie spieszy widać.

– Inne jednostki?

– Nic.

– Dziękuję.

Zastanowił się. Jego pirackie credo nakazywało nigdy nie podejmować ryzyka. Rezygnował przy najmniejszym podejrzeniu, że operacja może się nie udać albo że może im grozić niebezpieczeństwo. Czy w tej sytuacji tkwiło jakieś zagrożenie? Mały kontenerowiec, na który się zasadzali, wyłączył automatyczny

system identyfikujący, teoretycznie obowiązkowy w marynarce handlowej. Nic dziwnego, często samotne statki dezaktywowały go w podejrzanych rejonach, wiedząc, że piraci śledzą serwisy internetowe z aktualną pozycją wszystkich jednostek. Płynie wolno, ale to też nic podejrzanego. Mogli zwolnić dla dokonania jakichś napraw, mogli też dostać wiadomość, że w porcie jest kolejka, i wolą pobujać się na słońcu, niż stać gdzieś na redzie w północnej Europie, a przy okazji oszczędzają paliwo.

Otworzył tablet z elektroniczną mapą. On jest tutaj, oni tutaj, prąd znosi ich z prędkością dwóch węzłów w tę stronę, perfekcyjnie. Kiedy znajdą się w zasięgu wzroku, będą po prostu bezradnym pontonem uchodźców, dryfującym na oceanie.

– Second? – rzucił do Amadou.

– Tak, kapitanie.

– ETA dwie godziny, za godzinę się szykujemy.

Szczupły, czarnoskóry mężczyzna pokiwał głową i ustawił alarm w swoim marynistycznym zegarku garmina. Prezent, który dostał od szefa na ostatnie Boże Narodzenie.

## 2

Dwanaście mil dalej kapitanka Olga Gavrilescu westchnęła po raz ostatni, wyjęła rękę z majtek, wstała i pstryknęła ekspres do kawy. Po trzech miesiącach na morzu brakowało jej seksu i tak jak zwykle cielesne potrzeby potrafiła wypocić na bieżni albo zapomnieć o nich przy codziennych obowiązkach, tak teraz najwyraźniej musiała owulować, ponieważ od rana miała ochotę zbiec na dół do maszyny i wypiąć się dla dowolnego wysmarowanego olejem motorzysty, który tam akurat napina paski, dokręca śruby czy poleruje rury w tych ich mechanicznych lochach.

Świat jest w ogóle cholernie seksistowski, myślała, myjąc ręce, ale ze wszystkich dyskryminacji najgorsza jest chyba ta, która nie pozwala kobietom być radosnymi maszynkami do uprawiania seksu, traktującymi przedmiotowo mężczyzn i bzykającymi się na żądanie. Dobrze wiedziała, że gdyby raz zaciągnęła tu kogoś do łóżka, pół godziny później pod drzwiami stałaby kolejka „chcących tylko o coś

zapytać”. Szlag by to trafił. W odwrotnej sytuacji, gdyby kapitan na statku pełnym kobiet którąś przeleciał, to następnego dnia reszta załogi by go unikała i trzymała zawodowy dystans. niesprawiedliwe, bardzo niesprawiedliwe.

Zrobiła sobie kawę, umyła kolbę od ekspresu, przed lustrem poprawiła proste, czarne włosy zlewające się przy ramionach z jej znakiem rozpoznawczym – czarnym, gładkim, pozbawionym jakichkolwiek ozdób marynarskim golfem. Nigdy nie pojawiała się poza swoją kajutą w innym stroju, w ciepłe dni zakładała cienki, w zimne gruby, w deszczowe narzucała sztormiak, ale zlewający się z włosami sweter miała na sobie zawsze. Pociągnęła łyk kawy.

Chwilę potem weszła na mostek spokojna i opanowana, oczekując, jak zwykle pół godziny przed końcem wachty, meldunku od dyżurnego oficera.

– Panie trzeci.

– Pani kapitan.

Czekała spokojnie. Ona wiedziała, na co czeka, i on tak samo, skoro raz coś stało się jasne, to marnowaniem czasu własnego i innych, byłoby to powtarzać.

– Jesteśmy w środku wyżu wielkości Europy, więc w pogodzie żadnych niespodzianek, wiatr dwa *east*, aktualna prognoza przypięta do tablicy – zameldował trzeci oficer. – Tropikalny sztorm tysiąc mil *south south west* od nas, może dojdzie jakieś zafalowanie, ale jeśli w ogóle, to nie wcześniej niż za dwadzieścia cztery godziny. Na AIS i radarze trałujący kuter rybacki mniej więcej dwadzieścia mil *east* od nas, poza tym cisza, spokój i piękna pogoda.

– Cargo?

– Bez uwag.

– Dziękuję, panie trzeci. Jutro o piętnastej zrobimy ćwiczenie pożarowe, proszę nie mówić załodze. – Wiedziała, że powie, każdy oficer przygotowywał załogę na ćwiczenia, chcąc tym samym wypaść jak najlepiej. Zwłaszcza trzeci, który odpowiadał za środki bezpieczeństwa. Wychodziła z założenia, że tym lepiej, dzięki temu marynarze utrwalali sobie właściwe procedury, zamiast potem latać w histerii bez sensu jak zdekapitowany kurczak.

Trzeci potwierdził skinieniem głowy.

Obeszła leniwie mostek, popijając kawę i odhaczając w głowie kolejne punkty. Barometr, wiatromierz, tablica z prognozą meteorologiczną, żyro, panel siłowni, mapa elektroniczna, oba radary, rzut oka z obu skrzydeł na morze i na spiętrzone na pokładzie kontenery. Trzeci miał rację – cisza, spokój i piękna pogoda.

### 3

Zanim rozkręcił interes, wszystko dokładnie przemyślał, a po przemyśleniu wypalił w swoim garażu główne założenia na metalowej tabliczce niczym przykazania.

Po pierwsze: nie ryzykuj. Martwy przestępca lub skazany przestępca to zły przestępca.

Po drugie: nie bądź chciwy. Kryminalistów gubi nadaktywność, ponieważ albo chcą za dużo, albo muszą mieć dużo, żeby dzielić się z najróżniejszymi mafiami, pośrednikami i opiekunami. Z tego prosty wniosek, że próby zostania piratem w opanowanej przez naspidowanych khatem mafiozów Somalii nie mają sensu. Trzeba było znaleźć inny akwen.

Po trzecie: nie bądź chytry. Rozumiał, że organizacja przestępcza powinna być jak najmniejsza i jak najbardziej – z braku lepszego słowa – socjalistyczna. Dobrze wynagradzani pracownicy odwzajemniali się lojalnością, nie szukali innych pracodawców, nie donosili i nie zgrzytali zębami, czekając tylko na sposobność, żeby wbić szefowi nóż w plecy. Halbe van Veldhoven dzielił się zyskami hojnie i sprawiedliwie.

Dzięki tym trzem przykazaniom – po początkowych trudnościach, w czasie których o mało nie pożegnał się z życiem – jego pirackie przedsiębiorstwo prosperowało całkiem nieźle. Miał rybacki kuter, będący jednocześnie pływającą bazą wypadową. Miał dwie szybkie łodzie desantowe. Miał ultranowoczesnego drona, którym potrafił prowadzić obserwację z wysokości dwóch kilometrów, co sprawdzało się znacznie lepiej niż radar. Miał w końcu załogę, na której mógł polegać, i mądrą taktykę: wypływał rzadko i żądał niewiele.

Tutaj uwidaczniała się jego przewaga nad innymi piratami, wynikająca z lat najpierw przepływanych na tankowcach, a potem wypracowanych w biurze armatora. Wiedział, że w morskim biznesie tylko jedna kwestia ma znaczenie: kwestia ceny.

Na powierzchni utrzymuje się ten, kto dobrze zbilansuje stosunek ceny do terminowości dostawy i prędkości frachtu. Jak w słynnej triadzie dobrze-szybko-tanio, tak też tutaj nie dało się mieć wszystkiego. A na morzu reguły były twarde – porty buduje się powoli, a statki szybko, więc po oceanach pływało mnóstwo bezrobotnych jednostek i tylko ten, kto potrafił sprawnie balansować pośrodku triady tanio-szybko-terminowo, utrzymywał się na powierzchni. Każde zdarzenie w rodzaju ataku piratów zakłócało ten balans. Należało takich zdarzeń unikać, a jeśli już do nich doszło, mieć jak najszybciej i jak najciszej z głowy.

Dodatkowo już wiele lat temu romantyzm marynarskiego fachu zabiła biurokracja. Kapitanowie coraz rzadziej bywali na mostku, a coraz częściej ślęczeli przy biurku, produkując kolejne kwity: dla armatora, dla portu, dla IMO, dla agencji ochrony środowiska, dla firmy wysyłającej towar, dla firmy odbierającej towar, dla celników, dla pograniczników, ta lista nie miała końca. Ataku piratów bali się nie dlatego, że ktoś ostrzela im mostek, tylko dlatego, że z jego powodu będą musieli napisać raporty do wszystkich wyżej wymienionych. A jeśli – nie daj Boże – do ataku dojdzie na wodach terytorialnych, trzeba będzie dodatkowo wyprodukować epistoły dla lokalnej policji, prokuratury i cholera wie, kogo jeszcze. Dlatego każdy rozsądny kapitan najchętniej na widok piratów wyrzuciłby za burtę przyczepiony do bojki worek dolarów, byleby mieć to z głowy. Podobnie kombinowali armatorzy – woleli zapłacić, niż cierpieć straty z powodu opóźnień spowodowanych przez nadmierną ambicję policji z czwartego świata. A jedno opóźnienie mogło skutkować obniżeniem ratingów i utratą dziesiątek przyszłych zamówień.

Dlatego Halbe van Veldhoven i jego kompania planowali dostać się na pokład, złapać kogokolwiek, zażądać rozsądnego okupu i po otrzymaniu przelewu w wysokości od stu do pięciuset tysięcy dolarów – decyzję podejmował po obejrzeniu statku – ulotnić się po angielsku i zniknąć. Taka kwota wystarczała, żeby zarówno wszyscy

jego pracownicy, jak i on sam żyli jak królowie przez wiele miesięcy. A dla armatora to kieszonkowe, kwota na tyle niewielka, żeby machnąć ręką i żeglować dalej.

Jeśli w trakcie ataku pojawiały się jakiegokolwiek trudności – odpuszczali. Luz i spokój, tym różniła się taktyka Halbego, wychowanego w oparach holenderskiej marihuany, od taktyki Somalijczyków, wiecznie pobudzonych khatem. Efekt? W Zatoce Adeńskiej statki pływały w chronionych konwojach, a o jego terenie z rzadka nawet plotkowano w branżowych serwisach, które ciągle pilnie śledził.

– Kapitanie! – Amadou wskazał na horyzont, na którym zamajaczyła nadbudówka kontenerowca.

Prąd spychał ich we właściwą stronę.

## 4

Dojadała deser w mesie oficerskiej, kiedy jej zegarek zapiszczał. Była potrzebna na mostku. Zdziwiła się, dzień był tak nudny, że aż senny. Rozejrzała się, czy nikt nie dostrzeże żarłoczności kapitaniki, dwoma kęsami pochłonięła resztkę szarlotki i spokojnie powędrowała kilka pięter w górę.

Na mostku spojrzała pytająco na drugiego, który pół godziny wcześniej rozpoczął dzienną wachtę.

– Powinna pani to zobaczyć. – Podał jej lornetkę i wskazał przed trawers lewej burty. – Na dziesiątej.

Wyszła na skrzydło, oparła się łokciami o parapet, żeby ustabilizować obraz. Czarny ponton w dryfie. Pomarańczowe kamizelki. Podskakujące, machające postaci. Uchodźcy albo piraci. Na pewno nie rozbitkowie. Potrzebowała więcej danych.

– Proszę, to zdjęcia z oka. – Drugi wręczył jej tablet, gdy tylko odłożyła lornetkę. Lubiła tego łysego, chudego Rosjanina. Idealny oficer, na tyle rozsądny, żeby spełniać każde jej polecenie, zanim zdąży je wypowiedzieć, i na tyle mądry, żeby rozumieć, kiedy nikt od niego nie oczekuje inicjatywy.

– Dziękuję, drugi.

„Okiem” nazywali zamontowany na szczycie nadbudówki teleskop. Lornetki się przydawały, ale te o małym powiększeniu niewiele pokazywały, a te duże za bardzo drgały, niby pokazywały więcej, ale niewyraźnie. Sterowane przez komputer „oko” miało elektroniczną stabilizację obrazu, powiększenie jak teleskop do obserwacji nieba i robiło sto zdjęć na sekundę, z których samo wybierało te o najlepszej ostrości. Zgromadzoną w pontonie grupkę kilkunastu osób mogła obejrzeć tak wyraźnie, jakby siedziała tam razem z nimi.

Biały mężczyzna przy sterze, niesprawiający wrażenia zestresowanego sytuacją. Nieźle zamaskowany, schowany głęboko w wodzie potężny silnik. Grupa czarnoskórych, mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy w łachmanach i tanich, styropianowych kamizelkach ratunkowych. Ale bez tego zwierzęcego przerażenia, które widziała już kilka razy w oczach uchodźców i rozbitków. Czyli piraci. I to cwani. Niedobrze.

– Co pan sądzi, drugi?

– Piraci.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Proszę utrzymać kurs i prędkość, ale zwiększyć obroty. Dać znać do maszyny, że możemy robić gwałtowne manewry.

Sama sięgnęła do paska po służący do komunikacji wewnętrznej telefon i połączyła się z dyżurnym działu, który nazywali „cargo”.

– Cargo, słucham, pani kapitan.

– Proszę wejść do odwołania w tryb awaryjny, mamy gości.

5

Załoga niewielkiego, około dwustumetrowego kontenerowca o nazwie „Vincent” musiała ich już widzieć, mimo to nie zmienili kursu ani prędkości, nie próbowali ich też wywołać na radiu. Standard w tych smutnych czasach dyktatu pieniądza, pomyślał Halbe van Veldhoven. Armatorzy obawiali się piratów, ale tak samo uciekali przed uchodźcami, uciekinierami i wszelkiej maści migrantami. Dostrzeżenie i wzięcie ich na pokład oznaczało zmianę planów, szukanie portu, w którym ktoś przyjmie kłopotliwy

ładunek, biurokracja momentalnie awansowała z zarazy na biblijną plagę, nie licząc złej reklamy, bo kto zdrowy na umyśle zatrudni do przewozu ładunku firmę, której kapitanowie cenią miłosierdzie wyżej niż terminową dostawę.

Dlatego statki handlowe robiły wszystko, żeby unikać szlaków migracyjnych, a jeśli już doszło do kontaktu, to zazwyczaj rżnęły głupa, nawet jeśli matki z dziećmi waliły pięściami o ich burty, błagając o ratunek. Z tego powodu zachowywali też ciszę radiową – żeby, broń Boże, nikt inny nie usłyszał, że kogoś spostrzegli.

Halbe van Veldhoven ucieszył się z faktu, że nie przyspieszyli, co oznaczało, że uznali ich za dryfujących uchodźców.

– Do roboty – powiedział. – Second, bierz się do radia. Kobiety i dzieci: do lamentu.

Kobiety i dzieci zaczęły pokrzykiwać w lokalnym narzeczu, kiedy Amadou odezwał się łamaną angielszczyzną na awaryjnym kanale szesnastym UKF.

– Statek „Vincent”, tutaj łódź z uchodźcami, pomóżcie. Odbiór.

Cisza. Mimo że na pewno słyszeli. Halbe skinął głową.

– Statek „Vincent”, tutaj łódź z uchodźcami. Zgubieni na morzu cztery dni, prawie zero paliwa, pomóżcie. Odbiór.

Cisza.

– Statek „Vincent”, statek „Vincent”, błagam, pomóżcie, mamy kobiety i dzieci, zgubieni na morzu, zero jedzenie, zero woda, tylko trochę paliwo.

Cisza.

– No dobra, jedziemy – powiedział Halbe, odpalił silnik i zaczął powoli płynąć w stronę kontenerowca, uważając, żeby nie pokazać prawdziwej mocy łodzi.

Cisza, spokój i ładna pogoda. I nic, czego by do tej pory nie widział. Wsłuchał się w swoją intuicję, ale nie słyszał żadnych dzwonek alarmowych, wyglądało to nieźle.

– Zapnijcie dobrze kamizelki i przypnijcie się do lajflin, może bujać – ostrzegł.

Bezpieczeństwo przede wszystkim – to zasada numer cztery.



Łódź znajdowała się już na tyle blisko, że bez lornetki widziała machających ludzi, kobiety podnosiły małe dzieci wysoko nad głowę. Olga pomyślała, że wolałaby to załatwić po dobroci, ale nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Cała naprzód, obroty sto dziesięć, kurs trzydzieści prawiej – powiedziała.

Statek – nie gigantyczny, ale przecież ciągle olbrzymi – zareagował nadspodziewanie sprawnie zaraz po tym, kiedy drugi sięgnął do pulpitu sterowania. Skręcił i przyśpieszył, wypuszczając odkosową falę dokładnie w dziób płynącej w ich stronę łodzi i zostawiając ją w swoim kilwaterze.

– Statek „Vincent”! – odezwało się radio. – Proszę nie uciekać, kobiety i dzieci, zero wody, pomocy!

Nawet nie drgnęła, patrząc na ekran radaru. Tak jak przypuszczała, łódź z „prawie zero paliwa” płynnie przyśpieszyła do piętnastu węzłów, dotrzymując im bez problemu kroku nawet w zburzonym kilwaterze. Trzymali się pięć kabli za ich rufą.

– Obroty sto trzydzieści – powiedziała. – Ster na zmianę piętnaście lewiej i piętnaście prawiej.

Stara sztuczka, która, co prawda, kosztowała utratę prędkości, ale zostawiała morze za rufą statku na tyle wzburzone, że bez trudu mogło wywrócić lekką łódkę. To by załatwiało sprawę, zanim by się pozbierali, zanim kuter baza by ich podjął, byłoby po problemie, ostaliby się w pamięci piratów jako sprytny kontenerowiec i tyle.

Uważnie patrzyła na radar i obraz z kamery, pokazującej sytuację za rufą.

7

– Trzymać się mocno! – krzyknął, przesuwając manetkę gazu, łódź wyrwała do przodu, podskakując na tworzonych przez statek falach.

Niestety wyglądało na to, że trzeba skończyć udawać uchodźców. Szkoda, lubił elegancję tego rozwiązania. Wzruszony marynarz najpierw wciągał dziecko w uprząży, potem pomagał matce wejść po drabince jakubowej, a zaraz potem uśmiechnięta z wdzięcznością matka przystawiała mu pistolet do głowy i wystarczyło czekać na

przelew, zwykle nie trwało to dłużej niż godzinę, nawet dzieci nie zdążyły się znudzić.

– Do abordażu! – krzyknął, odpowiedział mu wybuch śmiechu. Specjalnie ściągnął im komiksy z Asteriksem, żeby mogli docenić ten żart.

Wyjechał z kilwateru i dodał gazu, łódź weszła w ślizg i z prędkością trzydziestu węzłów zaczęła błyskawicznie okrążyć statek, podchodząc od prawej burty. Amadou i Pascal założyli małe plecaczki i przyszykowali liny z hakami.

Spojrzał na radio, niezmiennie milczące. Po raz pierwszy poczuł ukłucie niepokoju. To był moment, kiedy kapitanowie najpierw wzywali ostentacyjnie mayday, a potem prowadzili wyimaginowane dyskusje niby ze zbliżającymi się okrętami wojennymi i nadlatującymi śmigłowcami bojowymi, chcąc przstraszyć napastników.

A tutaj – cisza. Może byli aż tak niedoświadczeni? Może już zamknęli się w cytadeli? Przyjrzał się dokładnie „Vincentowi”. Typowa krypa pomniejszej firmy frachtowej. Ani nowa, ani stara. Ani szybka, ani wolna. Trochę połatana, trochę zardzewiała. Pewnie na trampingu, pływająca tam, gdzie nikomu większemu się nie chce i nie opłaca. Zaskakiwała go jedynie cisza w eterze i powiewająca na rufie bandera Czadu, który to kraj z morzem miał tyle wspólnego, co Słowacja i Białoruś. Barwy znał tylko dlatego, że w willi obok – czyli trzydzieści kilometrów wzdłuż wybrzeża dalej – pobudował się przedsiębiorca z tego kraju, sympatyczny człowiek skądinąd. Niemniej nigdy w swojej karierze nie zetknął się z zarejestrowanym w Czadzie statkiem. Niezbyt szokujące, armatorzy byli gotowi rejestrować się na księżycach Jowisza, jeśli oznaczało to mniejsze podatki i mniejszą odpowiedzialność, ale na pewno zaskakujące.

Tylko zaskakujące czy aż niepokojące?

Amadou podszedł do niego, chwytając się rozciągniętych wzdłuż gumowego kadłuba lajflin, omijając kobiety i dzieci, których rola się skończyła i którzy przycupnęli skuleni nisko na pokładzie, chroniąc się przed wiatrem i rozbryzgami fal.

– Od razu do siłowni? – zapytał.

Potwierdził skinieniem głowy.

Ten sposób też wypróbowali kilka razy. Załoga w czasie ataku pirackiego zwykle chowała się w jednym specjalnie przygotowanym pomieszczeniu, zwanym cytadelą, wychodząc z założenia, że wezwana przez telefon satelitarny pomoc w końcu nadejdzie i że piratom się znudzi. Było to założenie słuszne, piraci chcieli zgarnąć okup, na cholere im statek pełen kontenerów, przecież tramppek i telefonów komórkowych wywozić ribem nie będą. Oczywiście załoga obawiała się, że dzikusy zaczną strzelać po urządzeniach na mostku albo w siłowni, ale też nawet uruchomienie wyłączzonego awaryjnie silnika przerastałoby ich możliwości.

Odpowiednio przeszkoleni ludzie Halbego daliby sobie z tym radę, ale po co? Zwykle wystarczyło skontaktować się z zamkniętą załogą i powiadomić ich, że stoi się z kluczem i młotkiem przy zdjętych pokrywach kingstonów do układu chłodzenia. To newralgiczny punkt większości tradycyjnych konstrukcji, w ciągu dziesięciu minut można było zatopić całą maszynownię do poziomu linii wodnej, co zamieniało statek w kupę dryfującego złomu.

Przelew przychodził momentalnie.

Statek przestał myszkować, najwyraźniej pogodzony z losem. Super, pomyślał Halbe i wyrównał kurs, żeby jego ludzie mogli łatwiej wystrzelić zakończone kotwiczkami liny, po których wejdą na pokład. Obie jednostki dzieliło jedynie kilka długości łodzi i wyglądało na to, że zdąży jeszcze po powrocie wziąć leniwy prysznic, zanim z pełnym kieliszkiem i pełnym kontem usiądzie na tarasie willi, żeby podziwiać zachód afrykańskiego słońca nad oceanem. Widok, który nie nudził się nigdy.

8

No cóż, wolałaby to załatwić inaczej, ale – powtórzyła w myślach po raz kolejny, starając się nie patrzeć na stłoczone w łodzi kilka kobiet z dziećmi – to nie ona wybrała sobie ryzykowny zawód morskiego pirata albo jego współnika. Te dzieci też nie, odpowiedział jej w głowie drugi głos, ale nie miała innego wyjścia, niż go zlekceważyć.

Sięgnęła po gruszkę radia.

– Czarna łódź u naszej prawej burty, tu statek motorowy „Vincent”, odbiór.

Zaskrzeczało.

– „Vincent”, tu łódź z uchodźcami, pomóżcie, nie mamy wody...

Wcisnęła przycisk nadawania.

– Czarna łódź z prawej burty, tu statek motorowy „Vincent”, zbliżacie się za bardzo do naszego dziobu, niebezpieczeństwo, odbiór.

Radio znowu skrzeczało banialuki o uchodźcach, dla odmiany płynną angielszczyzną, widać przestali dbać o pozory.

– Czarna łódź z prawej burty, tu statek motorowy „Vincent”, wpływacie pod nasz dziób, to śmiertelne niebezpieczeństwo, powtarzam: śmiertelne niebezpieczeństwo, odbiór.

## 9

Holender przestał pojmować cokolwiek i dopiero to sprawiło, że rozległy się wszystkie dzwonki alarmowe w jego głowie. Zrozumiał, że bezsensowne ostrzeżenia z mostku kontenerowca – od dziobu dzieliło go dobre trzy czwarte kadłuba i płynął bezpiecznie jak uczestnicy niedzielnej szkółki żeglarskiej – nie były wcale ostrzeżeniami. „Vincent” po prostu tworzył sobie legendę na wypadek, gdyby ktoś usłyszał ich konwersacje na kanale alarmowym. Gdyby się okazało, że nagrywa to jakiś znajdujący się w zasięgu statek albo straż przybrzeżna, to usłyszą najpierw podejrzone wezwania o pomoc, a potem zatroskanego oficera, który próbował ich ostrzec przed niebezpiecznym manewrem.

Ale w takim razie co zamierzają?

– Uciekamy! – krzyknął przez wiatr.

Jego załoga spojrzała zdziwiona, ale posłusznie usiadła na dnie łodzi. Halbe przesunął manetkę na całą naprzód i skreślił wolantem, łódź położyła się mocno na burtę, silnik zaryczał pełną mocą pięciuset koni i z prędkością prawie czterdziestu węzłów, skacząc po falach, zaczął oddalać się na zachód.

Spojrzał przez ramię. „Vincent” nawet nie drgnął, utrzymując kurs i prędkość.

Może niepotrzebnie stchórzył? Dał się nabrać na jakąś kretyńską taktykę? Może powinien zawrócić?

W tej samej chwili z jednego z kontenerów na przodzie wysunął się w górę prostopadłościan, przypominający szarą paczkę papierosów rozmiaru szafy. Paczka wysunęła się, położyła na płask, obróciła i spojrzała na niego kilkunastoma czubkami czegoś, co absurdalnie mu się skojarzyło z dobrze skreconymi jointami z ulubionego coffee shopu koło portowej pizzerii w Rotterdamie.

Dwa z tych jointów wyfrunęły z paczki i ciągnąc za sobą pióropusz dymu, poleciały w jego stronę z prędkością o wiele, wiele większą niż jego czterdzieści węzłów.

Zamknął oczy.

Nie ze strachu przed śmiercią, tylko żeby nie patrzeć na swoją załogę, dla której był takim uważnym, lojalnym, socjalistycznym, prawdziwie nowoczesnym i europejskim szefem.

10

– Wracamy na kurs zero trzy zero, obroty dziewięćdziesiąt, prędkość pięć węzłów. Proszę odwołać alarm w cargo i w maszynie.

Drugi oficer stał nieruchomo, patrząc w miejsce, gdzie obłok czarnego dymu szybko rozwiewał się nad unoszącymi się na wodzie resztkami łodzi i jej pasażerów. Olga spojrzała na niego, ciesząc się, że pozwala jej to jedynie kątem oka zauważać pływające po powierzchni szczątki. Pomarańczowe kawałki to materiał kamizelek ratunkowych, białe to ich styropianowe wypełnienie, ciemne – ciemne to zapewne strzępy burt łodzi, powtarzała w myślach.

– Panie drugi?

Spojrzał na nią nieobecny spojrzeniem.

– Kurs zero trzy zero, obroty dziewięćdziesiąt, prędkość pięć węzłów – powtórzyła.

– Tak jest, pani kapitan.

– Proszę też odwołać alarm w cargo i w maszynie, ja zrobię odpowiedni wpis w dzienniku pokładowym.

Podeszła do okalających mostek szyb, stanęła nieruchomo w ostrym słońcu, uosobienie spokoju i opanowania. Czarne włosy

i czarny golf zlewały się ze sobą na tle światła, sprawiając wrażenie, że nie człowiek, lecz cień stoi na mostku „Vincenta”, prowadząc statek w nieznaną przyszłość.

## Rozdział 4. Jaskinia Błękitnego Snu

*Lato na Sachalinie • Lawina błota • Pijesz jak Polak • Komary wielkie  
niczym orły • Kopiec dziecięcych jakby czaszek • Upadek • Przedostatnia  
nadzieja*

1

Napoleon miał powiedzieć, że w Polsce i Rosji odkrył piąty żywioł: błoto. Niestety anegdota nie przekazała, czy cesarz okraślił to jakimś komentarzem. Estetycznie nie odpowiadał mu ten widok sfalowanych mas o konsystencji i kolorze sraczki, ciągnący się czasami aż po horyzont? A może chodziło o przeszkody techniczne, grzęźnięcie końskich kopyt, wolne tempo marszu? O armaty? Ciężkie lawety, wiozące wunderwaffe francuskiej armii, musiały się we wschodnioeuropejskim błocie zapadać po osie. Próbujący wydobyć je z brunatnej melasy żołnierze myśleli zapewne, że lżej byłoby armaty po prostu nieść na plecach, a szybciej i łatwiej wyprodukować na miejscu, niż walczyć z czymś, co na poziomie definicji stanowiło niegroźną mieszaninę ziemi, piasku i wody, a na poziomie praktycznego doświadczenia zamieniało się w żywioł nie do okiełznania, przy którym huraganowe wiatry, sztormy i pożary lasów zdawały się ledwie perypetiami.

Jeśli tak właśnie myśleli napoleońscy żołnierze, to Bogdan Smuga rozumiał ich aż za dobrze. W jego głowie błoto nie było już żywiołem, stawało się raczej obdarzonym świadomością złowrogim bytem, niczym rój os albo chmura nanobotów. Obcą formą życia, tyleż potężną, co wrogą. Zakładając, że w jej obrębie istniały ewolucyjne poziomy, to błoto zachodnie tkwiło gdzieś na poziomie wiewiórki, błoto polskie na poziomie złośliwego szympansa, pod Moskwą stawało się zdolnym do wszelkiego zła *homo sapiens*, ale

tutaj, poza krańcem Syberii, tworzyło już niemożliwą do ogarnięcia ludzkim umysłem agresywną superinteligencję.

Tak się zabawiał naukowymi metaforami, tkwiąc po pas w gęstej brei, tworzącej wbrew elementarnym prawom fizyki nachylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni bagno, i pchając razem z innymi wolno pełznącego do góry dzięki rzeżącej z wysiłku wyciągarce land rovera. Bezmyślny kierowca próbował sobie pomóc napędem, nie osiągając nic poza wyrzucaniem spod wszystkich czterech kół fontann błocka, które tryskało na boki jak gejzery, pokrywając drzewa, krzaki, skały, a przede wszystkim ludzi grubą warstwą griaża.

Ktoś mógłby pomyśleć, że ekspedycja złożona z kilku ciężkich terenowych samochodów i kilkunastu osób popełnia błąd, próbując sforsować błotnisty jar pośrodku wyspy Sachalin, ale ekspedycja nie miała wyboru – bez helikopterów i sprzętu do karczowania lasu ta góra błota stanowiła jedyną możliwą drogę do naukowego eldorado, jakie spodziewali się znaleźć. Dlatego mężczyźni walczyli z grząskim żywiołem, klnąc i wrzeszcząc na siebie po angielsku i rosyjsku, jęcząc zaś z wysiłku w międzynarodowym języku jęczenia.

Bogdan nie zwracał już na te krzyki i jęki uwagi, nawet nie odpluwał trzeszczącej w ustach ziemi, pchał tylko z całej siły terenówkę, walcząc razem z innymi, żeby podczas tej mozolnej wędrówki utrzymała się na zboczu. Gdyby przewinęła się przez krawędź, zapewne albo wyciągarka, albo stalowa linka, albo drzewo nie wytrzymałyby naprężeń i cały ich sprzęt laboratoryjny skoziłkowałyby w dół po błocku, zatrzymując się pewnie dopiero w Morzu Ochockim, kilkadziesiąt kilometrów dalej.

Z drugiej strony samochodu, od strony kierowcy, Dimitrij walił w szybę i darł się po rosyjsku. Skutecznie, ponieważ kierowca zrezygnował z buksowania kołami i zdał się tylko na wyciągarce. Teraz, bez zagłuszania jej wysokimi obrotami silnika, słychać było, jak jęczy i piszczy, walcząc z kilkutonowym ciężarem.

Land rover podjechał kilkanaście centymetrów wyżej, Bogdan skorzystał z chwili oddechu, wygramolił się z błotnej dziury, podciągnął trochę na przyrządzie asekuracyjnym, wybrał linę, której drugi koniec przymocowany został do drzewa na szczycie jaru, odetchnął – i poczuł, jak ziemia osuwa mu się spod nóg.



Krzyknął, zamachał bezsensownie rękami i runął w dół, porwany przez rzekę błota, która ruszyła wartkim potokiem jak strumień przez przerwaną tamę, wciągając go w głąb razem z kamieniami, krzakami i wszystkim tym, co sachalińska gleba w sobie nosiła, czyli zapewne złotem, diamentami i szczątkami mamutów.

Umrę bogaty, pomyślał, zasłaniając dłonią usta i nos. Starał się nie oddychać. Jeśli spróbuje zaczerpnąć powietrza i pozwoli tej ziemistej mazi wedrzeć się do ust, do nosa, do płuc – to koniec.

Lina trzymała. Tonął w potoku błota, ale lina trzymała.

Poczuł szarpnięcie, uprząż asekuracyjna boleśnie wbiła mu się w uda.

Czy to szarpnięcie oznacza, że ważące trzy tony auto leci właśnie w jego stronę? To nie byłaby miła śmierć, ale może lepsza niż utonięcie w błocie. Utonięcie w błocie, cóż to za symboliczne zwieńczenie żywotu polskiego naukowca.

Znowu szarpnięcie.

Brakowało mu powietrza. Nie zdążył go porządnie zaczerpnąć w chwili wypadku, więcej – nagły szok sprawił, że krzyknął, wyrzucając je z płuc.

Nie może, za żadną cenę nie może oderwać dłoni od ust, nie może zaczerpnąć tchu.

Płuca paliły, domagając się tlenu, serce łomotało rozpaczliwie, pod powiekami latały mu jasne i ciemne plamy. Powietrza! – krzyczało całe jego ciało, chcąc za wszelką cenę oderwać rękę od ust i odetchnąć. Bogdan walczył, ale jako naukowiec wiedział, że każda walka świadomego umysłu ze zwierzęcymi instynktami skazana jest na przegraną. Mimo to wierzył, doceniając niedotlenionymi neuronami komizm schizofrenicznej, gwałtownej potyczki, jaką toczą jego płuca i dłonie w wartkiej rzece ruskiego błocka.

To była jego ostatnia myśl.

W kinie to bułka z masłem: topielec odkrztusza, wstaje, rzuca dwie cięte riposty i wraca do akcji. Bogdan Smuga od pół godziny kaszlał,

charczał i wymiotował, starając się pozbyć z ust, krtani i przełyku sachalińskiego piachu.

– *Bohdan, wozmi.* – Dimitrij podał mu butelkę wódki.

Załamionymi oczami spojrzał na przyjaciela. Wybitny geochemik. Profesor. Doktor habilitowany. Laureat AGU Ambassador Award. A kiedy podawał mu wódkę z poważnym wyrazem twarzy, wyglądał jak ucieleśnienie ruskiego gangstera. Rozwodnione spojrzenie, blond grzywka, kwadratowa gęba i dzioby na nosie. Genu nie wydlubiesz.

Wziął butelkę, pociągnął, najpierw przepłukał usta i gardło, wypluł, potem wziął dwa długie łyki i oddał butelkę, wycierając usta wierzchem dłoni.

– Pijesz jak Polak – zaśmiał się Dimitrij. – Genu nie wydlubiesz.

Planowali jechać całą noc, ale po przeprawie z samochodami i wypadku Bogdana postanowili rozbić obóz. Mieli już wprawę, więc w tajdze szybko zaterkotał generator, stanęły cztery sypialne namioty, kantyna i łazienka. Akurat na czas, żeby się schować pod moskitierami, zanim syberyjskie szwadrony śmierci przypuszczą wieczorny atak. Bogdan spojrzał przez siatkę na chmury wygłodniałego gnusu. Skrzywił się, ale nie miał wyjścia, musiał wziąć prysznic.

Wziął głęboki oddech i rozpiął suwak. Do swojego namiotu po czyste ciuchy miał pięć metrów, do łazienki drugie tyle, a i tak miał wrażenie, że kiedy już stanął w brezentowym brodziku pod prysznicem, swędziało go całe ciało, a robactwa strzepnął na podłogę i rozdeptał tak z pół kilo mniej więcej.

### 3

Minęła dwudziesta druga, ale był czerwiec, słońce dopiero co zaszło i mogli siedzieć nad rozłożoną na podłodze mapą bez czołówek. Dimitrij uniósł ręce w geście rezygnacji.

– Żądasz niemożliwego! Nie chcę nadużywać tego argumentu, ale Rosja to nie Belgia, że jak mocniej rzucisz kamieniem, to jakiegoś Holendra zrzucisz z roweru. Twoje „gdzieś tutaj” oznacza las wielkości Moskwy.

Bogdan skrzywił się, wydłubując jednocześnie z gęstej blond brody resztki zaschniętego błota, którego nie udało się wymyć pod prysznicem.

– Tak, żądam niemożliwego, dlatego zabrałem ze sobą rosyjskiego króla geologii.

Dimitrij parsknął.

– Po pierwsze tanie pochlebstwa nie robią na mnie wrażenia, po drugie przestań sypać mi te okruchy na mapę.

– Sto lat temu Benedykt zwiedzał te jaskinie z konopnymi linami, a my mamy tonę sprzętu z dwudziestego pierwszego wieku. Nie może nam się nie udać.

– On miał przewodnika! Siedział tu latami, zaprzyjaźniał się z lokalnymi plemionami, żył z nimi, wędrował z nimi, a oni pokazywali mu duchy mieszkające w jaskiniach. Tylko Bohdan, przyjacielu, to już nie jest przedwieczny Sachalin, tylko współczesna Rosja. Nie ma duchów, nie ma plemion, nie ma przewodników, są miasteczka z prefabrykatów, w których ludzie oglądają na samsungach *Bitwę Ekstrasensów*, chleją wódkę i mają nadzieję, że lokalny oligarcha już się na tyle nachapał, że im teraz z nadwyżki basen wybuduje i robi imprezę z fajerwerkami.

– Ja też mam przewodnika.

– Denerwujesz mnie – powiedział cicho Dimitrij, bardziej do siebie niż do Bogdana. – No dobrze, pomyślmy jeszcze raz i tak nie mamy nic innego do roboty.

Sięgnął do dużej teczki, przypominającej te używane przez studentów grafiki, i wyciągnął kolejne mapy, tym razem przedstawiające warstwy geologiczne.

– Wiemy na pewno, że twój zesłaniec był w Jaskini Niedźwiedziej, to nie ulega wątpliwości. To największa i najświetniejsza jaskinia na wyspie, zbadana przez tych czubków grotolazów na wszystkie strony, każdą kupę nietoperza tam skatalogowano, nie wspominając o twoich artefaktach. Znamy dokładnie jej rozkład, położenie, wejścia i wyjścia, zaznaczyłem je tutaj. Geologicznie nic tu ciekawego nie ma, w typowo wapiennych warstwach powstała typowa krasowa jaskinia, bardziej bym się zdziwił, gdyby jej tam nie było. Ale ciebie ona nie interesuje.

– Nie.

– Ciebie interesuje inna. Nieskatalogowana, niezbadana, nieodkryta, nieopisana. Aż ciśnie się na usta słowo: nieistniejąca.

– Dimitrij... – zaczął łagodnie Bogdan. – Dobrze wiesz, że z jaskiniami jest jak z górami. Wszyscy chcą stać w kolejce na Everest, a nikogo nie interesują tłoczące się wokół niego siedmiotysięczniki, które często nawet nie mają nazwy. Tak samo jest z jaskiniami. Każdy chce odkryć nowy chodnik w największej, a ta obok już psa z kulawą nogą nie obchodzi. To nie znaczy, że jej nie ma, i to nie znaczy, że nie jest wspaniała i że nie kryje własnych tajemnic.

– Czyli nie zrezygnujesz?

Bogdan pokręcił przecząco głową. Wolno, ze smutkiem, w typowy dla siebie sposób, jakby chciał w grze w kalambury pokazać hasło „ciężkie brzemię”.

– Pamiętaj, że mnie, w przeciwieństwie do ciebie, zupełnie to nie kręci. Walka o życie, topienie się w błocie, ryzyko zmiżdżenia przez samochód, groźba zjedzenia przez komary, zarażenie jedną z tysięcy chorób, jakie ten gnus przenosi. Ja, mój drogi – popukał się palcem w kwadratową głowę – mam mózg, który jest bezcenny dla światowej nauki. Nobla bym dostał, gdyby była dla mnie kategoria. I ten mózg nie może tutaj zostać, zmiżdżony i utopiony w jakiejś dziurze.

Bogdan pogładził brodę. Otworzył usta, żeby wypowiedzieć ostatni argument, ale Dimitrij nie pozwolił mu dojść do słowa.

– I nawet nie waż się powtórzyć, że to nie jest kwestia ceny. Znasz nasze środowisko. Gdybyśmy kierowali się ceną, nauka zdechłaby tysiąclecia temu.

– Trzy dni. Jeśli za trzy dni będziemy z niczym, wracamy do Pitra. Pomyśl, że jeśli się uda, to cała sława za odkrycie spłynie na ciebie.

Dimitrij uśmiechnął się szeroko.

– Och, ileż bym dał, żeby trafić na okładkę „Geology” oraz na szóstą stronę „Niezawisimej Gaziety”, w której wszystkie moje słowa zostałyby przekreśnione. Drzę z podniecenia. No dobrze, spróbujmy jeszcze raz rozłożyć na czynniki pierwsze list twojego zesłańca, tylko tym razem będziemy rysować jego szlak na mapie geologicznej. Musimy wziąć poprawki na ówczesny klimat i porę roku, żeby

przewidzieć jego trasę i zorientować kierunki marszu wedle położenia bieguna magnetycznego sto lat temu. Ty zaznaczaj to samo na mapie geograficznej, biorąc pod uwagę bieg rzek i strumieni. Bładź, powinniśmy tak samo jak oni wędrować zimą, komary by nas nie żarły.

– Zimą...

– Wiem, wiem, tłumaczyłeś. Jedziemy.

Bogdan włączył tablet i zaczął czytać.

– Piętnastego marca zanotowałem: zaraz po wyjściu z wielkiej jaskini zeszliśmy w dół strumienia i skierowaliśmy się wzdłuż jego biegu na zachód. Chciałem już wracać, znalazłem i materiału do badań mieliśmy aż nadto, a bałem się, żeby nas nie zastały roztopy, mogłoby to oznaczać koniec ekspedycji. Ale Spańram nalegał, żeby odwiedzić miejsce duchów. Przyznaję, że zainteresowało mnie to na tyle...

– Zaczekaj – przerwał mu Dimitrij. – Do Jaskini Niedźwiedziej prowadzi dziś jedenaście wejść. Większość to dziury dostępne tylko speleologom. Kiedy mi wcześniej wysłałeś ten materiał, przyglądałem się mapom przy dwóch, nazwijmy to, oficjalnych wejściach, zastanawiając się, czy tam mógł być kiedyś obok strumień, ale teraz... Wiesz, o czym myślę?

– Piętnasty marca. Koniec zimy.

– Dokładnie. Mogli wyjść nie przez wejście, tylko przez wywierzysko, w miejscu, z którego wypływa ta oto rzeczka – geolog wskazał ołówkiem na mapie. – W lecie miejsce jest niedostępne, ponieważ wypływa z niego rwący potok, ale w zimie można wygodnie ciągnąć sanie po zamrożonym nurcie. Potok zamienia się w trakt. Kierunek też się zgadza. Czytaj dalej.

– Po trzech dniach marszu...

4

Nie mógł zasnąć. Może to podniecenie spowodowane tym, że w końcu udało im się w przybliżeniu zlokalizować teren, na którym mogła się znajdować jaskinia, nazwana przez Benedykta Czerskiego „Jaskinią Błękitnego Snu”. Może organizm ciągle metabolizował

adrenalinę, wyrzuconą do krwiobiegu, kiedy o mało nie umarł w błotnej lawinie. Może jasne noce przełomu czerwca i lipca. A może, jak zwykle, zew przygody. Strach, że jeśli uśnie, to ominie go coś ciekawego. Zawsze lubił myśleć, że ten styl życia to jego wybór, chełpił się świadomym wkroczeniem na ścieżkę ryzyka i niebezpieczeństwa. Aż do przeczytania w „Nature” dwa lata temu, że kolegom w Holandii udało się zidentyfikować gen DRD4, którego mutacja sprawia, iż posiadające go osoby są skłonne do brawury i szukania wrażeń.

Kolejny cios zadany przez biologię ludzkiej wierze w wolną wolę, świadomość i podejmowanie przemyślanych wyborów.

W końcu zrezygnował z prób zaśnięcia. Przed świtem cicho wygrzebał się ze śpiwora, ubrał i wyszedł z namiotu. Sachalin spał. Nie wiało, nie śpiewały ptaki, nawet komary zniknęły. Ruszył w stronę szczytu niewielkiego wzgórza, na którego zboczu rozbili obozowisko. Tutaj, na północy, drzewa nie tworzyły gęstwiny, bez trudu maszerował między sosnami i porośniętymi mchem głazami, nie myśląc o niczym, chłonąc otaczającą go tajgę z jej tak niepodobnymi do innych miejsc planety widokami i zapachami.

Po dwóch kwadransach, przyjemnie zdyszany, dotarł na szczyt wzniesienia, niestety dość gęsto porośnięty drzewami, co stwierdził z przykrością, ponieważ wyobrażał sobie, że siedząc na jakiejś skale, będzie podziwiał wschód słońca. Nic z tych rzeczy, najwyższa skała sięgała mu do kolan. Za to prawie na samym wierzchołku wzgórza rosła samotnie potężna i powykręcana sosna, na tyle wysoka, że wystarczyłoby wspiąć się ledwie do połowy, by rozejrzeć się nad lasem.

To głupie, pomyślał. Jesteś sam pośrodku niczego, najbliżsi ludzie są pół godziny marszu stąd i nie mają pojęcia, dokąd i kiedy się wybrałeś. A ty nie jesteś wyżyłowanym i lekkim jak wiewiórka alpinistą, tylko stukilowym gościem.

To bardzo głupie i nieodpowiedzialne, pomyślał, ale wtedy stał już na najniższym konarze sosny, trzymając się mocno pnia i czując intensywny, żywiczny zapach drzewa.

Na dodatek to nawet nie są twoje własne decyzje, tylko jakiegoś zmutowanego genu, który bodźcuje cię dopaminą za każdym razem, kiedy wyprodukujesz trochę adrenaliny. Złe, chorobowe,

patologiczne sprzężenie zwrotne. Na szczęście jesteś wolną jednostką, która siłą swojego umysłu może zapanować nad ciałem, nad hormonami, nad żądzami, nad kawałkiem nitki DNA, w której literka A zamieniła się z literką T, no bez jaj.

Wszystkie te racjonalne przemyślenia na niewiele się zdawały. W czasie gdy jego mózg produkował kolejne zdania chłodnego monologu wewnętrznego, nogi stawały wyżej, ręce sięgały dalej i w końcu dotarł w miejsce, z którego mógł się rozejrzeć.

Są widoki, których nie da się sfotografować, sfilmować ani opisać, można je tylko przeżyć. To był jeden z nich. Smuga usiadł na gałęzi, oplótł pień sosny nogami i kołysał się delikatnie razem z całym drzewem, patrząc wokół. Tajga ciągnęła się z każdej strony po horyzont niczym bezkresny ocean, wędrujące po niej szkwały poruszały wierzchołkami drzew. Kiedy po chwili na czerwono wstało słońce, rzucając na pofalowaną powierzchnię ostre cienie, tajga ożyła, sprawiając wrażenie, że cały ten prastary las jest skórą gigantycznego stworzenia, wędrującego powoli w sobie tylko znanym celu.

Jak na Ruskich, nawet niczego sobie, pomyślał i poczuł się bardzo szczęśliwy. Miał bowiem Bogdan Smuga trzy pasję: naukę, adrenalinę i naturę. Ku rozpaczy rodziców, którzy najpierw dojrżeli, potem przeszli na emeryturę, w końcu się zestarzelili i właśnie wchodzili w czas potencjalnego zgonu, i niełatwo przychodziło im pogodzić się z faktem, że ich syn, z którego na tyle sposobów byli dumni, nie dał im ani synowej, ani wnuków.

Problem polegał na tym, że Bogdan Smuga nie wierzył w miłość, domowe szczęście i dobroczynne działanie rodzinnego ciepła. Był zdania, że ten model egzystencji to wymówka leniwych, którym nie chce się rozwijać dziedzictwa ludzkości. Żona i dzieci to bezsensowny kierat, zajmujący czas i myśli, prehandlowanie życia za łatwo dostępny seks i kilka banalnych wzruszeń. A miłość? Zwykła reakcja biochemiczna, którą nie wiedzieć czemu ubraliśmy w mity i legendy.

– Też powinniśmy tu przyjechać w zimie, jasna cholera – powiedział Dimitrij, ścierając z czoła pot wraz z dwiema garściami muszek i komarów.

Dojechali tak daleko, jak się dało wzdłuż strumienia, opisanego przez polskiego zesłańca. Uznali, że trzydniowa wędrówka kilku osób zimą, z saniami pełnymi zapasów i źródeł nie mogła oznaczać więcej niż sześćdziesiąt kilometrów. Tyle też pokonali, dojeżdżając do skalnej półki, z której potok spadał kilkumetrowym wodospadem do małego jeziora, przechodzącego kawałek dalej w leniwą rzeczkę.

– Co sądzisz? – spytał Bogdan, stojąc przy krawędzi wodospadu.

– Sądzę, że z tego jeziora wieczorem wypełzną komary wielkie jak orły.

– A geologicznie?

– Szczerze?

– Nie, po rusku, z fantazją.

Dimitrij parsknął.

– Mógłbym cię polubić, przyjacielu. No dobra, bardzo się zdziwię, jeśli w tej formacji nie ma dziur w ziemi. Odpalimy GPR najpierw tutaj, potem na dole, rozejrzę się za warstwami, które dadzą mi wyobrażenie o historii geologicznej, pomyślimy. Ja będę naukowcem, ty eksploratorem.

– Czyli?

– Zaczynaj łązić po lesie. Jak wpadniesz do dziury w ziemi, to znaczy, że odkryłeś jaskinię, gratuluję.

## 6

Obóz rozbili nad jeziorem. Wieczorem faktycznie z szuwar wychyły nieznaną nauce latające formy życia, ale za szczelnie zamkniętymi moskitierami byli bezpieczni.

– Chcesz dobrą wiadomość czy złą? – zapytał Dimitrij, analizując dane zebrane przez georadar. Rosjanin wpatrywał się w ekrany dwóch laptopów, otwartych w specjalnych, zabezpieczonych przed wilgocią i wstrząsami walizkach.

– Dobrą.



– Sukces. Ta góra jest pocięta tunelami i komnatami jak apartament lorda Saurona.

– A zła?

– Ta góra jest pocięta tunelami i komnatami jak apartament lorda Saurona. Nawet jak w końcu znajdziemy wejście, co nie jest takie oczywiste, może się okazać, że eksploracja tego wszystkiego zajmie lata.

Smuga nie odpowiedział. Patrzył na zewnątrz, gdzie słońce przymierzało się do tego, żeby schować się na chwilę płytko pod horyzont. Ściana z wodospadem i znajdujący się za nią szczyt zostały spektakularnie oświetlone padającymi poziomo ciemnozłotymi promieniami.

– Niekoniecznie – powiedział w końcu. – Wyobraź sobie ich wyprawę. Jest koniec zimy, mamy domorosłego naukowca i kilku tubylców. Nie mają sprzętu do nurkowania, nie mają ekwipunku wspinaczkowego, co najwyżej kilka lin. I są w miejscu, do którego od pokoleń pielgrzymują miejscowi, żeby czcić swój „błękitny sen”. Czerski wlaź tam bez przeszkód, zatem wejście nie może być trudno dostępne, zawałone ziemią albo śniegiem, zarośnięte ani zalane.

– To ma sens.

– Czyli dziś już nic nie zrobimy, poza tym, że zaznaczysz na mapie teren, gdzie mogą się znajdować wejścia do jaskini. Cały ten obszar podzielimy na mniejsze kwadraty, jutro o świcie wezmę Wowę z Algyrem i zaczniemy szukać.

Dimitrij westchnął i przeciągnął się.

– Wódeczki?

– Raczej.

Pierwszego dnia poszukiwań niczego nie znaleźli, a z trzydziestu zaznaczonych na mapie kwadratów sprawdzili zaledwie sześć. Wzgórze było miejscami strome, a jego zbocza pokrywała mieszanina luźnych kamieni, traw i krzaczków, grożąca zsunięciem się w dół przy pierwszym nieostrożnym kroku. Do tego dochodził nieznośny, wilgotny upał oraz chmary komarów, muszek i innych

insektów, kęsających wściekle przez cały dzień każdy odsłonięty spocony kawałek ciała.

Drugi dzień wyglądał tak samo źle, na dodatek koło południa złała ich burza z ulewą tak gwałtowną, że jakiegokolwiek próby spacerów po zboczu byłyby śmiertelnie niebezpieczne. Zaraz po burzy wyszło słońce, ziemia zaczęła gwałtownie parować, a razem z mgłą pojawiły się chmury jeszcze bardziej wściekłych i jeszcze bardziej zajadłych robali. Wieczorem Dimitrij ogłosił, że następnego dnia w południe wyprawa się zwija, bez względu na efekty.

Bogdan musiał się zgodzić.

Trzeciego dnia o świcie wyruszyli na poszukiwania z poczucia obowiązku, bez większych nadziei. O dziesiątej Wowa, Białorusin z pochodzenia, z którym Bogdan porozumiewał się po rosyjsku, kiedy potrzebował precyzji, ale poza tym rozmawiali mieszanką polsko-białoruskiego, zawołał:

– Bohdan! Ja znalazł! Znalazł piaczoru!

Wejście do jaskini znajdowało się zaskakująco wysoko, na niewielkiej półce skalnej ze wspaniałą panoramą okolicy. Przy odrobinie dobrej woli w skalnym rumowisku poniżej otworu można było się dopatrzeć ułożonych z płaskich kamieni schodów, będących być może kiedyś częścią ścieżki, jaką Ajnowie i Niwchowie wędrowali, by porozmawiać z duchami w Jaskini Błękitnego Snu. To rumowisko nie podobało się Smudze, nie przestawał myśleć o Nieftiegorsku, przez który przejechali po drodze. Miasto zbudowano do obsługi odwiertów ropy w latach siedemdziesiątych, dwadzieścia lat później zmiotło je potężne trzęsienie ziemi, które zabiło dwa z trzech tysięcy mieszkańców. Dziś z sowieckiej osady został tylko pomnik upamiętniający katastrofę pośrodku zarośniętego krzakami pola. W prostej linii sto kilometrów od miejsca, w którym stał. Nie więcej. Czy to samo trzęsienie ziemi zważyło kamienną ścieżkę? A jeśli tak, czy w ogóle mają czego szukać?

Naukowcy nie bawili się w ekologów, wykarczowali szybko kawałek zbocza prowadzący do półki, wkręcili w skałę spity, założyli liny poręczowe, za pomocą elektrycznej windy wciągnęli do wlotu jaskini sprzęt speleologiczny, generator, lampy oraz wszystko, czego Smuga potrzebował do badań laboratoryjnych, gdyby

wewnątrz naprawdę znajdowały się opisane przez Benedykta Czerskiego artefakty.

Smuga zapiął uprząż na nieprzemakalnym kombinezonie, poprawił czółówkę i wpiął się przyrządem zjazdowym do jednej liny, dwie pozostałe, które miały posłużyć jako poręczówka i lina transportowa, przypiął karabinkami do uprzęży. Sprawdził działanie radia.

– Na razie komunikacja radiowa. Gdyby się okazało, że musimy szukać głębiej, pociągniemy kabel – powiedział. – Kontakt co piętnaście minut, damy sobie dziś jeszcze trzy godziny, żeby wrócić do obozu przed zmrokiem. Trzymajcie się.

Ruszył w głąb jaskini, jednocześnie luzując linę asekuracyjną. Pierwsze sto metrów nie stanowiło wyzwania, spacer wygodnym chodnikiem o średnicy dwóch, czasami trzech metrów, kilka razy musiał schylić głowę, na dwóch zakrętach wkręcił w skałę spity, żeby poprowadzić liny przez karabinki.

Nagle zatrzymał się zdumiony. Miał przed sobą kamienny portal, ozdobiony w sposób, jakiego nie widział nigdy, studiując prace etnograficzne na temat lokalnych plemion. Ajnowie i Niwchowie przetrwali do XX wieku w strukturach właściwie neolitycznych, taka też była ich sztuka, bardzo prosta, trochę geometrycznych ornamentów, trochę figuratywnych przedstawień zwierząt-bogów, przede wszystkim niedźwiedzia. To, na co teraz patrzył, sprawiło, że przypomniały mu się przeczytane bzdety o tym, jakoby Ajnowie pochodzili z zatopionej przed wiekami w oceanie Pacyfidy – dalekowschodniego odpowiednika Atlantydy.

Płaskorzeźby, przedstawiające dwie kobiety o ogromnych oczach, kojarzyły mu się, na ile potrafił stwierdzić oczyma laika, ze sztuką Polinezji i Hawajów, i na pewno zachwyciłyby Ericha von Dänikena podobieństwem do klasycznego wyobrażenia przybyszów z kosmosu. Obie postaci zastygły z podniesionymi rękoma i otwartymi w grymasie przerażenia ustami, obie klęczały na kopcach, które na początku wziął za ozdobny ornament, ale które okazały się usypane z małych, jakby dziecięcych czaszek.

Ciekawe. Bardzo ciekawe. Pomyślał, że to ponure ostrzeżenie może stanowić bardzo dobrą wiadomość.

Za portalem korytarz opadał pod kątem najpierw trzydziestu, potem sześćdziesięciu stopni i zamieniał się w wygodną klatkę schodową. Jak daleko sięgało światło czołówki, tak daleko wydobywało z mroku równe, starannie wykute stopnie.

Poinformował o odkryciu i ruszył dalej. Pokonał sto osiemnaście stopni i wtedy ostatnia lina się skończyła. Założył kolejne stanowisko, zerknął na zegarek. Pora wracać. Zmierzch niedaleko, poza tym i tak nie miał lin, żeby iść dalej, a dwa odcinki zbadane i zaporęczowane to dobry wynik.

Omiótł tunel światłem czołówki. Naprawdę ma czekać do jutra, żeby sprawdzić, czy parę metrów dalej nie ma tego, czego szuka od lat?

Wypiął się z liny i ruszył pomału wzdłuż ściany, patrząc uważnie pod nogi. Po kilku krokach dotarł do wnęki, która sprawiała wrażenie wykonanej przez człowieka. Uklęknął i obejrzał ją uważnie, ale nie znalazł niczego godnego uwagi. Żadnego prastarego ogarka, kostek ofiarnych, wystruganej z drewna figurki – po prostu dziura w ścianie. Wzruszył ramionami i wstał energicznie.

I to był błąd.

Gwałtowny ruch sprawił, że zachwiał się, stracił równowagę, upadł na biodro i zaczął się zsuwać stromym korytarzem. Zaśmiał się głośno, rozbawiony własnym gapiostwem, ale śmiech uwiązł mu w gardle, kiedy poczuł, że gwałtownie nabiera prędkości. Wierzgnął, światło czołówki zatańczyło po skalnych ścianach, odbierając mu poczucie orientacji.

Obrócił się na plecy, rozpościerając szeroko ręce, w nadziei, że zdoła się czegoś uchwycić, i próbując wyhamować pęd obcasami ciężkich, górskich butów. Wszystko bezskutecznie. Obcasy podskakiwały, ręce ślizgały się po gładkiej ścianie, a on przyśpieszał. Podniósł głowę, chcąc oświetlić drogę przed sobą, i zmartwiał, ponieważ tunel kończył się czarną dziurą.

Spróbował zmienić pozycję i w ten sposób jakoś zahamować, ale osiągnął tylko tyle, że tak jak wcześniej jechał na plecach, nogami do przodu, tak teraz pędził w ciemność na brzuchu, głową w dół, boleśnie odczuwając każdą nierówność podłoża.

Nie mógł nic zrobić poza próbą zminimalizowania szkód. Skulił się i przybrał pozycję płodową, schował głowę w ramionach

i poleciał w dół, zaciskając powieki, napinając wszystkie mięśnie i szykując się na najgorsze. Zdążył jeszcze pomyśleć, że wbrew obiegowym opiniom życie nie przebiega mu przed oczami, nie pojawiają się uśmiechnięte twarze członków rodziny, najładniejsze własnoręcznie uwolnione ze staników biusty ani nawet niezapomniane krajobrazy. Po prostu bardzo się bał i był bardzo wkurwiony.

## 8

Dimitrij siedział na kamieniu przy wejściu do grotty, patrzył na słońce chylące się ku zachodowi i myślał, że zazdrości pionierom geologii, którzy zamiast tracić wzrok na ślepienie w komputer i kodowanie modeli ruchów tektonicznych, wędrowali ze szpadlem po świecie i za każdym razem, kiedy gdzieś wykopali dziurę, dokonywali wiekopomnego odkrycia. Wbrew temu, co mówił wcześniej, kłócąc się z Polakiem, odnalazłby się w czasach wysokich skórzanych butów, płóciennych namiotów rozbitych pod wulkanem, ogromnych pergaminowych albumów, w których akwarelami dokumentowałyby swoje odkrycia. Ładnie i dużo malował, ale gdyby ktoś kazał mu zilustrować jego badania nad sedymentologią mezoproterozoiku platformy syberyjskiej, miałby z tym duży problem.

– Już godzina. – Wowa pojawił się nagle, zasłaniając mu zachód słońca. Wyglądał na zatroskanego.

– Wiem. Kto się najlepiej zna na operacjach linowych?

– Ja.

Dimitrij wstał, przeciągnął się.

– Pójdziemy razem po poręczówkach, weźmiemy dwie zapasowe liny, dwie mocne lampy i będziemy rozwijać kabel elektryczny. Daj też apteczkę.

– Którą?

Mieli dwie. Małą, z prostymi opatrunkami i środkami dezynfekującymi, oraz dużą, z przyborami do szycia ran i morfiną.

– Dużą. Ruszamy za dziesięć minut.

Miał ochotę westchnąć głęboko niczym heroina mieszczańskiej farsy, ale się powstrzymał, od szefa ekspedycji oczekiwano teraz opanowania i stanowczych decyzji. Nie cierpiał tego, tej całej zabawy w przywództwo, samczość, wojowniczość i rozdawanie ról, dlatego został naukowcem. Wspólny wysiłek dla wspólnego dobra – o ileż ta idea bardziej do niego przemawiała niż tworzenie rozbudowanych łańcuchów dowodzenia. Uważał, że każda hierarchia, niezależnie od szczytnych celów towarzyszących jej powstaniu, zawsze się degeneruje, jak w eksperymencie Zimbardo. A może to rosyjski fatalizm przez niego przemawia? Trzeba się będzie kiedyś nad tym zastanowić, ciekawy problem społeczno-psychologiczny.

Dzięki rozciągniętym przez Bogdana linom dość szybko pokonali dystans między wejściem a strzeżonym przez portal tunelem. Dotarli do ostatniego stanowiska i nie popełnili błędu Smugi, dalej ostrożnie szli wzdłuż ściany, asekurując się linami. Aż w końcu stanęli w miejscu, gdzie tunel urywał się raptownie, zamieniając w studnię.

Przez chwilę stali bez ruchu, patrząc w czerń, ale nie dobiegł ich żaden dźwięk.

– Spuść mnie na dół – powiedział Dimitrij, wiążąc nową linę do uprząży.

– Na dół? – Wowa zerknął niepewnie w stronę dziury.

– I to jak najszybciej, sam nie zjadę, nie potrafię takich rzeczy. Szybko!

Wowa przypiął się do wkręconego w ścianę spita i przełożył linę Dimitrija przez przyrząd asekuracyjny.

– Będę ostrożnie...

– Jebać ostrożnie, spuszczaaj mnie! Szybko!

To mówiąc, zaświecił do środka – dna nie było widać – i wskoczył do dziury. Wowa spuszczał go szybko. Dimitrij wirował wokół własnej osi, próbując odbijać się od ścian studni dłońmi i stopami, ale i tak kilka razy przydzwonił boleśnie barkiem i kolanem w skałę.

Po kilku metrach ciężko wylądował, upadł raczej, na stromą kupę kamiennego gruzu. Poplamioną krwią, ale – dobra wiadomość – bez trupa.

– Starczy! – krzyknął do góry.

Odwiązał się od liny i wczołgał w głąb niskiego tunelu, jedynej drogi wyjściowej z dna studni.

– Bohdan, job twoju mać – złorzeczył przez zęby. – Mam nadzieję, że żyjesz, ukatrupię cię własnoręcznie, polaczku pieprzony.

W końcu zobaczył w oddali drgające światełko i po chwili wszedł do groty, która...

– Masz apteczkę? – krzyknął Smuga z drugiego końca.

Nie odpowiedział, usta zajęte miał rozdziawianiem gęby ze zdziwienia, po prostu ruszył w stronę kolegi, zdejmując z ramion plecak z apteczką i nie odrywając nawet na chwilę oczu od sklepienia jaskini – w świetle czołówki turkusowego jak oglądana od spodu powierzchnia oceanu w słoneczny dzień, jak tunel w tropikalnym akwarium, podświadomie oczekiwał, że za ścianą jaskini za chwilę przepłynie ogromna płaszczka.

– Chodź, doktorze, pomożesz mi.

– Profesorze.

– Ale doktorem też jesteś?

Pokiwał głową i skrzywił się, klękając przy Bogdanie. Polak miał udo przewiązane przy pachwinie zaimprovizowaną opaską uciskową, poniżej z głębokiej, długiej na piętnaście centymetrów rany sączyła się ciemna krew.

– Opatrzę to, tętnica jest cała, ale masz porozrywane mięśnie, musimy jechać do szpitala. Jak najszybciej. Jezu, co to w ogóle jest za miejsce?

Wiedział, że powinien opatrzeć ranę, ale nie mógł się powstrzymać, podniósł głowę, omieciona snopem światła jaskinia znowu zamieniła się w ujęcie z onirycznego filmu science fiction z bardzo, ale to bardzo wysokim budżetem na scenografię. Ściany mieniły się w świetle niezliczonymi odcieniami turkusowego, geolog miał wrażenie podróży w bąbelku powietrza tuż pod powierzchnią morza na Karaibach. „Błękitny sen” wydawał mu się terminem pretensjonalnym i egzaltowanym, teraz rozumiał, że było to raczej stylistycznie ascetyczne niedopowiedzenie.

– Jaskinia Błękitnego Snu – odpowiedział Smuga, dziwnie głuchym i zrezygnowanym głosem.

Spojrzał na kolegę. Ze swoją posturą niedźwiedzia, posklejaną brodą i smutnymi oczami nie wyglądał teraz ani na naukowca, ani

na poszukiwacza przygód, lecz na gladiatora, który nie może uwierzyć, że ktoś pokonał go po latach nieprzerwanych zwycięstw.

– Co jest?

Polak nie odpowiedział, wskazał tylko dłonią na przeciwległą do wylotu tunelu ścianę groty. Poświecił. Wiodąca dalej droga została zasypana skalnym rumowiskiem. Niektóre głazy miały wielkość ciężarówka, jeden rzut oka wystarczył geologowi, by zrozumieć, że nie sposób dotrzeć dalej bez wielomiesięcznych prac górniczych. Których zorganizowanie nie było możliwe. Nawet dla nich.

– Zgadza się, to ta komnata jest „błękitnym snem” – powiedział Smuga. – I pewnie dla ciebie to prawdziwy skarb. Dla mnie, dla nas wszystkich, liczyło się to, co dalej. To jest tylko elegancki przedsiónek, piękny, ale nic niewart w porównaniu do źródła życia. Pogrzebanego przez cholerne trzęsienie ziemi.

Siedzieli w milczeniu, nie musząc się odzywać i wiedząc, że ten sam podziw dla sił natury, który uczynił ich naukowcami, pozwala im teraz poczuć się w tym miejscu jak w świątyni. Może mimo szkiełka i oka w istocie niczym nie różnimy się od wyznawców innych wierzeń, pomyślał Dimitrij. Może nasza najnowocześniejsza z religii jest jedynie odmianą jej najstarszej wersji, kiedy pierwsi jaskiniowcy czcili pioruny, lasy i dzikie zwierzęta? Może tak samo jak wszyscy inni w historii ludzkości jesteśmy zdolni w imię naszej wiary dokonywać rzeczy wielkich i rzeczy podłych? Zawsze mając pod ręką usprawiedliwienie, że wszystko, co czynimy, czynimy dla natury. Bóg tak chce. Wola Allaha. Natura tak to urządziła.

– Została mi jeszcze jedna próba – powiedział cicho Smuga.

Dimitrij drgnął. Ponieważ wcześniej mimo wszystko poczuł ulgę, że nic nie znaleźli.

– Mówiłeś, że to była nasza ostatnia nadzieja.

– Przedostatnia.



## Rozdział 5. Propozycja nie do odrzucenia

*Wrzesień w Warszawie • Eksperymentalne terapie • Le trésor perdu • Profesorka Lorentz • Jedzenie banana to pornografia? • Nie interesuje mnie historia sztuki • Bursztynowa Komnata i Złoty Pociąg • Tylko lody czekoladowe • Kwestia ceny • Proszę więcej nie kpić z Polipirydiona • Zapomniał, jak mnie kochać • Wyjeżdżasz w Pireneje*

1

To takie nierzeczywiste, pomyślała. Przyjechała za wcześnie i usiadła na ławce przed blokiem po drugiej stronie ulicy, nie chcąc wchodzić do środka. Wokół niej trwał najzwyczajniejszy warszawski jesienny dzień, dzięki zmianom klimatycznym ciepły i słoneczny. Grupka licealnej młodzieży dokonywała niezwyklej sztuki głośnej i wielowątkowej towarzyskiej konwersacji, nie przestając jednocześnie gapić się w komórki. Ścieżką rowerową przejechał brzuchaty sześćdziesięciolatek, lśniący od opon po kask wartym tysiące złotych profesjonalnym sprzętem rowerowym. Znudzona opiekunka ciągnęła za sobą dwulatka ściskającego w małej dłoni kasztan. Znudzona matka ciągnęła za sobą dwulatka z liściem w dłoni i patrzyła z zazdrością na opiekunkę, licząc zapewne w pamięci, ile musiałaby zarobić po powrocie z urlopu wychowawczego, żeby wynająć opiekunkę. Łysy mężczyzna w średnim wieku, w dziwnym garniturze w stylu Waldemara Pawlaka z czasów jego premierowania, próbował sprawić, aby automat biletowy w końcu zaakceptował jego banknot dziesięciozłotowy. Po każdej nieudanej próbie wygładzał go i próbował włożyć inną stronę.

– Nie to nie. Jeszcze do mnie wrócisz po tę dychę – powiedział w końcu uprzejmie do automatu, po czym dodał: – Chuju jeden.

Warszawski dzień. Tak zwyczajny, że aż niezauważalny. Pomyślała, że to takie nierzeczywiste. Że ona też powinna być częścią tego dnia i też go nie zauważać, zamiast czuć, że ogląda zza szyby utracony świat zwyczajnej codzienności.

Profesorka Zofia Lorentz zerknęła na zegarek, wstała i ruszyła w stronę kładki dla pieszych, żeby dostać się do Instytutu Psychiatrii i Neurologii.

## 2

Czuła, że kobieta po drugiej stronie biurka stara się ukryć zniecierpliwienie tylko dlatego, że dzięki sieci osobistych kontaktów Zofia nie była po prostu kolejną pacjentką, którą należy grzecznie, ale stanowczo wyprosić, żeby wziąć się do prawdziwej pracy. Zniecierpliwienie, które promieniowało zza serdecznego uśmiechu, upokarzało ją, ale nie potrafiła się zmusić, żeby wstać, nie mogła tak po prostu wyjść z niczym, przecież właśnie ten obskurny gabinecik w tym okropnym budynku był jej ostatnią nadzieją na odpowiedź. Jeśli wyjdzie teraz, nie da rady dłużej bronić się przed rozpaczą, po prostu nie ma już na to siły.

– Może są jakieś eksperymentalne terapie? – zapytała po raz trzeci i widząc, że kobieta o mało co nie przewróciła oczami, postarała się ująć to inaczej, udać, że tak naprawdę zadaje inne pytanie. – Do testów klinicznych szuka się przecież osób niemających nic do stracenia, tak? Ja znam ludzi, mogłabym zdobyć pieniądze.

Profesorka doktorka habilitowana Janina Kołeczek westchnęła, zdjęła okulary w absurdalnie grubych oprawkach i rozmasowała nasadę nosa. Wyglądała na wyczerpaną po dyżurze. Zofia naprawdę nie chciała jej męczyć, ale jaki miała wybór.

– Pani profesor – powiedziała lekarka spokojnie. – Pani jest historykiem sztuki. Sławnym historykiem sztuki, znanym z odszukiwania zaginionych skarbów kultury. Czy gdybym ja znała ludzi i potrafiła zdobyć dowolne pieniądze i wystarczająco długo się do pani dobijała, czy podjęłaby się pani znaleźć dla mnie Atlantyde? Albo Bursztynową Komnatę?

Zofia zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dlaczego?

– To byłoby nieuczciwe – powiedziała cicho, uciekając spojrzeniem jak uczennica przyznająca się do wagarowania. – Bursztynowa Komnata została zniszczona, a Atlantyda to fikcja literacka, tak samo prawdziwa jak Śródziemie.

– To jest podobna historia. Pani mąż – wskazała na pękatą teczkę pełną medycznych wyników – nie cierpi na chorobę Alzheimerera. Wykluczono to w stu procentach. Nie cierpi też na demencję. Nie ma guza mózgu, urazu, mikrowylewów ani żadnej fizycznej nieprawidłowości. Nie ma objawów, które pozwoliłyby nam zdiagnozować depresję, nerwicę, chorobę afektywną dwubiegunową i wprowadzić leczenie inhibitorami. Nie ma schizofrenii. Nie ma genetycznych mutacji odpowiedzialnych za stwardnienie rozsiane, chorobę Huntingtona i wiele innych schorzeń. Lista możliwych nieprawidłowości, które wykluczyliśmy, jest ogromna.

– Ale on ciągle zapomina – powiedziała. – Jak to możliwe?

– Nie wiemy – odpowiedziała lekarka ze szczerym smutkiem. – Jak się czyta dodatek naukowy do „Newsweeka”, że amerykańscy naukowcy wszczepili elektrodę myszy, dzięki czemu wciska czerwony guzik, jak jest głodna, albo że inny obszar naszej kory mózgowej jest aktywny, gdy myślimy o tenisie, a inny, gdy o picu kawy, to już właściwie wszystko wiemy i zaraz będziemy wgrywali świadomość do internetu. A my o mózgu nie wiemy prawie nic. I wszystkie nasze neurologiczne i psychiatryczne specjalizacje rozgrywają się w tym wąskim „prawie”. Proszę sobie wyobrazić, że wszyscy mechanicy samochodowi świata potrafią tylko naprawiać karoserię, a co do reszty, to się muszą domyślać, co tam tak dziwnie stuka i szumi. Mózg to hiperaktywne sto miliardów neuronów, w których połączenia elektryczne zmieniają się z prędkością światła, to trochę tak jakbyśmy chcieli narysować mapę świata, w którym miasta, morza i kontynenty bez przerwy zmieniają miejsce. A potem jeszcze podróżować według tej mapy.

– Ale jak to możliwe, że on ciągle zapomina? – powtórzyła Zofia, zdając sobie sprawę, jak żaloszny jest jej upór.

– Nie wiemy. Każde wspomnienie trafia najpierw do pamięci krótkotrwałej, a potem jest przechowywane w korze mózgowej. Ale nie całe.

- Nie rozumiem.
- Proszę sobie wyobrazić, że uprawia pani seks w zastawionym różami pokoju hotelowym nad brzegiem oceanu.
- Chętnie.
- No myślę. Wspomnienie zostanie tym lepiej i wyraźniej przechowane, im lepszy będzie pani miała orgazm. Po kilku minutach zostanie rozłożone na czynniki pierwsze i trafi do pani pamięci. Gdzie indziej zapach róż, gdzie indziej szum morza, gdzie indziej widok kochanka, gdzie indziej jego dotyk, gdzie indziej emocja miłości. Potem, jeśli na przykład w kwaciarni poczuje pani zapach róż, mózg złoży to wspomnienie ze wszystkich elementów. Może też pani je przywołać sama, siłą woli. Ale jeśli na przykład wskutek urazu zostanie uszkodzony obszar odpowiedzialny za zapachy, to takie wspomnienie wróci, ale bez róż. Jeśli obszar odpowiedzialny za rozpoznawanie ludzi – bez twarzy kochanka. Miłość, dotyk, zapach, szum fal – to wszystko wróci jako wyraźne wspomnienie. Tylko kochanek anonimowy.

Profesorka Zofia Lorentz uśmiechnęła się czarnymi oczami.

- W wielu przypadkach to by nie było złe rozwiązanie.
- No miałam nadzieję, że panią rozbawię. Chodzi mi o to, że z jakiegoś powodu u pani męża szwankuje mechanizm składania wspomnień. Nie jest to żadna znana nam choroba spowodowana mutacją genetyczną. Powtórzę: nie jest to schorzenie neurodegeneracyjne, które zwykle diagnozujemy u osób starszych. To nieznaną nam błąd największej, najbardziej skomplikowanej tajemnicy natury. I to jest zarówno zła, jak i dobra wiadomość.

– Dlaczego? W sensie, dlaczego dobra?

Profesorka doktorka habilitowana Janina Kołeczek założyła z powrotem okulary.

- Bo może to w ogóle nie choroba? Może zmęczenie. Zła dieta. Może on nie wymaga operacji mózgu, tylko psychoterapii. Nie mówię, żebyście państwo od razu szukali akupunktury i wibracji mis tybetańskich, ale długie wakacje i mądry psychoterapeuta to dobry początek. Ponieważ neurologia nie ma dla pani odpowiedzi.

Zza uchylonego okna dobiegł głośny huk. Zofia wyjrzała, jakaś stłuczka. Narodowa, czerwony samochód wjechał w tył białemu. Kierowcy wyskoczyli i zaczęli machać rękami, obwiniając się

nawzajem o zderzenie. Zazdrościła im. Chciała, żeby jej problemem był urwany zderzak i stłuczony reflektor. Rozumiała, że musi wyjść. Rozumiała, że na koniec jej rozmówczyni rozluźniła atmosferę i dała idiotyczną nadzieję tylko po to, żeby w końcu opuściła jej gabinet. Wakacje. Psychoterapia. Akupunktura. Chciało jej się płakać i śmiać jednocześnie. Mogła powiedzieć, co sądzi o akupunkturze w sytuacji, kiedy boi się wrócić do domu. Wczoraj czekała godzinę na klatce schodowej, skracając czas, jaki będą musieli spędzić wspólnie przed pójściem do łóżka. Żeby być jak najmniej razem, jak najmniej rozmawiać, jak najmniej odkrywać, że razem ze wspomnieniami ulatuje wszystko, co ich łączyło.

– Bardzo pani dziękuję – powiedziała, wstając. – Przepraszam, że zabrałam tyle czasu, po prostu wiedziałam, że jest pani moją ostatnią nadzieją.

### 3

Profesorka doktorka habilitowana Janina Kołeczek też wstała, żeby się pożegnać. Ale nic nie powiedziała, wyciągnęła tylko rękę na pożegnanie. Bała się, że jeśli otworzy usta, to powie coś, czego powiedzieć nie powinna. Żal jej było tej pacjentki, zbyt młodej na to, przez co przechodziła. Widziała lekkie przygarbienie jej drobnej sylwetki, tak charakterystyczne dla ludzi, którym los wrzucił na plecy zbyt duży ciężar. Widziała, jak szklą się jej niezwykle czarne oczy, gotowe spłynąć strumieniami łez, gdy tylko zamknie drzwi. Może nawet uda jej się dojść do toalety za zakrętem korytarza. Miała przed sobą twardzielkę, bez wątpienia. Janina Kołeczek widziała w tym gabinecie histerie zakończone utratą przytomności, słyszała krzyki i groźby, odmawiała czeków, diamentowej biżuterii i walizek pełnych pieniędzy.

Widziała, do czego zdolni są ludzie, dla których była ostatnią nadzieją i wbrew oczekiwaniom nadzieja ta powiedziała im, że tak już po prostu będzie. Że to koniec. Będą wracali do domu, do kochanej mamy, męża, żony, dziecka – za każdym razem widząc w ich oczach coraz większe zdziwienie i niezrozumienie, że pojawił się ktoś obcy. Najpierw chwilowe, niezauważalne wahanie, potem

widoczny wysiłek, w końcu strach, dzwonienie po policję, że ktoś się włamał do domu.

– Powiedziała pani, że to ma związek z emocjami – odezwała się, klnąc w myślach najgorszymi słowami, kiedy Zofia otwierała drzwi. – Że istnieje korelacja pomiędzy intensywnością wspomnień i ich brakiem.

Profesorka Lorentz pokiwała głową.

– Skoro zna pani ludzi, którzy znają ludzi, i skoro kwestia ceny nie istnieje...

– Tak?

Brzydziła się sobą w tej chwili. Bardzo się sobą brzydziła. Ale skoro już zaczęła, mówiła dalej.

– Czuję się głupio, jako naukowiec muszę panią ostrzec, że wszystkie tak zwane szwajcarskie kliniki to hochsztaplerzy, budujący sanatoria w Alpach i sprzedający za miliony dolarów wodę z cukrem i ładnym widokiem tym, którzy stracili nadzieję i dla których kwestia ceny nie istnieje.

– Proszę.

Smutek i desperacja w głosie młodej kobiety brzmiały rozdzierająco.

– Jest klinika we francuskich Pirenejach, która specjalizuje się w leczeniu stresu posttraumatycznego. Tam, co prawda, problem jest odwrotny, intensywne emocje sprawiają, że wspomnienie nie chce nas opuścić. Ale być może mechanizmy są podobne.

– Jak się nazywa?

Cóż, teraz już nie mogła się zatrzymać. Powtarzała sobie, że to może wszystko zmienić. Dla wszystkich. Na zawsze. Tak blisko.

– *Le trésor perdu*. To po francusku oznacza...

Profesorka Zofia Lorentz nieoczekiwanie parsknęła śmiechem i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Skarb utracony. Wiem. Dziękuję.

Nie ma za co. Naprawdę nie ma za co, pomyślała gorzko Janina Kołeczek.

Żeby nie wybuchnąć, żeby się głośno nie roześmiać, żeby zapanować nad kotłującą się w niej gorzką, gryzącą wściekłością, skupiła się na wiszącym na ścianie obrazie. Pamiętała, że podpisywała zgodę na wypożyczenia po zmianie władzy, polskie malarstwo dziewiętnastowieczne, dzieła zbyt słabe na ekspozycję, ale zbyt dobre na magazyn, nawet cieszyła się, że zawisną w publicznym miejscu. W sali konferencyjnej, w której właśnie zwalniano ją z pracy ustami podrzędnego podsekretarza stanu, zawisł niepokojący pejzaż Witolda Pruszkowskiego. Lubiła tego malarza, zwłaszcza w wersji fantastyczno-nieoczywistej, jak *Spadająca gwiazda* z ekspozycji. *Spadająca gwiazda*, pod tym powinni ją zwalniać, byłoby jak znalazł.

– Pani Zofio, rozumie pani, że w tej sytuacji nie mamy innego wyjścia.

– Profesorko Lorentz.

Podsekretarz zrobił minę bardzo zajętego człowieka, któremu ktoś bez sensu marnuje czas.

– Pani profesor Lorentz...

– Profesorko Lorentz.

– Tak prywatnie powiem – feminitywy jednak znacznie przekraczały możliwości leksykalne podsekretarza – że ja jestem po pani stronie, uważam, że sztuka musi prowokować, zmuszać do myślenia, wytyczać nowe myślowe ścieżki. Nawet jeśli dotyka tematów ideologii gender, takie prowokacje też są potrzebne. Ale nie kosztem dzieci. A już dla naszego narodu to jest kompletnie niezrozumiałe, że niosąc na sztandarach hasła troski o rodzinę i tradycję, pozwalamy traumatyzować dzieci pornografią. I to gdzie? W Muzeum Narodowym w Warszawie, najważniejszej instytucji kultury w Polsce.

Wiedziała, że powinna po prostu pożegnać się grzecznie i wyjść. Negocjowanie to strata czasu, wyjaśnianie oczywistości to dodatkowe zbędne upokorzenie. Przekonywanie, że zwalnając ją, nie pozbywają się osoby, lecz sieci jej znajomości i powiązań, bez której większość spektakularnej działalności muzeum jest niemożliwa – równie bezcelowe. Wiadomo, że będzie raban w mediach, nie tylko w Polsce. Wiadomo, że pójdzie do sądu pracy.

Wiadomo, że wygra. I co z tego? Nic. Ale dla efektu dramaturgicznego musiała wytrzymać jeszcze kilka minut.

– Jedzenie banana to pornografia? – spytała. – Tak już między nami, nie możecie mnie zwolnić za coś innego? Potrzebna wam ta fala kpin od Lizbony po Władywostok? Te happeningi z ludźmi jedzącymi banany pod ministerstwem? Przecież skrzykną się momentalnie.

– Pani udaje, że nie rozumie. Nie chodzi o banana, przecież banan jako taki, jako część martwej natury, może być nawet dziełem sztuki. Albo u ludów prymitywnych na przykład.

– Jest dwudziesty pierwszy wiek, na litość boską.

– A co to ma za znaczenie?

– Nie mówimy o ludach... zresztą nieważne – machnęła ręką. – Proszę kontynuować.

Podsekretarz popatrzył podejrzliwie, ale nie doczekawszy się dalszego ciągu, kontynuował.

– Chodzi o sposób, w jaki artystka je banana. Lubieżny. Pornograficzny. Wyuzdany, prowokacyjnie feministyczny. Ten sposób sprawia, że ludzie piszą listy, w których opisują wracające z wycieczek rozhisteryzowane dzieci, które płaczą, że już nigdy nie chcą iść do muzeum, żeby oglądać „takie rzeczy”. Bo taka może być siła sztuki, i pani niestety albo tej siły nie kontroluje, albo celowo kieruje ją w złą, niszczycielską stronę. To sprawia, że jako urząd nadzorujący straciliśmy zaufanie, że potrafi pani pokierować tą placówką w sposób odpowiedzialny.

Zerknęła na zegarek, po czym złożyła ręce w piramidkę à la premier i uśmiechnęła się koncyliacyjnie.

– Chciałabym pana zapewnić, panie ministrze, że to potrafię. I że głos zwiedzających jest dla mnie ważny. Tak samo jak ważne jest dla mnie stanowisko organu nadzorującego, nie traktuję was jak polityków, tylko jako ludzi, którzy zaskarbili sobie zaufanie społeczeństwa i dostali demokratyczny mandat, żeby kontrolować różne aspekty życia publicznego, w tym obieg kultury i moją placówkę.

Podsekretarz patrzył podejrzliwie. Widać, że wolałby nie komentować, gdyż koncyliacyjny ton utrudniał mu zadanie, bardziej



był przygotowany na krzyki o cenzurze i niezależności instytucji kultury. Ale Zofia zawiesiła głos, ewidentnie oczekując reakcji.

– Cieszę się, że pani to mówi – powiedział w końcu. – Co nie zmienia faktu, że...

Przerwała mu gestem.

– Rozumiem i chciałabym, żeby pan wiedział, że z pokorą przyjmuję państwa decyzję. Akceptując fakt, że nie każdy dyrektor nadaje się na każde czasy, niezależnie od kompetencji. Czas nie stoi w miejscu, psyche narodu też nie, tylko nieśmiertelna sztuka trwa.

Mężczyzna skinął z szacunkiem głową, aż nazbyt widocznie odetchnął z ulgą.

– W akcie dobrej woli, chcąc rozstać się w zgodzie, postanowiłam dostosować na odchodne ekspozycję muzealną do aktualnej wrażliwości narodowej. W chwili kiedy rozmawiamy, pracownicy muzeum przebudowują ekspozycję stałą. Zasłaniamy wszystkie dzieła, które zawierają w sobie element przemocy lub nagości. Reforma obejmuje – wyjęła kartkę z torebki – w sumie czterysta osiem dzieł, w tym wszystkie zawierające sceny batalistyczne, moment zgonu lub pokazywanie zwłok, polowania, pełne i niepełne akty damskie i męskie. Najbardziej ucierpiała niestety sztuka religijna, bez ukrzyżowań, męczeńskich śmierci i karmiących madonn niewiele tam zostało, ale też może to być ciekawy przyczynek do dyskusji nad okrucieństwem w religii w ogóle, nie sądzi pan?

Zawiesiła głos, czekając na odpowiedź, ale tym razem podsekretarz tylko patrzył na nią zbaraniały, więc po chwili mówiła dalej.

– Tak już osobiście, między nami, powiem panu, że mi najbardziej będzie chyba brakować *Baniek* Malczewskiego. A widzom *Bitwy pod Grunwaldem*. Ale rozumiem kwestię odpowiedzialności za dzieci i młodzież, to w końcu placówka edukacyjna.

– Kpi pani.

– Wcale nie.

Podsekretarz pobladł.

– Nie zdejmie pani *Bitwy pod Grunwaldem*.

– Oczywiście, że nie – roześmiała się. – To byłaby zbrodnia z konserwatorskiego punktu widzenia. *Bitwa* to wyjątkowa rzecz, ona ma powierzchnię dwupokojowego mieszkania, ponad czterdzieści metrów kwadratowych. Nie można jej zdjąć. Na razie ją zasłaniamy, podobnie jak inne dzieła. Wymienimy je z czasem na eksponaty z magazynów, nie sędzę, żeby przeciętny zwiedzający zauważył różnicę. A co do *Bitwy*, to ukryłabym ją za przepierzeniem, ale to już będzie decyzja mojej następczyni lub mojego następcy.

– Mam nadzieję, że to głupie żarty.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Panie ministrze – powiedziała powoli i dobitnie. – Jestem odpowiedzialną urzędniczką państwową, historyczką sztuki, dyrektorką najważniejszej placówki muzealnej w Polsce. I poważnie traktuję wrażliwość zwiedzających. Naprawdę chce pan tłumaczyć dzieciom z podstawówki, co na ścianie Muzeum Narodowego robi obraz *Leżąca Wenus z małpką i amorkiem*? Przecież to brzmi jak nazwa katalogu w jakimś podziemnym internecie dla zwyrodnialców.

– Te dowcipasy będą panią drogo... – przerwał, zerkając na leżący na blacie telefon, który rozjarzył się powiadomieniami.

Profesorka Zofia Lorentz zerknęła na zegarek.

– Oczywiście poinformowaliśmy opinię publiczną w specjalnej informacji prasowej o wielkiej reformie muzeum. Społeczeństwo powinno jak najszybciej się dowiedzieć, że to miejsce jest już bezpieczne.

Podsekretarz zaklął i wybiegł z sali konferencyjnej, a Zofia zapatrzyła się na pejzaż Pruszkowskiego. Pewnie nikt tu nie wiedział, że ten dziwny marsjański krajobraz przedstawia tak naprawdę świt wstający nad zmierzającymi na syberyjską katorgę zesłańcami.

Polska. Tu żaden pejzaż nie jest po prostu pejzażem.

Wysiadła z tramwaju na rondzie Waszyngtona i postanowiła przejść się na miejsce spotkania. Czasu miała aż nadto, a codziennie drżała, że niezależnie od zmian klimatycznych ten właśnie dzień będzie ostatnim dniem pogody, zanim nad Warszawą usiądzie swoim szarym dupskiem środkowoeuropejska chmura i wstanie dopiero na początku maja.

Szła uliczkami na tyłach Francuskiej, chłoneła warszawską jesień i poczuła się zniecka szczęśliwie i beztrasko. Uczucie absolutnie bezsensowne, biorąc pod uwagę, że została właśnie wrogiem publicznym numer jeden aktualnej władzy, że gównoburza wokół niej będzie trwała tygodniami, straciła wymarzoną pracę w swoim zawodzie, a w domu czeka na nią mąż, który traci pamięć, przede wszystkim tę najważniejszą – pamięć ich miłości.

Mimo to uśmiechnęła się w przestrzeń i nawet na chwilę zapomniała o tym, jak bardzo jest wściekła, że przez przyjacielskie przysługi musi znowu marnować czas na picie kawy z jakimś nuworyszem o dziwacznej profesji, który będzie chciał, żeby mu znalazła Bursztynową Komnatę.

## 6

Widziała w życiu wiele ładnych domów i pięknych mieszkalnych wnętrz, dzięki Karolowi poznała przecież kilku pierwszoligowych kolekcjonerów, ale ten pałac świadomego mieszczaństwa zrobił na niej wrażenie. Z zewnątrz nowoczesna willa, tak udanie modernistyczna, że studenci architektury i czytelnicy Filipa Springera przychodzili zapewne lizać parkan, aby spłynęło na nich trochę minimalistycznego ładu i funkcjonalistycznej boskości. W środku muzeum prostej elegancji, w której tylko wprawne oko mogło dostrzec dziesiątki i setki tysięcy euro mrugające zza mebli, lamp i kilku niepozornych dla laika rzeźb i obrazów w dyskretnych ramach. Z zazdrością skonstatowała, że nawet gdyby dysponowała nieograniczonym budżetem, nie potrafiłaby tego mieszkania wyposażyć z takim smakiem. Zwłaszcza dekoracja malarska, Nacht-Samborski i oszałamiający Wróblewski bardzo, ale to bardzo współgrały z jej gustem.

Chciała posiedzieć w tym wnętrzu, dlatego życzliwie słuchała dziwnego gospodarza, choć przysła tu z zamiarem wypicia kawy, ucięcia tematu i zniknięcia tak szybko, jak tylko się da. Musiała przyznać, że jej rozmówca, który przedstawił się jako naukowiec, więc na pewno nie był twórcą tej fortuny, co najwyżej dziedzicem, w niczym nie przypominał tradycyjnego miłośnika zaginionych skarbów i teorii spiskowych, z przetłuszczonymi włosami i wzrokiem radzieckiego proroka, który posiadał jedyną prawdę o świecie – a z takimi zwykle miała do czynienia. Brodaty, szeroki w barach blondyn musiał już przekroczyć czterdziestkę, ciekawy typ, trochę władca wikingów albo kapitan z marynistycznego eposu, co to zawsze chodzi w płaszczu pachnącym przygodą, fajkowym dymem i morzem. A trochę też – może dzięki założonej na golf marynarce – wrażliwy lewicowy intelektualista, zgarbiony od niesienia ciężaru cierpień klasy pracującej. Adrian Zandberg, gdyby pochodził na siłownię i dał się trochę obrobić słońcem i wiatrem, wyglądałby jak kuzyn Bogdana Smugi. Taki to był typ. Czyli kompletnie nie jej typ, a jednak im dłużej go słuchała, tym bardziej żałowała, że nie założyła wyższych obcasów i mniej formalnej garsonki. Przy brodatym wikingu czuła się jakaś niepozorna i urzędnicza.

Niskim głosem zachwycił się jej osiągnięciami już kwadrans, postanowiła skrócić jego męczarnie.

– Proszę się nie gniewać, ale nie musi mi pan streszczać mojego życiorysu, znam go lepiej i potrafię opowiadać ciekawiej – powiedziała. – Proszę wybaczyć mój dystans, ale spotykam się z panem tylko dlatego, że mamy wspólnych znajomych. Domyśla się pan, że to nie jest moja pierwsza taka rozmowa.

– W sensie?

– W sensie, że od kilku lat, odkąd przy moim udziale odnaleziono zaginiony obraz Rafaela, a przy okazji nieznaną kolekcję impresjonistów, różne osoby wyszukują moich znajomych, żeby doprowadzić do takiego spotkania. Zazwyczaj odmawiam, czasami nie mogę, ponieważ o przysługę proszą zbyt bliscy przyjaciele.

– Jak w tym wypadku?

Potwierdziła gestem.

– Ale doceniam, że rozmowa odbywa się w takim wnętrzu.

Wstała i podeszła do Wróblewskiego, pływająca nad zatopionym miastem złota rybka działała na nią hipnotycznie, no chciałyby to mieć na ścianie. Na ścianie w muzeum, oczywiście, poprawiła się w myślach.

– Pańska rodzina wypożycza czasami te dzieła?

– Rzadko. Ojciec twierdzi, że żaden artysta nie maluje z myślą o muzeach, a miejsce sztuki jest tam, gdzie żyją ludzie, i tylko tam dobrze wygląda.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Cisza przedłużała się, co najwyraźniej obojgu nie przeszkadzało i w magiczny sposób rozluźniło atmosferę.

– Nie jest pani ciekawa, z czym przychodzę?

– Niespecjalnie.

– To nie jest zbyt naukowe podejście.

Wzruszyła ramionami.

– A propos naukowe, to kim pan właściwie jest z zawodu? – zapytała. – Przyznaję, że próbowałam się czegoś o panu dowiedzieć i nie rozumiałam ani jednego słowa ze znalezionych informacji.

– Biologiem strukturalnym, zajmuję się interakcją wirusów typu dsDNA z immunoglobulinami hlgG, korzystając z mikroskopii krioelektronowej.

Obejrzała się, przekonana, że z niej kpi, używając specjalnie języka, w którym ani jedno słowo nie pochodzi z polszczyzny, ale nie, patrzył na nią spokojnie i poważnie.

– To wąska specjalizacja – dodał. – Zresztą jak wszystkie we współczesnej nauce.

– A czym jest MacArthur Genius Grant?

Podrapał się po brodzie, wyglądał na zakłopotanego.

– Taki grant naukowy.

– Dla geniuszy?

– Nazwa jak każda inna.

Pokiwała głową w zamyśleniu. Ciekawe.

– Panie... – zawahała się, nie chciała mówić do niego per „panie Bogdanie” – przepraszam, jaki jest pański stopień naukowy?

– Mam habilitację.

– Panie doktorze, wracając do pańskiego pytania, czemu nie obgryzam paznokci z podniecenia przed naszą rozmową, wyjaśniam,

że jestem historykiem sztuki. A ludzkość w swoim zbiorowym szale tworzenia wyprodukowała sztuki tyle, że nawet gdybym żyła sto dwadzieścia lat, to nawet bym nie liznęła tematu. Tak, zajmowałam się kiedyś odzyskiwaniem zagrabionych Polsce dzieł sztuki, ale najważniejsze już znalazłam, więc sam pan rozumie. Człowiek dojrzeźwa, uznaje, że lepiej poświęcić życie bytom istniejącym niż potencjalnym. Mówię o tym, żeby pan nie robił sobie złudzeń, że w tych wspaniałych wnętrzach snuta niskim głosem opowieść o Bursztynowej Komnacie, Złotym Pociągu, szkatule królewskiej czy – machnęła ręką w stronę Wróblewskiego – legendarnych zbiorach polskich kolorystów zrobi na mnie wrażenie.

Tak naprawdę, myślała, siedzę tutaj, żeby mieć wymówkę i wrócić później do domu, skrócić jak najbardziej czas pomiędzy powrotem a zaśnięciem. Żeby jak najmniej rozmawiać, zminimalizować szansę na dowiedzenie się, że jakieś ważne wspomnienie uleciało, a razem z nim – nasza historia.

Ale te uwagi zachowała dla siebie.

7

Uśmiechał się uprzejmie, grzebiąc bezmyślnie w ptysiu z Lukullusa, ale szlag go trafiał. Kiedy przygotowywał się do tego spotkania, nawet nie rozważał opcji, że pani profesorka doktorka, psia jej mać, habilitowana, gwiazda historii sztuki Zofia dyrektorka Lorentz wzruszy ramionami, zanim na dobre otworzy usta. W jego wyobrażeniach siedziała na kanapie onieśmielona przebogatym salonem, potem z zapartym tchem słuchała syberyjskiej historii rodzinnej, rzucając czasami „ach” i „och”, kiedy przejdzie do relacjonowania własnych przygód na Wschodzie, aż w końcu, kiedy przedstawi sprawę, dorzucając niedbale: „cena nie gra roli”, powie drżącym głosem: „ależ jak mogłabym odmówić”.

Tymczasem pani profesorka przechadzała się znudzona po salonie, patrzyła na niego jak na akwizytora cudownych odkurzaczy i brakowało tylko, żeby miała na sobie koszulkę z napisem „I wish I could invoice people for wasting my time”.

Zrozumiał, że trzeba zmienić taktykę.

– Pani profesorko – powiedział spokojnie, odstawiając ptysia. – Czy mogę być z panią szczery?

– Skąd, proszę dalej marnować mój czas – odpowiedziała, teraz dla odmiany nie patrząc nawet w jego stronę, zajęta oglądaniem portretu młodej dziewczyny.

Nie zareagował na zaczepkę.

– Nie interesuje mnie historia sztuki – zaczął. – Kompletnie. Jeśli o mnie chodzi, wszystko to mogłoby nie istnieć. Te wszystkie zamalowane dechy, płótna, katedry, falliczne posągi i dzbanki ze scenami z *Iliady*, uważam, że ludzkość znajdowałaby się dziś w innym miejscu, gdyby nie poświęcała czasu na te bzdety. Dodatkowo, jako fan szkiełka i oka mam na pieńku z religią, zarazą dla naszego gatunku bardziej szkodliwą niż dżuma, grypa hiszpanka i topniejące lodowce. A jasne jest, że bez kaplicy Sykstyńskiej, Błękitnego Meczetu, katedry Notre-Dame i prawosławnych ikon kapłanom wszelkiej maści trudniej przyszłoby zdobyć władzę nad duszami maluczkich. Dla kasy i chwały artyści przez stulecia wspierali talentem głoszone przez katabasów bajdy, a tamtym łatwiej było zarządzać kolejne rzezie w przepięknych świątynnych wnętrzach, oświetlonych światłem witraży.

Oderwała wzrok od portretu dziewczynki i spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Śmiać mi się chce – kontynuował, nie potrafiąc pozbyć się z głosu szyderczego tonu – że to dziwne hobby, polegające na badaniu kształtu mamuta wyskrobanego na ścianie jaskini nazywa się w ogóle nauką. Nic lepiej nie pokazuje dewaluacji tego szlachetnego pojęcia, w którym kiedyś chodziło o zrozumienie i wytłumaczenie wszechświata. I w końcu mam tak bardzo w dupie, w jakiej jamie lub piwnicy zakopano Bursztynową Komnatę, że każdy anatomopatolog byłby zdziwiony w czasie sekcji, że tak odległe i mroczne miejsce w ogóle w ludzkim ciele istnieje.

Skończył i patrzył jej beczelnie w oczy, ale im dłużej patrzył, tym bardziej czuł się nieswojo. Profesorka Zofia Lorentz miała oczy niezwykle, kompletnie lub prawie kompletnie czarne, w słabnącym świetle wrześnieowego popołudnia nie mógł dostrzec żadnej granicy między źrenicą a tęczówką. Typowe czarne ślepie ludów Dalekiego Wschodu, gdyby nie zostały osadzone przez naturę w klasycznej

twarży słowiańskiej blondynki, z ciemnymi brwiami, wystającymi kośćmi policzkowymi i krótkimi miodowymi włosami zaczesanymi za uszy.

Po raz pierwszy dostrzegł, że profesorka żołą Lorentz, którą w pierwszej chwili wziął za asekualną nudną urzędniczkę, jest atrakcyjna w sposób – przez chwilę szukał porównania – w sposób, z jakim dotychczas się nie zetknął.

Upiła łyk kawy, patrząc na niego bez emocji.

– Wazy – powiedziała. – A nie dzbanki. Poza tym bardzo ciekawe. I co dalej?

Wstał, podszedł do prostego kredensu, otworzył go i wyciągnął pudełko z intarsjowanego drewna. Położył na stole, otworzył i zaprosił ja gestem.

## 8

Trzymała fason, ale musiała przyznać, że bawiła się świetnie. Kawa dobra, wnętrze piękne, portret Nachta pierwszoligowy, a gospodarz, nawet jeśli kompletnie nie w jej typie, to jednak przystojny i jeszcze zabawny, jak się rozkręci. No i ciągle miała wymówkę, żeby nie wracać do domu. Uznała, że należy jej się tego dnia trochę rozrywki.

– Bursztynowa Komnata to faktycznie nie jest – powiedziała z przekąsem, ponieważ cylindryczne pudełko miało rozmiar kubka do kawy, ale zawodowa ciekawość zwyciężyła i nachyliła się nad stołem.

– Mogę? – zapytała, wyciągając rękę.

– Oczywiście.

Delikatnie wyjęła z pudełka kulę, trochę mniejszą od bilardowej, zrobioną z nieznanego jej kamienia. Procesy geologiczne sprawiły, że różne odcienie turkusu naciekały na siebie, mieszały się i przenikały, trudno uwierzyć, że natura sama osiągnęła ten efekt. Kulę pokrywała delikatna siateczka z różowego złota, układająca się w formę geometrycznego ornamentu, który dziś zostałby nazwany „tribalem” w katalogu salonu tatuażu.

– Interesujące – powiedziała w końcu. – Może mi pan powiedzieć...



– Ciekaw jestem pani zdania.

– Nie specjalizuję się w biżuterii, ale moim zdaniem coś takiego nie ma prawa istnieć. Po robocie jubilerskiej, wyśmienitej, powiedziałabym, że to koniec dziewiętnastego, początek dwudziestego wieku. Po różowym kolorze złota, że to Rosja, wymyślili i pokochali ten stop złota, miedzi i srebra na długo przed Zachodem. Tylko ten ornament wskazuje na rdzenne ludy, a nikt wtedy nie łączył takich motywów ze sztuką biżuteryjną białego człowieka. Przyznaję, że głupio mi to mówić na głos, bo to ta sama półka, co Bursztynowa Komnata i złote pociągi, ale...

Patrzył na nią z kpiącym uśmiechem.

– Pomogę pani się przemóc, pani profesorko. – Delikatnie wyjął swoimi rękami drwała kulę z jej dłoni, przekreślił i otworzył, rozdzielając kamień na dwie połówki sfery.

Być może Smuga miał rację, być może jej branża nie należała wcale do nauki, a samo jej powstanie stanowiło jedynie próbę uwznioślenia ludzkiej ciągoty do błyskotek, usprawiedliwienia ludycznej potrzeby bycia zadziwionym i olśnionym. Cóż, nawet jeśli, to nie żałowała w tej chwili, że jej pseudonauka doprowadziła do tego, że znowu poczuła dreszcz obcowania z nieznanym jej do tej pory pięknem. W świetle wiszącej nad stołem lampy mogła zobaczyć, z jaką precyzją wykonano tajemnicze cacko. Przez cienką warstwę minerału przeświecało światło, rzucając turkusowe błyski. Na które nie zwracała uwagi, ponieważ doktor Bogdan Smuga z namaszczeniem zdumiewającym u nieczułego na piękno sztuki prawdziwego naukowca wyjął ze środka sfery maleńkiego niedźwiadka, wykonanego z kawałka czegoś atramentowo-czarnego, bazaltu zapewne. Obok niedźwiadka leżał niewielki kluczyk z różowego złota.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że to...

– *Automaton?*

Podniosła wzrok, ich twarze prawie się stykały.

– Po polsku mówi się automat.

– Ale to nie brzmi tak tajemniczo, prawda? – uśmiechnął się i mrugnął zawadiacko.

Ostrożnie włożył kluczyk w otwór z boku misia i przekreślił kilka razy. Kiedy go wyjął, miniaturowe bazaltowe zwierzątko

przedreptało z szumem stuletniego mechanizmu kilka centymetrów, stanęło na tylnych łapach i tak zamarło.

– Teraz proszę mi powiedzieć, czy to jest na tej samej półce, co Bursztynowa Komnata i Złoty Pociąg? – spytał, nie starając się nawet ukryć triumfalnego szyderstwa.

Westchnęła.

– Takie rzeczy w tych czasach, o ile oczywiście nie myłę się z datowaniem, robił tylko jeden warsztat, Karola Gustawowicza Fabergé z Petersburga. I – uniosła ostrzegawczo palec – jeśli to nie jest żart i naprawdę pokazał mi pan zaginiony zabytek z warsztatu Fabergé, to tak, oficjalnie jestem pod wrażeniem. Proponowałabym też nie trzymać tego w kredensie, tylko wybudować sejf specjalnie dla tego cacka. Jest warte fortunę.

Bogdan Smuga od niechcienia wsadził misia do turkusowej sfery, zamknął, schował do pudełka i bezceremonialnie wrzucił do kredensu.

– Bez przesady. Tak jak mówiłem, jestem człowiekiem szkiełka i oka, tańczący miś nie robi na mnie wrażenia tylko dlatego, że jest stary. Lubię go, bo to rodzinna pamiątka. Ale może przynajmniej teraz mnie pani wysłucha, bez kpin, docinków i traktowania jak wariata, który marnuje pani cenny czas. Możemy się tak umówić, pani profesorko?

## 9

Profesorka Zofia Lorentz stała przy drzwiach balkonowych i patrzyła na czerwone niebo nad Saską Kępą. Słońce wisiało już nisko i w magiczny sposób rozświetlało całą Warszawę intensywnym pomarańczowym blaskiem, sprawiając, że ludzie zadzierali głowy, wychodzili na balkony i odrywali wzrok od telefonów, żeby spojrzeć na swoje miasto w niespotykanej iluminacji.

– Zawsze się zastanawiałam, dlaczego słońce czasami świeci na czerwono – powiedziała.

– Słońce zawsze świeci tak samo, tylko w wyniku rozproszenia światła w atmosferze różne długości fali docierają do naszego oka. Przy wschodach i zachodach promienie słoneczne biegną do nas pod

płaskim kątem i napotyka ją po drodze tyle cząsteczek atmosfery, że z całego widma zostają tylko różne odcienie czerwonego.

Bogdan Smuga stanął obok niej.

– Zwiastuje dobrą pogodę, panie naukowcu? – zapytała.

– Wręcz przeciwnie. Im bardziej czerwone światło, tym więcej cząsteczek wody w atmosferze i tym większa szansa, że ta woda przeobrazi się w chmurę, a z chmury lunie.

Nie skomentowała, stała dalej w milczeniu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i myślała, a im dłużej myślała, tym głębszą czuła gorycz. Opowiedziana jej przez Bogdana Smugę historia do pewnego momentu brzmiała zabawnie i przygodowo. Młody zesłaniec, zamiast umrzeć z wycieńczenia, zostaje sławnym badaczem syberyjskich plemion i pionierem etnografii, wśród rdzennych ludów wiecznej zmarzliny odnajduje miłość, szczęście i przynależność. Jako doświadczony wojownik o wolność broni ich przed kolonizatorskimi zapędami Rosji i Japonii. Wspaniała historia, każde zdanie jak zapierające dech ujęcie z wysokobudżetowego filmu. Ale im dalej – tym gorzej. Polski bojownik wraca do ojczyzny, w której nikt go nie chce i nie potrzebuje, nowoczesny naukowiec jest nękanym w świecie, w którym Kościół nie pozwala nauczać na uniwersytetach teorii Darwina, w końcu jak wielu innych szuka szczęścia na Zachodzie, gdzie umiera biedny i zapomniany. A bliski jego sercu rdzenny lud ulega silniejszym, szamani giną, język zostaje zakazany, kultura roztapia się w szybszej i łatwiejszej, nieliczne ocalałe tradycje zamieniają się w lunaparkową karykaturę, prowincjonalną atrakcję turystyczną. Kiedy w końcu na podstawie badań polskiego bojownika o wolność próbuje się odtworzyć zapomniany lud, jest już za późno dla wszystkich.

– I jaki jest dokładnie pański stopień pokrewieństwa z Czerskim?

– Praprastryj od strony matki, rodzony brat jej pradziadka. Moja prababcia urodziła się pod koniec dziewiętnastego wieku i żyła prawie sto lat, jak się mną opiekowała w latach osiemdziesiątych, to dużo opowiadała o stryju Benku, musiał na niej zrobić ogromne wrażenie, kiedy była dorastającą pannicą. Wtedy przez kilka lat mieszkał w Polsce, pomiędzy powrotem ze Wschodu i wyjazdem do Paryża.

Pokiwała głową, a Smuga poszedł zapalić światło. Umiejętnie rozmieszczone lampy podkreśliły wszystkie warte wyeksponowania elementy wnętrza. Wróblewski rozjarzył się kolorami i wyglądał tak pięknie, że miała go ochotę ukraść.

– Oddam panu sprawiedliwość, że to bardzo ciekawa opowieść i faktycznie nie chodzi w niej o Bursztynową Komnatę. Cacuszko z tańczącym niedźwiedziem jest fascynujące. Bardzo dziękuję za interesujący wieczór, ale ciągle nie rozumiem, dlaczego chciał się pan ze mną spotkać.

– Ponieważ jest pani jedyną osobą, która może znaleźć nieznajdowalne.

Parsknęła śmiechem.

– Panie doktorze – powiedziała, nie kryjąc politowania – pan ma chyba, jak wielu zresztą, mylne wyobrażenie mnie jako Indiany Jonesa w spódnicy. Rozumiem, że historia z Rafaelem została sprzedana przez durne media w sensacyjny sposób, ale tak naprawdę byliśmy grupą historyków sztuki i urzędników muzealnych, dokonującą na zlecenie państwa polskiego rewindykacji zaginionego zabytku. Naprawdę składa pan dyrektorze Muzeum Narodowego propozycję odnalezienia zaginionej skrzyni pańskiego prastryjka? Czy ja wyglądam jak Dionizy Kiwajło albo Polipirydion? Śmieję się, ale chyba powinnam się obrazić.

– Może chociaż wysłucha mnie pani do końca?

Gestem wyraziła przyzwolenie, jednocześnie komunikując wyrazem twarzy, że skoro zmarnowała już tyle czasu, to dodatkowe kilka minut nie zrobi różnicy.

– Przedstawię kilka argumentów, które może panią przekonają. A może nie, ale dam szczęściu szansę – w głosie Smugi słychać było lekką drwinę. – Pierwszy jest ogólnoswiatowo-kulturalny, ja miałbym go gdzieś, ale dla historyczki sztuki powinien mieć znaczenie. W przypadku Rafaela, czy innych podobnych przypadków, poświęciła pani wiele, żeby uratować jakiś artefakt ważny dla naszej kultury. Tutaj ma pani szansę uratować całą kulturę. Może nie tak wyróżnioną przez Boga i historię jak polska, ale jednak. Jak mówiłem, Ajnowie używają dziś prac stryja Benka, żeby wskrzesić swoje zapomniane tradycje. A robią to na podstawie jego listów wysyłanych do polskich przyjaciół, artykułów, kilku

książek. Tymczasem duża część badań, z zapiskami, rysunkami, zdjęciami, podobno nawet z woskowymi cylindrami Edisona, na których nagrywał ich obrzędy, wszystko to jest w jego zbiorach, które są, cholera wie gdzie. Proszę sobie wyobrazić sytuację, kiedy to Polacy są na granicy stania się wymarłą kulturą, że z naszej tradycji zostały dwie szable i strój łowicki w niemieckim albo rosyjskim skansenie. I nagle sensacyjne odkrycie kulturowego skarbu nie tylko daje materiał badaczom, ale sprawia, że żyjący nad Wisłą Niemcy i Rosjanie czytają po raz pierwszy *Trylogię*, słyszą po raz pierwszy *Wśród nocnej ciszy*.

– Została szabla, a znają polski na tyle, żeby przeczytać *Trylogię*?

Uznała żart za udany, skoro Bogdan Smuga spojrział na nią smutnym wzrokiem Adriana Zandberga, który właśnie dowiedział się, że w jego biurze poselskim pan sekretarka pracuje na śmieciówce.

– Argument drugi to argument narodowy – ciągnął niezrażony. – Stryj Benek był dla etnografii tym, kim Maria Skłodowska dla fizyki i Fryderyk Chopin dla muzyki. Jeśli wierzymy w rolę identyfikacji plemiennej, to chyba dobrze identyfikować się przez wielkich uczonych, którzy nie dość, że opisali nam świat, to jeszcze poświęcili się obronie słabszych i zapomnianych.

– Zgoda – powiedziała.

– Już? Wystarczy? Weźmie pani to zlecenie?

– Nie. Zgadzam się z pańskim wywodem. Przynajmniej z tym elementem.

Spojrział na nią zakłopotany, nie wiedząc, czy ma się roześmiać z żartu, czy nie, co wcale nie było rzadką reakcją wśród rozmówców Zofii Lorentz. Chwilę odczekał i kontynuował.

– Argument trzeci jest ogólnonaukowy. Z punktu widzenia nauk etnograficznych to są bezcenne materiały, pozwoliłyby inaczej spojrzeć nie tylko na Ajnów, ale na wszystkie kultury syberyjskie, na ich wierzenia, być może inaczej rozrysować kulturową mapę Dalekiego Wschodu. Tutaj uprzedzę pani pytanie, że wbrew pozorom wcale nie mam tego gdzieś, uważam, że w przypadku wiedzy więcej zawsze znaczy więcej i nigdy nie wiadomo, co się kiedy przyda. Astronomowie odnajdują komety w religijnych

kosmogoniach, geolodzy centra trzęsień ziemi w ludowych podaniach, paleontolodzy na podstawie mitycznych stworów domyślają się, jakie kości mogli odkopać starożytni. Wiedza jest zawsze dobra.

Skinęła głową z aprobatą, nie mogłaby się zgodzić bardziej.

– Pozostałe argumenty są natury osobistej.

– Wspaniale. Tym bardziej zamieniam się w słuch.

– Po czwarte, i przyznaję, że to argument bardzo świeży, jeśli wierzyć paskom we wszystkich telewizjach, nie jest pani dyrektorką Muzeum Narodowego i być może taki projekt w okresie przerwy między posadami wyda się pani interesujący.

Zawiesił głos i czekał na komentarz z jej strony. Bezskutecznie.

– Po piąte, kwestia ceny.

Wzdrygnęła się. Nie wiedzieć czemu, zdanie zabrzmiało złowieszczo.

– Powiedział pan to tak, jakbym to ja musiała zapłacić.

– Wręcz przeciwnie. Kwestia ceny w tym wypadku nie istnieje. Zarówno pani honorarium, jak i koszty poniesione w trakcie tych poszukiwań zależą tylko i wyłącznie od pani.

– Nawet gdybym zażądała tego Wróblewskiego?

– Cóż, myślę, że ojcu łatwiej byłoby się rozstać z dowolną ilością gotówki niż z tym obrazem, ale gdyby się pani uparła, osobiście zapakowałbym go w folię bąbelkową i dostarczył do domu. Albo do dowolnego wskazanego przez panią muzeum – dodał, widząc jej uśmiech. – Proszę zrozumieć, że dla mojej rodziny to sprawa priorytetowa, oni naprawdę chcą przejść do historii jako ludzie, którzy odzyskali dla świata stryja Benedykta. Reasumując, może pani zająć się walką z ministerstwem w sądzie pracy albo wyruszyć na poszukiwania, które dadzą pani majątek i osobistą satysfakcję, Polsce naukowca na miarę Marii Skłodowskiej, a niedobitkom rdzennego ludu szansę, żeby ich tradycja nie zginęła bezpowrotnie. Tak w skrócie wygląda propozycja, którą panią obrażam, i mam tylko jedną prośbę.

– Tak?

– Proszę więcej nie kpić z Polipirydiona i Dionizego Kiwajły, to najważniejsza lektura mojego dzieciństwa.

Wstała, źle jej się myślało na siedząco, musiała chodzić. Podeszła do Wróblewskiego, podeszła do Nachta, wróciła do okna, za którym pomarańczowy zmierzch zamienił się w zwyczajną jesienną noc. Spojrzała na Bogdana Smugę, zgarbionego na kanapie, z łokciami opartymi na kolanach, wiking znużony całym dniem łupienia.

– Dwa pytania. Dlaczego ja? Niech pan sobie weźmie zdolnego studenta, żeby siedział po archiwach. Nic nie zrobię, czego on nie potrafi. Wyjdzie prościej i taniej.

Spojrzał na nią wzrokiem osoby, która zastanawia się, czy szczerść jej się opłaci. No nie mógłby grać Bogdan Smuga w pokera.

– Próbował już pan tego?

– Więcej niż raz. Nie uwierzy pani, na ile kłódek są pozamykane różne drzwi w ogólnodostępnych archiwach i publicznych instytucjach. Nawet kiedy ma się zestaw wytrychów zrobiony ze studolarówek.

– Uwierzę. Czyli tak naprawdę nie chodzi o moją wyjątkową wiedzę, tylko o ludzi, których znam, i o ludzi, których tamci znają. Potrzebuje pan muzealnej celebrytki, która pootwiera te wszystkie kłódki.

– A drugie pytanie? – uciekł od odpowiedzi.

– Ciekawi mnie, co będzie miało z tego pańskie szkielecko i oko?

– Wolność. Nauka ma sens tylko wtedy, kiedy jest wolna, kiedy nie ustawia się pod ministerstwo, pod korporację, pod instytut albo pod grant – zawiesił głos, jakby walczył ze sobą, czy jej coś wyznać.

– Wspomniała pani o MacArthur Genius Grant. Okej, to nie jest jakieś tam stypendium. To pół miliona dolarów dla największych mózgów nauki, żeby przez pięć lat mogli pracować, nad czym chcą. Wyżej jest tylko Nobel. Niestety właśnie mi się kończy, a razem z nim naukowa wolność. Jeśli panią przekonam, jeśli osiągniemy cel, to drodzy mama i papa przeznaczą dużą część swojego majątku na finansowanie moich badań. Jako naukowiec będę wolny. Taki to jest układ.

– I warte pierdyliardy nieznanne zabytki z warsztatu Fabergé nie mają tu nic do rzeczy?

Wzruszył ramionami.

– Mają, jeśli ktoś mi je pozwoli opchnąć na Allegro i wybudować sobie za to własne laboratorium. Ale rozumiem, że dla pani wartość kulturowa ma znaczenie, rodzina chętnie podpisze umowę, że wszelkie znaleziska odkryte w wyniku pani działań znajdą się w już istniejących lub specjalnie założonych muzeach.

Bogdan Smuga skończył, ona też milczała, oboje rozumieli, że na tym etapie nie można nic więcej powiedzieć.

Przypomniał jej się dzień sprzed kilku lat, kiedy rano stawiała się do pracy jako ministerialna urzędniczka, a wychodziła jako najemniczka, wysłana przez premiera ze specjalną misją kradzieży zaginionego dzieła sztuki. Po drodze wszystko potoczyło się źle, kilka razy omal nie zginęła i do tej pory, kiedy wracają wspomnienia, miała wrażenie, że oglądała to wszystko w kinie, a nie faktycznie przeżyła. Przez te kilka lat nie było dnia, żeby do tych wydarzeń nie wracała, żeby jej nie brakowało tego haju, adrenaliny, niepewności.

Teoretycznie nie mogła takiej propozycji odrzucić. A praktycznie – musiała.

– Proszę dać mi chwilę na zastanowienie – powiedziała w końcu.

10

Mówiono o nim wiele rzeczy. Że wiadomo, każdy marszand to złodziej. Że za tanio kupuje. Za drogo sprzedaje. Zaniża ceny, zawyża ceny i w ogóle spekuluje. A takie spekulacje to komu są na rękę, no wiadomo, jak się najlepiej pierze kasę dla mafii. Że z tym ferrari kombi to bujda. Że się głównie zna na sztuce. Pozer, blagier, cwaniak, tandeciarz, bawidamek, bezguście, ordynus. A teraz w muzeum pracuje, wielki społecznik, ściema. Władzy się podlizuje, taki handlarz to przecież ani sumienia, ani kręgosłupa. I na pewno nie aż tak przystojny, jak mu się wydaje. Najszybciej się taki chłopięcy urok starzeje, nagle się w starego dziada zamieni. Tyle z tego będzie miała profesorka, stary dziad, głupie dowcipasy i aroganckie odzywki, właściwie to żal mi kobiety.

Litania nie miała końca, tym bardziej że sam zainteresowany nie komentował, nie dementował, nie tłumaczył i generalnie – w czym



na pewno by mu przyklasnął Bogdan Smuga – miał gdzieś. Uważał, że przejmowanie się opinią bliźnich jest jak picie coca-coli, słuchanie polskiego popu albo wbijanie sobie widelca w fiuta – można, ale po co?

Ale nikt nie mówił, że Karol Boznański jest idiotą. Faktycznie, myślał szybko i sprawnie, i bardzo tego żałował, ponieważ przez to doskonale rozumiał, co się dzieje, i rozumiał, co to znaczy dla niej, a świadomość ta sprawiała, że przez cały czas rozrywały go trudne do zniesienia smutek i ból.

Zaczął się pół roku wcześniej od kłótni w pokoju hotelowym w Łodzi. Co tam robili? Zosia miała spotkanie w MS2, sprzedali Kasię dziadkom i zrobili sobie romantyczny weekend w czwartek. Siedzieli przy pizzy w Bawelnie, kiedy Zosia zaczęła wspominać pizzę, jaką jedli w Kargowej ze dwa lata wcześniej, kiedy zostali zaatakowani przez wariata, który ich poznał i krzyczał, że w okolicznych lasach jest pociąg ze skarbami, a w końcu nie doceniwszy dowcipu Karola o wykluczeniu komunikacyjnym prowincji, obejmującym również pociągi ze skarbami, rzucił się na niego z pięściami.

Wysłuchał jej z zainteresowaniem, uśmieł się szczerze, po czym zapytał, czemu zmyśla niestworzone historie, skoro mają wystarczająco wiele prawdziwych do opowiadania. Ona się zdziwiła. Im bardziej ona się upierała, tym bardziej on kpił. W pokoju hotelowym, w którym mieli zamiar się kochać bez obaw, że dziecko wejdzie do sypialni, o seksie nie było mowy. Ona płakała, żeby przestał z niej szydzić, on z troską mówił, że ona musi się przebadać, że może za dużo stresu, że musi odpocząć, zmienić dietę.

W Warszawie pokazała mu zdjęcia z Kargowej. Leśniczówkę Pracy Twórczej, w której mieszkała dwa tygodnie, żeby dokończyć habilitację, rynek w Kargowej, mieli nawet selfie z restauracji Trzy Korony.

On przeprosił, ona przyjęła przeprosiny, uznali, że to przemęczenie, za dużo stresu, że musi odpocząć.

Dwa tygodnie później oprowadzali wspólnie delegację Amerykanów po warszawskim muzeum, ważny moment, ponieważ chodziło o współpracę placówek polskich i amerykańskich. Efektem miała być wystawa sztuki współczesnej, w której po raz pierwszy do

Europy przyjechałoby kilka dzieł z Nowego Jorku i Chicago, dużo już było ustalone, ale negocjowali jeszcze ukochanego Magritte'a Zofii. Karol ze swoim urokiem, angielskim dowcipem i umiejętnością czarowania każdego opowieściami o ich przygodach, miał zagwarantować, że lokomotywa z *La Durée poignardée* przyleci do Łodzi.

Zamiast tego doszło do żenującej sytuacji, kiedy Karol zaczął klócić się z gośćmi, że opisane we wszystkich światowych mediach odnalezienie *Portretu młodzieńca* Rafaela tak naprawdę nigdy się nie wydarzyło. Kiedy wściekła odciągnęła go na bok, nie wiedział, o co chodzi, zarzucił, że zmyśla i że chyba jest przemęczona, i być może powinna się przebadać.

Przestraszył się, kiedy wybuchnęła płaczem. Pomarańczarka patrzyła na niego z wyrzutem.

I w końcu się przebadał. Choć to mało powiedziane. Kilka tygodni trwała ścieżka zdrowia, w czasie której wykorzystywali przysługi, przypominali się znajomym, wystawiali w poczekalniach, a kolejne badania coraz bardziej przypominały film science fiction.

I nic.

Kolejni lekarze z zadowoleniem i odrobiną dumy, jakby to była ich osobista zasługa, twierdzili, że Karol Boznański w ogóle i każdy jego podzespół w szczególności są zdrowi. Tyle tylko, że z jego głowy ulatują wspomnienia. Może to stres? Może zła dieta? Proszę odpocząć, pojechać na wakacje, jeść więcej warzyw.

Pojechali, nażarli się warzyw, wrócili. Nic się nie zmieniło.

Wtedy zaczęło się najgorsze. Wcześniej była trochę przerażona, trochę w szoku, trochę nakreconą, zdeterminowaną, żeby załatwić sprawę, zdiagnozować, wyleczyć, naprawić zepsutego męża. Ale nikt nie zdiagnozował, nie wyleczył, a znajdowana rano pod drzwiami wegańska dieta pudełkowa przypominała codziennie, że ostatnią szansą na odzyskanie straconego życia stały się dla niej brokuły na parze.

Próbowała to zracjonalizować, zaakceptować fakt, że z żony staje się opiekunką osoby przewlekle chorej. Bezskutecznie. Płakała w nocy w łazience i wstydziła się swoich marzeń, żeby po prostu miał raka. Wolałaby pielęgnować umierającego Karola, zmieniać mu pieluchy, szaleć z rozpaczy na widok jego bólu i trzymać za rękę do końca – to w pewien sposób byłaby ich ostatnia przygoda. Może by się po żałobie podniosła, może nie, może by skoczyła z mostu, a może znalazła Kasi jakiegoś sensownego opiekuna, a sobie chłopaka. Ersatz tej jedynej miłości, ale cóż, życie.

A tak? Wracała do domu i czekał na nią mężczyzna, który wyglądał jak jej mąż, tak samo mówił, tak samo się uśmiechał, tak samo gotował curry z kukurydzą – Kasia musiała mieć we wszystkim kukurydzę – grał z dzieckiem w chińczyka, mówił, śmiał się i perorował tym samym kpiącym głosem.

Ale nie był nim.

Teraz rozumiała, że miłość to wspólne wspomnienia i plany. Związek polega w dobre dni na przywoływaniu bez końca szczęśliwych chwil, a w złe rozpamiętywaniu traum, „bo ty zawsze” i „bo ty nigdy”. Różne wydarzenia, spojone zaprawą wspólnej pamięci, tworzą związkowe gmaszysko, po którym szwendamy się z pokoju do pokoju i planujemy kolejne etapy rozbudowy. Gdzie pojedziemy, żeby było tak fajnie, jak w Sudetach? Trzeba uważać na kajakach, żeby się nie skończyło jak rok temu, może lepiej rowery? A te urodziny Kasi nie wyszły, może następne zrobmy bez kulek, zawsze się boję, że dzieci sikają w te kulki. A za dwa lata to może byśmy to ogrodzenie w końcu wymienili? Tylko bez kolców, żeby się nie pokaleczyli, jak będą do niej skakać przez płot. Patrzysz swoją miarą. Ja? A kto miał narzeczonego w zerówce?

Bez wspomnień i planów nie ma związku. Nie ma miłości. Są dwie osoby, żyjące w tym samym mieszkaniu, które ustalają, kto odbierze dziecko ze szkoły. Dopóki obie pamiętają drogę do szkoły i poznają własne dziecko – ale tego etapu nie chciała sobie nawet wyobrazić.

Szybko zrozumiał, że to, co się z nim dzieje, najmniej dotyka jego samego. Więcej: właściwie w ogóle go nie dotyka, zgodnie z amerykańskim powiedzeniem mądrych żon, że „czego nie wiesz, to cię nie zrani”. Brak wspomnień *ex definitione* oznacza, że ten, komu wspomnienia znikają, nie ma pojęcia, że zniknęły. Nie można nagle walnąć się w czoło i krzyknąć: „hej, nie pamiętam, że wczoraj wygrałem w totka, ale jaja”. On czuł się po prostu sobą, nie wiedział, czego nie pamięta, nie wiedział, czy tego dnia ma wspomnień mniej, czy więcej, a może tyle samo. A jeśli mniej – to co zniknęło?

Kiedy to zrozumiał, wziął się do roboty. Budzik zrywał go z łóżka codziennie o szóstej, przed wszystkimi. Pięć minut później dostawał przypomnienie o treści: „Masz problemy z pamięcią. Znajdź kuchnię i przeczytaj kartkę w szufladzie ze sztućcami”. Na kartce miał zapisane podstawowe informacje: jak się nazywa, że ma żonę Zofię, córkę Kasię, co mu jest. Oraz żeby przeczytał plik „memo” na desktopie komputera, gdzie czekało więcej na bieżąco aktualizowanych informacji.

Tak się zabezpieczał na wypadek, gdyby zapomniał wszystkiego. Na razie nic takiego nie nastąpiło. Budził się o szóstej niewyspany, wiedząc, że za chwilę dostanie powiadomienie, przeczyta kartkę, usiądzie do komputera. Wiedział, co jest na kartce i co jest w pliku. Nudne jak cholera, ale przynajmniej wcześniej zaczynał dzień.

Kilka miesięcy temu wziął bezpłatny urlop i zaprzestał wszelkiej aktywności zawodowej. Żeby zminimalizować stres. Na początku szlag go trafiał, ale teraz czuł się naprawdę nieźle. Robił wszystkim śniadanie, odprowadzał Kaśkę do zerówki, szedł na zakupy. Wracając, parzył kawę, przygotowywał obiad i do czasu odebrania córki ze szkoły miał czas, żeby poczytać, coś obejrzeć i przede wszystkim pracować nad swoją pamięcią.

Praca polegała na przeglądaniu pliku z zapomnianymi wspomnieniami, jaki prowadzili razem z Zosią. Krótkim tekstom, często bardzo zabawnym, towarzyszyły zdjęcia i filmy, dokumentacja ich wspólnych przygód. Za zdumieniem rozpoznawał w tych materiałach siebie, mimo że głowę by dał, że takie wydarzenia nigdy nie były jego udziałem. Plik się rozrastał, widział po datach, że wpisów przybywało, stawały się coraz bardziej

lakoniczne, skrótowe, autorzy przestali się silić na lekki styl. Każdego kolejnego dnia miał mniej czasu na kawę, gotowanie i lekturę, próbując rozpaczliwie nauczyć się swojego życia od nowa, chcąc dla Zosi jak najlepiej udawać samego siebie.

## 13

Najbardziej nienawidziła tego cholernego pliku, pieprzonego grobowca ich miłości, wymurowanego z zer i jedynek. Na początku podeszła do tego entuzjastycznie, że to ma sens, oznaczało przynajmniej jakieś działanie. Za każdym razem, kiedy w rozmowie patrzył na nią bez zrozumienia, szli do komputera i uzupełniali wspomnienie. Szukała w ich telefonach zdjęć i filmów, żeby informacji było jak najwięcej. Na początku nieźle się bawiła, mogła zobaczyć, na jak różne rzeczy zwracają uwagę. Kiedy Kaśka spadła ze zjeżdżalni w Krynicy i rozbiła sobie głowę, ona miała zdjęcia z placu zabaw, których on nigdy nie robił, bo to zawsze nudne i takie same. Za to zrobił zdjęcia w gabinecie zabiegowym, kiedy ona ledwo żyła ze strachu, a on uznał, że taką chwilę trzeba uwiecznić. Mała miała minę, jakby bandaż na łbie był orderem *Virtuti Militari*, córeczka tatusia, śmiali się.

Atrakcyjność „skarbcza wspomnień” szybko zbladła. Bolało ją, kiedy chciał pędzić zapisywać rzeczy w komputerze, choć ona wiedziała, że już to zapisali. W końcu wrzuciła plik na chmurę, żeby też mieć do niego dostęp i wiedzieć, jakie wspomnienia tam wrzucili. Przeglądała przed powrotem do domu, żeby czegoś nie poruszyć przy kolacji, nie chciała znowu widzieć najpierw tego niezrozumienia, a potem entuzjazmu, że on pójdzie i zapisze.

Wiedziała, że czyta go codziennie. Że się stara. Widziała zapiski, odnośniki. Przy wypadku Kaśki dodał: „patrz też narty str. 18”. Zaciekawilo ją to, poruszyła delikatnie temat krynickiego bandaża, na co jej mąż wyrecytował ze śmiechem: „to jeszcze nic, dwa lata wcześniej w grudniu przecież spadaś z wyciągu w Szczawnicy, miałaś takiego guza”. Odchrząknęła i poszła ryczeć do łazienki. Zrozumiała, że on codziennie spędza czas na nauce ich życia i udaje

jakiegoś wyobrazonego, nieistniejącego już siebie, żeby nie było jej przykro.

Z wyciągu faktycznie spadła, ale guza sobie nabiła, kiedy usiłowali się bzykać w narciarni, nie zdejmując butów narciarskich, tylko wstydziła się to zapisać.

14

Wrócił do zapomnianej klasyki, z przykrością stwierdził, że Verne'a czyta się z trudem z tą całą nieaktualną od dawna encyklopedyczną wiedzą, za to Dumas nic się nie zestarzał, wręcz przeciwnie, historyczna wiedza i perspektywa dojrzałego człowieka pozwalała mu docenić te książki jeszcze bardziej. Zauważył ze zdziwieniem, że emocjonalnie bardzo podobne jest czytanie powieści i lektura własnych wspomnień. Ba, niektóre z jego przygód wydawały się ciekawsze od tych powieściowych i co chwila przychodziło mu do głowy, że gdyby to porządnie zredagować, to może by to nawet ktoś wydał.

To podobieństwo sprawiało, że w nauce własnych wspomnień krył się niepokojący fałsz. Przypadki Edmunda Dantesa i Karola Boznańskiego w jego głowie nie różniły się, a odgrywając własną pamięć, czuł się jak hochsztapler, który przypisuje sobie losy powieściowych postaci.

Bał się, że Zosia to czuje. Że patrzy na niego jak na kiepskiego aktora.

I czuł gniew, ponieważ dopóki nie zajrzał do pliku, dopóki po prostu żył sobie w tu i teraz, gotując obiad, czytając – jak teraz – Victora Hugo i grając z dzieckiem w chińczyka, był naprawdę szczęśliwy.

Po cholere ma marnować życie na udawanie kogoś, kim nie jest, nawet jeśli tym kimś jest on sam?

15

Wstydziała się, chciała być lepszą osobą, ale od pewnego czasu zwyczajnie go unikała. Wychodziła coraz wcześniej, wracała coraz później, w krótkich momentach wspólnej obecności nie poruszała tematów, które mogłyby ujawnić lukę w jego pamięci. Łudziła się, że ucieczka w zwyczajną codzienność pomoże im funkcjonować. Nie trzeba przecież cały czas wspominać romantycznych wakacji. Można żyć tu i teraz, przytulić się na kanapie, obejrzeć telewizję, porozmawiać o polityce, pójść z dzieckiem na plac zabaw i trzymać je, żeby nie spadło z huśtawki. Życie na tym polega.

Nie potrafiła.

Z każdym kolejnym dniem coraz mocniej czuła, że jej życie zamienia się w tani film grozy, w którym jej mąż został zainfekowany przez obcą formę życia, a ona musi grać niedostrzegającą tego dobrą żonę, bo inaczej obca forma życia ją pożre. Każda wspólnie spędzona chwila stawała się torturą. Zosia prezentowała urzędowy optymizm troskliwej żony chorego męża, ale cały czas miała wrażenie, że kąciki ust krwawią jej od wymuszonego uśmiechu.

To nie jest on! – krzyczały wszystkie komórki jej ciała, kiedy razem jedli, oglądali filmy, spacerowali.

Próbowała uciekać w seks. Myślała, że fizyczna bliskość jest ponad wszystko, ponad wspólną pamięć i wspólne plany, jest tylko przyjemność teraz i nic więcej. Myliła się. Być może normalnie by nie zauważyła, że dotknął ją tak, jak nie lubiła, być może tylko cofnęłaby jego rękę, ofuknęła albo zażartowała. Ale w stanie ciągłego napięcia uderzyło to w nią jak piorun: zapomniał, jak mnie kochać.

Próbowała to przekuć w zaletę, znajdować przyjemność w tym, że w pewien sposób za każdym razem wchodzi do łóżka nieznanego i nawet przez jakiś czas ją to podniecało, ale bliskość zamieniła się w pieprzenie, a im bardziej ona była gwałtowna, tym bardziej on zagubiony i tym bardziej starał się zachowywać, jak tego oczekiwała, wierząc, że tak trzeba, że po prostu zapomniał.

Co było jeszcze gorsze.

Tłumaczyła sobie, że przecież większość związków tak wygląda. Ludzie dekadami odgrywają przed sobą rolę kogoś, kim nie są.

I zły głos podpowiadał jej natychmiast, że takie związki trzeba kończyć jak najszybciej.

16

– Powinnaś mnie zostawić – powiedział bardzo spokojnie, kiedy zdjęła buty i usiadła przy stole w kuchni, zastanawiając się, czy bardziej ma ochotę na herbatę, czy na wino. – Przepraszam, źle to ująłem. Powinniśmy się rozstać.

Obejrzała się ze strachem, czy Kasia nie stoi gdzieś w drzwiach.

– Zwariowałeś? – powiedziała cicho i bardzo spokojnie. Bez strachu, szoku i niedowierzania, jedynie ze znużeniem.

Oboje wiedzieli, ona po prostu, a on dlatego, że to się znajdowało w jego głównym pliku „memo”, od którego zaczynał dzień, że powinni wystrzegać się emocji w dyskusji. Część diagnozy Karola dotyczyła mechanizmu zapominania, który dotyczył tylko tych wspomnień, które wiązały się z emocjami, z adrenaliną. Im więcej adrenaliny, tym większa dziura w pamięci. Kiedy to usłyszał, śmiał się, że to brzmi, jak baśniowa klątwa. Ona się nie śmiała.

– Nie. Dużo o tym dziś myślałem. Czytałem swoje wspomnienia i w połowie zdałem sobie sprawę, że nie doczytam do końca przed twoim powrotem. Nawet biorąc pod uwagę, że praktycznie nie ma cię w domu.

– Po prostu... – zaczęła się tłumaczyć, ale przerwał jej zniecierpliwionym ruchem dłoni.

– Daj spokój, nie mam żalu. Luki w pamięci nie zmieniły mnie w debila. Spójrz na mnie.

Spojrzała.

– Jak wyglądam?

– Rewelacyjnie.

– Chory? Złamany? Przygnębiony? Poszarzały? Snujący się po domu, zaglądający pod poduszki, czy gdzieś tam nie ma wspomnień z wakacji w Mielnie?

Zaprzeczyła ruchem głowy, myśląc, że nigdy nie byli w Mielnie.

– Wiesz dlaczego? Ponieważ mi ich nie brakuje. Brakuje ich tobie. Moja choroba nie jest straszna dla mnie, tylko dla ciebie. To ty



patrzysz na mnie jak na pasożyta, który pożarł twojego Karola. I mówię to bez złości, rozumiem to.

– Po pierwsze nalej mi wina. Po drugie przesadzasz, po prostu dziś...

Znowu jej przerwał.

– Do „po prostu dziś” jeszcze dojdziemy – powiedział w sposób, który ją zaniepokoił. – Zosiu, ja to widzę. Wychodzisz wcześniej, wracasz później, unikasz mnie, jak już jakimś cudem znajdziesz się obok, prawie nie otwierasz ust ze strachu, żeby nie okazało się, że nie pamiętam czegoś, co jest ważne dla ciebie.

O mało nie powiedziała: „A skąd wiesz, że się wczoraj nie kłóciliśmy?”.

– A skąd wiem, że się wczoraj nie kłóciliśmy? Bo wieczorami prowadzę pamiętniczek na wszelki wypadek. Którego nie trzymam w chmurze dla wspólnego dobra, żeby moja żona mogła w nim grzebać, kiedy jej na to przyjdzie ochota. Zaczekaj, nie przerywaj.

Uśmiechnęła się. Przed chorobą był najbardziej niecierpliwym człowiekiem, jakiego znała. Boże, jak jej tego brakowało.

– To ja decyduję o tym, kiedy komuś przerwać, a kiedy nie – powiedziała zimno. – Jak sobie wyobrażasz nasze rozstanie? Przecież jesteś przewlekle chory.

Jeszcze zanim ostatnie sylaby opuszczały jej krtań, zdała sobie sprawę z tego, co tak naprawdę mówi, ale było już za późno. Zapadła niezręczna cisza.

– To ciekawe – powiedział gorzko. – Bo może nie pamiętam naszych przygód, o których czytam codziennie, ale całkiem nieźle pamiętam wiele lat zwyczajnych, prostych, szczęśliwych chwil. Zdawało mi się, być może błędnie, bo nie pamiętam kłótni, wrzasków i przemocy, a ty tego nie wpisałaś w kajet, ale zdawało mi się, że mamy życie pełne miłości.

Westchnęła.

– Karol...

– I trochę głupio usłyszeć, że trzyma cię przy mnie nie miłość, ale harcerska odpowiedzialność za biednego, schorowanego człowieka. Tym bardziej podtrzymuję to, co mówiłem. Musimy się rozstać. A skoro pytasz, jak to sobie wyobrażam? Normalnie. Wyprowadzę się, opieką nad Kasią podzielimy się po równo, przynajmniej – głos

mu się załamał – przynajmniej dopóki mogę to robić tak samo dobrze jak teraz. Ty sobie znajdziesz kogoś, z kim będziesz mogła dzielić wspomnienia, a ja będę żył w swoim bąbelku przygłupiego szczęścia.

– Bąbelku szczęścia – powtórzyła gorzko.

– Co mam ci powiedzieć? Że cierpię? Cierpię, bo tobie jest źle. Ale w ogóle jest mi dobrze. Nie żyję przeszłością, a to też oznacza, że nie planuję przyszłości. W końcu po to ewolucja dała nam pamięć, żebyśmy mogli dzięki niej planować swoje działania, unikając niebezpieczeństw i dając naszym genom szansę na przetrwanie.

Zrobiła ruch, jakby chciała coś powiedzieć, Karol przerwał, ale ona poczuła, jak gula rośnie jej w gardle. Miała ochotę mu wykrzyknąć, że przecież on planował bez chwili przerwy. Zawsze, cały czas, ona się z niego śmiała, wszyscy się śmiali. Wysiadł z samolotu w Stanach i w kolejce do kontroli paszportowej już planował, gdzie można by następnym razem pojechać. Zaczynał czytać Kinga i mówił o tym, że musi przynieść z księgarni nowego Łozińskiego. Oglądali *Stranger things*, a on jednocześnie na komórce patrzył na trailery *Wiedźmina*. Kłóciła się z nim, że cały czas jest gdzie indziej, że nie potrafi po prostu być tu i teraz.

Tak, gdy bogowie chcą kogoś ukarać, wysłuchują jego modlitw.

Gula nie pozwoliła jej wykrztusić słowa, więc on kontynuował.

– Ja żyję tu i teraz. I jest mi z tym dobrze. Jak w buddyźmie. Ponieważ nie pragnę, a pragnienie jest przyczyną cierpienia, staję się wolny.

Zaśmiała się histerycznie.

– To jest niewiarygodne! Nie pamiętasz, jak się ze mną kochać, a pamiętasz zasady buddyźmu? To nie fair.

Normalnie ripostowałby błyskawicznie, powiedział, że nic nie poradzi, że Budda mniej gada i ma większe cycki, albo coś równie głupiego. Ale on tylko patrzył zagubiony, jak zwykle kiedy odwoływała się do czegoś, o czym nie miał pojęcia.

– I jeszcze à propos „po prostu dziś”, to wyobraź sobie, pamiętam całkiem nieźle, że jesteś dyrektorką muzeum. I dziwnie było słyszeć w radiu, że cię stamtąd z hukiem wyrzucili po akcji, w której powiesiłaś na *Bitwie pod Grunwaldem* martwą naturę z bananem

sterczącym jak środkowy palec, którą to akcję musiałaś szykować od dawna. I o której ani w mojej głowie, ani nigdzie nie ma śladu! Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że moja choroba wcale nie jest najważniejszym powodem, żeby się rozstać. Nie każdy związek musi trwać wiecznie.

Powinam przyjąć tę propozycję, pomyślała. Ogarnąć się, zobaczyć co dalej. Odzyskać kontrolę nad swoim życiem.

– Pakuj się – powiedziała. – Wyjeżdżasz w Pireneje.

## Rozdział 6. Wyspa przeklęta

*Góra Bolszewików • Tropiki w wersji rosyjskiej • To miejsce nie istnieje •  
Pani nacjonalizm jest porażający • Pod wsią jest dziś mała psychuszka •  
Buchanka • Dzieci natury • Wiersze, gwiazdy, fantazje, orgazmy •  
Niedźwiedź to nie miś • Prędko, zanim dotrze do nas, że to bez sensu •*

### *Pośmiertne legendy YouTube'a 1*

Czuła się winna, ale tylko trochę. Tak, jej mąż leżał teraz sam w łóżku w klinice zaburzeń pamięci. Tak, jej córka spała teraz smacznie w domu jej rodziców. Jedno i drugie dziesięć stref czasowych stąd. Tak, przyjechała do pracy, rozmawiać z kustoszami, siedzieć w archiwach i przeglądać zakurzone papierzyska. Ale jest rano, spotkanie ma w południe, a dzień wstał taki piękny i czy mogła nie skorzystać z tego, że mają tutaj stok narciarski w samym centrum miasta?

Wysiadła z nowoczesnej gondolki, odetchnęła głęboko. Zabolało. Nie bez przyczyny sachaliński kurort nazywał się „gorny wozduch”, czyli górskie powietrze. Musiało być kilkanaście stopni na minusie, śnieg skrzypiał pod butami, policzki szczypały, oddech palił w gardło. Czyli trzeba lecieć na daleką Syberię, a właściwie dalej niż Syberię, żeby odnaleźć prawdziwą zimę z dziecięcych lat. Zabawne. Tym bardziej że tutejsi narzekają na zmianę klimatu, przez którą nie ma takich zim jak dawniej i nie da się nigdzie dojechać, bo zamiast wiecznej zmarzliny – błočka i bagniska. Ona sama nie narzekała, przy minus czterdziestu tak chętnie by na narty nie wyskoczyła.

Podciągnęła szalik na nos, zapięła szczelniej kurtkę, rozejrzała się. Za jej plecami słońce późno i niechętnie wstawało nad Pacyfikiem, oświetlając na różowo niskie chmury. Przed nią elegancko wyratrakowany stok, jeszcze dziewiczy o tak wczesnej porze w dzień powszedni, meandrował w stronę ciągle pogrążonego w cieniu Jużnosachalińska. W półmroku nie było widać jego sowieckiej brzydoty, a oświetlone latarniami prostokątne kwartały ulic przywodziły na myśl amerykańskie miasta, jakby stała na stoku

w Aspen lub dowolnym innym kurorcie stanu Kolorado, a nie na wzgórzu o wdzięcznej nazwie Góry Bolszewików.

Zapięła wiązania i puściła się w dół, w stronę niebieskich i złotych kopuł okropnej cerkwi, dziwacznie wysokiej, jakby przerobionej z bloku z wielkiej płyty.

Jak zwykle na nartach nie myślała o niczym.

I to było dobre.

2

K: Najpierw Petersburg, teraz Sachalin, żyjesz jak rosyjska arystokratka. Hrabianka Rostowa.

Z: Hrabina już raczej. Niestety.

K: A myślałem, że to ten Skype cię tak postarza.

Z: Bardzo zabawne.

K: Na długo?

Z: Dwa, najwyżej trzy dni, w sumie wyjdzie mniej niż tydzień, nie sądzę, żeby Kasia w ogóle zauważyła moją nieobecność w tym połączeniu pałacu, spa i wesołego miasteczka, jakie urządzili jej dziadkowie.

K: O nią się nie martwię. Ciebie coś gryzie, mam wrażenie.

Z: Mam nadzieję, że nie pluskwy. Jak czytałam reportaż Czechowa o Sachalinie, to się drapałam dwa dni. Opisał, jak mu gospodarz nie pozwolił nocować w izbie i w nocy zrozumiał dlaczego. Że ściany i sufit całe pokryte były jakby krepe, poruszaną wiatrem, szeleszczącą i szepczącą między sobą. Tę krepe zapamiętałam, do tej pory ciarki przechodzą.

K: Przestań, nie pytam o pluskwy.

Z: Czuję w tym wszystkim jakąś ściemę.

K: Opowiadaj.

Z: Jeździ za mną ten Smuga kompletnie bez sensu. Pojawił się w Petersburgu, tutaj też przyjechał. Z idiotyczną wymówką, że będzie moim tłumaczem, co miałoby sens gdzie indziej, ale w Pitrze zarówno nasza stara znajoma Sardana, jak i jej ludzie z Kunstkamery mówią po angielsku lepiej niż ja. Tylko z tym okropnym akcentem, który sprawia, że wszystko brzmi jak

mafijne pogrożki. Poza tym tak naprawdę nie liczyłam, że tam znajdę cokolwiek. Benedykt przysłał do ówczesnej stolicy Imperium część swoich zbiorów, stamtąd dostawał zlecenia i fundusze. Wszystko porządnie skatalogowane, opisane, sfotografowane, nawet wrzucone w internet. Dwudziesty pierwszy wiek. Liczyłam ewentualnie na nigdy niepublikowane dzienniki, zapiski, listy, coś, co pozwoliłoby wypełnić luki w biografii. Ale szanse na przełom były niewielkie. Mimo to przyjechał.

K: Ty to wiesz, a może on nie wiedział? Może myślał, że skoro jedziesz do Pitra, to zaraz będziesz wyciągać z kazamatów w Pałacu Zimowym skrzynie pełne skarbów i chciał to zobaczyć na własne oczy. Wiesz przecież, jakie ludzie mają wyobrażenie o twojej pracy

Z: Może. Jak ty?

K: Nuda. Co, jeśli wierzyć doktorowi Mnatsakanyanowi, stanowi część terapii. Nuda, mówi, to najlepsze lekarstwo dla mózgu.

Z: Nigdy nie zapamiętam tego nazwiska.

K: Ta, jak z Asteriksa. Tutaj naprawdę nic się nie dzieje. Ty mi opowiedz, jak idzie.

Z: Mogłabym występować w *Wielkiej grze* o życiu i twórczości Benedykta Czerskiego.

K: Opowiedz.

Z: Zwariowałeś.

K: Lubie, jak opowiadasz.

Z: No dobra, ale w skrócie. Kresy, patriotyczna rodzina, bardzo szlachecka i bardzo zubożała. Ojciec z głową w chmurach, matka chorowita, dzieci dziesiątka. Benek na studiach wsiąka w socjalistyczną konspirację, kogoś tam łapią, ten ktoś sypie każdego i nasz bohater w kajdanach płynie na Sachalin, gdzie Ruscy mieli taki gułag przed gułagiem, wyspa więzienie.

K: Rosyjska Gujana i Australia.

Z: Dokładnie. Tyle tylko, że na Gujanie rajskie plaże, w Australii rafa koralowa, a na Sachalinie błoto, śnieg, wiatr i minus czterdzieści, tropikalna wyspa w wersji rosyjskiej. Na Gujanie możesz zreć banany, w Australii polować na kangury, na Sachalinie w kopalniach jedli z głodu łój ze świec, kobiet i dziewczynek prostytuowało się sto procent, żeby zwiększyć

szanse na przeżycie, dzieci topili zaraz po porodzie, żeby nie musieć ich karmić. Słowo „piekło” to żalosne niedopowiedzenie, w piekle jest ciepło i ktoś się tobą interesuje.

K: I co tam robił pan Benedykt?

Z: Potrafił pisać i czytać, więc najpierw dzieci uczył, potem prowadził badania meteo, a w końcu zainteresował się rdzennymi ludami i...

K: No? Co się tak zamyśliłaś?

Z: Bo to jest fragment tej historii, który mnie najbardziej dotyka, tak po ludzku. Młody chłopak, wyrwany z korzeniami, rzucony w miejsce ulepione z błota, zimna, braku słońca i wydestylowanej, najgorszej ludzkiej podłogi. I znajduje tych Niwchów, Oroków i przede wszystkim Ajnów. Którymi wszyscy się brzydzą, bo mają ogony...

K: Co?

Z: Bardzo byli owłosieni i faktycznie, jak się ich rozebrało, to włosy z pleców im się filcowały na krzyżu w ogony jakby, głupota, ale dzicy z ogonami, rozumiesz, to się dobrze sprzedaje. Wszyscy się nimi brzydzą, bo są włochaci, mają ogony, ubierają się w rybie skóry i śmierdzą. Nawet katorżnik, którego jedynym ewolucyjnym celem jest pozwolić przetrwać pokoleniom pluskiew, może się przy nich czuć jak szlachta. A Benio...

K: Benio?

Z: A jak mam mówić? Pan Benedykt? Poza tym cała rodzina go tak nazywała. Benio zobaczył w nich takie samo prześladowane plemię, jak to, z którego sam pochodził. Docenił spójność ich animistycznych wierzeń, życie w zgodzie z naturą, trzymanie się prostego kodeksu moralnego. Żył z nimi i naprawdę chciał im pomóc, ocalić przed zapomnieniem. Im więcej o tym czytam, tym bardziej wzrusza mnie jego bezinteresowny heroizm. Był skazany od początku na klęskę, nie da się ocalić jednego kosmatego plemienia przed japońskim i rosyjskim imperializmem.

K: Polskie.

Z: W rozdzierająco smutny sposób polskie. Myślisz od razu o Kościuszcze, o Bemie. Święci Polacy, patroni spraw beznadziejnych. Rosjanie śmiali się, że został „królem dzikich”, a sami Ajnowie... wiesz, jak go nazywali?

K: Jak?

Z: „Akan”, czyli starszy brat. Co miało tym bardziej znaczenie, że...

K: Czekaj, bo czas się kończy.

Z: Idiotyczne zasady.

K: Nosek?

Z: Nosek. Trzymaj się.

### 3

Na drugim końcu Europy, dwadzieścia osiem stopni długości geograficznej na zachód, Karol Boznański robił w komputerze notatki, a w drewnianym *chalet* kawałek dalej dwóch mężczyzn siedziało na kanapie, racząc się lokalnym czerwonym portwajnem z apelacji banyuls i gapiąc w ustawiony na stoliku kawowym laptop. Znużeni nie zdawali sobie sprawy, że wyglądają jak kadr z filmu offowego. Dwóch mężczyzn koło czterdziestki upozowanych jak na monidle, jednocześnie bardzo podobnych i bardzo różnych.

Jeden wysoki i szczupły, łysy, tak bardzo czarnoskóry, że aż granatowy, wyglądał dzięki delikatnym rysom i okularom na pianistę specjalizującego się w muzyce barokowej. Jego towarzysz z kolei, biały mączną bezsłoneczną białością wschodnich Europejczyków, krępy i brodaty jak krasnolud, wyglądał jak ktoś, kto za swoim towarzyszem nosi fortepiany, nie wyjmując peta z ust.

Podobieństwa? Obaj mieli na sobie białe tenisowe skarpetki, niebieskie dżinsy i kolorowe podkoszulki. Czarny – szarą z logo PSG i hasłem „Ici c’est Paris”, biały – błękitną z napisem „Slovenia. Since 1991”. Obaj sprawiali wrażenie po domowemu rozleniwionych i znużonych, jak stara para, która na seks nie ma ochoty, wyjść na piwo też nie, jakiś serial może by obejrżeli, ale nie chce im się wybierać, bo jeszcze się pokłóca, więc siedzą na kanapie i przeczekują do momentu, aż będzie można wreszcie umyć zęby i iść do łóżka. Obaj też nie wyglądali na ludzi, którym należy odbijać partnerki w tańcu, wygrażać w ulicznym korku i zaczepiać w barze. Kryła się w ich leniwym spokoju groźba drapieżnika, który bezruchem daje do zrozumienia, że w sumie jest najedzony, ale jak zechce, to upoluje i pożre, no bo w sumie kto mu zabroni.



– Mały nos? Jesteś pewien, że to nie błąd tłumaczenia? – zapytał czarnoskóry, który w swoim francuskim paszporcie zapisane miał, że nazywa się Pierre Touré.

– Jestem. W polskim można zdrobnić każde słowo na kilka sposobów – odpowiedział biały, który wedle swojego francuskiego paszportu nazywał się Marcel Kluzka.

Paszporty mieli autentyczne, a nazwiska, cóż, nosili je na tyle długo, że zdążyli się przyzwyczaić.

– I co to znaczy?

Kluzka wzruszył ramionami, wyobrażając sobie tłumaczenie na francuski każdusięńskiego słówenka na mnóstewko sposobeczków.

– Kochają się. Może się całują w noski, może pocierają noskami, a może wężają po dupach, skąd mam wiedzieć.

– Ja pierdolę. Nie wierzę, że to robimy. Co on tam pisze?

– Streścił rozmowę z Lorentz, teraz otworzył plik z prywatnymi notatkami. Przegląda. Teraz wpisał w wyszukiwanie „Bogdan Smuga”.

Kluzka nachylił się, na ich laptopie sklonowany ekran komputera Karola otwierał się w osobnym oknie, przez co wszystko pokazywało się pomniejszone i trzeba było wyteńczyć wzrok, żeby cokolwiek odczytać.

– Teraz pisze...

– Tłumacz, drogi majorze, potrzebuję rozrywki.

– „Poczułem ukłucie zazdrości, kiedy opowiadała o Smudze. Nic o nim wcześniej nie zapisałem, wiem, że to on dał Zosi zlecenie na poszukiwanie. Spotkali się w Petersburgu, teraz jest z nią na Sachalinie”. I tyle. Zapisał i zamknął. I przestań mnie tytułować majorem, prosiłem tysiąc razy. Jesteśmy teraz normalnymi ludźmi.

– Tysiąc razy odpowiadałem, że dla mnie zawsze będziesz majorem. Normalni ludzie to stan przejściowy, a major to major. – Touré dołał im wina. – Nie dodał nasz pacjent, że opowiadała o nim tak jakby mimochodem i dziwnie półsłówkami, nie wspominając o wspólnej kolacji w magicznym Petersburgu? Umiera w ludziach duch epickiej narracji. Suche fakty, nic fantazji. Myślisz, że będziemy świadkami wielkiej małżeńskiej dramy? Nudzi mi się.

– Nuda to najbardziej błogosławiony ze stanów – skomentował Kluzka. – Pomyśl, że normalnie musielibyśmy się za nią uganiać,

a tak siedzimy w ciepłe i wszystko dostajemy na tacy.

– Może przynajmniej ją namówi któregoś dnia, żeby się na tym Skypie pokazała bez bielizny. Wiele tam do pokazywania nie ma, ale zawsze jakaś rozrywka. Odkąd amatorki w pornosach to profesjonalne kurwy w studiach nagraniowych, nie ma już czego szukać w internecie.

– Wiesz, co o tym sędzę.

Kluzka zapisał plik, wyszedł na balkon i przeciągnął się, aż zatrzeszczały ciuchy. Brakowało mu ruchu. Oparł się o balustradę i patrzył w dal, słońce zachodziło gdzieś za jego plecami, schowane za śniegową chmurą, i znikający pirenejski pejzaż w dziwny sposób pozbawiony był cieni, jakby gasnące światło padało zewsząd i znikąd. Różnych się w życiu podejmował misji i zadań, ale ta, polegająca na zbijaniu bąków w dość luksusowym górskim *chalet*, nie miała sobie równych. Mógłby tu siedzieć do emerytury.

Jego towarzysz i przyjaciel stanął obok, długo i z namaszczeniem wciągnął powietrze. Nie dziwił się. Oddychanie tutaj miało w sobie coś z zażywania narkotyków, wielopoziomy zapach natury, w którym czuć było pierwszy śnieg, gnijące resztki niedawnej jesieni, drewniane belki *chalet*, wilgoć pobliskiego strumienia.

– Tak sobie myślę, drogi majorze.

– No.

– Teraz jesteśmy na swoim. Ale wtedy, gdybyśmy zachorowali, jak James i Honza, myślisz, że by nas tutaj przysłali? – Wskazał ruchem głowy dyskretne światła ukrytej w lesie luksusowej kliniki „Le Trésor Perdu”. – Na leczenie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to miejsce nie istnieje.

Do momentu, w którym rozmowa z kustoszem regionalnego muzeum skręciła w dziwną stronę, uważała, że jak na miejsce daleko poza granicą nie tyle cywilizowanego świata, co świata w ogóle, wyglądało to całkiem nieźle. Hotel Gagarin wyglądał jak

muzeum lat dziewięćdziesiątych, ale w numerze było czysto, prosty zawtrak po nartach smakował wkuśnie, nawet spacer ulicami miasta, które ostentacyjnie obnosiło się ze swoją sowiecką brzydotą, wydawał się atrakcyjny. Dużo przestrzeni, dość schludnie, brud i syf elegancko przysypane śniegiem, niczym się to miasto nie różniło od całej tkanki cywilizacyjnej pomiędzy Gorzowem a – no, tym właśnie miejscem, dalej na wschód już tylko Ocean Spokojny. Dziesięć stref czasowych kostki bauma, bloków z wielkiej płyty, starych diesli, spożywczaków z plastikowymi drzwiami, barów z logo Pepsi, zabłoconego pobocza i samochodów parkujących gdzie popadnie. Oraz triumfu woli, która pozwala każdy balkon zabudować i ozdobić w inny, niepasujący do pozostałych sposób, niezależnie od ich liczby. Może to i była cywilizacja zbudowana z dwóch desek obwiązanych drutem, ale trudno jej odmówić umiejętności kolonizacyjnych i w kuriozalny sposób Zofia Lorentz poczuła dumę, że estetycznie i mentalnie przynależy do tego imperium. Byłe jakie, zabłocone, rozklekotane, ale swojskie, czasami urocze i w przeciwieństwie do innych – jej własne.

Architektura nie pozostawiała wątpliwości, że „Sachalinskij Oblastnoj Muzej” został zbudowany przez Japończyków, którzy zarządzili częścią wyspy przez pierwszą połowę XX wieku. W trosce o rosyjską tożsamość postawiono tu jakieś czołgi i armaty, być może z Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, a być może wcześniejsze z wojny rosyjsko-japońskiej, nie miała pojęcia. I obowiązkową tablicę z sierpem i młotem ku czci wszechświatowego proletariatu. Pokręciła się chwilę po otaczającym muzeum parku, wiedząc, że gdzieś tutaj stoi też pomnik Benedykta. I znalazła. Skromny monument, zwieńczony rzeźbiarskim wizerunkiem brodatej twarzy i napis cyrylicą: „Benedykt Czerskij”. I nic więcej. Zrozumiałe, przy minimum informacji trzeba by podać, kim był i skąd się tu wziął, a tak „Benedykt Czerskij” i chwacit.

Żałowała, że nie ma znicza.

Władimir Grigorowicz Kożemiako od progu zrobił na niej wspaniałe wrażenie. Spodziewała się archetypicznego ruskiego urzędasza z przetłuszczonymi szpakowatymi włosami i dziobami na gębie, w obsypanej łupieżem beżowej koszuli. Dostała zadbanego

przystojniaka po trzydziestce ze związanymi w kucyk czarnymi lokami, w błękitnej koszuli z podwiniętymi rękawami i bez ani jednego złotego zęba. Okej, miał na przegubie gruby złoty łańcuch, a na szyi prawosławny krzyżyk, tak duży, że można by go zatknąć na wieży cerkwi, ale poza tym zawodnik z ekstraklasy muzealników. Wykształcony, nowoczesny, kosmopolityczny poliglota, wierzący – tak myślała – w naukę ponad narodowymi podziałami i wspólne dziedzictwo ludzkości. Dzięki poleceniu wspólnych znajomych ujmująco grzeczny, pomocny i pragnący rozwiązać ich problemy. I jednocześnie niestarájący się ukryć, że każdy inny petent odbiłby się od jego drzwi jak przedszkolak od wejścia do baru ze striptizem. Zofia zrozumiała, że miał rację Smuga, kiedy zlecał jej poszukiwania, bez niej mógłby co najwyżej zwiedzić ekspozycję. O ile nie przyszedłby w poniedziałek.

Smuga ze swoim rosyjskim okazał się zbędny, pił czaj, zagryzając słodką kartoszką, i z zainteresowaniem przysłuchiwał się prowadzonej po angielsku rozmowie. Która od dłuższej chwili nie miała nic wspólnego z etnografią. I pomyśleć, że Władimir Grigorowicz w czasie powitania nazwał ją „Edem Sheeranem muzealnictwa”, nieomalże padając przed jej majestatem na kolana. Cóż, było, minęło.

– Pani nacjonalizm jest porażający. Przyjeżdża pani na rosyjską wyspę w sprawie prastarego ludu, uważanego za rdzenny lud Japonii, żeby badać prace białoruskiego uczonego, członka petersburskiej Akademii Nauk, który większość dzieł opublikował po rosyjsku. I mówi pani otwarcie, że chce odzyskać dla Polski jej wielkiego uczonego. Jestem rozczarowany, ponieważ przez taką właśnie postawę wiele dziedzin nauki kręci się w kółko. Czytałem o pani przed tym spotkaniem, Sardana mówiła o pani jak o półbogini, a kolega z Ermitażu po prostu jak o bogini, i cóż, może niesłusznie zakładałem, że stereotypy o Polakach są przesadzone.

Uśmiechała się miło, starając się nie pokazać, że w duchu klnie i zgrzyta zębami. Trzeba jej szczęścia, żeby poza krańcem świata spotkać ofiarę polskiej kolonizacji.

– Władimirze Grigorowiczu, Benedykt pochodził z polskiej szlacheckiej rodziny, uważał się za polskiego patriotę, zesłano go na Sachalin za walkę o wolną Polskę. Do tejże Polski zresztą po

zesłaniu wrócił. Co oczywiście nie zmienia faktu, że jego badania należą do ludzkości w ogólności, a do narodu Ajnów w szczególności, nie mogłabym się z panem zgodzić bardziej. Ale przyznaję, że motywy moich działań są narodowe.

– To ciekawe. Benedykt urodził się w Imperium, tutaj spędził całe swoje naukowe życie, potem mieszkał kilka lat w Cesarstwie Austro-Węgierskim, skąd po wybuchu Wielkiej Wojny wyjechał do Szwajcarii i potem do Francji, gdzie umarł przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Nie urodził się w Polsce, nie umarł w Polsce, nigdy nie mieszkał w Polsce, za całego jego życia Polska nie istniała nawet jeden dzień.

– Akurat pan, Białorusin...

– Z pochodzenia.

– Akurat pan, Białorusin z pochodzenia, powinien zrozumieć, że naród bez terytorium to nie jest fikcja.

– Czyli co świadczy o przynależności do narodu?

– Powiedziałabym, że język.

– W takim razie musimy uznać Benedykta za Rosjanina. Poliglota, w wielu językach pisał prace naukowe, także po japońsku, angielsku i francusku, ale większość jego pism, od etnograficznych opracowań po listy do rodziny, powstała po rosyjsku.

– W sercu czuł się Polakiem.

Władimir Grigorowicz parsknął śmiechem.

– No trudno by było pani znaleźć źródła, żeby uzasadnić taką tezę w przypisach.

– Niech się pan nie wygłupia, dobrze pan wie, że jego rosyjskojęzyczność to efekt kolonizacji.

– No proszę. Czyli jak Polak mówi po rosyjsku, to efekt kolonizacji i polityki wynaradawiania, a kiedy Białorusin mówi po polsku, to czerpie z dumnych tradycji Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Może gdyby Nowogródek, w którym urodził się Benedykt Czerskij, nie był terenem najpierw polskiej, a następnie rosyjskiej akcji kolonizacyjnej, gdyby nie zakazywano naszego języka i nie traktowano posługujących się nim ludzi jak dzikusów, czułby się w sercu Białorusinem? Może mówiłby językiem swoich stajennych i mamek, gdyby nie to, że w klasie społecznej jego rodziców posługiwanie się białoruskim oznaczało towarzyskie i zawodowe

sepuku? Naprawdę uważa pani, że wszyscy mieszkańcy kolonii mówiący w języku kolonizatorów i przyjmujący ich tradycje automatycznie przynależą do tego narodu? Hindusi stają się Brytyjczykami, Polinezyjczycy Francuzami, Kongijczycy Belgami, Jakuci Rosjanami?

Zapadła cisza, przerywana tylko siorbaniem czaju przez Smugę i dobiegającym zza okna identycznym pod każdą długością geograficzną gwarem szalejącej na przerwie szkolnej dziatwy.

– Nie, nie uważam – powiedziała w końcu. Szczerze.

– W takim razie może zgódźmy się, że Benedykt Czerski był wielkim białorusko-polskim uczonym.

– Zgódźmy się.

– Także ajnuskim, rosyjskim i japońskim, ale dziś nie musimy się nim dzielić. Boże, jak ja uwielbiam drażnić Polaków, jesteście tacy słodcy w swoim prowincjonalnym, naburmuszonym imperializmie. Wódeczki?

## 5

Do wódeczki wrócili wieczorem, po całodniowym oglądaniu kolekcji, grzebaniu w archiwach i fotografowaniu nielicznych rękopisów Benedykta. Nie było tego wiele, zbiory nie mogły się równać z petersburskimi, większość Zofia kojarzyła z różnych opracowań, a reszta nie znalazła się w tychże opracowaniach, bo zwyczajnie nie była tego warta. Sprawa wyglądała beznadziejnie.

Siedzieli w knajpie w obleśnym centrum handlowym między blokami, teoretycznie nie powinna tu dostać nic ponad czerstwe pielmieni, tymczasem nigdy nie jadła lepszego sushi, zupa rybna smakowała jak nie z tej planety, a teraz patrzyła łakomie na wjeżdżającą na stół specjalność Sachalinu, mięso olbrzymiego czerwonego kraba. Skorupiak miał wielkość przedszkolaka i wyglądał jak obca forma życia, usiłująca pożreć załogę kapitana Kirka.

– Czy pan sądzi, Władimirze Grigorowiczu, że w ogóle istniały jakieś mityczne zbiory Czerskiego? – zadała w końcu pytanie, które chodziło jej po głowie od wizyty w Petersburgu.

Spojrzał na nią uważnie.

– Myślałem, że tego właśnie pani szuka.

– I zastanawiam się, czy jest czego. Wiem, że to nie musi być dobra wiadomość dla pana i pańskiej rodziny – zwróciła się do Smugi – ale może nie ma żadnego skarbu Czerskiego? Widzieliśmy ekspozycję w Petersburgu, widzieliśmy tutejsze zbiory, wiemy, że nie ma w magazynach tajemniczych skrzyń pełnych ajnuskich artefaktów. W jego biografii jest trochę dziur, ale chyba nie aż tyle, żeby w nich upchnąć syberyjskie eldorado.

Władimir Grigorowicz zamyślił się, ona spróbowała kraba. Bała się, że trzeba go jeść za pomocą kilofa i piły łańcuchowej, ale elementy pancerza stanowiły tylko dekorację dla przygotowanego osobno mięsa. Wzięła kawałek, umoczyła w roztopionym maśle, włożyła do ust i mało się nie zakrztusiła z wrażenia. Z powodów etyczno-klimatycznych nie jadła mięsa ssaków, ale z ryb i owoców morza nie potrafiła, mimo wyrzutów sumienia, zrezygnować i uważała się za smakoszkę. Kawałek mięsa, który właśnie przełknęła, był bez wątpienia najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek miała w ustach. Zjadła drugi i już wiedziała, że jej kulinarne życie będzie się odtąd dzieliło na przed sachalińskim krabem i po sachalińskim krabie. Już otwierała usta, żeby to powiedzieć mężczyznom przy stole, ale nagle zrobiło jej się rozdzierająco smutno. Pomyślała, że to ponury żart, że koło niej nie ma jedynej osoby, która potrafiłaby to uniesienie zrozumieć i z którą chciałaby je dzielić. I nic nie powiedziała.

– Jak na piętnaście lat badania bardzo bogatej kultury faktycznie powinno być tego więcej – zaczął Kożemiako. – Wiemy przecież ze źródeł, że oprócz aparatu miał kamerę filmową i wałki edisonowskie do nagrywania dźwięków. A nikt tych filmów i nagrań nie widział. W naszej i petersburskiej kolekcji są aż i tylko przedmioty codziennego użytku. Ubrania, narzędzia, wyposażenie domu.

– Nie ma przedmiotów kultu – zauważyła.

– Toczno. Gdzie *inau*, czyli najpopularniejsze ajnuskie totemy? Gdzie *kacio*, czyli szamańskie bębny? Gdzie stroje? Gdzie przedstawienia niedźwiedzia, najświętszego zwierzęcia, które jest schodzącym z gór posłannikiem bogów? I psa, pośrednika między naszym światem a światem zmarłych? I my, i Japończycy na

Hokkaido mamy tego trochę, ale nic od Czerskiego. A możemy się domyślać, że skoro jego zbiory przedmiotów codziennego użytku są niezrównane, to również w tej dziedzinie byłyby spektakularne.

Westchnęła. Wypiła kieliszek wódki.

– Jak pan wie, zajmowałam się wcześniej poszukiwaniem i odzyskiwaniem zaginionych dzieł sztuki, które kiedyś znajdowały się w Polsce.

– Śledziłem próby restytucji zabytków ze Lwowa. Cud, że nie zażądaliście, żeby wam oddać polskie kamienice, polski bruk z polskich ulic i polskie powietrze zapakowane w beczki. Ukraińskie, dostarczone za darmo w ramach odszkodowania za Wołyń.

Dużo ją to kosztowało, żeby przełknąć ripostę, zwłaszcza po kilku kieliszkach wódki, ale osiągnęła sukces.

– W każdym razie ludziom łatwo rozpaść wyobraźnię, że wszędzie są poukrywane bezcenne dzieła sztuki. Ludzie ginęli tysiącami, miasta zamieniały się w gruzy, bomby zrównały z ziemią pół Europy, tylko nieśmiertelna sztuka przetrwała, czekając na strychu na odkrycie. Oczywiście to wszystko bujdy, skarby kultury poszły z dymem jak reszta, a nawet bardziej, bo jak człowiek ucieka przed frontem, to bierze dziecko i biżuterię, a nie portret w złoconej ramie, olej na płótnie, metr na półtora.

Kozemiako kiwał głową ze zrozumieniem, Bogdan Smuga patrzył na nią uważnie.

– I coraz częściej myślę, że nasze założenie, że jeśli wypełnimy luki w biografii Benedykta, to automatycznie znajdziemy zakurzone okute skrzynie, może być błędne. Mogły zwyczajnie spłonąć, jak większość Europy w dwudziestym wieku. Wiemy, że najbliższą Czerskiemu osobą był brat, trochę polityk, trochę przemysłowiec, w międzywojniu przekazał w darze jakieś sachalińskie drobiazgi Instytutowi Wschodniemu w Warszawie.

– Może przekazał więcej niż drobiazgi? – spytał Kozemiako.

Wzruszyła ramionami.

– Do tego zmierzam. Instytut nie dotrwał nawet do końca września trzydziestego dziewiątego, spalił się razem ze zbiorami. Dlatego pojechałam do Petersburga i dlatego jestem tutaj. Jeśli zbiory znajdowały się w prywatnych rękach i nie wypłynęły przez



sto lat, to znaczy, że ich nie ma. Jedyłą szansą było muzeum, większość ma za dużo eksponatów, w magazynach bardak, ktoś miał zinwentaryzować, przełożył to na później, a później zmienił pracę. Nie uwierzylibyście, ile arcydzieł uznanych za zaginione na wieki znajdowało się, bo rura wybiła i w końcu trzeba było zajrzeć w jakiś kąt muzealnej piwnicy.

– Daaa – powiedział Władimir Grigorowicz zamyślonym tonem, który sprawił, że przerwała. – U nas była sytuacja... – potrząsnęła głową i wrócił do angielskiego. – Kilka lat temu, za mojego poprzednika mieliśmy takie zdarzenie.

Spojrzała pytająco.

– Rura pękła – powiedział wolno. – I część zbiorów uległa zniszczeniu, żadne cenne zabytki, żadne zabytki w ogóle, sporo papierzysk.

– Rozumiem – powiedziała. – Podejrzewaliście państwo, co spowodowało awarię?

– Niedopatrzenie pracownika niższego szczebla. Bardzo związany z muzeum, wręcz, hmm, zakochany w jego tematyce, więc postanowiliśmy nie wyciągać konsekwencji, sam zresztą odszedł z pracy.

Zamilkł, kiedy podszedł kelner, żeby zastąpić pustą flaszkę wódki pełną. Bogdan Smuga nachylił się w ich stronę ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy mi się wydaje, czy mówicie jakimś szyfrem?

– Slang muzealników – zbyła go Zofia, z trudem opanowując ekscytację, i zwróciła się do Rosjanina: – Może moglibyśmy gdzieś znaleźć tego byłego pracownika?

Władimir Grigorowicz przez chwilę milczał, a potem wychylił kieliszek wódki i roześmiał się.

– Zna pani biografię Czernieckiego, prawda?

– Całkiem nieźle.

– Zaraz na początku zesłania, zanim zajął się etnografią, co robił?

– Prowadził obserwacje meteorologiczne w osadzie Rykowsko.

– Dziś to Kirowskoje, pięćset kilometrów na północ, mniej więcej w połowie wyspy. W starej stacji meteo pod wsią jest dziś mała psychuszka. Tam proszę pytać o Igora Piotrowicza. Albo o *tusu kuru*, będą wiedzieć, o kogo chodzi.

K: Piłaaś?

Z: W Rosji? Nie żartuj? To głęboko wierzący ludzie, z mocnych trunków mają tylko herbatę.

K: Bardzo zabawne.

[...]

[...]

K: Zosia? Zасыpiasz?

Z: Nic, kurwa, nie jest zabawne, tylko właśnie w ogóle, no.

K: Jeśli chcesz odpocząć, to...

Z: No nie jest, kurwa, bo cię tu nie ma, bladź.

K: Zofia, kocham cię, ale ta rozmowa, serio.

Z: Też cię, kurwa, kocham, wiesz? Ale cię tu nie ma, chujowo. A wiesz, że po rosyjsku chuj to chuj, śmieszne, co nie? O Jezuu, niedobrze mi.

K: Może puść pawia?

Z: Przestań mi rozkazywać! Ja pierdołę, tylko byście rozkazywali, dinozaury, panowie szlachta. Śmiałeś się, jak mówiłam, że jestem dyrektorką. Naukowczynią. Profesorką. Myślisz, że zapomniałam, co? Cipka ci jakoś nie przeszkadza. Nie trzeba mówić pani cipek. Czy mogę posmyrać pani cipek, pani profesor?

K: Pan cycek też mi nie przeszkadza.

Z: Nie bądź taki mądry. Kiedyś się na pewno mówiło cycka, tylko nam zabraliście. Wrogie przejęcie. I pani pierś w ogóle się mówi, z szacunkiem. Bo cię tu nie ma, no.

K: Zosia, ty płaczesz?

Z: Wiesz, jakiego dobrego jadłam kraba? Wielki taki, czerwony, biedne stworzenie, najpyszniejsza rzecz na świecie. Może to była matka. Karol, czy ja zjadłam czyjąś matkę? Czy tam małe krabiątko woła na dnie, że chce do mamy? Jestem okropna.

K: Zosia...

Z: Ale, chuj, krabiątko, kurwa, Darwin rządzi, trzeba było mieć mądrzejszą matkę. Jadłam tego kraba i cały czas myślałam, że cię tu nie ma. Że ja zawsze z tobą robiłam takie rzeczy, a nie z jakimiś Ruskami. Przystojny taki, czarniawy. Jak Grigorij z *Czterech pancernych*. A może on w ogóle nie był czarny, tylko

przez to, że telewizja czarno-biała, czarniejszy od Janka w każdym razie. Razem powinniśmy być tutaj na końcu świata, to jest wszystko nie fair, pierdolą mi się te zdania jak w polskiej prozie, no przepraszam no. Ale tylko myślałam, ile takich odkryć razem mieliśmy, jak wtedy w tej knajpie we Lwowie, pamiętasz?

[...]

Z: No tak, kurwa, nie pamiętasz. Zapomniałam, że nie pamiętasz. Chyba się jednak zerzygam. Zrzygam? Jak się mówi właściwie?

K: Zosia...

Z: Zapomniałam, że zapomniałeś.

K: Zosia, zaczekaj...

7

Nowoczesne morskie prognozy pogody, oparte na kilku modelach, analizujących dane z satelitów, stacji obserwacyjnych i bojek meteo, odebrały marynistycznemu światu romantyzm sztormowania. Owszem, nie dało się uniknąć wiatru i złej pogody, ale statek, który wpływał w naprawdę złe warunki, robił to, ponieważ uznano, że bardziej się opłaca pobujać dwa dni na falach, niż omijać sztorm. Była to zawsze kwestia ceny, nigdy komfortu i bezpieczeństwa załogi. Czy sztorm może zaszkodzić ładunkowi? Czy przez opóźnienie stracimy premię? Ile wydamy na naprawy?

„Vincent” nie przewoził niczego z punktu A do punktu B, a nadrzędnym celem dla oficerów był spokój w dziale cargo. Co nie nastroczało trudności na tym dość spokojnym i przewidywalnym akwenie. Przeciętny sztorm przemierza na dobę góra siedemset mil, oni potrafili w tym samym czasie zrobić trzysta. Biorąc pod uwagę, że prognozy na trzy dni do przodu sprawdzały się właściwie w stu procentach, unikanie naprawdę złej pogody nie stanowiło wyzwania.

Niestety.

Olga Gavrilesca zaczynała karierę już w czasach satelitów i prognoz cyfrowych, przesyłanych regularnie na mostek, i brakowało jej dreszczyku niepewności, o którym opowiadali starsi koledzy. Jak wpatrywali się z niedowierzaniem w barometr. Jak

z trwogą patrzyli na wybrzuszącą się w kowadło czarną chmurę na horyzoncie. Jak na radarze wyłaniała się ulewa tak potężna i gęsta, że wyglądało to, jakby odkryli nieznany ląd. Jak patrzyli z mostku na wyginający się statek i cali spięci czekali na ryk pękającego kadłuba, żegnając się z życiem.

W XXI wieku – nie do pomyślenia.

Dlatego teraz, choć promieniował z niej zawodowy spokój i opanowanie, wewnątrz tańczyła dziki taniec radości małej dziewczynki. Pogoda nie była naprawdę zła, wiało sześć, w porywach do siedmiu, ale układ niżowy okazał się na tyle rozległy, że nie miało sensu przed nim uciekać. Ustalili kurs i prędkość tak, żeby jak najmniej bujało i tyle.

Jajogłowi wzięli sobie dzień wolnego, załoga cieszyła się, że nie trzeba pracować na mokrym pokładzie, oficerowie wachtowi wreszcie mieli jakieś inne zajęcie niż picie kawy, a ona w końcu musiała się trzymać relingu, stojąc na mostku. Po raz pierwszy od miesiący.

Podobało jej się to, dlatego mimo wymienianych za jej plecami zdumionych spojrzeń, czemu Stara okupuje sterownię, chociaż się nic nie dzieje, Olga tkwiła przy mokrej szybie, patrzyła na pióropusze piany sporadycznie strzelające spod dziobu, kiedy statek zjeżdżał w dolinę fali, i czuła się fantastycznie.

## 8

Dwadzieścia metrów niżej szefowa ekipy naukowej „Vincenta” Mireille Hamidou nie czuła się dobrze. Nie miało to nic wspólnego ze sztormową pogodą, jej kajuta znajdowało się na tyle nisko, że ruch i wibracje bardziej kojarzyły się z przedziałem sypialnym w pociągu niż z oceaniczną przygodą.

Nie czuła się dobrze, ponieważ za każdym razem, kiedy ze względów bezpieczeństwa zamykano żyrolaby, trudniej jej było uciec w pracę od doskwierającej coraz bardziej klaustrofobii. Zwykle przemieszczała się pomiędzy pracownią, labem i kliniką. Do kajuty wracała tylko po to, żeby przyłożyć głowę do poduszki i zasnąć. Mogła nie myśleć o tym, że pomieszczenie jest małym kubikiem ze

stali, ukrytym w dużym statku ze stali, że siedzi w puszcze włożonej do innej puszki, bez naturalnego światła i naturalnego dostępu powietrza. Kiedy pozwalała myślom zdryfować w te rejony, tego nienaturalnego powietrza robiło się od razu jeszcze mniej, dłonie jej się pociły, jakaś część mózgu kazała rzucać wszystko i biec przez ciasne korytarze statku dotąd, aż znajdzie jakieś drzwi, a za nimi światło i powietrze.

Oczywiście nie mogła tego zrobić.

Nie czuła się też dobrze ze względu na to, jak często musiała ostatnio schodzić do kremacyjnego pieca. I nie, nie dręczyły jej straszliwe etyczne rozterki, moralne dylematy i smutek z powodu nazbyt częstego kontaktu ze śmiercią. Jako osoba głęboko niewierząca, nie wierzyła też w humanizm, podniecanie się wyjątkowością każdego człowieka i jego niepowtarzalną indywidualnością lepiej się sprawdzało w hollywoodzkich filmach niż w nauce. Oglądając je, człowiek mógł poczuć się lepiej, w końcu fajniej być jedyną w swoim rodzaju osobą – zasługującą na szczęście, opiekę i szacunek – niż nic nieznaczącym przedstawicielem pewnego gatunku ssaków. Uważała, że religia humanizmu wcale aż tak bardzo nie różniła się od innych, a kuriozalne przewrażliwienie na punkcie każdej jednostki stanowiło w ostatnich dekadach największą przeszkodę, żeby sensownie zadbać o cały gatunek i jego naturalny habitat. Mireille Hamidou kochała ludzkość i ogół wszelkiego życia, ale poszczególni przedstawiciele *homo sapiens* szczególnie jej nie wzruszali.

Jako naukowiec rozumiała też, że śmierć nie jest mistycznym przejściem do innego wymiaru egzystencji, tylko po prostu końcem procesów biologicznych, identycznym dla krzaka bzu, kleszcza i człowieka.

Nie czuła się dobrze, ponieważ częste chodzenie do pieca oznaczało, że jej praca nie przynosi zamierzonych rezultatów. Spodziewała się tego, akurat w tych badaniach brak efektów nie wyróżniał jej w żaden sposób.

Ale ambicja Mireille Hamidou i tak cierpiała. Przecież tylko dlatego spędzała najlepsze lata życia zamknięta w puszcze, że tutaj miało być inaczej.

Poprzedniego dnia najpierw leczyła kaca, potem poszła po zakupy, Smuga kazał jej kupić termiczną bieliznę oraz najcieplejszy płaszcz i buty, jakie znajdzie. A on „zajmie się resztą”. Jej zadanie tylko pozornie należało do łatwych, w centrach handlowych bez trudu można było znaleźć wydekoltowane sukienki i sweterki, ewentualnie puchowe kurteczki sięgające do pępka, a z butów czółenka na szpilkach, kozaki na szpilkach i sandały na szpilkach. W końcu część kupiła w sklepie sportowym, a koszmarnie drogą jaskrawoczerwoną parkę w butiku z kanadyjskimi i amerykańskimi ubraniami.

Teraz stała na parkingu przed hotelem w tejże oczojebnej parce i świecących nowością buciorach, mając ze sobą niebieską walizkę na kółkach i czując się jak pańcia z korporacji, która dostała od kolegów w ramach durnego urodzinowego prezentu „Niepowtarzalną Weekendową Przygodę na Syberii”. Czekwała na Smugę i obiecaną przez niego terenówkę, ale parking był pusty, nie licząc dwóch merców z kierownicą po prawej stronie, sportowej toyoty z kierownicą po prawej stronie i rozklekotanej sowieckiej furgonetki, która w czasach wczesnego Leonida Breżniewa mogła być więźniarką, karetką albo karawanem, a teraz, o dziwo, ciągle działała, na co wskazywała otaczająca ją chmura spalin, kojarzących się Zofii z wartburgiem dziadka, dokładnie ten sam rzygliwy zapach.

Przedwczorajsza wódka podeszła jej znowu do gardła. Złapała uchwyt walizki i odsunęła się od blaszanej pokraki, żeby wyjść z zasięgu smrodu i straszego klekotu, jaki wydawał umierający w męczarniach silnik.

I wtedy z samochodu wyszedł Bogdan Smuga.

– Boże, niech to nie będzie prawda – szepnęła do siebie.

– Wiem, co pani sądzi – powiedział, podchodząc do niej z szerokim uśmiechem na ustach. Niewiarygodne, ale po raz pierwszy widziała naukowca autentycznie szczęśliwego, bez tego żalostnego spojrzenia Adriana Zandberga, który dowiedział się, że zdelegalizowano związki zawodowe. – Ale to nie jest tak, jak się pani wydaje. Buchanka nie jest piękna, nie jest wygodna, trochę śmierdzi, ale moglibyśmy nią dojechać do Moskwy na azymut, po

drodze przejeżdżając po dnie Morza Ochockiego. To motoryzacyjny odpowiednik karabinu Kałasznikowa, który działa zawsze i w każdych warunkach.

– Buchanka?

– Że do chleba podobna.

Spojrzała wymownie na Smugę, spojrzała na pojazd w kolorze ciemnej zieleni, obeszła go dokoła. Faktycznie, kształtem przypominał wyjęty z formy bochenek chleba albo ciasto, keks na przykład. Właściwie ta jego bezpretensjonalna brzydota budziła sympatię, ale na pewno nie budziła zaufania. Wyobrażała sobie ogromnego range rovera albo toyotę wielkości domku letniskowego, z kominami, relingami pełnymi reflektorów i wyciągarką na chromowanym zderzaku, a to wyglądało jak dostawczak, którym w latach osiemdziesiątych rozwożono towar po GS-ach na Suwalszczyźnie.

– Ale tam, gdzie jedziemy, są normalne drogi, tak? Nie będziemy tym wjeżdżać w żaden off-road?

– Jasne.

10

Na początku nie było nawet tak źle. Jeśli chodzi o drogę. Odśnieżona, asfaltowa, w miarę równa, jechali wzdłuż wybrzeża, po jednej stronie mieli tory kolejowe, po drugiej pokrytą śniegiem plażę i Ocean Spokojny. Wiatr od morza wydmuchał w zaspach fantastyczne kształty, wystające z wody kamienie i niewielkie wysepki pokryły się lodem i szrenią, zamieniając w dziwaczne rzeźby, ze sterczącymi we wszystkie strony soplami, widok tak niecodzienny i tak piękny, że starała się nie mrugać, aby nic nie stracić z pejzażu, który się przed nią rozciągał.

Chciałoby się powiedzieć, że to pejzaż nieskalany cywilizacją, ale niestety cywilizacja otaczała ją w sposób aż nadto inwazyjny. Buchanka być może z zewnątrz wyglądała rozkosznie, ale w środku prezentowała się jak samochód, który w połowie taśmy produkcyjnej zyskał świadomość, zamrugał reflektorami i uciekł, zanim robotnicy zdążyli zamontować wyposażenie wnętrza. Goła

blacha, fotele ze skaju naciągniętego na stelaż, wszystkie elementy jak kierownica, pedały i różne ostre wajchy wyciągnięte na wierzch, niczym nieosłonięte, ostentacyjnie pozbawione jakiegokolwiek waloru estetycznego. Nawet nawiew był po prostu kawałkiem wystającej z podłogi uciętej rury, z której leciało ciepłe powietrze. Patrzyła na tę rurę i nie mogła przestać myśleć o tlenku węgla. O ludziach popełniających samobójstwo w garażach. Teoretycznie jest to powietrze ogrzane przez ciepło silnika, ale na ile ta instalacja jest szczelna?

Wyspa, przynajmniej na tym kawałku, nie wyglądała na bezludną, regularnie co kilkadziesiąt kilometrów mijali różne sioła, składające się z niewielkich brzydkich bloków i rozlatujących się brzydkich chałup, budowanych zapewne jeszcze przez więźniów w czasach kolonii karnej. Mało co trzymało pion i poziom, zabudowania nie tyle wyrastały, co wypływały z mazi, będącej beżową mieszaniną śniegu i błota. Odwracała wzrok i czekała na roгатki, żeby móc bez wstępu patrzeć za okno i znowu zachwycać się bajkowym pejzażem.

Spojrzała pytająco na Smugę, kiedy w jednej z osad zatrzymał się gwałtownie tuż za babą, sprzedającą z turystycznego stolika miejscowe rękodzieło, jakieś dziwaczne ogromne miski, nie zdążyła się przyjrzeć.

– Pora obiadowa – odpowiedział i wyskoczył, wpuszczając do środka lodowate powietrze.

Chwilę później trzasnęły drzwi z tyłu, Smuga wrócił i pojechali dalej tylko po to, żeby za kilka kilometrów zjechać na plażę w miejscu, gdzie zaspą na poboczu na to pozwalała. Buchanka zapadła się po osie w śnieg, zatrzymała i Zofia uznała, że to koniec ich przygody, ale po chwili manewrowania przez Smugę wajchami, buksowania w miejscu i śmiesznego telepania się na wszystkie strony, samochód dziarsko i jakby z zadziorną dumą wyjechał z zaspą na pokrytą twardym zlodowaciałym śniegiem plażę.

– Na dziś nasze biuro podróży przygotowało posiłek na świeżym powietrzu. Prosimy się zapiąć pod szyję – powiedział naukowiec, mrugnął i wysiadł, nie gasząc silnika.

Pomyślała, że z jakiegoś powodu Bogdan Smuga, którego miała za dość przystojnego i inteligentnego, ale poza tym raczej nudnego i schowanego za gardą naukowej rezerwy – co zresztą bardzo sobie



ceńła, uważając się za dokładnie taką osobę w wersji żeńskiej – zaskakująco odżył na tej wycieczce. Czy jej się to podobało? Czy raczej bała się wariata?

Zapięła parkę, naciągnęła komin i czapkę i wyszła w księżycowy krajobraz. Bzdura, jaki on księżycowy, zganiła się w myślach. Księżyc to kurz i szare kamienie, a to wygląda raczej jak zaprojektowana przez Gaudiego scenografia z poetyckiego filmu fantasy.

Pod stopami miała szorstki, pofałdowany lód zamarznętego, zmieszanego z piaskiem i kamieniami przyboju. W miejscach, gdzie jakiś kamień albo gruda lodu wystawały wyżej, wiatr ułożył za nimi wąskie pasy śniegu, jak pukle włosów układające się za zwróconymi w stronę wody głowami. Podeszła do szpaleru niezwykłych wież, żeby obejrzeć je z bliska. W lecie były zapewne rzędem niepozornych skał, ale zamarznęte rozbryzgi fal zamieniły każdy z tych kamieni w rzeźbę, z której na wszystkie strony sterczały śnieżne kolce, grzebienie, purchawki, nieskończona różnorodność kształtów i faktur zamarznętej wody.

Zdjęła rękawiczkę i przejechała delikatnie dłonią po czymś, co kształtem przypominało ptysia z wyciekającą bitą śmietaną. Śmieszne, pewnie tydzień temu wyglądało to inaczej, jutro może się zmieni, za kilka miesięcy zniknie. A za rok ocean i mróz stworzą inną rzeźbę. I za tysiąc lat. I za sto tysięcy. Plaża, kamień, ocean, zamarznęta woda.

Usłyszała kroki, Smuga stanął obok niej.

– A człowiek podnieca się do jajek Fabergé – powiedziała, czując, że mówi nie swoimi słowami, tylko Karola. – Zabawne.

– Zabawne – powtórzył Smuga. – Przykro patrzeć, jak jeden arogancki gatunek naczelnych doprowadza to wszystko do zagłady, ściskając do końca jajko Fabergé w dłoni i odchodząc z uśmiechem debila, przekonany, że coś ocalił.

– Przykro by też było zgładzić te naczelne.

– Dyskusyjne.

Spojrzała na niego, ale nie żartował.

– Serio?

– Jeśli pyta pani, czy chciałbym umrzeć, to nie, nie chciałbym, jasne. Ale byłoby mi pewnie tak samo smutno bez względu na

okoliczności. Skoro już ma mnie nie być, to świadomość, że razem z moim pokoleniem odchodzi cały ten durny, zły i wściekły gatunek, sprawia, że czuję się lepiej.

– Myślałam, że my, naukowcy, jesteśmy humanistami.

– Jesteśmy dziećmi natury. Jej piękna, siły, różnorodności, nieograniczonych możliwości tworzenia. Co by z nas byli za naukowcy, gdybyśmy swoje działania podporządkowali jednemu gatunkowi, tylko dlatego, że do niego należymy. Humanizm to odpowiednik nacjonalizmu albo religijnego fundamentalizmu, zdolny usprawiedliwić każdą podłość w imię człowieka. A człowiek jako idea, cóż, nawet starotestamentowy Bóg i Adolf Hitler wypadają przy nim blado, a ich krwiożerczość staje się niewinna, lokalna i na małą skalę. Podano do stołu.

– Słucham?

– Podano do stołu.

Obejrzała się. Faktycznie, obok buchanki, na szczęście po nawietrznej, ponieważ silnik pracował bez przerwy, Smuga ustawił rozkładany stolik i dwa krzesła. Na stoliku leżała kupiona od baby miska. Która – gdy Zofia podeszła kilka kroków bliżej – okazała się wielkim, czerwonym krabem. Tyle tylko, że z tego nikt nie wyjął mięsa, żeby je elegancko ułożyć w skorupce. Usiadła i spojrzała na leżące przed nią martwe stworzenie. Potem na Smugę po drugiej stronie stolika.

– Mam zapukać i poprosić, żeby się otworzył? – zapytała.

– Z utensyliów kuchennych mamy tylko to – odpowiedział i z niemiłosiernie brudnej skrzynki narzędziowej wydobył niemiłosiernie brudne, duże kombinerki, które w czasach stalinowskich służyły zapewne i do naprawiania buchanki, i do wyrywania paznokci więźniom politycznym. – Powinno się nadać.

Gestem wskazała, żeby brał się do roboty, nie wierząc w powodzenie tego przedsięwzięcia. Smuga najpierw oderwał wielką łapę czy mackę, czy nogę, czy jak to się nazywa, przełamał na pół, a potem – z widocznym wysiłkiem – zaczął ją miażdżyć kombinerkami. Patrzyła na niego, zagryzając wargi, żeby się nie roześmiać. I zastanawiała się, kim naprawdę jest Bogdan Smuga. Znoszona puchówka, tak stara, że odeszło z niej logo producenta. Wysokie buty z kawałkami dwóch cienkich linek wspinaczkowych

zamiast sznurówek. On nie kupił swojego sprzętu wczoraj. I nie trzymał go w szafie na wyjątkowe okazje.

W końcu naukowiec odniósł sukces, wyjął z nogi zaskakująco ogromny kawał mięsa, przekroił na swoim talerzu i przeniósł połówkę na jej talerz.

– Nieźle się pan odnajduje w tych warunkach, doktorze.

– Lubię outdoor – wzruszył ramionami i wgryzł się w kraba.

– Dziecko natury?

– Jak my wszyscy, czy to nam się podoba, czy nie. Proszę się nie bać, sprzedają ugotowane, nie jestem wariatem, który otruje panią surowym skorupiakiem.

Ukroiła kawałek i ugryzła. Myślała, że jest już gotowa na ten smak, ale krab od baby na Sachalinie różnił się od restauracyjnego tym, czym kupowane u bretońskiego rybaka ostrygi od tych z paryskiej restauracji. Ten smak, śnieżne rzeźby, mróz, bezkres sinego, groźnego oceanu, wyjątkowy zapach ryby, soli i zimna, pomyślała, że są takie chwile, gdy orgazm wydaje się nudnym i przereklamowanym sposobem spędzania czasu.

Chciała zaproponować przejście na ty i powiedzieć, że nie powinno jej tutaj być. Że córka w Warszawie na pewno za nią tęskni po tych kilku dniach. Że jej mąż traci pamięć i to jest takie strasznie trudne, i że powinna z nim być. I że nie wie, co robić, że nigdy nie była w takiej rozsypce, ale też wie, że to jedna z najbardziej wyjątkowych chwil jej życia. Chciała się żalić i płakać, żrać tego cholernego kraba, żeby ktoś ją zrozumiał i przytulił, i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

– Bardzo smaczne – powiedziała.

Do Rykowska dojechali o zmierzchu, cały dzień zajęło im pokonanie czterystu kilometrów, z każdym kolejnym jechali trochę wolniej, gdy zostawili za sobą Zatokę Cierpliwości i wjechali w interior wyspy, po pierwsze skończył się asfalt, po drugie zaczął się śnieg. Jechali niby utwardzoną, ale tak naprawdę gruntową drogą, zbudowaną jeszcze przez więźniów. Po obu stronach nasypu

ciągnęły się białe pola, które o innych porach roku musiały być bagnami, biorąc pod uwagę wystające ze śniegu martwe kikuty drzew i rachityczne brzoźki. Ze zmrożonym bagnem pewnie nawet buchanka by sobie nie poradziła, Smuga musiał myśleć o tym samym, ponieważ jechał ostrożnie, zwalniał na nielicznych zakrętach.

Rykowsko, w czasach Czerskiego jedna z najważniejszych osad na wyspie, po latach zamieniło się w standardową sowiecką wieś, tyle tylko, że położoną w pięknej, rozległej dolinie. Mieli ochotę przespacerować się śladami swojego bohatera, który spędził tu kilka lat zesłania, ale uznali, że szkoda na to czasu. W punkcie gastronomicznym nazwanym szumnie „kawiarnią” zasięgnęli języka i pół godziny później zajechali przed stojący na odludziu stary drewniany dom z błękitnymi okiennicami, wyróżniający się na tle innych dwukondygnacyjną wieżą i kratami w oknach.

12

– *Nie lzia!* – warknęła po raz kolejny doktor Ksenia Stiepanowna, po raz kolejny Zofia drgnęła, starając się nie podskoczyć.

Siedziała cicho, rozumiejąc co trzecie słowo z prowadzonej po rosyjsku rozmowy, która sprowadzała się do tego, że Smuga prosił, a Ksenia Stiepanowna odmawiała. Mikroskopijny gabinet musiał być także pokojem lekarskim i gabinetem zabiegowym, oprócz biurka i regału na papiery stało tu łóżko i szklana szafka z lekami i przyborami medycznymi. Na łóżku siedziała szczupła, młoda pacjentka z kaftanem bezpieczeństwa narzuconym na ramiona, jakby to była dzinsowa kurtka. Długie rękawy i troczki zwisały prawie do ziemi. Pacjentka, o bardzo czujnym i bardzo normalnym spojrzeniu, bawiła się jabłkiem, ale za każdym razem, kiedy podnosiła je do ust, lekarka krzyczała: „nie lzia”. Pacjentka opuszczała owoc i wracała do obracania go w dłoni, wyczekując na chwilę nieuwagi lekarki, żeby spróbować znowu. Cały czas bezskutecznie.

– Igor Piotrowicz jest pod opieką placówki, ale tutaj go nie znajdziemy – odezwał się Smuga do Zofii po polsku. – Chętnie nam

podadzą adres, jeśli przedstawimy zgodę z regionalnego oddziału ministerstwa zdrowia. Ze wszystkimi odpowiednimi pieczętkami.

Zofia Lorentz, nieodrodna córka cywilizacji Wschodu, doskonale wiedziała, że pieniąż o nazwie „pieczętka” jest walutą wymienialną, oszacowała lokalny kurs, wyciągnęła z portmonetki pięćdziesiąt dolarów i położyła na biurku.

– *Nie lzia!* – wrzasnęła Ksenia Stiepanowna.

Zofia drgnęła, nie wiedząc w pierwszej chwili, czy to do niej, czy do pacjentki.

Do pacjentki chyba, bo to od niej lekarka oderwała po chwili surowy wzrok, spojrzała na banknot, spojrzała na Zofię. Fryzurę miała wystylizowaną na Lindę Evans z *Dynastii*, pod kuriozalną tlenioną grzywką jej oczy doświadczonej kobiety patrzyły mądrze i czujnie.

– *Wy nie ponimajetie* – powiedziała. – *On charoszyj czietawiek.*

– *Tusu kuru?*

– *Tusu kuru* – powtórzyła poważnie lekarka.

– Panie doktorze, proszę mnie tłumaczyć – powiedziała i kontynuowała, robiąc krótkie pauzy, żeby Smuga nadażył: – Jestem historykiem sztuki i w ogóle mnie nie interesuje, co pan Igor robi, czym się zajmuje i czy jest dobry, czy zły. Interesuje mnie tylko historia, a tak się składa, że pan Igor pracował w muzeum i może coś o tej historii wiedzieć. Przejechałam dziesięć tysięcy kilometrów, zostawiłam w Warszawie dziecko i chorego męża...

– *Nie lzia!* – krzyknęła Ksenia Stiepanowna, a Zofia pomyślała, że jeśli to odnośnie do jej ostatnich słów, to nie mogłaby się zgodzić bardziej.

– ...i oczywiście mogę wrócić do Južnosachalińska, pisać podania, opłacać łapówki i wrócić tu za dwa tygodnie z pieczętkami. Ale proszę zrozumieć, że my nie jesteśmy policjantami, dziennikarzami ani łowcami sensacji. My też jesteśmy dobrymi ludźmi, którzy chcą spytać o stuletnie papiery. Tylko tyle.

Ksenia Stiepanowna bez słowa popatrzyła na nią, surowo zerknęła na pacjentkę, na dłuższą chwilę zawiesiła wzrok na Smudze i znowu spojrzała Zofii w oczy.

– *Ja nadziejus, szto wy nie osziblis* – powiedziała zdanie, którego Zofia nie zrozumiała.

Po czym zgarnęła banknot, wyciągnęła smartfon z kieszeni kitla i otworzyła Google Maps, żeby wytłumaczyć im, dokąd i którądy mają jechać. Zofia poczuła się rozczarowana, klimat wymagał, żeby szefowa psychuszki wyciągnęła ze starego kufra pozółkłe mapy z carskich czasów.

W ciszy chrupanie jabłka zabrzmiało jak wystrzał.

## 13

Dom Igora Piotrowicza leżał dwieście kilometrów dalej na północ, w najmniej ucywilizowanej części wyspy, której bardzo długo w ogóle nie kolonizowano, uznawszy, że „tam” zwyczajnie nic nie ma oprócz błota, kamieni, karłowatych sosenek i złej pogody. „Nic” okazało się miliardami baryłek ropy naftowej i kilometrami sześcinnymi gazu ziemnego, ale poza infrastrukturą wydobywczą cywilizacja jako taka ciągle nie mogła się tutaj przyjąć. Inżynierowie wydobywali, ropa płynęła, korporacje i oligarchowie rośli w siłę, a ludzie klepali biedę w wybudowanych przez katorżników chałupach i marzyli, żeby wynieść się jak najdalej z Przekłętej Wyspy, jak ją nazywał Czechow.

Po zmroku Bogdan Smuga zjechał z coraz gorszej drogi na polanę, która wydawała się idealna na nocleg. Płaska, na tyle obszerna, żeby nie stać w gąszczu tajgi, na tyle mała, żeby wiatr po niej nie hulał. Podejrzewał, że Zofia oprotestuje nocleg w buchance i przygotowywał sobie w myślach argumenty, które miały ją przekonać, że to znacznie lepszy pomysł niż pukanie od drzwi do drzwi i proszenie sachalińskich wieśniaków o gościnę. Buchanka może nie wyglądała, ale została naprawdę solidnie przygotowana do traperskiego życia na rosyjskich bezdrożach.

Argumenty na nic się nie zdały, ponieważ nie musiał ich użyć, towarzyska podróży bez słowa zaakceptowała ten plan. Wściekł się. Nie na nią, tylko na samego siebie, ponieważ nieposłuszny mózg od razu podpowiedział, że zgodziła się, ponieważ chce z nim zostać

sam na sam. Próbował wyrzucić z głowy tę myśl, wysiłek równie skuteczny, co próba uwolnienia się siłą woli od bólu zęba.

Uciekł w pracę. Kiedy ona czekała w kabinie, on przygotował część mieszkalną buchanki. Włączył gazowy piecyk, nabrał śniegu do czajnika i wstawił wodę na kocherze, pochował bagaże w szafkach, rozłożył śpiwory na małych kanapach po obu stronach stołu, które po kolacji zamienią się w prycze. Patrzył na te legowiska, oddalone od siebie o długość ramienia i mdliło go z emocji. Zabudowa miała możliwość opuszczenia stołu i stworzenia podwójnego łóżka, od razu w jego głowie pojawiła się myśl, żeby tak zrobić i rznąć głupa, że tak to projektant wymyślił. W końcu do niczego nie dojdzie, jeśli oboje nie wyrażą chęci, prawda? Kształt łóżka nie ma znaczenia.

Zaśmiał się cicho. Kurwa mać, co to są za myśli w ogóle. Ech, on ze wszystkich ludzi powinien wiedzieć najlepiej, że to banalna chemiczna reakcja przysadki na bodźce, rodzaj mózgowej alergii. Trzeba się uwolnić od ekspozycji na alergen, wrócić do Europy, wziąć za prawdziwą pracę, a nie szlajać po raz kolejny po zabłoconym końcu świata.

Wyjął suchy prowiant i zastukał w kawałek dykty, oddzielający część towarową od kabiny. Po chwili szamotania dykta odsunęła się i czarne oczy spojrzały na niego pytająco.

– Zapraszam panią profesorkę do apartamentu. Może pani zgasić silnik.

– Nie zamarzniemy?

– Radziecka myśl techniczna dała nam ogrzewanie.

– Czyli spłonimy, super. Już idę.

Przekąsili resztę mięsa z kraba, wypili po dwa kubki herbaty, po dwa kieliszki wódki. Zrobiło się na tyle ciepło, że mogli siedzieć bez kurtek. Trochę pogadali o Czerskim, o korzyściach z katorgi, o wszystkich polskich badaczach, których zesłano na Daleki Wschód i którzy zamiast grzecznie umrzeć na gruźlicę, zostawali pionierami nauk przyrodniczych, etnografii czy geologii. Potem wracali do Polski i zderzali się boleśnie z rzeczywistością, w której Kościół z sukcesami tropił heretyków, chcących opierać się w pracy naukowej na *Pochodzeniu gatunków* Darwina.

Zofia zdjęła polar, została w termicznej koszulce, trochę za dużej, musiała podwinąć rękawy, odsłaniając szczupłe przedramiona. W myślach walił się młotkiem po łbie za to, że od razu uznał te przeguby za seksowne, i zastanawiał się, czy tak samo wyglądają jej ramiona, łydki, uda. Szczupłe, prawie chude, smukłe, z wyraźnym rysunkiem żył. Alergen. Alergia. Przysadka. Spokój.

– To nie tylko to, że lubi pan outdoor, mam rację?

– W jakim sensie?

– Znam ludzi, którzy „lubią outdoor”, ale nie sądzę, żeby potrafili na Sachalinie nocować w środku zimy w buchance i rozbierać kraba kombinerkami.

Chciał sklecić jakąś odpowiedź, ale nie potrafił, zbyt rozkojarzony, zbyt skupiony na tym, żeby nie wyczytała jego emocji, mający ochotę walić łbem o ścianę buchanki, żeby stracić przytomność i odciąć się od bodźców, którymi go nieświadomie faszerowała.

– Zastanawiam się, czy nie jest pan poszukiwaczem przygód, doktorze.

– Słucham?

– Jak na biologa strukturalnego wyjątkowo dobrze odnajduje się pan w tej sytuacji. Czytałam, że niektórzy ludzie są wyposażeni w gen ryzyka, który skłania ich do szukania adrenaliny.

– Aha.

– Aha tak czy aha nie?

Skup się! – wrzasnął na siebie w myślach. Nauka, fakty, twarda wiedza, los rzuca ci koło ratunkowe, skorzystaj.

– Predyspozycje genetyczne, rezonans mózgu, amerykańscy naukowcy, mam zdrowy dystans do doniesień działu „nauka” w gazetach – powiedział.

– Dlaczego?

– Opowiem pani o martwym łososiu.

– Nie mogę się doczekać.

Usiadła bokiem do niego, podciągnęła kolana na kanapę i objęła je rękami. Jakaś osobna, specjalnie wydelegowana do tego część jego mózgu, działająca niezależnie od innych, z precyzją odnotowała wszystkie szczegóły tego ruchu. Opinający się na kolanach



i ramionach materiał termicznej bielizny, profil pośladków i biustu, śmiesznie ogromne stopy w wełnianych skarpetach.

– Czytała pani na pewno o fMRI. Wsadzają ludzi do rezonansu, badają aktywność mózgu i na podstawie tego stwierdzają, że tu jest obszar od gry w tenisa, tam od seksu, a jeszcze gdzie indziej od wyobrażenia sobie czekoladek z wiórkami kokosowymi. I ogłaszają w zależności od mody, że potrafią czytać w myślach albo komunikować się z ludźmi w komie, albo leczyć demencję.

– Ktoś mi powiedział niedawno, że o mózgu gównu wiemy.

– Mądra osoba. O mózgu gównu wiemy, ale w wielu innych dziedzinach też gównu wiemy, niezależnie od tego, czy chodzi o ludzką biologię, fizykę kwantową czy meteorologię. Jasne, coś tam wiemy, ale nie tyle, ile nam się wydaje. No i nigdy nie wiemy, czy nie okaże się za tydzień, że cała nasza zdobywana latami wiedza jest funta kłaków warta.

– Zdarza się?

– Bardzo często. Teoretycznie ci, których teorie obalono, powinni urządzać uroczysty bankiet na cześć nowego geniusza, który przysłużył się ich dziedzinie, zazwyczaj jednak robią wszystko, żeby geniusza udupić i zesłać do uczenia w szkole średniej.

– Proszę mi wierzyć, że w świecie historii sztuki nie jest inaczej.

– Widzi pani. Wracając do łososa, jacyś doktoranci kalibrowali sprzęt i wsadzili martwą rybę do fMRI, dla żartu zadając jej takie same pytania testowe, jakie zadaje się ludziom. Prosil, żeby wyobraził sobie grę w tenisa, pożądanie, modlitwę. I okazało się, że mózg martwej ryby rozświecła się w różnych rejonach w czasie badania. Zarejestrowali jego aktywność i zapisali we wnioskach, że albo nie doceniamy życia emocjonalnego martwych łososi, albo w metodologii badań mózgu kryje się poważny błąd.

Zaśmiała się głośno i szczerze.

– Czyli gen ryzyka nie istnieje?

Sięgnął po kurtki, które leżały na półce nad jego głową.

– Wyjdźmy na sekundę.

Zrobiła zdziwioną minę, ale zarzuciła kurtkę i wzięła buty bez sznurowania, tak samo jak on. Pomiedzy wielkimi buciorami i obszerną parką jej szczupłe nogi wyglądały nienaturalnie cienko, jak protezy z włókna węglowego.

Otworzył drzwi i wyszli. Zaczerpnął głęboko powietrza i zakasłał, musiało być ze dwadzieścia stopni mrozu.

Przeszli dwa kroki, Zofia zapadła się w śnieg i straciła równowagę.

– Ostrożnie – powiedział i delikatnie złapał ją pod ramię. – Jeszcze kilka kroków, odejźmy trochę od naszego rydwanu.

Brnąc przez kopny śnieg, podeszli do ściany lasu, obejrzeni się. Księżyc schowany był jeszcze albo już poniżej horyzontu, zanieczyszczenia świetlne na Sachalinie nie istniały, w suchym mroźnym powietrzu światło nie załamywało się w cząsteczkach wody i do ich oczu docierał blask każdej z gwiazd na tyle silnej, żeby jej światło zdołało dolecieć do Ziemi, przebić się przez atmosferę i trafić na siatkówkę. Droga Mleczna, rozciągająca się jak obręcz z zachodu na wschód i przechodząca przez zenit nad ich głowami, wyglądała jak pas fluorescencyjnej farby, pociągnięty pędzlem po niebie.

– Czy trzeba mieć jakiś specjalny gen, żeby tego szukać? – zapytał.

14

Obudziła się w środku nocy, podniecona tym dziwnym nierealnym pożądanym, z jakim czasami wychodzimy ze snu. Na dodatek spociała się jak mysz, ogrzewanie buchanki działało aż za dobrze, w połączeniu z grubą bielizną i puchowym śpiworem sprawiło to, że cała się lepiała, nie cierpiała tego uczucia. Zła, rozpięta zamek, skopała z siebie śpiwór i leżała na wznak, wsłuchując się w ciszę i patrząc w ciemność.

Korciło ją, żeby sobie zrobić dobrze, rozgrzane erotycznym snem podbrzusze ciągnęło jej rękę jak magnes, poza tym po to dobry Bóg dał nam masturbację, żebyśmy przeżywali niezapomniane orgazmy ze sobą właśnie w takich okolicznościach, na leśnej polanie pod rozgwieżdżonym syberyjskim niebem.

Ale nie miała pewności, że robi to bezgłośnie, a wolałaby uniknąć sytuacji, kiedy zaniepokojony hałasami Smuga zapala swoją bardzo profesjonalną, traperską czołówkę, zamieniając wnętrze

sowietwozu w scenę teatralną, na której ona wije się z ręką w termicznych gaciach.

Tak że tak.

Mogłabym też go szturchnąć, pomyślała, i powiedzieć: „hej, doktoru, a może byśmy się tak bzyknęli”. Intelktualnie śmieszyła ją metamorfoza Zandberga-laboranta w Zandberga-trapera, który kombinerkami rozrywa kraba na strzępy, ale jakiś dziwny atawizm, do którego nigdy by się nikomu nie przyznała, sprawił, że od razu zyskał na atrakcyjności. Nie dziwne, biorąc pod uwagę, że miłością jej życia jest przemądrzały, szybko myślący awanturnik, z dużą alergią na cywilizację bzdury i ściemy. Bardziej sarkastyczny, bardziej bezpośredni, ale jakoś tam podobny. Mentalnie przynajmniej, fizycznie jej mąż bardziej wpasowywał się w jej typ zadziornego, szczupłego, rozczochranego chłopca niż brodaty drwal o przepaszającym spojrzeniu. Z drugiej strony, im bardziej o tym myślała, tym bardziej fantazja, żeby dosiąść zniecka drwała w ciemnej buchance, włożyć mu palce we włosy na kłacie i zafundować sobie porządny orgazm, zanim tamten na dobre się obudzi, tak, to nie była zła fantazja.

Której spełnienie znajdowało się na wyciągnięcie ręki, pan doktor pewnie by się zbyt długo nie opierał, wczoraj gapił się na nią tak, że nawet termiczne gacie poczuły się zakłopotane, najwidoczniej syberyjskie powietrze dobrze robi na libido. Czują to napięcie, dlatego siedziała cicho, kiedy stali tam pod gwiazdami, a jej przyszedł do głowy dawno nieczytany Barańczak. To znaczy, wiedziała, że to Auden, ale i tak nazywała te wiersze „Barańczakami”.

*I gdyby gwiazdy wchłonął kosmosu atrament,  
Nauczyłbym się patrzeć na pusty firmament  
I czuć na widok mroku te same wzruszenia  
Choć to by wymagało czasu i ćwiczenia.*

Stała tam i myślała, że te słowa stanowią idealny komentarz do rozważań, ile w zachwytach nad naturą jest nas samych, a ile tejże natury. Ale, jak mawiają mądre matki, nie chcesz chłopu dawać nadziei, nie cytuj mu wierszy w syberyjską noc. Zwłaszcza takich, w których padają zdania, że „jeżeli miłość nigdy nie jest jednakowa, niech to ja będę zawsze tym, kto bardziej kocha”.

Sikać jej się zachciało. Wiersze, gwiazdy, fantazje, orgazmy, a koniec końców sikać się chce, *wot zizń*. Cicho zlazła z pryczy, wciągnęła buciory, wzięła chusteczki i uznała, że to jej wystarczy, nie chciała skakać po Smudze, szukając swojej parki. Wymacała klamkę, delikatnie otworzyła drzwi i wyszła w mróz i szary mrok przedświt. Ciągłe noc, ale gwiazdy już zbladły, szczyty świerków i modrzewi wyraźniej odznaczały się na tle nieba. Wciągnęła głęboko powietrze, przeciągnęła się. Zimno, ale i tak miała wrażenie, że tutejsze minus dwadzieścia jest łagodniejsze niż warszawskie plus dwa, kiedy mokry ziąb potrafi oblepić każdą molekułę ludzkiego ciała.

Przeszła kawałek po ich śladach z wczoraj, nie chcąc, żeby pierwszym, co Smuga zobaczy po otwarciu drzwi, była żółta plama na śniegu. W końcu znalazła miejsce nadające się na latrynę, opuściła kalessony i ukucnęła, uważając, żeby nie dotknąć pośladkami zimnego puchu. Ulżyła sobie, myśląc, że zaiste dziwne musi być mięso kraba, skoro jej siki wydzielają zapach mokrego psa. A może to ta wódka na jakichś ziołach? Pociągnęła nosem. Dziwne.

Obok niej też ktoś pociągnął nosem.

Bardziej zaskoczona niż przestraszona odwróciła głowę i metr od swojej twarzy w szarym świetle zobaczyła coś, co faktycznie wyglądało jak psia trufla, nienaturalnie duża, tak wyglądałby nos owczarka niemieckiego, gdyby owczarek niemiecki ważył pół tony. Za nosem zobaczyła pysk, dalej sympatyczne oczka i brązowe okrągłe uszka, sterzące po bokach płaskiego łba wielkości wiadra.

Mierzyli się wzrokiem, niedźwiedź siedząc spokojnie, w pozycji Angeliny Jolie pozującej na szeszlangu, ona kucając w pozycji narciarskiej. Myślała o stu rzeczach, wszystkie głupie. Najbardziej, że być może powinna skorzystać z toaletowego przykucu i się zesrać, bo przecież „niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je”. I że skoro wszyscy jesteśmy dziećmi natury, to być może nie ma co wzywać Smugi na pomoc, bo on i tak jest po stronie misia. I że nie powinna myśleć „miś”, bo przecież „niedźwiedź to nie miś”, jak ostrzegają tablice porozstawiane wszędzie w Tatrzańskim Parku Narodowym.

Drapieżnik poruszył śmiesznie uszkami, przestraszyła się, straciła równowagę i pisnęła, upadając tyłkiem w śnieg i niestety, w swoje

siki. Nagły ruch zaskoczył niedźwiedzia, a dzikie zwierzęta nie lubią zaskoczeń. Potrząsnął łbem, prychnął, stanął na czterech łapach i rozejrzał się podejrzliwie, naprawdę sprawiał wrażenie ogromnego psa.

– Dobry piesek, dobry – powiedziała przez ściśnięte gardło, bo tylko to jej przyszło do głowy. – *Nu, choroszaja sabaczka.*

Sabaczka spojrzała podejrzliwie, zrobiła dwa kroki w jej stronę i to było zbyt wiele. Profesorka Zofia Lorentz zaczęła się drzeć wniebogłosy, a przestraszony drapieżnik stanął na tylnych łapach, zamieniając się z pieska w przerażającego potwora, musiał mieć ponad dwa metry wzrostu, na tle bladego nieba wyglądał jak czarny cień, bardziej jak duch niedźwiedzia niż prawdziwe zwierzę.

Zaczęła pełznąć tyłem, lodowaty śnieg wpadał jej za kołnierz, ściągnięte do kolan kalesony i majtki działały jak kotwica, niedźwiedź ryczał i szedł w jej stronę, ona wrzeszczała, myśląc, że gdyby wiedziała, to jednak dosiadłaby Smugę przed sikaniem, że to straszne, że nie zobaczy nigdy Kasi i w ogóle nikogo nigdy, i że życie jest, kurwa, nie fair. Wtedy trzasnęły drzwi buchanki i po tajdze poniósł się straszny śpiew, gorszy pod wieloma względami od ryku niedźwiedzia.

– Jeszcze Polska nie zginieeeeeeeła, póki my żyjemy, co nam obca przemoc wzieeeeeeeeeła...

Ona przestała się drzeć, niedźwiedź przestał ryczeć, jednocześnie spojrzeli w stronę Smugi, który nie przestawał śpiewać, łomocząc jednocześnie pięściami w karoserię buchanki i idąc wzdłuż jej boku w stronę kabiny kierowcy.

– Marsz, marsz Dąbroooooowski, z ziemi włoskiej do Polski, za twoim przewodem, złączym się z narodem, marsz, marsz Dąbroooooowski!

Przy drugim Dąbrowskim Smuga wydarł się przeraźliwie, jednocześnie podskakując i waląc w blachę, a kiedy niedźwiedź w końcu zareagował, opadł na cztery łapy i ruszył w jego stronę, otworzył drzwi od strony kierowcy i sięgnął do środka.

– Przejdziem Wisłę, przejdziem Waaaaartę... – dobiegło z wnętrza furgonetki przytłumione zawodzenie, a po chwili Smuga wynurzył się z szoferki i po lesie poniósł się gromki ryk: – ...będziem Polakaaami!

Równocześnie wyciągnął do góry rękę, huknęło i w niebo poleciała raca. Niedźwiedź zaryczał, zakręcił się w kółko, ale zamiast odbiec w las, znowu zainteresował się Zofią. Raca opadała pomału na spadochronie, a ona patrzyła przerażona na coraz lepiej widocznego w pomarańczowym świetle drapieźnika, kątem oka odnotowując, że Smuga przeładowuje raketnicę i biegnie w ich stronę.

– Nie płacz Zosiu, jeno naaaaaasi bębnią w barabany!

Żałowała, że nie ma jak przekazać Karolowi, aby na jej nagrobku wyrył: „Profesorka Zofia Lorentz. Zginęła, słysząc głupi dowcip”.

Bogdan Smuga złożył się do strzału, z niewiadomych przyczyn celując między jej nogi, i strzelił. Huknęło, raca wbiła się w śnieg między nią a niedźwiedziem, sycząc, dymiąc, strzelając iskrami i oślepiając pomarańczowym blaskiem. Tego było sobaczce zbyt wiele, zwierzę uciekło w las, kołysząc ogromnym cielskiem, wyraźnie zde gustowane zachowaniem innych dzieci natury.

A jej zakręciło się w głowie, pociemniało przed oczami i wyłączyło przytomność.

## 15

Pamiętała to uczucie z kilku operacji, jakie musiała przejść kilka lat temu po tym, jak zaatakowano ją nożem. Zrozumiała wtedy, jaka jest różnica pomiędzy „obudzić się” a „ocknąć się”. Ze snu wydobywamy się pomału, jak starszy człowiek schodzący ostrożnie po drabince do zimnej wody w basenie. Z nieprzytomności – jak nastolatek skaczący do wody: chlups. Tak też się ocknęła. Otworzyła oczy i chlups, witamy w rzeczywistości wnętrza sowietwozu, pachnącego kawą i smażonymi jajkami.

Usiadła, miała na sobie męskie spodnie i bluzę od dresu.

– Przepraszam – powiedział Smuga, odwracając się od kuchni – ale miałem wybór, żeby albo zostawić panią w mokrych zaśnieżonych ciuchach, albo grzebać w pani rzeczach, albo dać coś swojego. Uznałem, że pierwsze byłoby niezdrowe, drugie stanowiłoby naruszenie prywatności, stąd ten dres. Czysty.

Zastanowiła się, czy fakt, że obcy facet, z którym komunikowała się za pomocą form grzecznościowych, przebierał ją nieprzytomną, raczej ją zawstydza, raczej podnieca czy po prostu ma to gdzieś. Po chwili uznała, że absolutnie ma to gdzieś, cieszy się, że ma na sobie suche ciuchy i tyle. A i on raczej nie mdlał z rozkoszy, zdejmując jej przemoczoną koszulkę z nieprzytomnego, lodowatego ciała. Dzieci natury.

– Nie wiem, co powiedzieć – zaczęła.

– Ja wiem – przerwał, stawiając na stoliku patelnię z jajecznicą. – Musimy się dowiedzieć, do kogo się zgłosić, żeby wpisali nas do podręcznika historii Polski.

– Bo?

– Bo jest tam mnóstwo ludzi, którzy przez te nuty zginęli, ale pani byłaby pierwszą, której melodia hymnu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej uratowała życie.

Mogła tego nie mówić, ale nie potrafiła się powstrzymać.

– Nie jestem pewna, czy to była ta melodia.

16

Kiedy mówił, że buchanka mogłaby dojechać do Moskwy „na azymut”, mimo wszystko trochę koloryzował. Jak większość pojazdów lądowych, poza poduszkowcami i czołgami, potrzebowała chociaż namiastki drogi, żeby się poruszać. Tymczasem odjechali od głównych traktów, zaczął padać drobny, gęsty śnieg i trudno było dociec, czy bezleśny fragment to droga, polana, bagno czy być może skuta cienkim lodem i przysypana śniegiem rzeka.

Niemniej, małymi krokami, porównując co chwila krajobraz z satelitarną mapą, znajdowali się coraz bliżej celu. Po śniadaniu nie wracali w rozmowie do wydarzeń z poranka, co nie stanowiło wielkiego wyzwania, ponieważ nie rozmawiali w ogóle, każde pograżone w myślach. Cieszył się, że awantura dobrze się skończyła, ale mimo to echa strachu wracały mdlącymi falami. Działał absolutnie na ślepo, zgodnie z teoretyczną wiedzą, że jeśli nie zadziała łagodne oddalenie się od niedźwiedzia, to najlepiej go nastraszyć gwałtownymi hałasami. Dlaczego hymn? Potrzebował

czegoś z werwą i przytupem, teraz myślał, że mógł wybrać coś bardziej z jajem, Kazika albo Beatę Kozidrak, ale w tamtej chwili tylko hymn przyszedł mu do głowy. A z racami pomógł przypadek, poprzedniego dnia natknął się na skrzynkę pod siedzeniem, kiedy usiłował wymacać wajchę do regulacji fotela.

Zadziałało, ale pamiętał rosnącą histerię i przeświadczenie, że zaraz będzie świadkiem, jak sachaliński niedźwiedź brunatny rozszarpuje Zofię na strzępy. Nawet kiedy zwierzę uciekło, nie był pewien, czy tak się nie stało, podchodził do niej, spodziewając się widoku rozwleczonych po śniegu flaków.

Jak przez mgłę pamiętał, że zaniósł ją do buchanki, rozebrał, wytarł i przebrał w swoje ciuchy. Co za ironia, miał jej nagie ciało przed sobą i nie pamiętał nic, żadnego szczegółu, jakby ubierał w swój stary dres manekina z wystawy.

– Proszę spojrzeć, wydaje mi się, że to w dolinie za tym grzbietem – powiedziała.

Wyhamował i spojrzął na trzymany przez nią tablet.

– To by się zgadzało, pytanie, jak tam idzie droga.

– Dojazd do posesji. Na pewno nie jest zaznaczona.

– A na zdjęciu satelitarnym? – zapytał.

– Nie ma. Pewnie gdzieś idzie przez las, między drzewami.

– Przejedźmy kilka kilometrów, może coś zobaczymy.

Przejechali, nie zobaczyli. Wrócili, przejechali w drugą stronę.

– Zatrzymajmy się – poprosiła.

Stał pośrodku drogi, spokojny, że z żadnej strony nic nie nadjedzie, od wczoraj nie minął ich żaden samochód, dlaczego teraz miałyby być inaczej. Bycie „pośrodku wyspy” Europejczykom kojarzy się z Gotlandią, Maltą czy Teneryfą, zamieszkanymi niewielkimi kawałkami lądu na morzu. Sachalin na mapie Europy sięgałby od Berlina do Florencji, a mieszkało tu niecałe pół miliona ludzi, z czego połowa w Jużnosachalińsku. W taką pogodę mógł nie tylko zatrzymać się pośrodku bocznej drogi, ale nawet rozbić namiot i pójść spać.

– Tu jest przecinka w lesie, a na zdjęciu satelitarnym widać, na dużym powiększeniu trochę nieostre, ale wydaje mi się, że to ukosem jeżdża do domu w dolinie. Co pan na to?



– Spróbujmy – powiedział, starając się, by jego głos nie zdradził nadziei, że coś pójdzie nie tak i utkną na bezludziu na kolejną noc. – Aż tak nie sypie, żebyśmy nie mogli się w razie czego wycofać.

– Teraz prędko, zanim dotrze do nas, że to bez sensu – powiedziała i roześmiała się głośno.

Spojrzał pytająco.

– Cytat z bajki dla dzieci, nieważne.

– Dobry.

Wrzucił napęd na cztery koła, zredukował i wjechał w przecinkę. Zapowiadało się nieźle, w lesie leżało mniej śniegu niż na drodze, buchanka kolebała się po buchankowemu, ale dzielnie pokonywała kolejne metry. Dukt szedł trochę w górę, trochę w dół, w zagłębieniach musieli się przedzierać przez stawy zmrożonego błocka, ale jakoś to szło.

– Jak? – zapytał.

– Jakieś półtora kilometra i jesteśmy – odpowiedziała.

Te słowa miał zapamiętać na długo. Biały las pod szarym niebem, prószący śnieg, nadciągający pomału zmierzch, droga z brązowymi plamami w miejscach, w których wybijała wieczna zbłotlina. Metaliczny zapach buchankowego ogrzewania, zmieszany z zapachem paliwa, damskimi perfumami i ciągle wyczuwalnym aromatem jajecznicy na maśle. Drapiąca go od środka pazurami reakcja na jej alergeny i te słowa: jakieś półtora kilometra i jesteśmy.

Trzy mola w Sopocie. Dwa mosty Łazienkowskie. Spacer z Rynku na Kazimierz. Jeden tor bobslejowy. Niewiele.

Wgramolił się na kolejną górkę, która okazała się szczytem grzbietu i skierował buchankę w lewo, tak jak prowadziła przecinka. Mniej więcej prowadziła, bo na wierzchołku drzew w ogóle było mniej, zastąpiły je karłowate krzaki, lepiej przystosowane do surowego klimatu. Wiatr sypnął śniegiem, zasłonił widok, ale uznał, że jedzie we właściwą stronę. Teraz droga, o ile była tam jakakolwiek droga, wiodła łagodnie w dół. Wolno, bardzo wolno i bardzo bezpiecznie zaczął zjeżdżać, uważając, żeby koła się nie zablokowały.

– Chyba coś widziałam – powiedziała Zofia, nachylając się do szyby.

– Coś?

– Jakby prostokąt niebieski, dach może.

Jak na złość podniósł się tuman śniegu, jechał pomału, dukt na chwilę się wypląszczył, od razu zamieniając w bajoro błota, Smuga przyspieszył, żeby nie utknąć, buchanka majtnęła w lewo, majtnęła w prawo i wyskoczyła po drugiej stronie rozpędzona, zadowolona, gotowa pokonać ostatnie metry do celu. Gdyby mogła, krzyknęłaby: „dawaj!”.

Śnieg rozwiął się i zobaczyli przed sobą biegnący w dół parów, szerokości około czterech metrów, zapewne drogę prowadzącą do domu. Smuga nie miał wielkiego wyboru, mógł albo zatrzymać się, ryzykując utknięcie, albo skierować rozpędzoną po manewrze buchankę w wylot wąwozu. Wydawało się to rozsądnym posunięciem.

Na początku szło całkiem nieźle, auto może odrobinę za szybko, ale ciągle pewnie jechało w dół, z boku gliniasto-błotne ściany wąwozu wznosiły się coraz wyżej, dając poczucie bezpieczeństwa. Zakręt w lewo, zakręt w prawo, buchanką zarzuciło, tył furgonetki zawadził o zbocze, ciągle wydawało się to raczej zabawne niż groźne.

I wtedy dno wąwozu raptem opadło, buchanka gwałtownie przyspieszyła na stromiźnie, on w panice nacisnął hamulec, koła się zablokowały, straciły przyczepność i nagle dwutonowy dostawczak zamienił się w dwutonowy bobslej, rozpędzający się w rynnę ze śniegu i błota, mieszanki dającej znacznie lepszy poślizg niż lodowy tor.

– Może by pan zwolnił trochę – powiedziała Zofia przez ściśnięte gardło, zapierając się dłońmi o blachę deski rozdzielczej. Śnieżno-błotny wąwóz może i zapewniał lepsze przyspieszenie niż lód, ale na pewno był bardziej wyboisty, każdy korzeń i kamień wprawiał buchankę w dygot, który wstrząsał nimi od stóp do czubka głowy.

Auto podskoczyło i zarzuciło tyłem, skontrował bezskutecznie, od sunięcia bokiem i wywrotki ocaliła ich ściana wąwozu, od której samochód odbił się rufą i jakoś przy pomocy Smugi wrócił na swój tor.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparł, patrząc ze zgrozą na zbliżający się łuk wąwozu. Jeśli nie uda mu się skrócić, uderzą

czołowo o błotną ścianę, która zapewne stanie się ich grobowcem, nie wierzył w kontrolowane strefy zgniotu w konstrukcji z lat pięćdziesiątych.

Jedynym kierowcą sowietwozu stała się grawitacja, naciskanie przez Smugę pedałów i kręcenie kierownicą dawało mniej więcej takie rezultaty, jakby próbował kontrolować tor jazdy, przemawiając czule do buchanki i prosząc, żeby się posłuchała. Tak więc Smuga wciskał i kręcił, a grawitacja robiła swoje i nadawała pojazdowi wektor, skierowany centralnie w burą, najeżoną wystającymi korzeniami i kamieniami ścianę.

– Proszę coś zrobić – wychrypiała Zofia.

Zrobił. Jedyne, co mu przyszło do głowy. Tuż przed zakrętem skręcił gwałtownie kierownicą, uznając, że wywrotka i dachowanie są lepszą opcją niż centralne wyrżnięcie w ścianę wąwozu.

Podwozie buchanki zajęczało, kiedy skręcone przednie koła zaczęły ryć błoto, auto pochyliło się do przodu, jakby z zamiarem zrobienia fikołka, ale zaraz opadło i wjechało w zakręt jak rasowy bobslej, siła odśrodkowa sprawiła, że wjechali na ścianę i jechali teraz nachyleni pod kątem czterdziestu stopni, niestety wcale nie wolniej. Manewr wyszedł tak wzorowo, że nie stracili nic ze swojej prędkości.

I pędzili na następny wiraż.

Smuga, nauczony doświadczeniem, postanowił pogodzić się z tym, że mimowolnie został bobsleistą, i kiedy grawitacja ściągnęła auto na dno wąwozu, przed kolejnym wirażem raz jeszcze skierował ją na ścianę i znowu buchanka w zakręcie wystrzeliła do góry – tym razem jadąc pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Zofia krzyknęła, patrząc w dół przez okno po stronie pasażera.

Bogdan Smuga pomyślał, że to się nie może skończyć dobrze i że szkoda, że w przeciwieństwie do większości samochodów w Rosji nie mają kamery zamontowanej na desce rozdzielczej, zostaliby pośmiertnie legendami YouTube'a.

Wąwóz cały czas opadał długim łukiem, buchanka pędziła po jego zboczu niczym rozpędzony bobslej, strzelając błotem na wszystkie strony, korzenie łomotały o podwozie, Zofia kurczowo zapierała się rękami, żeby nie leżeć na drzwiach, on równie kurczowo trzymał się kierownicy.

I wtedy wydarzyły się jednocześnie dwie rzeczy.

Po pierwsze zobaczyli koniec wąwozu i stojący zaraz za nim domek. Żadna chata na kurzej łapce albo romantyczna syberyjska rezydencja z bala, ot radziecki domek z pustaka, z plastikowymi oknami i dachem z pomalowanego na niebiesko eternitu. Stał blisko. Bardzo blisko. Wyglądało na to, że wystrzelą z jaru jak z procy i wjadą na pełnej petardzie przez sień do salonu, zabijając siebie i wszystkich, którzy mają pecha być w środku.

Po drugie usłyszeli gwałtowne łomotanie w dach. Wąwóz zwęzał się i wystające korzenie waliły teraz w furgonetkę i od dołu, i od góry.

To ich uratowało. Łomotanie zamieniło się w szuranie, rozbryzg błocka zalał całą przednią szybę, jadąca bokiem buchanka zwolniła, a po chwili zatrzymała się gwałtownie, zaklinowana kołami i dachem między ścianami wąwozu, dobre dwa metry nad jego dnem. O dziwo, silnik cały czas pracował.

Popatrzyli po sobie. Smuga włączył wycieraczki, które starły z przedniej szyby mieszaninę śniegu i błota, dzięki czemu zobaczyli otwarte drzwi do domu i stojącego w drzwiach mężczyznę. Patrzył na nich ze spokojem człowieka radzieckiego, którego nic nigdy w życiu nie zaskoczyło i nigdy nie zaskoczy, bo wiadomo, *żizń*.

– Czy mi się wydaje – powiedziała Zofia – czy tam stoją żerdzie z nabitymi głowami psów?

## Rozdział 7. Dzieci natury

*Kobieta z uzębionym przyrodzeniem • Inessa będzie niedźwiedzią macią •  
Kim tak naprawdę jest Bogdan Smuga? • Zmartwychwstanie buchanki •  
Sekret długowieczności i zdrowy plemion Syberii • Harmonia •  
Czarownik z Petersburga • Narody to najgorszy wynalazek ludzkości •  
Poczuła się zupełnie naga.*

1

Profesorka Zofia Lorentz gapiała się na zawieszony nad framugą odpustowy plastikowy zegar ozdobiony wizerunkami zapatrzonych w dal Putina i Miedwiediewa, myśląc, że ma dość Rosji. Krabów z innego wymiaru, czepialskich niedźwiedzi, sowieckich kamperów, bezludzia, zimna, pieprzonego błočka, ocierania się o śmierć, a nade wszystko jurodiwego spod eternitu, który nieporadną rusko-polszczyzną sprzed stu lat kończył właśnie opowiadać, jak to ajnusczy wojownicy przechytrzyli kobietę z uzębionym przyrodzeniem.

– Kiedy wytrysk miał już nastąpić – mówił Igor Piotrowicz z miękkim, rosyjskim akcentem – Ajnu wyciągnął swój członek i było słychać, jak włożył w głąb jej pochwy czerwoną osełkę i naraz potem było słychać, jak ta czerwona osełka została zmiądzona.

Starąła się. Naprawdę się starała. Ale nie potrafiła sobie wyobrazić słyszalnego dźwięku, jaki wydaje włożona w pochwę czerwona osełka. Dlaczego osełka? Dlaczego czerwona?

Uznała, że polityczniej będzie nie zadawać tych pytań, i pozostawiła Smudze honor prowadzenia konwersacji, samej zastanawiając się, czy czegoś naprawdę mogą się tutaj dowiedzieć. Igor Piotrowicz był wariatem. Może nie w sensie poważnego psychiatrycznego schorzenia, ale w sensie dziwactwa tak totalnego, że wyrzucającego go poza granice wszelkich norm. Mężczyzna,

w przeciwieństwie do kędzierzawego przystojniaka z Jużnosachalińska, w końcu wyglądał na nastajaszczego Ruska. Dziobata okrągła gęba, nos jak kartofel, cztery czarne zęby, grzywka z rzadkich blond włosów i oczy w kolorze deszczowego nieba. Igor Piotrowicz wierzył, że jest – a może faktycznie był, pomyślała, że nie jej to oceniać – ajnuskim szamanem. Który dzięki pismom Benedykta Czerskiego nauczył się, jak rozmawiać z duchami, przepędzać demony, wyganiać choroby, odczyniać uroki i czym tam się jeszcze szamani zajmowali. Jeśli wierzyć wystrojowi wnętrza, na pewno grą na bębnach, gdyż tych stała pod ścianą pokaźna kolekcja, widocznie różne duchy wymagały różnego bębnienia.

– I jaka z tego płynie nauka? – zapytał Smuga, autentycznie zainteresowany.

– Piękne może być złe, ale jeśli złe zostanie zniszczone, wróćcie do waszego kotanu z drogocенnościami i będziecie o tym opowiadać ludziom, którzy rosną później.

Ja piernicę, pomyślała Zofia i pokiwała z szacunkiem głową, patrząc na „drogocенności”, którymi zostały tutaj obwieszane całe ściany i które mogły być wotami, przyniesionymi szamanowi w podzięce. Oprócz jej ulubionego zegara na przyczepionych do ścian dywanach wisiało jeszcze kilka podobizn Putina, mnóstwo radzieckich orderów, zatrzesienie prawosławnych ikon, trochę wariacji na temat japońskich grafik, najróżniejsze przedstawienia niedźwiedzi i wilków, w tym pluszowe, i coś co, głowę by dała, stanowiło wierną kopię Matki Boskiej Częstochowskiej.

W drzwiach do kuchni pojawiła się gospodyni.

– *Jużin podan* – zaanonsowała.

Zofia z ulgą podniosła się z kanapy, czuła się rozbita wydarzeniami tego dnia, potrzebowała zebrać myśli, zjeść coś, zastanowić się. Przeszła do kuchni, obawiając się widoku szamańskiej potrawy z marynowanych nietoperzy w sosie ze śluzu salamandry, ale prosty obiad, podany na nakrytym ceratą stole, składał się z podanych jednocześnie zupy kartoflanki i pielmieni ze śmietaną. Proste, pyszne.

– *Spasiba, Inesso* – powiedziała do gospodyni.

Inessa skinęła głową. Myślała o niej „gospodyni”, ponieważ Igor Piotrowicz nie wyjaśnił im, kim jest kobieta. Żoną? Kochanką?

Asystentką? Koło trzydziestki, młodsza od Igora ze dwadzieścia lat. Miała północną urodę, trochę dziką, kto wie, może pochodziła z jednego z lokalnych plemion. Bardzo czarne włosy, w nieładzie, z kilkoma pasmami siwizny. Pucułowate policzki, delikatnie azjatyckie rysy, zero makijażu. Bezkształtna lniana sukienka, narzucona na krępe ciało, składające się głównie z epickich bioder i epickiego biustu. Jeśli szaman potrzebował do swoich rytuałów personifikacji pogańskiej bogini płodności – trafił bez pudła.

– Inessa będzie niedźwiedzią macią – powiedział Igor Piotrowicz z dumą. – Wiosenką przyjdzie do nas nieduży niedźwiadek, a Inessa wyżywi go własną piersią.

Inessa jadła ze znudzoną miną, jakby na co dzień dawała cyca lewiatanowi, więc mały niedźwiadek zapowiada miłą odmianę.

– Twoje o świtaniu spotkanie, Zofio Edwardowno, to oznaka, że duchy dla nas wielkoduszne – prawil szaman. – Bóg gór zszedł do cię jako niedźwiedź, ażeby przekazać swe upodobanie. Wyczuł, że ty córka wielkich i szlachetnych ludzi z dalekiego kraju, jak Benedykt. Duchy ci przychylają się, Zofio Edwardowno.

Miała ochotę powiedzieć coś zgryźliwego, ale poczuła, że zrobiłaby to wbrew sobie. Teoretycznie powinna być ledwo żywa z wściekłości. Najpierw omal nie rozszarpał jej niedźwiedź. Potem wiking laborant prawie ich zabił w blaszanej trumnie z silnikiem. A teraz siedziała w sachalińskiej chacie pod portretem Władimira Putina razem z byłym pracownikiem lokalnego muzeum, który zwariował i uwierzył, że jest ajnuskim szamanem, oraz z jego dziką nałożnicą szykującą się do karmienia niedźwiedzia gargantuicznym biustem. A jednak czuła spokój.

Dlaczego?

Może dlatego, że te niezwykle okoliczności uwolniły ją od nieodłącznej dla cywilizacji pozy, ściemy i stylizacji, całego tego – jak mawiał Karol – pozłotka, werniksu sztucznej podniety i autentycznej bzdury, którą wszystko było zazwyczaj suto posmarowane, a przynajmniej maźnięte. Tutaj wszystko wydawało się na miejscu, tak samo cerata na stole, jak rozlatujące się kuchenne szafki, koraliki w drzwiach, ikony i zegar z władcami Rosji. W tej autentyczności czuła ciepło dzieciństwa, kartoflanka

i pielmieni godnie zastąpiły rosół oraz mielonego z mizerią i tłuczonymi ziemniakami.

A może to świadomość tego, co na zewnątrz? Zwykle świat po obu stronach drzwi nie różnił się aż tak bardzo, cywilizacja pod dachem i cywilizacja pod gołym niebem, jedno i drugie oswojone jak stary, wierny terrier. Tutaj dom był sprowadzony do pierwotnej funkcji i nade wszystko stanowił schronienie, współczesną wersję jaskini, poza którą rozciągało się złowrogie królestwo nieokiełznanej, rządzącej się jedynie swoimi prawami natury.

Towarzystwo? Mogła się w duchu naśmiewać z mrukliwego Smugi, ale ceniła jego opanowanie. Owszem, to on ją naraził na niebezpieczeństwo, ale też on ją dwa razy ocalił, bez zbędnego słowotoku i nieustającego pieprzenia o tym, co się dzieje, zadziało i zadzieje. Inessa promieniała świadomym spokojem, a Igor Piotrowicz, musiała to przyznać, chociaż momentami bełkotał jak szaleniec, sprawiał przesympatyczne wrażenie rozsądnego i dobrego człowieka. Raczej mądry ksiądz niż nawiedzony prorok. Rozumiała teraz, dlaczego Ksenia Stiepanowna niechętnie dała im jego adres – o ile to miejsce ma jakiś adres – w obawie, że skrzywdzą „dobrego człowieka”.

A może zwyczajnie wystarczyły dwa dni bez internetu i zasięgu telefonu komórkowego, żeby opuściło ją patologiczne rozedrganie ery łączności, z którego nikt już nawet nie zdawał sobie sprawy, uznając za stan naturalny?

Inessa parzyła kawę w miedzianym tygielku, zwanym w Rosji „turką”. Ucieszyła się, napojem pierwszego wyboru w Rosji zwykle była herbata, którą lubiła tylko z miodem i cytryną, a i to tylko wtedy, gdy była przeziębiona.

– Igorze Piotrowiczu – mówiła wolno i prosto, rozumiała, że uczył się języka z pism Czernieckiego i jego polszczyźnie brakowało wiele do biegłości – zgodzę się z panem, że duchy są po naszej stronie, skoro się spotkaliśmy. Czuję, że nie chce pan rozmawiać o muzeum, ale nie jesteśmy z policji, nie jesteśmy z ministerstwa kultury, chcemy tylko zobaczyć teksty Czernieckiego, które – zawahała się – które bohatercko ocalił pan w czasie zalania magazynu.

Inessa podała kawę. Zofia upiła łyk i mało nie poprosiła o sztucę, tak gęstego szatana zaparzyła gospodyni.



– Dlaczego? – zapytał Igor Piotrowicz, patrząc przenikliwie swoimi smutnymi, dobrymi oczami.

Przygotowywała się do tyrady o nauce i kulturze, kiedy wtrącił się Smuga.

– A dlaczego pan jest tutaj? Dlaczego ktoś zostawia dobrą posadę i zostaje szamanem w środku tajgi? Naraził się pan mafii? Zgwałcił licealistkę na wycieczce muzealnej? Tak szczerze.

No to żeśmy porozmawiali, pomyślała, przekonana, że teraz czeka ich noc w zawieszanej ciągle między ścianami wąwozu buchance.

Ale Igor Piotrowicz zaśmiał się serdecznie.

– Nie żłoszczę się, sam byłem taki. Mówcie, czy dziwuje nas, jak ktoś znalazł Boga i jest chrześcijaninem? Albo bisurmanem? Nie. Że ktoś porzucił wszystko religie, aby wierzyć w człowieka? Nie. Więc czemu z podejrzeniem patrzycie, jak ja uwierzył, że każdy człowiek, bestia i przedmiot mają duch w sobie? I wszystkie duchy są razem – co jest, co było i co dopiero narodzi się?

Zawiesił głos, ale nie skomentowali, więc mówił dalej.

– Nawet kancelista iz muzeja w Južnosachalińsku myśleć może – powiedział bez goryczy. – I wymyśleć, że na świecie za dużo ludzi i za dużo bogów jest, a za mało duchów. Rozumiecie? Bogowie potężni, oni mają władzę nad wszystkim, a ich kapłani nad wszystkimi. Ludzie mają władzę nad innymi ludźmi. I wszyscy ludzie i bogowie jeszcze więcej władzy chcą. Duchy są równe sobie. Mogą być dobre i złośliwe, jak wszystko, dobrze żyć z nimi w zgodzie, ale nie trzeba bardzo drzeć przed ich potęgą. Dogadać się można.

Przerwał, upił łyk kawy, uśmiechnął się z podziękowaniem do Inessy.

– Pana Benedykta w waszym świecie spotkało wszystko złe. Zanim przyjechał, a najwięcej potem jak wrócił. A tutaj wszystko, co dobre. Przyjaźń, miłość, rodzina, życie w zgodzie z duchami. Gdzie każdy kamień i każdy wilk zasługują na szacunek, gdzie dba się o starszych, bo za chwilę pójdą do podziemnego świata i tam decydować o naszych losach będą, a dzieci chowa się tak, żeby zadbały o nas i nasze duchy. Naprawdę dziwne to panu, że ja zostawił Južnosachalińsk dla takiego życia?

„A najwięcej potem jak wrócił”. Zastrzygła uszami, ponieważ okres życia Czerskiego pomiędzy zesłaniem a śmiercią w Paryżu został stosunkowo słabo udokumentowany, a jeśli gdzieś kryły się wskazówki co do miejsca ukrycia ajnuskiego skrabu – w który zresztą wierzyła coraz mniej – to właśnie tam.

Dziękujemy, mistrzu Kenobi, pomyślała, a teraz wyskakuj z papierów.

– Nie różnimy się aż tak bardzo – powiedział Smuga. – Ja rozmawiające między sobą kamienie nazywam fizyką, szepczące paprocie biologią, a krzyczące gejzery chemią. Duchy przodków rozmawiające z duchami potomków to dziedziczenie i ewolucja. Modłę się w laboratoriach, składam ofiary, moje obrzędy to eksperymenty, tak samo moje duchy mogą bardzo zaszkodzić, ale jeśli dobry ze mnie szaman i potrafię z nimi rozmawiać, uzdrowią, a nawet uratują życie.

Słuchała Smugi z zainteresowaniem, jednocześnie czując rosnący niepokój. Mówił spokojnie, ale z żarliwą wiarą kapłana oddanego swojej religii. Czy ktoś taki poświęciłby tyle czasu i środków jedynie po to, by przywrócić światu pamięć o osobie praprastryjka? Po raz kolejny zadała sobie pytanie: kim tak naprawdę jest i co tutaj robi Bogdan Smuga?

– Może być tak – odparł Igor Piotrowicz – że nauka to religia natury, ale może i tak być, że tak samo jak katoliki i bisurmany chce władzy za dużo. Cała różnica, że ja nie chcę myśleć o tym i oceniać tego zamiaru nie mam, chcę tylko być częścią ziemi, tej ziemi, i tutejsze duchy o pomyślność prosić. Ale rozumiem, dlaczego mówisz tak. Rozumiem, dlaczego ty wróciłeś się – Smuga spiął się widocznie na te słowa, a Zofia zdziwiona podniosła brwi – nawet jeśli my harmonię inaczej pojmujemy. Dlatego pomogę ja wam.

## 2

Dostali tapczan w salonie, dwie poduszki i jedną kołdrę, która przypadła Zofii, Smuga musiał zadowolić się zdjętą z fotela narzutą, nocna wyprawa po śpiwór do wiszącej buchanki nie wydawała się

najlepszym pomysłem. Niby duchy są po ich stronie, ale po co kusić los.

Po kolacji wypili jeszcze trochę samogonu, ale impreza nie trwała długo, gospodarze poszli do sypialni za kuchnią, a oni usiedli po dwóch stronach tapczanu, ona owinięta kołdrą, on z narzutą na ramionach. Ona spięta, czujna, patrząca podejrzliwie, on jak zwykle niewzruszony, zgarbiony, zawieszony pomiędzy medytacją a drzemką.

– Słucham – powiedziała.

– Byłem na Sachalinie latem, wierzyłem, że mam wystarczająco wiele informacji, żeby znaleźć zbiory stryja Benedykta, ale...

– Bzdury. Gdyby pan szukał zbiorów Benedykta, nasi znajomi z Petersburga i Jużnosachalińska musieliby pana znać, nie da się prowadzić poszukiwań, nie zaglądając w te dwa miejsca. Czyli albo jest pan idiotą, uważającym, że poszukiwania etnograficznych zbiorów można prowadzić, jeżdżąc bez sensu po rosyjskiej Wyspie Przeklętej i zaglądając do przypadkowych piwnic, albo wie pan o wiele więcej, niż mówi, albo szuka pan czegoś innego. Pierwszą wersję odrzucam, ale proszę tego nie brać za komplement, druga nie ma sensu, po co zatajać przesłanki, jeśli chce się coś znaleźć, zostaje trzecia. Czego pan szuka, panie Smuga, skoro nie są to ajnuskie szatki ze skórek łososa, rytualne pałeczki do bębnow i listewki do podnoszenia wąsów w czasie picia sake?

Milczał. Jak mąż przyłapany na flircie, który zastanawia się, co powiedzieć zamiast: „to nie jest tak, jak myślisz”, i próbuje znaleźć inne argumenty, niż: „nie można czytać cudzych maili”. Wściekła, nie miała zamiaru mu ułatwić. Nie miała tym bardziej zamiaru zajmować się Benedyktem Czerskim, Ajnami, szamanami i całym tym cyrkiem. Skasować tyle pieniędzy, ile się da, żeby wypróbować każdą możliwą terapię dla Karola, wrócić do Warszawy do dziecka, zapomnieć o sprawie.

– Powinna pani inaczej postawić pytanie – powiedział w końcu głosem, który wydał jej się zrezygnowany. – Nie tyle czego szukam, tylko co chciałbym znaleźć.

Prychnęła w odpowiedzi. Tania erystyka, spodziewała się po nim więcej.

– I na to pytanie bardzo chętnie odpowiem – spojrzał na nią wzrokiem pełnym smutku, niczym Adrian Zandberg, który znowu musi komuś tłumaczyć, że zakaz aborcji to nie żaden kompromis. – Ale proszę zrobić dla mnie ostatnią rzecz, skoro dotarliśmy aż tutaj. Przejrzyjmy jutro dokumenty Igora Piotrowicza. Jeśli nic w nich nie ma, jest pani wolna, oczywiście honorarium wypłacę w całości, powiększone o rekompensatę za nieprzyjemności tej wyprawy.

Powinna skinąć głową i pójść spać, ale ciekawość zwyciężyła.

– A jeśli coś znajdziemy?

– Wtedy pani zdecyduje.

### 3

Całą noc nie zmrużył oka. Po ich rozmowie Zofia odwróciła się do ściany i poszła spać, a on leżał na plecach, pożądanie, rozgoryczenie i zwątpienie nie pozwalały mu usnąć. Po omacku poszedł do kuchni, odnalazł i wykończył butelkę samogonu, ale ani się nie upił, ani nie zrobił senny, wrócił do łóżka i dalej gryzł się z myślami, tyle tylko, że z wódką chlupoczącą w żołądku i odbijającą się gorzką zgagą.

Igor Piotrowicz skrócił jego męczarnie, wstając o świcie i najpierw parząc kawę, a następnie proponując uwolnienie buchanki. Smuga zdziwił się, nie sądził, że to w ogóle jest możliwe, ale zgodził się chętnie, aby za chwilę zdumieć się jeszcze bardziej, kiedy szaman wyjechał ze stodoły nowoczesnym terenowym isuzu z kierownicą po prawej stronie.

Zajęło im prawie trzy godziny podkopywanie, podciąganie, wyciąganie i buksowanie, a w końcu stawianie do pionu buchanki za pomocą liny przerzuconej przez konar modrzewia, ale się udało. Słońce stało już wysoko, kiedy zziębnięty, spocony i ubłocony Bogdan Smuga wsiadł za kierownicę radzieckiego cudu techniki i bez większej nadziei przekręcił kluczyk w stacyjce.

Buchanka zakrzuszyła się, parsknęła, pierdnęła etyliną i zaskoczyła z radosnym mruzeniem, gdyby umiała, zakrzyknęłaby: „dawaj!”.

### 4

Rozwodniła wrzątkiem kawę, którą dostała od Inessy, żeby starczyła jej na dłużej, zjadła dwie pajdy domowego chleba ze śmietaną, myśląc z nostalgią i żalem przemijania o dziecięcych wizytach u babci, po czym zabrała się do kartonu z materiałami, jaki wystawił dla niej Igor Piotrowicz. Bała się rozszyfrowywania rosyjskich odręcznych zapisków Czerskiego, ale nowe życie szamana nie dało rady wymazać nawyków pracownika naukowego. W kartonie nie czekała sterta dokumentów, poprzekładanych magicznymi suszonymi liśćmi, lecz kolorowe segregatory, w których materiały zostały tematycznie i chronologicznie ułożone oraz opisane fiszkami. Ucieszyła się, oznaczało to, że przynajmniej na tym etapie wystarczą jej znajomość cyrylicy i słownik, żeby wstępnie ocenić materiał. Niechętnie prosiłaby Smugę o pomoc.

Potem ucieszyła się jeszcze bardziej, ponieważ fiszki napisano wprawdzie po rosyjsku, ale zdecydowana większość materiałów powstała w języku polskim. Co tłumaczyło potrzebę Igora Piotrowicza, żeby nauczyć się polskiego. Ale też dziwiło. Dlaczego Benedykt Czerski, rosyjski naukowiec polskiego pochodzenia, pracujący dla petersburskiej Akademii Nauk i carskiego Towarzystwa Geograficznego, pisał po polsku? Skoro wiemy z relacji ludzi, którzy odwiedzili go na Dalekim Wschodzie, że jego polski zarzewiał, używał go niechętnie i nawet z rodakami przechodził na rosyjski, kiedy czuł, że potrzebuje precyzji.

Wot, zagwozdka.

Godzinę później znała rozwiązanie zagadki. Zbiór stanowił rodzaj prywatnej kolekcji Benedykta Czerskiego z okresu, kiedy wrócił na kilka lat do rozbiorowej Polski i próbował ułożyć sobie życie w ojczyźnie. Listy pisane w odpowiedzi na jego listy, opublikowane artykuły naukowe, nieopublikowane, odesłane razem z odmownym listem, dwa tomy dziennika. Segregowała znaleziska na z jej punktu widzenia przydatne i nieprzydatne. Na tej drugiej kupce lądowało wszystko, co zapewne najbardziej interesowało Igora Piotrowicza, czyli naukowe opisy szamańskich obrzędów, wierzeń, kultu niedźwiedzia od karmienia ludzkim mlekiem po rytualne zabicie i zjedzenie dwa lata później. Przekartkowała arcyciekawy album ze zdjęciami zrobionymi przez Benedykta, ale znowu – po nic jej były kobiety z wytatuowanymi wargami, brodaci mężczyźni, kurne

chaty, kaftany zdobione wzorem prostokątnych spiral, wotywny patyki z wiechciami strużyn na czubku, żerdzie z głowami wilków i wiszące truchła złożonych w ofierze psów.

Pomyślała tylko, że taki album to skarb i że jego miejsce jest w muzeum, ale cóż, nie jej cyrk, nie jej małpy. Dzięki muzealnym sygnaturom i adnotacjom domyśliła się w końcu, że ten zbiór trafił w międzywojniu do Muzeum Etnograficznego w Warszawie, przetrwał okupację i w latach pięćdziesiątych zawędrował na Sachalin. To miało sens, warszawskie muzeum skupiało się na polskiej ludowszczyźnie i polskim dziedzictwie, a Rosjanie po odzyskaniu po pięćdziesięciu latach wyspy od Japończyków potrzebowali „swoich” materiałów i naukowców do lokalnego muzeum. Albo zwyczajnie to z Polski zabrali, albo wymienili na jakieś polskie skarby narodowe, miało to sens.

Czy ta wiedza jej pomagała?

Nijak.

Czerski wrócił do Polski około 1905 roku. Próbował być naukowcem, ale – sądząc po liczbie odmownych listów – ojczyzna go nie potrzebowała. Klepał biedę, więc próbował sprzedać, bezskutecznie, swoją kolekcję. Czytała grzeczne listy wyrażające totalny brak zainteresowania jego ofertą od różnych muzeów i kolekcjonerów, ale niestety w żadnym nie było napisane, co dokładnie im zaproponowano. Czy odmówiliby, gdyby znajdowały się tam prawdziwe skarby? A może zwyczajnie na tamym poziomie rozwoju etnografii nikt nie potrafił docenić, że to skarby? Ot, dziwactwa dzikusów z końca świata i tyle. Żadne rzeźby ze złota ani kamienne posągi.

Może w tych dziennikach coś będzie, szlag by to trafił, nie uśmiechało jej się odcyfrowywanie odręcznych zapisków, zarówno technika stalówkowo-kałamarzowa, jak i ówczesny styl ręcznego pisma zawsze wydawał się jej trudniejszy do odczytania niż lekarskie bazgroły na receptach i sporządzane przez Karola listy zakupów.

Z ostatniego segregatora wyciągnęła „Tygodnik Ilustrowany” z maja 1912 roku. Ciekawe, a to cholerstwo co tutaj robi? Otworzyła. „Umarł Bolesław Prus. Zgasało najczystsze, najszlachetniejsze serce, oddane każdą kroplą krwi Ojczyźnie

i ludzkości”. Tia, ojczyzna z dużej, ludzkość z małej, witamy w Polsce. „Kochał wszystkich i Jego wszyscy kochali. Nie wiedział, co to nienawiść, złość, niechęć. Jasny i przejrzysty, jak kryształ, jak ów kryształ odbijał w sobie tęczę najwznioślejszych ideałów narodowych i wszechludzkich”. Pomyślała, że z tą tęczą, to by dziś nie przeszło, i kartkowała dalej. Dużo kultury, „wysoka inteligencja artystyczna, rzetelne wykszolenie i poczucie stylu, liryzm i poetyczność przy braku żywołowości dramatycznej i matowem brzmieniu głosu”, pisał krytyk o warszawskich występach Ireny Solskiej. Poza tym umarł Strindberg, „jeden z najbardziej buntowniczych duchów ludzkości”, w Ogrodzie Saskim święto dzieci z dziesięcioma tysiącami maluchów z ochronek Towarzystwa Opieki nad Dziećmi i Przytulisk Niedoli Dziecięcej, Włosi zajęli Rodos i nie mają pojęcia, co dalej, „Okazuje się, że nawet zdobywając cośkolwiek, trzeba wiedzieć, po co i dlaczego się to robi”. I odcinek *Roku 1794* Reymonta, w życiu o takiej książce nie słyszała, dużo dialogów, jak to w powieściach w odcinkach. Ubawiło ją, że na końcu zamiast CDN widniały literki DCN. Jeszcze trochę literatury. „Oczy kapitana, spokojne do tej chwili, poważne i surowe, załśniły się nagłym blaskiem do białości rozżarzonego żelaza. – Byłeś nietrzeźwy, panie poruczniku!” A obok: „Zarumieniła się lekko i dodała: – Czy pan nie rozumie, że dla kobiety jest nadto żenujące tłumaczyć wszystko dokładnie? Pan jest dziwnie niedomyślny...”, na co chwilę dalej bohater: „Albo waryatka, albo kokietka bez serca; noga moja tu nie postanie”.

Zacząła się niebezpiecznie wciągać, więc szybko przewróciła stronę, nie miała czasu na czytanie stuletnich powieści w odcinkach. Pierwszy raz zetknęła się namacalnie z tą formą i wydała jej się ona szalenie atrakcyjna. Taka „Polityka” na pewno by zyskała, gdyby co tydzień publikowali odcinek nowego Sapkowskiego. Jak to wtedy wyglądało? Ludzie czekali na tygodnik i rozprawiali na bazarze o nowym odcinku Reymonta jak o nowym odcinku *Gry o tron*? Fajnie nawet.

Na końcu znalazła zagadki szachowe, czerstwe dowcipy i porady, jak zrobić drwala zabawkę z korka, kulki z chleba i dwóch zapalek, żeby „zabawiać nasze małe rodzeństwo”. Oraz dział reklam.

Roześmiała się w głos. Jak dobrze wiedzieć, że ludzkość się nie zmienia.

„ZATWARDZENIE – nawet chroniczne skutecznie usuwa – SKAWULIN”.

„PODWALINĄ BYTU każdego człowieka jest właściwe i higieniczne odżywianie w latach dziecięcych. Mączka Mleczna Nestlé'a jest uznana przez największe powagi lekarskie jako najodpowiedniejszy pokarm dla niemowląt i dzieci”.

„Farba Dra Richard'sa. Udoskonalony specyfik do natychmiastowego zabarwiania włosów i brody. Jakość gwarantuje A. Seguin Bordo (Francja) Członek Jury Po Za Konkursiem Wystawa Powszechna Paryż 1900”.

„Piegi usunie. Precioza bardzo łagodnie działająca, tak że bez obaw i dziecku można stosować”.

„Masażystka ssąca Heros składa się z czterech części dopasowanych do czoła, policzków, nosa, powiek, gdy tymczasem inne systemy mają tylko jedną wielkość, a więc chybiają celu”.

„Na odstające uszy polecam Fixeur pour oreilles. Na niekształtny nos też jest specjalny preparacik. Dostać można u Paszkowskiego”.

Wszystko fajne, ale dlaczego znalazł się tutaj egzemplarz tej gazety? Czy powinna ją przeczytać od deski do deski? Wzruszyła ramionami, upiła kawy, zamknęła „Tygodnik” i zdębiała.

Całą ostatnią stronę zajmowała reklama, której główny element stanowiła grafika aptecznego flakonu, na którego etykiecie splecione gałęzie modrzewia oplatały nazwę „Sachalin” i rysunek starszego Ajna z obfitym zarostem i w tradycyjnym kaftanie.

Napis nad rysunkiem głosił: „Sekret długowieczności i zdrowia plemion Syberii, przywieziony z Dalekiego Wschodu przez Polskiego Uczzonego i Słynnego Szamana Benedykta Czerskiego. Tabletki z ziół rosnących jedynie na odległej Wyspie Przeklętej. Źródło sił dla wszystkich zmęczonych i wyczerpanych, zdenerwowanych i pozbawionych energii życiowej, cierpiących na biednicę, małokrwistość i bezsenność”.

A na dole:

„Do nabycia w Aptekach i składach Aptecznych we flakonach po 50, 100 i 250 gram. Ważna zmiana! Ilość pigułek we flakonach „Sachalinu” została znacznie zwiększona bez podwyższenia ceny”.



Zadowolony, że ma zajęcie i nie musi zbyt wiele myśleć ani z nikim rozmawiać, posprzątał w środku, obstukał i obtarł auto z błocka, sprawdził, czy w ogóle da się nim jeździć w przód i w tył, i dopiero wtedy wrócił do domu. Igor Piotrowicz siedział w gumofilcach na przyzbie, palił szluga i wystawiał dziobatą twarz do słońca. Nie wyglądał teraz jak szaman, ani tym bardziej doktor etnografii, tylko jak zwyczajny ruski wieśniak. Może nie do końca zwyczajny, za dnia, w ostrym świetle zimowego słońca, zatknięta obok na kiju psia głowa, zamrożona już na dość zaawansowanym etapie rozkładu, z wystającymi przez dziury w pysku zębami, wyglądała nadzwyczaj upiornie.

– Nie damy rady wrócić tą drogą – powiedział Smuga.

– Bo to nie jest żadna droga, droga za chałupą. – Szaman machnął ręką w stronę doliny, nie otwierając oczu. – Pytanie, czy powinniście w ogóle wrócić.

– Nie rozumiem – odparł.

– Ja też nie. Duchy się nie zgadzają, kłócą się jak zwykle. W takich chwilach przydałby się jakiś potężny Bóg, co mówi „tak, tak” albo „nie, nie” i wszystko jasno. Czy twoja nauka daje proste odpowiedzi na trudne pytania, Bogdanie Krzysztofowiczu?

– Próbuje. Ale tak często się myli, że czasami myślę, że zgaduje. A co matka natura mówi swoim dzieciom?

Igor Piotrowicz tak długo milczał, że Smuga zaczął już myśleć, że mężczyzna zasnął albo nie usłyszał pytania.

– Żyłem tak, nie wiedząc po co. Pewnego razu zacząłem zastanawiać się, „czemuż ty właściwie żyjesz, na co istniejesz” – odezwał się w końcu Igor Piotrowicz. – Od takich słów zaczyna się historia, atkuda ludzie z duszami, znaczy Ajny, wzięli się. Człowiek, parień młody, idzie na wędrówkę i trzy noce w domach trzech pięknych sióstr śpi. Najmłodsza na koniec do góry bogów iść mu każe, na której dom stoi duży z metalu cennego. Jak przszoł tam, istota taka – ni to człowiek, ni to tuman, mgła znaczy – staje przed nim i mówi, że to on ma początek uczynić temu, aby ludzie z duszami na świecie pojawili się. I że chatia myślał, że u sióstr on po jednej nocy spał, to po prawdzie rok przeszedł i każda dziecko

już urodziła. Najmłodsza, Gwiazda Zaranna, córeczkę. Średnia, Gwiazda Północna, syna. A najstarsza, Gwiazda Wieczorna, córeczkę. Człowiek, wracając, miał zabrać dzieci, jedną dziewczynką sam zawładnąć, a pozostałe dzieci jedno drugiemu oddać. Tym oto sposobem ziemia Ajnami zaludniła się.

Gospodarz skończył, Bogdan Smuga przysiadł obok niego na przyzbie. Milczeli wspólnie, Igor Piotrowicz zamknął oczu i oparł się o ścianę, Smuga swoim charakterystycznym gestem zgarbił się, opierając łokcie na kolanach, jakby jego szerokie bary były zbyt ciężkie, żeby je cały czas trzymać w górze tylko siłą mięśni. Oczu mu się kleiły po bezsennej nocy i pełnym fizycznego wysiłku poranku, ale szkoda mu było oderwać wzrok od zimowego pejzażu dzikiej doliny. Łatwo byłoby tutaj uwierzyć, że zostało się ostatnim człowiekiem na Ziemi.

– Ten parień z Otasut i jego gwiazdne dzieci nieźle postarali się. Ajny przyszli tu siedem tysięcy lat nazad i od neolitu nad wyspami panowali. Źle mówię, nie panowali, to nasza cywilizacja wszystkim rządzić chce. Zasiedlali te wyspy, szukając miejsca dla siebie obok innych dzieci natury. Nie byli jak my. U nich, co liczyło się, to czułość, altruizm, tolerancja i niezwykajny na ludzki ród brak ubijstwiennych instynktów. Nijakiej krwiożądności u nich nie było. Potem dopiero w ich kulturę przyszło inne, że kobiety nieczyste niby a szamany złośliwe – to wszystko nie od nich, zapożyczka mówi się chyba.

– A teraz?

– Teraz ich nie ma. Ostatni ajnuski szaman to doktor etnografii z Irkucka, który wylądował na Sachalinie, bo nie udało mu się dostać posady w żadnym sensownym miejscu. Czy to źle, że Ajny znikli? – zapytał, żeby od razu sobie odpowiedzieć: – Bez przesady. Co trzy miesiące umiera jakiś to język, a razem z nim kultura – mity, legendy i obrzędy. Ale natura pustoty nie lubi, ludzie płaczą w innych językach i szukają wzorców miłości w innych historiach, krzywda nikomu nie dzieje się. Ajnów prasyny to dziś Japońcy albo Ruskie. Wy Polak, ale mógłby być Ruski albo Giermaniec. No i co? Czy ból po stracie dziecka inaczej by czuł? Czy nieszczęśliwa miłość bolałaby mniej? Czy strach śmierci mniejszy albo większy miałby? Nie, kultura to nakładka na człowieka, aż tyle i tylko tyle.

A człowiek? Co pół sekundy umiera człowiek. – Igor Piotrowicz pstryknął kilka razy palcami w szybkim tempie.

– To co jest ważne? – zapytał Smuga.

– Ty mi powiedz.

– Harmonia – odpowiedział po chwili zastanowienia.

– Zgadza się. Ja to mogę nazywać duchami, ktoś boską mocą, ty fizyką i chemią, może być, że wszyscy my prawi. Jaka to nie bądź siła dźierży to wszystko do kupy, ma sens tylko w harmonii. Wilki dają DNA potomstwu, żeby dalej polowało i lizało rany swoich młodych w tej dolinie. Mój duch zostanie, żeby wnuki i prawnuki miały kogo prosić o pomyślność, łowiąc łososie w przeręblu. Bóg Ojciec zapewni cykl pół roku. A ktoś opowie albo napisze o tym, jak niedźwiedź uczynił pewnego niśpę bogatym, żeby jego dziecko mogło opowiedzieć ją swojemu dziecku. Świat istnieje w harmonii albo nie istnieje w ogóle.

– Czy śmierć może być częścią tej harmonii? – zapytał Smuga.

– Śmierć była, jest i będzie. Ale tylko w harmonii ma sens.

## 6

*Zachodziło właśnie gorące, wiosenne słońce, kiedy z jednego z okien majestatycznego gmachu nieopodal Newskiego Prospektu rozeszły się na całą okolicę powolne, głuche, lecz donośne uderzenia w bęben. Dźwięki tak inne od zwyczajnego zgiełku petersburskiej ulicy sprawiały, że przechodnie niespokojnie kręcili głowami, nienawykli do muzyki towarzyszącej pradawnym obrzędom. Zapomnieli, jak i my wszyscy w świecie nowoczesności, tramwajów i gazowego oświetlenia, o czarach, które niedawno jeszcze kierowały naszym życiem. Czy słusznie wyrzekliśmy się dziedzictwa naszych przodków? To pytanie nurtowało mnie od dawna.*

*Ja jeden spośród przechodniów wiedziałem, co te uderzenia oznaczają, i z każdym kolejnym krokiem czułem większe podniecenie, wchodząc do pałacu księżnej Biełosielskiej, na ten jeden wieczór zamienionego w jurte, w której przestawny uczony Benedykt Czerski miał przeistoczyć się w czarownika i zapytać bogów, jak pomóc męczącej się w migrenach od miesięcy córce księżnej.*

Oddałem płaszcz lokajowi i wszedłem do salonu, w którym zgromadzili się już inni goście. W pomieszczeniu panowało mętne półświatło, jaśniej było jedynie u palącego się mocnym ogniem kominka, gdzie widoczna była spokojna i piękna nawet postać uczzonego-szamana, człowieka pięćdziesięcioletniego, z czarną brodą i mądrą, dobrą twarzą.

Publiczności zgromadziło się pod przeciwległą ścianą kilkanaście osób, w których rozpoznałem znajomych z najwyższych sfer arystokratycznych. Swój lęk i ciekawość panie ukrywały za wachlarzami, panowie za kpiącymi uśmieszkami, ale za chwilę miałem stać się świadkiem, jak moc pogańskiego obrzędu opuści wachlarze i zetrze uśmiechy, zostawiając ludzi jakby nagich z pierwotnym podziwem dla natury i lękiem przed jej magiczną mocą.

Córka księżnej, ubrana jedynie w nocną koszulę i dla przyzwoitości nakryta po szyję zdobioną kapą, spoczywała na szezlongu pośrodku pomieszczenia. W pozie jej odnajdywałem grację właściwą modelkom, pozującym wielkim mistrzom malarstwa, a w twarzy zaskakujący spokój i zaufanie.

Uczony, choć może powinienem o nim myśleć jako o czarowniku, zdawało się, nie zważał na nikogo z wchodzących. Wreszcie jakby się ocknął, wysypał z fajki resztki popiołu i dał znak, na który podeszło dwóch młodych dżentelmenów, aby pomóc mu w przebraniu się. Zdjęli z jego ramion sięgający ziemi, przewiązany w pasie na modłę japońskiego stroju kaftan. Westchnęła publiczność, gdyż pod spodem miał pan Benedykt jedynie chałat z pokrzywy. Podwiązano mu długimi wiórami nogi pod kolanami i ręce wyżej łokci, na głowę włożono starą, już szerniałą czapkę i koronę z wiór skręconych w sznurki. W nią też wetknięte były trzy świeże, ledwo co przygotowane kędzierzawo zastrzeżone pałeczki, dwie z boków korony i jedna z przodu, wyglądały jak trzy rożki. Wreszcie przyniesiono bęben, zrobiony z oczyszczonej z włosów skóry. Do prawej ręki podano szamanowi dużą, półłokciową pałeczkę, rzeźbioną w fantazyjne motywy i u końca obszytą psią skórą.

Ucichły szepty, zgasły uśmiechy, czuliśmy, że skończyły się przygotowania i zaczyna się właściwa ceremonia. Nagle zniknął przed mych oczu bogaty salon, suknie i surduty, okna prowadzące na miejski prospekt i okolony białą carrarą kominek. Może magia, a może moc wyobraźni przeniosły mnie do pogańskiej jurty, gdzie stałem przy otwartym palenisku, wśród dymów i zapachów natury, wśród ludzi

pierwotnych, odzianych w zwierzęce skóry. I przysiąc mogę, że nie ja tylko tak czułem.

Szaman zaczął grać. Do kominka dorzucano po jednej jodłowej gałązce, które płonąc, dawały dużo dymu i smolistego zapachu, duchy szamańskie mają snadź w tym zapachu upodobanie.

Drgnąłem, i nie tylko ja, kiedy ciche, słabe jęki, świsty i syczenia zaczęły się dobywać z ust szamana. Chwilami ziewał nerwowo, stękał przy tym, jakby go ból dławił. Jednocześnie rozległy się lekkie, lecz prędkie, częste uderzenia w bęben. Raz w raz odzywały się one mocniej i rzadziej. Wzmagały się też wychodzące z piersi czarownika głosy. Trudno było przypuścić, że należą one do istoty ludzkiej, taka w nich była rozmaitość dźwięków. Czasem wydawało mi się, że słyszę szczekanie psów lub wycie wilków, a zaraz potem coś podobnego do krakania wrony i pisku drobnych ptasząt lub wreszcie dość zręczne naśladowanie poświstów drzew kołysanych burzą.

Śpiew z początku zawodzący, jęczący, przybrał ton rzewny, uroczysty. Nagle rozległ się okrzyk przerażenia i groźby już w innym tonie posypały się częste, ostre. Domyśliłem się, że szaman uczuł zbliżanie się złych mar i odpędzał je krzykami, a potem, wzięwszy kropicidło, machał nim nad sobą w różnych kątach, wyganiając precz niewidzialne upiory. Po chwili jednak wrócił znów do przerwanej modlitwy, w której upraszał bogów o miłosierdzie i litość nad chorą. Ta natomiast leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, jakby opętana, oddychając ciężko przez półotwarte jak w świętej ekstazie usta, w świetle płomieni lśniły krople potu na jej alabastrowym czole.

Szaman zastygł nieruchomo, mruczając cicho do siebie niezrozumiałe słowa, prowadząc dialog jakby, może wysłuchując wskazówek. Po czym zamilkł, w nagłej ciszy najgłośniejszym dźwiękiem stały się dobiegające z kominka trzaski i syczenia, znać było, że wszyscy wstrzymali oddech, gdyż przez usta szamana miały wyjść bez wiedzy jego samego słowa rady, jak leczyć chorą. I ja, i zebrana publiczność wyteżyliśmy słuch, ani na jedną sekundę nie spuszczać z oczu majaczącej koło kominka postaci czarownika. Nareszcie w urywanych wyrazach usłyszano wskazówki bogów. Bliscy chorej wyciągali szyję, wsłuchując się w tajemnicze słowa, których potem szaman nigdy nie powtarza, nie mógłby nawet tego uczynić, bo nie pamięta ich, gdy wróci do stanu pełnej świadomości. Rozkaz był następujący: odnaleźć brzozę stojącą

*u stóp góry, ze strony zwróconej ku wschodowi zedrzeć korę i wyrąbać kawałek drzewa, z niego zaś zrobić nieduże takusa – mniemałem, że chodzi o rytualne kropidło z zastruganym końcem – i powiesić nad pościelą chorej. Do odzienia wszyć ciernie głogowe, pić zaś napar z kilku igieł jodłowych i gałązki z krzaku dzikiego rozmarynu. Miano to wypełnić jutro rano jednocześnie ze wschodem słońca.*

*Drgnąłem, słysząc słowa bogów, bo wiele mówiono o tajemniczej Sachalinie, specyfiku przyrządzonym między innymi właśnie z jodły i rosnącego na niedostępnych syberyjskich bagnach magicznego wrzosu. Opowiadano, że źle skończyli ci, którzy próbowali eksperymentować z rośliną bez wiedzy pradawnych ludów. Szczęście mieli ci, u których skończyło się na halucynacjach, w czasie których nawiedzały ich duchy wilków i niedźwiedzi. Albo na bolesnym, niekończącym się skręcie kiszek. Ale skończyli też na petersburskich i moskiewskich cmentarzach śmiałkowie, którzy śmiali się, wzruszali ramionami i próbowali przyrządzić cudowny specyfik bez szamańskiej wiedzy. I chora, i myśmy wszyscy mieli to szczęście, że Benedykt Czernski przywiózł z Wyspy Przeklętej wiedzę i receptury, które pozwoliły mu ofiarować ludziom uzdrawiającą i bezpieczną Sachalinę.*

*Ogień przygaś. Czarownik przysiadł, zmęczony, spojrzał na nas już nie wzrokiem szamana, tylko uczonego nowoczesnego świata, którym był w istocie, jakby zaskoczony, że duchy przez niego przemówiły. Nie było słyhać żartów i śmiechów, publiczność opuszczała pomieszczenie przejęta uroczystym aktem, który, o ile sprawił widzom przyjemność, o tyle też wzbudził w nich poczucie bezsilności i nicości przed niewidzialnymi a potężnymi istotami, rządzącymi światem i ludźmi, przed niepojętą tajemnicą bytu.*

7

Nie chciał przeszkadzać Zofii, która najwyraźniej nie potrzebowała jego pomocy. Ciekawiło go, co się kryje za robionymi przez nią zdjęciami dokumentów i notatkami, ale uznał, że kiedyś się dowie. Poszedł na spacer, przejechał kawałek buchanką, żeby sprawdzić, czy się do czegoś nadaje i czy droga faktycznie jest przejezdna, a że obie próby wypadły pomyślnie, to znowu poszedł na spacer.

Przed zmierzchem zjedli obiad bez słowa. Inessa i Igor Piotrowicz wyglądali na przyzwyczajonych do milczącego stylu biesiadowania, Zofia była pogrążona w myślach, postanowił się nie wyrywać z towarzyską konwersacją. Pozmywał naczynia, ubrał się ciepło i wyszedł na dwór. Pomny przygody z niedźwiedziem nie chciał się za bardzo oddalać, ale jak zwykle z dala od cywilizacji czuł potrzebę, żeby pożegnać się z naturą przed snem. Chmury się rozwiały, mróz stęzał, gwiazdy mrugały, w bezksiężycową noc pokryta śniegiem dolina miała kolor starego, dawno nieczyszczonego srebra.

Poczuł znajomy smutek powrotu, wypełniający go zawsze, kiedy kończyła się jakaś przygoda. Niezależnie od wyniku poszukiwań, w których pozytywne zakończenie raczej już nie wierzył, jutro o świcie wyruszą w trasę, spędzą ostatnią noc w hotelu Gagarin w Jużnosachalińsku w osobnych pokojach, potem bezduszny ciąg produkcyjny poczekalni, hal i samolotów przetrawi ich i wydadli na zimny warszawski beton, żeby tam razem z innymi mogli symulować życie i szczęście.

Odetchnął mrozem i wrócił do domu, żeby zastać tam Zofię siedzącą w kącie kanapy z kolanami podciągniętymi pod brodę i bezgłośnie płaczącą, łzy spływały jej po policzkach i wsiąkały w jego spodnie od dresu, w których ciągle chodziła.

## 8

Miała nadzieję, że zrobi jakiś ruch, który da jej pretekst, żeby mogła się przytulić do żywego człowieka, ponieważ bardzo tego potrzebowała. Usiadł niezgrabnie na krawędzi wersalki, chwilę patrzył bez słowa w dal, krzyżując spojrzenia z Putinem i Miedwiediewem, w końcu położył dłoń na jej stopach, które w wełnianych, za dużych skarpetkach wyglądały na rozmiar czterdzieści pięć rozjechany przez ciężarówkę. Uznała, że w takich skarpetkach niemożliwe są jakiekolwiek erotyczne podteksty, przysunęła się i oparła czoło na ramieniu Bogdana Smugi, ale dopiero kiedy ją objął, rozszłochała się na dobre.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Za dużo emocji, za dużo wszystkiego.

– To były intensywne dni – odparł spokojnie, rozluźniając uchwyt. Wyprostowała się, odetchnęła kilka razy głęboko.

– Wie pan, dlaczego w ogóle wzięłam to zlecenie?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Mój mąż traci pamięć. Taka wielka, piękna miłość, a on zapomina. Wstydzę się, ale wolałabym, żeby umarł. Wtedy wszystko byłoby proste, normalne, mamy emocjonalne procedury na to, że ktoś umiera. A tak?

Nie skomentował, czekając na dalszy ciąg.

– Dlatego potrzebowałam pieniędzy. Żeby go wysłać do kliniki we Francji, jak ostatnia idiotka, która wierzy w cudowne terapie, prywatne kliniki, eksperymentalne specyfiki dostępne tylko dla wybranych. Niczym się nie różnię od pokoleń innych półgłówków, którzy jeździli do jamajskich uzdrowicieli, hinduskich znachorów albo syberyjskich szamanów. Śmiałam się, że ludzie są naiwni, z byle powodu wpadają w panikę, można na nich zerować bezkarnie, udając, że się wyciąga z ich ciała zakrwawiony nowotwór. I co? Jak przyszło co do czego, to chodziłam i błagałam, żeby mnie oszukać. Dać chińskie zioło, napar z rogu nosorożca, klinikę z łóżkiem za trzy tysiące euro tygodniowo, cokolwiek. Benedykt Czerski mi to uświadomił aż za dobrze. I nie tylko to. Wie pan, zawsze miałam się za patriotkę. Uważam, że ludzie śmieiej patrzą w przyszłość, kiedy stoją na twardym gruncie tradycji, mogą czerpać siłę z dokonań przeszłych pokoleń. A łatwiej uwierzyć, że nasze stanie się dla kogoś ważne, skoro sami dostrzegamy dokonania poprzedników. A ponieważ jesteśmy istotami plemiennymi, większości z nas łatwiej się związać z tradycją lokalną niż ogólnoludzką, która jest zbyt abstrakcyjna. Tradycja lokalna to tradycja języka, języki w większości przypadków związane są z narodami, ergo patriotyzm.

Skinął głową.

– Wszystko wycofuję. Rodziny mają sens. Plemiona mają sens. Ale narody? Narody to najgorszy wynalazek ludzkości.

Zobaczyła w jego oczach blask ciekawości i już przygotowywała odpowiedź na pytanie, które musiało paść, ale ją zaskoczył.



– Pytała pani, czego tak naprawdę szukam.

– Już wiem – wyszeptała z rezygnacją.

– Czyli?

– Pieniędzy. Majątku. Skarbu. Jak wszyscy. Benedykt Czerski stał się w pewnej chwili uznanym szamanem rosyjskiego imperium, nie zawisł na szubienicy, tylko dlatego, że rewolucja zrzuciła na głowy arystokracji większe problemy niż brodaty czarownik-naciągacz. Przez kilka lat był dla petersburskiej socjety tym, czym dla mnie klinika w Pirenejach. I tak jak ja wierzę, że moje tysiące euro zamienią czary-mary w naukę, tak oni obsypywali go diamentowymi koliaми, rosyjskim złotem, zapewne też jajkami Fabergé. I żeby było jasne: rozumiem, dlaczego pan to przede mną zataił, znam siebie, łatwiej mnie namówić na wielką kulturę niż na worek złota. I nie pytam o pana motywacje, może sam pan potrzebuje odpowiednika kliniki w Pirenejach, może faktycznie chce się pan uwolnić od grantów i ministerstw, a może kupić jacht i zacumować go w Cannes. Trzymam kciuki, serio. Ale ja muszę zabrać męża do domu i zagrać z nim i córką w chińczyka. Proste reguły, mogę mu codziennie przypominać.

Patrzył na nią uważnie, coś takiego zobaczyła w jego spojrzeniu, że poczuła się niekomfortowo, ale nie chciała z tego dyskomfortu uciec. Wręcz przeciwnie, rosnące napięcie poruszyło w niej coś głębokiego, co kojarzyło się mgliście z pożądaniem. Nie od razu, zwykle pożądanie odczuwała jako dość naskórkowe podniecenie, czasami podszyte znudzeniem, czasami poczuciem winy, tym razem – być może przez emocje, być może przez obecność szamana i jego magii, być może przez dziką naturę wokół – drgnęło w niej coś nieznanego, niepokojącego, gęstego jakby.

– Pani profesorko – powiedział – ja też będę szczery. Gdybym zrobił listę rzeczy, o które nie dbam kompletnie, to faktycznie znalazłyby się tam poplątane losy i etnograficzne odkrycia Benedykta Czerskiego. Tuż obok diamentowych kolia i strusich jajek Fabergé. Z tego, co pani wie o Ajnach, co w ich tradycji zaskoczyło panią najbardziej?

– Obsesja nieplodnych kobiet. Uważali je za przeklęte, nieczyste do tego stopnia, że nawet szamani bali się w ich sprawach rozmawiać z duchami, żeby nie obrazić w ten sposób bogów.

Wydawał się zaskoczony tym, co powiedziała, jakby kompletnie nie tego się spodziewał.

– Nie pierwsza to kultura chora na mizoginię – powiedział w końcu. – Co jeszcze?

– Równie obsesyjny szacunek dla starszych. Myślałam o tym sporo. Jak bardzo to się różni od naszej cywilizacji. I jakie się to wydaje naturalne, ile pozornie nierozwiązywalnych problemów rozwiązuje postawienie staruszków zaraz za świętymi. Od kwestii codziennej opieki po oddanie decyzji w ręce mądrzejszych i bardziej doświadczonych.

Jego oczy błysnęły, nachylił się w jej stronę, znowu opierając dłoń o potworne skarpetki.

– A co nam mówi ta obsesja?

Musiła chwilę pomyśleć.

– Że żyło wśród nich wiele osób starszych.

– Po pierwsze. I to jest potwierdzone przez badania. Z jakichś powodów Ajnowie, ale tylko ci żyjący na Sachalinie, cieszyli się długowiecznością. Dlaczego? Świat nauki jakiś czas temu dostał jobla na punkcie długowieczności Japończyków z Okinawy, przebadaliśmy ich na wszystkie strony, szukając tajemniczego genu, wszyscy kroili i wysysali krew z biednych skośnookich staruszków, widząc w myślach noblowskie medale.

– A okazało się, że oni po prostu mało jedzą i dużo spacerują.

– Dokładnie. Z tutejszymi Ajnami jest inaczej. Nie dość, że żyli dłużej, to jeszcze oddawano im w ręce stery plemienia. Co nam to mówi?

– Och, nie wiem, panie psorze – zatrzepotała teatralnie rzęsami, ponieważ drażnił ją jego nauczycielski ton. Uważała się za pierwszoligową naukowczynię i nie chciała być traktowana jak stażystka.

Zaskoczony wyprostował się i cofnął dłoń, co nie spodobało się gęstemu czemuś w jej wnętrzu, co zabulgotało, dając do zrozumienia, żeby wrócić do strefy napięcia i dyskomfortu.

– Przepraszam. To nam mówi, że nie dość, że Ajnowie byli długowieczni, to jeszcze w jakiś cudowny sposób wolni od demencji, alzheimera, chorób neurodegeneracyjnych, które zamieniają nasze

późne życie w piekło i stoją skuteczniej na przeszkodzie długowieczności niż rak, choroby wieńcowe i osteoporoza.

Parsknęła śmiechem.

– Że niby Sachalina to co? Elikzir młodości, który pozwala żyć bez demencji i starzeć się bez dziadzenia?

Umilkła gwałtownie, zdawszy sobie sprawę, co właśnie powiedziała.

– Może tak, może nie – powiedział spokojnie. – Chciałbym się przekonać.

Zakręciło jej się w głowie. Myślała intensywnie o tym, co to oznacza. Lek na zapomnienie, naprawdę to powiedział? Zofia zdroworoządkowa śmiała się, że to bzdura, nowa odsłona szwajcarskiej kliniki. Zofia naukowczyni zastanawiała się, że może przyłożyć rękę do odkrycia, które zmieni przyszłość ludzkości. Po prostu Zofia drżała z podniecenia, że tak, cud jest możliwy, lek na zapomnienie znajduje się w zasięgu ręki.

Wszystkie te myśli wirowały jej w głowie, oszałamiały, kiedy w końcu oprzytomniała i spojrzała na Smugę, zobaczyła w jego oczach coś, co sprawiło, że poczuła się zupełnie naga, nie licząc strasznych skarpetek. Nie miała pojęcia, jak się uwolnić od tego uczucia, więc powiedziała:

– Wiem, gdzie to znaleźć.

Nie odpowiedział. Ona też czuła, że wszystko już powiedziała. Od niechcenia, jakby to nie miało żadnego znaczenia, sięgnęła i zdjęła najpierw jedną, a potem drugą granatową wełnianą skarpetkę.

## Rozdział 8. Projekt Vincent

*Nie spuszczaemy z niej oka • Seks na biurku Marii Curie • Mydło, które świeci w ciemnościach • Jelita a sprawa polska • Tchernobyl-Sur-Seine • To teraz największy skarb na tej planecie • Sarkofag polskiej kultury • Niebiański koks • Pienisz się lala kompletnie zbędnie • Nikt przecież nie chce życia wiecznego • Z każdą sekundą nasze szanse maleją • Początek nowej ery*

1

KS: Ale tylko muszę o coś zapytać!

Z: Litości, tata musi się za chwilę rozłączyć, chcę też z nim porozmawiać chwilę bez ciebie.

KS: Nie wolno mieć tajemnic.

Z: Ale wolno mieć odrobinę prywatności.

KS: Ale tylko jedno pytanie!

Z: Rozumiem, że jest bardzo ważne.

KS: Bardzo.

Z: Proszę.

KS: Tato, kto ma więcej części szyi, żyrafa czy mysz?

Z: Ale kpisz sobie teraz ze mnie?

KS: Tato! Wiesz?

K: No jasne, że żyrafa.

KS: Tyle samo mają! A wiesz, ile kości...

Z: Do widzenia.

K: Daj jej spokój. Tęskni. A ty znowu wyjeżdżasz.

Z: Znowu? Siedziałam w Rosji raptem tydzień, przez ostatnie dwa tygodnie jestem wzorową matką, a teraz muszę wyjechać na trzy dni, żeby zamknąć tę sprawę. No nie przesadzajmy. Ludzie w korpo całe życie pracują do ciszy nocnej, a w weekendy odpisują na maile. My albo siedzieliśmy w domu, albo

pracowaliśmy w budżetówce do szesnastej, krzywda jej się nie dzieje. To znaczy dzieje, bo ciągle pyta, kiedy wróci do dziadków, do magicznego pałacu udzielnej księżniczki, wiesz, że matka jej na śniadanie naleśniki robiła?

K: Zofia...

Z: Ty chory, mnie zwolnili, mogę zarobić kupę pieniędzy za dwa tygodnie siedzenia w archiwach i dwie kilkudniowe delegacje i mi wyjeżdżasz ze „znowu”? Do opieki społecznej złóż donos, no nie mogę!

K: Dobrze, masz rację, przepraszam. Przyjedziesz?

Z: Przeprasiny przyjęte. Tak, przyjadę, nie chciałam mówić przy niej.

K: Tutaj lekarze chcą z tobą porozmawiać.

Z: Wiem.

K: Zabrali mi komputer z moimi plikami. Przez to nie wiem, czy jest lepiej, czy nie, bo nie mam jak sobie codziennie przypominać. Możesz mnie spytać o coś, co...

Z: Nie, Karol. Ty się lecz, ja potrzebuję jeszcze kilku dni, zgarniam kasę i jadę.

K: Znajdziesz te zbiory?

Z: Po pierwsze wątpię, po drugie zbiory to duże słowo. Opowiem ci wszystko, jak się spotkamy, ale jeśli w ogóle, to będą to co najwyżej stare papierzyska, których nikt nie chciał. Etnograficzne ciekawostki albo są w muzeach, albo poszły z dymem w czasie wojny, kosztowności to osobna historia, ale nic z nich raczej nie zostało. Po prostu chcę mieć czyste sumienie, zanim wystawię czek Bogdanowi.

K: Weźmiesz koronkową bieliznę?

Z: Zimą w Pireneje? Polar i grube skarpetki. Już możesz zacząć fantazjować.

Wyświetlone na ekranie projekcyjnym nagranie dobiegło końca, rozmówcy zastygli w charakterystycznym dla wideorozmowy o niskiej jakości rozmazeniu – twarz Zofii zlała się w jedno z blond włosami, co upodobiło ją do balonika z obliczem Donalda Trumpa, a widoczny w mniejszym oknie Karol przypominał wykrzywionego

satyra. W dolnej części ekranu ciągle widniały ostatnie słowa przetłumaczonego na francuski dialogu.

Przy stole w sali konferencyjnej siedzieli Marcel Kluzka, który specjalnie na to spotkanie opuścił swój punkt obserwacyjny w pirenejskim *chalet*, oraz jego szefowa, ruda kobieta w wieku gdzieś pomiędzy pięćdziesiątką i setką, o sympatycznym wyglądzie ulubionej francuskiej babci każdego mieszczańskiego wnuka. Takiej, co ma letni dom w Bretanii, codziennie piecze inne ciasto na podwieczorek i lubi chodzić na długie wędrówki wzdłuż oceanu z kijami do nordic walking.

– Proszę powiedzieć, czy w tej rozmowie jest coś więcej, niż czytałam po francusku – powiedziała kobieta.

– O Smudze mówi po imieniu. „Zanim wystawię czek Bogdanowi”. Wcześniej nie mówiła o nim inaczej niż „Smuga”. Skrócili dystans, nie jest już tylko obcą osobą, wynajętą do zrobienie zlecenia. A jeśli pani pyta, czy kłamie? To jest trudne, ponieważ w pewien sposób ona cały czas kłamie albo przynajmniej nie mówi całej prawdy. Co jest zrozumiałe, jej mąż traci pamięć, nie wiadomo, co pamięta, a czego nie, jaki sens codziennie tłumaczyć mu wszystko od nowa z prośbą o radę.

– Jest różnica pomiędzy zatajaniem detali dla świętego spokoju a kłamaniem, zakładając, że ktoś słucha.

– Jest. Ale w tym wypadku byłaby ona nie do odróżnienia.

– A co panu mówi intuicja?

Zawahał się.

– Wiemy, że niczego nie znaleźli na Sachalinie. Nic nie wwieźli do Jużnosachalińska i niczego nie zabrali ze sobą do Europy, niczego nie nadali, z nikim się nie widzieli. Mogli oczywiście coś ukryć po drodze z zamiarem zabrania tego później.

– Tylko wtedy po co ta szopka z przyjazdem tutaj?

– Dokładnie. Czyli możemy założyć, że znaleźli co najwyżej wskazówki odnośnie do dalszych poszukiwań. I albo faktycznie ona ciągle wierzy, że szuka paciorków, albo wie, o co toczy się stawka, i gra już zgodnie z zasadami.

Pokiwała głową.

– W obu przypadkach dalej nie spuszczaemy z niej oka, dobrze, panie Marcelu? Jeśli nic nie znajdzie, cóż, świat toczy się dalej. Jeśli

znajdzie, to dla nas bez znaczenia, czy zrobi to świadomie, czy nieświadomie. Powinniśmy być wtedy obok niej. Cokolwiek by się działo, Smuga nie może tego dostać, ponieważ jeśli raz tego dotknie, już nigdy nie będziemy mogli być pewni, czy tego nie ma.

– Czy potrzebujemy wsparcia naszych przyjaciół z Republiki?

Idealna francuska *mamie* skrzywiła się nad swoim beżowym fularem, jak gdyby wnuczka zaproponowała wyjście na lunch do *Macdo*.

– Wolałabym nie. Ale jeśli pan uzna, że potrzebujemy kawalerii, proszę dać znać, zadzwonię do naszego wspólnego znajomego. Niechętnie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, jeśli chodzi o ostatnie słowo, nie mógłby się zgodzić bardziej ze swoją CEO.

## 2

Okres połowicznego rozpadu radu wynosi tysiąc sześćset lat, dlatego notatki, ubrania, rzeczy osobiste, a w końcu same zwłoki Marii Skłodowskiej-Curie zostały zamknięte w ołowianych pojemnikach. Zofia Lorentz stała w jej gabinecie i zastanawiała się, czy idei narodowych nie należałoby też ująć w tabelkach, jak pierwiastków w tablicy Mendelejewa. Ciekawe by to było zestawienie, porównać ze sobą różne moce idei, dajmy na to rosyjskich, polskich, islandzkich i wietnamskich. Jaki patriotyzm okazałby się szybko ulatniającym się gazem szlachetnym, jaki dobrym budulcem katedr, a jaki odpowiednikiem radioaktywnej substancji, co to i raka wyleczy, i miasto zrówna z ziemią, i zwłoki na tysiące lat zatruje.

Nie wiedziała, czy bardziej ją to zdumiewa, czy przeraża, że pani Maria pierwszy odkryty przez siebie pierwiastek nazwała polonem na cześć ojczyzny, a dopiero drugi radem, żeby wyrazić radość, jaką codziennie przynosi jej córka. Ojczyzny, dodajmy, z której musiała pryskać, bo takich dziwactw jak studenci w sukienkach tam nie tolerowano. Ojczyzny, przez którą omal jej nie zesłano, gdy nielegalnie uczyła polskości wiejskie dzieci. Ojczyzny, która najwybitniejszą kobietę w swojej historii uhonorowała

uniwersytetem z błędnie zapisanym nazwiskiem i paździerzowym muzeum, które należałoby zamknąć, żeby nie przynosiło wstydu.

Od kilku dni myślała, jak bardzo podobne są losy pani Marii i pana Benedykta. Równolatkwie. Patrioci. Zubożali ziemianie. Ofiary nieszczęśliwej miłości, niewystarczająco dobrzy dla rodziców swojego wybranka i swej wybranki. Na prostej drodze do zwyczajnych życiorysów, może jako nauczycielka i prawnik spotkaliby się w jakimś drugorzędnym warszawskim albo petersburskim salonie, wymienili kilka nudnych uwag. Ale wyjeżdżają. Ona na obczyźnie, a on na wygnaniu – tysiące kilometrów od siebie – odnajdują jednocześnie miłość, spełnienie i naukową sławę.

Nie mogła się zdecydować, czy w ich życiorysach ważniejsza była Polska, czy właśnie jej brak. Patriotyczne wychowanie, obsesja wolności, imperatyw walki i pracy dla swojego plemienia – tak, to na pewno dało im siłę. Wyspa Przeklęta oznaczała dla wileńskiego paniczka wcale nie mniejszą opresję niż szowinistyczny do szpiku kości dziewiętnastowieczny Paryż dla młodej fizyczki. *Étudiante* nie oznaczało wówczas studentki, lecz dziewczynę studenta. Czy pomogło im to, że od dzieciństwa szykowali się do walki?

A może odwrotnie? Dopiero wolność od ojczyzny pozwoliła im osiągnąć wielkość? W kraju, w którym Kościół dzierżył rząd dusz, brakowało miejsca na nowoczesną naukę. Maria po studiach na Sorbonie wróciła do ukochanej Polski, żeby się odbić jak kauczukowa piłeczka od drzwi uczelni. Panów w surdutach rozbawiła wizja kobiety, która chce się doktoryzować. Benedykt wracał z Rosji jako wielki uczoney, aby przekonać się, że jego fascynacja pierwotnymi ludami jest obiektem kpin, a uczyć nie może nawet w gimnazjach, gdyż zesłano go, zanim uzyskał oficjalne wykształcenie. Zapisał: „Na uczącego jestem za stary, na uczonego brak mi stopni naukowych. A jednak jestem jednym i drugim obecnie. Czuję się Polakiem, za granicą nawet jestem rzadkim i podziwianym Polakiem, a dla swoich jestem zupełnie niepotrzebną rzeczą, najwyżej żebrakiem, który kąsek chleba może wyprosić”.

Kiedy się spotkali w Paryżu, oboje mieli dobrze po czterdziestce. On złamany wszystkim, co zrobiono z nim w Polsce, ona



wymęczona po śmierci męża i romansowej aferze, podczas której zrobiono z niej w gazetach kradnącą mężów cudzoziemkę.

Profesorka Zofia Lorentz starała się nie zauważać hałasujących francuskich uczniów, którzy właśnie wielką gromadą wcisnęli się do pomieszczenia, i spojrzeć na pokój noblistki inaczej niż na muzealną szopkę. Jak to naprawdę wyglądało? Na pewno miała na biurku większy bajzel, nawet jak się ma dwa noble – a może zwłaszcza wtedy – potrzebuje człowiek miejsca do pracy, a nie do medytacji przy pustym blacie. Czy piła przy nim kawę, kruszyła croissantami i zostawiała tłuste plamy z masła? Opierała się o nie władczo, opieprzając asystentów swoją francuszczyzną z ciężkim, słowiańskim akcentem? Jak wszyscy chyba, wyobrażała sobie Marię jako naburmuszoną ciotunię w brzydkim kapelusiku, ale to w końcu o jej honor mężczyźni się pojedynkowali, a do historii przeszło powiedzenie Einsteina, że nigdy nie widział tyle erotyzmu w oczach żadnej innej kobiety. Może się na tym biurku rżnęła na stojaka, aż w laboratorium za ścianą spadały kolby? Spojrzała na znudzoną młodzież, wyobraziła sobie taką muzealną wystawkę i parsknęła śmiechem.

– Pani Lorentz?

Obejrzała się. Obok niej stał sympatycznie wyglądający facet azjatyckiego pochodzenia, pewnie koło trzydziestki, w dżinsach i białym t-shircie, ze wzorami substancji chemicznych wytatuowanymi na przedramionach. Strukturami? Schematami? Nie miała pojęcia, jak się nazywają te wykresy połączonych ze sobą liter N, H i O.

Skinęła głową.

– Jean Cuong, pani przewodnik. Angielski czy francuski?

– Jak pan woli.

– Wolę wzory strukturalne, ale jak już muszę przekładać na ludzki, to niech będzie francuski. Chodźmy.

Wyszli z części muzealnej instytutu, starą klatką schodową zeszli do piwnicy i po chwili maszerowali tunelem pod kompleksem Sorbony. Czuła się lekko zawiedziona, że korytarz wygląda jak podziemia szpitala na Banacha, spodziewała się ceglanych tuneli o łukowych sklepieniach z odnogami prowadzącymi do katakumb i podkościelnych krypt. Cóż, jedno z wielu paryskich rozczarowań.

- Z czego się pani tak śmiała w gabinecie świętej Marii?
- Szczerze? Zastanawiałam się, czy się bzykała na tym biurku.
- Miała czterdzieści cztery lata, jak otworzyli instytut.
- Też mam tyle.
- Właśnie chciałem dokończyć, że to najlepszy wiek.
- Ostrożnie, dobrze panu radzę.
- Chciałaby pani spróbować?
- Powiedziałam: ostrożnie.
- Mogę to załatwić. Seks na biurku Marii Curie. Jak dla pani, to może być nawet biurko Marii Skłodowskiej.

Zatrzymała się i spojrzała na francuskiego chemika. Cofnął się o krok pod jej wzrokiem, ale brnął dalej.

– Jesteśmy dorośli, nie ma między nami zależności służbowej, uważam, że jest pani sexy i że fajnie by było przeżyć mały orgazm na biurku madame Marie. Zabytkowy Instytut Radowy, po godzinach. Hmm? Proszę sobie wyobrazić, ile w tym biurku jest. Dwa noble, radioaktywny rad i polon, niezwykła biografia i specjalnie dla pani uczucia patriotyczne. Miałem dziewczynę z Polski, proszę sobie wyobrazić, że jak ja Wietnamka z pochodzenia, a już dostała obsesji na punkcie tych wszystkich waszych powstań i całej reszty katastrof. W pierwszym pokoleniu żeście ją nawrócili.

Tylko patrzyła. Wystarczyło, żeby cofnął się jeszcze o krok i nerwowo przełknął ślinę. Odchrząknął i gestem zaprosił, żeby szli dalej. Po kilku minutach marszu weszli z korytarza do piwnic, na następną klatkę schodową i w końcu usiedli w kolonialnym gabinecie, z ciemną boazerią, marynistycznymi malowidłami na ścianach i z wielkim globusem w kącie pomieszczenia.

Spojrzała pytająco.

- Instytut oceanografii. Są tak zabytkowi, że nigdy nikogo tu nie ma, dobre miejsce, jak chce się porozmawiać w spokoju. Przeczytałem pani list i muszę przyznać, że zaskoczyła mnie pani – Cuong przeszedł do rzeczy bez żadnych wstępów. – Nie miałem pojęcia, że przez jej życie przewinął się badacz Syberii.
- Sachalinu.
- To nie na Syberii?
- Obok.

– Tak czy owak, musiałem naprawdę głęboko pogrzebać, żeby znaleźć o nim wzmiankę w jej dziennikach.

– Nie dziwię się. Mój Benedykt łatwo się zapalał do kobiet, a jako miłośny mitoman wyolbrzymiał każdą relację. Wystarczyło, że ktoś na niego spojrzał, a już pisał znajomym w listach, że za rok przyjeżdża z żoną na wakacje. Ciągłe się przez to pakował w kłopoty. Dlatego jak znalazłam w jego dzienniku płomienną miłość do Marii, wzięłam na to dużą poprawkę, zresztą czytał to pan w moim opracowaniu. Podejrzewam, że darzyła go sympatią jako polskiego naukowca, byli rówieśnikami, połączonymi z Polską tyleż mocną, co toksyczną *hassliebe*, mogli spędzić razem kilka przyjemnych wieczorów, resztę dośpiewała mu wyobraźnia. To pasuje do pańskiej wiedzy?

Jean pokiwał głową.

– Maria po Langevinie nie miała już ani głowy do płomiennych romansów, ani czasu na takie bzdety, wizyta Benedykta zbiegła się ze startem instytutu i wybuchem wojny. Pracowała bez przerwy. Pomogła mu trochę z patriotycznego obowiązku, okazała sympatię. Musi pani zrozumieć, że to nie był typ kobiety prowadzącej salon, w którym gromadzono się na herbatkę w porcelanowych filiżankach. O Benedykcie nie wspomina w kontekście towarzysko-uczuciowym, tylko ze względów naukowych.

– Zamieniam się w słuch.

Na jego twarzy pojawił się figlarny uśmieszek, jakby zamierzał jej uwagę przekuć w erotyczną aluzję, ale wyrazem twarzy dała mu do zrozumienia, że kolejny głupi żart źle się skończy. O dziwo, całkiem dobrze odczytał wiadomość.

– W skrócie, patrzemy na odkrycie radu i w ogóle promieniotwórczości jak na szlachetną klasykę nauki, ale tamtejsi naukowcy nie żyli w próżni. Otaczała ich publiczność tak samo bezdennie głupia jak i dziś, a wśród tej publiczności szarlatani i cwaniacy, którzy potrafili zamienić prasowe nagłówki w żyłę złota. Teraz żyjemy w epoce elektroniczno-genetycznej, więc może sobie pani zafundować suplementy, które wydłużają telomery w chromosomach i masażery, w których mikroprocesor steruje wygładzaniem zmarszczek. Wtedy takim *next big thing* był rad. Tajemnicza świecąca substancja, która potrafi zarazić energią inne

substancje. Perpetuum mobile, niewyczerpalne źródło energii, a że gówno wiedziano o DNA, to jak odkryli, że napromieniowanie powoduje zmiany w kolejnych pokoleniach muszek, byli pewni, że za pomocą radu można tworzyć nowe gatunki. Pierwiastek życia! No i dodajmy do tego, że rad od początku wykorzystywano w medycynie, zwłaszcza onkologii, i bum, właściwie można go zaprząć do wszystkiego. Powinna pani zobaczyć te reklamy radioaktywnych kremów, w których czarodziejka zdejmuje maskę starości. Maści, mydła, płyny kąpielowe, pudry – ciężko było tylek umyć mydłem, które nie świeciło w ciemnościach. Marię to wkurzało, ale uznała, że z głupotą nie wygra. Poza jednym przypadkiem.

– Tak? – spytała, ponieważ Cuong zawiesił głos.

– Pomyślałem, że za godzinę przerwa na obiad. Pójdzie pani ze mną?

Nie miała pojęcia, jak ten naród produkował PKB, skoro codziennie w południe wszyscy zamierali na dwie godziny w środku dnia, godzinę przed kręcili się już bez sensu, planując, gdzie pójść i co zjedzą, a potem przez kolejną godzinę dochodzili do siebie, tylko po to, żeby chwilę później wyjść z pracy i zrobić zakupy na kolację. Zachowała te przemyślenia dla siebie.

– Nie.

– W pewnej chwili na rynku pojawił się specyfik o nazwie Tho-Radia. Duża kampania, genialna identyfikacja wizualna, może pani wygugłać. Po Hiroszimie i Czarnobylu skąpana w radioaktywnym lśnieniu modelka budzi grozę, ale wtedy promieniotwórcze szminki sprzedawały się na pniu, konsumentki chciały, żeby ich urodę poprawiała wszechmocna nauka, a nie jakieś tam siekane zioła. Problem w tym, że cwaniacy znaleźli prowincjonalnego naiwnego lekarza o nazwisku Curie, żeby dał temu nazwisko i nagle na wszystkich reklamach pojawiło się sformułowanie, że te cuda stworzono „wedle receptury doktora Alfreda Curie”. Zrobiła się chryja i w samym środku tej chryi przyjechał właśnie pani syberyjski heros. Z tego, co pani pisała, ta sprawa mogła połączyć Marię i Benedykta.

Zastanowiła się chwilę.

– Są podobieństwa i różnice. Faktycznie Benedykt w Imperium, podobnie jak Maria tutaj, był uznanym badaczem, pionierem etnografii i antropologii. W tym sensie jego nazwisko stanowiło pewien naukowy znak jakości. Maria wydarła ziemi cudowne minerały, a Benedykt – cudowne zioła, których moc znały jedynie plemiona z końca świata. Pasuje.

– Rewers tego samego medalu. Tak jak dziś. Żeby uczynić nasze pośladki nieśmiertelnymi, w jeden wcieramy krem wydłużający telomery, a w drugi chińską maść ze sproszkowanego korzenia lukrecji, zbieranego przy pełni księżyca.

– Próbował to połączyć, sprzedając Sachalinę, cudowny specyfik będący syntezą medycyny ludowej ze współczesną nauką.

Jean Cuong skrzyżował ramiona na piersiach, dwa chemiczne symbole zlały się ze sobą, tworząc przyjemny dla oka geometryczny deseń na jego oliwkowej skórze.

– Ba! To zawsze najlepiej działa. Ludzie nie mają zaufania do czegoś, co zostało wypichcone z niczego w laboratoriach, za dużo oglądali filmów o epidemiach. Ale też wywar z wymion himalajskiej kozicy budzi słuszne zastrzeżenia. Wtedy trzeba opowiedzieć, jak to mądry Fleming z pleśni zrobił penicylinę, z kory wierzbowej mamy aspirynę, a jak chińskie tradycyjne specyfiki zanieśliśmy do laboratorium, to od razu nam wyskoczył z próbówki lek na malarię. Cud natury sprawdzony przez gości w kitlach to złoty strzał.

Pokiwała głową.

– Dokładnie na takiej glebie wyrósł rynkowy sukces Sachaliny. Do tego mówimy o Wschodzie, przepraszam za uwagę, nie wiem, jak silne są pana związki z kulturą wietnamską...

– Babcia podaje mi phở dożylnie, jak śpię, żebym był nieśmiertelny.

– No to rozumie pan, że im dalej na wschód, tym, jak by to powiedzieć, dziwniej. Benedykt Czerski nie tylko sprzedawał Sachalinę, ale przeistoczył się w jarmarcznego szamana. Jeździł po największych miastach imperium, śpiewał ajnuskie pieśni i przebrany w chałat z pokrzyw leczył blade damy z migren i nudy. To się nie skończyło dobrze, z powodów politycznych sprawę nagłośniono, został skompromitowany i upokorzony, w oczach

opinii publicznej z naukowca przeistoczył się w jurodiwego. Zna pan to słowo?

Cuong zaprzeczył ruchem głowy.

– W Rosji to tacy trochę święci, trochę szaleńcy, trochę cudotwórcy. Jakby pan połączył w jednej osobie szamana, mnicha i wioskowego głupka. Można pójść, żeby demona wypędzić, ale można też kopnąć w dupę dla śmiechu. Chodzi w samych gaciach, je szyszki i mieszka w jamie wydrążonej w śniegu, taki to obrazek. W prasie pojawiły się karykatury, w której tak właśnie przedstawiano Czerskiego. Oczywiście dość szybko burza ucichła, ale dla wrażliwego człowieka cios straszliwy. Zwłaszcza człowieka, którego ukształtowało życie wśród życzliwych, prawdomównych i dobrodusznym plemion.

– Rozumiem, że płakał przez całą drogę do banku.

Westchnęła.

– Zbił chyba majątek na tym przekręcie? – Cuong wyraźnie zainteresował się finansową stroną przedsięwzięcia. – Rosja to wielki kraj, musieli tam mieć znudzonych arystokratek z migreną na pęczki. Czarnookich blond piękności, tylko czekających na to, żeby ktoś urozmaicił ich mieszczańskie życie – ostatnie zdanie wymruczał, mrugając do niej znacząco.

Popatrzyła na obraz, przedstawiający żaglowiec w przechyle na wzburzonym morzu, mający za jedyne towarzystwo ciemne chmury i ogon wieloryba na pierwszym planie. Zapewne chodziło o pokazanie odwagi uczonych, którzy wyprawiali się na sztormowe wody w poszukiwaniu wiedzy.

– Po pierwsze – powiedziała zimno – wkurwiają mnie pańskie zaloty, więc obiecuję, że jeszcze jedna próba i zrobię panu takie *metoo*, że „Libération” wydrukuje tarczę strzelniczą z pana podobizną, żeby francuska lewica miała do czego celować z procy. Po drugie biedny Benedykt Czerski nie zarobił na aferze z Sachaliną ani kopiejki. Z jego dzienników wynika, że cała operacja została wymyślona przez polskich spiskowców i chodziło w niej o to, żeby zdobyć fundusze na działalność niepodległościową.

– Zrobił z siebie durnia, szarlatana i szamana po to, żeby pomóc polskim spiskowcom? A za co wcześniej go zesłali na Syberię?

– Za pomaganie polskim spiskowcom.

– Idiota.

– Patriota.

Jean Cuong pokiwał z niedowierzaniem głową.

– No to się na pewno z madame Marie dogadali, chorowała na tę samą chorobę. Wie pani, że po studiach próbowała wrócić do Polski, mimo że we Francji miała ukochanego, karierę i możliwość dalszych badań? Idiotyczna sytuacja. Tutaj wszyscy czekają z otwartymi rękami, tam ją wyganiają kopniakami, a ona trzyma się framugi i nie chce puścić. Ponieważ, cytuję, Polacy nie mają prawa opuszczać swojej ojczyzny, kiedy jest ona w potrzebie.

Nie wiedziała, jak to skomentować, więc nie skomentowała.

– Nie wierzę, że to tylko kwestia wychowania, musicie mieć w glebie jakąś bakterię, wirusa, cokolwiek – monologował Cuong. – Może jakiegoś doktoranta wyślę, żeby to zbadał. Nie wiem, czy pani jest na bieżąco, ale mikrobiom to najbardziej obiecujący kierunek w medycynie, mieszkające w naszych jelitach bakterie lub ich brak mogą być odpowiedzialne za otyłość, alergie, alzheimera. Czemu nie za patologiczny patriotyzm?

– Sugeruję pan, że tajemnica relacji z ojczyzną może kryć się w dupie?

– W jelitach.

Uznała, że ten kierunek rozmowy to ślepa uliczka.

– Tak czy owak, resztę pan zna. Benedykt Czerski z wielu powodów nie ma czego szukać w Polsce, zabiera swoje zabawki i jak wszyscy przyjeżdża do Paryża, gdzie zaprzyjaźnia się i zakochuje w Marii. W 1918 roku popełnia samobójstwo, być może z nieszczęśliwej miłości, a być może z powodu kiły, na którą cierpieli wszyscy zesłańcy. Jego zbiory przepadają. Nie wysyła ich do Warszawy, nie wysyła ich do Petersburga ani na Sachalin, nie ma ich we francuskich muzeach etnograficznych. Jedyne, co mi przyszło do głowy po odkryciu relacji z Marią, to pański instytut. Tak jak pisałam, pracowałam w zbiorach publicznych i wiem, jak łatwo coś tam zgubić. Zwłaszcza jeśli to coś przypadkowego, czym nie trzeba się zajmować w pierwszej kolejności.

Jean Cuong pokiwał głową ze zrozumieniem. Czekala, co powie, ale on nagle zaczął kontemplować wystrój gabinetu, jakby chodziło o kaplicę Sykstyńską.

– No dobrze. Czego mi pan nie mówi i czemu mi pan tego nie mówi?

– Staram się panią rozgryźć. Czy blefowała pani z tym *metoo*? Czy to element gry? Czy moje szanse na kolację zwiększy wprawienie pani w euforię dobrymi wiadomościami, czy w ponure przygnębienie złymi?

– Ujmę to w ten sposób: nawet gdybym głodowała od tygodnia, a pan byłby nie dość, że moją jedyną szansą na przetrwanie, to jeszcze wykwintnym restauratorem, i tak wolałabym ssać sznurówki. Czy to jasne?

Westchnął teatralnie.

– Czyli zaczniemy od euforii. Miała pani rację. Benedykt Czerski zostawił swoje zbiory Marii, która zostawiła je tutaj, w instytucie radowym. I słusznie pani uznała, że nikt nie zwracał na nie uwagi. Pani Curie pewnie zapomniała, ponieważ nie interesowało jej nic, co nie byłoby radioaktywne. Po jej śmierci może zrobiono by z tym porządek, gdyby te rzeczy należały do niej, ale skrzynie jakiegoś Polaka o nieznanym nazwisku, których nikt nie szuka? Pewnie uznano, że jeden z jej polskich pracowników, których się przez instytut przewinęło sporo, zabunkrował swoje papieryska na czas przeprowadzki. Przez dekady nikt tego budynku nie remontował, a bieżące porządki polegały na wciskaniu zbiorów Benedykta w coraz dalszy kąt. Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy instytut zamieniano w muzeum, zrobiono ostatecznie porządki i wyciągnięto te skrzynie z graciarni. Znalazłem inwentaryzację.

– I? – zapytała, przeczuwając już, że to historia bez happy endu.

– Trochę papierów, trochę ciuchów ludów rdzennych, ale przede wszystkim nośniki danych: woskowe wałki z nagraniami dźwiękowymi, mnóstwo materiałów fotograficznych i filmowych.

– Skarb. Z etnograficznego i antropologicznego punktu widzenia. Niech pan nie przeciąga, rozumiem, że nie bez przyczyny wspominał pan o ponurym przygnębieniu.

– Piwnice instytutu to nie jest i nigdy nie była idealna przestrzeń magazynowa. Papiery, ubrania z rybich skór, woski z nagraniami, wszystko to zostało dosłownie zjedzone przez grzyby. Jak już ktoś ustalił, co to w ogóle jest, napisano do Warszawy i Petersburga, ale w 1991 roku chyba nikt u was nie miał głowy do ratowania skrawka



futra z foczej skóry. Klisze fotograficzne i filmowe były nieźle zabezpieczone przed wilgocią, zalutowane w metalowych pojemnikach, zardzewiały, ale ciągle szczelnych. Niestety...

– Prześwietlone przez rad.

– Niestety. Pech, że Benedykt zakochał się w genialnej chemiczce, a nie matematyczce, której do pracy wystarcza papier, ołówki i kosz na śmieci. Porządki przy okazji przekształcenia instytutu w muzeum zbiegły się w czasie z poczarnobylską histerią. Wszędzie dopatrywano się skażeń i niebezpieczeństw. Laboratorium Marii w Arcueil to do dziś odcięta od świata murem i drutem kolczastym opuszczona twierdza chemii, a miejscowi nazywają swoje miasto Tchernobyl-Sur-Seine. Tutaj skażenie było mniejsze, w sumie niegroźne, ale i tak każda sprzątaczką z mopem miała na sobie strój zabezpieczający. Może w innym przypadku zjedzone przez grzyby skarby etnografii próbowano by gdzieś przekazać, a tak to je po prostu zamknięto w beczkach i zabetonowano na składowisku odpadów radioaktywnych. Nie da się ich stamtąd wydostać.

Pokiwała głową. Czy ogarnęło ją ponure przygnębienie? Niekoniecznie. Nie pierwsza to przygoda ludzkości zakończona na wysypisku. Kiedyś może przejęłaby się bardziej, ale lata życia z Karolem nauczyły ją, że prawdziwe życie jest gdzie indziej, że olej na płótnie, kaftanik z łososiowej skóry i film z nagranyim świętem niedźwiedzia mają znaczenie, ale bez przesady. Zawsze będzie jakaś kultura, a czy swoje smutki i radości przeżywamy słowami Ajnów, Rosjan czy Polaków, jakie to ma znaczenie. Przynajmniej mogła teraz oficjalnie zakończyć tę przygodę, zgarnąć kasę i zająć się prawdziwym życiem. Pojedzie do Karola w Pireneje i tam zastanowi się, co dalej.

– Cóż, bardzo panu dziękuję – powiedziała. – Od początku wiedziałam, że to może się tak skończyć. Na kolację z panem nie pójdę, na drinka też nie i w ogóle zamierzam już nigdy w życiu na oczy pana nie oglądać, ale dam się zaciągnąć na lunch w okolicy, jeśli odpowie mi pan na jedno pytanie.

Uniósł kciuk w górę.

– Tatuaze?

– Wzory dopaminy i serotoniny. Dobrze przypomnieć sobie czasami, że wszystko, co nazywamy szczęściem, miłością,

namiętnością i spełnieniem, można ująć w dwa proste wzory i cztery pierwiastki. Trochę molekuł węgla, tlenu, wodoru i azotu połączonych w odpowiedni sposób.

Uśmiechnęła się.

– Romantyk z pana.

Jean Cuong zeskoczył z biurka i otworzył przed nią drzwi gabinetu.

– Pójdziemy na naleśniki, mamy tu takie studenckie miejsce wystylizowane na wnętrze Gwiazdy Śmierci, poczujemy się znowu młodzi. Może jeszcze panią zainteresuje, że z tych wszystkich rupieci pana Benedykta jedna kuriozalna rzecz przetrwała dekontaminację.

– Tak?

– Kawalek kamienia.

### 3

Naleśnikami nazarała się po uszy, więc poszła na długi spacer, potem zabalowała w księgarniach Dzielnicy Łacińskiej i wróciła do hotelu. Posiedziała chwilę na Skypie, żeby pogadać z Kasią i Karolem, poinformowała męża, że przygoda z Benedyktem dobiegła końca i na fali euforii po skończonym zadaniu znowu poszła się poszwendać po wieczornym mieście. Przedświąteczny Paryż kipiał od blichtru, blasku i brokatu, Miasto Światła znajdowało się najwidoczniej na innej planecie niż ta, która umiera, ponieważ kupujemy zbyt wiele, zużywamy za dużo i wszystko robimy bez sensu. Paryż zdawał się krzyczeć z każdej mrugającej witryny, w których laickie „święta” zastąpiły Boże Narodzenie, że nadmiar to nie powód do wstydu, lecz cnota, błogosławieństwo i cel wszelkiego stworzenia.

Chodziła i chodziła, z krótką przerwą na kimchi koło Opery, nie mogąc przestać myśleć, że z jednej strony ten euforyczny tłum, buzujący w mieście jak musujący napój w szklance, ma w sobie coś energetyzującego i uzależniającego, co sprawia, że chciałoby się w nieskończoność być podpiętym do tego źródła mocy. A z drugiej w tym histerycznym hedonistycznym zatraceniu bez względu na

koszty wyczuwała coś nieludzkiego i demonicznego, zwłaszcza w cieniu wypalanej katedry Notre Dame.

Wróciła zmęczona, rzuciła się w szlafroku na łóżko i skorzystała z bezpiecznego telefonu, żeby zadzwonić do Smugi i poinformować go o zakończeniu misji. Miała szczerą nadzieję, że całe gadanie o „kwestii ceny, która nie istnieje” ma sens nawet w obecnej sytuacji, zamierzała wytargować solidną premię. Za bliskie spotkanie z niedźwiedziem przede wszystkim.

– Tak to w skrócie wygląda – zakończyła relację. – Coś było, nic nie ma. Nie uwierzysz, ale jedynym, co ocalało, jest pozbawiona wartości rzeźba niedźwiedzia, normalnie łatwo uwierzyć w opiekuńczego ducha Ajnów.

– Drewniana?

– W jakimś minerale.

Smuga tak długo milczał, że spojrzała na ekran, czy nie zerwało połączenia.

– I co się z nim stało? – spytał dziwnym, głuchym głosem.

– Podobno z piwnicy pojechał do Muzeum Człowieka w Trocadéro, gdzie leżał w magazynach. Co mnie nie dziwi, ponieważ powierzchnia wystawiennicza tam praktycznie nie istnieje i pokazują lepsze rzeczy niż kamienny misiek. Cuong sprawdził, co się z nim dzieło dalej i wygląda na to, że niedźwiedzia pozbyli się w czasie otwierania etnograficznego Muzeum Quai Branly paręnaście lat temu. Gdzie też go nie chcieli, ale przynajmniej otagowali, więc wiemy, że z zabytku kultury stał się zabytkiem natury, który wylądował w Galerii Mineralów w tym cudownym kompleksie w Jardin des Plantes...

– Przestań mówić natychmiast. Nic nie rób, z nikim nie rozmawiaj, z nikim się nie spotykaj. Przyślę rano instrukcję sygnałem.

– O co chodzi? Przecież mam ponoć dobrze zabezpieczony telefon...

– W tej chwili – przerwał – nic nie jest zabezpieczone, a już na pewno nie dobrze.

I się rozłączył. Patrzyła jeszcze przez chwilę zdziwiona na ciemny telefon, po czym sięgnęła po książkę. Cóż, pomyślała, z każdym dziwactwem premia rośnie.

Zjadła, jak francuski pan Bóg przykazał, rogalika z białą kawą na śniadanie, i poszła spacerkiem na miejsce umówionego przez Smugę rendez-vous, zgrzytając w myślach zębami, ponieważ miejsce to wydawało jej się nad wyraz tandetne, im dłużej myślała, tym bardziej szlag ją trafiał, że godzi się, aby naukowa misja płynnie przechodziła w udział w szpiegowskiej fabule. Karol by pewnie tańczył i podskakiwał z radości, jej takie rozrywki nie interesowały. Co zamierzała za chwilę zakomunikować Smudze, kończąc z hukiem tę współpracę.

Minęła duży sklep sportowy, odnotowując w myślach, żeby znaleźć coś tutaj Karolowi pod choinkę, skręciła w prawo i wąską uliczką Dzielnicy Łacińskiej doszła do pomnika francuskiej megalomanii, w którym „wdzięczna ojczyzna” postanowiła trzymać zwłoki swoich „wielkich ludzi”. Pomyślała zgryźliwie, że jak chcą być tacy spójni, to powinni ich trzymać w gargantuicznej galijskiej chacie krytej strzechą, a nie przerabiać na narodowy cmentarz katolicki kościół zbudowany na wzór rzymskiej świątyni. To trochę tak, jakby Polacy postanowili trzymać swoich wielkich w gigantycznej cerkwi wybudowanej w formie wieży Bismarcka.

Zżymała się, ale tak naprawdę zazdrościła Francuzom postawy „jesteśmy najwięksi i najwspanialszy, a jak się nie podoba, to idź sobie ugotuj jajko”. Jak to możliwe, że świat to kupił, wybacząc im wszystko? Złe korporacje przypisywano Amerykanom, kolonizację Anglikom, rozpętywanie krwawych wojen Niemcom, mafijnych oligarchów Rosjanom, nielegalne próby atomowe Koreańczykom, antysemityzm Polakom, lenistwo Hiszpanom – a oni sami, w każdej z tych dyscyplin, jeśli nie mistrzowie świata, to przynajmniej medaliści, patrzyli znad croissanta z niewinnym uśmiechem miłośników dobrej literatury, dobrego wina i dobrego życia. Przebiegłe skurczybyki.

Zeszła do krypty i znalazła podwójny grobowiec małżonków Curie. Przy Marii anonimowy patriota gwoździem przerobił „L” na „Ł” w jej panińskim nazwisku. Drgnęła, kiedy kwadratowa postać Smugi wychynęła z ciemności.

– Żądam premii za te występy w thrillerze z lat sześćdziesiątych – powiedziała zimno.

– Na pewno jesteś obserwowana, więc będę się streszczał – powiedział cicho. – Obiecuję, że wszystko wyjaśnię, muszę tylko znaleźć miejsce, które zapewni nam prywatność. Teraz błagam cię, proszę i zaklinam: pomóż nam.

– Nam?

Rozejrzał się.

– Później, serio. Wierz lub nie, ale kamienny niedźwiedź to teraz największy skarb na tej planecie, który może zmienić przyszłość ludzkości w sposób niewyobrażalny. Przy nim wszystkie jajka Fabergé, Rafaele, Bursztynowe Komnaty i Atlantydy to śmiech pusty, ciekawostki niewarte uwagi. Zofio, posłuchaj mnie uważnie, my nie możemy tego stracić. A oni nie mogą tego dostać.

– Jeśli nie usłyszę...

– Zadzwoń do mnie za godzinę na normalny telefon, zrelacjonuj wszystko oprócz niedźwiedzia, powiedz, że dla świętego spokoju zbadasz paryskie zbiory etnograficzne i tym się zajmij. Wszystko wyjaśnię.

I zniknął.

## 5

Kilka dzielnic dalej Marcel Kluzka siedział w haussmannowskiej kamienicy przerobionej z wielką klasą i kasą na eleganckie biuro i tęsknił za górami – tymi w domu i tymi w Pirenejach. Dawno nie czuł takiej nostalgii za rodzinnymi stronami, jak w ciągu tych kilku leniwych dni spędzonych w prostym *chalet*. Może dlatego, że w końcu miał czas pomyśleć o czymś innym niż o pracy? A może po prostu chłopak spod Nowego Sącza zawsze będzie się czuł lepiej wśród porośniętych lasem wzgórz niż między burżuazyjnymi pałacami ósmej dzielnicy. A może nie tylko prosty chłopak, ale każdy człowiek? Może nasze życie w miastach to wynaturzenie, przykazanie religii nowoczesności, na które kiedyś będziemy patrzeć z takim samym zdziwieniem, jak dziś na kruczaty dziecięce i składanie ofiar z ludzi?

Cóż, jeśli nowoczesność jest religią, to bez wątpienia siedział właśnie w zakrystii jednej z katedr i rozmawiał, jeśli nie z papieżycą, to co najmniej z arcybiskupinią. O wyglądzie i manierach ukochanej babci każdego burżuazyjnego wnusia.

– Jest pan pewien? – zapytała papieżycą. – Gramy z przebiegłym i potężnym przeciwnikiem o niewyobrażalną stawkę.

Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

– Nie jestem stuprocentowo pewien, ponieważ nie rozmawiamy o prawach fizyki. Ale nawet jeśli przeciwnik jest tak mocny, jak pani mówi, to ona jest amatorką, wynajętą do prostego zadania, o którego kulisach nie ma pojęcia. Jest pozbawiona ich wiedzy i ich motywacji. Zbadała Instytut Curie, niczego nie znalazła, teraz umawia się na spotkanie w Musée de l’Homme i Musée du Quai Branly. Brzmi wiarygodnie, zachowuje się też wiarygodnie. Trochę pracuje, trochę zwiedza, trochę chodzi po sklepach, pije dużo kawy. Znamy każdy jej krok, każdy SMS, każdą rozmowę telefoniczną, transakcję, lajka i wyszukiwanie w Google. I nic tam podejrzanego nie ma, oprócz szukania antykwariatów ze starymi zabawkami.

Laura Kron uniosła brwi.

– Dlaczego to podejrzanego?

– Zawsze się bałam starych zabawek, są jak rekwizyty z filmów grozy.

Potężna CEO spojrzała wymownie, zastanawiając się zapewne, czy jej szef służby bezpieczeństwa nie postradał aby zmysłów, ale nie skomentowała.

– Czy możemy się dostać do tych radioaktywnych zbiorów z Instytutu Curie, o których mówiła?

– Nie możemy. Nie leżą, co prawda, w betonowym sarkofagu, wyobraźnia poniosła ją albo jej informatora, ale zostały sprasowane i pochowane pod kilkoma warstwami piasku, gliny i innych radioaktywnych śmieci na nuklearnym wysypisku w departamencie Aude. Nawet jeśli to faktycznie tam jest, to albo ugotowało się już w radioaktywnej zupie, albo i tak nikt do tego nigdy nie dotrze.

– Co pan radzi?

– Robić swoje. Od początku uważałem, że ta obsesja ma w sobie coś z poszukiwania Eldorado. Szyte grubymi nićmi teorie spiskowe,

próby wpasowania niepasujących faktów do wyobrażeń, idiotyczne nadzieje. Cieszę się, że pogoń za tym mitem dobiega końca.

– Zachowajmy czujność. Jak mówiłam wcześniej, gramy z potężnym przeciwnikiem, który łączy w sobie zalety dyktatorskiego zarządzania, mafijnej struktury, religijnego oddania i inteligencji roju. I nie możemy z nim przegrać.

– Mamy pieniądze.

– Oraz akcjonariuszy, zarządy, wścibską konkurencję i łase na skandale media. My mamy pracowników, oni wyznawców. Łatwiej kupić pierwszych, niż nawrócić drugich.

Marcel Kluzka uśmiechnął się.

– Słyszę podziw w pani głosie.

Tym razem Laura Kron spojrzała na niego nie wzrokiem wyrozumiałej babci, lecz surowej nauczycielki, i przez chwilę myślał, że przesadził, pozwalając sobie na żarty.

– Panie Marcelu. To, co pan słyszy w moim głosie, to nie jest podziw, tylko strach.

## 6

Z: Widziałam Bacona w Pompidou, szykuję się na El Greca w Grand Palais, nie wiem też, czy się nie odezwę do Jean-Luca, żeby mnie wpuścił po godzinach na Leonarda, niby już widziałam tę wystawę, ale rozumiesz, obsesja zobowiązuję. I się umówiłam z Marzeną w Instytucie na dziś.

K: Paryskie wakacje.

Z: No wiesz, i tak tu muszę siedzieć jeszcze chwilę, to równie dobrze mogę skorzystać. Pamiętasz coś z naszych pobytów w Paryżu?

K: Może lepiej nie...

Z: Nie, Karol. Właśnie lepiej tak. Dużo o tym myślałam i nie możemy od tego uciekać. Tracisz pamięć, trudno. Ludziom przydarzają się nieszczęścia. Wiesz, kim jestem?

K: Pozwólcie państwu, że wam przedstawię. Oto moja żona, Zofia.

Z: No właśnie. Zawsze jakiś początek. Ty musisz przestać udawać, że nic ci nie jest, ja muszę przestać udawać, że tego nie widzę, oboje

musimy przestać czekać, aż cud sprawi, że wszystko wróci do normy.

K: Nie wierzysz, że wróci.

Z: Nie wierzę. Chciałabym być miło zaskoczona, ale teraz moje oficjalne stanowisko jest takie, że nie będzie ci lepiej, a może nawet gorzej.

K: Zosiu, ja rozumiem, że to musi być dla ciebie gorsze niż dla mnie. Cierpisz. Nie muszę pamiętać, żeby to sobie wyobrazić.

Z: Posłuchaj mnie. Dałeś mi tyle pięknych wspomnień przez te kilka lat, że żadna kobieta nie może chcieć więcej. Od epickich awantur przez mrozące krew w żyłach przygody po seks tak spektakularny, że chciałam umrzeć tylko po to, żeby to właśnie ten orgazm był moim ostatnim wspomnieniem. Będę ci o tym opowiadać codziennie jak plemienny bajarz, lepsza to rozrywka niż oglądanie *Ozark*. To co pamiętasz z Paryża?

K: Nocowaliśmy w tym strasznym sarkofagu polskiej kultury, Instytucie Polskim w ósemce, niedaleko Pont de l'Alma.

Z: Grałeś na pianinie w sali balowej, a ja tańczyłam na golasa.

K: Serio?

Z: Serio, serio.

K: Seks?

Z: Nic z tego, pożarliśmy się, bo ty chciałeś grać Chopina, żeby było ironicznie, a ja chciałam jazz, żeby móc tańczyć, a potem puściłam pawia z balkonu do tego dziwnego podwórka studni, bo potwornie byłam nawalona.

K: Oglądaliśmy wystawę Cartier-Bressona w Pompidou.

Z: Kaśka nam zginęła, najszybsza czterolatka świata. Pobiełam do informacji, żeby ją wzywali przez megafon, byłam w hysterii i w kółko powtarzałam, że ma imię po Katarzynie Kobro, jakby dzięki tej informacji mogli ją łatwiej odnaleźć.

K: Znalazła się?

Z: Aha. Namówiłeś grupę sportowców z Mozambiku, żeby jej szukali. Dwumetrowi czarni biegali po całym centrum i nawoływali: „kazya, kazya”, ludzie uciekali przerażeni, jakby mieli stać się głównym daniem w afrykańskiej instalacji kulinarno-artystycznej.

K: To my takie życie prowadzimy?



Z: Kochany, to dopiero początek. Mogę cię takimi opowieściami karmić lata całe, a jak już zupełnie zniedołężniejesz, to cię ubezwłasnowolnię i będę trzymać w łóżku jako żywą seks zabawkę.

K: Podnieciłem się. Czy ja tak mówię?

Z: Nie. Ale łatwo się podniecasz, to fakt. Dziękuję, miło mi.

K: Przyjedź.

Z: Przyjadę jak najszybciej. Dostałam mail od doktora Mnatsakanyana, że chce się spotkać i porozmawiać.

K: Dobre czy złe wiadomości?

Z: Nie mam pojęcia.

## 7

Po raz pierwszy od dawna nie czuła po rozmowie z Karolem gorzkiego, mrocznego przygnębienia. A powinna, nie pamiętała przecież wydarzeń, które były jednymi z kamieni w fundamentach ich związku, historiami opowydanymi sobie do znudzenia, do tego etapu, kiedy nie potrafimy już powiedzieć, czy relacjonujemy fakty, czy przetwarzamy kolejną wersję narracji na ich temat. Może po prostu przeżywała jego chorobę jak stratę razem ze wszystkimi fazami żałoby? Szok, zaprzeczenie, rozpacz, a teraz nadeszła pora na powrót do życia. Innego niż to, do którego się przyzwyczaiła, ale ciągle życia. Rozmówi się z Artakiem Mnatsakanyanem i jeśli uzna, że „Le Trésor Perdu” jest po prostu nową wersją radioaktywnej szminki i szamańskich popisów Czerskiego, to zabierze stamtąd Karola od razu. Na pewno znajdzie lepsze sposoby wydawania trzech tysięcy euro tygodniowo.

Tak myśląc, naładowana energią, jakiej nie czuła od miesięcy, wyszła z RER przy moście upamiętniającym spuszczenie Rosjanom łomotu nad Alną, przeszła przez Sekwanę, rozkoszując się widokami miasta, i weszła do wszechświatowej stolicy mieszczaństwa, czyli ósmej dzielnicy Paryża. To tutaj, między butikami z sukienkami w cenie równej PKB małych państw oraz mieszkaniami arabskich szejków i ruskich mafiozów, mieścił się, jak to powiedział Karol, sarkofag polskiej kultury.

Westchnęła, patrząc na rozlatujący się zabytkowy budynek Instytutu Polskiego. Dlaczego piątej gospodarki Unii Europejskiej nie stać na remont kamienicy w sercu Paryża ku chwale polskiej kultury? Trudno jej było zaakceptować odpowiedź, że piąta gospodarka ma to zwyczajnie gdzieś, ale nie potrafiła znaleźć innego wytłumaczenia.

Przezornie zadzwoniła wcześniej do Marzeny, z którą zaprzyjaźniła się w czasie organizowania wystawy polskiego malarstwa w Lens, obawiając się, czy po ostatnich wydarzeniach w Polsce nie jest zbyt radioaktywna na odwiedzin w instytucji podlegającej MSZ. I czy nie lepiej spotkać się na mieście. I choć koleżanka zapewniała, że absolutnie wszystko gra, nie bez obawy wciskała dzwonek domofonu.

Po wejściu czekały ją niespodzianki. Wiele niespodzianek.

Pierwsza bardzo miła, bo cały zespół instytutu zebrał się, żeby zgotować jej owację na stojąco i przywitać, czym chata bogata, czyli kieliszkiem wina i ptasim mleczkiem. Wzruszyła się.

Druga, kiedy się okazało, że Marzena, zamiast chwycić torebkę i pędzić z nią do Palais de Tokyo na lunch, ciągnie ją do nieczynnych z powodu złego stanu technicznego pokoi gościnnych. Popularnych swojego czasu wśród polskiej bohemy z uwagi na niską cenę, lokalizację oraz fakt, że można było puszczać baki w te same materace, co laureaci Nagrody Nobla.

Trzecia, kiedy zobaczyła siedzącego na tymże materacu Bogdana Smugę.

I czwarta, kiedy z łazienki wyszła osoba, której miała już nigdy nie zobaczyć.

– To jakiś ponury żart – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Mówienie o nawróceniu w kontekście kogoś, kto pochodzi z Moszczenicy Niżnej, brzmi jak dowcip, zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że tak jak wszędzie indziej życie potrzebuje słońca i wody, tak na Podkarpaciu rodzi się ono z wiary i bojaźni bożej. Tak też był wychowywany, w cyklu liturgicznym, w rytmie

codziennych modlitw, cotygodniowych mszy i kościelnych uroczystości, długo nie mając pojęcia, jak bardzo jest w rzeczywistości niewierzący. Uważał uczestniczenie w tych obrzędach za naturalny obowiązek, musiał chodzić do kościoła tak samo jak do szkoły, słuchać katechetki jak matematyczki, prowadzić rodzeństwo na msze dla dzieci jak na zjeżdżalnie i siedzieć przy wigilii jak na imieninach babci. Niektóre z tych elementów sprawiały mu przyjemność, jak śpiewanie kolęd, niektóre dawały dreszczyk emocji, jak wieczorne obchody cmentarzy we Wszystkich Świętych, większość stanowiła jedno z wielu źródeł nękającej młodych ludzi nudy, przede wszystkim niedzielne msze święte, w czasie których największym wyzwaniem było znalezienie miejsca za zgrabną parafianką, żeby móc karmić erotyczne fantazje, klęcząc za nią w czasie podniesienia.

Traktował te perypetie jako część życia i kiedy w końcu zrozumiał, że wielu z jego podkarpackich współplemieńców naprawdę wierzy w istnienie brodatego gościa, który jedną ręką stwarza wszechświat, a drugą grozi nam, żebyśmy za często nie walili konia – szczerze się zdziwił. Gościa, który wysła na jedną z peryferyjnych planet swojego syna, który tak naprawdę jest nim, żeby w mętny i niezrozumiały sposób zatroszczył się o pewien krwiożerczy gatunek małpy, uzyskując jedynie to, że przez kolejne dwa tysiące lat – w imię tegoż syna – małpy wyzynają się bez końca na coraz bardziej skuteczne i wyrafinowane sposoby.

Został głęboko niewierzącym ateistą, opowiadającym na różnych końcach świata ze śmiechem swoje przygody młodego podkarpackiego katolika. Aż któregoś dnia, przekonany, że szuka cienia i chwili wytchnienia od palącego słońca, wszedł do małego betonowego kościoła, brzydkiego jak cała tkanka cywilizacyjna Wybrzeża Kości Słoniowej. W środku było pusto, nie licząc białego gościa koło czterdziestki, który siedział w jednej z ławek, jadł mango, czytał gazetę i wyglądał jak polski kierowca tira na wakacjach.

Gość spojrział na niego, skończył jeść mango, wytarł palce o szorty, zamknął gazetę, po czym wstał i powiedział po polsku:

– Szczęść Boże, synu. Chcesz pogadać czy od razu idziemy do spowiedzi?

Nie chciał gadać. Spowiadał się szczerze i tak długo, że musieli zrobić przerwę na kolację. A potem wrócił do bazy, poszedł spać i wstał jako ateista, który ma wielki problem, ponieważ bardzo chce zostać człowiekiem wierzącym w Boga. A jak to zrobić, skoro cały ten system oparty jest na redagowanych dla potrzeby chwili legendach, wykluczających się wzajemnie dogmatach, uprzedzeniach, wykluczeniach i ewidentnych bzdurach? Jak wierzyć w nieomylność papieża Benedykta, skoro mówiący co innego papież Franciszek jest równie nieomylny? Jak spowiadać się z ufnością komuś, kto jest członkiem mafijnej, opartej na zмовie milczenia organizacji? Jak pogodzić Boga z historyczną wiedzą o monstrualnych, nigdy nienaprawionych krzywdach i cierpieniach wyrządzonych w jego imię? Rozumiał, że tylko czysty Bóg, w oderwaniu od wymyślonych przez człowieka interfejsów ma sens. Ale jednocześnie czuł, że Bóg bez ludzkiej wspólnoty nie ma żadnego sensu, zamienia się w zimnego i odległego strażnika samotności.

Pobiegł z tym problemem do ojca Andrzeja. Który siedział na tej samej ławce w tych samych szortach i sandałach, dalej czytał „Tygodnik Powszechny” i dla odmiany jadł banana.

– Ja wiem, że to wszystko nie ma sensu – powiedział, wysłuchawszy jego rozterek. – Rozumie to każdy przedszkolak, który pierwszy raz pyta mamy w kościele, o co w tym wszystkim chodzi. Większość dogmatów większości wierzeń religijnych to bełkot szaleńca. Masz czołówkę?

– Co?

– Latarkę na głowę.

– Oczywiście.

– Czy kiedy ją włączasz w ciemności, zastanawiasz się, co za nią stoi? Że nikiel do baterii paluszków został wydobyty przez płaczące dziecko w afrykańskiej kopalni? Że plastik pochodzi od dobijających planetę korporacji naftowych? Że do wyprodukowania tej latareczki użyto prądu z węgla, a do transportu rosyjskiej ropy od mafijnego oligarchy? Że korporacja, która ci to sprzedała, kantuje na podatkach i że przez nią zbankrutował lokalny producent latarek? Że to kolejny szatański kawałek plastiku, który zatruje przyrodę i sprawi, że twoje prawnuki zachorują na raka?

– Nie.

– To dlaczego wchodząc do kościoła, miałbyś myśleć o krucjatach, inkwizycji i pedofilach w sutannach? Czołówka daje ci moc rozświetlania mroku, możesz tę moc wykorzystać do rozboju, a możesz do opatrzenia czyichś ran w ciemnościach i uratowania mu życia. Bóg to jest taka moc. Nie zastanawiaj się, przyjmij prezent, wyciągnij go, jak byś rozpakowywał znalezione pod choinką latarkę. Załóż na głowę, świeć na drogę, a potem myśl i postępuj słusznie.

– Ale jak się kierować w życiu tymi wszystkimi zasadami? Jak słuchać Chrystusa?

– A czy pytasz się swojej czołówki, w którą stronę masz iść?

– Nie.

– No właśnie. Nie przesadzajmy.

– A życie wieczne?

– Bądźmy dobrymi ludźmi tutaj, a potem się zobaczy. Ale tak między nami, nie oczekiwałbym zbyt wiele.

Kluzka zastanowił się nad tym, uznał, że to ma sens, i otworzył się na wiarę, tak jak człowiek, który wystawia twarz do słońca. Przyjął ją nie jako filozoficzny konstrukt, lecz jako źródło niewyczerpanej mocy, płynącej od wszystkich wierzących. Nagle, gdziekolwiek się obejrzał, widział tę moc, ona była jego i on był nią. Do niego należała procesja Bożego Ciała w Moszczenicy, bazylika Świętego Piotra, przydrożna kapliczka, drewniany kościółek, figury aniołów na cmentarzach, babiny w ostatnich ławkach świątyni i dziewczyny z krzyżkami w dekolcie. Zewsząd otaczały go źródła mocy, czasami miał wrażenie, że od ich nadmiaru przepała mu się bezpieczniki, jakby jechał na jakimś niebiańskim koksie. Wrażenie narkotycznej potęgi onieśmieliło go, przestraszyło i doprowadziło do tego, że napisał swoją własną modlitwę.

Teraz, już jako Marcel Kluzka, klęczał w nawie polskiego kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Paryżu, zaledwie kilkaset metrów od Zofii Lorentz i jej materacy pełnych noblowskich bąków, i tymi właśnie słowami się modlił.

„Panie, dziękuję, że podzieliłeś się ze mną swoją ogromną mocą. Pamiętam, że ta moc pochodzi od ciebie, a nie ode mnie. Pomóż mi, żebym w swoim życiu kierował się rozumem, myślał o wszystkim

dwa razy i dzięki temu postępował mądrze i słusznie, wykorzystując twoją moc dla dobra innego człowieka. Amen”.

## 9

Zofia Lorentz westchnęła tak ciężko, że zaskrzypiały pod nią sprężyny materaca, na którym siedziała. Spojrzała na Bogdana Smugę, siedzącego na drugim łóżku w swojej klasycznej pozie zgarbionego głazu, patrzącego poważnymi, smutnymi oczami Adriana Zandberga, rozmyślającego o ofiarach szatańskich instrumentów finansowych, zwanych dla niepoznaki kredytami hipotecznymi. Spojrzała na kobietę, która wcisnęła się w niewielki fotel i której mimo niezwyklej brzydoty tego mebla i absurdalnie niefunkcjonalnego kształtu, udało się przybrać pozę pełną gracji i niewymuszonej elegancji.

– Nie – powtórzyła Zofia. – Poprzednio, kiedy korzystałam z usług tej – szukała przez chwilę słowa – profesjonalistki, wszystko poszło nie tak. Ogólnie. A osobiście, dzięki jej wybitnemu profesjonalizmowi, najpierw mnie mało jakiś wariat nie zastrzelił, a potem ten sam wariat wbił we mnie nóż na tyle skutecznie, że mnie ratowali na intensywnej terapii trzy tygodnie. Wiele rzeczy od tamtej pory przemyślałam, podjęłam świadomą decyzję, żeby żyć długo i szczęśliwie, a obawiam się, że ta pani może stać na drodze realizacji tego planu. Więc nie, nie chcę wiedzieć, o co chodzi.

Lisa Tolgfors przewróciła lapońskimi skośnymi oczami, które nieodmiennie, mimo upływających lat, nadawały jej wygląd królowej północy z nordyckiej baśni.

– Pienisz się lala kompletnie zbędnie. A ja się jaram jak koza z dwiema kutasami, że widzę twojej facjatu.

Zofia przez chwilę patrzyła zimnymi, czarnymi oczami na legendarną złodziejkę dzieł sztuki, ale w końcu nie wytrzymała i się roześmiała.

– Lisa, ja też się cieszę. Pójdźmy na ostrygi i butelkę alzackiego wina, ale nie nowa awantura, błagam. Skąd ty się tu wzięłaś w ogóle?

– To pani zna polski? – spytał zdziwiony Smuga.

– Polski to duże słowo – prychnęła Zofia i już zabierała się za tłumaczenie, jak to złodziejka przez próbę kradzieży obrazu Moneta z Poznania wylądowała w polskim zakładzie resocjalizacyjnym, gdzie miała czas kształcić swoje językowe umiejętności, ale Smuga przerwał jej gestem.

– Nieważne – powiedział swoim niskim, zbolałym tonem lekarza, który zawsze przynosi złe wiadomości. – Skoro już tu jesteśmy, to możemy się wysłuchać. Myślę, że pora na kilka wyjaśnień. Jestem członkiem grupy naukowców, którzy próbują działać nie dla pieniędzy, nie dla akademickich stanowisk i publikacji w żurnalach, tylko dla nauki jako takiej. Powiedziałbym „dla ludzkości”, ale to brzmi zbyt górnolotnie. Dla wiedzy. Dla natury. Ale tak, ostatecznie dla ludzkości. To nie jest żadna łoża, raczej sieć powiązań, ludzie, którzy znają ludzi. Dzięki tej sieci znalazłem ciebie, Zofio, dzięki tej sieci znalazłem panią Tolgfors. Wiedziałem, że wcześniej pracowałyście razem. Sądziłem, że to będzie zaleta.

Powinna się zdziwić. Ale wyznanie brzmiało logicznie w kontekście wszystkiego, co wydarzyło się do tej pory, więc po prostu zaakceptowała informację.

– Nigdy nie chodziło o antropologiczne zabytki Ajnów? – upewniła się.

– Nie. Ale oczywiście stanowiłyby one miły dodatek, nie uważam, że świat poza połączeniami molekularnymi to bzdura, wręcz przeciwnie. Po co by się było męczyć dla ludzkości, gdyby nie jej kultura? Przecież właśnie zdolność tworzenia narracji sprawia, że jesteśmy czymś więcej niż jedną z wielu form życia, stworzeniem być może wyjątkowym w skali wszechświata. Pewnie na milionach planet żyją bakterie, kosmiczne króliki i oddychające azotem pterodaktyle. Ale to opowieści pozwoliły nam stworzyć cywilizację, wymyślić bogów i w końcu zapewnić sobie jedyną dostępną nieśmiertelność, dzięki historiom, w których przekazujemy pamięć o sobie. Z naukowego punktu widzenia praca dla dobra ludzkości to obowiązek objęcia ochroną najcenniejszej zapewne formy życia we wszechświecie.

Zofia pomyślała, że ona sama, teoretycznie humanistka, przestała myśleć ciepło o swoim gatunku i wytworach jego wyobraźni i już

dawno nie słyszała takiej dumy z człowieczeństwa jak w przemowie Smugi. Wydało jej się to wzruszające.

– Spójrzcie – powiedział, wyciągając z kieszeni kamienny dysk o średnicy kubka do kawy i kładąc go przed nimi na okropnym stoliku z dymionego szkła.

Zofia się nachyliła, Lisa wstała ze swojego fotela i usiadła obok niej na noblowskim materacu, żeby lepiej widzieć. Dysk wyglądał jak plasterek kamienia, z zewnątrz szary i niepozorny, w środku za to koncentrycznie układały się warstwy o granatowej i turkusowej barwie, przekładane pasami jasnych kryształów, niezwykle piękne to było dzieło natury. Jednocześnie spojrzały pytająco.

– To jest plaster jaskiniowego stalaktytu – wyjaśnił Smuga. – Z wierzchu te kamienne sople są niepozorne, ale w środku wyglądają pięknie. To efekt tego, że z wody spływającej po stalaktycie wytrącają się minerały, które następnie ulegają krystalizacji. Warstwa za warstwą i tak przez setki, tysiące lat. Piękne, ale dziś bardziej interesuje nas, że razem z wodą spływają różne substancje biologiczne, bakterie, wirusy, grzyby. I czasami zostają uwięzione w niepozornym kawałku kamienia, trochę jak ten słynny komar z kropli bursztynu w *Parku Jurajskim*.

– *Life, uh, finds a way* – powiedziała Lisa.

– Zgadza się, mój ulubiony cytat z fikcji w ogóle. Życie nie tylko zawsze znajdzie drogę, życie też przetrwa w każdych warunkach, na przykład w środku kamienia, zwłaszcza jeśli ktoś tak jak bakterie kształcił się w sztuce przetrwania przez ostatnie cztery miliardy lat. Z czego pierwsze trzy bez żadnej konkurencji. Każda inna forma życia powstała w świecie rządzonej przez bakterie, za ich przyzwoleniem i tylko dlatego, że było im to na rękę.

Zofia spojrzała podejrzliwie.

– W ewolucyjnym sensie. Kontynuujmy – powiedział tak akademickim tonem, że mało się nie roześmiała. – Ponieważ jesteśmy tylko głupimi ssakami, bardzo długo nie wiedzieliśmy, że coś takiego jak bakterie istnieje, a jak się dowiedzieliśmy, to zgodnie z ludzką naturą uznaliśmy je za wrogów. Teraz dopiero się uczymy, że ponieważ nasze i wszystkich innych gatunków organizmy od początku były wypełnione i otoczone bakteriami, są one najważniejszą częścią ludzkiego organizmu. Od tysięcy lat, razem



z rozwojem cywilizacji, robimy wszystko, żeby je zniszczyć stylem życia, dietą, lekarstwami, antybiotykami, i dopiero od niedawna rozumiemy, że to działanie samobójcze. Nie chcę wchodzić w detale, ale wygląda na to, że wszystko, co nazywamy „chorobami cywilizacyjnymi”, czyli otyłość, cukrzyca, choroby serca, alergie i przede wszystkim demencja są albo spowodowane brakiem jakiejś bakterii, albo oznakami zakażenia bakteryjnego, które się może rozwijać, bo sprzątnęliśmy chorobotwórczym zarazkom konkurencję.

– Jak z wrzodami żołądka – powiedziała Zofia.

– Dokładnie. Wszyscy myśleli, że stres, cywilizacja, papierosy, whisky, a okazało się, że to proste zakażenie bakteryjne. Nieważne, mnie interesują choroby neurodegeneracyjne. Nie mam czasu na wykład naukowy, a wy nie macie przygotowania, żeby go zrozumieć, ale w skrócie chodzi o to, że nasze bakterie mieszkają na skórze i przede wszystkim w jelitach. To jest nasz mikrobiom, który uczestniczy we wszystkich procesach życiowych. Nie tylko w przemianie materii, jak myśleliśmy kiedyś. Bakterie to żywe organizmy, których ewolucyjnym celem jest przekazać geny następnym pokoleniom. Dlatego w ich interesie jest, żebyśmy my jako ich habitat żyli jak najdłużej, a ponieważ w naszym przetrwaniu kluczową rolę odgrywa maszynka do myślenia, istnieje specjalny biologiczny szlak komunikacyjny między mózgiem a jelitami. Ma wiele funkcji, ale jedną z nich jest troska kochanych bakterii o stan naszego mózgu. Niestety, cywilizacja spuściła naszemu mikrobiomowi łomot na milion sposobów, populację skórną zniszczyliśmy higieną, a jelitową najpierw zagłodziliśmy monodietą związaną z rewolucją agrarną, a potem dobiliśmy nafaszerowanymi antybiotykami mięsem i nabiałem. Nie da się tego odkręcić, tak jak nie da się odtworzyć Indian w Ameryce i Ajnów na Sachalinie. Tych kultur, również bakteryjnych, nie ma. Stąd problemy czysto jelitowe, jak zaburzenia przemiany materii i alergie pokarmowe, oraz psychiczne związane z osią mózgowo-jelitową, jak nerwice, depresje i przede wszystkim największa przeszkoda w naszej długowieczności: demencja. Jasne?

Zofia pokiwała głową.

– A ponieważ nie da się tych bakterii odtworzyć – powiedziała – postanowiliście je odnaleźć.

Uśmiechnął się.

– Łatwo to powiedzieć w jednym zdaniu. Problem poszukiwania czegoś, co kiedyś było w człowieku, to temat nie na wykład, a na pięcioletnie studia. W tym roku minie dwadzieścia dwa lata od początku projektu Vincent.

Zaskoczona, szukała chwilę w pamięci, ale nie, pierwszy raz słyszała od Smugi tę nazwę.

– Projekt Vincent? Dlaczego Vincent? Chodzi o chorobę psychiczną Van Gogha?

Spojrzał zdumiony.

– Nie, kompletnie. Koledzy tutejsi wymyślili. Sto dwadzieścia to po francusku *cent vingt*, a mają tu taki zabawny slang przedmieść, w którym zamienia się miejscami sylaby, czyli wychodzi *vingt cent*, a to fonetycznie brzmi jak Vincent. Śmieszne, nigdy nie pomyślałem o Van Goghu. Ech, nawet nie wiem, jak zacząć, żeby to opowiedzieć w skrócie. Skupiliśmy się na badaniu ludów rdzennych, które najpóźniej zetknęły się z naszą pobłogosławioną przez Boga cywilizacją i u których zarówno badania, jak i ustne tradycje potwierdzałyby wysoką odporność na demencję. Wiele mieliśmy momentów euforii, zakończonych depresyjnymi porażkami.

– I wtedy pojawili się Ajnowie.

– Ajnowie od początku byli na tapecie. Pojawiła się teoria Mireille Hamidou o drzewie życia. Legenda o życiodajnym miejscu istnieje w wielu kulturach, ona postawiła tezę, że te miejsca mogły stanowić źródło korzystnego mikrobiomu. Złapaliśmy się tego, bo co nam zostało? Założyliśmy, że długowieczność niektórych plemion nie była cechą genetyczną, lecz zakażeniem bakteryjnym. Co oznacza, że odpowiedzialni za to przedstawiciele mikrobiomu potrafili przetrwać gdzieś w środowisku naturalnym, aby zakazić ludzi. I istnieje szansa, że ciągle tam są.

– Ajnowie nie mieli żadnego drzewa życia – zmarszczyła brwi. – To znaczy, nie badałam ich wierzeń aż tak, ale wydaje mi się, że oni mieli... – zawiesiła głos, kiedy myśl sformułowała się w jej głowie.

– Jaskinię – powiedział Smuga. – Jaskinię Błękitnego Snu, Benedykt o niej pisał, znalazł ją nawet. Powiem więcej, ja też ją

znalazłem.

– Skoro ją znalazłeś, to co my tutaj robimy?

– Znalazłem miejsce, które po niej zostało. W latach dziewięćdziesiątych na Sachalinie miało miejsce silne trzęsienie ziemi, całe miasto poszło w gruzy. Jaskinia zawaliła się w sposób, który uniemożliwia eksplorację. Wiem, widziałem. Ocalał tylko jej fragment, zabrany z tego miejsca sto lat wcześniej. Kawałek stalaktytu, wyrzeźbionego przez Ajnów na kształt ich najpotężniejszego bóstwa, który Benedykt przywiózł do Europy, zostawił Marii Curie na przechowanie i który w końcu ty znalazłaś, i który teraz trzeba ukraść. Bo jeśli mam rację, jeśli jaskinia była źródłem długowieczności Ajnów, to gdzieś między krystalicznymi warstwami tego misia może być uwięziony lek na alzheimera i klucz naszej długowieczności.

– W końcu nawijamy na szpulę – mruknęła Lisa.

– Dlaczego? – zapytała Zofia.

– Dlaczego ukraść?

– O to zapytam za chwilę. Dlaczego tak ci na tym zależy?

Smuga wstał i podszedł do okna, w każdym innym wnętrzu wyglądałoby to efektownie, uczony przed wygłoszeniem kluczowego monologu idzie przez obity mahoniem salon, jedną ręką opiera się o parapet, barczysta sylwetka odcina się od rozświetlonej panoramy miasta. Tutaj nie wchodziło to w grę. Pomieszczenie miało urok, kształt i powierzchnię schowka na szczotki, śmierdziało stęchlizną i kanalizacją, a okno wychodziło na podwórko studnię, jak małe które zasługujące na tę nazwę, dziesięć metrów po przekątnej, same ślepe szare ściany plus trochę rynien i kabli. Żeby stanąć przed oknem, naukowiec musiał wcisnąć się za szafę, a i one przycupnięte na borych fotelikach ze sceptycznymi grymasami na twarzach nie wyglądały na olśnione bohaterki romansów.

– Dlatego – powiedział – że można być człowiekiem bez nogi, płuca, tarczycy i trzustki, można chodzić na dializy, wydalać do woreczków stomijnych i ciągle zachować człowieczeństwo, ale bez świadomości stajemy się substancją biologiczną bezsensownie zużywającą surowce. Człowiek nie może żyć wiecznie, nie może zachować młodości, wszelkie opowieści o telomerach, cyborgach i przekazywaniu świadomości do komputerów to bzdety, panuje

konsensus, że biologiczna granica ludzkiego życia to sto dwadzieścia lat. Dlaczego jej nie osiągamy?

– Rak?

Machnął lekceważąco ręką.

– Raka albo leczymy, albo zamieniamy w chorobę przewlekłą, jak się spojrzy poza dramat umierających, na dane i statystyki, to w bardzo krótkim czasie sobie poradziliśmy z tą epidemią. Za chwilę na dobre wejdzie immunoterapia i to będzie koniec raka. Jasne, będzie nas zabijał, tak samo jak zawały, oblodzone schody i pijani kierowcy, ale żadnej z tych przyczyn nie da się wyeliminować w stu procentach. Nie osiągamy stu dwudziestu lat, ponieważ nasz mózg w większości przypadków zaczyna się nienaturalnie szybko degenerować około osiemdziesiątki, a kiedy tracimy nasz komputer – postukał się w głowę – reszta ciała idzie za nim. Nie trzeba wielkich analiz naukowych, wszyscy wiemy, że im dłużej zachowujemy zdolność myślenia, tym dłużej towarzyszy nam sprawność i ogólnie zdrowie. Ja chcę z tych szlachetnych wyjątków uczynić regułę, dać ludzkości dodatkowe czterdzieści lat. Pomyślcie tylko. My mamy po około czterdzieści lat, przeżyliśmy jedno życie, przy pomyślnych wiatrach przeżyjemy drugie.

Odwrócił się, oczy mu błyszczały.

– Ale jeśli osobom zgromadzonym w tym pomieszczeniu się powiedzie, to dostaniemy trzecie. My i wszystkie następne pokolenia. Wyobraźcie to sobie. Nikt przecież nie chce życia wiecznego w zaświatach wypełnionego śpiewaniem psalmów z aniołami aż po kres czasu. My chcemy być jak najdłużej tutaj, gadać z rodziną, oglądać filmy, gapić się na zachód słońca, cieszyć pierwszym śniegiem, pić wódkę z przyjaciółmi, spacerować z psem, wkurzać wiadomościami w telewizji, trzymać kogoś za rękę. Każda taka chwila jest bezcenna. I takich chwil każdy człowiek może mieć trzydzieści, czterdzieści lat więcej. Dlatego tak mi zależy.

Podszedł do ściany i włączył światło. Zamrugała, w ostrym świetle zbyt mocnej żarówki pokój niestety zyskał na brzydocie.

– No dobrze – powiedziała spokojnie. – Teraz drugie pytanie: dlaczego, do jasnej cholery, trzeba to ukraść. Napisz pismo z uprzejmą prośbą o wypożyczenie tego z punktu widzenia i sztuki,

i antropologii niewiele znaczącego zabytku i zrób z nim, na co masz ochotę.

Roześmiał się gorzko.

– Ty ciągle nie masz pojęcia, kim jest nasz przeciwnik, prawda? Ja wiem, pracowałem dla nich wiele lat. Wiem, czym jest ten przemysł. Ich potęga i bogactwo są w zasadzie nieograniczone i niewyczerpywalne, a wykorzystują to tylko w jednym celu – żeby zwiększyć swój zysk. Oni wiedzą, czego szukamy. Dlatego na pewno ich „dział bezpieczeństwa”, jak eufemistycznie nazywają swoich najemników, zna każdy twój SMS, każdą transakcję kartą, lokalizację telefonu, lajka na Instagramie i czy w Google szukasz butów górskich, czy kapci. Mają twój profil psychologiczny, socjologiczny i wiedzą, na kogo zagłosujesz, zanim się zdecydujesz, czy w ogóle iść na wybory. O mnie zresztą wiedzą jeszcze więcej, dlatego mnie tu nie ma, trzy osoby w Warszawie produkują mój ślad cyfrowy, a i tak pewnie już to przejrżeli. Dlatego mamy specjalnie przygotowany sprzęt do komunikacji, wykorzystywany tylko przez nas, służby i najlepiej zorganizowane mafie. Teraz ten niedźwiadek jest bezpieczny, bo poza osobami w tym pokoju nikt o nim nie wie. Ale wystarczy jeden rzut oka w jego kierunku i stracimy go na zawsze. To tak, jakbyś powiesiła *Monę Lisę* w domu kultury pośród prac dzieci. Jest bezpieczna, dopóki pierwsza osoba nie powie: „hej, czy to aby nie jest *Mona Lisa*?”.

Pomyślała przez chwilę.

– Nie rozumiem. Tak, wiem, że koncerny farmaceutyczne pracują dla zysku, nie dla dobra ludzkości. Ale znalezienie takiej substancji jest w ich interesie. Po pierwsze zarobią na tym pierdyliardy, po drugie im ludzie dłużej żyją, tym dłużej muszą kupować paracetamol i witaminę C, same plusy. Nie schowają jej do sejfu, żeby udawać, że nie istnieje.

Spojrzał zdziwiony.

– Serio? Musiałbym zatrudnić asystenta, żeby dokładnie sprostować wszystko, co powiedziałaś. Oczywiście, że schowaliby to do sejfu, albo raczej do jednego z laboratoriów, bo taka firma nie może powiedzieć: „hej, przypadkiem znaleźliśmy coś, co może zbawić ludzkość”. Bo ludzkość powie, że jak przypadkiem, to dawajcie. Najpierw musieliby się dowiedzieć, czy tam faktycznie coś

jest, jak to działa, w jakich warunkach fizyko-chemicznych, wyekstrahować, określić substancję czynną, puryfikować, po drodze przepuścić kilka razy przez chromatograf gazowy i na koniec dodać jakąś kosmetyczną grupę funkcyjną, by móc udawać, że to autorska molekula. Tylko wtedy mogliby to opatentować, twierdząc, że to wynik ich ciężkiej pracy i miliardowych nakładów na badania. Potem dwadzieścia lat testów klinicznych. A potem sprzedawaliby to w cenie sto dolarów za pudełko, sprawiając, że długowieczność stałaby się przywilejem bogatych. Co, niezależnie od moralnej grozy tego posunięcia, skutkowałoby rozwinięciem się kontrolowanego przez mafie czarnego rynku i zagroziło krwawą rewolucją na tle medycznego wykluczenia. Bo biedni mogą wybaczyć światu, że mają gorzej, gdy wiedzą, że wobec śmierci wszyscy są równi. Ale jeśli długie życie stanie się dobrem luksusowym, zarezerwowanym dla bogatych, dojdzie do pierwszej światowej rewolucji na tle medycznym. Zresztą już w tym miejscu jesteśmy, tylko jeszcze nie wszyscy się zorientowali.

– A ty co z tym zrobisz? – zapytała Lisa.

– Zbadam. I jeśli mam rację, oddam ludzkości.

Kobiety spojrzały po sobie.

– Proszę – powiedział Smuga. – Z każdą mijającą sekundą, z każdą nową osobą, jaką będę musiał wtajemniczyć, nasze szanse maleją.

Racjonalna część Zofii wiedziała, że powinna powiedzieć: „Przykro mi, ale nie znamy się aż tak dobrze”, wyjść i zapomnieć o sprawie. Może Smuga mówił prawdę, a może nie. Może był uczonym filantropem, a może mafiozem, który chce zbić miliardy na opatentowaniu fontanny młodości. Tak czy owak, racjonalnym wyborem było nie podejmować ryzyka, które może się skończyć we francuskim areszcie. Problem w tym, że strona racjonalna spokojnie szeptała, a nieracjonalna darła się ogłuszająco. Możesz być zbawicielką ludzkości! Możesz dać wszystkim to, czego ludzie poszukują, odkąd zeszli z drzewa! Możesz przejść do historii! I w końcu: możesz oddać Karolowi pamięć.

– Coś tu jebie, ale naginam w ciemno – powiedziała w końcu Lisa i mrugnęła do Zofii. – Gdzie skitraliście miśka?

Profesorka Zofia Lorentz spojrzała na złodziejkę, spojrzała na naukowca, spojrzała na swoje odbicie w szybie. Czytała gdzieś, że każda nasza decyzja, która wydaje nam się racjonalna i przemyślana, i tak jest podejmowana pod wpływem emocji, potem dopiero dopisujemy do niej zdroworozsądkowe uzasadnienia, żeby albo się wybielić, albo dodać sobie chwały.

Powiedziała im, gdzie można znaleźć przywiezionego z Sachalinu przez Benedykta Czerskiego kamiennego niedźwiedzia.

Lisa Tolgfors wybuchnęła śmiechem.

– Serio? Trafię to w igłach na nogach i cafe latte w gablach.

10

Oglądał *Dwóch papieży* i zamierzał właśnie wyłączyć film w połowie, bo nawet dla wierzącego katolika poziom słodkopierdzenia i świętojebliwego włazidupstwa osiągał w tym dziele rejestry nie do zniesienia, kiedy zadzwonił telefon.

– Tak?

– Wróciła do hotelu. Ani w lobby, ani w pokoju nikt nie czekał, nikt też nie wchodził poza sprzątaczką wcześniej w ciągu dnia. Zapewne zadzwoni do męża, nagranie i transkrypcja pojawią się na serwerze.

– Czy jest szansa, żeby się z kimś spotkała?

– Niewielka. Prosto z Instytutu poszła na kolację z koleżanką do Palais de Tokyo, stamtąd wróciła RER do Saint Michel i potem spacerem do hotelu. Mogła się z kimś spotkać w kolejce, ale nie zabawiła tam więcej, niż powinna. Mógł ktoś czekać w wagonie, miałyby wtedy kilka minut rozmowy. W tłoku, w wieczornym szczyście, mało prawdopodobne.

– Kamera przy instytucie?

– Została, jak pan prosił, na serwerze można oglądać bieżący feed i archiwum.

– Dziękuję.

Zakończył rozmowę i już trzymał rękę na pilocie, żeby dać dwóm papieżom jeszcze parę minut, ale czuł niepokój. Wiedział, że Smuga coś kombinuje. Dziś okazało się, że jego ślady cyfrowe to ściema.

Nie ma go w Warszawie, to jasne. Ale gdzie jest? Nie łudził się, że gdzieś się zaloguje na Instagrama albo zapłaci swoją kartą za hotelowe porno, gość był profesjonalistą, na tyle, że jego obecność w przeciwnej drużynie stanowiła miłe wyzwanie i dostarczała dreszczyku emocji. Czy to możliwe, żeby kręcił się po Paryżu? Możliwe. Czy mógł się spotkać z Lorentz bez ich wiedzy?

Zabębnił palcami o stół. Po czym odblokował komputer i włączył podgląd komputera Zofii Lorentz. Przeglądała wiadomości z Polski, ale nie musiał długo czekać na włączenie komunikatora i telefon do męża.

11

Z: Nie „znowu pijana”, tylko leciutko wstawiona doskonałym *côtes du Rhône*, to wielka różnica. Wtedy na Sachalinie to co innego, wtedy się urznęłam jak dzika, przyznaję. Hmm, chciałabym, żebyś tutaj był ze mną. Tęsknię.

K: Upiłeś się na Sachalinie?

Z: Nieważne, opowiem przy okazji. Jak się masz?

K: Ja wiem? Pogoda mało zimowa, w dzień jest dwanaście stopni, wszystko się zrobiło jakieś takie podmokłe, zima w Pirenejach, nie tego się człowiek spodziewa. Miałem dwie sesje z doktorem Mnatsakanyanem, też mnie to jakoś nie nastraja, pyta mnie o idiotyczne rzeczy, chciałbym wierzyć, że to dla mojego dobra, ale Zośka...

Z: Tak?

K: Ja nie jestem pewien, czy oni wiedzą, co robią. Nie mogę się spotykać z innymi pacjentami, zabrali nam możliwość robienia notatek, komputer mi wydzielają tylko na te rozmowy, te sesje też są jakieś dziwaczne. Nikt mi nie mówi, że zrobimy to, to i to, bo chcemy osiągnąć taki i taki efekt. Okej, tłumaczę sobie, że może i tak bym zapomniał, ale musisz przyjechać i porozmawiać z nimi. I ze mną. Dziwnie się czuję. Coraz gorzej.

Z: Dają ci jakieś leki?

K: Nie. Tylko posiłki. I żeby nie było, to są doskonałe posiłki. Nudzę się, tęsknię za tobą, tęsknię za Kasią, nie wytrzymam już tutaj.



No, chyba że faktycznie jest szansa, żeby mi się poprawiło, tylko jak ja mam to, kurwa, stwierdzić? Skąd mam wiedzieć, czy mi się pogarsza, czy poprawia?

Z: Spokojnie. Jutro mam jeszcze jedno spotkanie, jak z niego nic nie wyniknie, a raczej nie wyniknie, to kupuję bilety do Tuluzy, tam wypożyczam samochód i jak wszystko dobrze pójdzie, to pojutrze jemy razem kolację. Okej?

K: Okej.

Z: No i super. Jeszcze bym chciała podjechać w jedno miejsce po fajny prezent dla małej, może się uda. Wyśpij się porządnie, dobrze ci radzę. Ojej, patrz, jaka ze mnie niezdara, ręcznik mi spadł.

K: Lepiej późno niż wcale.

Z: Czekaaj, zaraz poprawię.

K: Nawet nie próbuj.

12

Czuł napięcie. Nie dlatego, że Zofia Lorentz machała mu nieświadomie przed nosem swoimi rozpixselowanymi cyckami, widział ładniejsze i w lepszej jakości. Tylko dlatego, że w czasie tego najgrzeczniejszego erotycznego seansu świata majtała komputerem na wszystkie strony, dzięki czemu zobaczył wewnątrz jej pokoju hotelowego i stolik nocny z książką, okularami do czytania i dwoma telefonami.

Myślał.

Czy powinien się niepokoić? To mógł być po prostu jej drugi telefon. Służbowy, do internetu za granicą, do oglądania świńskich filmów, do Tindera, ludzie mają różne dziwactwa. Załóżmy, że to Smuga mógł ją wyposażyć na wszelki wypadek w bezpieczny środek komunikacji. To ciągle nie musi nic oznaczać, przecież po spotkaniu w Muzeum Curie dzwoniła na jego otwarty numer. Ale załóżmy, że prowadzą podwójną komunikację. Jedną specjalnie dla jego uszu i drugą prawdziwą. Ale Smuga wie, że żadna komunikacja nie jest naprawdę bezpieczna. Załóżmy, że się spotkali. Gdzie? Kiedy? Po co?

Westchnął, ponieważ nie wierzył w ten najmniej prawdopodobny rozwój wypadków, ale poczucie obowiązku nie dawało mu spokoju. Otworzył kamerę na Rue Jean Goujon, zaniedbane kamienice Instytutu Polskiego wyglądały po zmroku na jeszcze bardziej zaniedbane. Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, pomyślał, patrząc na czarne okna.

Cofnął nagranie do momentu, kiedy Zofia Lorentz wchodziła do budynku. Trzynasta. Potem znalazł moment, kiedy wychodziła w towarzystwie przyjaciółki. Prawie osiemnasta.

Pięć godzin.

Dziwne, czy nie dziwne? Polska urzędniczka, całe życie zajmująca się kulturą, odwiedza polską placówkę kulturalną w Paryżu, gdzie pewnie zna każdego od lat. Kawka, *pains au chocolat*, ploteczki, pogaduszki. Teraz to już posiedź i tak za późno na obiad, na kolację pójdziemy. Pokażę ci, nad czym pracujemy teraz. To może jeszcze kawki? Tak, potrafił to sobie wyobrazić bez problemu.

A co jeśli tam się spotkali?

Przewijał do przodu. Ludzie wychodzili z pracy, w większości kobiety. Jedna zwróciła jego uwagę, wyróżniała się nie tylko na tle innych pracownic, ale w ogóle na tle Paryża, a to nie było proste. Niebotycznie wysokie szpilki, czarne wąskie spodnie opięte na zgrabnych nogach, szary gruby sweter z wielkim golfem, w którym chowało się pół jej twarzy. Bez czapki, bez szalika, bez płaszcza, tylko z dużą torbą. Pomyślał, że trzeba być ze Wschodu, żeby paradować w swetrze przy plus ośmiu, kiedy paryżanie wyciągali już najgrubsze puchówki.

Kobieta wyszła, rozejrzała się, po czym na krótką chwilę – co było niemożliwe, musiałyby wiedzieć, czego szuka – zawiesiła wzrok na kamerze, a następnie zarzuciła torbę na ramię i szybkim krokiem ruszyła w kierunku Grand Palais.

Dziesięć minut później ostatnia osoba zamknęła drzwi na klucz. Przewijał dalej, tak naprawdę nie wierząc, że z ciemnego budynku wyjdzie nagle Bogdan Smuga, i faktycznie tak się stało.

Obowiązek spełniony. Ale czy robił to wyłącznie z obowiązku? Czy może intuicja nie dawała mu spokoju. Cofnął do kobiety w golfie, zatrzymał kadr, powiększył obraz, na ile to było możliwe, w momencie kiedy patrzy w kamerę. Dziwna uroda, na pewno nie

polska i w ogóle nie wschodnia. Jakby – brakowało mu słowa – jakby elfia. Ale nie w stylu biedawiedźmina z Netfliksa, tylko w stylu *Władcy Pierścieni*. Tak jest, kobieta wyglądała jak królowa Arwena, tylko bardziej lodowato, a mniej w stylu filmowej „najładniejszej dziewczyny z sąsiedztwa”.

Zrobił zrzut ekranu i sięgnął po telefon.

– Szefie?

– Przyślę ci zdjęcie. Spróbuj się czegoś dowiedzieć.

## 13

Bogdan Smuga nie mógł zasnąć. Leżał na niewygodnym materacu, bez świadomości, ilu polskich noblistów, nominatów do Oscara i laureatów nagrody Nike chlało na nim tanie czerwone wino z pobliskiego carrefoura i starało się – z różnym skutkiem – nie puścić pawia. Trzymał ręce pod głową i patrzył na skrawek nieba, po którym w cyklicznym odstępach przebiegało światło wieży Eiffla.

Jeśli się uda, który moment historia zapamięta jako datę przełomu? Pierwsze podanie leku? Globalny efekt? Trudno to wyznaczyć. W laboratoriach równoległe serie testów trwają miesiącami, globalny efekt rozciąga się na lata albo i dekady, a historia lubi seksowne daty. 14 lipca, 1 września, 11 listopada. Efektowne wydarzenie, konkretny dzień. Tak, zdobycie substancji w Paryżu będzie się doskonale nadawało na oznaczenie początku nowej ery.

– Aleś ty głupi – powiedział na głos, jego niski głos brzmiał dziwnie w małym pokoju.

Zerknął na zegarek. Jeszcze sześć godzin do przyjazdu śmieciarki, która pozwoli mu się stąd bezpiecznie wydostać. Musi się przespać.

Zamknął oczy.

## Rozdział 9. Wielka Galeria Ewolucji

*Musimy to zrobić my i musimy to zrobić dziś • To nie jest moja walka •  
Sanktuarium pluszaków • Lepiej nasi oni niż tamci oni • Czy Bóg jest  
małą, czy Jezusem? • Kradzieże są prostsze, niż się wszystkim wydaje •  
Tato, ta pani chyba zabrała tego misia • Celował w grzbiet niedźwiedzia  
polarnego • Cyngiel korporacji • Skacz, to blisko! • Zapadając  
w ciemność*

1

Dzień, który miał zmienić losy świata, zaczął się dla wszystkich zwyczajnie.

Bogdana Smugę wibrujący zegarek obudził najwcześniej, umył szybko zęby palcem i zszedł skrzypiącymi schodami do małego holu, który robił za śmietnik. Stał w mroku, nie zapalając światła, i myślał o tym, że musi zadzwonić do ojca i powiedzieć, że znowu nie uda im się spotkać w Boże Narodzenie. Kiedy przyjechała śmieciarka, zasłaniając drzwi wejściowe, i po chwili manewrowania kluczami do środka wszedł zaskakująco niepozorny jak na ciężką fizyczną robotę śniady Francuz, Smuga przywitał się z nim, udając, że właśnie zbiegał ze schodów, wyszedł i wszedł do stojącego przy krawężniku małego opła.

Lisa Tolgfors wstała niedługo później, dość wcześnie, ale chciała popływać w hotelowym basenie, zanim pojawią się ratujące swój związek małżeństwa i amerykańskie rodziny, które przyjechały do Paryża na święta. Pokonywała kolejne długości, myśląc właśnie o tych rodzinach. Sama dzieci nie miała i mieć nie chciała, nie widziała sensu, żeby sprowadzać kogoś na świat tylko po to, aby mógł obejrzeć jego koniec. Wolna też była od czułości, jaką zwykle ludzie okazują dzieciom i psom, nie rozumiejąc, jak można poświęcać czas na komunikację ze stworzeniem, które nie potrafi tej

komunikacji odwzajemnić. Ale dziś myślała ciepło o amerykańskich rodzinach, ponieważ mogły się okazać bardzo pomocne.

Marcel Kluzka nie potrafił spać do późna. Nawet jeśli się zasiedział, nawet jeśli chlał na umór do świtu, to i tak najpóźniej o siódmej był na nogach, stare wojskowe przyzwyczajenia. Usiłował je wyplenić, próbując zostać zwyczajnym obywatelem, co śpi do późna, a potem w gaciach ogląda telewizję, ale w końcu się poddał. Wstał i poszedł na długi spacer między domkami przedmieścia do lasu nad Sekwaną, planując skończyć przechadzkę w piekarni. Zaczął od modlitwy, zawsze modlił się na spacerze, uznawszy, że Bóg woli wiernych, którzy rozmawiają z nim, podziwiając dzieło stworzenia i oddychając pełną piersią, od tych, którzy ze skrzywioną miną klęczą na podłodze i klepią zdrowaśki do ściany. Panie, myślał słowami Tomasza Mertona, ocal mnie ode mnie samego. Oddal mnie od mojej własnej, trującej potrzeby zmieniania wszystkiego wokół, od niemądrego działania, od poruszania się dla samego ruchu, przeinaczania wszystkiego, co ty zrządziłeś. Pozwól mi spocząć w twojej woli i milczeniu.

Zanim Kluzka doszedł do „amen”, Zofia Lorentz otworzyła oczy z myślą, że coś jest bardzo nie w porządku. Że pogubiła priorytety i że zamiast zabrać męża do domu, żeby razem z dzieckiem kleić łańcuch na choinkę, ona siedzi w Paryżu, biorąc udział w dziwnej awanturze, której do końca nie rozumie i której rozumieć nie chce. Nawet zakładając, że wszystko, co mówi Smuga, jest prawdą, to nie powinien być jej problem. A może powinien? Może dlatego ludzkość się rozwija, że kolejne osoby w kolejnych pokoleniach, zamiast myśleć: „mąż, dziecko, choinka”, myślą: „jestem człowiekiem i ludzkość to moja sprawa”. Wściekła, że nie potrafi dojść sama ze sobą do porozumienia, sięgnęła po telefon i zarezerwowała wieczorny lot do Tuluzy. Zerknęła na prognozę pogody, ziewnęła i zaczęła napszczać wodę do wanny, kiedy jej bezpieczny telefon zadzwonił. Nie chciało jej się, ale wróciła do pokoju, odebrała i – po chwili wahania – przystała na spotkanie.

Jako jedyny z tego grona Karol Boznański nie myślał o niczym i spał głęboko, trawiąc *confit de cuisse de canard* z kolacji i śniąc dziwny kulinarny sen, w którym pływał w podwodnym barze, obserwując, jak japoński kucharz przyrządza sushi z rybiego ogona

żywej, uśmiechniętej syreny. Ten widok zaskoczył go tak, że nieomal się obudził, ale jedynie chrapnął i spał dalej.

## 2

Nadłożyła drogi obok Cluny, żeby zahaczyć o Starbucksa, i teraz szła w stronę Saint-Michel z papierowym kubkiem w dłoni. Rozumiała, że rezygnacja ze świętej café crème na rzecz kawowego macdonalda oraz w ogóle kawa na wynos i cokolwiek na wynos to we Francji deklaracja obciachu. Przecież w kawie nie chodzi o kofeinę, a w obiedzie nie o kalorie. Chodzi o chwilę zatrzymania, czas wyrwany życiu tylko dla siebie albo dla siebie i przyjaciół. Sprowadzenie tych cennych i niezbędnych rytuałów do wchłaniania białek i węglowodanów odbierano jako nieeleganckie zezwierczenie i zwykle się z tym zgadzała, ale dzień wstał tak paskudny, że chciała jak najdłużej mieć przy sobie ciepłą, słodką, mleczną kawę.

Minęła fontannę na placu Saint-Michel, weszła do Giberta i chwilę kluczyła po ogromnej księgarni, odnajdując w końcu Lisę w umówionym miejscu, czyli w dziale z komiksami. Nie było to proste, wczorajsza wymuskana paryżanka zamieniła się w hipiskę. Przefarbowała włosy na marchewkoworudy i zebrała je w niedbały kok, elfie oczy schowała za ciężkimi okularami. Ubrana w dzinsy, trampki i bluzę z kapturem siedziała po turecku na podłodze, oparta plecami o regał niczym licealistka na wagarach, i czytała nowego Thorgala.

– Znajdź jakiś prezent dla dziecka i nie patrz na mnie – powiedziała po francusku. – Nie mamy dużo czasu, bo na pewno masz ogon. Wierzysz mi?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze, biorąc coś z półki na chybił trafił, młodzieżową serię o bohaterach Résistance. – Znam go kilka tygodni. Nie powiedział całej prawdy, dając mi to zlecenie, ale też nie okłamał wprost. Wszystko, co mówi, składa się w logiczną całość. Myślę, że naprawdę szuka tego, o czym mówi.

– Tylko po co?

– Moje myśli. Zastanawiałam się, czy to nie on sam pracuje dla jakiejś korporacji, ale to by nie miało sensu. Oni mają potężne wpływy, wiedząc już, gdzie to jest, bez trudu by to dostali. To nie żaden Caravaggio, tylko brzydki misiek, który robi za ozdobę w miejscu, gdzie go w ogóle nie powinno być.

– To nie odpowiada na moje pytanie.

– Wiem. Są dwie możliwości. Oczywiście, zakładając, że misiek w ogóle jest czymś więcej niż miśkiem, słyszysz, że to wszystko śmierdzi Atlantyda. Pierwsza, że mówi prawdę i rzeczywiście jest członkiem dziwnej sekty naukowców-filantropów. I druga, że chce zdążyć przed lepкими korpołapkami tylko po to, żeby schować miśka w piwnicy, wystawić na aukcję, opchnąć im za dwa i pół pierdyliarda i spędzić resztę życia na jachcie na Karaibach.

– Jak myślisz?

Zofia pomyślała o spotkaniu na Saskiej Kępie, o kolacji w Jużnosachalińsku, o buchance, o niedźwiedziu, w końcu o dwóch dniach w szamańskiej chacie. I dwóch nocach.

– Fifty-fifty.

Przez chwilę milczały, Lisa czytała, Zofia w końcu wyszperała komiks bez przemocy i golizny.

– Dostałam kiedyś zlecenie na oryginalne plansze z Thorgala – powiedziała w końcu Lisa. – Szybko się okazało, że nie ma ich w żadnym muzeum ani kolekcji, a Rosiński trzyma je u siebie w domu. Pojechałam do Szwajcarii, opowiedziałam mu o tym i zabezpieczyłam jego alpejską chatę tak, że teraz brakuje tam tylko karabinów maszynowych uruchamianych przez fotokomórki. Czasami robimy, co musimy, czasami, co chcemy, a czasami dlatego, że coś trzeba zrobić. „Fifty” w kontekście przyszłości ludzkości to dużo. Bardzo dużo. A jeśli chodzi o drugie „fifty”, to może coś nam skapnie z dwóch i pół pierdyliarda. *Win-win*.

– Nam?

– Nie mamy wyjścia. Zgadzam się, że każda mijająca minuta i każda nowa wtajemniczona osoba zwiększa ryzyko porażki. Musimy to zrobić my i musimy to zrobić dziś.

Zofia zakłęła. Przynajmniej w końcu wybrała dla małej dwa tomy Adéle, będzie zabawa przy wspólnym czytaniu i tłumaczeniu,

z Karolem zawsze jej czytali takie rzeczy z podziałem na role. I może się uda ją wciągnąć we francuski, nie byłoby źle.

– Mogę pójść do więzienia? – zapytała Szwedki.

– Co najwyżej dostaniesz grzywnę, a i to tylko wtedy, jeśli wszystko pójdzie nie tak. A teraz słuchaj uważnie, ponieważ powiem to tylko raz.

### 3

Albo duchy istnieją, albo dał się zrobić w trąbę, innej możliwości nie widział. Większość jego znajomych zaczęłaby niemiłosiernie kpić, że skoro tak łatwo uwierzył w chodzenie po wodzie i rozmnażanie chleba, to taka drobnostka jak niewidoczny przechodzień nie powinna mieć dla niego znaczenia. A jednak.

Na początku tego nie zauważył, przewijając nagranie na szybkim podglądzie. Śmieciarka pojawiła się, zniknęła, samochody jeździły, świeciło, przechodnie przechodzili, po ósmej pierwsza osoba przyszła do pracy w instytucie, na piętrze zapaliło się światło. Uznał, że cała obserwacja to bzdura, przyszła tutaj na kawę z psiapsiółką, nie może przecież kazać monitorować każdego miejsca, gdzie wypije kawę, kupi croissanta albo wejdzie i zniknie na dwie godziny, bo ją zainteresuje kiecka na wystawie, bezsens. Tak, siedziała tam pięć godzin. Tak, swędziała go intuicja. Ale to o niczym nie świadczy.

A jednak coś nie dawało mu spokoju.

Wrócił do momentu ze śmieciarką, puścił w zwykłym tempie.

Śmieciarka pojawiła się w kadrze posesję wcześniej, zatrzymała na chwilę, potem wjechała cała, zasłaniając drugie wejście do kamienicy instytutu, gdzie zapewne trzymano śmietniki. Stojący z tyłu na stopniu śmieciarz w odblaskowej kamizelce zeskoczył, zniknął za śmieciarką i po chwili wrócił z pojemnikiem. Ustawienie w chwytakach i opróżnienie zajęło chwilę, potem odstawił pojemnik, wskoczył na stopień i śmieciarka pojechała dalej. Za nią ruszyły dwa samochody, których kierowcy zapewne bardzo żalowali, że wybrali właśnie tę uliczkę, właśnie o tej porze. Na klatce schodowej instytutu jeszcze przez chwilę paliło się światło i zgasło, regulowane przez wyłącznik czasowy.



I znowu przedświtowa cisza. Przejechał dostawczak. Cisza. Normalność. Nuda.

I wtedy zaparkowany pod instytutem opel corsa błysnął światłami, odjechał i zniknął.

Zamrugał. Cofnął i sprawdził, że faktycznie, samochód odjechał, chociaż nikt do niego nie wsiadał. Parka się zasiedziała? Niemożliwe, włączaliby czasami silnik, żeby się ogrzać. Ktoś w nim spał? Jak wyżej. Czyli, że dał się zrobić w trąbę. Ktoś czekał w instytucie na śmieciarkę, żeby wyjść niepostrzeżenie.

Smuga.

Zadzwoił telefon.

– Niech to będą dobre wiadomości.

– Nie jestem pewien, szefie. Ta kobieta ze zdjęcia to Lisa Tolgfors, obywatelka Szwecji, o ile udało mi się ustalić, żyje głównie z przejadania rodowej kasy, działa trochę na rynku sztuki.

– I odwiedziła w Paryżu instytucję kulturalną, nie podniosłeś mi ciśnienia.

– Tylko jej nie ma w Paryżu. Sporo podróżuje, ale od dwóch miesięcy nie ruszała się ze Szwecji, teraz właśnie prowadzi dyskusję na Facebooku z kawiarni w Uppsali, a wieczorem wrzuciła na Insta film ze swoimi ozdobami świątecznymi. Jest też dziwny polski wątek.

– Tak?

– Myślałem, że to dziwna zbieżność nazwisk, ale nie. Kilka lat temu pani szwedzka arystokratka ukradła Moneta z muzeum w Poznaniu. – Rozmówca Kluzki wymówił nazwę miasta jako „posną”. – Dostała siedem lat, wsadzili ją do więzienia w miejscowości, której nazwy nawet nie spróbuję wymówić. I nie wiem, co się stało, nie mam dostępu do pisanych inkaustem zasobów polskiej administracji, ale rok później była już na wolności, jak gdyby nigdy nic.

Trzask, prask, stuk, wszystkie porozrzucane klocki układanki wskoczyły na swoje miejsce.

– Słuchaj mnie teraz uważnie, ponieważ powiem to tylko raz.

Biorąc pod uwagę liczbę szyfrowań i serwerów proxy, przez jakie musiały przejść dane, oraz fakt, że odbywało się to przez łącza satelitarne, komunikacja wideo nie wchodziła w grę, a głosowa też sprawiała problemy, z powodu opóźnienia trzeba było mówić na zmianę, brakowało tylko radiowej gruszki z przyciskiem. W końcu korzystali ze specjalnie dla nich zaprojektowanych komunikatorów tekstowych. Bycie członkiem nieformalnego stowarzyszenia, w którym wszyscy mieli co najmniej doktorat, miało swoje plusy, łatwo w takim towarzystwie znaleźć kogoś, kto zna kogoś, kto uszyje na miarę połączenie WhatsAppa z Enigmą.

„Jestem pewien” – wystukał odpowiedź na zadane pytanie, choć wcale nie był.

Może trzeba się wycofać? Schować na kilka miesięcy, pozwolić sprawie przycichnąć, zająć się czymś innym, skrupulatnie przygotować przejęcie artefaktu bez hysterii, napięcia i awantur. Brzmiało sensownie. Jak rozwiązanie zaproponowane przez myślącego, opanowanego, podającego w wątpliwość każde twierdzenie naukowca. Tylko że naukowcy nie działają zwykle pod presją czasu, a po piętach nie drepcze im chciwa, pozbawiona skrupułów korporacja. Przez kilka miesięcy jego rozsądnych wątpliwości mogła się wygadać Zofia, jej mąż, Azjata z Instytutu Curie, tysiąc rzeczy mogło pójść nie tak. Mam rację, myślał, działanie to jedyne wyjście. Ale gdzieś w głębi głowy błąkała się szydercza myśl, że tak jest dumny ze swojej racjonalności, a kto wie, czy decyzji nie podejmują za niego niecierpliwe polskie geny. Ja z synowcem na czele i jakoś to będzie.

„Po naszej stronie wszystko gotowe. Jak transport?”

„Załatwione. Dziś z MSF prosto do A. Tak czy owak”.

„Pireneje?”

Zawiesił kciuk nad ekranem telefonu. Dobre pytanie.

„Niech go zabierze”.

„Trzymaj się z daleka”.

Niedoczekanie, pomyślał, wizualizując synowca na czele. Kim w ogóle był ten synowiec? To zwrot retoryczny czy w poemacie taka postać faktycznie występuje?

„Jasne. *Over and out*”.

Z Musée du Quai Branly, w którym spędziła tyleż miłe, co absolutnie zbędne dwie godziny w towarzystwie kustoszki galerii azjatyckiej, wyszła lekko przygnębiona. W taki nastrój wpędzały ją czasami wizyty w nowoczesnych muzeach, przy których polskie placówki wyglądały jak skanseny muzealnictwa. Muzeach, które na dodatek skupiały się na pięknie i różnorodności świata, a nie na Zagładzie, powstaniu warszawskim i drugiej wojnie światowej. Próbowwała się pocieszyć, że to kwestia zbiorów, że Francuzi mogą to owijać tonami bawełny, a i tak każde ich muzeum etnograficzne krzyczy: „przyjechaliśmy, zobaczyliśmy, ukradliśmy”. Ale marne to było pocieszenie. Niezależnie od pochodzenia zbiorów i związanych z tym dylematów moralnych, w Quai Branly chciało się siedzieć i nigdy nie wychodzić, tylko spacerować i zachwycać różnorodnością ludzkich kultur. Przydałoby się tu i ówdzie podkreślenie, że te kultury zniknęły nie dlatego, że nagle minął termin ich przydatności, tylko zostały przez twoich przodków, szanowny zwiedzający, unicestwione, nawet nie jakąś wymyślną bronią masowego rażenia, tylko najzwyczajniejszą bezmyślnością, chciwością i kiłą, ale – myślała – może tak jest lepiej. Zachwyćmy dzieci odmiennością, zachwyćmy sztuką i naturą, a będą chciały o to dbać bez dodatkowej zachęty.

Szła w stronę stacji RER, po lewej mając wieżę Eiffla, po prawej Sekwanę i Trocadero, co sprawiało, że czuła się jak postać z tandetnej pocztówki, i myślała, że cały czas może zmienić zdanie. Wystarczy, że wysiądzie z kolejki jedną stację wcześniej, przejdzie do hotelu, po drodze wyrzuci do kosza na śmieci telefon od Smugi. Pozwoli jeszcze, żeby zły kelner przyniósł jej dobry lunch w jednej z knajp piątej dzielnicy, a potem pojedzie kolejką na Orly, posnuje się po lotniskowych butikach w poszukiwaniu durnych prezentów. Lot, wyklócanie się o samochód z zimowymi oponami w wypożyczalni w Tuluzie, dwieście kilometrów nocnej jazdy, najpierw autostrada, potem droga w szerokiej pirenejskiej dolinie, na koniec górskie serpentyny. Przed północą znajdzie się w objęciach Karola.

Rozejrzała się jeszcze po paryskim landszafcie i zeszła na peron, pociąg jak na złość przyjechał od razu, nie dając jej czasu na myślenie. Most Almy, Inwalidzi, za szybko migały za oknem kolejne stacje. To nie jest moja walka, myślała, kiedy ludzie wsiadali i wysiadali przy Muzeum Orsay. Ja należę do tego świata, tej stacji, świata emocji na płótnie, absurdalnych i zbędnych doznań, które sprawiają, że ludzie stają się mądrzejsi i lepsi. Pokazuję im to i w ten sposób zmieniam świat, nie muszę polować na jakiś idiotyczny eliksir długowieczności. I to wcale nie jest mniej ważne.

Pociąg zwalniał przy Saint-Michel. Powiedziała kilka razy „pardon”, przeciskając się bliżej drzwi, ale kiedy te w końcu otworzyły się z łomotem – nie wysiadła.

## 6

Prosił Boga, żeby dał mu siłę i cierpliwość, ale albo Bóg nie słuchał, albo on stał się wyjątkowo trudnym przypadkiem, ponieważ miał ochotę wykorzystać wszystko, czego się nauczył w czasie wojskowej kariery, żeby zrobić krzywdę kierowcy swojej taksówki. Postawny łysy gość opowiedział mu już o wszystkim. Że w Paryżu trzeba wiedzieć, gdzie zjeść, ale oczywiście najlepszego tażina robi jego matka, że starsza córka chce sobie zrobić kolczyk, że rodzina to, wie pan, najważniejsza rzecz na świecie, że głosował na Macrona i teraz to w sumie żałuje, ale gdyby były wybory, to chyba znowu by na niego zagłosował, no bo na kogo innego, lewica go okradnie, a prawicy nie lubi, bo ma żonę z Bułgarii i nie można mówić, że inne narody są gorsze, bo wszyscy wiemy, do czego to prowadzi, ludzi łatwo, wie pan, namówić, żeby nie lubili innych ludzi.

Patrzył w telefon, czekając, aż usłyszy informację, która pozwoli mu działać i naprawić wszystkie błędy. Czy mógł ich nie popełnić? To był dobry plan, żeby ich uważnie obserwować, czekać, aż znajdą artefakt, i chwilę potem odebrać im go z przepaszającym uśmiechem. Biochemik i historyczka sztuki, przecież to żadni przeciwnicy. Amatorzy. Nawet jeśli przygruchali sobie szwedzką złodziejkę. Złodziejkę, która, do jasnej cholery, potrafi zniknąć bez śladu. Nadludzkim wysiłkiem dowiedzieli się, że Lisa Tolgfors

przyjechała do Paryża jako Ilon Wikland, zameldowała się, jak na arystokratkę przystało, w hotelu przy placu Vendôme, po czym dziś rano zniknęła. Hotel opłaciła z góry, kartę wejściową zostawiła na łóżku.

Może coś przegapił? Jakąś wskazówkę. Myślał o wczorajszej rozmowie Lorentz. Machała cyckami, zapowiedziała przyjazd. Dlaczego to zrobiła? Przecież Smuga na pewno jej powiedział, że zapewne podsłuchają wszystkie jej rozmowy. Ale to nie znaczy, że zmyśla każde słowo. Była na bani, powiedziała mężowi, że tęskni i pokazała biust, czasami to, na co patrzymy, jest po prostu tym, czym jest. Zresztą kupiła bilet do Tuluzy. Ściema czy nie ściema?

„Chcę jeszcze kupić małej fajny prezent”.

Dziwne zdanie.

– Ile pan ma tych dzieci?

– Czwórkę, same dziewczyny, uwierzyłby pan? I teraz robię obiad, co nie. Najmłodsza nie może mleka, najstarsza została weganką, środkowe nie tkną nic, co jest zielone, a środkowa starsza na dodatek, nie uwierzy pan...

Telefon zadzwonił.

– Tak?

– Nie wysiadła przy Saint-Michel, pojechała dalej.

– Nie traćcie jej oczu – rzucił i rozłączył się, a do kierowcy powiedział: – Proszę jechać w stronę Créteil. Zwawo. I mam pytanie, ta najmłodsza ile ma lat?

– Pięć. Powiem panu, najlepszy wiek, jak najstarsza miała pięć, to tak nie doceniałem, ale ona też ma charakter po matce...

– Gdybym chciał pięciolatce kupić naprawdę fajny prezent, to co by pan polecił?

– O, la, la, proszę pana, to jest temat na pracę doktorską. I dobrze pan trafił, bo ja to mam rozpracowane. Do samego Créteil jedziemy?

– W kierunku. Wzdłuż RER C mniej więcej.

– Wiadomo, globalizacja, Amerykanie nas tak załatwili, to jest gorsza nawet zaraza niż nasz urząd skarbowy, w każdym sklepie z zabawkami jest to samo, nie da się dziecka niczym zaskoczyć. Lego pan kupi? Else z *Krainy lodu*? Wstyd i obciach. Najlepsze są sklepiki muzealne. Mają niezwykle rzeczy, niepowtarzalne, robione tylko dla nich, ja to najbardziej lubię gadzety z Pompidou, ale dla

pięciolatki to jest jedno miejsce, mówię panu, to miejsce jest tym dla pluszowych zabawek, czym Watykan dla katolików.

7

Najbardziej wkurzało go to, że on naprawdę nic nie zrobił. Nawet jej nie pocałował. Nie posmyrał po kolanie. Nie otarł się w drzwiach. W dekolt nie zajrzał, bo przyszła w golfie. Siedział z Clivem na piwie, kiedy się przysiadły, bo nie było innych stolików, nawet miło się gadało. No bo czemu nie miałyby być miło? Młodsze o dziesięć lat, atrakcyjne, zainteresowane, kim byli i czym się zajmowali, w przeciwieństwie do ich żon, które się już interesowały tylko dwiema rzeczami, mianowicie: dlaczego nie wyjęli naczyń ze zmywarki i dlaczego nie włożyli naczyń do zmywarki. Pili piwo, uzalali się nad sobą, jak to faceci, zauważający chętnie, że ich żony wchodzi do łóżka w ciepłych skarpetkach, a niewidzący, że oni w to samo miejsce zabierają piwny bańdzioch, który jednak – nawet w nagłym przypiływie namiętności – zdejmuje się znacznie trudniej.

Pogadali z dziewczynami, zaprzyjaźnili się na fejsie, no i dostał na mesendżera zdjęcie nóg w pończochach z komentarzem: „moje ciepłe skarpetki”. No, a potem klasyka. „Nie szperałam, tylko chciałam coś sprawdzić, bo mi się telefon rozładował”, kilka tygodni małżeńskiej dramy i decyzja o rodzinnym wyjeździe na Boże Narodzenie do Paryża, żeby „w trwaniu zacząć od nowa”. Nie rozumiał, o co chodzi w tym cytacie z jej terapeuty, ale zgodził się chętnie w nadziei, że oznacza to przede wszystkim koniec grillowania.

Tak oto Adam Rourke, nieźle prosperujący przedsiębiorca z branży klimatyzacyjnej z Tuscaloosa w stanie Alabama, znalazł się w Mieście Światła, przeżywając bolesny szok cywilizacyjny. Ich pokój hotelowy, który tak uroczo wyglądał na zdjęciach w internecie, miał wielkość szafy, do której ktoś powstawiał łóżka, w windzie mieściła się jedna szczupła osoba, a wyrwany z serca Afryki recepcjonista trwał w marihuanowej półdrzemce, odpowiadając na każde pytanie: „okej”. Sklepy spożywcze przypominały rozmiarami ich lodówkę, przed spaloną katedrą

turyści bawili się w liczenie szczurów, na absurdalnie wąskich ulicach ludzie jeździli na rowerach, kelnerzy ich nie zauważali, pory posiłków w knajpach obowiązywały sztywne jak w więzieniu, dziecko płakało, że nie ma nic normalnego do jedzenia, a jak prosił o tabasco, wszyscy zachowywali się tak, jakby to obca cywilizacja popierdujących krakenów próbowała się z nimi dogadać.

Muszę jeszcze wytrzymać cztery dni, myślał, gapiąc się na olbrzymiego krakena, czy cokolwiek to było, i próbując nie zasnąć na stojąco, nagle zmożony dżetlagiem.

– Tato, czy oni zabili to zwierzątko?

– Nie, synku, samo umarło, oni je tylko przywieźli do muzeum.

– To czemu my zakopaliśmy T-Rexa?

– To tak nie działa, że każdego martwego psa możesz postawić na półce, trzeba je dokładnie przygotować.

– Jak?

– No... specjalnie wysuszyć.

– W suszarce? To przecież mogliśmy T-Rexa wrzucić do suszarki! Moglibyśmy go mieć cały czas, gdybyś powiedział!

– Nie płacz, Tim, litości. Po pierwsze to specjalne suszarki, po drugie to by nie był T-Rex, tylko, jak by to powiedzieć, mumia naszego pieska, nieżywa lalka.

– Wcale nie!

Potarł oczy ze znużeniem, przeklinając moment, kiedy zgodził się wziąć syna „w jakieś fajne miejsce”, żeby Rachel mogła swobodnie pochodzić po sklepach. Serio, gdyby wiedział, że przyjdzie mu zapłacić taką cenę, to rznąłby tę durną laskę, której imienia nawet nie pamiętał, aźby jej pończochy stanęły w płomieniach.

Przyjechała za wcześnie, przekonana, że szukanie pamiątek zajmie jej trochę czasu, ale od razu znalazła maskotkę w postaci ogromnego ptaka dodo, więc weszła na drugie piętro, oparła się o barierkę i patrzyła na olbrzymią nawę, w której szumiący tłum oblegał długi wybieg z wypchanymi afrykańskim zwierzętami. Uśmiechnęła się, myśląc, że ta scena, zainscenizowana w świątyni nauki i rozumu,

jaką było Muzeum Historii Naturalnej, zaskakująco przypomina ilustrację z dziecięcego wydania Biblii. Dziarski słoń prowadził zgodną procesję żyraf, zebra, nosorożców, hipopotamów, antylop, lwów i pomniejszych stworzeń, jakby zmierzał w stronę arki Noego.

A przecież, dywagowała, gdybyśmy mieli wskazać jedną osobę, która zamordowała Boga, to byłby nią bez wątpienia Karol Darwin. Człowiekowi, żyjącemu od zarania w przedziwnym związku z naturą, która jednocześnie zachwycała i przerażała, łatwo przyszło zaakceptować istnienie istoty, która za tym stała. Skoro on sam ledwie potrafił coś nabazgrać węglem na ścianie jaskini, to jakże potężna musiała być istota, która z taką pieczołowitością i artyzmem wyrzeźbiła liście drzew, skrzydła motyli, futro wilka, bażanci ogon, kształt truskawki i wszystkie inne wspaniałości, po czym tchnęła w nie życie? Bóg Stwórca stanowił rozsądną odpowiedź na zdziwienie człowieka. A skoro jakaś istota posiadała tak nieskończoną moc tworzenia, wszelkie zaświaty wydawały się w zasięgu jej rzemieślniczych umiejętności. Kolejne odkrycia nauki, teoria heliocentryczna, planety, grawitacja, bakterie, wszystko to nie tyle Bogu ujmowało, co jedynie dodawało mu mocy, dokładając kolejne punkty w CV istoty wszechmogącej, i potwierdzało szansę na życie pozagrobowe.

Aż tu nagle niepozorny Anglik o urodzie neandertalskiego Eltona Johna zwolnił go z posady. Szast, prast, panu już dziękujemy. Bo skoro truskawki, motyle i bażanty stworzyły się same, to jaka jest szansa, że sam stworzył się też jakiś sympatyczny zaświat, w którym będziemy po śmierci grać w brydża? No właśnie, niewielka. Nie ma takiej przypadkowej mutacji, która mogłaby z naszego świata wydzielić raj.

Wnętrze Wielkiej Galerii Ewolucji spokojnie mogło się równać z najwspanialszymi katedrami. Przypadek?

Zerknęła na zegarek. Nie czas na durne rozmyślenia, kiedy trzeba iść do francuskiego pierdła.



Dał taksówkarzowi gigantyczny napiwek i stał teraz na chodniku między muzeum a meczetem, pozornie spokojny i opanowany, klnąc wewnątrz wszystkimi najgorszymi słowami, jakich nauczyły go lata edukacji w gronie nowosądeckich rówieśników. Może zdąży. A może nie. Nie mógł ryzykować. Podjęcie decyzji leżało w jego kompetencjach, ale wolał się upewnić. Wybrał numer, odebrała od razu.

– Tak?

– Potrzebujemy pomocy przyjaciół z Republiki.

Chwila ciszy.

– Jest pan pewien?

– Czas ma znaczenie, moi ludzie mogą nie zdążyć.

– Rozumiem. Proszę robić, co pan uważa za stosowne. Lepiej nasi oni niż tamci oni. Czy to jasne?

– Oczywiście.

10

Mroczna i ponura ekspozycja gatunków wymarłych i zagrożonych zaspokoila trochę apetyty Tima na „prawdziwą atrakcję”, połączył to zręcznie z obietnicą prezentów w sklepiku muzealnym i żarcia francuskich bułeczek z czekoladą w kawiarence, dzięki czemu sześćioletnia bestia schowała na chwilę swoje pazury. Na tyle, że Adam Rourke mógł w końcu odetchnąć, rozejrzeć się i nawet docenić, że jednak Europejczycy mają klasę, skoro nawet wypchane zwierzęta umieszczają we wnętrzach ładniejszych niż wszystkie zabytki i kościoły, jakie widział w Ameryce. Pomyślał zgryźliwie, że teraz wie, gdzie się podziała cała ta przestrzeń, którą wysłali z pokoi hotelowych i sklepów spożywczych.

Zerknął na zegarek i uznał, że dadzą radę przed lunchem zobaczyć jeszcze wystawę czasową. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby zmarnowało się kilkanaście euro za droższe bilety.

11

Powinien się trzymać z daleka. Każde inne postępowania nie miało sensu, choćby myślał sto lat, nie znalazłby racjonalnego uzasadnienia dla tego, że właśnie szedł szybkim krokiem przez obumarły zimowy Jardin de Plantes w stronę majestatycznego gmachu Galerii Ewolucji. Swoim kretyńskim, irracjonalnym, nienaukowym, emocjonalnym zachowaniem narażał całą operację. Dlaczego? Wiedział, że jeśli coś pójdzie źle, to przecież i tak nie da rady jej uratować, nie pomoże, nie stanie przeciwko ścigającej ich armii, nie zdoła wpłynąć na rozwój wypadków.

Ale nie potrafił się powstrzymać.

Drgnął, kiedy usłyszał dźwięk policyjnych syren.

To na pewno zbieg okoliczności, pomyślał, przyśpieszając kroku.

## 12

Wejścia na wystawę strzegł posąg Diany Łowczyni, sięgającej do kołczanu na plecach, ze ślicznym jelonkiem u boku. Diana, albo raczej Artemida, ponieważ rzeźba była rzymską kopią greckiej statui, stała zwykle w galerii antycznej Luwru i Zofia Lorentz nie mogła przestać się zastanawiać, czy naprawdę przynieśli tutaj oryginał.

– Co móźdzysz, lalka? – Lisa zatrzymała się obok niej, ciągle w wersji mamuśki hipiski, z dużą brezentową torbą przewieszoną przez ramię.

– Zastanawiam się, czy to oryginał?

– Jeśli tak, to ją trzeba trafić, a nie jakiś homet z kamienia. Nikt na to nie lipie. Trzymaj.

Spojrzała w bok, Szwedka trzymała w dłoni lateksowe rękawiczki chirurgiczne.

– A to po co?

– Twój przydupnik kazał.

– To nie jest mój przydupnik.

– A co tam u męża słyhać?

Zofia Lorentz nawet nie westchnęła, wzięła rękawiczki i razem weszły na wystawę „Boskie zwierzęta”, zostawiając z tyłu

zapatrzoną w dal Artemidę, w tym wypadku dal oznaczała różowy model gigantycznej kałamarnicy.

## 13

Bardzo, bardzo żałował, że nie odpuścił jednak tych kilku euro i nie poszedł od razu na bułeczkę z czekoladą. Kara za chciwość została wymierzona błyskawicznie.

– Czyli Bóg jest małpą? Pastor Daniel nigdy o tym nie opowiadał.

– Bóg nie jest małpą, Tim. Po prostu w Indiach, boga, niech przeczytam... Hanumana przedstawiano jako małpę. Oni mają swojego boga, my mamy swojego.

– A kto ma rację?

– Słucham? – zapytał bez sensu, żeby zyskać na czasie.

– No, czy Bóg jest małpą, czy Jezusem?

Co miał odpowiedzieć. Spojrzał w kamienne oczy posągu boga Hanumana z niebieską małpią głową i ogonem przewieszonym przez ramię, a potem w szklane oczy wypchanego makaka o mądrym, zadumanym obliczu. Niestety żaden z nich nie zamierzał wspomóc go w trudnej chwili.

– Być może, synku, i oni mają rację, i my. Nas zbawi pan Jezus, a ich do rajku zaprowadzi Hanuman i tam się wszyscy spotkają.

– Ale jeśli tylko jedna osoba ma rację?

Przygryzł wargi.

– Obstawiałbym Jezusa.

Tim patrzył na niego spod ciemnej grzywki.

– Ale czy gdybym modlił się i do Jezusa, i do małpy, to czy to będzie grzech? Bo, jednak jeśli to oni mają rację, nie chciałbym pójść do piekła, bo nie modliłem się do małpy.

Rozejrzał się odruchowo, czy żona nie słucha, gotowa, żeby go ochrzanić ze swoich baptystycznych wyżyn, ale nie, za nim stały tylko dwie hipiski wariatki w lateksowych rękawiczkach.

– Synku, pan Bóg stworzył wszystkie zwierzątka, więc jeśli modlisz się do małpy, to tak jakbyś się modlił do Jezusa.

Tim zmarszczył brwi. A Adam Rourke pomyślał, że to nie jest taki zły argument, może mu się przydać zaraz ponownie, biorąc pod

uwagę, że w głębi wystawy czekały jeszcze boskie węże, krowy, niedźwiedzie i hipopotamy.

Hipiski wariatki przystanąły przy niedźwiedziu. Może one coś wiedzą, pomyślał, że chodzą w rękawiczkach. Może w Europie jest więcej bakterii przez to, że jest taka stara?

## 14

Zazdrościła im, że tak niezwykłą wystawę mogą zrobić ot tak po prostu, z tego, co mają pod ręką. Trochę wypchanych eksponatów z Muzeum Historii Naturalnej, trochę zabytków z Luwru i Quai Branly *et voilà*, niezwykły, namacalny dokument o tym, jak człowiek na wszystkich kontynentach wciskał naturę w religię i religię w naturę. A fakt, że oglądała to właśnie tutaj, nadawał wszystkiemu dodatkowego smaczku. Przecież religie zaczęły się od ludzkiego podziwu dla świata, odnajdywania duchów w faunie i florze. Potem wielkie systemy przyjęły ten kult, od azteckiego węża przez hinduską krowę po chrześcijańskiego baranka. A teraz wspólny hołd dla natury, dla religii i dla sztuki ogląda w miejscu, będącym katedrą świeckiej nauki, potężnej religii, która odarła naturę z tajemnic, a bogów z ich mocy.

Przy fragmencie ekspozycji, dotyczącym kultu niedźwiedzia, ustawiono dużego brunatnego wypchanego samca, stojącego na tylnych łapach, i niewielką rudą pandę. Na dużego starała się nie patrzeć, za bardzo przypominał jej sachalińskie spotkanie z drapieżnikiem, wrócił zapach mokrego futra, w ustach pojawił się metaliczny smak strachu. Odetchnęła głęboko, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest.

Za niedźwiedziami wisiał piękny japoński zwój, przedstawiający ajnuskie święto niedźwiedzia, a na ekranie wyświetlano film ze współczesnych obrzędów, w którym przebrani za górskiego drapieżnika tubylcy w adidasach ganią innych tubylców, smarując ich czymś czarnym.

Parsknęła zdziwiona.

– Co jest? – zapytała Lisa.

– Ten film. To święto niedźwiedzia w Pirenejach, dokładnie w miejscu, gdzie Karol teraz jest. Dziwny zbieg okoliczności.

– Móżdżysz, że to mu pomoże? – Lisa wskazała głową eksponat, stojący przed nimi na niskim postumencie.

Skąd miała wiedzieć? Niewielka rzeźba, wysokości kubła na śmieci, przedstawiała stojącego na tylnych łapach niedźwiedzia. Bardzo to było proste przedstawienie, w niczym nieprzypominające obecnej na wystawie olśniewającej sztuki hinduskiej i prekolumbijskiej. Spodziewała się eksplozji mineralnych kolorów w stylu pokazanego im przez Smugę stalaktytu, ale poza prześwitującym w kilku miejscach błękitem, misiek był szary i niepozorny, jak ozdoba stojąca obok kominka w zajeździe przy Zakopiance.

– Wątpię – odpowiedziała w końcu na pytanie. – Ale to tylko jeden z powodów, żeby spróbować, co nie?

Lisa skinęła głową i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Gdybym teraz Charliemu chapnęła dzidę, toby zapomniał? Zawsze byłam na niego najarana.

– Oj, kochana, niestety – odpowiedziała z udawanym smutkiem. – On zapomina tylko wspomnienia związane z silnymi emocjami. Z waszego oszałamiającego stosunku zapamiętałby każdy moment.

– Lubię cię, lalka. Na robotę?

Skinęła głową.

15

Jakże był naiwny, spodziewając się, że prosty wytrych „przez każde zwierzątko do serca Jezusa” pozwoli mu się wyłgać.

– Małpa jest bardziej podobna do człowieka, ale hipopotam jest większy – myślał na głos Tim – więc może jest silniejszy od Pana Jezusa? Poza tym Pan Jezus może być obrażony, że modlimy się do małpy, ponieważ małpy rzucają odchodami, a hipopotam nie rzuca odchodami.

– Synu, miej litość, dlaczego małpy miałyby rzucać odchodami?

– Tak było w ZOO w Birmingham, nie pamiętasz? Uwaga, małpy rzucają odchodami.

Boże, pomyślał, zamykając oczy, jeśli istniejesz, pomóż mi.

Drgnął, kiedy ktoś go potrącił.

– Halo, wszystko w porządku, proszę pani? – ktoś powiedział obok po angielsku z silnym akcentem.

Otworzył oczy. Jedna z hipisek wariatek, krótko obcięta blondynka, zataczała się między zwiedzającymi. Powiedziała coś po francusku, potem po angielsku wyjęczała, że źle się czuje, i zaczęła głośno kaszeć, zgięta w pół. Ludzie rozstąpili się, nastąpiło poruszenie. Kobieta w paroksyzmie kaszlu ukłękła, potem gwałtownie wstała. Ktoś krzyknął po francusku, usłyszał słowo „doktor”, zapewne wzywano lekarza. Teraz już wszyscy patrzyli w stronę mdlejącej hipiski. Kobieta bardzo głośno wciągnęła powietrze, jakby to miał być jej ostatni oddech, i złapała się za gardło. Tim, przestraszony, przyłgnął do jego nogi. Przytulił syna, starając się nie okazywać przerażenia. Może to reakcja alergiczna, a może jakiś atak, gaz, to w końcu Paryż, przecież tutaj ciągle zamachy terrorystyczne, widział na Fox reportaż, że w mieście są całe dzielnice, do których nie można się zapuszczać, *no-go zones*. Pociągnął syna w kierunku wyjścia. Nie on jeden, zrobiło się zamieszanie.

Kobieta ciągle walczyła o każdy oddech, zatoczyła się, chwyciła makaka stojącego obok boga Hanumana i razem z nim runęła z hukiem na ziemię. Ktoś krzyknął przeraźliwie.

## 16

Kradzieże, jeśli się już nimi zajmować na poważnie, są prostsze, niż się wszystkim wydaje. Bardzo rzadko wymagają akrobatycznych umiejętności, wytrychów, elektronicznych gadżetów i spuszczenia się na linie przez przewody wentylacyjne. Odrobina pomysłu, zimna krew, pewność siebie i bezczelność to zestaw narzędzi w większości przypadków zupełnie wystarczający.

Złodziej wsadzający pod kurtkę bombonierkę i rozglądający się panicznie na boki wpadnie. A ten, który wypakuje cały wózek zakupami i zwyczajnie wyjdzie – nie. Zakapturzona postać wspinająca się po ścianie muzeum wzbudzi zainteresowanie, a ktoś,

kto zdejmuje obraz ze ściany i wkłada do teczki, zostanie wzięty za konserwatora. Im więcej ludzi, im bardziej w środku dnia cała scena się rozgrywa, tym dla złodzieja lepiej. Lisa Tolgfors ze swoich skoków najlepiej wspominała ten w Rio, kiedy wyszła z muzeum w czasie karnawału i wmieszała się w tłum, który nie zwróciłby na nią uwagi, nawet gdyby trzymała czterdziestometrowy posąg Chrystusa ze wzgórza Corcovado pod pachą. Oraz właśnie skok z Poznania, kiedy podała się za studentkę malarstwa, maznęła beznadziejną podróbkę akwareli Moneta, siedząc w kucki między zwiedzającymi, po czym spokojnie zamieniła na ścianie z oryginałem, kiedy nikt nie patrzył. Trzy tygodnie im zajęło, zanim się zorientowali.

Kradzież nie lubi ciszy i ciemności. Lubi światło, gwar środka dnia i ludzi, bardzo przewidywalnych w swojej nieprzewidywalności. Kiedy Zofia robiła z tyłu zamieszanie, wśród publiczności uaktywniły się zwierzęce części mózgu. Zwiedzający odwrócili się, trochę z ciekawości, trochę ze strachu. Mężczyźni naprężyli mięśnie, kobiety przytuliły odruchowo dzieci. Wykorzystała ten moment, żeby wyjąć z torby wydrukowaną na drukarce 3D replikę misia i schować pod kurtką, po czym przysunęła się bliżej oryginału na ekspozycji.

I czekała. Na ten moment, kiedy na pewno nikt nie będzie patrzył. Ponieważ człowiek jest zwierzęciem. Kiedy wydarzy się coś gwałtownego, zanim zacznie krzyczeć, uciekać, reagować, instynktownie zwraca się w tamtym kierunku, automatyczna, wykształcona przez miliony lat ssaczej ewolucji reakcja, której nie można zaplanować i nad którą nie można zapanować.

Kiedy Zofia runęła na ziemię z makakiem, wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę, a Lisa pochyliła się, nakryła oryginalnego niedźwiadka torbą i zarzuciła na ramię, krzywiąc się z wysiłku, bo zabytek jednak wykonano z kamienia. Jednocześnie postawiła na postumencie swoją figurkę.

Odwróciła się do sali, stwierdziła, że nikt nic nie zauważył, i dopiero wtedy wypuściła powietrze. Poprawiła torbę i spokojnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia z ekspozycji czasowej.

– Tato, ta pani chyba zabrała tego misia – powiedziało jakieś dziecko amerykańskim angielskim.

Zakłęła w myślach i nie reagując w żaden sposób, dalej przeciskała się przez ludzi zgromadzonych wokół Zofii Lorentz.

17

Miał wrażenie, że pieprzony słoń się z niego śmieje. Marcel Kluzka stał w głównej nawie muzeum, obok słońca, który otwierał orszak afrykańskich zwierząt, rozglądał się i nie wiedział, co dalej. Wszędzie kręcili się ludzie, znikali i wyłaniali się z bocznych sal, kręcili po otaczających ogromną nawę galeriach, schodzili i wchodzili po schodach. Nie miał zielonego pojęcia, po co tutaj przyszła Zofia Lorentz. Sama albo ze swoją przyjaciółką złodziejką Lisą Tolgfors.

Policja obstawiła już wszystkie wejścia, mają ich zdjęcia, właściwie mógłby czekać spokojnie na zewnątrz, ale nie darzył gliniarzy aż takim zaufaniem. Jeszcze wiele godzin do zamknięcia muzeum, ludzie będą setkami wchodzili i wychodzili, czujność osłabnie, dwóm kobietom wystarczą okulary, peruki i trochę cienia do powiek, aby zniknąć bez śladu. Kto wie, jeśli ma pecha, to może właśnie wychodzą niezauważone albo nawet wsiadają już do metra na Jussieu, szlag by to trafił.

Drgnął. Żołnierskie zmysły wychwyciły nieprawidłowość. Niedostrzegalną, nieopisywalną, zaburzenie przepływu ludzi i ich energii. To mogło być spojrzenie, przyśpieszony krok, dziwna sztywność postawy. Coś było nie tak. Rozejrzał się, intuicja podpowiadała, że to coś na dole, pomiędzy węgorzami, kałamarnicami i rekinami.

Rozglądając się uważnie, zszedł po schodach, szedł za zaburzeniem jak pies za zapachem, w półmroku, obok wypchanych, żółwi, delfinów, fok, aż obok olbrzymiej ryby piły dostrzegł zaniepokojonych ludzi wychodzących z bocznej sali, strzeżonej przez antyczny posąg.

Z trudem wszedł do środka, mamrocząc na zmianę „pardon” i „sorry”, przepychał się pod prąd patrzących na niego z dezaprobatą zaniepokojonych ludzi, kiedy usłyszał, jak jakieś dziecko mówi po angielsku z amerykańskim akcentem:



– Tato, ta pani chyba zabrała tego misia.

18

Adam Rourke zdziwił się, słysząc słowa syna, i odwrócił wzrok od sceny z makakiem, patrząc na stojącego na tylnych łapach ogromnego niedźwiedzia.

– Oszalałeś? Przecież tam stoi.

– Tego małego – powiedział Tim, wskazując na niewielką figurkę z kamienia.

– Tego małego, który też tam stoi? Miej litość, dziecko drogie.

Po czym pociągnął syna za rękę i razem z innymi zaczął przepychać się w stronę wyjścia. Dość ma tej całej Europy.

19

Zofia Lorentz też usłyszała słowa Tima Rourke'a, dlatego szybko wstała, poprawiła makaka, roześmiała się i przeprosiła wszystkich po francusku i angielsku, tłumacząc się klaustrofobią i histerią, po czym weszła w płynący w stronę wyjścia z ekspozycji strumień zwiedzających.

20

Rozglądał się w tłumie, starając się zeskanować wszystkie otaczające go twarze, ale nie było to proste, napięcie wśród ludzi opadło, część cały czas wychodziła, część zdecydowała się zawrócić, pojawiali się nowi zwiedzający, nieświadomi, że coś się wydarzyło, rozchichotani i robiący zdjęcia. Para zaskakująco wysokich Azjatów zasłoniła mu nagle wszystko, żeby zrobić sobie selfie z antycznym posągami, cmoknął poirytowany, kiedy mała nie wyrzuciła go w nos telefonem zamocowanym na wysięgniku.

I wtedy, kątem oka, dostrzegł niepodobną do wczorajszej, ale jednak tę samą piękną twarz kobiety spod Instytutu Polskiego w ósmej dzielnicy.

– Stój! – krzyknął.

Kobieta spojrzała na niego spokojnymi, elfimi oczami, poprawiła torbę na ramieniu, mrugnęła i rzuciła się do ucieczki.

– Stój! – powtórzył, rzucając się za nią. – Ochrona muzeum, proszę się zatrzymać!

Ludzie, słysząc krzyki, odwracali się zdziwieni od ryb, fok, delfinów i gigantycznych krabów, ale albo nie mieli czasu, albo nie chcieli zareagować, kiedy Lisa Tolgfors przebiegła sprintem obok nich i wbiegła po metalowych schodach na główny poziom muzeum, ten, na którym zastygły w swojej procesji afrykańskie zwierzęta. Zaklął w myślach, kobieta była niezwykle szybka i zwinna, gładkim, płynnym ruchem prześlizgnęła się między zwiedzającymi i eksponatami, właściwie niezauważalnie, on za to najpierw wyrznął ramieniem jakiegoś faceta, a potem antylopę, wzbudzając znacznie większe zainteresowanie niż ścigana kobieta.

– Proszę pana! – krzyknął ubrany na czarno ochroniarz, biegnąc w jego stronę i najwyraźniej jego uważając za zagrożenie.

– Gonię złodziejkę! – zawołał, nie zatrzymując się.

– Proszę pana, proszę się natychmiast zatrzymać! – ochroniarz nie wydawał się przekonany.

Tymczasem Lisa Tolgfors przebiegła zwinnie między fokami i niedźwiedziami polarnymi, po czym zniknęła na klatce schodowej.

Przyśpieszył, bał się, że jeśli straci ją z oczu, to jej nigdy nie znajdzie między gablotami, eksponatami i zwiedzającymi, a przez ten czas, kiedy będzie musiał tłumaczyć się ochronie muzeum, złodziejka rozplynie się we mgle.

Wbiegł po schodach na pierwsze piętro, na otaczającą główną salę galerię, rozejrzał się. Odnotowując z przykrością, że ciężko dyszy, przejście do prywatnego sektora znacząco poprawiło jego osiągi finansowe, ale niestety tylko takie. Złodziejki nie było nigdzie widać. Zaklął na głos po polsku. Nie mogła zniknąć, musiała się schować gdzieś między ustawionymi gablotami, powinien teraz spokojnie obserwować teren, ale po schodach tupał już muzealny strażnik, zaryzykował więc i ruszył w prawo, pomiędzy smętne góry śmieci, zapewne część wystawy opowiadającej o wpływie człowieka na środowisko naturalne.

I to był dobry wybór. Na końcu korytarza mignęła mu ruda czupryna. Puścił się pędem w jej stronę, zauważając jeszcze, jak znika w bocznej sali.

## 21

Patrzyła na ogromnego kraba, identycznego jak ten, którego jadła na Sachalinie, i zastanawiała się, co robić. Wyjść jak najszybciej? Przyczaić się gdzieś w salach wystawowych i wyjść za kilka godzin? Ukryć się w damskiej łazience i zadzwonić do Smugi? Tak, to chyba najlepszy pomysł. Niech on zdecyduje, co dalej.

– Głupia sprawa, ale ten sztuczny jest chyba ładniejszy niż nasz prawdziwy. Kolory ma takie żywsze i w ogóle. Myślisz, że z pozostałymi zwierzakami też tak jest?

Odwróciła się. Bogdan Smuga stał obok niej i patrzył na kraba z takim nabożeństwem, jakby naprawdę specjalnie dla niego tu przyszedł, Adrian Zandberg podziwiający osiedle mieszkań tylko na wynajem na preferencyjnych zasadach.

– Spadamy, czy zwiedzamy dalej? – zapytał.

## 22

Zamrugął, żeby szybciej przyzwyczaić wzrok do ciemności. Sala gatunków zagrożonych i wymarłych została oświetlona, lub raczej nieoświetlona, niczym jakiś satanistyczny kościół. Żeby podkreślić grozę sytuacji, punktowe światła wydobywały z ciemności zwierzęta, dla których ta ekspozycja stała się ostatnim przystankiem ewolucyjnej przygody. Przed nosem miał wielkiego białego kota, rysia jakby, który patrzył na niego trochę z wyrzutem, a trochę z nienawiścią, jakby chciał się zemścić za wszystkie wymarłe gatunki. Wal się kolego, pomyślał, mijając go bokiem, ja jestem z Polski, czepiaj się kolonizatorów.

Wchodził powoli w głąb sali, kiedy znowu zadziałał szósty zmysł. Obrócił się na pięcie dokładnie w tej chwili, kiedy Lisa Tolgfors znikała za kotarą zastępującą drzwi. Wskoczył na galerię, złapał za

obszerną bluzę, pociągnął, dwoma szybkimi ruchami powalił kobietę i przygwoździł kolaniem do podłogi obok gabloty z wyjaśnieniem efektu cieplarnianego. Lisa wydała z siebie głośny pisk, ludzie się obejrżeli, w tej samej chwili pojawił się zdyszany ochroniarz, za nim nadbiegał kolejny.

Odetchnął. Nie była to może sytuacja idealna, ale teraz wystarczyło poruszyć za kilka sznurków, żeby zawartość torby stała się łupem ich, a nie Smugi i jego sekty.

– Ratunku, czego pan chce! – krzyknęła po francusku Lisa Tolgfors, robiąc tak autentycznie przerażoną minę, że przez chwilę ogarnęły go wątpliwości.

– To doskonale pytanie, proszę pana – wycedził ochroniarz. – Proszę pójść z nami bez awantur, policja za chwilę przyjedzie.

– To złodziejka – powiedział spokojnie Kluzka. – Ukradła eksponat z wystawy, zobaczyłem to i pobiegłem za nią.

– Ten zboczeniec gonił mnie przez całe muzeum, chodził za mną wcześniej – rozplakała się Lisa.

– Po prostu proszę zajrzeć do jej torby. Tam będzie – zawahał się, ponieważ poza zasłyszonym zdaniem dziecka, nie miał pojęcia, co się wydarzyło – niedźwiadek z ekspozycji czasowej.

Lisa Tolgfors ciągle płakała, ale roześmiała się przez łzy.

– To wariat, prawdziwy wariat. Proszę mnie ratować.

– Pani pozwoli? – zapytał uprzejmie ochroniarz, wskazując brezentową torbę.

Skinęła głową.

Mężczyzna ostrożnie podniósł torbę, otworzył ją i wyciągnął stamtąd pluszowego ptaka dodo. Spojrzał na zabawkę, spojrzął na Kluzkę, spojrzął wymownie na kolegę.

– Proszę pójść z nami – powiedział do Kluzki.

W tej samej chwili z drugiego końca muzeum dobiegł przenikliwy dźwięk alarmu. Ochroniarze synchronicznie zmarszczyli brwi.

– To chyba wyjście ewakuacyjne – powiedział ten, który cały czas trzymał w ręku pluszaka. – Co się tu dziś dzieje, do jasnej cholery?

Marcel Kluzka zrozumiał, że nie ma wyboru. Uderzeniami w splot słoneczny i szyję posłał na podłogę obu ochroniarzy, przesadził barierkę i skoczył do głównej sali, celując w grzbiet niedźwiedzia polarnego, myśląc, że cholerne misie powinny oficjalnie stać się

patronami tej awantury i mając nadzieję, że wypchane zwierzę na tyle zamortyzuje jego upadek, że nie skończy na intensywnej terapii.

## 23

– Pali się! – krzyknął Smuga, kiedy za drzwiami ewakuacyjnymi prowadzącymi do ogrodu botanicznego natknęli się na zdumionego policjanta.

Ten okazał się zawodowcem, nawet nie mrugnął, jedną dłonią nakazał im się zatrzymać, a drugą sięgnął po krótkofalówkę. Okazał się jednak zawodowcem zbyt wolnym, Smuga psiknął mu w twarz wyciągniętym z kieszeni gazem, poprawił kopniakiem w podbrzusze, butem rozgniół krótkofalówkę na kamiennych schodach i pociągnął Zofię w stronę ogrodu.

– Szybciej – powiedział – musimy dobiec do rzeki.

## 24

Kiedy Marcel Kluzka wybiegł przez te same drzwi, ciągle sypiąc dookoła trocinami, którymi wypełniony był polarny niedźwiedź, uciekająca para wyprzedzała go już o długość boiska piłkarskiego. Nachylił się nad ciągle jęczącym z bólu, trącym oczy policjantem, wyszarpnął pistolet z jego kabury i strzelił dwa razy w powietrze. Zofia chciała się zatrzymać, ale Smuga pociągnął ją zdecydowanie dalej. I słusznie, z tej odległości równie dobrze mógł w nich rzucać ryżem. Ale nie o to chodziło, zgodnie z przewidywaniami zza obu rogów galerii wybiegli paryscy policjanci.

## 25

Pierwszy raz pomyślała, że to się nie może skończyć dobrze, kiedy usłyszała strzały za plecami. Drugi, kiedy na końcu ogrodu, z którego wyjście stanowiła furтка wąska jak ucho igielne, pojawił się błyskający światłami radiowóz. Kradzież artefaktu z muzeum, ucieczka przed policją, no bardzo się zdziwi, jeśli skończy się na

grzywnie. Normalnie polski konsul stałby na głowie, żeby włos jej z głowy nie spadł, ale po ostatniej awanturze w Warszawie awansowała na wroga publicznego, więc nie liczyłaby na znaczącą pomoc ze strony Rzeczypospolitej.

Zaczęła zwalniać, żeby poddać się z godnością, wtedy Smuga ponownie ją pociągnął, tym razem w bok.

– Szybciej, już blisko – zawołał.

Pobiegła, nie mając pojęcia, gdzie jest blisko, ale nie widząc za bardzo innego wyjścia. W sensie metaforycznym, w sensie dosłownym zobaczyła je jak najbardziej, przez małą furtkę wyskoczyli na paryski bulwar, Smuga pociągnął ją na ulicę, między trąbiące samochody, i tak gwałtownie wskoczył na schody do metra, że prawie ją zrzucił.

– Zwariowałaś! – zaprotestowała.

– Trzymaj! – Wcisnął jej w rękę biały kartonik z literką „t”, bilet do paryskich środków komunikacji.

Wzięła i posłusznie włożyła w czytnik, kiedy dobiegli do wejścia na perony, myśląc, że uciekający przed policją przestępcy, którzy grzecznie kasują bilety, to jednak scena jak ze slapstickowej komedii. Powinni w pełnym biegu przeskoczyć nad bramkami, roztrącając przechodniów, pokrzykując i uchylając się przed świszczącymi kulami. Tymczasem oni grzecznie przystanęli, skasowali bilety i dopiero wtedy pobiegli na pustawy o tej porze dnia peron, z którego odchodziły pociągi piątej linii w kierunku Bobigny. Smuga potruchtał w stronę północnego krańca peronu, jednocześnie rozmawiając przez telefon, a ona grzecznie za nim.

– Jeszcze tylko kawałek, sto metrów i jesteśmy bezpieczni – wydyszał na końcu peronu.

Rozejrzała się. Nie było tu żadnych stu metrów. Peron się kończył, tory naziemnego na tym odcinku metra biegły dalej wiaduktem w kierunku ślicznego stalowego mostu kolejowego, przerzuconego nad Sekwaną. Usłyszała krzyki. Ze schodów wyprysnęli mundurowi i obsypany jakimś śmieciem policjant w cywilu z bronią w rękę, który ze swoją płową grzywką i takimiz wąsami wyglądał na Polaka.

– Proszę się zatrzymać – zawołał po polsku. – Jestem policjantem, on kłamie!

– Nie słuchaj – syknął Smuga. – To straszny typ. Cyngiel korporacji, najemnik po Legii Cudzoziemskiej. Szybko!  
I zeskoczył na tory.

26

I zeskoczyli na tory. Do kurwy pierdolonej nędzy, pomyślał, to się nie dzieje naprawdę. Zerknął na znajdującą się nad jego głową tablicę, wedle której pociąg właśnie wjeżdżał na stację i faktycznie, za jego plecami szumiało wjeżdżające metro. Metalicznie zazgrzytały hamulce, maszynista musiał zobaczyć zamieszanie i postanowił wyhamować wcześniej.

– Nie pozwólcie mu ruszyć! – wydyszał do policjantów i zeskoczył na podkłady, za nim podążyło dwóch mundurowych. Wyglądali na młodszych od niego o połowę, a i tak byli czerwoni na gębach i z trudem łapali oddech, milenialsi, psia ich mać. Zacisnął zęby i przyśpieszył, wybiegając z budynku dworca. Od Smugi i Lorentz dzieliło ich siedemdziesiąt metrów, nie więcej. Uśmiechnął się. On trenował dwie dekady, oni to jajogłowy laborant i muzealniczka od oleju na płótnie. On ma broń, oni nie. I nie mają dokąd uciec. Poczul się jak bohater filmu przyrodniczego o lamparcie doganiającym jelonka, który odłączył się od stada. Chcieliście historii naturalnej, to proszę, kurwa, uprzejmie.

Przebiegł nad dworcowym parkingiem i biegnącą wzdłuż Sekwany ulicą, zgarbił się lekko, kiedy najpierw ich, a potem jego minął jadący z naprzeciwka pociąg.

Dystans cały czas się zmniejszał, pięćdziesiąt metrów, nie więcej. Zobaczył strach w oczach Lorentz, kiedy zerknęła przez ramię.

Strzelił dwa razy w powietrze, skulili się, zwalniając i pozwalając mu zyskać kolejne metry.

– Stój, bo strzelam! – zawołał, pewien, że teraz się zatrzymają. I widział, że Lorentz była gotowa to zrobić, ale Smuga mocno ją pociągnął. Idiota, co on myśli? Że dobiegnie do następnej stacji i tam złapie taksówkę? Pokręcił głową i biegł dalej.

Skacząc z podkładu na podkład, minął kamienne główki mostu i znalazł się nad Sekwaną.

I zdębiał, ponieważ Smuga przesadził barierkę i skoczył do rzeki.

27

– Skacz! – krzyknął, stojąc na dachu unoszącej się na rzecznych falach barki. – Skacz, to blisko!

Rozejrzała się niepewnie, odnotowując, że sam most stanowił wyjątkowe dzieło sztuki inżynieryjnej. W porównaniu do tej ażurowej stalowej konstrukcji wieża Eiffła zdawała się toporna, ciężkawa i prymitywna, naprawdę piękny to był most, ale chyba nie aż tak, żeby na nim umrzeć.

Wąsaty jegomość, zwany przez Smugę cynglem i najemnikiem, stał zbaraniały, zapewne sądząc, że popełniają właśnie samobójstwo, skacząc do Sekwany. Sam Smuga stał na dachu barki z wyciągniętymi rękami. Blisko? Przełożyła nogę przez barierkę, zeszła na najniższą krawędź. Stąd na dół musiały być ze cztery metry. To dużo czy mało? Wystarczająco, żeby złamać nogę. Ale czy wystarczająco, żeby skrócić kark?

– Smuga! – krzyknął cyngiel. – Mam ją na muszce! Poddaj się!

Spojrzała zdziwiona i stwierdziła, że faktycznie, cyngiel ma ją na muszce. Mało tego, dokładnie widziała zarówno muszkę, jak i szczerbinę, jak i wylot lufy, niepokojąco czarny i niepokojąco nieruchomy. Cyngiel celował w nią, trzymając broń oburącz i wolno skracając dystans.

– Oddaj to albo będziesz ją miał na sumieniu. Wiesz, że jestem do tego zdolny.

Odruchowo podniosła rękę.

– Zofia! Skacz!

Nie była pewna.

– On cię i tak zastrzeli, błagam, Zofia. To morderca, a ty za dużo wiesz.

Skoczyła. Spodziewając się, że usłyszy za sobą świst kul i ich grzechot o metalową konstrukcję mostu, ale nic takiego nie nastąpiło. Leciała na tyle długo, że zdążyła się zdziwić z tego powodu, po czym nieelegancko grzmotnęła o dach nadbudówki, przetoczyła się po nim, myśląc, że albo nic nie złamała, albo



wszystko połamana, tylko adrenalina nie pozwala jej tego poczuć, po czym spadła jak worek kartofli na pokład barki, plecami w dół, patrząc w przestraszoną twarz Smugi, przepiękne przesło mostu i szare zimowe niebo nad Paryżem.

Usłyszała głuchoe huknięcie i okropna wibracja przeszła przez całe jej ciało, od czaszki po palce u stóp, powodując niewyobrażalny, rozrywający ból. Chciała krzyknąć, ale nie mogła.

Zapadając w ciemność, nie czuła nic oprócz zwierzęcego przerażenia, że skoro nawet nie może krzyknąć, to musi być koniec.

Szkoda.

## Rozdział 10. Złote klatki

*Mgła • Zofia Lorentz moim zdaniem nie żyje • Jedyne prawdziwe laboratorium świata • Your body is church • Kupsułki • Jaki dziś jest dzień? • Miecze samurajskie na raka • Oddaj mi obrączkę • Wycieczka do Korei Północnej • Co właściwie jest na dolnym poziomie?*

### 1

Oglądał kiedyś film, nie pamiętał dokładnie jaki – jakżeby inaczej – ale bez wątpienia horror, całość działa się w ponurym domu, wokół którego rozciągała się mgła. Bohaterowie mogli z domu wyjść, zanurzyć się we mgle, ale wynurzali się znowu koło domu, w żadnym innym miejscu. Tak się właśnie czuł, jak bohater tandetnego filmu grozy. Dopóki siedział w myślowym domu, wszystko wydawało się na swoim miejscu. Nazywał się Karol Boznański, miał żonę i córkę, przebywał na leczeniu w prywatnej klinice w Pirenejach w związku z zaburzeniami pamięci. Pokój wygodny, jedzenie smaczne, widok na góry przepiękny. Ale jeśli tylko starał się zapaść myślą gdzieś dalej, wchodził w mgłę, błądził bez celu i wychodził w tym samym miejscu. Nazywam się Karol Boznański, pokój wygodny, widok na góry przepiękny.

Nie czuł strachu, nawet nie niepokój, jedynie zagubienie, które odbierało mu pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa. Czasami w myślowej mgle widział jakieś kształty, ale kiedy podbiegał bliżej, znikaly, zamiast nabierać szczegółów. Chciałby mieć komputer, albo chociaż notes i długopis, żeby móc robić notatki, zapisywać strzępki myśli, które chyba dokądś prowadziły, ale kiedy zastanawiał się dokąd, ich początek znikał we mgle i cały proces tracił sens.

Rano odwiedził go lekarz, tłumaczył, że wszystko jest w porządku, że jego mózg odpoczywa i wraca do formy. Z uśmiechem odmówił kartki i długopisu, tłumacząc, że właśnie

brak bodźców pomaga jego neuronom się zregenerować. I pokazał mu list. Od Zosi, która pisała... która pisała... zmarszczył brwi, pamiętał, że nagle poczuł gwałtowną emocję, niepokój, ale o co konkretnie chodziło? Nie może do niego przyjechać, ma się nie martwić, bo to nieistotne. Czy właśnie odwrotnie, nie może przyjechać, bo coś bardzo ważnego? Mgła, wszystko znikało we mgle. Jak długo w ogóle jest w tym stanie? Dlaczego ten pieprzony konował nie mógł mu po prostu zostawić tego listu?

Podszedł do drzwi, ale były zamknięte, mimo że nie widział żadnego zamka, tylko klamkę. Tak samo z oknem na balkon. Miało jedynie klamkę bez żadnych pokręteł, guzików i kluczyków, a mimo to nie mógł go otworzyć.

W łazience opłukał twarz lodowatą wodą, usiadł na zamkniętej toalecie. Skup się, pomyślał. Nie niecierpliw się, nie panikuj, złap myśl i pomału idź za nią w mgłę. Małymi krokami, żeby się nie zgubić.

Zamknął oczy, przywołał postać lekarza. Brunet, niski, gładko ogolony, w okularach. W lekarskim fartuchu narzuconym na dzinsy i koszulę bez krawata, z okruszkami na koszuli. Z pomarańczowym długopisem wetkniętym w kieszeń. Podaje mu list, wydrukowany na kartce A4, list ma nagłówek, to wydruk z poczty elektronicznej. „Kochanie” zaczyna się. Myśli o Zosi i napis „kochanie” rozjeżdża się w jego wyobraźni, zasnuwa mgłą. Głęboki oddech, spokój. Wydruk, list, kochanie. Cholera, gdyby mógł to gdzieś zapisać. Za tą myślą pojawia się następna, ale nie werbalna, nie obraz. Zapach?

Otwiera oczy, jego wzrok pada na umywalkę. Lustro, mydło, szczoteczka, pasta do zębów.

W sumie dlaczego nie?

Z jakiegoś powodu, którego nie rozumie, uznaje, że nie powinien tego robić na widoku. Może po prostu nie chce nikogo niepokoić ani sprawiać kłopotu? Bierze tubkę pasty do zębów, wraca do pokoju. Rozgląda się.

Szafa. Szafa to dobre miejsce. W środku napisze w niewidocznym miejscu „kochanie” i będzie mógł wejść dalej w mgłę, ciągnąc za sobą to słowo jak nić Ariadny. Zmarszczył brwi. Dlaczego nić? Dlaczego Ariadny? Skąd się biorą jego myśli?

Otworzył drzwi do szafy, uderzył go zapach pasty do zębów. Dziwne.

Rozgarnął kilka koszul, wiszących na wieszakach. Na plecach szafy ktoś napisał palcem: „kochanie”, a pod spodem: „jeśli dziś też dostałeś list, zrób kreskę”.

Pod spodem widniało sześć kresek. Wycisnął odrobinę pasty na palec i dostawił siódmą.

## 2

Nie potrafił się tym przejąć, tak naprawdę. W poprzednim życiu wiele razy brał udział w odprawach po akcjach, w których wszystko poszło nie tak. Ale wtedy „nie tak” oznaczało ból, cierpienie i rzyganie ze strachu. Oznaczało tłumaczenie Honzie, że nie ma sensu zabierać do bazy oderwanych nóg Francka, skoro sam Franck jest kupą zmielonego przez minę martwego mięsa. A Honza stał, patrzył na niego z szaleństwem w oczach, trzymał pod pachą dwie oderwane nogi i upierał się, że może się przydadzą komuś innemu i że szkoda, żeby takie nogi się zmarnowały, przecież Franck to był wysportowany gość.

Teraz siedział w eleganckiej sali konferencyjnej, czysty, pachnący i w miejskich ciuchach, maczał rogalika w białej kawie i nie potrafił się przejąć tak naprawdę. Najwyżej straci robotę, ma tyle odłożone, że spokojnie może odejść na emeryturę i zrealizować swoje marzenie, odwiedzając wszystkie najważniejsze sanktuaria maryjne świata. Mógłby wrócić do Afryki, zacząć od bazyliki Królowej Pokoju.

– Czasu nie cofniemy – powiedziała po chwili milczenia Laura Kron i zawiesiła na Kluzce wzrok sprawiedliwej, ale skorej do wybaczenia babci. – Nie będziemy też szukać winnych. Bywa, że ma się najlepszych ludzi, którzy nie popełniają błędów, a i tak się przegrywa. Przypadek, zbieg okoliczności, szczęście. Przypatrzmy się, gdzie jesteśmy i co możemy zrobić. Widzę dwie drogi. Panie Marcelu, czy mamy jakąkolwiek szansę odnalezienia artefaktu?

– Nie – odparł zgodnie z przekonaniem. – To w gruncie rzeczy niewielki kawałek kamienia, który na dodatek mógł zostać

podzielony na mniejsze części. Może być teraz w dowolnym miejscu świata.

Skinęła głową, pochwalając wnuczka za zwięzłą i dobrą odpowiedź. Jakaś jego część oczekiwała, że dostanie *pain au chocolat* w nagrodę.

– Czyli zostają ludzie. Ludzie, jak wiemy, są najślabszym ogniwem każdego systemu. Panie Marcelu, czy mamy szansę dopaść kogoś ze sprawców kradzieży?

– Złodziejki nie ma co szukać. Zrobiła swoje i nie jest nikomu potrzebna, nie sądzę też, żeby wiedziała zbyt wiele. A znikanie bez śladu to jej specjalność, szkoda czasu i środków. Zofia Lorentz moim zdaniem nie żyje. Widziałem jej upadek z mostu, wyglądało to źle. Na tyle źle, że powinna natychmiast znaleźć się w szpitalu, a do żadnego, jak wiemy, nie trafiła. Albo umarła na skutek obrażeń, albo ją zabili, nie mogąc sobie pozwolić na taki balast. Jeśli byli nieostrożni, to za jakiś czas wypłynie z Sekwany, jeśli byli ostrożni, nigdy nie znajdziemy ciała. Za tym scenariuszem przemawia też to, że zarówno jej mąż, jak i rodzina w Warszawie dostali sfabrykowane maile, w których uspokaja i informuje, że pilnie musi wyjechać na kilka dni. W oczywisty sposób chodzi tylko o opóźnienie działań policji. Obserwujemy jej rodzinę cały czas, Pierre Touré ma oko na jej męża w Pirenejach, ale robimy to już tylko dla świętego spokoju.

– Smuga?

– Błogosławmy Unię Europejską – powiedział z kwaśnym uśmiechem – jest zapewne gdzieś na terytorium Schengen, może w zapytającym hotelu na Cykladach, może u kumpla w Tallinie, a może na jachcie w Portugalii. Jeśli popełni błąd, zostawi gdzieś ślad cyfrowy, z pomocą przyjaciół z Republiki i ich przyjaciół dopadniemy go w ciągu godziny.

– O czym on wie i dlatego z nikim się nie skontaktuje.

Kluzka przytaknęła. Wiedząc, że cała ta rozmowa, składająca się z recytowania oczywistości, jest przedstawieniem dla zgromadzonych w sali osób, korporacyjnego sanhedrynu. Kilku najbardziej zaufanych, najwyższych rangą dyrektorów z działów R&D oraz członkowie rady, ludzie naprawdę potężni, którzy mogliby zwolnić wszechmocną CEO z łatwością, z jaką pozbywają

się ogrodnika. Oni to wiedzieli, ona tym bardziej. Stąd przedstawienie.

– Co pan proponuje?

– Zależy, jak wysoka jest stawka – wyrecytował, czując się jak aktor w prowincjonalnym teatrze, który źle podaje drewniane kwestie.

– Najwyższa – powiedziała niskim, spokojnym głosem Laura Kron, u niej brzmiało to jakoś naturalniej. – Chodzi nie tylko o bezpieczeństwo narodowe i europejskie, ale też o światowe. Co oczywiście możemy wziąć pod uwagę, ale nie musimy. Stawką dla nas jest zdobycie pozycji korporacji potężniejszej nie tyle od rządów, to dawno przestało być trudne, co stanowiącej firmę matkę dla całej światowej gospodarki, koledzy z Doliny Krzemowej będą u nas małymi, skromnymi oddziałami. Taka pozycja da nam siłę, którą będziemy mogli wykorzystać w dobrym celu, ratując ludzkość przed samozagładą i ratując planetę, nie muszę mówić, że jest to być może ostatni dzwonek. I w końcu dla wszystkich naszych akcjonariuszy i dla ich potomków w przyszłych pokoleniach oznacza to ogromny finansowy spokój. Taka jest stawka.

Oczy zebranych zwróciły się na Marcela. Który myślał o tym, że pewnie jako jedyny w tym pomieszczeniu nie śledzi pilnie kursów akcji i wartości swojego portfela finansowego.

– Zorganizowanie się na podobieństwo roju bez nazw, biurokracji i siedzib ma plusy, ale ma też minusy – powiedział. – Największy taki, że każdy z elementów roju jest w rzeczywistości sam, słaby i zagubiony jak pojedyncza pszczołka. Nie wiemy, kto dokładnie jest taką pszczołką. Ale wiemy, że nie każdy jest sprawny tak samo oddany i że nikt nie żyje w próżni. Ci ludzie mają kolegów, przyjaciół, partnerów, często, jak to w życiu bywa, z tej samej branży. A to jest branża, którą my w dużej części kontrolujemy i finansujemy.

Zrobił pauzę na łyk kawy, dając im szansę na zadanie pytania, ale żadne nie padło. Praca z inteligentnymi ludźmi ma swoje plusy.

– Musimy natychmiast odciąć finansowanie wszystkim prywatnym placówkom, instytutom naukowym i uniwersytetom – kontynuował. Nieważne, nad czym pracują, nieważne, na jakim są etapie. Jako powód podamy złamanie klauzul poufności, kradzież

własności intelektualnej, wymianę wrażliwych informacji handlowych et cetera. Jak zaczną piszczeć i skamleć, powtarzamy to samo: klauzula poufności, wymiana informacji z tajną grupą naukową. Jeśli pomogą nam ustalić członków tej grupy i umiejscowić ich laboratoria, przywrócimy finansowanie, zwiększając je o sto procent.

– Zgadzam się – wtrąciła Kron. – Czas przypomnieć naszym drogim profesorom, kto jest ich właścicielem.

Uczestnicy zebrania nie wydawali się ani oburzeni, ani jakoś specjalnie przejęci.

– A jeśli pójdą do mediów? – spytał spokojnie jeden z mężczyzn.

Kluzka dopiero teraz zwrócił uwagę, że Laura Kron jest jedyną kobietą w tym towarzystwie. Czy przez to czuje się szczególnie? Jak on czułby się w odwrotnej sytuacji?

– Zamykamy im usta wielomilionowym pozwem o złamanie NDA – wyjaśniła prezeska. – Każdy, kto dostaje od nas pieniądze, podpisuje klauzule poufności, z których wynika, że nawet wspomnienie o ich istnieniu jest ich złamaniem.

– Jeśli pójdą mimo to?

– To nie lata siedemdziesiąte, żebyśmy się musieli bać mediów. Teraz każdy ma swoje fakty, tak samo dobre. Udzielimy fachowej odpowiedzi, żeby się nikomu nie chciało czytać do końca, jak będą chcieli „zaprezentować argumenty obu stron”, to do telewizji wysyłamy ślicznotkę na wózku z działu prasowego, której uratowaliśmy życie, to zawsze działa. Plus naszych ekspertów, profesorów z Nagrodą Nobla na koncie. Oczywiście jakiś brodaty dziennikarz śledczy gdzieś napisze prawdę, ale na pewno nas to nie zaboli.

– W wielu przypadkach wstrzymanie finansowania oznacza, że potem całe badania trzeba będzie zacząć od nowa – pochodzący z Niemiec inwestor mówił po angielsku z silnym akcentem, przez który brzmiał jak karykaturalna postać ze starego dramatu wojennego.

– Tym bardziej nie powinno im zabraknąć motywacji – skwitowała Laura Kron. – Im szybciej pan Marcel ustali, kto należy do tej sekty i gdzie mają swoją katedrę, tym szybciej wszystko wróci do normy.

Zebrani spojrzeli po sobie. Skinęli głowami.  
– Proszę działać – powiedział Niemiec.

### 3

Ostrożnie, tylko ruchem gałek ocznych, rozejrzała się wokół. Zaświaty, ciekawe, zawsze się zastanawiała, jak to wygląda. Wyglądało, cóż, futurystycznie, trochę jak flagowy sklep firmowy jakiegoś giganta IT. Ściany i sufit wykonano z mlecznego szkła lub tworzywa sztucznego, powierzchnie stanowiły jednocześnie źródło delikatnego światła. Brakowało tylko logo. W pomieszczeniu panowała idealna cisza, odetchnęła głęboko, przede wszystkim po to, żeby sprawdzić, czy usłyszy swój oddech. Usłyszała. Widzi, słyszy, nie jest źle.

Przekreśliła delikatnie głowę, w polu widzenia znalazła się poduszka i barierka szpitalnego łóżka. Hmm, czyli jednak nie zaświaty. Logiczne, po śmierci powinna się obudzić albo w kotle, albo tańcząc na zielonej łące koło grającego na gitarze Jezusa, po cholere wieczna dusza miałaby się budzić w łóżku.

Jezu, Zofia, pomyślała, przestań pieprzyć jak potłuczona i skup się.

Muzeum Historii Naturalnej, misiek, Smuga, dworzec Austerlitz, most, skok na barkę na Sekwanie, upadek i to straszne łupnięcie. Przypomniała sobie straszne łupnięcie, paraliżujący ból, rozlewający się po całym ciele.

Paraliżujący. Szlag.

Dotarło do niej, o czym pomyślała, i zastygła, bojąc się nawet poruszyć oczami. Nie bądź idiotką, ofuknęła sama siebie, przed chwilą ruszałaś tymi oczami. Ruszałaś głową. Nabierałaś oddechu. Nie jesteś warzywem.

A przynajmniej nie do końca, odpowiedziała sama sobie. Co jeśli to jedyny ruch, jaki jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie wykonać? Kiwanie głową na tak i na nie, mruganie, a poza tym leżenie, leczenie odleżyn i sikanie pod siebie?

Nietrudno się przekonać, wystarczy ruszyć ręką i nogą, sprawdzić, czy wszystko w porządku.



– Łatwo powiedzieć – wychrypiała na głos, wzdrygając się na dźwięk chropowatego, nieswojego, zbyt głośnego w wyciszonym pomieszczeniu głosu.

Dobra, pieprzyć to. Oblizwała wargi i podniosła lewą rękę do góry, energicznie, jakby chciała zatrzymać taksówkę. Udało się. Ręka miała na sobie prostą, białą piżamę, poza tym żadnych wlewów, wenflonów, bandaży ani szpitalnych bransoletek. Podniosła drugą, też pozbawioną biżuterii, w jaką zwykle człowiek obrasta w placówce służby zdrowia. I w ogóle pozbawioną biżuterii, zniknęła gdzieś obrączka i pierścionek zaręczynowy.

Kilka razy głęboko odetchnęła, szykując się do ostatecznego testu. Jaka jest szansa, że ten upadek na plecy, straszny huk, straszny ból i utrata przytomności, wielogodzinna albo i wielodniowa, nie wiąże się z uszkodzeniem kręgosłupa. Niewielka. Czy paraliż od pasa w dół oznacza, że nigdy już nie doświadczy orgazmu? Czy czucie fantomowe może obejmować łechtaczkę?

Gwałtownym ruchem wyrzuciła w górę prawą nogę, zrzucając z siebie prześcieradło i wyrzucając w powietrze wybiegającą z nogawki szortów cienką rurkę, z której na cały pokój wyprysnęły krople jasnego płynu.

Cewnik, pomyślała, i na tę myśl rozsunęły się niewidoczne wcześniej drzwi w jej mlecznobiałym sześcianie. Przez drzwi wszedł wyjątkowo nieponury, uśmiechnięty i rozanielony Bogdan Smuga z ogromną szklanką czegoś jasnobrązowego w dłoni.

– Nie za wcześnie na pajacyki, pani profesorko?

Postawił szklankę obok łóżka, schylił się, zapewne łącząc z powrotem rurkę cewnika z pojemnikiem na mocz, poprawił prześcieradło. I czekał.

– Czy coś mi jest? – zapytała.

– Już nie.

– Co to jest?

– Koktajl mocy. Mleko migdałowe, masło orzechowe, kakao, banan i miód. W jednej szklance posiłek na cały dzień.

– Gdzie ja jestem?

– W bezpiecznym miejscu.

– Spierdalaj.

– W jedynym prawdziwym laboratorium naukowym świata.

– Prawdziwym, bo?

– Bo niezależnym. Wszystko pokażę, opowiem i wytłumaczę. Na razie ciesz się, że jesteś cała, uratowałaś przyszłość ludzkości, a opatrunki zmienia ci laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. No, nie cały czas, ale Yasutomi chciał ci w ten sposób złożyć hołd.

– Jakie opatrunki? – spytała, podnosząc lekko głowę, żeby spojrzeć na swoje ciało. Nie widziała ani nie czuła żadnego opatrunku.

Smuga wskazał gestem jej głowę. Sięgnęła ręką i poczuła bandaż, który otaczał jej czaszkę, niczym opaska tenisisty z lat osiemdziesiątych. Przejechała po nim, w jednym miejscu poczuła zgrubienie opatrunku, dotknęła czubka głowy i westchnęła. Była łysa jak kolano.

– W samolocie musieli cię ogolić, żeby założyć dren, potem dziewczyny uznały, że już lepiej po całości, w czasie leczenia lżej, a potem ładniej będzie odrastać.

W samolocie? Dren? Dziewczyny?

Zamknęła oczy.

## 4

Tylko ktoś, komu wyjęto plastikową rurkę z cewki moczowej, wie, jaka to jest niezwykła zmiana w komforcie życia. Dlatego mimo pytań i niepokojów, łysa historyczka sztuki, profesorka doktorka habilitowana Zofia Lorentz tryskała energią. Żyła, wszystkie kości miała całe, dala jej normalne ubranie, koktajl smakował wybornie, musiała teraz znaleźć kawę i wydostać się jak najszybciej z tego miejsca, przypominającego laboratorium wysokobudżetowego, futurystycznego filmu o podboju kosmosu.

Smuga dał jej wcześniej kartę, otworzyła za jej pomocą pozbawione klamki i zamka drzwi, wychodząc na korytarz. Ściany i sufit jarzyły się tym samym mlecznym światłem co jej pokój, przy ledwo odznaczających się prostokątach drzwi świeciły numery. Z ciekawości spróbowała otworzyć pokój obok, przykładając kartę,

ale dioda czytelnika tylko zamigłała na czerwono. Okej, pomyślała, nie jest to magiczny wytrych.

Pociągnęła nosem. Nie pachniało szpitalem. Powietrze było świeże i rześkie, mimo że nie widziała żadnych okien. Gdzie ona jest? W podziemnym bunkrze? Gdziekolwiek trafiła, potrzebuje kawy, kurtki i biletu do Tuluzji, żeby zabrać męża i wrócić na Boże Narodzenie do Warszawy. I lepiej, żeby Smuga zagwarantował jej miejsce w klasie biznes po tych przygodach.

Korytarz z jednej strony kończył się ślepo, ruszyła w drugą, skąd dobiegały głosy, i znalazła otwarte podwójne drzwi, za którymi znajdowała się kantyna. Pomieszczenie nie miało więcej niż osiem na dziesięć metrów, stało tam kilka kwadratowych stolików, ekspres do kawy i dziwna szafa o wyglądzie lodówki, która musiała być raczej podgrzewaczem do jedzenia, ponieważ jedna z pielęgniarek, która przed chwilą doprowadzała Zofię do stanu używalności, wyciągała z niej hermetycznie zapakowany posiłek.

Ekspres do kawy przypominał te z lepszych stacji benzynowych, zaczęła chwilę, aż do białego ceramicznego kubka naleje się cappuccino, posłodziła i usiadła przy pustym stoliku. Pielęgniarka dołączyła do koleżanki, która siedziała przy stoliku obok suchego staruszka, na oko stułetniego. Staruszek dukał coś po angielsku z bardzo silnym akcentem, musiało to być bardzo śmieszne, ponieważ obie panie zachichotały szczerze i – mogłaby przysiąc – zalotnie.

Syknęły drzwi. Obejrzała się, żeby zobaczyć, jak z wąskiej klatki schodowej wychodzi Bogdan Smuga. Biochemik, uśmiechając się promiennie jak Adrian Zandberg w dniu wprowadzenia podatków progresywnych, usiadł obok, na stole położył mały pakunek.

– Cieszę się, że jesteś w formie – zagał.

– A teraz słucham. Gdzie jestem, skąd się tu wzięłam, co tu robię, kiedy stąd wyjdę i dlaczego zaraz. I kim jest ten dziad?

Westchnął, lekko zakłopotany, niczym rodzic, którego dziecko przygwoździło pytaniem o prokreację i który wie, że tym razem nie wyłga się opowieścią o tym, że kiedy tatuś i mamusia bardzo się kochają, w brzuchu u mamy rośnie małe ziarenko.

– Muszę odpowiadać po kolei?

Wzruszyła ramionami.

– Wzięłaś się tu stąd, że uratowaliśmy ci życie. Uderzyłaś się w głowę na tyle mocno, że straciłaś przytomność. Nie mogliśmy cię zostawić w tym stanie, więc jechałaś z nami najpierw barką, a potem samochodem na prywatne lotnisko.

– A czemu nie do najbliższego szpitala?

Uciekł spojrzeniem.

– Rozumiem. Co tam jedna osoba, kiedy w grę wchodzi przyszłość ludzkości.

Odwrócił się gwałtownie, wbijając w nią spojrzenie, zobaczyła w jego oczach iskierkę gniewu.

– Uważasz, że to naganne?

– Uważam, że lektura podręcznika historii daje cenną lekcję ewolucji celów, dla których poświęca się coraz większe środki. Ale mów dalej.

– *Your body is church, cathedral, you understand?* – powiedział głośno staruszek z akcentem, który kojarzył się jej z dzieciństwem, nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Jedna z pielęgniarek wymruczała zalotne podziękowanie.

– De facto trafiłaś do szpitala, czekał na nas samolot Lekarzy bez Granic, transportowy, ale z zapleczem medycznym i ekipą bardziej profesjonalną niż na jakimkolwiek ostrym dyżurze. Stwierdzili obrzęk mózgu, założyli ci dren i na wszelki wypadek wprowadzili w śpiączkę farmakologiczną. No, nie do końca, bo bez respiratora, ale na tyle, żebyś pozostała nieprzytomna do czasu, aż zniknie obrzęk, a ciśnienie wewnątrzczaszkowe się ustabilizuje.

Spojrzała na pakunek na stole. Nagle szarpnęło ją bardzo złe przeczucie.

– *I pray in this church* – prawie krzyknął staruszek. – *I pray in you.*

Arnold Schwarzenegger! Staruszek mówił z akcentem Arnolda z tych wszystkich dziwacznych filmów, które się oglądało na wideo w czasach licealnych.

– A on?

– Pan Hubert pochodzi z Austrii, ma sto sześć lat, jak słyszysz, jest w doskonałej formie i należy do naszej drużyny „sto plus”. To wiekowi ludzie o doskonałych parametrach medycznych, którzy zgodzili się spędzić tutaj trochę czasu, żeby pomóc nauce i sprawdzić, czy ich naturalne cechy można w jakiś sposób

podarować innym. Na tym etapie oznacza to głównie pozwalanie na grzebanie sobie w dupie, ale jak słyszysz, pan Hubert nie ma problemu z akceptacją swojego ciała.

– W dupie?

Smuga zrobił zniecierpliwiony ruch ręką.

– Długo by opowiadać, potem ci pokażę poziom laboratoryjny, ale ponieważ obecnie większość naszych prac nad długowiecznością skupia się na mikrobiomie, eksperymentujemy z przeszczepami kału. Co przynosi rewelacyjne efekty, ale jest niemożliwe na dużą skalę, więc teraz trudność polega na stworzeniu „kapsułek”, jak nazywam po polsku „crapsules”, żeby móc łatwo podać właściwe bakterie pacjentom, których mikrobiom ma braki.

– Dość obrzydliwe.

Spojrzał zdziwiony.

– Czemu? Ludzie masowo uprawiają seks, chociaż mają odbyty koło narządów płciowych, zresztą nieprzypadkowo, natura wiedziała, co robi. Na dodatek w czasie tego seksu liżą się po całym ciele z dupą włącznie. A nagle prosty lek z bakteriami jelitowymi jest obrzydliwy? No hej. A co do seksu, cóż – zerknął w stronę stolika obok – krążą pewne legendy o wyjątkowej sprawności pana Huberta, na początku się zastanawialiśmy, czy nie ukrócić nadmiernego zainteresowania części personelu, ale uznaliśmy, że dorośli ludzie to dorośli ludzie, ich wybory i ich decyzje. To placówka badawcza, a nie klasztor.

– A gdzie się znajduje ta placówka badawcza? Jesteśmy ciągle we Francji? W Europie w ogóle? Jak mam stąd wrócić?

– To nie jest takie proste.

Te słowa podziałały jak mocne dmuchnięcie w tłący się w niej od momentu przebudzenia żar irytacji, który zamienił się momentalnie w płonący ogień wściekłości.

– Słucham? Co nie jest takie proste? Nie możesz mnie tutaj więzić. Wpuść mnie z tego bunkra i zawieź na najbliższe lotnisko albo przystanek pekaesu, albo cokolwiek. Masz swojego miśka, zadanie wykonane, zapłać mi i pozwól wrócić do życia. Natychmiast!

W miarę mówienia podnosiła głos, a ostatnie słowa wykrzyczała. W kantynie zapadła cisza, wszyscy patrzyli w jej stronę.

– *Slavic woman. Great energy* – powiedział pan Hubert pełnym podziwu głosem lubieżnego Arnolda Schwarzeneggera.

– Co to jest? – warknęła, wskazując na leżący na blacie pakunek.

– Prezent.

– Z jakiej okazji?

– Bożego Narodzenia.

Wciągnęła mocno powietrze, walcząc, aby się nie rozpląkać.

– Bogdan, jaki dziś jest dzień?

– Musiałaś dojść do siebie.

– Jaki?! – wrzasnęła.

– Dwudziesty ósmy grudnia.

Zamknęła oczy. To niemożliwe. Przecież był osiemnasty, kiedy w sklepiku Muzeum Historii Naturalnej kupowała Kasi świąteczny prezent. Spędziła święta w śpiączce, w jakimś pieprzonym bunkrze, bez męża, bez córki, bez rodziców, którzy nie mieli pojęcia, gdzie jest i co się z nią dzieje. To nie może być prawda.

– Wysłaliśmy twojej rodzinie wiadomości, żeby się nie martwili, wytłumaczyliśmy dokładnie, że...

– Łesz. Wysłaliście im wiadomości, żeby nie poszli na policję. Macie gdzieś mnie i moją rodzinę, i w ogóle wszystkich, którzy nie są „ludzkością”, aż nazbyt wiele razy prezentowałeś mi swoje stanowisko w tej sprawie. Wychodzę.

Wstała i podeszła do drzwi, którymi Smuga wszedł do kantyny, machnęła kartą, zaświeciła się czerwona dioda.

– Proszę otworzyć – powiedziała po angielsku do pielęgniarek.

Spojrzały pytająco na Smugę.

– Proszę otworzyć te drzwi albo będą panie miały kłopoty. Za porwanie idzie się do więzienia na długie lata. Z każdą sekundą zwłoki pracują sobie panie na miejsce na ławie oskarżonych.

Smuga wstał, zniknęła promieniująca z niego radość, znowu zamienił się w milczący głaz z opuszczonymi ramionami, nie tyle chodzący, co toczący się po ziemi. Podeszedł, otworzył drzwi.

– Chodź za mną.

Weszli poziom wyżej, Smuga otworzył kolejne drzwi i znaleźli się na korytarzu bliźniaczo podobnym do tego na jej poziomie. Mleczne ściany, mleczny sufit, numery przy drzwiach. Wiedziała, że powinna milczeć z wyższością, ale ciekawość przeważała.

– To też sale szpitalne?

Obejrzał się, smutny jak zwykle, podatek progresywny przepadł w komisji, i to głosami własnej koalicji. Czy naprawdę uraziła go tym, że nie skacze z radości, dowiedziawszy się, że od dwóch prawie tygodni jest więźniem nie wiadomo kogo, nie wiadomo gdzie? A może myślał, że się ucieszy z prezentu? To niemożliwe, nie może być aż tak szalony, pomyślała i przeszedł ją dreszcz. A może jest? Może to nie naukowiec, tylko obłąkany szaman, gotów bez mrugnięcia okiem poświęcić każdego dla zwariowanego projektu przedłużania życia ludzkości? Z tego punktu widzenia powinni ją zabić, zbyt wiele wiedziała. Ale w takim razie po co ją ratowali?

– To poziom laboratoryjny – powiedział, wyciągnął kartę z kieszeni i przyłożył ją do ściany.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. W pomieszczeniu stało kilka biurek i maszyna, której przeznaczenia nawet nie próbowała odgadnąć. Siedzący przy jednym z blatów roboczych siwowłosa Japończyk podniósł głowę, uśmiechnął się i podszedł do nich.

– To twój pielęgniarz z Noblem – mruknął Smuga.

– Yasutomi Nakanishi – przedstawił się Japończyk. – To wielki zaszczyt, że mogę panią poznać.

– Dziękuję za... pomoc – wskazała ręką głowę.

– Wszyscy jesteśmy pani winni największą wdzięczność, uznałem, że opieka nad panią to najlepszy sposób, żeby to okazać. Proszę się nie martwić, robiłem to pod okiem bardziej wykwalifikowanego personelu. Chodziło mi o gest, chciałem poczuć, że pomagam pani, tak jak pani pomogła nam.

– To laboratorium immunoterapii – wyjaśnił Smuga. – Yasutomi wykuwa w nim molekularne miecze samurajskie do pokonania raka. I te miecze to dobre porównanie, bo do tej pory na raka wysyłaliśmy wojska pancerne albo broń jądrową, przy okazji zamieniając organizm w ziemię jałową. Yasutomi daje naszym limfocytom miecze i szkoli je, żeby rozprawiły się z nowotworem. Zamiast artylerii, oddziały ninja. Szybkie, zabójcze, skuteczne.

– Przepraszam za te porównania – uśmiechnął się Japończyk. – Kolegów bardzo podnieca, że mogą użyć całej wiedzy o kulturze mojego kraju, jaką wynieśli z amerykańskich seriali animowanych. Ale tak, w skrócie rzeczywiście o to chodzi.

Pokiwała głową, rozglądając się po futurystycznym wnętrzu laboratorium.

– Co to za miejsce? – zapytała. – Należy do jakiejś firmy? Uniwersytetu?

Yasutomi spojrział na Smugę, wyraźnie dając do zrozumienia, że to on ma odpowiedzieć na to pytanie.

– Do nas – wyjaśnił Polak. – Do nauki. Tłumaczyłem ci, jak się poznawaliśmy, że prawdziwa nauka musi być wolna. Prowadzić badania dla wiedzy, a nie dla grantu, żurnala albo komercyjnego projektu. Tutaj tak to wygląda.

– Czyli macie też drukarnię pieniędzy?

– Nie musimy. Na świecie jest bardzo dużo już wydrukowanych pieniędzy, wiele z nich w rękach ludzi, którzy nie mają pojęcia co z nimi zrobić, a wierzą w wielką przygodę ludzkości. No i pewnie nie mają nic przeciwko miejscu w podręcznikach do historii, jeśli nam się uda.

– Bardzo ciekawe. Pogadałabym, ale niestety muszę szybko wracać do Polski. Panie profesorze, trzymam kciuki, naprawdę.

Yasutomi uklonił się z uśmiechem, w którym przez chwilę dostrzegła zdziwienie, a być może jej się wydawało. Miała dużo do czynienia z Azjatami przy okazji pracy w muzeum i wiedziała, że odczytywanie ich emocji nie było dla człowieka Zachodu łatwe.

Smuga ruszył w stronę końca korytarza, poszła grzecznie za nim. Na końcu znajdowały się normalne drzwi, dość potężne, z klamką i zamkiem elektronicznym. Za nimi niewielkie pomieszczenie, wielkości dużej windy i kolejne drzwi. Zrozumiała, że to rodzaj śluzy, musieli poczekać chwilę na wyrównanie ciśnienia i dopiero kiedy zapaliło się zielone światło, Smuga mógł otworzyć drugie drzwi i gestem zaprosił Zofię, żeby weszła do – jej myślom przez chwilę brakowało słów – do ruchomego korytarza.

Korytarz, długości ośmiu, może dziesięciu metrów, wykonano z gumowej harmonijki, która przypominała jej przeguby w warszawskich autobusach. Podłoga składała się z luźno rozmieszczonych płyt, na ścianie zamontowano uchwyty. Zawahała się, bojąc się wejść do czegoś, co wyglądało jak wnętrze ogromnej gąsienicy, wijącej się leniwie na wszystkie strony.



Cóż, nie miała wielkiego wyboru w kwestii wyjścia ewakuacyjnego.

Przeszła szybko korytarz, uważnie stawiając stopy i kurczowo trzymając się uchwytów, na końcu zaczynały się wąskie schody. Nie czekając na Smugę, weszła po nich, doświadczając dziwnego złudzenia, że jej ciężar się zmienia i że na zmianę jej nogi muszą podnosić w górę albo bardzo ciężką, albo bardzo lekką Zofię Lorentz. Po czym stanęła przed ciężkimi stalowymi wrotami, wyposażonymi w zabezpieczające uchwyty wokół framugi. Czyli bunkier. Cholerny schron atomowy, zaraz się okaże, że jest na poziomie minus sto, a winda prowadzi na powierzchnię do ośrodka, który otaczają hektary dziewiczych lasów, kilometry drutów kolczastych i pola minowe.

Nacisnęła kłamkę, przeszła przez wysoki próg i zamknęła oczy, nie mogąc znieść nagłego ataku ostrego, wiszącego wysoko nad horyzontem słońca. Razem ze światłem uderzyło w nią tropikalne ciepło, wiatr, zapach i szum morza. Grunt uciekł jej spod nóg, upadłaby, gdyby nie Smuga, który złapał ją za ramię.

Wyrwała mu się gwałtownie. Mrużąc oczy, podeszła kilka kroków do relingu i rozejrzała się. Za sobą miała stertę kontenerów, na prawo pokład frachtowca prowadził w stronę dziobu, na lewo w stronę rufy, na której stała kilkupiętrowa, zwieńczona kominem nadbudówka. Przed nią, aż po horyzont, falował oślepiająco turkusowy ocean.

– Dalej chcesz szukać najbliższego pekaesu?

Najpierw wyrzuciła otrzymany wcześniej prezent do morza, a potem zimno wycedziła:

– Oddaj mi obrączkę i pierścioneł zaręczynowy.

Łysa historyczka sztuki Zofia Lorentz bez wątpienia była więźniem kontenerowca „Vincent”, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że wcale jej to nie przeszkadza. Po pierwszym dniu rozmów, dyskusji i awantur, kiedy mało nie wyskoczyła za burłę, chcąc wpływ dostać się do najbliższego brzegu, trafiły do niej argumenty Smugi oraz

Mireille Hamidou, dziwacznej, wycofanej Francuzki maghrebskiego pochodzenia, której każde zdanie zawierało zawsze tylko tyle słów, ile musiało, żeby przekazać precyzyjny komunikat, i ani jednego więcej. Pozwolono jej wysłać maila do rodziców i Karola, uspokoiła się odrobinę, kiedy dostała od nich odpowiedź. Świadomość, że każde z nich spędziło Boże Narodzenie nie dość, że bez niej, to jeszcze osobno, wracała i kroїła jej serce na kawałki. Ale wiedziała, że są bezpieczni. I rozumiała, że jeśli odsunie się emocje na bok, to stawka prowadzonych na „Vincencie” badań jest warta kilkudniowej rozłąki jednej z miliardów ludzkich rodzin. Niechętnie, ale rozumiała.

Przydzielono jej niewielką kajutę poza żyrolabem, jak nazywano trzy piętra laboratorium schowanego wewnątrz udającego kontenerowiec statku, na piętrze nadbudówki zarezerwowanym dla naukowców. Oddzielnie znajdowały się kwatery marynarzy oraz kwatery „ochrony”, cokolwiek miało to oznaczać. Mogła spacerować po pokładzie, wchodzić do niektórych pomieszczeń labu, o wyznaczonej godzinie jadła posiłki razem z zespołem naukowym w mesie, okazało się, że kantyna jest rozwiązaniem tylko dla tych, którzy mają dyżur i nie mogą opuścić placówki badawczej. Czekając na te posiłki z niecierpliwością, kołysanie statku i morskie powietrze sprawiały, że nieustannie czuła głód, na dodatek wszystkie dania wychodzące z kambuza smakowały jak z pierwszoligowej knajpy, bez względu na to, czy podawano curry, tartiflette czy spaghetti alla norma. Raz Mireille zabrała ją po zmroku na mostek, gdzie poznała rumuńską kapitankę i gdzie pokazano jej wszystkie przyrządy oprócz tych, z których mogłaby wywnioskować, w jakim miejscu świata się znajduje.

Wtedy pomyślała, że jej pobyt tutaj ma w sobie coś z wycieczki do Korei Północnej. Niby wszystko pięknie, hotele, restauracje, bulwary, ale cały czas ma się ogon, pilnujący, żeby przypadkiem nie zajrzeć za niewłaściwe drzwi.

Sam „Vincent”, na pierwszy rzut oka przechodzony kontenerowiec o długości dwustu metrów, wyposażony został w elementy tak nowoczesne, jakby wczoraj opuścił tę samą stocznice, w której budowano USS Enterprise. Szczególną zaś obsesję projektanta stanowiła najwyraźniej kwestia kontroli dostępu.

Wyobrażała sobie, że normalnie na statkach wszystkie pomieszczenia są ze sobą połączone ze względów bezpieczeństwa oraz dla technicznej i ogólnoludzkiej wygody. Tutaj karty dostępowej musiała używać tak często, że powinna ją sobie przykleić do palca. W nadbudówce, na pokładach, w labie – wszystkich drzwi śluz, przejść, furtek i krat strzegły niewielkie białe terminale, dzięki czemu trasę każdej osoby i przestrzeń jej wolności można było zaprogramować jak świat szczura w labiryncie. Wiedziała, że poza porą posiłków nie wejdzie do mesy, że po zmierzchu nie dla niej spacer po pokładzie, że bez zgłoszenia nie da rady wejść nawet do „gąsienicowego korytarza”, prowadzącego z pokładu do żyrolabu.

Irytujące, ale równoważone przez szczere uwielbienie, jakim mniej lub bardziej ostentacyjnie darzył ją cały personel naukowy, uważając za bohaterkę. Nie tylko bohaterkę ich projektu, nie tylko bohaterkę nauki, ale – zdawała sobie sprawę, jak egzaltowanie to brzmi, ale nie dało się tego nazwać inaczej – bohaterkę ludzkości. Tak, nazywała odsiadką swój przymusowy pobyt na „Vincencie”, który miał trwać jeszcze kilka dni, do czasu, kiedy zabierze ją statek dowożący zaopatrzenie. Ale morskie powietrze, doskonałe jedzenie i towarzystwo składających jej hołd wybitnych uczonych czyniło ten wyrok znośnym.

Teraz siedziała w kantine żyrolabu, piła kawę i jadła obłudnie dobrą tartę ze śliwkami w towarzystwie Lany DuPrey, klnącej bez przerwy jak szewc kanadyjskiej neurołożki odpowiedzialnej za grupę „sto plus” oraz grupę „sto minus”. Pierwszą stanowili ulubieńcy wszystkich, dziarskie grono Huberta oraz jego kumpelek i kumpli. Druga bardziej przypominała hospicjum, w którym dogorywali odłączeni od rzeczywistości przez demencję staruszkowie.

– Skąd właściwie ich bierzecie? – spytała Lanę, wyjątkowo tego dnia przybitą.

– Nie porywamy ich – zażartowała Kanadyjka, ale trochę na siłę. – Mamy tylu ochotników, że powinniśmy się urządzić nie na kontenerowcu, tylko na pieprzonym lotniskowcu. Dla plusowych to fantastyczna przygoda, swoje już wychlali i wyruchali, perspektywa przysłużenia się na koniec innym niesie ich jak dobry koks. Dla

minusowych szansa, że się przekręcą chwilę później. Taka jest wersja oficjalna, którą sprzedają rodzinie. Tak naprawdę robią to, żeby ocalić najbliższych. Przed bólem patrzenia na osobę, która niby jest, a tak naprawdę jej nie ma. Przed czasem zmarnowanym na opiekę. I przed wydatkami, które w tej pierdolonej dyktaturze z Trzeciego Świata, jaką są Stany, mogą oznaczać bankructwo i zadłużenie się razem z praprawnukami.

– Umierają tutaj?

– Cały czas. Mamy krematorium, wysyłamy prochy rodzinie.

Zofia pomyślała, że prędzej uwierzy we wróżkę zębuszkę niż w to, że oni prochy z „Vincenta” wysyłają gdziekolwiek. Bez wątpienia rodziny dostawały ozdobne urny, dyplomy i w ogóle, ale na pewno nie pochodziły one stąd. Tyle już wiedziała, żeby zrozumieć zimny, naukowy utylitaryzm tej grupy.

– Dziś rano umarła pacjentka. Julieta, Hiszpanka, jak ją przyjmowaliśmy, wszyscy robili wielkie oczy, bo wyglądała na krzepkie pięćdziesiąt, a nie siedemdziesiąt trzy, które w rzeczywistości miała. Dwa lata raptem u nas spędziła, a dziś, kurwa... – Lanie załamał się głos. – Jakbyś ją zobaczyła. Tysiącletnia staruszka. Pieprzony cień jebanego człowieka. W dwa lata postarzała się o czterdzieści. Wiesz, patrzę, jak razem z umysłem uchodzi siła z reszty ciała, i myślę, że może dusza istnieje.

– W sensie... – Zofia zrobiła znak krzyża.

Lana skrzywiła się, jak ktoś, kto zajrzał do otwartego miesiąc wcześniej kartonu z mlekiem.

– Nie no, kurwa, bez takich. Mam na myśli prawdziwego ducha, energię natury, świadome, harmonijne zespolenie z wszechświatem, a nie tą heroinę dla opóźnionych.

Przez chwilę milczały.

– To było do przewidzenia, czy coś nie wyszło?

– Tak szczerze? Jedno i drugie. U Juliety demencja postępowała błyskawicznie, dla niej straszne, dla nas dobre, bo szybko widać, czy coś przynosi efekty, czy nie. Wytypowaliśmy ją do leczenia lekami SSRI, wiesz, co to za cukierki?

– Prozac?

– Też. Inhibitory wychwyty zwrotnego serotoniny, bardzo duża grupa leków, przepisywanych na zaburzenia psychiczne. Depresje,

nerwice, zaburzenia afektywne. Tak szczerze? Te leki to farmakologiczny odpowiednik elektrowstrząsów, może pomogą, może nie pomogą, nie mamy pojęcia, jak działają, ale coś musimy robić, więc ryzykujemy. Przepisujemy i potem, tak szczerze, różnie bywa. Jednemu pomoże na depresję, drugiemu wyleczy nerwicę, trzeci wzruszy ramionami, a czwarty wskoczy pod pociąg. Loteria. Big Pharma na tym zarabia gazyliony, więc zaczęli to też przepisywać pacjentom z demencją, że niby są smutni, bo mają depresję. To bzdura, są smutni, bo tracą pamięć i umierają, ale z kilku badań wyszło, że grzebiąc inhibitorami w mózgu, czasami udaje się spowolnić procesy demencyjne.

– Efekt uboczny.

– Jasne, tak jak wiele przełomowych odkryć medycyny. Próbuje tutaj rozgryźć, czy któraś z tych substancji albo ich koktajl może faktycznie tak działać. Co nie jest proste, bo pierdolone koncerty albo ukrywają wyniki, albo fałszują wyniki, albo nie rejestrują testów, albo manipulują testami, wciskają kit o nowych lekach, mimo że są one gorsze niż poprzednie, no powiem ci tak szczerze, że łatwiej spotkać faceta z dwoma chujami, niż wydobyć z tego morza bullshitu sensowne dane. Co nie ma sensu. Przecież gdybym miała dostęp do wszystkich badań jednej substancji, zrobiła przegląd systematyczny, mogłabym łatwiej sprawdzić, czy jakiś, nazwijmy go, pierdolepran powstrzymuje demencję i producent pierdolepranu by zarobił trzy gazyliony więcej. Ale nie, kurwa, wszystko musi być tajne, jebany Skynet. Wyrażam się jasno?

– Nie do końca.

– Okej, powiedzmy, że wymyśliłam aspirynę.

– To rozumiem.

– Jestem podjarana jak buchaj rozplodowiec, bo na leku przeciwbólowym i przeciwgorączkowym zarobię kupę kasy. Robię badania, faszeruję aspiryną biednych migrenowców z Trzeciego Świata albo innej, kurwa, Litwy i okazuje się, że lek działa. Fajnie, ale jestem pojebaną z chciwości korpo, utajniłam wszystko jak, kurwa, CIA, więc informuję świat o wynikach przeciwmigrenowych i tyle. Mimo że w grupach testowych miałam różnych ludzi. Starych, młodych, cukrzyków, wieńcowców, którym cały czas badałam krew, mierzyłam ciśnienie i tak dalej. Gdybym wszystkie te wyniki

upubliczniła, mógłby je przeanalizować ktoś z innej dziedziny i odkryć co?

Wszyscy tutaj mieli manierę wymagającej nauczycielki z podstawówki, tyleż to było urocze, co nieznośne.

– Że to przede wszystkim kardiologiczny lek rozrzedzający krew?

– Przeciwwzkrzepowy mówimy, ale brawo, zdrowego kutasa proszę wręczyć tej pani. Dlatego się wkurwiam, bo na pewno ktoś gdzieś, testując pierdoleprany i chujoksetyny, miał pacjentów albo po prostu w podeszłym wieku, albo z alzheimem, albo z innymi formami demencji, gdybym mogła te surowe dane przeanalizować, może nie musiałabym strzelać do choroby biednej Juliety ślepakami. Ale nie, lepiej wrzucić wszystko do niszcarki, bo jeszcze ktoś też zarobi. Chciwość doprowadziła ten świat do krawędzi zagłady i chciwość sprawia, że za tę krawędź właśnie spadamy. W sumie co ja się przejmuję, powinnam kupić popcorn i patrzeć, jak to wszystko idzie w piżdziec.

Pokiwała głową, bo Lana się nakręciła i w obliczu jej słusznego gniewu można było jedynie potakiwać.

– Być może lek na alzheimera już dawno wymyślono, tylko nikt tego nie zauważył, bo go testowano jako diuretyk albo inhibitor proteazy. Może testowano preparat insulinowy bez efektów i substancję spuszczone do kosza, mimo że skutkiem ubocznym jest rozbijanie płytek starczych. Mózg to delikatna i tajemnicza materia, standardem powinno być badanie, co się w nim dzieje w czasie wszystkich testów. Propranolol wymyślono jako betabloker w latach sześćdziesiątych, taki to był przełom w leczeniu chorób wieńcowych, że Black dostał Nobla. Tyle tylko, że propranolol przez blokowanie adrenaliny i noradrenaliny miał ciekawe skutki uboczne, zaczęli go nagle brać artyści i sportowcy, żeby zwalczyć tremę. A potem zainteresowało się nim wojsko, dręczone plagą samobójstw i depresji związanych z PTSD. Bo jeśli zablokujemy adrenalinę, zablokujemy też w hipokampie składanie tych wspomnień, których jest ona ważnym elementem i...

Lana DuPrey zaskoczyła Zofię, ponieważ nagle zawiesiła głos, po czym nieoczekiwanie rozsłochała się głośno.

– Przepraszam – zajęczała – ale w tych laboratoriach łatwo zapomnieć o człowieku, wszyscy patrzymy na pacjentów jak na

jakieś okazy i dopiero jak rozmawiam z tobą i myślę o Julecie, przepraszam...

Zofia nie wiedziała, jak się zachować w obliczu nagłego wybuchu naukowczyni, więc po prostu przytuliła ją mocno i czekała, aż się wypłacze.

– Co właściwie jest na dolnym poziomie? – zagadnęła, trochę, żeby zmienić temat, trochę w nadziei, że skorzysta z chwili słabości Lany, żeby wyciągnąć informację na temat miejsca, którego nie dość, że jej nie pokazali, to nawet o nim nie wspomnieli. Pewnie są tam magazyny na rękawiczki jednorazowe i szczotki, ale ciekawość zamieniła w jej wyobraźni dolny poziom żyrolabu w tajemnicze skrzydło baśniowego zamku.

– U dziewczynek? – spytała Lana.

– Dokładnie. Wszyscy mówią „u dziewczynek” – skłamała gładko Zofia – a nigdy ich nie spotkałam.

– Musiałabyś pogadać z Bogdanem. – Lana najpierw zeszywniała w jej objęciach, a potem się z nich wyzwoliła, wyprostowała i otarła oczy. – Tam wszystko jest BSL-3, czyli śluzy, bariery laminarne, kombinezony. Zwłaszcza dla kobiet.

– Dla kobiet?

– To znaczy dla wszystkich oczywiście.

– A czemu taki poziom ostrożności?

– Każdy lab musi mieć takie miejsce, przecież pracujemy też z niebezpiecznymi albo potencjalnie niebezpiecznymi patogenami. Spytaj Bogdana, on na pewno wszystko ci wyjaśni.

– Jasne, spytam Bogdana.

I nie myśl, głupia suko, że nie zauważyłam, jak się teatralnie rozszlochałaś, kiedy niby przypadkiem wspomniałaś o chorobie mojego męża, pomyślała Zofia, uśmiechając się przyjacielsko do Kanadyjki.

## Rozdział 11. Taka piękna pandemia

*Powinniśmy się jej pozbyć • Pomarańczowa łódź podwodna • Farfalla,  
patronka intensywnych orgazmów • Wielki mistrz • Epidemia  
długowieczności • Siedź cicho, żryj coś przeciwbólowego i wytrzymaj •  
Rekwizyt z najmroczniejszych pornosów • Szatański plan • Nikomu nie  
chodzi o planetę • Podstawa człowieczeństwa • A co zrobisz? Wyrzucisz  
mnie za burzę?*

1

Zawędrowali kiedyś tutaj przez przypadek, po nieoczekiwanej i wyjątkowo brzydkiej śmierci jednej z dziewczynek. Potrzebowali powietrza i przestrzeni, potrzebowali też odosobnienia i korzystając z ich wszystko otwierających kart, weszli na podwyższenie na samym dziobie statku, między anteny, windy łańcuchów kotwicznych i zwoje grubych cum. Panował tu zaskakujący spokój, stalowa burta osłaniała ich od wiatru, a ogromna kłapa, prowadząca do tajemniczych bebeczków jednostki, świetnie się sprawdzała jako ławka. Siedząc na tej ławce, za plecami mieli tnący falę dziób, przed sobą widok na cały pokład, nadbudówkę oraz opadający i unoszący się w rytmie fal horyzont, oddzielający ostrą kreską ciemne wieczorne morze od bladego, bezchmurnego nieba. Nie najgorzej, jak na salę konferencyjną.

– Powinniśmy się jej pozbyć – powiedziała Mireille Hamidou. – Niepotrzebne ryzyko. Nic więcej.

– Pozbyć?

– Wyrzucić za burzę.

– Żartujesz?

– Zbrodnia doskonała. Niewielka cena. Eliminacja ryzyka.

Bogdan Smuga oczywiście rozumiał, że Francuzka ma rację. Jak zawsze, kiedy wygłaszała jakąś opinię, ponieważ wcześniej



poświęciła tyle czasu na myślenie, żeby jej słowa były ostateczne. Jeśli nie miała pewności, siedziała cicho. Poza tym nigdy nie żartowała. Mimo jej nieomyślności nie zawsze się z nią zgadzała.

– Możemy ja po prostu odesłać. Nawet jeśli ją złapią, nawet jeśli będą torturować, co może im powiedzieć? Nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy, widziała kilka laboratoriów, pozostajemy nieuchwytni. Jaki sens ma nasza walka o przyszłość ludzkości, jeśli w imię tej walki będziemy na prawo i lewo rozrzucać zwłoki jej przedstawicieli?

Nie odpowiedziała. Rozumiał ją. Niezależnie od jego wywodów, jej wcześniejsza uwaga pozostawała w mocy. Po co się powtarzać.

– Przyjmijmy ją.

Spojrzała pytająco.

– Nie narodziliśmy się na obcej planecie, Mireille. Wszyscy jesteśmy ludźmi, ze swoimi wadami i zaletami, ze swoimi emocjami. Dołączyliśmy do projektu na różnym jego etapie, z różnych powodów, czasami nie bez wątpliwości. Ona jest badaczką jak my, co z tego, że kultury, a nie natury. Znalazła to, czego nikt z nas przez wiele lat nie potrafił znaleźć. Nie potrzebujemy kogoś takiego? Całego zespołu? Pomyśl o metmorfinie, o penicylinie, jakie jeszcze cudowne substancje skrywa natura? Może antyczne cywilizacje z nich korzystały, może ślady są w pismach, malowidłach i zabytkach.

– *Thule*.

– *Ad Hitlerum* – skontrował.

Milczeli. Wiedział, że emocje nie pozwalają mu myśleć klarownie, wiedział też, że Mireille to wie, i ta świadomość wprawiała go jednocześnie we wstyd i wściekłość. Myślał, że może powinien teraz wstać i włączyć Mireille przerzucić przez burtę. I nie mógł znieść uczucia, że ona wie, że nim targają takie fantazje, ponieważ nieprzewidywalne ludzkie emocje są w gruncie rzeczy szalenie przewidywalne, zwłaszcza dla kogoś rozumującego tak czysto jak Mireille. Szukał argumentów, by ją przekonać, i gotował się z wściekłości, że szuka argumentów, żeby oszukać siebie, ponieważ tok rozumowania jego towarzyszką był jedynie słuszny. Powinien zostawić Zofię na śmierć w Paryżu, a nawet jeśli zabranie jej dało się jeszcze uzasadnić, to fakt, że zaraz potem nie wyrzucił jej za

burtę albo nie władował do pieca, zanim odzyskała przytomność – już nie.

– Fakty mówią za siebie – powiedział. – Błądziliśmy, a teraz namnażamy szczepy, które mamy dzięki niej. A to nie był pierwszy raz, kiedy brakowało nam oddziałów terenowych innych niż czteroocy laboranci. Powinniśmy zaryzykować.

Mireille Hamidou odwróciła wzrok od horyzontu i spojrzała na niego ciemnymi maghrebskimi oczami, które przypominały mu tamte oczy.

– Zła decyzja.

## 2

Zofia Lorentz patrzyła na ten sam horyzont, oparta o wnękę, w której mieściło się zabezpieczone kilkoma zakręcanymi uchwyty okienko jej kajuty, i zastanawiała się, jak uciec z więzienia, otoczonego nie przez kilometry drutów kolczastych, lecz przez setki mil oceanu. Odkręciła uchwyty, otworzyła okno, wlaźła do wnęki i wystawiła na zewnątrz głowę, porośniętą już drobną szczecina, przypominającą kilkudniowy męski zarost. Miało to swoje plusy, podmuch wiatru na pewno by jej włosy władował do oczu, a tak – komfort.

Rozejrzała się.

W dół kilka pięter dzieliło ją od wody, wyglądającej bardzo czarno, bardzo groźnie i bardzo śmiertelnie niebezpiecznie.

W prawo i wyżej widziała wybiegające kilka metrów za krawędź nadbudówki skrzydło mostku, które pozwalało oficerom widzieć dokładnie całą burtę statku, pewnie potrzebowali tego do manewrowania i cumowania. Olga pokazywała jej to miejsce w czasie zwiedzania, smagany wiatrem ażurowy balkonik zawieszony nad oceanem nie wydał się jej miejscem ani bezpiecznym, ani komfortowym.

Po lewej zaczynał się jeden z obiegających nadbudówkę pokładów statku, stała na nim maszyna, której przeznaczenia nawet nie starała się odgadnąć, poziome i pionowe cylindry, liny, uchwyty, drabinki, dźwignie, nie wierzyła, że ktoś się w tym w ogóle

orientuje, to pewnie dekoracja, którą montują na wszystkich statkach marynistyczni scenografowie, żeby wyposażyć je w aureę morskiej magii. Widziała to na jachcie kuzyna, tysiąc lin, milion węzłów, a używa się jednej pętli i dwóch szotów.

Nie mogła porwać tego statku. Nie mogła wyskoczyć za burzę.  
Mogła pójść na kolację.

### 3

Olga Gavrilesco nudziła się śmiertelnie w okrągłą pięćsetną dziennicę swojego pobytu na MV „Vincent”. Jasne, wiedziała, na co się godzi. Jasne, zarabiała w miesiąc tyle, co każdy inny kapitan w pół roku. Jasne, wytrzyma jeszcze pozostające z jej kontraktu sto dni i potem kilka lat będzie pić drinki z parasolką, żeglować pomiędzy śródziemnomorskimi portami, chodzić codziennie do kina i pieprzyć się tak, że w torebce będzie nosić pomadkę, krem do rąk i kojący żel na spuchniętą cipkę. I może nawet dziecko sobie zmajstruje, czemu nie.

Potrafiła się pocieszyć, potrafiła wytłumaczyć sobie niedogodności i zracjonalizować ograniczenia, ale i tak nudziła się śmiertelnie. Słyszała plotki o dziarskich stulatkach w dziale cargo, może by jej pozwolili być tam ochotniczką przez kilka dni. Zakłęła na głos, nie wierząc, że naprawdę o tym myśli.

Święty Andrzeju, patronie Rumunii, i Święta Mario, Gwiazdo Morza, patronko marynarzy, sprawcie, żeby coś się na tej nudnej łajbie wydarzyło, żebyśmy mieli przeciek, żeby się pogoda zepsuła, żeby piraci wrócili, żeby uderzył w nas cyklon, żebyśmy wyłowili rozbitka, żeby kraken nas zaatakował albo żeby chociaż antena radaru przestała działać. Skończyła swoją litanie i spojrzała na krótkofalówkę, czekając na znajomy skrzek i lakoniczne „potrzebujemy pani na mostku”.

Cisza. Nikt jej nie potrzebuje na mostku.

Ale i tak się przejdzie.

Wyszła z kajuty, otworzyła drzwi na klatkę schodową i wzdrygnęła się, gdyż ze schodów prawie na nią spadła nowa łysa

pasażerka, jedna z naukowczyń z działu cargo, blada i z obłędem w oczach, jakby właśnie zobaczyła Latającego Holendra.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Kobieta oddychała z trudem.

– Ja, tak, nie, nie wiem, chyba, po prostu nie mogę oddychać i nie mogę przestać myśleć o tym, że wszędzie jest tylko woda i pod nami jest taka głębia, a ten statek w porównaniu do oceanu jest taki malutki i jeśli coś się stanie, to wszyscy umrzemy, a słyszałam, że śmierć przez utonięcie jest najgorsza z możliwych, i starałam się uspokoić, ale im bardziej się uspokajam, tym bardziej nie mogę oddychać.

– Proszę mi przypomnieć, jak ma pani na imię?

– Zofia.

– Wiesz, Zofio, co jest najlepszym lekarstwem na strach? – powiedziała, myśląc, że przypadek talassofobii to zawsze jakaś rozrywka, na pewno lepsza niż przypadek choroby morskiej. – Wiedza. Chodź, uspokoję cię, że nic nam nie grozi.

Zofia pokiwała głową, ale nie wyglądała na przekonaną, oczy miała cały czas szeroko otwarte, oddychała szybko i płytko.

Olga sięgnęła po krótkofalówkę.

– Trzeci, tu kapitan.

– Słucham.

– Zgaś plotter i radary, będziemy mieli gościa.

Weszła razem z Zofią na najwyższe piętro i wprowadziła ją na mostek. Na zewnątrz zapadła noc, wewnątrz sterowni pogrążone było w ciemności, żeby światło nie utrudniało obserwacji morza. Pachniało świeżą kawą. Rozejrzała się uważnie, czy mimo wygaszonej elektronicznej mapy i radarów nie ma gdzieś miejsca, gdzie Zofia mogłaby odczytać pozycję geograficzną. Zbytek ostrożności, skoro ją tutaj sprowadzili, musiała być we wszystko wtajemniczona nawet bardziej niż ona sama, ale zasady to zasady. Długość i szerokość geograficzna wyświetlała się jeszcze małymi cyferkami na radiu, postanowiła po prostu nie zabierać gościa w tamten kąt.

– Wy tłumaczę ci, dlaczego nic ci nie grozi, dobrze?

Zofia pokiwała głową, ciągle ze strachem w oczach.

– Czy da się zatopić dmuchaną piłkę?

– Trzeba ją przedziurawić.

– Dokładnie. Nasz statek to stalowy potwór, nie da się go przedziurawić. Musielibyśmy uderzyć z pełną prędkością w brzeg. Co nam nie grozi, bo brzeg jest bardzo daleko stąd, a głębokość jest tak duża, że nasza echosonda nie potrafi jej zmierzyć, widzisz? – wskazała na migające zera na wyświetlaczu „depth”.

– Możemy się przewrócić.

– Możemy. Zakładając, że będzie bardzo silny sztorm, właściwie huragan, ogromne fale i jednocześnie zepsuje się silnik. Tymczasem – poruszyła myszką, żeby wybudzić ekran komputera – tutaj mamy prognozę pogody dla całego akwenu na najbliższe kilka dni. Nie ma sztormów, nie ma huraganów, wiatr nie wieje mocniej niż piętnaście węzłów, a fale, jak spojrzysz na te małe cyferki, nie są większe niż trzy metry. Równie dobrze mogłoby ich nie być w ogóle. Nasz silnik jest w doskonałym stanie, a mechanicy, gdyby tylko chcieli, mogliby go zbudować od nowa, nie przestając kartkować swoich pornosów.

Nie do końca mówiła prawdę, faktycznie większość awarii można naprawić na morzu, większość części wymienić, ale jak coś się naprawdę spieprzy, a przecież nigdy nie dzieje się to w piękny słoneczny dzień, może być źle, ale uznała, że prawie cała prawda to też prawda i że jej wykład ma cel terapeutyczny, nie szkoli tutaj nowych kadr.

– A jak wybuchnie pożar?

– Celnie. Pożar to większe niebezpieczeństwo niż sztorm i fale. Dlatego wszędzie są hydranty i gaśnice, a nasz dzielny trzeci oficer – mężczyzna ukłonił się z wdziękiem – bez przerwy musztruje załogę, robi szkolenia i przegląda nasze środki bezpieczeństwa.

– Szalupy?

Roześmiała się.

– Jest dwudziesty pierwszy wiek, szalupy mieli na „Titanicu”. Po tej tragedii zaczęli wszędzie montować jeszcze więcej szalup, co nie miało żadnego sensu, ze statystyk wynika, że w historii marynarki więcej osób zginęło w czasie ćwiczeń z szalupami, niż zostało przez nie uratowanych.

– Słucham? – Zofia zmarszczyła brwi, a Olga Gavrilescu pomyślała, że to dobry znak. Lepsze zmarszczone brwi niż zwierzęce przerażenie.

– Próba spuszczenia szalup na wzburzonym morzu sprawia, że szalupa najpierw wyskakuje w górę, a potem spada, w najlepszym razie łamiąc pasażerom wszystkie kości, w najgorszym roztrzaskując się w drobny mak. Chodźmy na spacer.

Wyszła na skrzydło, otworzyła bramkę na najwyższy pokład, rozciągający się za mostkiem wokół komina, i sprowadziła Zofię dwa pokłady niżej.

– To są tratwy ratunkowe – wskazała ogromne białe cylindry. – Szału nie ma, ale lepsze niż szalupy. Widziałas u siebie w kajucie kapok i kombinezon?

– Taki śmierdzący gumowy strój nurka?

– Nie jest to piękne, ale nie jest to też strój nurka. Pomaga zachować ciepło ciała, utrzymuje na wodzie i ma wbudowany nadajnik, dzięki któremu ofiarę widać na radarze. Jak coś się dzieje, wrzucamy tratwy do wody, one same się nadmuchują, a my wskakujemy...

– Słucham?

– No, to jednak awaryjna ewakuacja. Opowiadam, jak przeżyjemy, jeśli wszystko pójdzie nie tak. Nie prosiłaś, żeby ci opowiedzieć, jak w razie ewakuacji będziemy tańczyć walca i sączyć szampana, a przystojny lokaj będzie zapinał batystowe kamizelki ratunkowe, delikatnie muskając wargami twoje gołe plecy. Mam włączyć ten program?

Zofia roześmiała się.

– Nie, dzięki. Już mi lepiej. Naprawdę dziękuję. Nie musiałaś.

– Ale chciałam. Nudzę się jak cholera. Dobrze, że jutro wchodzimy w cyklon... żartowałam!

– Bardzo śmieszne.

– Bardzo nie, trochę tak. Chodź.

Zaprowadziła ją na samą rufę, za komin „Vincenta”, gdzie na wysięgniku leżał pochylony dziobem w dół pomarańczowy batyskaf z rzędem okrągłych okien na burcie.

– Nazywamy go Lennon – powiedziała – na cześć żółtej łodzi podwodnej.

– Po co nam łódź podwodna?

– Tylko tak wygląda. To łódź ratunkowa, najlepsze co wymyślono w tej kwestii. Jeśli jest naprawdę źle, wchodzimy wszyscy

do środka, zamykamy drzwi, wciskamy guzik i chlup do wody. Lennon ma silnik, zapas wody i paliwa, radio, nadajnik radarowy i satelitarny, obsłuży go nawet przygłupia mała, a jak wszystko szlag trafi, to i tak jest niezatapialny. Trzeba tylko siedzieć, puszczać pawia i czekać na ratunek. Nawet najgorszy sztorm nie trwa wiecznie.

Zachowała dla siebie informację, że łódź ratunkowa pomieści czterdzieści osób, ona miała załogi piętnaście, ochrona pięć, w dziale cargo wedle jej danych pracowało obecnie osiemnaście osób. O liczbie i stanie pacjentów nigdy jej nie informowano, uznając najwidoczniej, że nie muszą być ujęci w procedurach ewakuacyjnych. W jakiej grupie znajdowała się Zofia?

– Lepiej?

– Nie masz pojęcia. – Łysa naukowczynie wyglądała na autentycznie szczęśliwą. – Mogę ci się jakoś odwdzięczyć?

– Możesz się ze mną napić wina i opowiedzieć o dzieciństwie. Rozumiem, że cała reszta jest ściśle tajna.

4

Marcel Kluzka chlubił się tym, że naprawdę trudno go wyprowadzić z równowagi. To dobra cecha u żołnierza. Wśród ludzi mających dostęp do broni i ćwiczących latami, jak najszybciej i najskuteczniej skrócić kark, ceni się spokój i opanowanie. Nawet wobec ludzi, którzy za cel istnienia ustawili sobie irytowanie innych, zachowywał postawę wielkiego, spokojnego psa, który nie szczeka, nie gryzie, nie podskakuje i nawet zębów nie szczyrzy, bo zwyczajnie nie musi nic udowadniać.

A mimo to Ruhsar Varank, nadzorujący wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne działy R&D, wkurwiał go niemiłosiernie. Z powodów religijnych. I bynajmniej nie chodziło o islamofobię, turecki naukowiec mijał się o lata świetlne z islamem, chrześcijaństwem i w ogóle każdą inną normalną religią. Był bowiem ortodoksyjnym pastafarianinem. Nosił zrobioną na szydełku czapkę w formie durszlaka, na ramionach miał wytatuowane wijące się węże spaghetti, w szklanej kulce na szyi nosił kawałek klopsika, który

podobno krwawił co rok w Dzień Tarcia Parmezanu, i pisał pisma do zarządu, że prześladowuje się go za wiarę, nie pozwalając w czwartek wyjść wcześniej na wypominki węglowodanowe. Modlił się publicznie włoskimi przepisami, bijąc pokłony w stronę Bolonii, oraz regularnie zostawiał na wszystkich biurkach nawołujące do nawrócenia święte obrazki z różnymi rodzajami makaronu.

W tym tygodniu była to Farfalla, patronka intensywnych orgazmów, opiekunka łechtaczek i pocieszycielka przedwcześnie dochodzących.

Ruhsar Varank doprowadzał Kluzkę swoim natchnionym pastafarianizmem do szaleństwa i – niestety dla Polaka – doskonale zdawał sobie z tego sprawę. A odkąd dowiedział się, że Kluzka jest nie tylko „polskim katolikiem”, ale naprawdę wierzy w Boga, za punkt honoru postawił sobie doprowadzenie do sytuacji, kiedy stanie się pierwszym męczennikiem pastafarianizmu. Dlatego Kluzka odetchnął kilka razy głęboko, zanim wszedł do sali konferencyjnej „Pasteur” na spotkanie, spodziewając się wszystkiego, nawet tego, że zostanie naukowca gołego, ubranego tylko w ornat uszyty z płatów lazanii.

Nic z tych rzeczy. Ruhsar Varank siedział za stołem z kubkiem termicznym, przeglądając coś na tablecie, czarna koszula grzecznie zasłaniała tatuaże, włosy – bez durszlakowej czapki – zaczesane na bok, wyglądał jak turecki milenials starający się o pracę w call center, a nie jak natchniony misjonarz Latającego Potwora.

– W porządku? – zapytał Kluzka, siadając.

– W porządku. A u pana?

– Jasne. Dobre wieści?

– W większość nie.

– Słucham.

Varank odłożył tablet.

– Powiem szczerze, że nie podobał mi się pomysł z odcięciem finansowania. Bałem się krzyków, protestów, publicznego prania brudów. Wiem, że na potrzeby PR mamy armie trolli, przygotowane kampanie w social mediach, prawników, *slapp suity* i tak dalej, ale gdyby doszło do globalnej kompromitacji, coż, bez współpracy ze światem nauki jesteśmy sprzedawcami wężowej maści, aż tyle i tylko tyle.



– Ale krzyków nie ma.

– Nie ma, ponieważ nasz plan finansowego zaduszenia nie wypalił. We wszystkich labach, gdzie nie byliśmy jedynym sponsorem, na nasze miejsce natychmiast wchodzi tajemniczy fundusz inwestycyjny, daje tyle samo, ile my zabraliśmy, i dokłada drugie tyle.

Takiej informacji się nie spodziewał. Miał na końcu języka uwagę, że to wspaniałe wiadomości dla świata nauki i dla ludzkości w ogóle, ale zachował ją dla siebie. Spotkał już w tej firmie ludzi, którzy wierzyli w korporację mocniej i zajadlej niż on w Jedyne Stwórcę. Wątpił, żeby Turek do nich należał, ale po co ryzykować starcie z szalonym korpokrzyżowcem.

– Fundusz?

– O nazwie „Sto dwadzieścia”. Myślę, że potrzeba pana i pańskich ludzi, żeby dowiedzieć się, czyje to pieniądze. Ja mogę powiedzieć, że to pieniądze ogromne i wydawane lekką ręką. Nie muszę dodawać, że jajogłowi są na nas wściekli jak osy, a nowego pana noszą na rękach. Nowy pan zapewnia sobie oczywiście prawo majątkowego korzystania z wyników prac, ale nie każe podpisywać NDA, nie cenzuruje badań, nie wytycza kierunków. Jedynymi zapisami w umowie jest wymóg działania zgodnie z zasadami etyki dla rozwoju wiedzy medycznej oraz wymóg publicznego udostępniania wszelkich danych wytworzonych w czasie korzystania z finansowania. Chwilowo nie sędzę, żebyśmy mogli odzyskać wpływy w tych instytutach.

Kluzka zamyślił się. Tak, to nie były dobre wiadomości. Ale też niekoniecznie złe. Świat nauki może się wściekć, ale świat nauki to tylko zbiór ludzi z ich długami, uzależnieniami i kochankami. Którzy dowiedzieli się, że ktoś daje dużą kasę za informację. To już nawet nie kwestia ceny, tylko kwestia czasu.

– Mówił pan, że wieści w większości są złe. Chętnie posłucham o tej mniejszości.

– Tak. Mieliśmy też kilka laboratoriów, teoretycznie niezależnych, ale tylko na papierze, w rzeczywistości należą do nas, finansujemy je w stu procentach i kontrolujemy słupy, będąc właścicielami. Tych nikt nie uratuje. W placówce cukrzycowej w Céret oznaczałoby to pół setki osób wyrzuconych na bruk. Działamy tam pięćdziesiąt

lat, ludzie się zadomowili, sprowadzili z rodzinami, trzecie pokolenie rośnie. Mają nóż na gardle.

– Céret. Coś mi to mówi.

– Pireneje? Picasso? Ceramika?

Kliknęło. Roześmiał się. Kolejny dowód, że Bóg ma poczucie humoru.

– Pojadę tam. Bardzo dziękuję za informację.

– Jest jeszcze coś.

– Słucham – odpowiedział automatycznie, zbyt późno dostrzegając błysk w ciemnych oczach Turka.

– Odkąd w Ikei pojawiły się wegańskie klopsiki, niektórzy z naszych wiernych przygotowują z nich tradycyjną sobotnią wieczerzę. Wysłaliśmy do Szwecji krucjatę dziecięcą, wszystkie biedactwa nie starsze niż dziesięć lat, wierząc, że tylko niewinne istoty, które nigdy nie tkną w żadnym daniu czegoś zielonego, swoją czystością i odpornością na warzywa zapobiegną schizmie. Ale niestety. Demon wegaństwa podsunął im falafela, przekonując, że to tylko takie kotleciki. Część z nich – Ruhsar z trudem powstrzymał płacz – niestety uległa.

Kluzka zapatrzył się w okno, powtarzając sobie w myślach: nie reaguj, nie komentuj, nie waż się nawet drgnąć.

– Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy zastosować wobec nich próbę kalorii. Kto umrze po zjedzeniu stu klopsików, tego Potwór w swojej miłości wezwał do siebie, czysty jest i niewinny. Kto zwymiotuje, ten ma w sobie Złego. I jedynym wyjściem...

Wstał.

– Dziękuję, panie Varank.

Turek chwycił go za rękę.

– Marcel, nie wolno ci uciekać przed przeznaczeniem. Ja wiem, co po polsku znaczy twoje nazwisko. I ty to wiesz. Błagam, Marcel, poprowadź nas ku węglowodanowemu zbawieniu.

Ucieszył się, kiedy rano poprosiła go o wspólny spacer po pokładzie. Wyraźnie odzyskała siły, porośnięta jasną szczeciną czaszka, zamiast

szpecić, podniosła jej zadziorny urok o kilka potęg, i Bogdan Smuga z trudem ukrywał banalną reakcję na sensoryczne bodźce, które powodowały zalewanie jego mózgu dopaminą i oksytocyną. Nie, nie rozrywały go ciemne namiętności, nie fantazjował idiotycznie o uwiedzeniu jej, wszystko tutaj zostało nazwane i ustalone, ale świadomość, że będzie mógł po prostu być obok, rozlewała się po nim przyjemną, ciepłą falą.

A potem Zofia go zaskoczyła.

Stali w słońcu, oparci o reling, patrząc na spokojne morze, kiedy położyła dłoń na jego dłoni, wszystkie wspomnienia nagle wróciły, w uderzający sposób bardziej wyraźne i przejmujące niż wydarzenia, które przywoływały.

– Bogdan, czy ty jesteś szefem tego przedsięwzięcia?

– To naukowy kolektyw...

– Tak czy nie?

Nie widział powodu, żeby kłamać w tej sprawie.

– Ktoś musi podejmować decyzje. Ale to nie dyktatura, jesteśmy zorganizowani na kształt stowarzyszenia. Jestem ja, jest kilkuosobowa grupa zarządzająca, ale najwięcej władzy ma kolektyw.

– Wielki mistrz.

– Ha, ha.

– Chciałabym złożyć podanie o pracę.

Spojrzał zaskoczony. Ktoś z nią o tym rozmawiał? Niemożliwe. O swoim pomysle rozmawiał tylko z Mireille.

– Nie patrz tak, nie proszę, żebyś mi oddał nerkę, tylko żebyś rozpatrzył współpracę zawodową. Im więcej słucham o tym, co robicie, im więcej się dowiaduję, tym bardziej, przepraszam, że to, co powiem, zabrzmie pretensjonalnie, ale tym bardziej czuję, jakbym w końcu weszła do kościoła, w którym głoszą coś, co ma sens. Wiem, z waszego punktu widzenia marnuję surowce, bo nie potrafię opisać świata równaniami, ale ja też czuję się częścią nauki. Wierzę w obiektywną wiedzę, poszukiwania, zadawanie pytań, spory, obalanie starych teorii dzięki nowym faktom, uczestniczenie w wielkiej przygodzie ludzkości. A ta cała afera pokazała, że potrzebujecie ludzi, którzy potrafią nawigować w dziedzictwie kulturowym. Teraz to był Czerny i Sachalin, ale ile jeszcze jest

takich miśków na alzheimera? Nie wiem, głośno myślę, może to bzdura, ale fajnie robić coś, co ma sens, a chwilowo i tak jestem bezrobotna.

Chciał ją uściskać, ucałować, krzyknąć: „mówisz moimi myślami!”, ale uznał, że to byłoby głupie i egzaltowane. Stał bez ruchu i patrzył w morze, uspokajając się i próbując zepchnąć głębiej tego Smugę, którego wcześniej nie znał, a który tańczył z radości, wyobrażając sobie, że Zofia Lorentz zostaje jego koleżanką z pracy.

– Masz rację – powiedział w końcu. – Nowożytną naukę możemy porównać do epoki wielkich odkryć geograficznych. Tak samo jak Kolumb i Cook niczego nie odkryli, co najwyżej najechali, tak samo my wydarliśmy naturze kilka tajemnic i uwierzyliśmy, że to nasza zasługa. Dopiero teraz myślimy o tym, że ci, którzy przed epoką oświecenia żyli w zgodzie z naturą dziesiątki tysięcy lat, musieli się od niej nauczyć więcej. Gdzieś muszą być tego ślady.

– Sztuka. Mity. Miejsca pochówku. Każdy koralik przeanalizowany setki razy pod kątem rozwoju kultury.

– I mało który pod kątem wiedzy medycznej, wiem, myślałem o tym nie raz.

– Dlatego potrzebny wam dział kulturalno-antropologiczny.

– Rozumiem, że masz też powody osobiste.

Zabrała dłoń.

– Czy pomyślałam o tym, że fajnie byłoby siedzieć w kantynie żyrolabu, kiedy Lana powie: „hej, nie uwierzysz, kurwa, przypadkiem mamy substancję, która leczy chorych z zaburzeniami pamięci”. Pomyślałam. Ale myślę, że wiele osób ma tutaj inne motywacje niż akademicka chęć rozwoju nauki i ratowania ludzkości. Odkąd pierwszy raz dowiedziałam się, z jakim żarem walczysz o długowieczność, cały czas myślę, kogo straciłeś. Kto ci umarł, Bogdanie, że stało się to dla ciebie takie ważne?

– Każdemu ktoś umarł – odparł. – Tak bywa w świecie organizmów wielokomórkowych, nie czyni to żadnego z tych organizmów wyjątkowym i nie powinno być dla żadnego motywacją.

Kolejne kłamstwo. Czy ktoś, kto z taką łatwością kłamie, może szukać prawdy w innych dziedzinach? Czy to go w jakiś sposób nie dyskwalifikuje?

– Poza tym szukam pracy w młodym, dynamicznym zespole, gwarantującym rozwój i możliwości samodoskonalenia – wyrecytowała tonem egzaltowanej stażystki, na co oboje wybuchnęli śmiechem.

– A tak w ogóle, czy mogłabym zobaczyć, co się dzieje z misiem Czerskiego? Obiecuję, że nie będę komentować, jak potraktowaliście ten wyjątkowy zabytek kultury, którego miejsce jest w muzeum.

W służbie sanitarnej, oddzielającej poziom pierwszy od reszty żyrolabu, pomagał założyć Zofii kombinezon ochronny. Patrzył na małą bliznę z tyłu czaszki, gdzie nie odrastały jej włosy, być może pamiątkę po szaleństwach z dzieciństwa, i zastanawiał się, czy to naprawdę ma sens. Mireille, Yasutomi, Lana, Andrij, którego miał za chwilę przedstawić Zofii, cała reszta zespołu trafiła tutaj na różnym etapie i z różnych powodów, a mimo to cały „Vincent” działał jak dobrze naoliwiona maszyna. Nie tyle jak korporacja, w której niepewnym spoiwem lojalności są pieniądze, co jak – nie lubił tego porównania, ale ono najlepiej oddawało istotę rzeczy – kościół, w którym wiara wyznacza wspólny cel. Czy Zofia do niego pasuje?

Nie wiedział. I nie miał żadnej możliwości sprawdzenia.

Przeszli procedurę odkażającą i weszli na korytarz.

– Wszystko okej? – zapytał.

– Tak, to nawet wygodniejsze, niż myślałam. Bardzo lekkie.

– Musi być, niektórzy w tym siedzą po wiele godzin dziennie.

Otworzył drzwi do pracowni mikrobiologicznej, w której zespół Andrija nie zajmował się teraz niczym poza wydobywanymi z ajnuskiego totemu bakteriami. Po powitaniach zaprowadził ją do czegoś w rodzaju akwarium, w którym umieszczono pokrojonego na mniejsze kawałki miśka. Dzięki temu zabiegowi można było podziwiać jego wnętrze w wielu odcieniach zielonego i niebieskiego, przede wszystkim jednak nie był już niedźwiedziem, tylko kupką mineralnego gruzu.

– Naprawdę miał w środku bakterie? – zapytała.

– Cały koktajl – odpowiedział Andrij. Niski i drobny Ukrainiec zdawał się cierpieć na ADHD, chodził i podrygiwał, strzelał na boki oczami, jakby miał ochotę gdzieś uciec, poza tym bez przerwy w szybkim tempie obracał w dłoni małą kostkę Rubika. – Najpierw

daliśmy wszystkim do jedzenia pyszne cukierki, żeby się namnożyły, a teraz jesteśmy już na etapie, że z tej słodkiej zupy oddzieliliśmy poszczególne szczepy i namnażamy je oddzielnie. Muszę mieć każdej ślicznotki duże pudełko, dopiero wtedy będę spokojny. To wrażliwy materiał biologiczny, a nasze laboratorium jest jedynym miejscem na świecie, w którym istnieje. Czuję się jak opiekun ostatniej żyjącej pandy.

Zofia z zainteresowaniem nachylała się nad stacjami roboczymi. W środku stały szalki Petriego, do każdej prowadziły gumowe rękawice umożliwiające pracę oraz końcówki mikroskopów.

– I właściwie, jak sprawdzicie, czy to coś działa?

– Czas przyszły dokonany niestety nie nadaje się do opisu naszej pracy. Jak będziemy sprawdzali? Najpierw bakterie po kolei będziemy wstrzykiwali szczurom z demencją. Jeśli któraś sprawi, że liczba blaszek amyloidowych przestanie rosnać lub nawet zacznie spadać, zajmiemy się tym maleństwem. I, znów przyszły niedokonany, będziemy sprawdzać, jakie białko lub jaki aminokwas produkowany przez bakterię ma takie działanie. I zaczniemy badać, jakie ma dodatkowe skutki, ponieważ nie ma substancji wywołującej tylko jeden skutek. Jak w samochodzie, nie da się jechać szybciej, spalając mniej paliwa i bardziej oszczędzając zawieszenie. – Zatrzymał się na chwilę, sprawdzając, czy kostka jest prawidłowo ułożona. Była. Szybko ją pomieszał i wrócił do jednoczesnego wykładania, gestykulowania i układania kostki. – A kiedy sprawdzimy u szczurów i psów, czy można zwalczyć alzheimera, nie wywołując przy okazji raka wątroby, zaczniemy testy na ludziach, które w trzech etapach zajmą kilka lat, a jednocześnie będziemy pracować nad sztucznym zsyntetyzowaniem molekuly, co umożliwi masową produkcję, bardzo dziękujemy pani za dostarczenie nam zajęcia na trzy zmiany na najbliższe kilka lat.

– A jednak wygląda pan na szczęśliwego.

– Pozory. Ostatnio mi się śniło, że pływam w basenie, niby nic dziwnego, gdyby nie to, że miałem na sobie kombinezon, mój mózg już nawet nie fantazjuje o tym, że mógłbym funkcjonować bez niego.

– I co? I potem nagle we wszystkich aptekach będzie dostępna pigułka na długowieczność?

Milczenie Andrija sugerowało, że to on ma zdecydować, czy zdradzić tę informację. Zawahał się, ale uznał, że po pierwsze jest szansa, że Zofia zostanie jedną z nich, a po drugie ciągle jeszcze poruszają się po bezpiecznym terenie. Skinął przyzwalająco głową.

- Mamy lepszy pomysł.
- Pigułka dostępna na stacjach benzynowych?
- Jeszcze lepszy.
- Dołączana za darmo do każdej butelki coca-coli?
- Pandemia.

Zofia spojrzała na niego zza szybki kombinezonu z niemą prośbą o interwencję, jeśli właśnie pada obiektem naukowych kpin.

– Andrij nie żartuje – powiedział. – Nośnikiem cudownego aminokwasu, o ile go znajdziemy, jest bakteria, co daje nam dość duże możliwości. Możemy wyodrębnić sekwencję genów, odpowiedzialnych za kodowanie naszej „molekuły sto dwadzieścia” i wpisać ją w inną bakterię, której nie trzeba zjadać, tylko która przenosi się z człowieka na człowieka drogą kropelkową. Wtedy wystarczy, że ktoś z nas pojedzie na Heathrow i psiknie kilka razy w powietrze, a ludzkość w swojej histerii nieustającego przemieszczania się i kontaktowania ze sobą zrobi resztę.

– Z naszych symulacji wynika, że po roku tylko najbardziej odporne na cywilizację inuickie wioski nie będą zarażone. Ale oni akurat i tak są dość krzepcy, więc pewnie tego nie zauważą.

Czarne oczy patrzyły czujnie spod maski to na Andrieja, to na Smugę, w oczekiwaniu, aż któryś z nich powie: „mamy cię! ale się nabrałaś!”.

– Chcecie wywołać pandemię długowieczności?  
– To najbardziej sprawiedliwy sposób – stwierdził Smuga. – Docieramy do wszystkich, którzy oddychają. Nie ma barier lekarza, apteki, ceny leku, nie ma kosztów produkcji tabletek. Poza tym każdą sztucznie produkowaną substancję trzeba by było brać przez całe życie, żeby nie dopuścić do rozwoju demencji. Czyli znowu bariera, lekarze, apteki i tak dalej. Tymczasem raz przyjęta bakteria mości się w naszym mikrobiomie, namnaża i sama dba o naszą długowieczność.

– A jeśli się okaże, że coś jest nie tak? Tabletki można po prostu przestać brać.

Andrij wzruszył ramionami.

– Po pierwsze nasze testy, od szczurów przez pierwsze podanie do trzeciej fazy klinicznej, spełniają takie standardy, że ta cała hucpa finansowana przez koncerny farmaceutyczne na rumuńskiej prowincji wygląda jak mieszanie krwi miesięcznej w piwnicach alchemicznych. Poza tym nie jesteśmy idiotami, nasz nosiciel będzie miał wbudowany bezpiecznik w postaci wrażliwości na jakiś popularny, powszechnie dostępny, generyczny antybiotyk.

– Jasne, wystarczy pokonać barierę lekarza, apteki i ceny leku, żeby go zdobyć. Mieszkańcy zairskich wiosek będą zachwyceni, jak się okaże, że w pakiecie z długowiecznością, o którą nie prosili, dostali dożywotnią sraczkę. Dożywotnią do sto dwudziestego roku życia.

Celnie, pomyślał Smuga. I zrozumiał, że Mireille miała rację. Zofia Lorentz ze swoim humanizmem, widzącym istotę najwyższą w każdym cierpiącym na sraczkę mieszkańcu zairskiej wioski, nigdy ich nie zrozumie. Nawet jeśli intelektualnie pojmie, że humanizm jest religią gorszą od wszelkich form monoteistycznych zbrodniczych systemów, ponieważ w jego założenia ideowe wpisane jest samobójstwo całego gatunku, to emocjonalnie nigdy tego nie zaakceptuje. A przez to stanowi zagrożenie.

## 6

Od napięcia bolały ją mięśnie, od kłamstw neurony, a po sztucznych uśmiechach, którymi uraczyła Smugę i Andrija, będzie potrzebowała chirurga, żeby doprowadzić mięśnie mimiczne do stanu używalności. Ale wizyta przyniosła jeden nieoczekiwany rezultat. Mężczyźni byli tak zajęci robieniem wrażenia na bohaterce Lorentz, która zdobyła ich upragnioną molekułę, że w końcu ich czujność osłabła. Pozwolili jej łązić po laboratorium i zadawać niedorzeczne pytania, żeby potem móc dobrotliwym, protekcyjnym tonem wyjaśnić jej wszystko, czy tego chciała, czy nie. I dobry Bóg postanowił wynagrodzić jej cierpienia, pozwalając buchnąć z jednego z biurk kartę dostępu.



Po wyjściu od Andrija miała nadzieję, że Smuga pokaże jej resztę „zakazanego poziomu”, ale zbył ją bajeczką o tym, że reszta to głównie magazyny odczynników. Ciekawe, bo żadnych „dziewczynek” nie spotkała, a wręcz przeciwnie, ekipa Andrija składała się w stu procentach z mężczyzn.

Już po wyjściu odłączyła się od swojego przewodnika – a raczej strażnika – i pod pretekstem skorzystania z ekspresu do kawy została w kantynie żyrolabu. Piła teraz cappuccino i zastanawiała się, co robić dalej. Karta mogła oczywiście być starym kawałkiem plastiku. Mogła też właśnie zostać zdekodowana jako zagubiona. Mogła umożliwić dostęp wyłącznie do laboratorium Andrija, a powrót tam nie miał żadnego sensu. Cóż, możliwości sprawdzenia nie było wiele, raptem jedna.

Dopiła kawę i pewnym krokiem zeszła ogólnodostępną klatką schodową na trzeci poziom.

Chwila prawdy.

Przyłożyła kartę do czytnika, dioda mrugnęła zielono i wpuściła ją do służby z kombinezonami. Założyła jeden, przeszła dekontaminację i znalazła się znowu w mlecznym korytarzu, tak futurystycznym, jakby zza rogu mieli lada moment wypaść szturmowcy Imperium. Westchnęła ze smutkiem, myśląc, jak bardzo jej brakuje Karola i jak strasznie tęskni, skoro nawet zaczyna myśleć jego irytującymi popkulturowymi skojarzeniami.

Trzy pary drzwi po lewej, dwie po prawej, jedno na drugim końcu korytarza. Plus toaleta. Drugie po lewej prowadziły do Andrija.

Hmm.

Zaczęła od drzwi na końcu korytarza. Dwuskrzydłowe, bardziej robocze, zwyczajne, mniej futurystyczne niż pozostałe. Spodziewała się, że jest do nich przymocowany „gąsienicowy korytarz”. Ale nie, za drzwiami znajdowała się winda z grubej siatki, w rodzaju tych, które widuje się na budowach. Przez ażurową podłogę widziała stalowe wręgi kadłuba i rozłożone między nimi chodniki. Okej, najwyraźniej tędy dostarczano do żyrolabu zaopatrzenie z ładowni i wywożono śmieci. Także te biologiczne.

Wróciła na korytarz. Postanowiła spróbować szczęścia z drzwiami znajdującymi się po przeciwnej stronie niż pokruszony misiek i jego opiekunowie.

Przyłożyła kartę do zamka pierwszych drzwi. Mrugnęło na zielono.

Znalazła się w nowoczesnym, ale dość standardowym gabinecie ginekologicznym. Biurko, szafa, leżanka, dwa fotele, aparat do USG, całą jedną ścianę zajmowało urządzenie wielkości monstrualnej amerykańskiej lodówki, do której można załadować krowę i nawet nie trzeba jej za bardzo zginać nóg w kolanach. Żadna dziewczynka nie czekała w gabinecie na wizytę, ale przynajmniej byłaby tutaj na miejscu, zawsze progres.

Wróciła na korytarz, weszła w drugie drzwi po tej stronie korytarza.

I zobaczyła dziewczynki.

One jej nie widziały, z korytarza wchodziło się do niewielkiej zaciemnionej sali z prostokątną szybą, wyobrażała sobie, że tak wyglądają pomieszczenia na komisariatach, z których można podglądać przez weneckie lustro pokoje przesłuchań. Za szkłem nie zobaczyła jednak stołu z kajdankami i dwóch krzeseł, lecz dużą, komfortowo urządzoną salę szpitalną z czterema łóżkami. Cztery lokatorki tejże sali, ani chybi „dziewczynki”, siedziały na podłodze i najwyraźniej świetnie się bawiły, grając... – Zofia przez chwilę obserwowała ich poczynania – w kalambury.

Ruda dziewczynka, najstarsza, około czterdziestki, pokazywał rebus. Najpierw odgarniała zalotnie włosy, potem naśladowała gest kierowania samochodem, a w końcu wchodziła na łóżko, zeskakiwała na ziemię i leżała nieruchomo z wywieszonym językiem.

– Proste – powiedziała do siebie szeptem Zofia. – *Thelma i Louise*.

Pozostałe trzy dziewczynki, młodsze, między dwudziestką i trzydziestką, najwyraźniej nie znały tego dzieła kinematografii, bo na zmianę wzruszały ramionami i wykrzykiwały jakieś słowa, bez wątpienia nietrafione, ponieważ ruda denerwowała się, machała rękami i jeszcze raz wykonywała tę samą pantomimę. Bez sensu, skoro nie przynosiła rezultatów.

Nacisnęła klamkę drzwi obok lustra i weszła do sali.

– *Thelma i Louise* – powiedziała po angielsku. – Nie mogę patrzeć, jak się męczycie.

– No wreszcie! – krzyknęła ruda. – Wreszcie ktoś, kto nie skończył kulturalnej edukacji na *Teorii wielkiego podrywu*. Kim jesteś, zamaskowana geniuszko?

– Zofia Lorentz – przedstawiła się.

Spojrzały tak zaskoczone, jakby oznajmiła, że przyszła, aby nauczyć je śpiewać hymn Polski.

– Ty zdobyłaś substancję!

Przytaknęła.

– Boże, jesteś bohaterką, wszyscy mówią tylko o tobie. Zostajesz tutaj?

– Drogie panie, poznajcie kierowniczkę i jedyną pracownicę specjalnego oddziału do spraw odzyskiwania substancji biologicznych.

Ile miała czasu, zanim ktoś się zorientuje, że tu jest? Ile, zanim wtargną, wyciągną ją za kombinezon ochronny i wyrzucą za burtę? Pociła się jak mysz, ale musiała się w końcu dowiedzieć, o co tu chodzi.

– I jeszcze możesz tu przychodzić, doskonale. Jesteś bezpłodna?

– Mam córkę i wystarczy – odpowiedziała, żeby powiedzieć cokolwiek i nie pokazać zaskoczenia.

– To zupełnie jak ja – powiedziała jedna z młodszych, wytatuowana i pulchna Australijka, sądząc po akcencie. Machnęła ręką w kierunku rudej. – Trish ma trójkę dzieci i też więcej nie planuje, a te dwie ekodziry uznały, że rozmnażanie to zamach na planetę.

– Nie „uznały” – obruszyła się drobna blondynka o chłopięcej figurze, najmłodsza ze wszystkich – tylko stwierdziły naukowy fakt. Zrezygnuj z samochodu, dwie tony dwutlenku węgla rocznie mniej. Zrezygnuj z mięsa, tona mniej. Zrezygnuj z dziecka, sześćdziesiąt ton mniej. Proste? Proste. Nawet jeśli wychowasz ekologicznie wyedukowanego, miłującego planetę obywatela, używającego tylko energooszczędnych żarówek, to w ciągu swojego życia wypuści on do atmosfery cztery tysiące ton CO<sub>2</sub>. Bez sensu.

Spojrzały na nią, więc musiała zareagować.

– Moja córka nie je mięsa – powiedziała, zabrzmiało to jak żalosne usprawiedliwienie. Na dodatek nie była to prawda.

– Co za ulga! – krzyknęła z emfazą blondynka. – Świat jest uratowany!

Wszystkie wybuchnęły śmiechem i Zofia pomyślała, że albo ta głupawka jest spowodowana odosobnieniem, albo jadą na lekach, które mają im poprawić nastrój. Albo mają gdzieś skitrane zioło, i tak by nie wyczuła przez filtry kombinezonu.

– Nie no, Zofia, żartujemy. Niech twoja mała żyje szczęśliwie jak najdłużej, skoro już się urodziła.

– Sto dwadzieścia lat – powiedziała, co wszystkie zgodnie uznały za żart wart kolejnego wybuchu śmiechu.

– Ale tak na poważnie – zwróciła się do niej Trish – to dziękujemy za to, co zrobiłaś. Sama wiesz, ile to może znaczyć dla wszystkich.

– A dla nas może oznaczać koniec skrobanek – westchnęła Australijka. – Serio, jeszcze jedna aborcja i chyba się nawrócę na katolicyzm, żeby z tym skończyć.

I wybuch śmiechu. Śmiała się bardziej histerycznie od innych, żeby nie zauważyły, że szłocha z przerażenia. Ponieważ nagle wszystkie informacje wskoczyły na miejsce.

Karol, mój Boże, Karol, czemu cię nie było, żeby powiedzieć mi, jaka jestem głupia.

Francuski Instytut Badań nad Cukrzycą zarówno nazwą, jak i swoim logo dawał do zrozumienia, że jest dystyngowaną narodową placówką, finansowaną przez rząd, uczelnię albo ministerstwo zdrowia. W rzeczywistości firma utrzymywała klinikę tylko dlatego, żeby móc pisać w informacjach dla prasy i reklamach, że „jak twierdzi dyrektor FIBC...” oraz „badania FIBC bez wątpienia potwierdziły...”. Stwierdzenia przekładające się na setki milionów zysków warte były kilku milionów w kosztach utrzymania. Mimo że szyld i akronim stanowiły główny powód istnienia Instytutu, w ośrodku faktycznie prowadzono badania nad insulinoodpornością oraz wszystkie trzy fazy badań klinicznych nad nowymi substancjami. Taka placówka w cywilizowanym świecie stanowiła rzadkość, już dawno wszystkie liczące się firmy oddały testy

w outsourcing, płacąc ułamek tego, co musiałyby wydać same i na wszelki wypadek nie zadając żadnych pytań o miejsce prowadzenia badań, honoraria i prawa człowieka.

Placówka w Céret, zmuszona do działalności w cywilizowanym świecie, skorzystała przynajmniej z prawa do swobodnego przepływu ludzi w Unii Europejskiej, rekrutując ochotników spośród Polaków, Rumunów i Bułgarów, którzy zostali bez zajęcia po winobranii, a że byli zbyt głupi lub zbyt leniwi, żeby liczyć na zatrudnienie w budowlance, nadawali się świetnie na króliki doświadczalne.

Marcel Kluzka siedział w instytutowej stołówce nad całkiem przyzwoitym cassoulet i jednym uchem słuchał płacznego monologu dyrektora, a drugim łowił fragmenty prowadzonej po polsku rozmowy trzy stoliki dalej.

– ...a poza tym pięćdziesiąt lat tradycji! Nawet jeśli ludzie znajdą pracę, nawet jeśli badania będą kontynuowane gdzie indziej, to raz utracona marka zostanie utracona bezpowrotnie...

– ...napierdała tylko trochę, ale sikam, kurwa, krwią, jakbym codziennie barszcz wpierdała...

– ...wiele testów trzeba będzie zaczynać od początku, nawet tych w fazie trzeciej, to przecież za chwilę może wejść na rynek...

– ...ochujałeś? Debil z Hajnówki się przyznał, że zemdłał, i zaraz skończyli testy, jego wypierdolili i trzysta jewro tygodniowo fruuiu, poszło się kochać...

– ...samo przekazywanie innym ośrodkom aktualnego stanu zaawansowania wszystkich projektów, tak szczerze, to nawet nie wiem, czy jest w ogóle możliwe...

– ...ten wydziarany Słowak mnie nauczył, on co roku przyjeżdża, że dopóki ci, kurwa, chuj nie gnije, to siedź cicho, żryj coś przeciwbólowego i wytrzymaj. Inna sprawa, że to niezły twardziel, przy mnie butelkę tabasco opierdolił na raz jak pięćdziesiątkę, jebaniutki...

– ...a jeśli nie przemawiają do was argumenty naukowe, nie przemawiają socjalne, to może chociaż jako przedstawiciele gatunku *homo sapiens* zrozumiecie, że robimy tu coś, co ratuje ludzkość. Cukrzyca to nie jest jakaś choroba, jakaś dolegliwość, to śmiertelna epidemia, a my jesteśmy tamą, która ją powstrzymuje. Zburzenie tej

tamy, to jest, nawet nie wiem, jak to nazwać, to jest akt terroryzmu. Jesteście terrorystami!

Ruhsar Varank skończył jeść spaghetti z owocami morza, zostawiając na talerzu jedną długą kluskę, ułożoną w kształt serca.

– Ramen – powiedział, skłonił się z namaszczeniem, ucałował kluskę i dopiero wtedy odsunął talerz.

Kluzka nawet nie mrugnął, za to dyrektor, typ „podmiejski Francuz po pięćdziesiątce z brzuchalem i czerwonym nosem” patrzył na Turka jak na wariata.

– Nawet jeżeli jesteśmy terrorystami – zaczął Varank bez cienia emocji w głosie – to jesteśmy też pańskimi szefami. Ba, pańskimi właścicielami. Możemy was zamknąć za pół roku. Możemy za tydzień. A możemy w nocy zmienić zamki, wyrzucić wszystkich dyscyplinarnie i wzruszyć ramionami. Może potem przegramy z kimś w sądzie pracy i zapłacimy odszkodowanie w wysokości jednego służbowego obiadu pani prezes. A może dla jaj odtajnimy wszystkie papiery o nieudanych testach, o ściemach, o udowadnianiu na siłę przydatności nowych gorszych leków tylko dlatego, że na stare kończą się patenty. Wyrazimy zdumienie, że tak nadużyto zaufania firmy. Nie starczy w całej Langwedocji gumek, jak się rzucicie do wygumkowywania waszych życiorysów.

– Dlaczego? – Już nie tylko nochal dyrektora był czerwony, Kluzka miał ochotę odsunąć się na wypadek, gdyby naczynka krwionośne grubasa nagle eksplodowały, ale grał swoją rolę, leniwie grzebiąc w cassoulet. Jak zwykle w przypadku tej potrawy, najadł się trzema łyżkami. Dla kogo oni to w ogóle wymyślili? Robotników układających zimą drogi w Pirenejach? Kto, na Boga, potrzebuje takiej dawki kalorii upchniętej w jednej misce?

– Albo – tłumaczył dalej Varank, kompletnie nie reagując na dyrektora – możemy jutro wypić kawę, pożegnać się z panem serdecznie i wyjechać do Paryża, dokładając każdemu dwadzieścia procent do podstawy pensji i dwa miliony rocznie na badania. A może pięć? W sumie zależy to wyłącznie od nastroju, w jakim się obudzę. Mało tego, będziemy dalej utrzymywać tę placówkę, udającą, że lata sześćdziesiąte nigdy się nie skończyły i że normalny jest zakład pracy ze stołówką à la carte, przedszkolem, klubem

fitness i biblioteką, w której organizowane są spotkania autorskie. Kogo gościliście ostatnio?

– Oliviera Noreka, były policjant, wyjątkowo zajmujące... – dyrektor zamknął się, spostrzegając zbyt późno, że pytanie było aż nadto retoryczne.

– À propos stołówki, to muszę przyznać, że doskonały ten cassoulet – wtrącił się Kluzka. – Naprawdę macie szczęście. Świetne jedzenie, świeże powietrze, wokół góry, nad Morze Śródziemne rzut beretem, do Barcelony można wyskoczyć na kolację. Życie w bajce. I możecie sobie tak wszyscy żyć do emerytury. Ile tutaj osób pracuje? Mówię o personelu, nie o tych rzygających krwią bohaterskich ochotnikach.

– Pięćdziesiąt sześć.

– Pięćdziesiąt sześć – powtórzył z namysłem, jakby chodziło o liczbę z kabały, za którą kryje się wszechświat znaczeń. – Pół setki naukowców, zajmujących się dokładnie tym, czym tamta sekta. Działających w tej samej branży. To muszą być ich koledzy. Widywali się z nimi na sympozjach, pili wino, romansowali, wychodzili za żonę, rozwodzili się, plotkowali. Może jedni próbowali przekabacić drugich, a może odwrotnie. Tak czy owak, któraś z tych pięćdziesięciu sześciu osób musi wiedzieć.

– Wiedzieć co? – nieomalże wyjęczał dyrektor.

– Gdzie oni są.

Szef placówki spojrzął za okno, na służbowym parkingu nadmuchiwno właśnie zamek-zjeżdżalnię, pewnie szykowano festyn na Trzech Króli. Wszyscy przyjadą z dziećmi, będą jedli *gâteau des rois* i oszukiwali, żeby to maluchy znajdowały ukryte w cieście figurki. Dobra, dbająca o pracowników firma. Kto wie, może nawet ktoś zanieśie resztki ciasta bohaterskim ochotnikom.

– A gdybym panom powiedział, że wbrew pozorom to właśnie ta sekta...

– Nie słuchalibyśmy – wpadł mu w słowo Kluzka. – Przyjdziemy jutro o dziewiątej. Od pana zależy, czy razem z ciastem będzie pan wszystkim wręczał wypowiedzenia.

Od dziewczynek wyszła na miękkich nogach, z trudem zachowując fason, hiperwentylując się tak, że zaparował plastikowy wizjer jej kombinezonu. Uspokoila się trochę w pokoju obserwacyjnym przy ich sali, patrząc jak najstarsza leży na łóżku, pokazując hasło *Ojciec chrzestny*, i mózdzyla, jak by to powiedziała Lisa, co dalej. Po pierwsze musiała stąd jak najszybciej wyjść. Po drugie musiała stąd jak najszybciej uciec.

Pierwsze nie nastreczało trudności. W sluzie zdjela kombinezon, otworzyła drzwi, a potem rzuciła kartę na podłogę, mając nadzieję, że dzięki temu ktoś uzna, że została zgubiona, a nie skradziona. Środek ostrożności mizerny, biorąc pod uwagę, że każda rozmowa z dziewczynkami ją wyda, ale był piątek, być może w weekend, jak to w szpitalach bywa, wszyscy wchodzą w tryb przetrwalnikowy.

W kantynie na szczęście nie spotkała nikogo, kto mógłby spytać, czemu jest spocona jak mysz i ma obłęd w oczach. Wyszła na pokład i przez nikogo nie niepokocona wróciła do swojej kajuty na pokładzie C. Usiadła na łóżku, przekonana, że się rozplacze z bezsilności i strachu, ale nie pozwoliła na to jej stara przyjaciółka, wierna towarzyszka od najmłodszych lat – irytacja.

Profesorkę Zofię Lorentz swędziało ze wkurwienia całe ciało, miała ochotę się drapać i tarzać po podłodze jak nosorożec z opowiadania Kiplinga, żeby pozbyć się swędzącej wściekłości. Jak mogła być taka głupia? Tak bezmyślna? Tak naiwna? Tak niezdolna do krytycznej analizy faktów? Jak mogła się zwolnić z wątpienia we wszystko, co słyszy? W którym momencie przestała być sceptyczną naukowczynią, która mówi: „uwierzę, jak udowodnicie”?

Kurwa, kurwa, kurwa.

Wściekłości moja, zwróciła się w myślach do swojej ulubionej emocji, nie pozwoliłaś mi się rozkleić, a teraz pomóż mi wyjść z tej kabały. Amen.

Czas do kolacji spędziła na rozważaniu różnych planów, dzielących się na złe, makabrycznie złe i samobójczo złe. Potem, żeby nie wzbudzać podejrzeń, zeszła na posiłek, zjadła kilka warzywnych sajgonek, zielone curry z krewetkami, zmusiła się jeszcze do beztroskiego poplotkowania z Laną o polityce przy kawie i kawałku sernika w amerykańskim stylu, aż w końcu wróciła do



kajuty, przemyślała wszystko jeszcze raz i poszła spać, nastawiając budzik na północ.

O dziwo, błyskawicznie zasnęła i tak samo szybko się obudziła, z pierwszym piśnięciem zegarka, czujna, od razu z przyśpieszonym tętnem, nabuzowana adrenaliną. Ubrała się w najcieplejsze ciuchy i poszła umyć zęby.

– Prędko – powiedziała, patrząc w lustro – zanim zorientujemy się, że to nie ma sensu.

## 9

Kilka rzeczy działo się jednocześnie w chwili, kiedy Zofia Lorentz szcztokowała zęby na bujającym się frachtowcu „Vincent”, trzymając się jedną ręką umywalki.

Piętro wyżej Olga Gavrilescu zakończyła rytualną nocną wizytę na mostku. Zamieniła kilka słów z drugim, który właśnie rozpoczął wachtę, sprawdziła plotter i radary, przejrzała zaktualizowaną prognozę pogody, ziewnęła i pomyślała, że trzeba zrobić jakieś ćwiczenia, zanim załoga wejdzie w stan hibernacji. Przez chwilę myślała, czy nie zapukać do Polki i nie wyciągnąć jej na mostek na nocne pogaduchy, naprawdę miło spędziła z nią czas i zastanawiała się, czy to nie wspólne doświadczenie wschodnich europejskich rubieży sprawiło, że tak łatwo się dogadały. Wyjrzała ze skrzydła mostku i zobaczyła, że w oknie Zofii pali się światło, ale uznała, że za późno na odwiedziny.

Dwieście metrów dalej Bogdan Smuga siedział na dziobie „Vincenta”, tym razem bez swojej prawej ręki Mireille Hamidou, i zastanawiał się, jak posprzątać bałagan po własnych złych decyzjach. Nie zdawał sobie sprawy, że segregując w myślach rozwiązania na złe, makabrycznie złe i samobójczo złe, używa dokładnie tych samych słów, co kiwająca się przy umywalce w rytmie tych samych fal łyśa historyczka sztuki.

W tej samej strefie czasowej, choć znacznie dalej od równika niż Zofia i Bogdan, Karol Boznański nie wiedział, że spędza ostatnią noc w klinice leczenia zaburzeń pamięci „Le trésor perdu”. W ogóle nie za bardzo miał pojęcie na jakikolwiek temat, karmiony od miesięcy

koktajlami leków, zaprojektowanymi przez Lanę DuPrey, podawanymi mu najpierw w kawiarni, do której codziennie zachodził na cappuccino na wynos, potem w ramach diety pudełkowej, a potem już bez żadnych ograniczeń w klinice, której jedynym celem od początku było go więzić i faszerować lekami. Próbował usnąć, ale skołowany mózg dryfował, skacząc z jednej myśli na drugą, niemożność zapanowania nad tym procesem budziła lęk, a lęk nie pozwalał usnąć. Karol Boznański czuł się bardzo zagubiony, bardzo zmęczony i bardzo przestraszony.

Niezwykłym zbiegiem okoliczności, w tej samej dolinie w Pirenejach, tyle że bliżej Morza Śródziemnego, w wiejskim hotelu pod Céret w osobnych pokojach szykowali się do snu Marcel Kluzka i Ruhsar Varank.

Turecki Francuz czytał nowego Kinga, a w lekturze przeszkadzała mu myśl, jak bardzo placówka, którą dziś odwiedził, i w ogóle jego miejsce pracy, przypominają demoniczny instytut z powieści grozy. Przypomnił mu się pierwszy zestaw małego chemika, który dostał w podstawówce – dopiero później zrozumiał, że rodzice musieli włożyć trochę wysiłku, żeby w latach siedemdziesiątych ściągnąć zagraniczny gadżet do miasteczka w Anatolii. Fascynacja sprawczością nauki, dzikie kucie biologii i chemii w szkole, Stambuł, potem Marsylia, studia, doktorat, wielka szansa w ratującej życie korporacji, zachłyśnięcie możliwościami, kariera, pieniądze, więcej pieniędzy i więcej kariery. I ta myśl, czy przypadkiem nie jest trybikiem w instytucie z powieści grozy. Nie demonicznym naukowcem, nie szalonym eksperymentatorem, nie salową z piekła rodem, a tym bardziej nie pociągającym za sznurki geniuszem zła. Tylko takim trybikiem, banalnym urzędnikiem. Banalnym. Może i odebrał wykształcenie przede wszystkim w naukach ścisłych, ale nawet on znał historyczne znaczenia stojące za słowem „banalny” od czasów Hanny Arendt.

Polski Francuz siedział po turecku – nie zdając sobie sprawy z ironii – na ogromnym łóżku w małżeńskim apartamencie, który mu przypadł, i próbował skupić się na modlitwie. Nie szło mu to. Słowa umykały, zamiast tego wracały obrazy. Dzisiejsza podsłuchana rozmowa dwóch polskich „ochotników”. Wcześniejszy pościg w Paryżu. Rozpikselowana Zofia Lorentz obiecująca mężowi,

że do niego jedzie, obnażająca się w akcie nie tyle erotyzmu, co małej, małżeńskiej intymności. Nagle poczuł gryzący wstyd, że podejrzwał tę scenę. Zamknął modlitewnik. Naprawdę tyle zostało z mojego nawrócenia? Polski katolik, który klepaniem modlitw uspokaja sumienie? Co się stało z człowiekiem, który na Wybrzeżu Kości Słoniowej wręcz się zataczał, pijany wiarą, odurzony przekonaniem, że podłączenie do boskiej mocy robi z niego superbohatera. Niewiele czasu minęło, żeby wiara stała się dla niego nie wyzwaniem, lecz tanim pocieszeniem.

Lisa Tolgfors, jak na Szwedkę przystało, myślała o Alfredzie Noblu. Czytała *Styr din plog över de dödas ben* Olgi Tokarczuk i zastanawiała się, jak cesarz rewolucji przemysłowej, prorok czasów węgla i stali, skomentowałby fakt, że ufundowaną przez niego nagrodę dostała obywatelka nieistniejącego w jego czasach państwa, pacyfistka, weganka i szamanka ekologii, próbująca uratować ludzkość przed skutkami jego rewolucji przemysłowej. Czy stary Alfred doceniłby ironię? Skrzywiła się. Wśród Szwedów ironia występowała w ilościach homeopatycznych, a jak wiedziała ze swojego własnego życiorysu, w starych dobrych rodzinach łatwiej było zostać pożartym przez wyżła na polowaniu, niż usłyszeć celny dowcip.

Nie mogła się skupić na lekturze. Odłożyła Kindle'a, wyjęła telefon i sprawdziła, ile czasu potrzebuje na dojazd samochodem w Pireneje.

Martin Meller, jak zwykle w nocy, trwał zawieszony poza czasem i przestrzenią, gapił się w gwiazdy i spostrzegł, że jeśli bardzo długo nie mruga, to może zauważyć ich ruch na nocnym niebie, że raczej poruszają się z prędkością wskazówki minutowej niż godzinowej. I że jeśli patrzy na zachodni horyzont, to może obserwować następujące jeden po drugim zachody gwiazd, czyli de facto zachody słońc. Nagle ten ruch wydał mu się bardzo gwałtowny, nielicujący z powolnym dostojeństwem wszechświata. Wziął się za obliczenia. Jeśli równik ma czterdzieści tysięcy kilometrów, to znaczy, że planeta kręci się z prędkością ponad półtora tysiąca kilometrów na godzinę. A jak szybko zasuwa przez kosmos? Skupił się. Nie zna długości orbity, ale światło biegnie od słońca osiem minut, prędkość światła to trzysta tysięcy kilometrów na sekundę,

czyli osiemnaście milionów w minutę, czyli – zmrużył oczy, zonglując w głowie zerami, wzorem na obwód koła i dla uproszczenia zapominając, że orbita jest eliptyczna – planeta w rok musi pokonać około miliarda kilometrów, czyli trzy miliony na dobę. Sakra! Wychodziło mu, że Ziemia zasuwa przez kosmos sto tysięcy kilometrów na godzinę, jednocześnie kręcąc się jak szalony bączek z prędkością półtora tysiąca kilometrów na godzinę.

Czy to aby na pewno jest bezpieczne?

10

Kontakt Zofii Lorentz ze sportami wodnymi polegał na pływaniu w basenie albo pluskaniu się w wodach przybrzeżnych, kilka razy płynęła promem przez Bałtyk, a żeglarstwo z jej punktu widzenia oznaczało znalezienie takiego miejsca na pokładzie, żeby żagle nie zasłaniały słońca. Wiedziała, że na promie i na jachtach, podobnie jak w samolotach, znajdują się środki ratunkowe, tak samo jak wiedziała, że w bagażniku ma apteczkę i gaśnicę, gadzety na wypadek policyjnej kontroli.

Teraz powtarzała sobie w myślach, że wszystkie te morskie środki bezpieczeństwa musiano wymyślić tak, żeby każdy amerykański emeryt z pokładu pływającego po Karaibach wycieczkowca mógł uratować sobie życie bez konieczności ukończenia trzyletnich studiów. Muszą być proste w obsłudze, przyjazne i możliwe do ogarnięcia nawet dla idioty. Niestety, powtarzanie tego w myślach nijak nie poprawiało jej sytuacji.

Na podłodze kajuty rozłożyła wyjęte z pokrowców kamizelkę ratunkową i kombinezon ratunkowy. Kombinezon był różowawym jednocześnie strojem z pianki, dziwnym rekwizytem z najmroczniejszych pornosów. Kamizelka – górą styropianowych kostek, obleczonej w pomarańczowy materiał. Rozróżnienie góry od dołu i przodu od tyłu wydawało jej się niemożliwe.

Jej rozpaczliwy plan zakładał porwanie wiszącego na rufie „Lennona”, czyli łodzi ratunkowej. Olga twierdziła, że łódź jest hermetycznym batyskafem, czy to znaczy, że może do niej wsiąść tak po prostu? A co jeśli jest uszkodzona? Jeśli przecieka? Jeśli nie

uda jej się zamknąć drzwi? Bała się utonięcia. Czytała w jakimś kryminale, że to straszna śmierć, że człowiek jest cały czas przytomny, kiedy nabiera do płuc wody i kiedy potem w bólu i męczarniach umiera.

Poza tym jeśli nie uda jej się z łodzią, będzie musiała porwać tratwę. A ta już na pewno hermetyczna nie jest. Czyli musi coś na siebie założyć.

Kombinezon wydawał się lepszy, bo chroni też przed zimną wodą. Choć z kolei w innym kryminale czytała, że akurat śmierć z powodu hipotermii jest miła i spokojna, najpierw się człowiek trochę trzęsie z zimna, potem mu się robi przyjemnie ciepło, potem zasypia i tyle.

Ale czy kombinezon unosi się na wodzie, czy tylko chroni przed zimnem? Wtedy powinna mieć i kombinezon, i kamizelkę, co jej przyjdzie z komfortu termicznego, jeśli wypadnie z tratwy i pójdzie na dno jak kamień.

Zamknęła oczy.

Droga Zofio, powiedziała do siebie w myślach, przestań chrzanić i zabieraj się stąd.

Odkręciła zabezpieczające okno śruby, wyjrzała na zewnątrz. Miła, spokojna, ciepła noc. Ocean falował leniwie, na długich, oświetlonych światłem księżycy falach nie było widać żadnych zmarszczek, jedyny wiatr, który czuła na twarzy, to ten wywoływany ruchem statku. Spojrzała w górę, ale na skrzydle mostku nikt nie stał.

Teraz albo nigdy.

Pokład z łodzią ratunkową i tratwami znajdował się troszkę niżej, co nie stanowiłoby żadnego problemu, gdyby nie to, że nie mogła po prostu wyśliznąć się przez okno i zeskoczyć. Przeleciałaby kilka pięter i wpadła do wody. Galerie otaczające nadbudówkę zaczynały się trzy metry od okna w stronę rufy. Dużo i niedużo.

Nasłuchiwała przez chwilę, czy nikt się nie kręci, potem zwinęła kombinezon w rulon i rzuciła ukosem na pokład. Kombinezon rozwinął się w locie, na chwilę zawisł na relingu, po czym dostojnie sfrunął do oceanu. Jeszcze przez chwilę widziała, jak unosi się na wodzie z rozpostartymi rękawami i nogawkami, zaczyna mrugać światełkiem awaryjnym, a wreszcie znika za rufą.

Cóż, przynajmniej wiem, że te kombinezony unoszą się na wodzie.

Kamizelkę starannie obwiązała troczkami, żeby stworzyć zwartą paczkę, dopiero wtedy rzuciła. Celnie. Pakunek odbił się trzy razy od metalowego pokładu i zatrzymał obok tratwy ratunkowej.

Zofia nasłuchiwała przez chwilę, czy nikt nie uruchomi alarmu, ponieważ zauważył światełko kombinezonu, ale nie, cisza i spokój. W końcu zrozumiała, że nie może już dłużej zwlekać. Wyczołgała się tyłem przez okno i po chwili wisiała nad wodą, przyklejona do burty statku.

Trzymała się kurczowo parapetu, patrząc do wnętrza swojej cieplej, bezpiecznej kajuty i bardzo, ale to bardzo chciała wczołgać się do niej z powrotem. Była to ostatnia chwila, kiedy mogła wrócić, zapomnieć o sprawie i opracować mniej samobójczy plan, ale postanowiła nie skorzystać z tej szansy. Przesunęła prawą nogę w bok i udało jej się postawić stopę na niewielkiej lampie z zadrutowanym kloszem. Potem zmusiła się, żeby prawą ręką puścić parapet i złapać się biegnącej w poprzek nadbudówki cienkiej rurki, zapewne odprowadzenia wody. Pociągnęła lekko. Rurka nie wyglądała na solidną, ale trzymała. Pomyślała, że w końcu to statek oceaniczny, wszystko musi być dobrze zamocowane. Odetchnęła, puściła parapet lewą ręką i chwyciła rurę.

Teraz trzymała się rękoma rury, biegnącej ciut ponad jej głową, a jedną stopą balansowała na obłej obudowie lampy. Po lewej miała okno kajuty, po prawej kawałek gładkiej ściany dzielący ją od galerii pokładu, a pod sobą kilkanaście metrów powietrza i czarny ocean.

– Kurwa mać – wyszeptała.

Nie dałaby rady zrobić tak dużego kroku, żeby sięgnąć relingu. Musiała przesunąć się po rurze na samych rękach, z nogami wiszącymi luźno. Niewiele, dwa metry, na placu zabaw byłaby to jedna z prostszych atrakcji małpiego gaju, symulacja peerelowskiego trzepaka. Przesunęła dłonie i zdjęła stopę z lampy. Wisiała. Ostrożnie, ale zdecydowanie, żeby nie tracić siły, zaczęła się przesuwać w stronę pokładu. Nie było to trudne, odniosła dziwne wrażenie, że ściana nie jest pionowa, tylko lekko się kładzie, ułatwiając cały manewr.

Po czym nagle zrobiła się pionowa.

Po czym zaczęła się odchyłać od pionu, sprawiając, że Zofia wisiała na rurze, dyndając nogami w powietrzu.

Wytrzymaj, powtarzała w myślach, wytrzymaj, położył się na jedną stronę, zaraz położy się na drugą, ocean nie przestanie nagle falować.

Tak też się stało. Kiedy statek pochylił się na przeciwległą burzę, pokonała ostatni metr, zeskoczyła na pokład i dopiero wtedy wypuściła powietrze z płuc. Szybko wzięła kamizelkę i schowała się za róg nadbudówki, przy wejściu do łodzi ratunkowej.

Łódź została zamontowana za rufą „Vincenta” na specjalnym wysięgniku, nachylona pod kątem czterdziestu pięciu stopni, skierowana dziobem w kilwater. Niewielka w porównaniu do kontenerowca, plastikowa, wisząca wysoko nad wodą bardziej w jej oczach wyglądała na „środek niebezpieczeństwa” niż „środek bezpieczeństwa”. Bała się wcześniej, że hermetycznego wjazdu strzegą kłódki albo zamki cyfrowe, ale nie, wystarczyło przekręcić o dziewięćdziesiąt stopni dwie klamki, żeby otworzył się bez problemu, ze środka zapachniało plastikową stęchlizną. Nie chcąc spędzać więcej czasu, niż potrzeba w miejscu, gdzie ktoś mógłby ją zobaczyć, nie zakładała kamizelki, tylko wrzuciła ją do środka. Nie sądziła, żeby ktoś akurat teraz spostrzegł, że jej nie ma, w środku będzie miała czas, żeby założyć kamizelkę i rozkminić, co do czego służy, zanim wciśnie czerwony guzik. Przy odrobinie szczęścia będzie tam jakieś urządzenie, które pokaże pozycję geograficzną, przy kolejnej odrobinie dowie się dzięki temu, w którą stronę płynąć. Zakładając, że nie są pośrodku oceanu. Zdziwiłaby się, wokół statku regularnie latały ptaki, poza tym skoro przywiózł ich tutaj helikopter, musieli być na tyle blisko brzegu, żeby starczyło paliwa na podróż w obie strony. Jakiego brzegu? Miała kilka wskazówek. Z Francji lecieli samolotem Lekarzy bez Granic, być może do byłej francuskiej kolonii. Zauważyła, że mimo kalendarzowej zimy dzień i noc trwają praktycznie tyle samo, więc powinni być blisko równika. Ciągle zostawało pół świata: Wybrzeże Kości Słoniowej i okolice, Indochiny, Gujana, Dżibuti. Intuicja podpowiadała, że chodzi o Afrykę.

Złapała za krawędź wjazdu.

A co jeśli w środku nie ma żadnego radia i nadajnika, „Vincent” odpłynie, a ona po prostu zdechnie z głodu i pragnienia? A co jeśli zawrócą i ją staranują, a ona utonie w pogiętej plastikowej trumnie albo zostanie zmielona przez okrętową śrubę?

Istniał tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Schyliła głowę, zrobiła krok do środka i w tej samej chwili czyjaś ręka złapała ją za krawędź spodni i pociągnęła gwałtownie. Zatoczyła się i upadła, waląc boleśnie tyłkiem o stalowy pokład.

– Zwariowałaś? – zapytał spokojnie Bogdan Smuga.

## 11

Lisa Tolgfors bębniła palcami o kontuar jedynej czynnej o tej porze wypożyczalni samochodów w Strasburgu, czekała aż zaspany przyszczaty nastolatek nauczy się trafiać palcami w klawisze – najwidoczniej był to jego pierwszy raz – i nie rozumiała, czemu zachowuje się irracjonalnie. Nie powinna ryzykować, wynajmując samochód. To jasne. Nie powinna nigdzie jechać, to jeszcze jaśniejsze. A już na pewno nie powinna szukać Karola, pokazując się w ten sposób wszystkim, którzy chcieli ją teraz znaleźć.

Ale nie mogła zrobić inaczej. Tak jak wcześniej tłumaczyła Zofii, czasami robimy, co musimy, czasami, co chcemy, a czasami dlatego, że coś trzeba zrobić. Zbyt mocno lubiła Zofię i Karola, za dużo z nimi przeżyła i za silnie kibicowała ich przyjaźni i miłości, by uznać, że ta sprawa jej nie dotyczy.

– Czy chce pani podróżować bezpiecznie, nie martwiąc się o wkład własny, z naszą promocyjną polisą Mega Spokój?

– A dzięki temu dostanę szybciej kluczyki?

– Chyba nie, bo to dodatkowy formularz.

– To nie.

Ale nie chodziło tylko o to, jak bardzo, wbrew swoim zasadom i przekonaniom, zbliżyła się do tej nieoczywistej pary, uganiając się razem z nimi za cholernym Rafaelem. Też o to, że mimo tego jak bardzo kibicowała związkowi Zofii i Karola, naprawdę szczerze, to tylko połowa tej pary jakoś dziwnie wpasowywała się w jej



marzenie o mężczyźnie, z którym fajnie byłoby gotować *glögg* zimą. Ech, stara i głupia.

– Jest też polisa Max Spokój, w tej samej cenie, co Mega Spokój, tylko nie uwzględnia szyb, zamiast tego...

– Młody człowieku. Dogadajmy się. Ty masz swoje potrzeby, ja mam swoje. Pokażę ci cycki i pozwolę sfotografować komórką na pamiątkę, jeśli w ciągu minuty wyjdę stąd z kluczykami do samochodu. Okej?

Patrzył na nią tak długo, że już prawie uznała, że nie zrozumiał, ale w końcu sięgnął do szuflady.

– Citroën C4 może być?

## 12

Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać, ale tylko syknęła ze złością i podniosła się z pokładu, walcząc z chęcią rozmasowania stłuczonych pośladków.

– Spytam jeszcze raz. Zwariowałaś?

– Powiedział doktor Mengele.

Smuga westchnął. Zamknął właz łodzi ratunkowej i oparł się o reling. Pomyślała, że ta konfrontacja powinna rozgrywać się podczas sztormu, za ścieżkę dźwiękową mając zawrodo huraganu i ogłuszający huk fal. Spokojna ciepła noc nie zapewniała należytej dawki dramatyzmu.

– Zosiu...

– Profesorko Lorentz.

– Jak chcesz, profesorko Lorentz. Rozumiem, że poskładała sobie pani w głowie różne puzzle i wyszedł obraz, w którym jestem doktorem Mengele. Proszę pytać, odpowiem na każde pytanie. Mógłbym przeprosić, że nie zrobiłem tego wcześniej, ale nie czuję wyrzutów sumienia. To była świadoma i logiczna decyzja.

– Czy doprowadziłeś do wyrzucenia mnie z muzeum?

– Wiesz, to znaczy, wie pani, że w aktualnej sytuacji politycznej pani kariera i tak nie potrwałaby długo, ale tak, przyspieszyłem bieg wydarzeń.

– Benedykt Czerski to naprawdę twoja rodzina?

- Nie.
- Czy mój mąż jest chory od czegoś, co mu podawaliście?
- Tak.
- Czy cała ta klinika w Pirenejach to ściema?
- Tak.
- Jajko Fabergé?
- Też.
- Czy w ogóle coś z tego, czego się dowiedziałam, jest prawdą?  
Wzruszył ramionami.
- Cała reszta.  
Parsknęła śmiechem.
- Czyli co? Mam cały czas wierzyć, że chodzi o lek na długowieczność?
- Zdecydowanie.
- A przypadkiem nie o wywołanie pandemii bezpłodności?
- O to również. Ale nikt nie mówi, że to się wyklucza. Zamierzamy wywołać epidemię długowieczności, której skutkiem ubocznym będzie bezpłodność. Ani jeden, ani drugi efekt nie zadziała oczywiście u wszystkich, ale oceniamy, że dotknie osiemdziesiąt procent ludzi eksponowanych na patogen.
- Więcicie kobiety! Robicie na nich eksperymenty, zakażacie bezpłodnością, czy ty nie widzisz, że to jest jak ilustracja do najczarniejszych kart historii?
- Nikogo nie więzimy. Wręcz przeciwnie, musimy się opędnąć od ochotniczek ze świata nauki, które nie chcą mieć dzieci i gotowe są zaryzykować zdrowie dla dobra ludzkości.  
Zofia zaśmiała się histerycznie.
- Ale po co? Co to jest za szatański plan?
- Nie widzę w nim niczego szatańskiego. – Smuga wydawał się obrażony. – Wręcz przeciwnie, to plan, który ma ocalić ludzkość. Wybór, przed jakim dziś stoimy, to albo uratować ludzkość, albo pozwolić sprawom dalej toczyć się swoim rytmem, co nieuchronnie doprowadzi do zagłady gatunku *homo sapiens*. Zapewne nie całkowitej, ale ten proces uwzględniający wojny, z atomową włącznie, doprowadzi na pewno do przerwania kulturowej i cywilizacyjnej ciągłości, a wszystko, co do tej pory osiągnęliśmy, bezpowrotnie zniknie. We łzach, krwi i cierpieniu, ponieważ

konflikty o wodę i jedzenie to nie będą dyskusje intelektualistów. Sąsiedzi będą mordować sąsiadów dla studni, rodzice zabijać dzieci dla jedzenia, gangi silniejszych terroryzować i niewolić słabszych, żeby uprawiali ich radioaktywną marchewkę w tych nielicznych miejscach, gdzie atomowa zima na to pozwoli. I to się wydarzy nie kiedyś tam, tylko na naszych oczach. Najbardziej pesymistyczne prognozy sprzed kilku lat dziś są najbardziej optymistycznymi, tempo zmian zaskakuje wszystkich.

– Nie wierzę – powiedziała.

Nagle poczuła, że opada z sił. Co za bezsens. Żyła spokojnie, praca w budżetówce, renoma, sława, fajny mąż, świetna córka. Jak to się stało, że gdzieś na oceanie stoi przy batyskafie o wyglądzie żółtej łodzi podwodnej z płyty Beatlesów, wdycha opary diesla i rozmawia z kretyńcem, który planuje przeprowadzić globalną depopulację.

– Nie wierzę, że chcecie poświęcić ludzkość dla planety.

– Słucham? Kto tu mówi o planecie?

– Wy. Chcecie ocalić planetę, naturę, Gaję, czy jak tam to nazywacie w swoich kaplicach pojebania, pijąc krew miesięczną zmieszaną z jadem meduzy.

– Pani Zofio...

– Profesorko Lorentz.

– Profesorko Lorentz, weź głęboki oddech, posłuchaj mnie i zacznij myśleć. Po pierwsze, nikomu nie chodzi o planetę. Planeta ma kilka miliardów lat i ma nas gdzieś, nie możemy jej ani pomóc, ani zaszkodzić. Następne wydarzenie, jakie jej zaszkodzi, to będzie spalenie przez Słońce za pięć miliardów lat. Fakt, że jakiś gatunek w kilkaset lat wydłubał jej coś spod paznokcia, a potem się unicestwił z paroma innymi żyjątkami, obchodzi Gaję tyle, co ciebie pryszcz na plecach. Dwa dni przeszkadza i po kłopotcie. Nie wierzę w ekologiczne pieprzenie o świętej bioróżnorodności, bo ono arogancko zakłada, że natura w tym momencie to szczyt stworzenia. Nieprawda. Były dinozaury, teraz są ssaki, za parę milionów lat będą gadające ptaki albo żaboryby, jest rafa koralowa, a będą inteligentne drzewa, łączące się w tysiącletnie małżeństwa. Nie powiem tego w telewizji, ale jebie mnie miś koala, puszcza amazońska i białe nosorożce. Interesuje mnie mój własny gatunek, czyli człowiek. Chcę, żeby człowiek przetrwał. Bo to naprawdę

wyjątkowy gatunek. Jedyne, który tworzy, akurat ty powinnaś to rozumieć.

– I wiesz, jak nas ocalić? – zapytała kpiąco.

– Wiem.

– Znalazłeś ostateczne rozwiązanie kwestii ludzkości.

Jego oczy pociemniały z wściekłości, cofnęła się o krok, pierwszy raz pomyślała o tym, że łagodny głąz Bogdan Smuga łagodnym jest z wyboru, a głązem z konstrukcji. Zobaczyła w nim nagle potężnego samca.

– Nie muszę – wycedził przez zęby. – Naprawdę nie muszę. Ale zadam sobie trud wytłumaczenia ci rzeczy oczywistych. Planeta ma gdzieś antropocen i zmiany klimatyczne, ale ludzkość tego nie przetrwa. Za dużo wyprodukowaliśmy broni, żeby globalne wojny o wodę i pożywienie mogły się skończyć w gabinetach dyplomatów. Zmian klimatycznych nie da się zatrzymać. To fakt. Nawet gdybyśmy, tylko na potrzeby tej dyskusji oczywiście, nikt w to nie wierzy, założyli, że ludzkość jest zdolna do wspólnego, heroicznego samoograniczenia, to biorąc pod uwagę przyrost demograficzny, co najwyżej opóźnimy apokalipsę o pięćdziesiąt lat. I znajdziemy się w tym samym miejscu, tyle że nie będziemy już mieli z czego się heroicznie samoograniczać. Depopulacja to jedyny wybór. I tylko ja gwarantuję przeprowadzenie jej w sposób sprawiedliwy i bezbolesny.

– Sprawiedliwy?

– Kompletnie losowy. Zaczęłaś od doktora Mengele, ale projekt Vincent nie zakłada lepszej rasy, nie wyróżnia bogatszych, mądrzejszych, bielszych, bardziej cywilizowanych. Dotyka wszystkich. Tak samo bezpłodna będzie nowa laska Jeffa Bezosa, jak i hinduska dziewczynka, wydłubująca nikiel z jej starych iPhone'ów.

– I ja.

– I ty.

– To niehumanitarne.

– W którym miejscu? Nikomu nie dzieje się krzywda. Wręcz przeciwnie, większość ludzi kocha życie i chce tu być jak najdłużej. Gdybym to wpuścił do aptek, pisząc w reklamach „120 lat w zdrowiu za cenę bezpłodności”, to myślisz, że nie byłby to najpopularniejszy lek świata? Dlaczego te chciwusy mało nas nie

zastrzeżyły w Paryżu? Bo sądzili, że mamy nową odmianę paracetamolu?

Zofia złapała się relingu, na spokojnym oceanie musiała się trafić „dzika fala”, która gwałtownie zakołysała ogromnym statkiem.

– Ludzie chcą mieć dzieci. To podstawa człowieczeństwa, jeśli zabierzesz możliwość posiadania dzieci, przestaną być ludźmi.

Smuga zaśmiał się.

– A czy to nie ty przypadkiem masz być tą romantyczną humanistką, znawczynią ludzkiej natury? Nie rozśmieszaj mnie, ludzie lubią seks, a dzieci to efekt uboczny. Lubią też, kiedy coś im sprawia przyjemność, a dzieci czasami dają przyjemność. Tyle tylko, że można więcej frajdy wyprodukować na prostsze sposoby. Myślisz, że dlaczego w cywilizowanych krajach pary czekają z dziećmi do czterdziestki? Bo dopiero wtedy odkrywają swoją podstawę człowieczeństwa? Nie, bo już się nabzykali antykoncepcyjnie, nazwiedzali Paryża, mają dom z widokiem, samochód z napędem na cztery koła i motorówkę, a teraz łążą po tych nonsensownych klinikach in vitro, bo im się skończyły gadżety. A że biedota ze slumsów nie ma gadżetów i Netfliksa, to się pieprzy dla dopaminy, rozmnażając przy okazji, bez wielkiego uwznioślenia zresztą, jeśli wierzyć smętным dokumentom na BBC. Zresztą spójrz na siebie, pomachałem ci przed nosem marchewką z dopaminy i wyruszyłaś na wariacką wyprawę, zamiast tulić dziecko do piersi i czytać mu bajki. Pewnie myślisz, że miałaś sto racjonalnych powodów, a tak naprawdę uciekałaś przed nudą.

Zacisnęła zęby.

– Nie mogę się z tobą zgodzić.

– Jasne. Możesz też mieć lepsze pomysły na uratowanie ludzkości.

– Wiedza i wolność wyboru.

– Tego już próbowaliśmy. Zofia, my od stu pięćdziesięciu lat mówimy o zmianie klimatycznej, od pięćdziesięciu o niej krzyczymy i przez cały ten czas jesteśmy lżeni, wyśmiewani i uciszani. Co wcale nie znaczy, że można było wiele zrobić, krzywa demograficzna uniemożliwia walkę z ociepleniem klimatu. Ale mogliśmy chociaż spróbować opóźnić proces, zastanowić się na spokojnie, co dalej. Nikogo to nie interesowało i nadal nie interesuje. Nie mam żalu, tacy jesteśmy, troska o wszystkich kończy się tam, gdzie zaczyna

rezygnacja z własnej wygody. Wiesz, jak to działa. Jeździsz samochodem?

– Staram się ograniczać.

– Ale na wakacje trzeba jakoś pojechać. Zakupów z marketu tramwajem nie przywieziesz. Dziecka w sobotę nie obudzisz godzinę wcześniej, żeby tramwajem pojechać na tenisa, bo i tak jest takie przemęczone. Mięso jesz?

– Prawie wcale.

– Ale w barze przydrożnym nic innego nie ma. Mamie nie można zrobić przykrości. KFC to przecież nie mięso, ha, ha, ha. I tak osiem miliardów ludzi codziennie myśli, że planeta nie potrzebuje dogmatyków, tylko rozsądnych, troszkę się ograniczających człowieków. Wiesz co, nie chcę mi się już. Wracaj do kajuty i ciesz się, że żyjesz, wypuszczę cię, jak już będzie po wszystkim.

– Nie.

– Co nie?

– Nie zgadzam się z ani jednym twoim słowem. I nie zostaję. Świat musi się o tym dowiedzieć. Przystudiować, zrobić analizy społeczne, psychologiczne, ekonomiczne. Nie wiem, jakaś część mnie dopuszcza straszną myśl, że to może być rozwiązanie, ale podejmiemy je świadomie. Demokratycznie.

– Oszałałaś kompletnie?

Zbliżył się do niej, mając w oczach coś, co sprawiło, że się cofnęła i oparła o reling w miejscu, gdzie pokład zawijał się wokół narożnika nadbudówki. Poczowała się nieswojo, za plecami miała teraz tylko pustą przestrzeń, w dole bulgotała i pienila się wzburzona okrętową śrubą woda, jasny, jarzący się zimną fluorescencją kilwater wyglądał jak blizna na czarnym ciełe oceanu.

– Nie oszałałam. A ty sobie, kurwa, przeczytaj *Opowieść podręcznej*, kretynie, zobaczysz, do czego prowadzą takie pomysły. Zamiast walk o wodę, będą walki o płodne kobiety, gwałty, przemoc, o jakiej ci się nie śniło. A potem obejrzyj *Park Jurajski* i posłuchaj o tym, jak „life, uh, finds a way”. Twoja bakteria zmutuje albo znajdziemy antybiotyk, ludzie dalej się będą mnożyć, tylko w cywilizacji zbudowanej na gwałcie i przemocy wobec kobiet. Kolejny, kurwa, geniusz, który chce uratować ludzkość,

wkładając mi rękę do majtek. Pierdol się, Bogdan, i szykuj argumenty do telewizyjnej debaty o depopulacji. Ja stąd spadam.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– A co zrobisz? Wyrzucisz mnie za burzę?

Naprawdę się zdziwiła, kiedy to zrobił.

## Rozdział 12. Upadek

*Niewyobrażalny ból • Smoothie • Bąbelki powietrza • Ciemna i mokra  
nicość*

Nie dotarło to do niej od razu. Najpierw poczuła wściekłość, że śmiał ją popchnąć, kim trzeba być, żeby w ferworze dyskusji tak po prostu użyć fizycznej siły, popchnąć kogoś, kobietę na dodatek, tak jak się popycha kolegę na przerwie w podstawówce, uderzając dłońmi w klatkę piersiową. Potem, robiąc fikołka przez reling, przestraszyła się, że w coś uderzy, potłucze się, posiniaczy boleśnie. I dopiero po chwili zrozumiała, że Bogdan Smuga wyrzucił ją za burtę. Że nie grozi jej upokarzający upadek na tyłek, siniak albo guz od uderzenia w jedną z milionów stalowych części statku, że oto leci bez kombinezonu i bez kamizelki ratunkowej w stronę oceanu, żeby tam umrzeć.

Spadała bezwładnie, wzdłuż czarnej stalowej burty, machając rękami i nogami, plecami do dołu, mając przed oczami oświetlone pokłady „Vincenta” i wyraźną, ciemną sylwetkę Smugi, stojącego obok łodzi ratunkowej, widziała też jasne okno swojej kabiny, z której wyszła pół godziny wcześniej, myśląc, że jest to doskonały pomysł. Zdziwiła się, że spadanie tak długo trwa, że ma czas coś dostrzec i o czymś pomyśleć. Na przykład o tym, że jeśli uderzy w wodę plecami, to może stracić przytomność albo nawet pogruchotać sobie kręgosłup. Co nie byłoby takim złym rozwiązaniem, szybka i bezbolesna śmierć miała w tym wypadku plusy, ale zanim zdążyła rozważyć za i przeciw, wyprostowała się już na tyle, żeby uderzyć w wodę w dziwnej siedzącej pozycji.

Niewyobrażalny ból jednocześnie eksplodował w pośladkach i udach, które przyjęły impet uderzenia, w głowie, do której słona woda wdarła się przez nos do zatok, gardła i ust, oraz w ramionach, które, szeroko rozłożone, pacnęły o fale. Wpadła głęboko w spieniony kilwater zaraz za rufą, w ogłuszający pod wodą huk



mielącej wodę śruby. Zakrztusiła się z przerażenia, wyobraziła sobie ogromne stalowe łopaty długości kilku metrów, kręcące się jak ostrza w kielichu blendera, wciągające ją niczym truskawkę w koktajlu, kilkoma uderzeniami mielące jej ciało na różowe smoothie. Krzyknęła pod wodą ze strachu, pozbywając się resztek powietrza z płuc, machając rękami i nogami, żeby odsunąć się od tych ostrzy, wyrwać życiu jeszcze kilka chwil.

Chyba się udało, nie poczuła uderzenia, ale co z tego, skoro brakowało jej powietrza, musiała się natychmiast wynurzyć, ale nie wiedziała, gdzie jest powierzchnia. Szeroko otwarte z przerażenia oczy widziały tylko ciemność z zamglonymi jasnymi punktami, które mogły być fluorescencją oceanu, a mogły halucynacjami niedotlenionego mózgu.

Czytała kiedyś, że w takich wypadkach trzeba wypuścić bąbelki powietrza z ust i zobaczyć, w którą stronę lecą. Nie miała już w płucach zbyt wiele powietrza, właściwie nie miała go wcale, ale zmusiła się, żeby wydmuchać je ustami. Książkowa mądrość w ciemnej spienionej toni okazała się gównem warta, żaden bąbelk nie wskazał jej drogi, nadal tkwiła pod wodą, dławiąc się już w walce z ciałem, które zamierzało otworzyć usta i głęboko odetchnąć. Nie mając wyboru, zaczęła po prostu energicznie machać nogami, jak do kraula, i odgarniać wodę rękoma na boki w stylu klasycznym. Czy płynęła w stronę powierzchni, w głąb, czy może bezsensownie marnuje ostatek sił, przemieszczając się w bok, mimo że powierzchnia jest pół metra nad nią – nie miała pojęcia. Machała rękami i nogami, licząc na cud i zaciskając mocno usta, chociaż wiedziała, że musi przegrać, ciało nie pozwoli jej się zadusić i zanim straci przytomność, przejmie kontrolę, otworzy usta i jej płuca wypełnią się słoną morską wodą. Mimo to wciąż walczyła, w rytmicznym huku śruby, w skotłowanej pianie, cały czas zagarniając wodę ramionami.

Koniec przyszedł szybciej, niż sądziła. Opadła z sił, przed oczami oprócz ciemnej wody i jasnych kropli bladego światła pojawiły się czarne strzępy, płuca bolały jak cięte żyłkami, spychając wszystkie inne cierpienia na dalszy plan. Zagarnęła wodę jeszcze raz i poddała się, pozwoliła ciału otworzyć usta i odetchnąć pełną piersią.

Wynurzyła się dokładnie w tym momencie, wciągnęła do płuc powietrze razem z drobinkami wody, zakrztusiła się boleśnie, przez kilka chwil na zmianę łapczywie oddychała i kasłała, w końcu uspokoiła się na tyle, żeby dotarło do niej, w jakim położeniu się znalazła.

– Ratunku! – krzyknęła w stronę oddalającej się rufy „Vincenta”. – Ratunku!

Nie miało to żadnego sensu. Nawet w tym stanie doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Mimo to jeszcze kilka razy wezwała pomocy, machając w stronę statku. Światelka malały i blakły, zlewając się z rozgwieżdżonym niebem, dudnienie śruby cichło, spieniony kilwater uspokajał się, rozmywany przez fale. Nie minęło dużo czasu i Zofia Lorentz unosiła się sama pośrodku atramentowoczarnego oceanu w nieznanym miejscu świata, bez łodzi ratunkowej, bez tratwy, bez kamizelki i bez kombinezonu, za to z obolałym tyłkiem i szczypiącymi zatokami. Patrzyła na oddalający się statek, który teraz mogła dostrzec już tylko wtedy, kiedy fala unosiła ją w górę. Gdy opadała łagodnie w jej dolinę, wokół miała jedynie ciemną i mokrą nicość.

## Rozdział 13. Pożegnanie Zofii

*Czyli koniec? Ciemność? Nic? • A jednak nie gwiazda • Ponieśmy za ideę śmierć, ale nie zaraz • Gâteau des rois • Wracamy na kurs • Architekci turbohiperzjebania • Zdjąć na chwilę spadochron • Jeśli pan kiedyś kochał • Wolniej, Płotka • Trzy strzały • Ostatni zachód słońca zasługuje na łzy • Las bladych, trupich rąk • Do widzenia*

1

Zofia Lorentz unosiła się na falach, śmiała histerycznie i nie mogła przestać. Ponieważ gdy tylko uspokoiła oddech i zdjęła nasączone wodą trampki, żeby nie ciągnęły jej w głębinę jak betonowe wiadro, stwierdziła z pewnym zadowoleniem, że żyje, a woda jest ciepła jak w basenie ze zjeżdżalniami dla dzieci. I zaczęła się zastanawiać, co dalej. I wtedy się roześmiała. Ponieważ dalej mogła tylko umrzeć.

Na ile starczy jej sił, żeby unosić się na wodzie? Godzinę? Dwie? Trzy w najlepszym wypadku. A może mniej, woda wydawała się ciepła, ale na pewno zimniejsza od jej ciała, czyli w końcu musi ją wychłodzić, doprowadzając do hipotermii. Ile trwa taki proces? Cóż, wkrótce się przekona.

Za każdym razem, kiedy fala unosiła ją w górę, patrzyła za coraz słabiej widocznym „Vincentem”, w nadziei, że nagle zobaczy go nie od rufy, tylko od burty, w trakcie manewru zawracania. Że Smuga się opamiętał albo opowiedział o tym, co zrobił, komuś, kto się opamiętał – Oldze na przykład – na mostku ktoś krzyknął: „alarm! człowiek za burtą!” i teraz zawracają, szykując koła ratunkowe, drabinki, tratwy i reflektory, wytypowani ratownicy wciągają kombinezony ratunkowe. Wystarczy wytrzymać jeszcze trochę, żeby stać się bohaterką rozczulających scen, kiedy po pełnej adrenaliny akcji ratunkowej jest już na pokładzie, ociekając wodą, a oni pochylają się nad nią z troską. „Boże, pani Lorentz, jak się pani

czuje? Lekarz pokładowy czeka z suchymi ubraniami, lekami i termosem kawy. Proszę się nie bać, tamtego zwyrodnialca zamknęliśmy w kubryku, nic pani nie zrobi”. Z każdą kolejną falą fantazja słabła, została z niej tylko idiotyczna myśl, że skąd ona w ogóle zna takie słowo jak „kubryk”? Z Verne’a? Chyba tak, po okresie młodzieńczym żadnej literatury marynistycznej już chyba nie czytała.

Kombinezon.

Myśl uderzyła ją tak nagle, że zachłysnęła się wodą i musiała odkrztusić.

Kombinezon, który spadł z relingu, uderzył w wodę i zaczął błyskać białym światłem.

Zaczekała, aż następna fala podniesie ją wyżej, wyciągnęła głowę do góry i rozejrzała się uważnie.

Nic.

Znowu parsknęła śmiechem. Idiotka. Ile czasu minęło, odkąd wyszła przez okno z kajuty do momentu, kiedy ten zwalisty fiutas wypchnął ją za burtę? Kwadrans? Dwadzieścia minut? Może nawet pół godziny. Olga tłumaczyła jej, że statek nie płynie szybko, ponieważ ich celem nie jest jak najszybsze dotarcie na miejsce, tylko spalenie jak najmniejszej ilości paliwa, żeby do minimum ograniczyć konieczność tankowania z pływającej stacji benzynowej. Nie szybko, czyli ile? Kilka węzłów? Co to w ogóle jest węzeł? Pływa już tutaj z dziesięć minut i ciągle ma „Vincenta” w zasięgu wzroku, jeszcze się nie schował za horyzontem. A jak daleko jest do horyzontu? Nie ma pojęcia.

Uznała, że i tak musi się ruszyć, będzie przynajmniej miała jakieś zajęcie, znalazła grupę gwiazd w kształcie latawca dokładnie po przeciwnej stronie od „Vincenta” i zaczęła pomału płynąć ku nim stylem klasycznym, starając się oszczędzać siły i regularnie oddychać. W głowie świeciły się wszystkie alarmowe lampki, każdy neuron krzyczał, że jest idiotką i powinna płynąć w drugą stronę, gdzie statek, gdzie ludzie, gdzie ratunek. Zwalczyła to, rozumiejąc, że w logice projektu Vincent nie mieści się zawracanie po jeden egzemplarz gatunku, który swoim zachowaniem może zagrozić przetrwaniu wszystkich egzemplarzy. Ciągle uważała, że to bzdura, no ale jej zdanie nie miało niestety żadnego wpływu na to, żeby na

mostku ktoś zarządził akcję ratowniczą. Dlatego zarządziła ją sama, była ta akcja absolutnie pozbawiona sensu, wiedziała o tym, ale i tak wydawało jej się to lepszym rozwiązaniem niż gapienie się w gwiazdy i czekanie na śmierć.

Płynęła, oddychając regularnie. Strach wyblakł i pojawił się smutek. Szkoda, że to koniec. Dużo fajnych chwil przeżyła, ale cały czas myślała, że to dopiero rozbiegówka przed właściwymi wydarzeniami. Bez sensu, biorąc pod uwagę, że przekroczyła czterdziestkę, a każdy umierający na raka dzieciak czy spadający z motocykla student wszystko by oddali, żeby mieć takie życie jak ona. Kilka dekad pełnych miłości, przyjaźni, macierzyństwa, podróży i niezwykłych przygód. Rozumiała to, tak samo jak fakt, że każdy organizm wielokomórkowy ma na opakowaniu datę przydatności. Ale i tak żal. Nie pokłóci się z nastoletnią Kasią. Nie będzie jej pocieszać po zawiedzionej miłości. Nie sprawdzi, czy dobra z niej babcia. Nie zacznie z Karolem idiotycznej emerytalnej inwestycji w domek letniskowy. Nie opłaci śmierci rodziców. Nie wkurzy się, że na lotnisku w Paryżu znowu zgubili jej bagaż. Nie będzie się wściekać na lipcową pogodę nad Bałtykiem. Nie zje gofra z jagodami i bitą śmietaną. Nie obsztorcuje faceta w smażalni, że halibut ma inny kształt niż dorsz i że nie wszystko da się ukryć pod panierką. Nie dowie się, czy Andrzej Duda zostanie prezydentem na drugą kadencję.

Tak, to akurat dobra wiadomość.

Śmieszne, że życie bez niej tak po prostu się potoczy, jak gdyby nigdy nic. Kasi będzie smutno, ale w końcu, cóż, życie. Znała ludzi osieroconych w dzieciństwie, znała takich po domach dziecka, czasami do tego wracali we wspomnieniach, ale poza tym tak samo lubili wypić piwo, obejrzeć serial, pogadać o polityce i ponarzekać na wredne bachory. Smuga jest szalony, ale nie jest mordercą – prychnęła – to znaczy jest, ale nie bezsensownym mordercą. Powinien wypuścić Karola, więc Kasia będzie miała fajnego ojca, razem sobie ułożą życie. Ciekawe, czy długo potrwa, zanim Karol kogoś znajdzie? Pewnie zaraz go obstawi wianuszek pocieszycielek, ze względu na Kasię długo się będzie bronił, ale w końcu, cóż, życie.

Syknęła, kiedy złapał ją lekki skurcz w przedramieniu. Położyła się na plecach, żeby rozluźnić mięśnie. Może po prostu poleży

i zaczeka? Jeśli ma farta i Bóg ją kocha, to kombinezon do niej przyplynie. Nie, bez sensu, przecież dryfowałiby w tym samym tempie. Odwróciła się na brzuch, rozejrzała ze szczytu fali. „Vincenta” już nie było widać. Histeria złapała ją za gardło, rozlała się paralizującą słabością po całym ciele, musiała długo głęboko i powoli oddychać, żeby się uspokoić. Potem rozejrzała się jeszcze raz, szukając migającego światełka. Nic z tego. Wyszukała swój gwiazdny latawiec, który zawędrował trochę wyżej na niebie, i ruszyła wolno w jego stronę, bo co innego jej zostało.

Jeśli Bóg ją kocha, tak przed chwilą pomyślała. Czy to znaczy, że wierzy w Boga? Oczywiście, że nie, odpowiedziała sobie na to pytanie wieki temu i od tamtej pory nie zastanawiała się nad tym zagadnieniem. Za chwilę się przekona, czy słusznie, czy nie. Co jeśli okaże się, że Bóg istnieje? Czy w takim wypadku jako ateistka po śmierci wejdzie na ścieżkę piekła/czyściec/niebo, czy nie? Nie miała pojęcia, co mówią dogmaty. Czy jeśli Bóg istnieje, to każdy trafia do swojej wersji zaświatów w zależności od rodzaju wiary, a ateści po prostu znikają? Kuszące i fabularnie atrakcyjne, ale mocno by się zdziwiła, gdyby istniała wszechświatowa pośmiertna rozdzielnia, w której muzułmanie dostają przydział hurys, katolicy Najświętszą Panią, zdziwieni hinduiści inkarnują się w małego kundelka na Ochocie, a scjentolodzy wcielają się w jeszcze lepszego gwiazdora kina akcji. No bardzo chciała się w ostatnich minutach życia przekonać do jakiegoś sexy pośmiertnego rozwiązania – tak na wszelki wypadek – ale nie potrafiła.

Czyli koniec? Ciemność? Nic?

Gdyby mogła wybierać, to chciałaby zostać duchem opiekuńczym. Obdarzoną świadomością energią, która trwa dotąd, dopóki tutaj został ktoś, kto potrzebuje wsparcia. Lubiała myśleć, że najukochańsza babcia Ala zawsze jest przy niej i – choć nie mówiła o tym nawet Karolowi – naprawdę wiele razy babcina interwencja z zaświatów jej pomogła. Jak wtedy, gdy będąc w domu sama, zakrztusiła się chrupkiem ryżowym, nie mogła oddychać, traciła już przytomność i wybiegła na klatkę schodową w nadziei, że ktoś wezwie pomoc. Potknęła się na progu i wyrznęła cyckami w ziemię z taką siłą, że kawałek chrupka wystrzelił z tchawicy i uderzył w drzwi po drugiej stronie korytarza. Nie miała wątpliwości, że to

babcia podstawiała jej nogę. Chciałaby zostać dla Karola i Kasi takim duchem, podstawiającym nogę w odpowiednim momencie.

Krzyknęła, kiedy kolejny skurcz, o wiele gwałtowniejszy, chwycił ją za łydkę. Zanurzyła się pod wodę, wypłynęła, prychnęła i znowu odwróciła na plecy, jęcząc głośno i wypychając piętę do przodu, żeby rozprostować zaciśnięty mięsień. Udało się, ale wtedy skurcz złapał ją od strony piszczeli, odpuściła i ten w łydce powrócił ze zdwojoną siłą. Znowu krzyknęła.

Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzała w myślach. Jeszcze masz siłę. Odetchnij, rozluźnij się, odpocznij.

Nie wiadomo po co, ale co innego ci zostało.

Udało jej się opanować skurcz, ale wiedziała, że najmniejszy ruch sprawi, że wróci. Cieszyła się, że walczy do końca. Nie miała się komu pochwalić, ale odrobina osobistej satysfakcji jako ostatnie uczucie przed końcem, zawsze coś. Karol kiedyś jej wyznał, jaka jest jego wizja zaświatów. Zaczepnięta z jakiejś książki dla dzieci, w której bracia spotykają się po śmierci w fantastycznej krainie. Karol, stary ćpun fikcji, wierzył, że nasza świadomość zostaje zachowana w ostatniej myśli i ta przedśmiertna fantazja – zamrożona jak komar w bursztynie – jest naszym osobistym zaświatem, trwającym w nieskończoność marzeniem sennym.

Co wybrać?

Miała taką chwilę w sierpniu nad Bałtykiem. Pojechali rowerami kilka kilometrów od wiejskiego kurortu, żeby nie smażyć się ze wszystkimi. Leżała na plecach, tak jak teraz, i czytała nowego Orbitowskiego, zasłaniając książką światło. Szaleńcze piski sprawiły, że odłożyła lekturę, przysłoniła oczy dłonią i jako dobra matka kwoka sprawdziła, czy wszystko gra. Grało jak najbardziej, Kasia na golasa biegła wzdłuż brzegu, chlapiąc na wszystkie strony, a Karol gonił ją z wiaderkiem pełnym morskiej wody. Nagle jednak zmienił zdanie i pobiegł w jej stronę i zanim zdążyła zaprotestować, cała trójka przewalała się w piachu. Tak, w tej chwili mogłaby spędzić wieczność, tylko tego Orbitowskiego wymieniałaby na *Mistrza i Małgorzatę* albo *Miłość w czasach zarazy*, pisarz dobry, ale nie aż tak, żeby go czytać po wsze czasy.

Nie ma co walczyć, pomyślała. Rzut oka na świat i zanurkuje.

Otworzyła oczy, popatrzyła w niebo, jeszcze gęściej usiane gwiazdami po tym jak księżyc schował się za horyzontem. Latawiec drogowski wisiał teraz nad nią, prawie w zenicie. Obróciła się ostrożnie na brzuch, żeby nie prowokować kolejnego skurczu, ale nawet ten ostrożny ruch sprawił, że zaczęła ciężko oddychać, ledwo żywa z wyczerpania. Rozejrzała się. „Vincenta” ani śladu. Część nieba delikatnie szarzała, pewnie stamtąd nadejdzie świt. Szkoda, że go nie zobaczy, zawsze wołała świty od zachodów słońca. Codzienne zwycięstwo światła wydawało jej się magiczne i potężne. Tam też tuż nad widnokregiem mocno świeciła jakaś gwiazda, zapewne Wenus, na zmianę zasłaniana i odsłaniana przez falę.

Żegnaj, świecie, pomyślała profesorka Zofia Lorentz i zanurzyła się pod wodę.

A jeśli to nie Wenus, tylko ten rekwizyt z mrocznego porno?

Niemożliwe.

A jeśli?

Kurwa mać, dlaczego po prostu nie może umrzeć w spokoju!

Wynurzyła się, przetarła oczy, zlokalizowała jasną gwiazdę i zaczęła płynąć w jej stronę jedynie ruchami ramion, każdy ruch nogami powodował wycieńczające skurcze.

Gwiazda czy nie gwiazda?

Nie miała pewności, czy znikanie i pojawianie się białego światła to efekt zasłaniania widnokregu przez fale, czy zaprogramowane migotanie diody LED. Cóż, za chwilę się przekona.

A jednak nie gwiazda. Wysoka, długa oceaniczna fala wyniosła ją w górę i wtedy zobaczyła światełko nie na horyzoncie, tylko kilkanaście metrów od siebie, w ciemnej dolinie fali. Nie bacząc na to, że dyszy, rzezi i krztusi się wodą, nie zważając na bolesne skurcze mięśni, zaczęła płynąć szybko w tamtą stronę, przekonana, że jeśli przestanie, światło zniknie. I zupełnie zapominając o tym, że chwilę wcześniej, pogodzona z losem, zamierzała dostojnie opaść w głębiny.

Po kilku minutach, na skraju omdlenia, histerycznie płacząc ze szczęścia, chwyciła piankowy kombinezon, zwinęła go w kulę, przycisnęła do piersi i unosząc się na nim jak na piłce, uspokoiła oddech. W tej pozycji, bojąc się drgnąć, żeby nie stracić cennego sprzętu, dotrwała do momentu, kiedy gwiazdy zgasły, szare niebo



zabarwiło się błękitem, a czarny ocean przybrał ciemnograny kolor.

Dopiero wtedy rozwinęła kombinezon i obejrzała dokładnie. Miał suwak od krocza do szyi, kaptur z zamocowaną osłoną na twarz i nadmuchiwany kołnierz. Zamontowane na ramieniu błyskające światło nieprzyjemnie oślepiało, ale nie przeszkadzało jej to. Rozpięła suwak i leżąc na wodzie, ostrożnymi ruchami wsunęła stopy w nogawki. Potem wcisnęła ręce w rękawy, zapięła suwak do połowy i spróbowała wycisnąć nadmiar wody z kombinezonu, żeby ściślej przylegał do ciała. Operacja zakończyła się totalnym niepowodzeniem i tylko odebrała jej resztkę sił, dlatego naciągnęła kaptur na głowę, zasunęła suwak do samej góry i zabezpieczyła usta i nos osłoną, która chroniła od wody, kiedy leżała na plecach. Potem przez plastikową rurkę nadmuchiwała kołnierz, tworzący jakby poduszkę do leżenia na wodzie.

Zwycięstwo, pomyślała. Teraz jestem sama na środku oceanu, przebrana za ludzika Michelina, i zamieniłam szybkie utonięcie na powolną śmierć z wycieńczenia i pragnienia. Brawo Zośka!

Usnęła, zanim pierwsze promienie słońca wystrzeliły zza wschodniego horyzontu.

## 2

Olga Gavrilescu zbudziła się o świcie, skróciła poranną toaletę do piętnastominutowego niezbędnika cywilizowanej kobiety i pobiegła na mostek. Nie dawały jej spokoju nocne wydarzenia. Tuż po północy miała właśnie schodzić do kajuty po obchodzie, kiedy rozpisywały się radary, odbierając sygnał z nadajnika SART. Urządzenia znajdowały się standardowo w większości środków ratunkowych „Vincenta”, nadawały specjalny sygnał widoczny na radarach pobliskich jednostek. Nieocenione w poszukiwaniach, kiedy ekipa ratunkowa dociera w miejsce zdarzenia. Wypatrzenie oczami nawet tratwy, nie mówiąc już o pojedynczym rozbitku, jest mało prawdopodobne, a przy złej pogodzie po prostu niemożliwe. Tymczasem sygnał SART wyświetla się na radarze jako ścieżka pokazująca drogę do celu. Bardzo skuteczne, o ile tylko nadajnik

znajduje się w zasięgu radaru jednostki, co w przypadku „Vincenta” oznaczało około dwudziestu mil.

W nocy zdziwieni spojrzeli po sobie z drugim, zmniejszyli prędkość i podeszli do „oka”, żeby rozejrzeć się wokół. Szybko zlokalizowali za rufą błyskające światło kombinezonu. Nawet w świetle księżyca widać było, że jest pusty, ale sprawdzili jeszcze otoczenie statku za pomocą kamer noktowizyjnych i termowizyjnych, stwierdzając, że oprócz pustego kombinezonu niczego tam nie ma, a już na pewno niczego w temperaturze człowieka.

Wolno płynąc, przez następny kwadrans lustrowali przestrzeń wokół statku. Poza pustym kombinezonem – nic. Olga Gavrilescu wpisała zdarzenie do dziennika pokładowego, obiecała sobie znaleźć i ukarać dowcipnisia, który po pijaku wyrzuca za burtę środki ratunkowe, poleciła zwiększyć prędkość i zamknęła za sobą drzwi do sterowni, dokładnie w chwili, kiedy Zofia Lorentz pierwszy raz krzyknęła: „ratunku!”.

Teraz wróciła do sterowni, przywitała się z pierwszym, stwierdziła, że reszta nocy upłynęła, jak na ten nudny akwen przystało, spokojnie, zrobiła sobie kawę, obudziła trzeciego i kazała mu sprawdzić stan osobistych środków bezpieczeństwa, przede wszystkim kombinezonów ratunkowych, u wszystkich członków załogi.

Wyszła z kawą na skrzydło mostku. Dzień słoneczny, bryza ciepła i miła, morze nudne, witamy w zaczarowanym świetle Zatoki Gwinejskiej, rajy marynarzy bez ambicji i żeglarzy obywających się bez wiatru, szlag by to trafił.

Rozejrzała się. I dostrzegła otwarte na oścież okno kabiny Zofii Lorentz. Logiczne, żaden marynarz nie otwiera okna w kajucie, chyba że chce wyrzucić peta albo puszkę po piwie. Tylko szczury lądowe lubią się wietrzyć, jakby to był dom wczasowy, bo nie widzieli nigdy, jak fale walą o ściany nadbudówki z siłą rozpedzonych pociągów.

Dla świętego spokoju podeszła do komputera, zalogowała się do systemu bezpieczeństwa i sprawdziła, że Zofia Lorentz o siedemnastej opuściła żyrolab, o osiemnastej zeszła na kolację, a godzinę później wróciła do siebie. I zaczęła w dzikim szale

wyrzucać środki ratunkowe przez okno? Olga widziała na morzu niejedną atak paniki, jej pasażerka sprawiała ostatnio wrażenie rozhisteryzowanej, ale żeby wyrzucać coś przez okno? Siebie samego, tak, to się zdarzało, ale...

*Futu-ți pizda mă-tii*, zaklęła głośno po rumuńsku.

Zeszła pokład niżej, zapukała do drzwi kajuty Zofii, odczekała chwilę i otworzyła je swoją kartą. Pokój był pusty, łazienka tak samo, w szafie brakowało kamizelki i kombinezonu ratunkowego.

Sięgnęła po radio.

– Pierwszy, tu kapitan. Zmiana kursu o sto osiemdziesiąt stopni i cała naprzód.

Nie czekając na potwierdzenie, zadzwoniła do drugiego, musiała chwilę czekać na odzew, zszedł z wachty ledwie dwie godziny wcześniej.

– Drugi, wracaj na mostek i wyznacz kurs na kombinezon z nocy, uwzględnij dryf od wiatru i prądu. Wygląda na to, że pasażer wyskoczył nam za burtę.

### 3

Tyle lat tu spędził, a nigdy nie przestał mu doskwierać brak polskich śniadań. Więcej, im dłużej tu mieszkał, tym bardziej brakowało mu polskich śniadań. Zwłaszcza teraz, kiedy wrócił w Pireneje i zaczął dzień od wyjścia na balkon, odetchnięcia zimnym powietrzem i oglądania świtu nad wzgórzami, uderzyła w niego nostalgia za rodzinnymi stronami. Ech, zejść do kuchni, żeby zastać na stole miche twarogu, miche jajecznicy ze skwarkami i kosz kromek chleba z grubaśną skórką.

Kto wie, w końcu chociaż administracyjnie to Francja, ale tak naprawdę Katalonia, może mają tutaj inne zwyczaje kulinarne. Poszedł na spacer błotnistym leśnym traktem, myśląc o tym, że osiem stopni na plusie zimą w górach to jednak nie jest normalne. I że dziwnie być przedstawicielem ostatniego zapewne pokolenia, które w ogóle doświadczało zimy w Europie. W niepamięć odeszły maszyny parowe, z ulic miast zniknęły dorożki, a teraz do imaginarium przeszłości dołączyły bałwany i sanki, zabawne.

Zatrzymał się na mostku przerzuconym nad biegnącą kamienistym kanionem rzeczką, żeby się chwilę pomodlić, po czym wrócił do hotelu.

Ruhsar Varank czekał już przy śniadaniu, na które podano kawę, sok pomarańczowy, jogurt, croissanty i bułeczki z czekoladą. Pocięszył się w myślach, że skoro zim nie ma, to może porządne śniadania też już nie są potrzebne.

– Czytaj. – Varank podsunął mu telefon z otwartą aplikacją z wiadomościami, kiedy usiadł z kawą przy stoliku.

Czerwononosy dyrektor jeszcze przed siódmą przysłał wiadomość o treści: „Wypowiedzenia nie będą potrzebne. Wszystko ustalone. Zapraszamy na festyn”.

Pokiwał głową, wgrzył się w croissanta. Ludzie są tacy przewidywalni. Wielkie idee, wielkie spiski, wielkie plany i rewolucje, wszystko kończy się tam, gdzie zaczyna się przestrzeń dyskomfortu danej jednostki.

– Ponieśmy za ideę śmierć, ale nie zaraz – zacytował Varankowi po francusku.

Turek zaskoczył go. Nie dość, że uśmiechnął się do niego po przyjacielsku, to jeszcze dodał:

– Ponieśmy, jasna sprawa, tylko za jaką?

Francuszczyzna Varanka była poprawna, ale dość szkolna i świeżej daty, nie podejrzewał go o umiejętność cytowania z pamięci czegokolwiek poza kartą win. Nie wiedział, jak się zachować, ponieważ już dawno uznał Varanka za irytującego dupka i nie miał ochoty zmieniać zdania. Cóż, nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni.

– Marcel, zanim pojedziemy do instytutu, chciałbym cię o coś zapytać.

– Ruhsar, miej litość, nie mam ochoty na te kpiny. Załatwmy, co mamy do załatwienia, i spadajmy stąd. Przygnębiają mnie zimowe góry bez zimy.

– Na poważnie. Obiecuję.

Patrzył na niego dłuższą chwilę, w końcu skinął przyzwalająco głową, skrzywioną miną dając do zrozumienia, co o tym myśli.

– Czy ty naprawdę wierzysz w Boga?

– Ruhsar, kurwa...

– Zaczekaj! Poważnie pytam. Czy naprawdę wierzysz w Boga? W sensie, czy jesteś polskim katolikiem, który łązi nawalony do kościoła, szukając po drodze jakiegoś Żyda lub pedała, żeby go jebnąć kamieniem ku chwale Chrystusa, czy też, rozumiesz.

– Czy też wierzę we Wszchemogącą Istotę, Stwórczynię Wszechrzeczy, która daje mi moc bycia dobrym, jeśli tylko znajdę w sobie siłę i odwagę, żeby z niej skorzystać?

– Dokładnie o to pytam.

Sięgnął po bułeczkę z czekoladą, żeby zyskać na czasie. Varank ze swoim pytaniem niebezpiecznie wpasował się w myśli, które nie dawały mu ostatnio spokoju. Po wczorajszej wizycie w instytucie po raz pierwszy od dawna poczuł się zagubiony. Nie wiedział, czy Turek pyta, ponieważ podziela jego niepokój i szuka zrozumienia, czy też wyczuł jego niepokój i teraz upewnia się, zanim go podpierdoli w centrali i wyśle na wcześniejszą emeryturę. Wiedział za to, że jeśli rosnąca w jego ustach deklaracja jest prawdziwa, w ogóle nie powinien w ten sposób kombinować.

– Tak, Ruhsar, naprawdę w to wierzę.

– W takim razie musimy porozmawiać.

## 4

Patrzyła na mapę elektroniczną z wykreślonym kursem i słuchała drugiego, który, z ciągle opuchniętymi po zbyt krótkim śnie oczyma, prezentował swoje obliczenia.

– Wiatru prawie nie ma, prąd płynie na zachód z prędkością od pół do nawet ponad węzeł, to dobra wiadomość. My od czasu sygnału SART płynęliśmy wolno, pokonaliśmy niecałe czterdzieści mil. W tym czasie kombinezon zdryfował w naszą stronę około sześciu mil. Teraz robimy piętnaście węzłów, będziemy tam za dwie godziny, za trzy kwadransy powinniśmy znowu złapać sygnał na radarze. Czy mogę zapytać, czemu taka decyzja? Pół godziny sprawdzaliśmy, w wodzie nikogo nie było, nawet jeśli ktoś wyskoczył, musiał pójść od razu na dno.

– Chcę uspokoić sumienie, a panu zapewnić trochę morskiej rozrywki, drugi. Rdzewiejecie wszyscy na tych wczasach. Sztormów

nie ma, manewrów portowych nie ma, innych jednostek nie ma. Co to ma znaczyć, że stawiacie się na mostku nieogoleni i nieuczesani?

– Przepraszam, prosto z łóżka...

– Macie pięć minut, żeby tu wrócić w stanie, który przystoi oficerowi.

– Tak jest, pani kapitan.

Rosjanin wyszedł. Wielkie afrykańskie słońce wisiało już całe nad horyzontem, jego promienie oślepiały, wpadając poziomo do przeszklonej sterowni. Prawie siódma, odczeka jeszcze chwilę, żeby dział cargo wygrzebał się z łóżek, i poinformuje ich o sytuacji. Zapewne okaże się, że Zofia siedzi gdzieś u nich i sprawa się wyjaśni, ale po ten kombinezon i tak wróci.

## 5

Karol Boznański obudził się wcześniej, z poczuciem silnego dyskomfortu, którego nie potrafił nazwać. Czuł się bardzo senny i zmęczony. Gdzie on jest? Ach, tak, klinika, ma jakieś problemy psychiczne. O co chodziło dokładnie? Nerwice? Lęki? I dlaczego nie może się leczyć w domu? Myśl o domu sprawiła, że poczuł się trochę lepiej, próbował przywołać jakieś wspomnienia, ale obrazy nie chciały wskoczyć na swoje miejsca, jakby wymieszał w pudełku z puzzlami kilka różnych zestawów, potem wyrzucił połowę i teraz nic do niczego nie pasowało.

Dom z czerwonej cegły, stodoła zamieniona na garaż ze srebrnym samochodem w środku, sypialnia z widocznymi krokwiemi, sarta książek na stoliku nocnym. Taki dom pamiętał, ale czuł, że coś w tym wspomnieniu nie gra, trochę jakby oglądał zdjęcia w katalogu, emocje nie pasowały do tego wnętrza. Kobieta z czarnymi oczami. Ona z nim mieszkała w tym wnętrzu? Czy w innym?

Usiadł na łóżku i potrząsnął głową. Może to jakiś wirus? Czuł się jak ścierka, a raczej jakby mu mózg owinięto mokrą szmatą, jego czaszkę wypełniało coś brudnego i nieprzyjemnego, co przeszkadzało myśleć. Mają w tej klinice aspirynę? Dają mu w ogóle jakieś leki?

Wstał, żeby podejść do drzwi, i w końcu zdał sobie sprawę, że uczucie dyskomfortu spowodowane zostało faktem, że zmoczył się do łóżka. Patrzył zaskoczony to na plamę na prześcieradle, to na mokre bokserki, jakby żadna z tych rzeczy nie miała związku z nim. W końcu postanowił, że najpierw weźmie prysznic i ubierze się, a dopiero potem poszuka polopiryny. To znaczy aspiryny chyba, nie był pewien, jak się mówi.

## 6

W gabinecie czekali na nich dyrektor, kawa i kilka kawałków *gâteau des rois* na talerzykach. Za oknem dzieci cieszyły się wiosenną pogodą w styczniu, korzystając z atrakcji festynu. Kluzka pomyślał, że w czasach jego dzieciństwa wyglądało to podobnie. Ojciec pracował w Nowomagu, na pierwszego maja i dwudziestego drugiego lipca firma organizowała rodzinne pikniki, raz przyjechał nawet iluzjonista z Krakowa, pamiętał do dziś. Dlaczego ceną za dogonienie Zachodu musiała być likwidacja zakładowych pikników? Zagadka. Ale rozumiał, dlaczego w obronie tego świata ktoś z instytutu postanowił zdradzić swoje idee.

– To trochę nie fair, kiedy nie możemy wybrać kawałka – powiedział.

– Słucham? – dyrektor, w wersji džinsy, żeglarskie mokasyny, koszula opięta na brzuchu, wydawał się autentycznie zdziwiony.

– *Gâteau des rois*. Powinniśmy wybrać swój kawałek, żeby znaleźć figurkę.

– Zaskoczył mnie pan, nie sądziłem, że zna pan francuskie tradycje. Pan skąd pochodzi?

– Z Polski.

– Macie w Polsce jakieś kulinarne tradycje na święto Trzech Króli?

– Procesję.

Dyrektor przez chwilę patrzył pytająco, potem zrozumiał i roześmiał się.

– No tak, tylko we Francji każda uroczystość musi zostać zamieniona w święto żarcia. Panowie, tak jak prosiliście, wydrukowałem wszystkie informacje, korzystałem z komputera, który nie ma połączenia z siecią, nikomu nie wysyłałem, pliku nie zachowywałem nigdzie. Napisałem, zrobiłem print, skasowałem.

Przesunął w ich stronę złożoną na pół kartkę formatu A4. Marcel sięgnął, otworzył tak, żeby i on, i Varank mogli przeczytać kilka lakonicznych linii tekstu.

Statek. Oczywiście, to miało sens.

– Bardzo dziękujemy – powiedział, udając, że nie widzi, jak dyrektor wstrzymuje oddech, a na czoło występują mu krople potu.  
– Życzymy miłego festynu, no i oczywiście pomyślnych badań, dobrze pan wie, że dla firmy ten instytut jest perłą w koronie.

7

Zaskoczyło ją, kiedy na mostku zjawił się sam Bogdan Smuga, którego w myślach nazywała „armatorem”. Widywała go tylko w wyjątkowych sytuacjach. Oboje wychodzili z założenia, że nie należy naprawiać czegoś, co nie jest zepsute. Dopóki jajogłowi robili swoje, nie wieszając ofiar na antenie radarowej i nie spuszczać po pijaku tratw ratunkowych, a ona planowała żeglugę w sposób, który zapewniał im spokój i bezpieczeństwo, ten mechanizm działał zgodnie z założeniami. Trzymając się zasad, poinformowała Mireille Hamidou o czymś, co w sumie nie było niczym więcej niż ćwiczeniem z procedur bezpieczeństwa. Nie spodziewała się reakcji.

– Dostałem informację o nagłej zmianie kursu.

– Tak. W nocy ktoś wyrzucił do morza kombinezon ratunkowy, postanowiłam skorzystać z okazji i rozruszać załogę.

– Czy doszło do wypadku?

– Kombinezon był pusty, nasze przyrządy nie zarejestrowały ciała wokół statku, wśród marynarzy i oficerów bezpieczeństwa nikogo nie brakuje, pani Hamidou zameldowała, że u was też wszyscy obecni.

– W takim razie dlaczego przyśpieszyliśmy, marnując paliwo i zmniejszając komfort żeglugi?



Stała nieruchomo w swoim czarnym golfie, trzymając ręce założone za plecami, nie okazując, jak bardzo jest zdumiona.

– Warunki, w jakich żeglujemy, są wyjątkowo rozleniwiające dla załogi, zwykle tropikalny spokój to krótkie wakacje na długich przelotach. Muszę robić ćwiczenia. Przy okazji, skoro już rozmawiamy, chciałabym się upewnić, że Zofia Lorentz jest w żyrolabie. Pani Hamidou potwierdziła, ale pytam jeszcze pana.

– Dlaczego?

– Dlatego, że to w jej kajucie brakuje kamizelki i kombinezonu, a okno jest otwarte na oścież. Nie ma też pasażerki. Nie było jej na śniadaniu. Z logu jej karty wynika, że wieczorem weszła do kajuty i już nigdy nie wyszła. Nie mam powodów, żeby nie wierzyć profesor Hamidou, mam jednak powody sądzić, że być może szukamy rozbitka, a nie jedynie kombinezonu.

– Mireille mówi prawdę. Zofia Lorentz miała w nocy atak paniki, zabraliśmy ją do żyrolabu, jest pod dobrą opieką. Proszę zawrócić i oszczędzać paliwo.

Gestem zaprosiła go do ekranu radarowego. Żółta kreska kręciła się po koncentrycznym polu jak wskazówka sekundnika na dopingu. W zasięgu radaru nie było lądu, innych jednostek, fal lub opadów, od których mogłaby się odbić radiowa fala. Ekran był pusty, nie licząc jednego mrugającego punktu, połączonego przerywaną linią z symbolem ich statku pośrodku pola.

– Zostało nam osiem mil. Skoro wszyscy są bezpieczni, proszę mi pozwolić dokończyć ćwiczenia. Lokalizowanie rozbitków i podnoszenie ich z wody to najważniejsze procedury w naszym fachu. Teraz nic się nikomu nie stało, ale jutro ktoś się potknie i przeleci przez reling, wtedy będzie wam zależało, żebyśmy potrafili szybko i sprawnie przeprowadzić akcję ratowniczą.

Bogdan Smuga spojrział na nią ze zrozumieniem. Kamień spadł jej z serca, ponieważ przez chwilę miała wrażenie, że coś poszło bardzo nie tak i naukowiec próbuje to zatuszować za wszelką cenę.

– Proszę natychmiast wrócić do poprzedniego kursu i prędkości – powiedział i wyszedł.

Nie można się bać cały czas. Strach to jeden z najważniejszych mechanizmów wykształconych w procesie ewolucji, powstrzymuje nas przed głaskaniem jadowitego węża i każe uciekać, kiedy stado słońi rusza galopem w naszą stronę, zwiększa to szanse przetrwania i sprzyja reprodukcji genów w przyszłych pokoleniach. Ale jest to tryb awaryjny, nie można go mieć uaktywnionego cały czas, organizm na to nie pozwala. Dlatego Zofia Lorentz po obudzeniu czuła się spokojna, najwyraźniej cały zapas przerażenia wyczerpała w nocy.

Wysikała się w kombinezon, rozpięła kołnierz, żeby przepłukać usta obrzydliwą morską wodą, i zaczęła na dużą falę, żeby się rozejrzeć. Tak jak przypuszczała, dookoła rozpościerał się bezkresny i beznadziejnie pusty ocean, nad nim niebo, na niebie słońce. Przez chwilę serce zabiło jej żywiej, gdy na horyzoncie zobaczyła białą kwadratową kropkę, która mogła być nadbudówką wracającego po nią „Vincenta”, ale trzy fale później kwadratowa kropka zniknęła, więc uznała, że to tylko figiel wyobraźni, niemożliwe, żeby ktoś chciał po nią wrócić. Rozumiała, że byłoby to wbrew logice całego projektu. Prędzej po kombinezon, opisany środek ratunkowy mógł zostać przez kogoś znaleziony i zapoczątkować dochodzenie, ale zapewne morze wszędzie wyrzuca takie gadzety i nikt się nimi nie przejmuje, lądują razem ze starymi kotwicami jako wystrój plażowych tawern. Swoją drogą, zawsze się zastanawiała, czy na świecie faktycznie wyprodukowano tyle kotwic, żeby starczyło na wszystkie knajpy w każdym nadmorskim kurorcie świata? Czy też istnieją producenci kotwic tylko i wyłącznie ozdobnych? Ciekawe.

Doskonale rozumiała, że umrze. W nocy ta myśl budziła w niej rozpacz i histerię, teraz zaledwie smutek. Potrafiła się nawet cieszyć z tego, że nie utonie. To znaczy, raczej nie utonie, bo być może za chwilę zerwie się wiatr i grzywacze wielkości kamienic wyślą ją na dno razem z kombinezonem. Ale na razie unosi się na wodzie i raczej nie utonie. Umrze z pragnienia. Nie miała pojęcia, czego w związku z tym ma się spodziewać, ale na logikę ten rodzaj śmierci bliższy pewnie jest hipotermii niż utonięciu. Będzie coraz słabsza i słabsza, aż w końcu umrze. Ile to potrwa? Mówi się, że trzy dni, ale cholera wie. Wczoraj musiała mnóstwo wypocić w czasie poszukiwań kombinezonu, na pewno przybliżyło to ją o dzień, może

nawet dwa do śmierci. Już ma spierzchnięte usta i z trudem przętyka ślinę. Z jednej strony stałe zanurzenie w wodzie sprawia, że odwadnia się wolniej, z drugiej tropikalny upał nie pomaga.

Uznała, że do następnego ranka dotrwa. I ta myśl nie sprawiła wcale, że wybuchnęła płaczem, wręcz przeciwnie, Zofia Lorentz odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do siebie. Doba, zawsze coś. Powspomina najfajniejsze momenty życia, skupi się, żeby wysłać światełko miłości tym, których kocha najbardziej, ostatni raz zachwyci się zachodem i wschodem słońca, poszuka śmiesznych kształtów w konstelacjach gwiazd, zrobi listę najfajniejszych lektur, popłacze trochę, wyobrażając sobie pożegnania z najbliższymi. Nie każdy może w ciszy i spokoju – i na dodatek w ciepłym morzu – przygotować się na koniec. Skoro już dostała taką szansę, zamierzała ją wykorzystać.

## 9

Siedem mil morskich, trzynaście kilometrów, dzieliło ich od nadajnika zagubionego kombinezonu. Zdecydowała, że jeśli na zdjęciach z oka zobaczy cokolwiek, nie zawróci, zabarykaduje się na mostku i niech jajogłowi razem ze swoim cynglami zdobywają statek i potem uczą nim sterować, powodzenia.

Powiększała na monitorze zdjęcia dokładnie w chwili, kiedy Zofia Lorentz sikała do swojego kombinezonu. Ale trzynaście kilometrów to ogromna odległość nawet dla bardzo zaawansowanej optyki. Ocean to nie woda w misce, tylko ogromny, ruszający się na wszystkie strony organizm. Wystająca nad wodę głowa człowieka to w tych warunkach nawet nie ziarnko piasku i nie łepiek od szpilki, ale wirus, bakteria, nie da się ich dostrzec, niezależnie jak bardzo wysilamy wzrok.

Może gdyby akurat wtedy Zofia się wyprostowała, żeby zlustrować horyzont, może gdyby promienie słońca odbiły się od naszytej na kombinezon odbłaskowej taśmy, może gdyby łaskawa fala uniosła w odpowiedniej chwili rozbitka.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Wracamy na kurs dwa pięć zero – powiedziała Olga Gavrilescu, zamykając zdjęcia na ekranie. – Prędkość pięć węzłów. Do poprzednio wytyczonego waypointa, potem zdecydujemy w zależności od pogody.

– Tak jest, pani kapitan.

## 10

Siedzieli na ławce-palarni koło wejścia do Francuskiego Instytutu Badań nad Cukrzycą, grzejąc się w promieniach słońca i gapiąc na dzieciaki zjeżdżające z nadmuchiwanego zamku, ich piski zlewały się w jeden hałas z syczeniem sprężarki i lecącą z głośników Zaz.

– Wiesz, o czym myślę, kiedy na nich patrzę? – Varank wskazał ruchem głowy piknikowy tłumek.

– No?

– O swojej pierwszej robocie we Francji. Mała placówka analityczna pod Marsylią, z niezłą renomą. Pracowało nas tam trzydzieści osób, piętnaście na kontraktach stałych, piętnaście na terminowych. Ja oczywiście na śmieciówce, co mnie nie zdziwiło, byłem zdolny, ale młody, takich gówniarzy z doktoratem legion w każdej branży. Ale wśród naszej połowy sporo pracowało gości doświadczonych, jeden profesor nawet.

Varank przerwał gwałtownie, podniósł palec w górę.

– Ale co, mam zgadywać? – zapytał zdziwiony Kluzka.

– Nie, chciałem posłuchać. To mój ulubiony kawałek Zaz.

Marcel wsłuchiwał się przez chwilę w słowa.

– Przypomnij mi, kim jestem, jeśli kiedykolwiek zapomnę. – Uśmiechnął się. – Symboliczne.

– Dokładnie. Co ja mówiłem?

– Jeden profesor.

– Czyli podział nie przebiegał po linii wieku ani po linii naukowego doświadczenia.

– Staż pracy? – zapytał Kluzka.

– To by było logiczne wytłumaczenie, ale też nie. Profesor faktycznie pracował od niedawna, ale inni z mojej grupy siedzieli

tam prawie dekadę. Przy mnie stały kontrakt dostali ludzie zatrudnieni po mnie.

– Język. To jest Francja, Ruhsar, pamiętaj, wystarczy ze złym akcentem poprosić o kawę, żeby kelner zmarszczył nos z obrzydzenia. W każdym miejscu świata, jak poprosisz w sklepie z zabawkami o pluszowego korkodyła, to dostaniesz zabawkę, uśmiech i resztę. Tutaj zbierze się cała obsługa, żeby synchronicznie podnosić brwi, bo przecież nie ma takiego zwierzęcia.

– Też nie. Jasne, jestem Turkiem, nie mam wielkich oczekiwań. Ale kontrakt bezterminowy dostał Litwin i nawet jeden taki dziki Polak jak ty. A w naszej grupie pracowali Francuzi od pokoleń, moja najlepsza kumpelka, jaką tam miałem, urodziła się w Montpellier.

– Czyli płęć też nie.

– Nie.

– Okej, zaciekawileś mnie. To o co chodziło? Ci lepsi byli prawdziwymi laickimi ateistami? Studiowali w tej samej szkole, co szef placówki? Nie byli nosicielami HPV? Mieli grupę krwi zero? Rzadką mutację genetyczną, która uodparniała ich na broń biologiczną, nad którą pracowaliście?

Varank roześmiał się.

– Z mutacją genetyczną trafiłeś, ale nie uznałbym jej za rzadką, dwanaście procent ludzkości legitymuje się tymi genami. Recesywnymi, fakt, ale to wciąż mnóstwo ludzi.

Kluzka spojrzał pytająco. Ruhsar Varank uśmiechnął się w odpowiedzi i jeszcze raz ręką wskazał tłumek – dyskutujących z talerzykami w rękach dorosłych, dzieci na zjeżdżalni, kilka berbeci na rękach, z tyłu stała nawet grupka nastolatków, śmiertelnie obrażonych, że zmuszono ich do uczestnictwa w festiwalu małomiasteczkowej żenady.

Marcel zrozumiał. Wszyscy obecni na festynie byli biali.

– Ale jak im się udało to utrzymać? – zapytał Turka. – Przecież ludzie mają staż pracy, awansują, są jakieś czytelne reguły.

– Jasne. Nasza firma miała czytelną regułę, że trzeba przed awansem przejść rozmowę z psychologiem. I jakoś tak się składało, że jeśli nie byłeś biały, to pani psycholog nie uznawała cię za gotowego do poradzenia sobie z brzemieniem umowy bezterminowej. Rozumiesz, dlaczego o tym mówię?

– Świat jest niesprawiedliwy.

– Nie, Marcel. Niesprawiedliwe są reguły gry w Monopol, bo wygrywa ten, kto ma więcej farta. Świat jest okrutny, bezlitosny i tak zjebany, że chce się rzygać, kiedy dostrzegasz panujące w nim reguły. Pytanie – pomachał złożoną na cztery kartką papieru, którą dostali od dyrektora – czy my chcemy stać się architektami nowego, nieznanego dotąd, poziomu zjebania. Poziomu turbohiperzjebania, w którym jedna firma będzie kontrolować dystrybucję długowieczności, zgodnie z wymaganiami rady nadzorczej i walnego zgromadzenia akcjonariuszy.

11

Słońce stało w zenicie, kiedy zaczynała podejrzewać, że śmierć z odwodnienia wcale nie jest tak miła i przyjazna jak hipotermia. Czuła się jak osoba, która w napadzie szaleństwa wymieszała zawartość worka odkurzacza ze szklanką soli i taką oto magiczną substancję zre bez przerwy łyżkami. Usta miała suche i spierzchnięte, język i gardło wyschnięte i jakby zakurzone, a płukanie morską wodą przynosiło bardzo krótkotrwałą ulgę, a zaraz potem pogorszenie.

Na dodatek chciało jej się kupę.

Zielone curry z krewetkami, kawa, kawałek sernika w amerykańskim stylu, a wcześniej jeszcze warzywne sajgonki, zjadła ich chyba ze cztery, tłumacząc sobie, że musi mieć siły na ucieczkę łodzią ratunkową, ale tak naprawdę po prostu bardzo jej smakowały. Cały ten zestaw został pracowicie przerobiony przez jej układ trawienny, substancje odżywcze wchłonięte i niestety mimo wysokiej jakości smakowej jedzenia zostały po nim resztki, które już jakiś czas temu delikatnie zakomunikowały, że są gotowe do drogi. Teraz, dwie godziny po początkowym komunikacie, waliły pięściami w drzwi wyjściowe.

Jakie miała opcje? Trzy, wszystkie złe.

Mogła po prostu narobić w majtki. Rozwiązanie kuszące, bo natychmiastowe i niewymagające wysiłku. Powstrzymywała ją myśl, że od teraz aż do chwili śmierci towarzyszyłaby jej kupa w gaciach.

Teoretycznie nie ma to żadnego znaczenia, nikt jej nie daje punktów za styl, ale czy nie będzie jej to przeszkadzało w misterium ostatecznego pożegnania w promieniach wschodzącego słońca? Irytowała ją ostateczność tej decyzji.

Mogła zdjąć kaptur, wydostać ramiona z rękawów, ulżyć sobie i pozwolić, aby zgodnie z przysłowiem gównu wypłynęło z kombinezonu. Bała się jednak, że ta elegancka teoria może się nie sprawdzić w praktyce. Gówno nie wypłynie, tylko zabłądzi w kombinezonie, rozmaże się, zawędruje do rękawa, a ona umrze pływając w zupie z własnych odchodów, w jaką zamieni się wnętrze kombinezonu. Zacznie rzygać, odwodni się bardziej, umrze szybciej.

Mogła też wyjść z kombinezonu, elegancko dokonać toalety i wrócić do swojego gumowego domku jak gdyby nigdy nic. Tyle tylko, że w jej głowie myśl: „zdjąć na chwilę kombinezon” brzmiała jak: „zdjąć na chwilę spadochron” u lecącego skoczka. Jeśli przyjdzie fala i go zabierze? Jeśli zatonie? Jeśli coś się stanie i nie będzie miała możliwości lub siły założyć go ponownie? Co jeśli zmęczy się tak, że skróci swoje życie o kilka godzin?

Musiała zdecydować natychmiast.

12

Wszystko tu śmierdziało ściemą na kilometr. Pirenejskie odludzie, ukryta góraska willa w najlepszym stylu nowoczesnego modernizmu lat siedemdziesiątych, dyskretny szyld „Le trèsor perdu”. Mógł to być ekskluzywny *chalet* dla chcących zniknąć, miejsce schadzek dla najbogatszych oficerów korporacji albo tajny burdel z rodzaju tych hurtowo występujących w kryminałach pisanych na akord przez jej rodaków. Ale placówka medyczna? Zofia i Karol musieli znaleźć się w rozpacz, skoro uwierzyli, że najlepsze medyczne mózgi nie pracują w śmierdzących szpitalach klinicznych, tylko w pełnych dostojenstwa eleganckich willach. Szlag ją trafiał, że jakiś hochsztapler, celując zapewne w głębszych i bogatszych, naciągnął jej przyjaciół. Dlatego Lisa Tolgfors z najwyższym trudem maskowała niechęć, rozmawiając z najpierw bardzo zaskoczonym jej wizytą, a obecnie irytująco terapeutycznym naczelnym lekarzem

kliniki, szpakowatym przystojniakiem przed pięćdziesiątką o wyglądzie medycznego specjalisty z reklamy suplementów witaminowych.

– Ale czy ustaliła pani wizytę z żoną pana Karola?

– A powinnam?

– Tak byłoby lepiej.

– Dlaczego? Pacjent jest ubezwłasnowolniony?

– Słucham?

– Czy jest pan w posiadaniu dokumentu, że Karol Boznański jest ubezwłasnowolniony i wszelkie decyzje podejmuje za niego żona?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale ze względu na stan pacjenta, tak byłoby lepiej.

– Jestem jego kochanką.

– Słucham?

– Jestem jego kochanką. Mieliśmy przez wiele lat płomienny romans, uprawialiśmy seks na jachtach, zboczach wulkanów, a raz nawet na placu Świętego Piotra, zanim nas przegonili. Chcę sprawdzić, czy mój najstarszy to pamięta. I intuicja mi podpowiada, że nie powinnam tego załatwiać przez jego żonę.

Uśmiechnął się, złożył dłonie w wieżyczkę. Całkiem na serio spodziewała się, że gdy otworzy usta, powie: „przed użyciem przeczytaj ulotkę albo skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą”.

– Stan pamięci chorego niestety nie uległ poprawie – powiedział w końcu. – Wręcz przeciwnie.

– Niemożliwe. W takiej wyjątkowej placówce?

– Nie jesteśmy cudotwórcami.

Oczywiście, że nie. Jesteście ordynarnymi oszustami, szarlatanami i naciągaczami.

– Rozumiem.

Przybrała najsmutniejszy wyraz twarzy, jaki potrafiła, błędząc wzrokiem po wnętrzu gabinetu. Tomy naukowej literatury i oprawione w mahoniowe ramki dyplomy wyglądały jak zamówione ze sklepu z rekwizytami. Ściema, ściema, ściema. Zofia na pewno nie przywiozła tutaj Karola osobiście, w życiu by się nie nabrała na tak tandetną dekorację. Pytanie, co to oznacza? Czy jej przyjaciele są po prostu ofiarami kolejnej „szwajcarskiej kliniki” dla tak bogatych lub tak zdesperowanych, że za wszelką cenę chcą sobie



kupić odrobinę nadziei? Wierząc, że pan doktor z reklamy potrafi więcej niż umęczony po dyżurze ordynator neurologii? Ze dobra architektura, dębowe parkiety i menu à la carte leczą lepiej niż farba olejna do wysokości lamperii, linoleum zmywane non stop przez salową z Białorusi i purée ziemniaczane z klopsiem z kurczaka? Czy też Zofia wpakowała się w awanturę z ludźmi tak potężnymi, że potrafią wywołać u jej męża amnezję, a na dodatek uwięzić go w lipnej placówce, tylko po to, aby jej nie zabrakło motywacji?

Starzejesz się Lisa, skoro wcześniej o tym nie pomyślałaś. Bierzesz rzeczywistość za dobrą monetę, wierzysz w to, co masz przed oczami, czas pomyśleć o emeryturze.

– Proszę mnie zrozumieć – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie mogę zadzwonić do jego żony. Nie mam też niestety choroby, która pozwoliłaby wymazać wszystko, co zdarzyło się pomiędzy mną i Karolem. I nie chciałabym jej mieć, ponieważ to najpiękniejsze wspomnienia mojego życia. Dowiedziałam się, że jest tutaj i – teatralnie pociągnęła nosem – i nawet nie wiem, dlaczego przyjechałam. Może po prostu chciałam zobaczyć jeszcze raz najważniejszą osobę w moim życiu. A raczej zobaczyć po raz ostatni w jego oczach, że on wie, że pamięta, że to się naprawdę wydarzyło.

Bała się, że przesadza z egzaltacją, nigdy nie potrafiła wyczuć granicy, kiedy szczerze miłosne uniesienie zamienia się w tkliwą tandetę. Zakładając, że takie rozgraniczenie w ogóle istnieje.

– Zapewne w ogóle pani nie pozna – lekarz nie krzywił się z obrzydzenia, więc może wziął jej wyznanie za dobrą monetę. – Jego stan ostatnio się pogorszył. Naprawdę nie wiem, czy to dobry pomysł. Czy nie lepiej, żeby zachowała pani w pamięci te poprzednie obrazy?

Postanowiła zagrać *va banque*.

– Moja głowa rozumie, że ma pan rację – nachyliła się, kładąc dłoń na jego dłoni. – Ale serce chce go zobaczyć. Jeśli pan kiedyś kochał, to musi pan być po mojej stronie.

Zakłęta w myślach po szwedzku. Teraz przesadziła. Wyrzuci ją i będzie musiała mozolnie kleić jakiś plan B, szlag by to trafił. Gestem ostatniej szansy przyoblekła twarz w wyraz głębokiego smutku, mając nadzieję, że przekona to pana doktora, by nie

odmawiać Matce Boskiej Tak Bardzo Cierpiącej z Niespełnionej Miłości.

– Jestem po pani stronie.

Wstał i gestem poprosił, żeby szła za nim. Ruszyła na tyle powoli, na ile to było możliwe bez wzbudzania podejrzeń, pod jej smutnym obliczem trybiki mózgu najskuteczniejszej złodziejki świata pracowały na przyśpieszonych obrotach. Będzie musiała wykraść Karola Boznańskiego z tej placówki. Kiedy? Jak? Czy to miejsce ma ochronę? Czy jest strzeżone przez kamery? Bramę otworzono jej bez żadnego problemu. Ale kto ją otworzył? Nie widziała innych pacjentów, personelu medycznego ani porządkowego. A przecież ktoś tu sprzątał, zmywał podłogi, prał pościel, gotował posiłki.

Na zewnątrz widziała kamerę przy bramie i w wideofonie przy drzwiach, ale poza tym nie dostrzegła żadnych instalacji. Albo zostały bardzo dobrze ukryte, albo – co bardziej prawdopodobne – w ogóle ich nie zamontowano, nie traktując willi jako obiektu wymagającego specjalnej ochrony. Sensownie, wewnątrz nie odnotowała żadnych cennych sprzętów ani dzieł sztuki wyrastających ponad ledwie przyzwoite dekory, największym skarbem miejsca była architektura, a tę trudno ukraść.

W gabinecie dostrzegła czujki antywłamaniowe na oknie i detektor ruchu, tak samo w korytarzu, który teraz przemierzała. Standardowa instalacja antywłamaniowa, być może uruchamiana na noc w trybie obwodowym, albo nawet i to nie.

Przeszkloną od strony ogrodu klatką schodową weszli na piętro, z korytarza wchodziło się do kilku pokoi. Zauważyła, że wszystkie pomieszczenia wyposażone są normalnie w zamki na klucz, poza jednym na końcu korytarza, przed którym stanęli, i gdzie lekarz musiał dotknąć małym czipem czujnika pod klamką. To by potwierdzało, że cała „klinika” jest przedstawieniem przygotowanym dla jednego widza i jego żony. Dobra wiadomość, przy jednym zdezorientowanym utratą pamięci więźniu nie ma potrzeby zatrudniania sztabu ludzi. Wystarczy elektroniczny zamek, dwie osoby zmieniające się w roli lekarza-strażnika oraz ktoś do sprzątania i gotowania.

Lekarz otworzył drzwi. Uderzył ją szpitalny zapach przegrzania, potu, moczu i środków do czyszczenia.

– Uprzedzałem panią – powiedział, zapraszając ją gestem do środka.

## 13

Próbował właśnie przypomnieć sobie drugą część modlitwy do Anioła Stróża, kiedy pisnął zamek i drzwi się otworzyły. Kartka, ktokolwiek to jest, muszę poprosić o kartkę i długopis. Wszystko byłoby prostsze, gdybym mógł zapisać swoje myśli, wiedziałbym, co mi jest, miałbym jakiś punkt odniesienia.

Do środka weszła kobieta. Znajoma kobieta. Bardzo szczupła, ale raczej jak ktoś wysportowany niż ktoś głodzący się dietami. Poruszała się w zwinny, sprężysty sposób, Karol pomyślał, że mogłaby być instruktorką jogi. Dlaczego? On sam ćwiczył jogę? Znał kogoś, kto ćwiczył jogę? Bardzo piękna. Nie jak dziewczyna z sąsiedztwa, nie jak wyniosła modelka, lecz jak heroina eposu fantasy. Niezłomna poszukiwaczka przygód, która okazuje się księżniczką zaginionego królestwa.

Znał ją. Na pewno ją znał, ale skąd? Nie wiedział, jak się zachować. Bał się, że to ktoś bliski, komu sprawi przykrość, jeśli jej nie rozpozna.

Kobieta rozejrzała się po pomieszczeniu, podeszła i chwyciła go za rękę.

– Kochany, to ja – powiedziała po polsku. – Poznajesz mnie?

Uśmiechnął się, zmuszając mózg do wysiłku, chcąc zyskać na czasie. Mówiła po polsku, ale nie była Polką. Słyszał akcent. Dlaczego „kochany”? To jego dziewczyna? Żona? Nie, na pewno nie. Chyba nie.

– Ty znasz polski? – zwróciła się do stojącego w drzwiach lekarza.

– Słucham? – odpowiedział lekarz po angielsku.

– Gadzie pierdolony, żeby ci tak chuj zgnił w trupiej cipie? – powiedziała po polsku do lekarza, tonem osoby zamawiającej wino w eleganckiej restauracji.

– Słucham? – powtórzył lekarz.

– Och, przepraszam, to przez te emocje, odezwałam się po polsku?

– Sądzę, że tak.

– Pytałam, czy mógłby pan na chwilę otworzyć okno. Czuję się, jakbym miała zemdleć.

Ronja. Ronja, córka zbrojnika. Dlaczego przyszło mu do głowy to imię? Musi jej powiedzieć, że nie wie, kim ona jest. Może Ronja mu wszystko wyjaśni.

– Przepraszam – zaczął.

– Spokojnie, mój drogi – przerwała mu dziwnym, słodkim tonem.

– Za chwilę wszystko ci opowiem.

Tymczasem lekarz podszedł do drzwi balkonowych, przyłożył chip, żeby odblokować klamkę i odsunął szklaną tafłę, otwierając wejście na taras. Na to kobieta o elfiej urodzie usiadła na łóżku i załkała rozpaczliwie. Lekarz odwrócił się zaskoczony i spojrzał na Karola, jakby to od niego oczekiwał pomocy, ale ten tylko wzruszył ramionami. Nawet nie wiedział, kim ona jest.

Lekarz podszedł do kobiety, położył jej rękę na ramieniu. Na co ona wstała gwałtownie, zarzuciła mu rękę na szyję i zaczęła histerycznie łkać, wtulając głowę w kitel.

– Już, już – powtarzał lekarz, poklepując lekko plecy rozhisteryzowanej kobiety. Wyraźnie nie miał pojęcia, jak się zachować.

I wtedy kobieta wskoczyła na łóżko i powaliła gwałtownym ruchem lekarza, który klapnął ciężko na materac. Uklękła za nim, trzymając szyję zdumionego mężczyzny między tworzącym literę V ramieniem a przedramieniem prawej ręki. Lewą dłoń chwyciła się za nadgarstek, zaciskając w ten sposób kleszcze. Mężczyzna próbował się oswobodzić, ale jego oczy szybko zmętniały i osunął się bezładnie, podczas gdy kobieta wolno liczyła w jednym ze skandynawskich języków. W końcu rozluźniła chwyt i pozwoliła nieprzytomnemu lekarzowi opaść na materac.

– Wiem, że mnie nie znasz, ale jestem przyjaciółką. Chcesz tu zostać?

– Nie – odpowiedział bez wahania.

– Wolniej, Płotka – powiedział Geralt po francusku z ekranu telewizora, kiedy Pierre Touré ściągnął wodzę, żeby zatrzymać Wiedźmina przed latarnią morską Eldberg. W Fifę grać samemu nie miało sensu, gry akcji wymagające nieustannego strzelania ze wszystkiego do wszystkich sprawiały, że czuł dziwny niepokój, *Wiedźmina* zaczął dla żartu, żeby potem kpić z Marcela, jak to Polacy z osiągnięć cywilizacyjnych opanowali jedynie polowanie na utopce. I tak jakoś wyszło, że już trzeci raz przeżywał te przygody. Nawet nie chodziło o przygody. Jadł śniadanie i cieszył się, że wróci do tego świata. Przejedzie się konno od posiadłości Olgierda do Oxenfurtu, a może popłynie łodzią znaleźć podwodny skarb na obrzeżach Skellige albo wyczyści trochę znaków zapytania wśród elfich ruin Toussaint. Przydałoby się trochę kasy na sprzęt cechu Gryfa, mógłby wtedy bardziej skupić się na czarach, mniej na wywijaniu mieczem. Wstydził się, że czasami długie godziny upływały mu na takich przemyśleniach, ale musiał przyznać, że jak żyje, nikt nigdy tak dobrze nie spełnił jego marzenia o tym, żeby pożyć trochę innym życiem w innym świecie.

Z obowiązku zerknął na ekran laptopa, który pokazywał z kilku kamer najnudniejsze miejsce na planecie Ziemia, czyli lipną klinikę „Le Trèsor Perdu”. Akurat, żeby zobaczyć, jak Karol Boznański i jakaś chuda laska zeskakują z tarasu i biegną do zaparkowanego na podjeździe Citroëna.

– Zaraza – powiedział na głos, wcisnął pauzę i jak stał, wybiegł z domu, zabierając z holu kluczyki do auta i pistolet.

15

Zamierzała rozprawić się z pozostałymi w willi osobami, gdyby zaszła taka potrzeba, ale szczęście się do nich uśmiechnęło, u breloczka pana doktora razem z kluczami i czipem do otwierania elektronicznych zamków wisiał też pilot, który musiał być pilotem do bramy. Nie mogła tego sprawdzić z tarasu, brama znajdowała się przy drodze, na samym końcu długiego, krętego podjazdu. Cóż, zobaczy na miejscu.

– Kim jesteś? – zapytał Karol po angielsku.

– Wrózką z bajki. Potem wszystko wyjaśnię, teraz rób, co mówię.

Wzdłuż ściany dobiegli do samochodu, wepchnęła Karola na tylną kanapę, kazała leżeć płasko. Minie jeszcze chwila, zanim pan doktor skonsultuje się z lekarzem lub farmaceutą, ale jeśli w klinice jest ktoś inny, to lepiej, żeby nie zauważył pasażera.

Wsiadła za kierownicę i spokojnie, bez pośpiechu ruszyła, opony zachrzęściły na grubym żwirze. Jeden zakręt, drugi, trzeci, willa zniknęła ze wstecznego lusterka, kiedy zobaczyła bramę, podniosła pilota i nacisnęła jeden z dwóch guzików. Nic się nie wydarzyło. Nacisnęła drugi. Też nic.

Szlag.

Podjechała tak blisko, że zderzakiem prawie dotykała bramy, zrobionej z grubych poprzecznych desek w stalowych prowadnicach. Bardzo elegancka i niestety zbyt solidna, żeby ją staranować.

Jeszcze raz wyciągnęła do góry rękę, nie spodziewając się zbyt wiele, na zmianę naciskając i przytrzymując dłużej guziki.

Brama drgnęła i zaczęła się rozsuwać, zbyt wolno i dostojnie jak na jej oczekiwania. Lisa zaczekała, aż krawędź minie błotnik, i natychmiast ruszyła, wyjeżdżając na prowadzącą w dół krętą górską drogę, na tyle wąską, że w regularnych odstępach musiano pobudować szersze mijanki. Na zakrętach ustawiono okrągłe, sferyczne lustra pozwalające zobaczyć, czy nic nie jedzie z naprzeciwka. Zbliżając się do drugiego wirażu, w takim właśnie lustrze dostrzegła ruch. Zwolniła i za chwilę musiała się zatrzymać, ponieważ z bramy prowadzącej do innej posiadłości wyjechała duża toyota z napędem na cztery koła. Kierowca uniósł przepraszająco rękę, wysiadł i poszedł za samochód, żeby zamknąć bramę.

Westchnęła poirytowana. Rozumiała, że nie mogło to wyglądać inaczej, kierowca toyoty po wyjechaniu na szosę nie miał miejsca, żeby gdzieś się przytulić, nie blokując innym przejazdu. Dla kogo oni w ogóle budowali te dróżki? Dla rowerów górskich?

Mężczyzna obszedł auto, jeszcze raz skinął jej ręką, wysoki i czarnoskóry wyglądał na zawodowego piłkarza, a może tak jej się wydawało przez to, że miał na sobie koszulkę jakiejś drużyny. Zamknął bramę i ruszył w jej stronę. Zakłęła, naprawdę nie miała

teraz czasu na francuskie konwenanse z oficjalnym przepraszeniem, witaniem się i odpowiadaniem, że tak, u mnie też wszystko gra.

I wtedy, niestety zbyt późno, zobaczyła, że mężczyzna jest tylko w skarpetkach. Wrzuciła bieg, gotowa staranować toyotę i pojechać dalej, kiedy huknęły trzy strzały. Dwa pierwsze w lewą przednią oponę, trzeci w szybę w jej drzwiach, deszcz odłamków szkła obsypał ją od stóp do głów. Echo strzałów przeleciało nad górami, w ciszy głośno syczało uciekające z opony powietrze. Stwierdziła, że jest cała i że nie chciano jej – jeszcze – zabić, wypluła kawałek szkła, który zatrzymał jej się na ustach i spojrzała przez pozbawione szyby okno na wylot lufy znanego jej HK USP 9 mm i sympatyczną czarną gębę w okularach. Lewe oko tej gęby tworzyło jedną linię z jej okiem, muszką i szczerbinką.

– Mam oddać miszek złota? – zapytała po francusku.

– Masz się nie ruszać. A ty z tyłu, wysiadaj. Rozumiesz, co mówię?

– Rozumiem – odparł Karol. – To znaczy, rozumiem słowa, ale nie mam pojęcia, co się dzieje. Czy ja państwa znam?

– Mnie tak – odparła Lisa. – Jestem przyjaciółką twoją i twojej żony.

– Nie wierz jej, Karol! – krzyknął mężczyzna. – To ja, Pierre, jestem twoim kumplem, poznaliśmy się w Londynie, pamiętasz? Ona kłamie i chce cię porwać.

– To kłamstwo – powiedziała spokojnie Lisa, jednocześnie zdając sobie sprawę z beznadziejności tej sytuacji.

Syk uchodzącego z opony powietrza ucichł, pojawił się za to nowy dźwięk, wycie silnika z trudem wspinającego się pod górę samochodu. Mężczyzna drgnął i zerknął w tamtą stronę. To była jej jedyna szansa. Gwałtownie otworzyła drzwi i wyskoczyła na ziemię, mężczyzna zareagował błyskawicznie i strzelił, ale chybił. Mocno złapała za bosą stopę w białej tenisowej skarpetce i przekręciła, a kiedy mężczyzna z sykiem przyklęknął na jedno kolano, drugą ręką uderzyła go w nadgarstek trzymającej broń ręki. Ktoś inny wypuściłby pistolet, ale tego gościa dobrze wyszkolono. Czowała w nim żołnierza, co oznaczało, że jest silny, wytrzymały i nauczony, żeby polegać na broni. Dobra wiadomość, o ile jej nie złapie i nie uderzy – i oczywiście nie zastrzeli – nie ma szans z kimś tak szybkim

i zwinnym jak ona. Zwłaszcza kiedy jedną rękę zajmuje mu drogocenna spluwa, bezużyteczna w bliskiej walce wręcz.

Nie doceniła przeciwnika, który odrzucił broń i płaską dłonią strzelił ją w ucho, aż zobaczyła gwiazdy. To opóźniło o ułamek sekundy jej skręt ciała, dało mu czas na przygwożdżenie jej do ziemi najpierw drugą ręką, a potem kolanem, boleśnie wbitym w splot słoneczny. Krzyknęłaby, gdyby tym ruchem nie wypompał jej całego powietrza z płuc.

I znowu strzały. Jeden, drugi, trzeci.

Karol Boznański stał trzy metry od nich z pistoletem w dłoni.

– Spierdalać w krzaki – powiedział, wskazując ruchem głowy las porastający strome zbocze koło drogi.

– Karol, przyjacielu... – powiedział mężczyzna. – Nie rozumiesz, co się dzieje! To terrorystka, która cię porwała.

– On kłamie – wydyszała.

– Mam to gdzieś. Spierdalajcie albo zastrzelę jedno i drugie.

Mimo wszystko chciało jej się śmiać. W innej sytuacji mogłaby go przekonać, że to ona jest tą dobrą, oddając mu swoje auto, ale po co mu niesprawny samochód.

– Ja się zgadzam – powiedziała. – Jeśli ten goryl mnie puści, uciekam do lasu i załatwiającie to panowie między sobą. Mój samochód i tak się nie nadaje.

– Gorylu? Co pan na to?

– Ja na to, że to rasistowska uwaga, porównywać czarnego do wielkiej małpy, jednak dwudziesty pierwszy wiek mamy – powiedział mężczyzna, poprawił okulary i wstał z Lisy, trzymając rękę w górze.

– Odsuń się od samochodu – powiedział Karol.

Mężczyzna nie poruszył się, więc Karol strzelił mu pod nogi, Lisa drgnęła, zaskoczona, fontanna piasku opadła jej na twarz. Policzyła strzały. Osiem. Zostało dziesięć naboii.

Coś nie grało. Dźwięk silnika. Ucichł. Ktoś jechał do posesji niżej? Zatrzymał się, słysząc strzały? Zagadka rozwiązała się w następnej sekundzie, kiedy za plecami Karola pojawił się wąsaty blondyn, który ścigał ją w Muzeum Historii Naturalnej.

– Rzuć broń – powiedział po polsku, celując mu w tył głowy.

Zrozumiała, że przegrała.



Bardzo, ale to bardzo przeceniła miłosierdzie śmierci z pragnienia. Fakt, czuła, jak traci siły, ale daleko jej było do tego, by odpłynąć w letarg i spokojnie umrzeć. Wręcz przeciwnie, serce biło jej coraz szybciej, wytrwale pompując krew do mózgu, aby mogła bez przerwy myśleć o tym, jak bardzo jest spragniona. Zamierzała wspominać ze łzami w oczach swoje wspaniałe, pełne przygód i emocji życie, zamiast tego wpadła w stan maratończyka, który na trzydziestym kilometrze mógłby biec korytarzami Luwru, a i tak potrafiłby myśleć tylko o bólu prawej łydki, i że do końca jeszcze niewiele ponad dychę, a co to jest dycha, niewiele, dobra, znajoma dycha.

Tak też ona miała trzy rozrywki, którym oddawała się na zmianę. Pierwszą było liczenie, ile czasu minęło od ostatniego łyku. Kolację jadła około osiemnastej, słońce zaszło niewiele później. Teraz znowu prawie dotykało fal, czyli minęły równo dwadzieścia cztery godziny. Tysiąc czterysta czterdzieści minut. Tak jakby ciurkiem obejrzała dwa pierwsze sezony *Gry o tron* i jeszcze kilka odcinków trzeciego, ani razu nie umaczając w niczym ust! Brawo, Zofia, to już mógłby być jakiś rekord.

Aktywność druga polegała na wyszukiwaniu metafor najlepiej opisujących pragnienie, jakie odczuwała. Wymyślone wcześniej porównanie do jedzenia łyżkami kurzu z odkurzacza wymieszanego z solą wciąż chyba najprecyzyjniej oddawało jej odczucia, ale trafnymi sformułowaniami były też szorowanie papierem ściernym po betonowej ścianie jako opis nieuniknionych niestety kontaktów języka z podniebieniem oraz lizanie zdechłego kota na środku pustyni jako określenie smaku, jaki miała w ustach.

Wyobrażała sobie też wszystkie nadające się do picia płyny, od górskiego potoku przez colę zero po mieniące się tęczowo kałuże na warszawskich przystankach autobusowych. Boże, jak wspaniale byłoby uklęknąć między czekającymi pasażerami i chłeptać z takiej kałuży jak pies, czując smak benzyny i piach zgrzytający między zębami, wypićaby wszystko i jeszcze wylizała asfalt.

Tarcza słońca dotknęła powierzchni oceanu i szybko się w niej zanurzała, wydawało jej się, że na tej szerokości geograficznej

procesy astronomiczne zachodzą gwałtowniej, słońce szybko wyskakiwało znad horyzontu i szybko się za nim chowało, jakby tutaj miało mniej czasu na malowanie romantycznych obrazków niż na północy. Unosiła się na falach, które dziś wydawały się wyższe niż wczoraj, obserwując nurkującą między nie gwiazdę, źródło wszelkiego życia na Ziemi, wliczając w to także jej krótki i tak obiektywnie pozbawiony znaczenia epizod. Jeszcze tylko krótki zielony błysk, fragment dysku zamienił się w cieniutką kreskę, potem w kropkę i już, cały świat został nagle zredukowany do ciemnego granatu oceanu i pomarańczowego nieba.

Popłakała się. Myśląc, że może i szkoda tej wody, ale ostatni zachód słońca w życiu zasługuje na łzy.

17

Wiało coraz mocniej, Mireille Hamidou i Bogdan Smuga musieli pochylić się nisko w swojej „sali konferencyjnej” na dziobie „Vincenta”, żeby nie pourywało im głów i żeby mogli słyszeć się nawzajem. Kapitanka poinformowała ich, że nadchodzi sztorm i niestety muszą spalić dodatkowo trochę paliwa, by uciec z jego centrum, ale ponieważ nie jest to tym razem – jak się wyraziła – „przelotny deszczyk”, nie da się całkowicie uniknąć rozkołysu, co wiąże się z koniecznością zamknięcia żyrolabu. Smuga nie oponował, chętnie skorzysta z okazji, żeby wypaść się porządnie.

– Nie niepokoi cię to? – zapytała Mireille.

– Nie. Szwedka, zabierając Boznańskiego, zdjęła nam problem z głowy. Prawdę mówiąc, nie miałem pomysłu, co z nim zrobić. Likwidacja byłaby logiczna, ale przyznaję, że emocjonalnie trudna, szukałem sposobu, żeby wysłać go do Polski. Lorentz nam zagrażała, on to postronna ofiara, jeszcze w tle osierocone dziecko. Tak, wiem, niewielka cena, nie patrz tak na mnie. Przypominam, że to nie ty musiałaś ją wypchnąć za burzę.

– Niepotrzebnie ją przywiozłeś. Twój błąd, twoja odpowiedzialność.

– To teraz nieistotne. Jej nie ma, jego nie ma, problem sam się rozwiązał.

Huknęło, kiedy „Vincent” spadł w dolinę wyjątkowo wysokiej fali, otoczyła ich chmura drobinek wody. Pogoda pogarszała się z minuty na minutę.

– A Céret?

– Wszystko zgodnie z planem. Przewidzieliśmy, że w miarę rozwoju wydarzeń będą próbowali przycisnąć mniej i bardziej zależne od nich ośrodki. Przewidzieliśmy też, że te najbardziej syte i najbardziej zależne pójdą na pierwszy ogień. Założyliśmy też, że minie nie mniej niż trzy tygodnie, zanim zorientują się, że podążają fałszywym tropem.

– Wystarczy?

– Ty mi powiedz.

Mireille Hamidou nie odpowiedziała, wiedząc, że Smuga zna odpowiedź. Znajdowali się w decydującym momencie całego przedsięwzięcia. Pierwsze testy wypadły bardzo obiecująco, potrzebowali jedynie laboratoryjnych roboczogodzin, żeby znaleźć bakterię, znaleźć enzym, zsekwencjonować odpowiedni gen, zapisać za pomocą czterech liter na kawałku papieru i potem mogą kontynuować badania w dowolnej piwnicy, w dowolnym miejscu świata. Ile potrzeba tych roboczogodzin? Im więcej, tym lepiej.

– Coś może nam teraz zagrozić?

– Wciągnięcie rządów i zmasowane poszukiwania za pomocą wojskowych satelitów i samolotów zwiadowczych, co poprzedzi zamienienie „Vincenta” w plamę oleju za pomocą kilku rakiet. Co, jak mówiłem, nie wydarzy się wcześniej niż za trzy tygodnie, jeśli w ogóle. Poza tym jesteśmy bezpieczni.

Naukowczynie złapała go za ramię, żeby nie spaść z ich włazuławeczki, kiedy statkiem gwałtownie zakołysało. Kolejny efekt zmian klimatycznych, na tych szerokościach geograficznych nie powinni uciekać przed tropikalnymi sztormami, a już na pewno nie o tej porze roku. Jak mówi przysłowie, chcesz rozśmieszyć planetę, opowiedz jej o swoich planach.

Noc pachniała chłodem, lasem i jeziorem. Stała nago nad brzegiem i czuła, że nie jest tu widzem, lecz częścią tego świata. Wywołujące gęsią skórkę nocne powietrze, światło księżyca wydobywające cienie z kształtów jej ciała, grząski piasek i miękka woda opływająca stopy – świat nie istniał ani obok niej, ani tym bardziej dla niej, razem współgrali w pięknej harmonii.

Powoli, nie chcąc zakłócić gwałtownym ruchem spowijającej świat ciszy, z szacunkiem dla matki natury, zanurzyła się w wodzie, która pachniała latem i owocami. Odepchnęła się od dna, wypłynęła spomiędzy szuwarów na gładką, czarną tafłę, zmaconą tylko ruchami jej ramion. Zanurzyła się, pokonała kilka metrów pod wodą i wypłynęła, mokre długie włosy przykleiły jej się do policzków. Nabrała wody w usta i wypuściła ją długim łukiem niczym rzeźba w miejskiej fontannie. Dźwięk wpadających do jeziora kropel wydał się bardzo głośny, wręcz za głośny, przestraszona przestała, ale dźwięk narastał, do ciurkania doszedł szum i bulgotanie, jakby swoim niefrasobliwym zachowaniem rozgniewała bożka jezior. Woda pośrodku jeziora wybrzuszyła się i ruszyła w jej stronę, rosnąc, marszcząc się, załamując białymi grzywaczami, nagle groźnymi i upiornymi w świetle księżyca. Przestraszona zaczęła płynąć do brzegu, energicznie pracując ramionami i młóćąc nogami wodę, ale fala była szybsza. Podniosła ją, przykryła pianą, zakreśliła i wepchnęła pod powierzchnię. Wierzgała, próbując się wydostać z kipieli, nawet pod wodą mając szeroko otwarte ze strachu oczy, i wtedy zobaczyła, jak z dna podnosi się las bladych, trupich, sięgających po nią rąk. Krzyknęła tylko po to, żeby zakrztusić się wodą.

Obudziła się, prychając, w pierwszej chwili myśląc, że cały czas śni, otoczona przez ciemność, wodę i szum wiatru, nim przypomniała sobie, gdzie jest. W oceanicznej umieralni. Umieralni, która na koniec postanowiła jej spuścić dodatkowy wpierdol, bo w sumie dlaczego nie? Drogi oceanie, jak sądzisz, dlaczego warto na koniec spuszczać wpierdol Zofii Lorentz? Dlatego, że jest.

Zaczęło ostro wiać, fale urosły, pomarszczyły się, pokryły pasami piany, jej ruch w dół i w górę stał się gwałtowniejszy, nie mogła już spokojnie leżeć na plecach, musiała włożyć sporo wysiłku, żeby zachować stabilną pozycję, fundując sobie w ten sposób bolesne

skurcze różnych części ciała. Bolały ją mięśnie, bolała głowa, w uszach łomotało chorobliwie szybkie tętno, a najbardziej cierpiała przez wysuszone do krwi wewnątrz jamy ustnej, próbowała sobie ulżyć, oddychając przez usta, ale słone krople tylko pogarszały sprawę, wpadając do gardła, powodowały odruch wymiotny. Zofia cierpiała i cicho jęczała z bólu, nie mając już w sobie tyle wilgoci, żeby płakać.

Po raz pierwszy pomyślała, że jednak utonięcie byłoby chyba lepszym wyborem. Po raz pierwszy położyła dłoń na zamku błyskawicznym kombinezonu, zastanawiając się, jak długo by jeszcze cierpiała, gdyby po prostu go zdjęła.

Daleko na horyzoncie mignęła iskra błyskawicy.

## 19

Karol Boznański ciągle spał, kiedy Ruhsar Varank przyniósł do stołu w jadalni dzbanek parującej kawy i rozlał do trzech kubków. Sobie, Lisie Tolgfors i Marcelowi Kluzce. Dzień pomąłu wstawał, szary i – w końcu – zimowy, na parapecie niewielkiego, obsadzonego w grubym kamiennym murze okna zbierał się śnieg.

Za mocna i za czarna, pomyślała Lisa, upijając łyk, ale przynajmniej ciepła. Milczała, rozmyślając o niecodziennej sytuacji, w której się znalazła. Wczoraj zegnała się już z życiem i chociaż uważała się za osobę doświadczoną i nieskorą do zdziwień, to autentycznie zaskoczyło ją, kiedy jej wąsaty prześladowca przywitał się serdecznie z jej czarnoskórym prześladowcą jedynie po to, żeby potem pomóc jej wstać i wyjaśnić, że zaszły pewne zmiany i teraz wszyscy są po tej samej stronie. Myślała, że to podstęp, ale nie potrzebowali żadnych sztuczek, mieli zarówno ją, jak i Karola w garści, mogli zrobić wszystko, co chcieli. A chcieli zniknąć z radarów. Pierre nawet nie mrugnął, słysząc o zmianie stron, bardzo wyraźnie jego lojalność stała tylko i wyłącznie po stronie „drogiego majora”, jak zwracał się do Kluzki. Goryl w skarpetkach miał ich uwiarygodnić, puszczając dalej wersję o zakończonym sukcesem porwaniu Karola z „Le Trésor Perdu”, dzięki któremu zarówno pacjent, jak i jego porywaczka zniknęli bez śladu.

Postanowiła nie zaglądać darowanemu koniowi w zęby i zajęła się znikaniem bez śladu. Jako ekspert w tej dziedzinie ślady cyfrowe kontrolowała w stu procentach, zawsze miała przy sobie bezpieczny telefon i zapasową tożsamość. Marcel Kluzka, nazywający się eufemistycznie „specjalistą do spraw bezpieczeństwa”, był wysokiej klasy najemnikiem, śmierdzącym z daleka Legią Cudzoziemską, podobnie jak jego kumpel w skarpetkach. Też wiedział, jak zniknąć, i pochwałała jego wybór, żeby zminimalizować ryzyko, zaszywając się w jednym z okolicznych odciętych od świata gospodarstw agroturystycznych. Jedyne przystojny Turek, na którego miała wielką ochotę, ale postanowiła nie deprymować go pierwszej nocy wskakiwaniem mu pod kołdrę, cierpiał z powodu nagłej i gwałtownej amputacji cyfrowego śladu. I pewnie bez przerwy czuł bóle fantomowe w odciętych facebookowych i instagramowych czułkach. Na szczęście nie miał żony, dwójki dzieci i kochanki na boku, co logistycznie ułatwiało sprawę.

Varank nalał sobie kawy, wyciągnął z kieszeni kolorowy sznurek, na który nanizano kilka kawałków makaronu typu kokardki. Przesuwał je między palcami, jednocześnie nucąc pod nosem coś, co brzmiało jak *Volare*. Lisa spojrzała pytająco na Kluzkę. Spotkała już w życiu paru szurniętych muzułmanów, ale ten obrazek zdecydowanie lądował poza skalą.

– Ruhsar jest głęboko wierzącym pastafarianinem – wyjaśnił Marcel beznamiętnie. – Zwłaszcza przy mnie.

Rozmawiali ze sobą po francusku, co wydawało jej się zabawne, nie był to rodzimy język żadnego z nich.

– Ponieważ?

– Jestem katolikiem.

– Naprawdę? Myślałam, że pochodzisz z polskiej prowincji.

– Bardzo zabawne. A ty?

Zdumiała się. Odzwyczaiła się od tego, że cywilizowany człowiek pyta drugiego człowieka, w co wierzy. Pamiętała, że kiedyś takie pytanie uznawano za towarzyski afront, naruszenie strefy prywatności, ale dziś? Trochę jakby usłyszała u kogoś fajną piosenkę i spytano by jej się, czy nie przegrać jej na kasetę, żeby mogła sobie posłuchać na walkmanie.

– Wierzę w jeden, święty, powszechny, brawurowy, gimnastyczny i dający satysfakcję seks bez zobowiązań.

– Ramen – powiedział Turek, cały czas z zamkniętymi oczami. – Poproszę Potwora, aby dał ci go jak najwięcej, żeby twoje orgazmy były długie jak spaghetti, a vagina zawsze gorąca i dobrze nadziana, niczym fusilli z pikantnym nadzieniem.

Marcel spojrział za okno.

– Jeśli wspomnisz o serze albo grzybach, wychodzę.

– Drwiesz – powiedział poważnie Turek. – Ale nie tacy jak ty zmieniali zdanie w godzinie próby. Jak głoda, to do Boga, znasz na pewno to przysłowie.

Tak, ciekawa parka. Wczoraj wytłumaczyli jej, dlaczego postanowili zdradzić swojego pracodawcę, bardzo interesująca historia. Czy wiarygodna? Ich obecność tutaj ją uwiarygodniała. Nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób mieliby coś zyskać, budując wielopiętrową ściemę wokół niej i Karola.

– Panowie, mam do was dwa pytania – powiedziała. – Jedno do ciebie, najemniku.

– Specjalisto do spraw bezpieczeństwa.

– Gdzie jest Zofia Lorentz?

– Ostatni raz widziałem ją, kiedy skoczyła za Smugą na barcę na Sekwanie. Potem nie udało nam się zlokalizować ani jego, ani jej. A wierz mi, nie brakuje nam wiedzy i środków.

Wierzyła.

– Co to znaczy?

– Powiem ci to samo, co powiedziałem w firmie. Smuga robi swoje, a Lorentz nie żyje. Nie miało sensu zabieranie jej gdziekolwiek, a pozostawiona na wolności stanowiła zagrożenie. Albo pozwolili jej umrzeć w wyniku urazu, albo dali zastrzyk i zutylizowali ciało w jeden ze znanych sobie naukowych sposobów.

Słowa Kluzki miały sens. I jednocześnie nie miały. Pamiętała dobrze popołudnie w Instytucie Polskim w Paryżu. Sposób, w jaki mówił, sposób, w jaki argumentował, i przede wszystkim sposób, w jaki patrzył na Lorentz. Bogdan Smuga był ideowcem, potrafiłby dla idei być zimnym, morderczym skurwysynem, ale ani nie poświęciłby Zofii Lorentz, ani nie zostawiłby jej rannej na śmierć.

– Zabrał ją ze sobą – powiedziała.

Spojrzeni najpierw na siebie, a potem na nią.

– To bez sensu.

– Wiem. Ale o ile nie wyzionęła ducha od razu na tej barce, zabrał ją. Jestem o tym przekonana. Wiecie, gdzie on jest?

Znowu spojrzeli po sobie. Rozumiała ich tok myślenia. Jeden i drugi zostali wynajęci przez korporację, gotową posunąć się do wszystkiego i wydać dowolne kwoty na zdobycie sekretu, który przesunąłby firmę z kategorii „przedsiębiorstwa” do kategorii „władcy planety”. Zrezygnowali, zapewne dożywotnio, z karier, a może nawet zaryzykowali więcej, zdradzając pracodawcę w wierze, że lek na długowieczność nie powinien być reglamentowany. Czyli de facto stanęli po stronie Smugi i jego sekty naukowców-anarchistów. A teraz pewna złodziejka prosi ich przy kawie o wyjawienie tajemnicy w ramach small talku. Tak. Nie miała ani czasu, ani ochoty na takie gierki.

– Jestem po waszej stronie – powiedziała. – Gdyby było inaczej, już szukałabym kupca na informację, że ich laboratorium znajduje się na kontenerowcu, pływającym u wybrzeży Kenii i Somalii.

– To jakaś bzdura – zachnął się bardzo wiarygodnie Kluzka. Zawodowiec. Varank w tej samej chwili zrobił minę siedmiolatka poinformowanego, że święty Mikołaj nie istnieje.

– Czy możemy uznać, że mamy tę rozmowę za sobą? – Rzuciła na stół złożoną na czworo kartkę, którą dzień wcześniej Kluzka i Varank dostali od dyrektora Francuskiego Instytutu Badań nad Cukrzycą.

– Przecież... – Varank spojrział w stronę swojej sypialni.

– Możemy tak uznać – stwierdził z rezygnacją Kluzka.

– Ale...

– Szkoda czasu na wyjaśnienia.

– Czy to ma sens? Ten statek? – skierowała pytanie do Polaka.

– Jak najbardziej. O ile się orientuję, wody międzynarodowe to przestrzeń właściwie poza prawem, z punktu widzenia badań klinicznych idealna. Plus mobilność. Plus totalna niezależność od jakiegokolwiek administracji. Pogoda na równiku spokojna, a skoro w okolicy grasują piraci, to nikogo nie dziwi, że jakiś statek pływa incognito. Biorąc pod uwagę, że paliwo i zaopatrzenie można przyjmować z morza, i biorąc pod uwagę, jaki obszar planety



zajmują oceany, to idealny sposób na niewidoczność. Pewnie jest dużo minusów, przede wszystkim przerzut ludzi i towarów, a także ruch statku, ale plusy wygrywają.

– Drugie pytanie jest do ciebie, jajogłowy. Co z naszym pacjentem? Te zmiany są odwracalne? A jeśli tak, to jak?

– Nie wiem – odpowiedział mężczyzna. – U Smugi pracują najlepsi specjaliści od biochemii pamięci, prowadzą badania bez formalnych i prawnych ograniczeń w atmosferze totalnej wolności naukowej, a ochotników też im na pewno nie brakuje. Podejrzewam, że szprycowali go lekami zaburzającymi gospodarkę adrenaliną, dlatego miał problemy ze składaniem wspomnień, w których emocje stanowiły ważny składnik. Na ich miejscu dorzuciłbym do tego najróżniejsze psychotropy, znane ze skutków ubocznych w postaci zaburzeń pamięci i upośledzenia funkcji kognitywnych. Z tymi substancjami jest tak, że u każdego pacjenta działają inaczej, pewnie już na miejscu metodą prób i błędów dopracowali najlepszy koktajl.

– To brzmi wiarygodnie – wtrącił Kluzka. – Jeszcze trzy tygodnie temu sprawiał wrażenie normalnego faceta, któremu czasami uciekają wspomnienia, teraz jest zdezorientowanym staruszkiem.

Varank przytaknął skinieniem głowy.

– Z mojej wiedzy wynika, że ten wniosek jest i dobry, i zły. Dobry, ponieważ jego organizm w końcu zmetabolizuje leki i o ile nie podawano mu substancji na stałe zmieniających struktury neuronowe, powinien wrócić do siebie. Często odstawianie tych leków jest problemem, kiedy u pacjentów powrót „do siebie” oznacza ponowne wpadnięcie w manię lub depresję, ale w tym wypadku chcemy, żeby wrócił do stanu wyjściowego.

– I dlaczego to jest zły wniosek?

– Odstawianie inhibitorów i w ogóle leków psychotropowych to długotrwały, delikatny proces, odbywający się pod ścisłą kontrolą lekarza, często trudniejszy niż sama terapia. Porównywalny do wychodzenia z uzależnień.

– Coś mu grozi?

– Nie, jeśli będziemy go pilnować. Będzie cierpiał, ale jeśli nie dopuścimy do tego, żeby się pociął w nagłej depresji i nie zrobił sobie krzywdy w czasie ataku padaczki, to będzie dobrze.

– Ile to może potrwać?

Varank rozłożył ręce.

– Kilka dni? Kilka tygodni? Nie mam pojęcia.

Lisa pokiwała głową. Cóż, wygląda na to, że nie ma za wiele do roboty. Ona musi czekać, aż Karol oczyści się z toksyn i w optymistycznym scenariuszu odzyska pamięć. Kluzka i Varank muszą się zastanowić, co dalej: zniknąć czy aktywnie oszukiwać swoją firmę. Zofia – o ile żyje – też pewnie zbija baki, będąc więźniem na tajemniczym statku laboratorium. Logiczne, że z jej wiedzą Smuga nie może jej wypuścić, dopóki nie przekona się, czy paryskie znalezisko jest cokolwiek warte.

Spojrzała na sypiący coraz gęściej za oknem śnieg i pomyślała o statku, kołyszącym się łagodnie gdzieś na równiku. Kto wie, może Zofia właśnie przeżywa tropikalne wakacje marzeń, gapi się na ocean i pije mojito przez ekologiczną słomkę.

20

Nigdy nie sądziła, że pomyśli to na serio, zawsze podejrzewała, że to figura retoryczna, używana przez egzaltowane panie i nadużywana przez autorów tanich powieści, których heroiny co drugą stronę wykrzykują: „och, wolałabym umrzeć”. A teraz sama myślała, że chce w końcu umrzeć i za grosz w tym nie było przesady ani egzaltacji, jedynie pragnienie ulgi. Jej ciało, uwięzione w piankowym kostiumie, ześlizgujące się w dolinę fali albo wynoszone na jej szczyt, gdzie dostawała po gębie wiatrem i słońcą wodą, trwało w bolesnym, agonialnym stanie. Mięśnie dygotały w kolejnych skurczach, skóra nieprzyjemnie mrowiła, serce galopowało, wewnątrz ust paliło, jakby zaklajstrowała je gipsem wymieszanym z chili, a wszystko przebijał świdrujący ból głowy, od którego raz po raz migały jej przed oczyma czarne płatki.

Łyk wody! Wiedziała, że łyk wody wszystko by zmienił. Jeden łyk sprawi, że jej ciało się uspokoi, w głowie przestanie łupać, Boże, żeby tak chociaż na chwilę poczuć ulgę. Skoro z uroczystego pożegnalnego wschodu słońca nic nie wyszło, ponieważ horyzont wypełniała dziwaczna chmura w kształcie wysokiego pierzastego

kowadła, to może chociaż uroczysta chwila wytchnienia? Co się może stać, jeśli wypije tylko jeden łyk morskiej wody? Jasne, ostatecznie nie ugasi pragnienia, przyspieszy odwodnienie – to akurat brzmi jak żart – może uszkodzi nerki, ale czy to naprawdę jej zmartwienie? Jeszcze raz przepłukać gardło, wypełnić usta, poczuć ulgę. A potem niech się dzieje, co chce. Przecież ta woda nie jest tak naprawdę słona, co najwyżej słonawa. Czy słonawa woda jest zabójcza? Czy ludzie umierają hurtowo od przesolonej pomidorówki albo makaronu ugotowanego w zbyt słonej wodzie? Na dłuższą metę to trucizna, ale ona jest na ostatniej prostej, żadna dłuższa meta jej nie interesuje.

Z tą myślą odpięła kołnierz kombinezonu, przekreśliła głowę, zanurzyła twarz pod wodę i przełknęła kilka łyków morskiej wody, czując już po pierwszym, że to głupi pomysł. Jej wnętrzości, jedyne nieogarnięte cierpieniem części organizmu, skurczyły się w bolesnym szoku, jak gdyby wypięła właśnie butelkę ługu do czyszczenia rur. Zarzęziła, zgięta w pół, zbyt wstrząśnięta, żeby krzyknąć albo chociaż zajęczeć, a zaraz potem zwymiotowała, wypełniając piekącą żółcią obolałe i bez tego przełyk i usta. Zakrztusiła się, zwymiotowała jeszcze raz, torsje trzymały ją kilka minut, powodując ból w płucach i mięśniach brzucha, serce biło jak oszalałe, szum krwi w uszach zagłuszył nawet gniewny pomruk oceanu.

Śmierć w rzygowinach, szlag by to trafił, pomyślała, pewna że to koniec, ale udało się jej w końcu uspokoić oddech. Serce trochę zwolniło. Po co się starasz, wariatko? Żeby się męczyć dłużej? Mogłaś mieć dłuższe życie, ale i tak było zajebiste, umrzyj z godnością i tyle.

Umrzyj z godnością. To dobry plan.

Odetchnęła, odsunęła zamek błyskawiczny kombinezonu, od razu wstrząsnął nią chłód, kiedy ogrzana przez jej ciało woda z wnętrza wymieszała się z oceaniczną. Nie bez wysiłku wyciągnęła ręce z rękawów, nogi z nogawek i po chwili leżała na wodzie, trzymając kombinezon, który unosił się obok, wierny towarzysz niedoli.

Zalała ją fala paniki, instynkt przetrwania kazał jej wracać do pianki i trwać tak długo, jak tylko się da.

Nie ma mowy, pomyślała, nie tym razem, to tylko więcej cierpienia. Jestem dzieckiem natury i teraz do niej wracam. Na swoich warunkach.

Rozebrała się do naga. Pozwoliła, żeby morze zabrało jej ubrania i pieprzony kombinezon, który w końcu puściła. Przez chwilę patrzyła, jak unosi się na powierzchni, ale kiedy tylko zniknął za grzbietem fali, odwróciła wzrok. Zanurkowała, pod wodą ocean szumiał i bulgotał, wielki żywy organizm obejmujący całą planetę. Koił jej skórę chłodnym dotykiem, delikatnie masował, po raz pierwszy od dawna poczuła ulgę, w końcu jej stan nie zmienił się na gorszy. I to było dobre.

Okej, pomyślała, czas umierać.

Wynurzyła się, rozejrzała, spojrzała na świat po raz ostatni. Na pofalowaną i pomarszczoną powierzchnię wody, niebo z jednej strony jasne, a z drugiej zachmurzone, płynący w przechyle jacht.

– Do widzenia – powiedziała cicho, po czym osunęła się w ciemnogrnatową toń.

Chwileczkę. Jaki, kurwa, jacht?

## Rozdział 14. Zew oceanu

*Sina i blada topielica • The storm is coming • Szlach mnie trafi •  
Delirium • Ściana oceanu • Stan nieważkości • Guzik, który uratuje  
ludzkość • Coś, czego nie dokonał żaden Czech • Kometa • Zołza nie żyje  
• Święty Teodor • Zagadkowe cyfry • Bóg dotknął niepłodnością  
wszystkie łona • Jedziemy do Abidżanu • Czas na pokraka • Usta-usta*

1

Morze nie wyglądało dobrze. Wiatr wyglądał źle. Chmura wyglądała jak zdjęcie w podręczniku żeglarstwa ilustrujące moment, kiedy należy uciec do tratwy ratunkowej i wezwać mayday. Na dodatek jakiś pijany kretyn wyrzucił z wycieczkowca za burtę kamizelkę z nadajnikiem SART, przez co on marnował teraz cenny czas przed uderzeniem sztormu na szukanie jakiegoś śmiecia, zamiast zasztauować wszystkie puszki, które za chwilę będą latały pod pokładem z prędkością pocisków balistycznych. Wszystko to wyglądało nad wyraz beznadziejnie, ale Martin Meller i tak był szczęśliwy, ponieważ w końcu wiało! Nieważne, że pewnie ten wiatr owinie mu maszt wokół kadłuba, przynajmniej załatwi go prawdziwy sztorm, a nie ten pieprzony, wykańczający tropikalny sztil, towarzyszący mu od dwóch tygodni.

Wskoczył pod pokład, żeby zerknąć na wskazania radaru. Pokazywał, że nadajnik ratunkowy znajduje się w odległości jednego kabla. Jedna dziesiąta mili, sto osiemdziesiąt metrów. Niby niewiele, ale w pogarszającej się pogodzie ciągle dużo.

Wyszedł do kokpitu, przypiął się do liny biegnącej wzdłuż pokładu i poszedł na sam dziób, żeby się rozejrzeć. Spojrzał na chmurę, spojrzął na zegarek i dał sobie minutę na wypatrywanie śmiecia z nadajnikiem, zanim skończy zabawę. Nie musiał tyle

czekać, po chwili dostrzegł słabo widoczne w świetle dnia mrugające rytmicznie światelko LED.

No teraz muszę to wyciągnąć, chociażby na pamiątkę, pomyślał.

Wrócił na rufę, zrolował żagle, uruchomił silnik i okrążył światelko, aby ustawić się od zawietrznej i pozwolić wiatrowi przepchnąć jacht ku temu czemuś, co było chyba kombinezonem ratunkowym. Miał szczęście, za pierwszą próbą wyciągnął bosakiem z wody piankę w brudnym, różowym kolorze.

Rzucił znalezisko na podłogę kokpitu, nachylił się, żeby znaleźć oznaczenia statku. Materiał dziwnie pachniał, jakby gównem i rzygowinami. Z rzepu zabezpieczającego kołnierz zwisał kawałek materiału. Pociągnął i zdębiał, ponieważ trzymał w ręku czarne, koronkowe majtki.

No nieźle, naprawdę nieźle się musieli państwo zabawiać na tym wycieczkowcu. Żeby się nie okazało, że chciał pamiątkę, a jakiegoś syfa złapie.

Wyrzucił majtki za burtę.

Wyobraźnia podsunęła obraz sinej i bladej ręki topielicy, która wynurzy się zaraz z toni, trzymając gacie w zaciśniętej dłoni. Ech, Martin, co ty masz w głowie. Cały świat jeszcze ci został do opłynięcia, a ty już pieprzysz od rzeczy. Jeszcze chwila i zaczniesz mieć halucynacje.

I wtedy z grzbietu fali pomachała do niego sina i blada topielica.

## 2

Wiedziała, że powinna coś powiedzieć. Rozumiała, że to szok sprawia, że trzęsie się cała owinięta kocem, popija małymi łykami ciepłą wodę i płacze, zamiast wydusić z siebie chociaż: „dziękuję”. Mężczyzna chyba tego nie oczekiwał, powiedział silnie akcentowaną angielszczyzną, żeby siedziała spokojnie i że musi „zrobić żagle”, po czym wyszedł na zewnątrz. Nie przeszkadzało jej to, popijała i popłakiwała dalej, cały czas dopuszczając do siebie myśl, że to się nie dzieje naprawdę. Że Karol miał rację, a ona tonąc, wyobraziła sobie, jak ratuje ją samotny żeglarz, i w tej ostatniej myśli, w tej

ostatniej fantazji została, jak w tej książce dla dzieci, o której opowiadał.

Tylko czy w tej fantazji jej wyobraźnia rozwiesiłaby wszędzie amatorskie akty jakiejś starej baby? Caluteńkie skromne wnętrze jachtu udekorowane zostało bowiem fotografiami w formacie A4, włożonymi w foliowe koszulki i przyklejonymi srebrną taśmą do błyszczących fornirowanych szafek. Wszystkie zdjęcia przedstawiały kobietę pomiędzy pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, bliżej tej drugiej liczby, dumnie obnażającą się przed obiektywem. Dumnie i bezwstydnie, część zdjęć można by umieścić w kalendarzu wydanym w ramach akcji społecznej nawołującej do regularnej mammografii, ale część, hmm, chyba tylko w ramach walki z rakiem szyjki macicy.

Podejrzewała, że zdjęcia przedstawiają żonę albo kochankę samotnego żeglarza. W sumie to słodkie, że zamiast wertować pornosy z plastikowymi lalami, zabrał w rejs zdjęcia partnerki, zapewne wieloletniej.

Mężczyzna zszedł tyłem po schodach do wnętrza, mocno trzymając się uchwytów, bujało coraz mocniej. Odwrócił się i złapał jej spojrzenie.

– *My wife. Very beautiful. You okay with her body?*

Potaknęła ruchem głowy, bała się, że jej zmasakrowane pragnieniem i solą gardło pęknie, jeśli spróbuje coś powiedzieć.

Żeglarz tymczasem krzątał się. Pochował wszystkie leżące luzem przedmioty, zablokował kiwającą się w rytm fal kuchenkę, sprawdził zamknięcia małych okienek. Potem zanurkował za jednymi drzwiami i po chwili wyszedł z naręczem męskich ubrań. Bielizna, spodnie, gruby sweter. Wręczył jej, na to położył coś, co wyglądało jak ciasno zwinięty ręcznik z szelkami, zapewne kamizelkę ratunkową.

– *The storm is coming* – powiedział, siadając po drugiej stronie małego stołu.

Miał sympatyczną gębę kochającego piwo, grilla, proste przyjemności i polityczne dyskusje przedsiębiorcy z Ostrołęki, którego treblinki do kombajnów podbiły Europę, zapewniając mu dostatnie życie i najpiękniejszy dom w gminie. Ogorzały, około siedemdziesiątki, siwe włosy ostrzyżone na jeża, cwaniacki uśmiech

karciarza, który zawsze pamięta, co zeszło w pierwszej lewie. Pewna miękkość rysów, zdradzająca osobę rozumną, nieskorą do zaciętości i hodowania urazy. A może oceniała go pozytywnie, bo po pierwsze wzruszał ją afekt do przechodzonych wdzięków własnej żony, a po drugie wyciągnął ją właśnie z łap śmierci?

– Dziękuję – wyszeptała po angielsku. – Gdzie jesteśmy?

– Dokładna pozycja?

– Nie, ogólnie. Jakie to morze?

Spojrzał zdziwiony, ale nie skomentował, zapewne kładąc to na karb jej stanu.

– Ocean Atlantycki, Zatoka Gwinejska. Koło równika.

Czyli dobrze kombinowała. Przedstawiła się, dowiadując w zamian, że jej wybawiciel nazywa się Martin Meller. Zakręciło jej się w głowie, kiedy to usłyszała, ponieważ poznała kiedyś Martina Mellera, najemnika, który ścigał ją przez pół tego świata i w końcu nieomal wysłał na tamten. Jeśli to nie halucynacja i ten żeglarz naprawdę nazywa się Martin Meller, to los ma poczucie humoru.

– Muszę się dostać na brzeg. Jak najszybciej. Musi pan wezwać pomoc przez radio albo telefon satelitarny. Nie chodzi tylko o mnie, wiem, że to brzmi jak kompletne wariactwo, ale stawką jest przyszłość ludzkości.

Zgodnie z przewidywaniami Martin Meller spojrzał na nią jak na wariatkę, a potem odwrócił wzrok. Pomyślała, że może za szybko mówiła, może jej nie rozumiał, to starszy pan, a jego angielszczyzna pozostawia wiele do życzenia.

– *Help* – wskazała na przytwierdzone do ściany radio. – *Mayday*.

– *Sakra* – powiedział żeglarz tonem niepozostawiającym wątpliwości, że było to przekleństwo. I zanim zdążyła zapytać, skąd jest, dodał dziwną, miękką polszczyznę: – Szlach mnie trafi.

Smutno jej się zrobiło, ponieważ zrozumiała, że to ostateczny dowód na to, że samotny żeglarz jest halucynacją, ostatnim majakiem zegnającego się z istnieniem mózgu, a ona albo właśnie umiera, opadając na dno oceanu, albo nawet już jest martwa. W końcu, jak jej to mówiła kilka żyć temu pani profesorka na Sobieskiego, o mózgu tak naprawdę nie wiemy nic.

– Pan mówi po polsku? – zapytała mimo to.

Wydawał się jeszcze bardziej zdziwiony niż ona.



– Ano.

– Ja z Warszawy. A tak oryginalnie to z Przemyśla. A pan?

– A ja z Ostrawy. Czech, ale po polsku pojmuję.

Wilk morski z Ostrawy? Co jeszcze ją spotka? Etiopski polarnik? Polinezyjski himalaista? Już chciała wygłosić zabawną uwagę na ten temat, ale zobaczyła w oczach starszego pana, że zbyt wiele w życiu już usłyszał dowcipów na temat morawskich pogromców oceanów, wie, że zaraz pozna kolejny i pokornie czeka na odprawienie rytuału.

– Uratował mi pan życie – powiedziała, przełykając kwaśny dowcipas. – Dziękuję.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, poprawił okulary, wyraźnie nie wiedząc, jak się zachować. Miły, skromny, człowiek, który tak zwyczajnie gotów jest zrobić wszystko, żeby pomóc bliźniemu. Nie żaden szalony wariat z misją od Boga, liczący bez przerwy, jaki jest koszt prowadzących do celu środków. Zwyczajny czeski emeryt, który chce zachować się przyzwoicie.

– Ja se musim przyprawić na burzy – powiedział i wstał.

– Jak daleko jest najbliższy port? – zapytała.

Uciekł spojrzeniem, jakby zadała kłopotliwe pytanie. Dziwne.

– Do Liberii mamy czterysta mil. Ale burza będzie nas pchać k Wybrzeżu Słoniowiny. Uwidzimy.

Czterysta mil. Mój Boże, siedemset kilometrów, to naprawdę niewiele, bała się usłyszeć odpowiedź, że są pośrodku niczego, a do najbliższego lądu płynie się dwa miesiące, jeśli wiatr pozwoli. Teraz musi się tylko zastanowić, z kim się skontaktować, żeby na nabrzeżu czekał na nią komitet powitalny, ciuchy i bilet do Warszawy. Musi też zdecydować, czy naprawdę chce wysłać w eter informację, która może dotrzeć do Smugi, że pływa sobie po okolicy, bezbronna, razem z czeskim emerytem w jego plastikowej wannie?

– Czy poinformował pan kogoś? – wskazała palcem wygaszone radio.

Uciekł spojrzeniem.

– Jeszcze nie. Burza się bliży.

Może to i lepiej, pomyślała.

Jego psychicznie obolały mózg co i raz fiksował się na różnych bezsensownych rzeczach. Najpierw od rana grała mu bez przerwy w głowie muzyczna fraza: „jadło to pic, nie jemy nic”. Co wcześniej? Co potem? Jaki to zespół? Gdzie to słyszał? Pustka. Teraz z kolei dopadło go zdanie: „spocony jak świnia”. Czy to powiedzenie jest od początku do końca bezsensowne, czy też jemu brakuje wiedzy, jak je rozumieć? Czy świnia poci się bardzo, czy nie poci się w ogóle? Czy może poci się w jakiś specyficzny świński sposób, na przykład kapie jej z ryja? Jeśli prawdziwa jest wersja, że wieprze poca się obficie, to Karol Boznański bez wątpienia pocił się jak świnia.

Miał tylko jedną zmianę ubrań, dlatego wzięli od gospodyni cały jej zapas prześcieradeł, żeby robił sobie z nich togi, i wymieniali, kiedy stawały się zbyt mokre do użytku. Teraz stał w świeżej todze i gapił się na ścianę sypialni, na której kobieta – Lisa? tak, Lisa – rozwiesiła grę, nazwaną przez nią „memory”. Gra składała się z kilkunastu kartek, na których zapisano pytania. Kim jestem? Gdzie jestem? Jak długo tu jestem? Dlaczego tu jestem? Czy mam rodzinę? I tak dalej. Na ścianie, obok zegara, zawieszono też instrukcję, w której autor po polsku go pozdrawiał, wyjaśniał, że ma uszkodzoną pamięć, kazał grać o ósmej i dwudziestej, a na koniec dawał mu buziaki.

Zbliżała się dwudziesta.

Kim jestem?

Karol Boznański. Zajrzał na drugą stronę kartki. Zgadza się.

Gdzie jestem?

Rozejrzał się. Za oknem sypał śnieg, po architekturze powiedziałby, że to miejsce w górach, ale raczej nie w Polsce. Dolomity? Dlaczego ta nazwa przyszła mu do głowy. Może dlatego, że jest w Dolomitach?

Odłonił. Pireneje.

Otarł pot z twarzy. Bolała go głowa, zaczęły też nim wstrząsać gorączkowe dreszcze. Spojrzał tęsknie na łóżko, ale uznał, że musi kontynuować.

Czy mam rodzinę?

Zamknął oczy. Kilkuletnia dziewczynka z czarnymi włosami i czarnymi oczami. Czy to jego córka? Wyobraźnia podsunęła obraz placu zabaw między blokami, dziewczynkę na szczycie zjeżdżalni, puszczającą w dół pluszowego konika, prosto do pełnej błota kałuży. „Basia, nie!”. Basia? Gosia? Nie, coś tu nie grało.

Spojrzał na kartkę. Żona Zofia, córka Kasia.

Zaszczękał zębami. Jeszcze kilka kartek i wraca do łóżka.

## 4

Jedli potrawkę z wołowiny, popijając czerwonym winem. Odkąd gospodyni wypłaciła sobie w miasteczku dwa tysiące euro z jednej z tajnych kart Lisy, przestała na nich patrzeć podejrzliwie i być może nawet wzięła za dobrą monetę tłumaczenia, że pomagają przyjacielowi, który przez nieszczęśliwą miłość wpadł w depresję oraz narkomanię, i tylko totalne odcięcie od świata może mu pomóc. Pojawiło się jedzenie, wino i świeże bagietki. Rozwiązanie nie było idealne, ale też nie musiało być. Smuga nie miał motywacji, żeby ich szukać, wręcz przeciwnie, rozwiązali jego problem. Firma Varanka i Kluzki musiała przeorganizować swój dział bezpieczeństwa po stracie kierownictwa, a jej priorytetem i tak jest odnalezienie laboratorium Smugi, a nie zbuntowanych pracowników. To jednak ciągle tylko spółka akcyjna, a nie totalitarny reżim, tropiący kontrrewolucjonistów. Tak czy owak, musieli sobie odpowiedzieć na pytanie: co dalej?

– Nie ma sensu, żebyśmy tu siedzieli dłużej niż tydzień – zdecydował Kluzka, po wytarciu serwetą sosu z wąsów. – To na tyle długo, żeby opadł kurz i żebyśmy mieli pewność, czy ktoś nie wpadł w histerię i nie wysłał bandy najemników z mordem w oczach. I na tyle krótko, żeby nie zaczęły nas poszukiwać oficjalne służby. Potem pani złodziejka zabiera pacjenta do Polski, ja zaczynam emeryturę, a Ruhsar zapewne jedzie do Bolonii, szukać duchowego oświecenia.

– A co z Zofią? – zapytała.

– Zakładając, że w ogóle żyje, w co ciągle wątpię – powiedział Kluzka – i tak nie mamy możliwości, żeby zorganizować

międzynarodową operację wojskową i odbić ją z tajnego statku laboratorium. Dlatego podróż do Afryki nie ma żadnego sensu. Jedzmy dobre jedzenie, pijmy dobre wino i cieszymy się, że ogrzewanie działa.

– Może jednak mógłbym się zalogować na Netfliksa? – spytał Varank.

Lisa i Marcel otwierali usta, żeby jednocześnie odpowiedzieć: „nie”, kiedy z sypialni Karola dobiegł, kolejny już tego wieczora, krzyk przerażenia. Jak tłumaczył Varank, wielu rzeczy można uniknąć w czasie odwyku, ale nie delirycznych koszmarów.

– Pójdę do niego – powiedziała Lisa i wstała od stołu.

## 5

Zofia Lorentz próbowała się wysikać. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Teoretycznie wspaniała informacja, oznaczająca, że nawodniła wysuszony organizm na tyle, że nawet chciał się już pozbyć nadmiaru płynów. W praktyce – czynność absolutnie niewykonalna, ponieważ jachtowa toaleta zachowywała się jak byk w czasie rodeo, próbujący za wszelką cenę zrzucić ją z deski. Dwa razy została pokonana, teraz nie zamierzała się poddać, w tym celu wcisnęła tyłek – na szczęście wąski – głęboko w deskę, zaparła się stopami i plecami w osi X, rękami w osi Y, udało jej się wklinować głowę w kąt przy umywalce i dopiero kiedy trzy kolejne fale nie zdołały jej zrzucić, ulżyła sobie, popiskując z bólu i opryskując się niepokojąco ciemnym moczem, ale i tak uważała się za moralną zwyciężczynię tego konkursu.

Wróciła do mesy, tym razem klinując się między stołem, kanapą i stolikiem nawigacyjnym.

Zabawne, jeszcze kilka godzin wcześniej, gdyby ją zapytano, czy kiedykolwiek będzie się bała, odpowiedziałyby, że nie, nigdy. Że półtorej doby spędzone samotnie na ocenie jedynie w kombinezonie ratunkowym sprawiło, że wszelkie inne zagrożenia współczesnego świata wydają się błahe. A jednak znowu umierała ze strachu. Jacht zachowywał się jak piłeczka pingpongowa, wrzucona do wanny, w której kąpią się dwa hiperaktywne trzylatki. Rzuciło nim na

wszystkie strony, co i raz kładł się na bok, jakby zamierzał się przewrócić, na dodatek trzeszczał jak zgniatana w dłoniach plastikowa butelka po wodzie. Dźwięki w ogóle były najgorsze, wiatr wył i gwizdał, fale nie tyle przelewały się przez łódź, co spadały na nią z łomotem, woda szumiała, syczała i bulgotała. Gdyby wiedziała jak, walnęłaby się czymś w głowę, żeby stracić przytomność i nie słyszeć tego przerażającego hałasu.

A jej przeżycie zależało obecnie od emerytowanego żeglarza z Ostrawy. Szlach by to trafił. Zakładając, że ciągle tam jest i steruje, zapewne dawno zmyło go za burtę, a jeśli czymś przypiął się do jachtu, to jego zwłoki wiszą przy sterze jak rekwizyt w muzeum morskich okropności.

Czy to możliwe?

Jacht gwałtownie pochylił się do przodu, pomknął w dół, zapewne zjeżdżając w dolinę fali, i wyrznął w wodę z taką siłą, że stolik, którego się trzymała, wyslizgnął się jej z dłoni i Zofia przeturlała się po krótkiej kanapie, żeby boleśnie wyrznąć plecami o ściankę oddzielającą salon od przedniej kajuty. Przy okazji zerwała jeden z aktów, który sfrunął jej przed nos. Niestety, był to jeden z bardziej odważnych.

Panika złapała ją za gardło. A co jeśli on faktycznie nie żyje? Czy nie powinna wyjść i chwycić za ster? Oglądała kilka filmów, chodzi o to, żeby łódź nie ustawiła się bokiem do fali, to nie może być bardzo trudne. Pozbierała się, zapięła sztormiak, poprawiła kamizelkę ratunkową i chwytając się kurczowo, czego tylko mogła, pokonała dystans do zamkniętej na głucho zejściówki. Której miała pod żadnym pozorem nie otwierać. Ale czy to dotyczyło też sytuacji, kiedy zwłoki kapitana wiszą beładnie na kole sterowym? No właśnie.

Założyła kaptur, odetchnęła, zdecydowanym ruchem odsunęła klapę i wystawiła głowę na zewnątrz.

Och, bardzo, ale to bardzo nie chciała tego zobaczyć. Połowa składanego stolika w kokpicie została wyrwana przez fale, zostały jedynie smętne drzazgi przy zawiasach. Przeniosła wzrok na postument z kołem sterowym, za którym stał, na szczęście ciągle żywy, kapitan. Martin Meller trwał na posterunku w nadmuchanej kamizelce, przypięty z obu stron pasami do relingu, z kapturem

naciągniętym na czoło i petem wystającym z kącika ust. Patrzył w dal, uśmiechając się idiotycznie, jak na pierwszozigowego wariata przystało, co, owszem, wyglądało strasznie, ale to nie ten obraz chciała zmasać z siatkówki. Za jego plecami z każdą chwilą coraz wyżej wznosiło się strome zbocze gigantycznej granatowozielonej fali, niemal pionowa ściana oceanu rosnąca w szybkim tempie, nie tyle wielka góra wody, co prehistoryczny potwór, brakowało tylko, żeby nagle w tej ścianie otworzyły się złote węzowe oczy i najeżona kłami paszcza. Poczwała się jak króliczek sparaliżowany wzrokiem węża, tkwiła bezsensownie w zejściówce, czekając na nieuchronne.

Fala podniosła rufę, jacht znowu pomknął w dół, ścigany przez potwora, Meller zakręcił lekko sterem, żeby łódka nie wyrzwała dziobem w dolinę fali, tylko ześlizgnęła się skosem jak narciarz trawersujący stok. Uchroniło to ich przed uderzeniem, ale nie przed pożarciem przez potwora. Fala załamała się i runęła na pokład, zalewając go tonami wody, Zofia zorientowała się, jak duży błąd popełniła, sięgnęła po uchwyt, żeby zamknąć klapę, ale było za późno, woda wdarła się pod pokład nie tyle strumieniem, co rzeką, zrzucając ją ze stopni i wypełniając wewnątrz jachtu do wysokości kolan. Z hurgotem zaczęła pracować automatyczna pompa.

To tylko jedna fala, powtarzała w myślach, takie konstrukcje na pewno są tak wymyślone, żeby wytrzymać, jeśli wleje się do nich jedna fala. Wstała i szybko zasunęła klapę, na wszelki wypadek nie patrząc na Mellerę, niczym dziecko, przekonane, że jeśli nie powie o czymś rodzicowi, to nic się nie stało.

Wróciła na kanapę, złapała się stołu i słuchała pompy, patrząc na przelewającą się po podłodze wodę. W tej samej chwili klapa się otworzyła, Meller wparował do środka z szaleństwem w oczach.

– Dobra horska draha! – krzyknął, wyraźnie uszczęśliwiony, po czym spod siedzenia przy stoliku nawigacyjnym wyciągnął pomarańczowy pakunek w kształcie dużej sakwy rowerowej.

I wrócił na pokład. Chwilę później usłyszała tupot nóg nad swoją głową. Czy to znaczy, że jacht nie ma sternika? Bardzo możliwe, ponieważ położył się na burtę tak mocno, że na kanapę po drugiej stronie stolika patrzyła prawie z góry i musiała mocno zapierać się rękami, żeby nie spaść. Szafka za nią otworzyła się i na jej głowę spadł deszcz cytryn, rozsypując się po wnętrzu. Była pewna, że

łódka za chwilę przekoziółkuje, ale zamiast tego z jękiem wróciła do pionu, obracając się jednocześnie wokół własnej osi i ustawiając dziobem do fal.

Znów zatupotały kroki, Meller wskoczył do środka, zasunął dokładnie klapę i usiadł po drugiej stronie. Jedną ręką złapał się stolika, drugą sięgnął po unoszącą się na wodzie cytrynę. Uśmiechnął się, po czym ugryzł ją tak, jak się gryzie jabłko. Patrzyła na ten spektakl przerażona, przekonana, że zamieniła poetycką i dostojną śmierć w odmętach na obciachowy koniec w plastikowej trumnie w towarzystwie szaleńca.

Żeglarz wypluł odgryzioną skórkę, odchylił głowę i wycisnął cytrynę prosto do ust.

– Na skorbut – powiedział. – Na kacowinu też dobry. Chcesz?

Pokręciła głową.

– Nie można sterować. Wpuściłem kotwę do morza i teraz tylko musime poczkać.

– Na co?

Nie wątpiła ani przez chwilę, że zaśmieje się demonicznie i odpowie: „na smrt”.

– Na lepsi pogodi.

– Długo?

– Ufam, że do rana.

Przed dziobem zabulgotało i po chwili łódkę wcisnęło w morze, a przez pokład z wściekłym sykiem przetoczyła się fala. Odbiło jej się żółcią. Świetnie, tylko choroby morskiej jej brakuje.

– Żona? – spytała, chcąc zająć czymś myśli, i ruchem głowy wskazała zdjęcia.

– Eliška – przytaknął żeglarz. – Czterdzieści lat społem i milujemy się w każdą sobotę. Minimum. Każda miłość musi się miłować.

Pomyślała, że oni z Karolem nawet przed jego chorobą nie wyrabiali świętej normy „raz w sobotę”. Bo dziecko małe, bo niewyspani, bo dużo pracy, bo poleżeć obok siebie i poczytać też jest przyjemnie. A każda miłość musi się miłować, nie ujęłaby tego lepiej. Postanowiła, że jeśli wyjdzie z tego cało, to będzie z Karolem uprawiać seks raz w tygodniu. Nie są to może śluby, które można złożyć w kościele, ale matka natura powinna być zadowolona.

– Eliška zawsze rada na mnie siedzi, rozumiesz, kowbojka. Patrę na nią w każdą sobotę i w każdą sobotę ona mnie zachwyca. Tyle lat to sama, a to przecież ona się mieni i to zupełnie inna żona. Magia.

– Teraz będziecie mieli długą przerwę, jak pan do niej wróci, to jakby pan miał nową dziewczynę. Żeby się panu spodobała tylko.

Uciekł spojrzeniem. Nie zdążyła się zdziwić, ponieważ nagle jachtem szarpnęło gwałtownie, fala przekreśliła go i podniosła do góry, zachwiało się dziwnie, nie jak pływająca po oceanie kilkutonowa mydelniczka, tylko jak garnek postawiony na płocie.

Po czym runął w dół.

Dosłownie. Nie ześliznął się po fali, nie zjechał, nie spłynął, tylko runął w dół. Poczuli, jak unosi się w powietrze, po drugiej stronie stołu tak samo uniósł się Meller, poszybowały w górę leżące na kanapie cytryny, przez długą sekundę znajdowali się w stanie nieważkości, po czym z hukiem i łoskotem grzmotnęli w wodę.

– Horska draha! – wyszczerzył się Meller w grymasie pacjenta nie tyle zwyczajnego psychiatryka, co Arkham Asylum, i wyciągnął kciuk do góry.

Pomyślała, że jeśli dożyje rana, bez wątpienia będzie to najdłuższa noc jej życia.

## 6

W ustach czuł obleśny smak, jakby cały wieczór lizał podkłady kolejowe na Dworcu Centralnym, głowa ćmiła nieprzyjemnie i chciało mu się rzygać. Pierwszą myślą było: „Boże, zmiłuj się, a już nigdy nie wezmę alkoholu do ust”. Drugą, że nie pamięta, z kim i gdzie pił. Niesamowite, czy nie jest aby za stary, żeby się upodlić do stanu, w którym film mu się urywa? Otworzył ostrożnie oczy, na szczęście pierwsze, co zobaczył, to szklanka wody na stoliku nocnym. Usiadł na łóżku, wypił duszkiem, rozejrzał się.

Gdzie ja, do jasnej cholery, jestem?

Wstał niepewnie, popatrzył dookoła. Ściany z łupku, małe okienka, śnieg za oknem. Podszedł, wyjrzał, łagodne wzgórza, gęsto porośnięte lasem. Górski hotel, ale gdzie? Zlustrował apartament,



kształt gniazdek i kontaktów wskazywał na Francję, tak samo marki mebli i białego montażu w kuchni. Alpy? Raczej Pireneje. Co on robi w Pirenejach? Co on w ogóle pamięta sprzed tego poranka?

Myśl wpadła w dziwną, niepokojącą mgłę, nagle go zemdliło, wpadł do łazienki i zwymiotował do toalety. Raz, potem drugi. Uspokoił torsje, przemył usta i odpoczywał jeszcze chwilę, siedząc na podłodze w łazience, zanim poczuł się na tyle pewnie, żeby wrócić do salonu.

Zobaczył kartki na ścianie. Podszedł, zdumiony przeczytał instrukcję. Co to ma, kurwa, być, dzień świstaka? Ktoś na nim robi eksperymenty medyczne? Wycina narządy? I dlaczego mu daje buziaki? Szybko przeglądał kolejne kartki. Nazywa się Karol Boznański, jest, kurwa, w Pirenejach, może od wczoraj, a może od pięciu lat, i zaraz kogoś rozszarpie na strzępy, jak się nie dowie, o co tutaj chodzi.

Przede wszystkim musi dostać telefon i zadzwonić do Zoły. Ona wie, że tu jest? Przyjechali wszyscy? Kasia została w Warszawie?

Poczuł szarpnięcie mdlącego niepokoją na myśl, że coś im się mogło stać.

## 7

Jeszcze długo po zamontowaniu „morskiej kotwicy” i zejściu Mellera pod pokład z przerażeniem doświadczała każdej fali, przekonana, że to jest właśnie ta, która położy kres ich podróży, ale – jak stwierdziła dobie wcześniej – nie można się bać tak samo mocno cały czas. W końcu wpadła w stan dziwnej rezygnacji, z jednej strony skumulowane wyczerpanie pozbawiło ją sił, z drugiej hormony stresu i strachu trzymały ją w stanie gotowości, tkwiła w półletargu, zaklinowana wszystkimi członkami między elementami wyposażenia jachtu i czekała, aż ten koszmar się skończy, powtarzając sobie, że nie ma wiecznych sztormów, każdy przemija. Przyszedł jej do głowy kawałek Budki Suflera i tak się kiwała, zamknięta w piłeczce pingpongowej rzuconej w tropikalny sztorm, nucąc w kółko, że: „po nocy przychodzi dzień, a po burzy spokój”.

I tak też się stało. Kiedy tylko nawałnica ucichła na tyle, że jachtem przestało miotać i po prostu mocno rzucało, natychmiast zasnęła, w sztormiaku i nadmuchanej kamizelce ratunkowej, w mokrych od pasa w dół ciuchach, na wilgotnej kanapie jachtu, którego – to była ostatnia myśl przed zaśnięciem – nazwy nawet nie znała.

Kiedy się obudziła, wiatr ciągle gwizdał w olinowaniu, jachtem wciąż solidnie bujało, ale słońce stało wysoko, zejściówka była otwarta, a Martin Meller w szortach i koszulce z krótkim rękawem przecierał mopem podłogę.

– Dobry dzień.

– Już po burzy?

– Krótko w pogodzie, krótko na wodzie. Fale będą jeszcze par dni, ale najhorsze je za nami.

Wstała ostrożnie, czując, że każdy mięsień w jej ciele został nadwyreżony, naciągnięty albo obity.

– I co teraz?

– Ospruchaj się i dam śniadani.

Kiedy po chwili zrozumiała, że „ospruchanie” oznacza prysznic, rozpląkała się, kompletnie nieprzygotowana na zwyczajną odpowiedź, niezawierającą perspektywy desperackiej walki o życie.

Pół godziny później, po okupionym jedynie dwoma nowymi siniakami prysznicu (dopiero na sam koniec wpadła na to, że trzeba usiąść na toalecie, zamiast próbować na stojąco utrzymać równowagę), mocno pachnąca męskim mydłem „trzy w jednym” i ubrana w suchą koszulkę polo, siedziała w kokpicie przy ocalałej połowie stolika, jadła owsiankę i piła kawę, która odtąd już na zawsze w jej wspomnieniach miała być najlepszą kawą na świecie. Chmury szybko się rozwiewały, słońce grzało, wiatr dmuchał od rufy w częściowo tylko rozwinięte żagle, „Kometa” – bo tak nazywała się łódka – ukosem wspinała się i zjeżdżała z długich, ciągle imponujących rozmiarem fal, z ich szczytów powierzchnia oceanu przypominała ogromną, ruchomą krepinę. I to było piękne.

– Martin, do jakiego portu mamy teraz najbliżej?

– Abidżan.

– Przepraszam, jeśli przez to nadłożysz drogi, odwdzięczę się w każdy możliwy sposób, także finansowy, ale musisz mnie tam

wysadzić.

Wzruszył ramionami.

– Na czasie mi nie zależy. Plywam dookoła świata, miesiąc w jedną czy drugą nie zależy. Już żem zapłacił za własną hłupotę, bo zamiast jechać z passatami do Brazylii i potem na południe, se skracilem wzdłuż Afriki. I uwiążłem na dwa tygodnie w sztilu.

– Cieszę się. Bałam się, że to będzie problem.

Uciekł spojrzeniem w bok. Wstał, zmienił ustawienie na autopilocie, potem podebrał trochę jedną z lin przedniego żagla na kabestanie.

– Przykro mi, że to rzekam, ale będzie to problem.

Znieruchomiała z ustami pełnymi owsianki.

– Ponieważ?

– Ponieważ chcę być pierwszym Czechem, który opłynie świat sam, bez zawijania do przystaw. Kdybym zacumował w Abidżanu, to cały plan szlach trafi.

– Okej – powiedziała, żeby powiedzieć cokolwiek. – A dużo ci jeszcze zostało?

– Kawalek. Muszę plywać do Przylądka Dobrej Nadziei, potem opłynąć hłob Oceanem Południowym, minąć Australii, dotrzeć do Przylądka Horn, no i za nim zamierzyć se na sewer i wrócić se do Europy.

– Zartujesz?

Uciekł spojrzeniem, podszedł do lin wiszących przy zejściówce i zaczął precyzyjnie buchtować jedną z nich.

– Nie żartujesz?

Pokręcił głową.

– No dobrze, to nie może być duży problem. Podpłyn w poblize portu, dogadamy się z nimi przez radio i ktoś mnie zabierze motorówką.

– Wtedy będą wiedzieć.

– Co będą wiedzieć?

– Że byłaś na lodzi.

Nie rozumiała. Po czym nagle zrozumiała. Nie może zawinąć do portu, ponieważ wtedy nie będzie to rejs non stop. I nie może się przyznać, że miał na pokładzie pasażera, bo wtedy nie będzie to rejs samotny. Nie wiedziała, czy się roześmiać, czy rozplakać,

najchętniej by się wściekła, ale zimny dreszcz przeszedł jej po krzyżu, owsianka przestała smakować. Co jeśli Martin Meller jest pierwszoligowym wariatem? Co jeśli uzna, że stanowi zagrożenie dla jego wyzwania, równie idiotycznego, co polski himalaizm zimowy i jedzenie pizzy margherity na czas? Wyrzuci za burtę? Udusi w nocy i wyrzuci za burtę? Otruje i wyrzuci za burtę? Spojrzała podejrzliwie na talerz z resztkami płatków owsianych.

– Przepraszam – powiedział, odwracając się w końcu od swoich idealnych bucht i patrząc jej w oczy. – Wiem, co myślisz, ale ja... ja se nie mogę zrezygnować. Obiecałem. Ale wymyśliłem sposób, jak wam pomóc, nie przerywając rejsu.

Spojrzała pytająco. Wezwie helikopter? Straż przybrzeżną? Wojsko? Na pewno są jakieś wyjątki w regułach rejsów dla zaburzonych.

– Wyrzucę cię przez burtę.

## 8

Kiedy morze uciło na tyle, że wznowiono pracę w żyrolabie, Bogdan Smuga skierował pierwsze kroki do laboratorium Andrija. Czuł, że czas ma znaczenie, że wokół rozgrywa się zbyt wiele wydarzeń, nad rozwojem których nie ma żadnej kontroli. A porażka na tym etapie byłaby wyjątkowo gorzka. Głęboko wierzył, że wyciąga ręce w stronę guzika, którego naciśnięcie uratuje ludzkość. Gdyby ktoś teraz jego dłoń zatrzymał przez przypadek, zbieg okoliczności, głupie niedopatrzenie, mogłoby to oznaczać nie tylko fiasko projektu, ale początek ostatecznego końca cywilizacji. Zwykle mówił, że nie lubi wielkich słów, wręcz ma na nie alergię, ale żadne inne nie pasowały do tej sytuacji.

Szybko przeszedł dekontaminację, zastanawiając się, czy na tym etapie w ogóle warto marnować czas na środki ostrożności, i otworzył drzwi do laboratorium. Andrij siedział na obrotowym krześle i układał kostkę Rubika.

– Jak tam? – zapytał Ukraińca.

– Beznadziejnie, nie mogę zejść poniżej pół minuty.

– Przestań.

– Bohdan, co mam ci powiedzieć? To nie grill, nie mogę dmuchnąć, żeby się szybciej rozpalił. Wszystko rośnie, wiesz, że mamy dwóch głównych podejrzanych, których namnażamy, ale nie mogę poprosić bakterii, żeby się szybciej dzieliły. To znaczy, mogę, ale nie jestem pewien, czy posłuchają.

Oczywiście wiedział to wszystko. Wiedział, że Andrij to powie, a mimo to przyszedł, żeby kręcić bezsensowną burdę. Pytanie, czy puszczają mu nerwy, ponieważ traci kontrolę nad całością wydarzeń, czy traci kontrolę, ponieważ puszczają mu nerwy.

– Wybacz, Andrij. Martwię się, że teraz, kiedy jesteśmy tak blisko, wszystkie zalety laboratorium stają się wadami. Jesteśmy odcięci od świata, ten statek to jedyne miejsce z tym materiałem biologicznym.

– Mam wystarczająco, żeby go podzielić. Można zabezpieczyć część stalaktytu i wyhodowane kolonie, wywieźć gdzieś helikopterem. Powiedz, a przygotuję taką paczkę w dwa, góra trzy dni.

Smuga pokręcił głową.

– Już przywiezienie tego helikopterem w jedną stronę stanowiło ryzyko. Teraz, kiedy siedzą nam na ogonie, to byłaby głupota. Nie, Andrij, musimy wytrzymać, doprowadzić tutaj do zsyntetyzowania, wtedy będziemy bezpieczni. Dlatego tak mi zależy na czasie.

Ukrainiec pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Ale za jakiś czas będziemy musieli wziąć paliwo i zaopatrzenie, więc możliwe, że i tak będziesz musiał przygotować swoją paczkę.

– Jasne, poszukam beczek z oznaczeniem zagrożenia biologicznego, żeby dobrze wyglądało, jak pod osłoną nocy będziemy je przenosić na atomową łódź podwodną.

– Bardzo zabawne.

To była historia o miłości. Kompas przy kole sterowym żarzył się bursztynowo, na dziobie światła nawigacyjne oświetlały co jakiś czas na czerwono i zielono pióropusze wody, kiedy większe fale rozbijały się o burty, ciepły wiatr głaskał po twarzy, a Zofia Lorentz

leżała na ławce w kokpicie, gapiała się w gwiazdy nad jasną krzywizną zagła i słuchała historii o miłości.

Do pewnego momentu bardzo zwyczajnej. Martin i Eliška poznali się, zakochali, ona porzuciła dla niego Brno, on porzucił dla niej żonę. Najpierw było im ciężko, gdy poroniła, potem jeszcze ciężiej, kiedy po upadku muru berlińskiego wolność razem z biedą spadła im na głowy. Ona urodziła raz i drugi, trochę się odbili, oszukał ich wspólnik, zaczęli jeszcze raz, przyszedł złoty okres, starsze dziecko wpadło w tarapaty, młodsze poszło do szkoły muzycznej, jej matka umarła, a jego ojciec wyprowadził się na stare lata do Polski. Rządy się zmieniały, klimat ocieplał, rodzice odchodzili, wnuki przychodziły, kłócili się o bzdury i przeżywali wielkie kryzysy, godzili zawsze w łóżku i nie było dnia, żeby nie myślał o tym, jak Eliška wieczorem będzie gadać do niego o dzieciach, książkach, fakturach i prezydentach, jednocześnie sięgając do spinki stanika. Jej piersi zmieniały kształt i rozmiar, staniki bywały zwykłymi podtrzymywaczami biustu albo uwodzicielskimi cudami, ale gest rozgadanej Eliški z rękoma za plecami nie zmienił się przez trzydzieści lat.

Potem, zgodnie z regułami rządzącymi losem organizmów wielokomórkowych, przyszła diagnoza. Nie damy się, to nie wyrok, jest dwudziesty pierwszy wiek, sześćdziesiątka to nowa dwudziestka, bądźmy dobrej myśli, cuda się zdarzają, nie z takich rzeczy ludzie wychodzili, póki życia, póty nadziei.

I rozpacz, że to się może tak po prostu skończyć. Szlochanie nocą na rynku w Ostrawie, że najbardziej będzie żal tych zwyczajnych wieczorów, kiedy w łóżku czyta książkę, udaje, że jej słucha i zerka tylko czasem, czy to już ten moment. Nigdy nie wierzył w Boga, czuł, że jeśli ktoś taki istnieje, to tylko pogorszy sprawę, zawracając mu w takim momencie głowę. Bóg zdenerwuje się, że Martin całe życie z niego szydził, a teraz jeszcze okazał się interesownym, egoistycznym, nieszczerym neofitą. Dlatego na rynku w Ostrawie wzniosł oczy do siąpiącego deszczu i przysiągł wszechświatowi, że jeśli Eliška z tego wyjdzie, to on dokona czegoś, czego jeszcze nigdy nie dokonał żaden Czech.

Zofia Lorentz patrzyła w gwiazdy i myślała. Czy to przypadek, że historia o miłości sprawiła, że Martin Meller znalazł się cudem we

właściwym czasie i miejscu, żeby ocalić jej życie? Czy to wszechświat tak zaplanował? Ale wszechświat nie planuje, po prostu jest. Planuje rozumna istota. Co to oznacza?

Żeglarz zamilkł. Zastanawiała się, co teraz dzieje się z Elišką. Jak dawno złożył swoje śluby? Ile pożyczonego czasu wyblągał u wszechświata? Dlaczego wypłynął na wiele miesięcy samotnego rejsu, pozwalając, żeby ona nie miała do kogo mówić, rozbierając się do snu?

– Dlaczego „Kometa”? – zapytała.

Zamiast odpowiedzi wstał i zszedł pod pokład. Za chwilę zatrzeszczało w głośnikach i w kokpicie rozległy się dźwięki gitary, a potem słowa piosenki: „Ujrzałem kometę ze złotym warkoczem...”

Oczywiście, jakżeby inaczej. Patrzyła na żagiel odsłaniający i zasłaniający wszechświat, słuchając o lesie, o trawie, o wodzie, o śmierci, co po każdego przychodzi. O miłości, o zdradzie, o świecie, o wszystkich ludziach, co żyli tu, na tej planecie.

10

Marcel Kluzka uważał takie środki bezpieczeństwa za przesadne i paranoiczne, ale Lisa poza przepuszczeniem zer i jedynek sygnału przez cyfrowy labirynt, zaciemniła pokój i pozasłaniała prześcieradłami, żeby ani elementy wystroju i architektury, ani kąt padania i barwa promieni słonecznych nie pozwoliła nikomu odgadnąć, gdzie są. Dopiero wtedy pozwoliła Karolowi Boznańskiemu porozmawiać z córką przez wideokomunikator. Po czterech dniach rzygania, dreszczy i koszmarów sennych pacjent ciągle miał dziury w dalszej pamięci, a z ostatnich tygodni nie pamiętał prawie nic, ale wiedział, kim jest, rozumiał swoją sytuację i pomału myśleli o tym, żeby w końcu wprowadzić go we wszystko, co się wydarzyło. Wcześniej tłumaczyli, że najpierw musi odzyskać maszynkę do myślenia, inaczej będą musieli wszystko powtarzać codziennie od nowa, ale teraz nie mogli już zwlekać. Poza tym razem z poprawą stanu ogólnego rosła tendencja pacjenta do awanturowania się.

Lisa od dwóch dni przygotowywała się w myślach do tej rozmowy. Towarzyszyła Zofii i Karolowi kilka lat temu, kiedy po przerwie wracali do siebie. Wiedziała, że to nie jest jakiś związek i jakieś małżeństwo. Że za bezkompromisowym, niebiorącym jeńców temperamentem obojga, za nieustającymi awanturami, kłótniami i dyskusjami – przez które wielu uważało tę parę za trwającą w nieustannym przedrozwodowym kryzysie – stoi naprawdę wyjątkowa miłość.

Chociaż może powinna myśleć: stała.

Zakłęła w myślach po polsku. Lubiła polskie przekleństwa, szwedzkie do niczego się nie nadawały.

Karol skończył rozmowę z córką i teściami, wyszedł z sypialni i usiadł przy stole.

– Słucham – powiedział.

Opowiedzieli mu z Kluzką wszystko, co wiedzieli. No, prawie wszystko. Wąsaty najemnik zrelacjonował, że obserwowali Smugę od dawna, że wiedzieli o zleceniu dla Zosi i mniej więcej znali ich poczynania w Petersburgu i na Sachalinie. Ale powstrzymał się od opowiadania, jak z Pierrem szydzili z podglądania ich prywatnych rozmów, nie podzielił się też przypuszczeniami, że dwójkę poszukiwaczy przygód mogło na Sachalinie połączyć coś więcej niż miejsca obok siebie w samolocie.

– Wiedziałaś, że mnie trują?

– Oczywiście. To genialny przeciwnik, niczego nie pozostawia przypadkowi. – Kluzka nie potrafił ukryć podziwu. – Zrozumiał, że jego dotychczasowe metody nie działają, wymyślił inne podejście i znalazł najlepszą osobę. Żeby nie zabrakło jej motywacji i żeby zyskać nad nią kontrolę, kilkanaście tygodni wcześniej zaczął cię truć, doprowadził do zwolnienia jej z pracy, przekonał albo przekupił lekarzy, do których mogła się zwrócić, wymyślił lipną klinikę w Pirenejach.

– Nie rozumiem, Lisa mówiła, że te leki trzeba przyjmować cały czas. Jak mi je podawali?

– Nie wiem dokładnie, jak to wyglądało na samym początku, ale podejrzewam, że wykorzystali jakiś twój nawyk. Masz taki?

Karol się skrzywił.



– Mam. Zołza mi ciosała kołki na głowie, że codziennie muszę kupować kawę, jak ekspres stoi w domu. Ale rozumiecie, w kawie nie chodzi o kawę, tylko o rytuał, o wejście w rzekę kawowych znaczeń, w świat ludzi, którzy od pokoleń siadają przy kawie, otwierają gazetę i zakładają nogę na nogę. Ale nawet jeśli, to potem przecież siedziałem w domu.

– A pamiętasz, co ci zapisał pierwszy pan doktor?

– Zmiana żywienia. Dieta pudełkowa. No jasne.

Doszli do wydarzeń w Paryżu. Lisa doceniłaby, że opowiadanie tego z podziałem na role z dwóch różnych stron pościgu tworzy fantastyczny, sensacyjny obraz tego, co się działo w gmachu Muzeum Historii Naturalnej i poza nim, gdyby nie to, że im bliżej mostu Austerlitz, tym bardziej czuła, że wszystkie te słowa padają obok niej. Widziała, jak Karol błędnie, kiedy Kluzka opowiadał, bardzo prosto i oszczędnie, jak na barcę najpierw skoczył Smuga, a potem Zofia, jak skok ten zakończył się paskudnym upadkiem. Nie pominął szczegółu, że wszystko to działo się pod lufą jego pistoletu.

– Odpłynęli i zniknęli bez śladu – powiedział. – Znaleźliśmy barcę, ale od tamtej pory nie natknęliśmy się na żaden ślad ani twojej żony, ani Bogdana Smugi. Mamy podejrzenia, ale wysłuchaj nas najpierw do końca.

Karol pokiwał głową. Jego oczy mówiły, że rozumie, co w tej sytuacji oznacza „bez śladu”. Kobieta, której mąż przebywa w szpitalu, a kilkuletnie dziecko jest samo z dziadkami, nie znika w Boże Narodzenie dlatego, że ma ochotę odpocząć od zgiełku świata.

Opowiedzieli ciąg wydarzeń, który doprowadził do momentu, kiedy spotkali się wszyscy na wąskiej górskiej drodze przy Prats-des-Mollo.

– Rozumiem, że nie chcecie mi tego powiedzieć wprost, ale waszym zdaniem Zołza nie żyje.

Bała się tego pytania i miała nadzieję, że zada je później, chcąc odwlec ten moment.

– Tak – odpowiedziała. – To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Ale ciągle nie jedyne.

– Każde inne zakłada, że moja żona bzyka się z jakimś brodatym, kurwa, Stephenem Hawkingiem.

To było drugie pytanie, którego bała się najbardziej.

– Daj spokój, Lisa, nie jestem dzieckiem. Jej świat się wali, mąż traci pamięć, a ona rusza na przygodę na Dzikim Wschodzie, niczym po wodę życia w sowieckiej bajce. Okazuje się, że jej przewodnik to połączenie świętego Franciszka, Adriana Zandberga i Alberta Einsteina. Że uczestniczy w wyścigu po długowieczność u boku dobroczyńcy ludzkości. Sam bym mu dał w tej sytuacji, chociażby po to, żeby się potem chwalić kumplom przy piwie. A Zośka to wyjątkowa osoba, raz spojrzała na niego przychylnie tymi czarnymi oczami i gość pocił się w nocy jak nastolatek. Mam nadzieję, że tak właśnie się stało. Bo jego zadurzenie to jedyna szansa, że zamiast wrzucić do Sekwany, stanął na rzesach, żeby ją uratować.

Skinęła głową. Miło zobaczyć starego przyjaciela w formie. Bez względu na okoliczności. Karol wstał, podszedł do kuchni, nastawił kawiarkę. Rozumiała, że musi się zastanowić, co dalej. Rozumiała też, że wynik tego zastanawiania się może być tylko jeden. Karol musi wrócić do Warszawy, zabrać dziecko dziadkom, ogarnąć życie, czekać na wieści. W tyleż optymistycznym, co nierealnym scenariuszu, któregoś dnia odbierze telefon od Zofii, żeby przyjechał po nią na lotnisko.

– Muszę jechać po nią do Somalii – powiedział. – Lisa, jedziesz ze mną? Awantura? Przygoda? Jak za starych dobrych czasów?

– A dziecko?

– Co dziecko? Kocham swoją córkę nad życie, ale dzieci przychodzą i odchodzą, a w międzyczasie są niewdzięczne i sprawiają kłopoty. Ja muszę znaleźć żonę. Albo mieć pewność, że nie mam kogo szukać.

Kiedy już ustaliła z Martinem, jak można rozwiązać jej problem, nie sprawiając problemów jemu, zaczęło się jachtowe życie, do którego bardzo szybko przywykła. Nigdy się tak dobrze nie wysypiała jak teraz, kołysana przez fale, w zapachu morza, ostatniej nocy wyciągnęła materac do kokpitu i spała pod gołym niebem, doświadczając zaskakującego w jej sytuacji spokoju. Trochę

gotowała, trochę myślała, trochę interesowała się żeglarskim rzemiosłem, ucząc się odróżniać fały od szotów i ostrzenie od odpadania. Brakowało jej lektury. Kindle'a Martina wypełniały czeskie powieści, a z książek po angielsku mogła się dowiedzieć jedynie czegoś o manewrach portowych, sztuce sztormowania i żeglowaniu bez stresu w pojedynkę (lub z małą załogą). Jediną pozycją po polsku, jaka stała na półce, była pamiątka po ojcu żeglarza, wierzącym ewangeliku – Biblia Gdańska w wydaniu z lat trzydziestych. Przekartkowała, ciekawa różnic stylistycznych ze znanymi jej tekstami, wiedziała, że w bibliach protestanckich brakuje kilku apokryficznych ksiąg Starego Testamentu, ale – wstyd się przyznać, pani profesorko humanistko – nie pamiętała których. Księgi Judyty jej brakowało w spisie. Ale jakich jeszcze?

Otworzyła na chybił trafił: „Pan, Bóg wasz, rozmnożył was, a otoście dziś jako gwiazdy niebieskie w mnóstwie swoim. Pan, Bóg ojców waszych, niech rozmnoży was nad to, jakoście teraz, tysiąc kroć więcej; i niech was błogosławi, jako wam obiecał”.

Tak, Smuga, miłośnik „randomowej depopulacji” pewnie by się nie zgodził z biblijną ideą nieograniczonego rozmnażania. Po raz pierwszy od momentu upadku zaczęła rozmyślać o tym, co zrobi z posiadaną przez siebie wiedzą, kiedy dotrze do cywilizacji. Pierwszym wyborem bez wątpienia byłoby zrobienie hałasu na cały świat. Ale czy to dobry wybór? Czy hałas nie spowoduje, że Smuga zabierze patogeny, swoich pretorian i po prostu przeniesie się gdzie indziej? A ona osiągnie tylko tyle, że „pacjent zero” pojawi się na innym międzynarodowym lotnisku? A co jeśli hałas usłyszy najpierw wielki biznes i zanim jakiegokolwiek państwowe służby podejmą decyzję, wynajęci przez nich najemnicy z wąsatym faszystą na czele desantują się na „Vincenta” i przeniosą patogen do bazaltowych wieżowców, dzięki czemu powstanie wyselekcjonowana nowa klasa społeczna długowiecznych?

Potrzebowała pomocy. A tylko jedna osoba mogła jej pomóc w tej sytuacji.

Odłożyła Pismo Święte na półkę i wyszła do kokpitu.

– Ahoj, kapitanie.

– Ahoj – mówił to z czeską, unoszącą się w górę intonacją, zawsze wtedy myślała o Kreciku.

– Nie możesz zawijać do portów i nie możesz korzystać z pomocy na morzu, ale komunikacja w ogóle nie jest zakazana, prawda? Założę się, że teraz co drugi samotny żeglarz to youtuber, reklamujący w swoich mrożących krew w żyłach relacjach lornetki i sztormiaki.

– Niestety, masz prawdu.

– Muszę wysłać wiadomość.

Uciekł spojrzeniem.

– Nie martw się, nie nagram pozdrowień dla rodziny. Muszę wysłać jedną wiadomość, składającą się z kilku cyferek.

## 12

Propozycję Karola wyśmiali ze Szwedką jednogłośnie. Właściwie w pierwszej chwili, kiedy ją usłyszał, sądził, że to czarny humor. Że ich pacjent nie może na serio rozważać wyprawy do Afryki, żeby tam na ślepo szukać statku widmo, na którym być może jest jego żona. Ten projekt w momencie ogłoszenia stał się wzorcem z Sèvres wszelkich debilnych, skazanych na niepowodzenie projektów. Nawet powstanie warszawskie wyglądało przy nim na sensowną, taktycznie i strategicznie przemyślaną propozycję.

Jednak Karol nie zamierzał zrezygnować, co gorsza także Szwedka wydawała się łamać i nagle, jak w domu wariatów, oboje zaczęli planować kolejne ruchy. Zdziwiony, że argument „to zwyczajnie nie ma sensu” do nich nie trafia, starał się przemówić do rozumu. Najpierw delikatnie, a potem niedelikatnie dawał do zrozumienia, że żywa córka wymaga ojcowskiej opieki, a jego żona najprawdopodobniej leży zakopana w jednym z wielu miejsc nadających się do ukrycia zwłok, w jakie obfituje dziewięćdziesiąty trzeci departament.

Osiągnął taki sam efekt jak Kazimierz Iranek-Osmecki, który przekonywał, że Niemcy nie są w odwrocie, a wręcz przeciwnie, i słyszał w odpowiedzi, że brak broni zastąpi „furia odwetu”.

W końcu uznał, że powiedział, co było do powiedzenia, a dalej to już nie jego cyrk, nie jego małpy. Następnego dnia opuszczał Pireneje i zaczynał emeryturę. Teraz poszedł na ostatni spacer po

posiadłości, jak zwykle kierując kroki do niewielkiej kapliczki, przyklejonej do budynku z pokojami gościnnymi. Dlaczego ją wybudowano? Stuletnie gospodarstwo należało kiedyś do Kościoła? Klasztoru? Właściciele czuli się ludźmi pobożnymi? Dlaczego postanowili, że jedynym elementem wystroju będzie witraż przedstawiający świętego Teodora? Co ma wspólnego męczennik początków chrześcijaństwa z pirenejskim odludziem? Sprawdził go dziś w internecie. Rzymski hetman, pogromca smoków w imię Chrystusa, który samemu cesarzowi odmówił złożenia ofiary bogom i podpalił świątynię potężnej Kybele, bogini płodności, za co został skazany na tortury i śmierć.

Uklęknął, przeżegnał się. Boże, pomyślał, jutro jest pierwszy dzień reszty mojego życia. Niby dzień jak co dzień, ale czuję, że zaczyna się ostatnia część mojej drogi. Wiesz, że chciałem odwiedzać sanktuaria maryjne, ale czy to ma sens? Czy to naprawdę pobożność, czy projekt turystyczny, tak samo dobry jak pływanie na wycieczkowcach i granie w kasynie? Potrzebuję dobrej rady. Tak, wiem, proszenie o to Ciebie albo szanownego Teodora to tak naprawdę pytanie samego siebie, taki to problem z modlitwą, że człowiek gada do własnych myśli. Mówisz, że mam przewodnika? Mam, ale boję się, że jeśli go spotkam, będę musiał opowiedzieć o wszystkim, co robiłem od naszego spotkania. Czy się wstydzę? Trochę. Inaczej to miało wyglądać, inaczej sobie wyobrażałem życie chrześcijanina. Że co to za spowiedź, gdyby nie było z czego się spowiadać? Racja.

Przeżegnał się i wstał. Spowiedź. Ma to sens, żeby trzecią część życia zacząć od spowiedzi. Co, o ironio, wymagało podróży do Afryki. Co prawda, na jej przeciwległy koniec niż tamci wariaci, ale zawsze. I kto powiedział, że Bóg nie ma poczucia humoru.

Drgnął, kiedy drzwi do kaplicy otworzyły się gwałtownie. Czarny cień w jaskrawym świetle, przez głowę przeleciała mu idiotyczna myśl, że to święty Teodor przybył, aby nauczyć go męczeństwa.

– Jebiesz zdrowaśki?

Lisa. Wolał, kiedy ze względu na Varanka musieli rozmawiać po francusku, jej polszczyzna przyprawiała go o dreszcze.

– Modlę się o twoje zbawienie.

– Nie ma szans, czterdzieści lat miętoszenia Krystyny zaplombiło przede mną wszystkie raje. Ale mózdzę, że było warto, lepsza rączka niż rzeźączka, nie? Musisz coś zobaczyć.

Weszła i pokazało mu wiadomość na tablecie. Bezsensowny ciąg cyfr.

– Na twoim miejscu nie otwierałbym załącznika.

– Nie ma załącznika. Przyszło z dziwaczного adresu, jakiś polski serwis.

Spojrzał.

– Przeceniasz mnie, Szwedko. To nie ma sensu.

Milczała. Już chciał powiedzieć, żeby przestała mu zadawać zagadki, i powiedziała po prostu, o co chodzi, ale zaskoczył. Oczywiście, Zofia Lorentz.

– Nie wierzę.

– Niezła gamza u kogoś, kto właśnie wstał z kolan.

*Touché.*

– Prawda nas wyzwoli, Szwedko. Chodźmy i zastanówmy się.

Każde z nich przepisało ciąg cyfr na swoją kartkę i teraz zastanawiali się, co one mogą oznaczać. Poza spacjami nie oddzielały ich żadne symbole ani znaki interpunkcyjne, wyglądało to jak numer karty kredytowej: 0100 00726 045 012018

– To nie ma sensu – powiedział Karol. – Założmy, w co chciałbym wierzyć, ale wątpię, że wiadomość pochodzi od Zofii. Wskazuje na to adres. To prastary polski serwis mailowy, wyobrażam sobie sytuację, że dorwała się do komputera i skorzystała ze starej poczty, zakładając, że nikt jej nie śledzi.

– Tylko po co wtedy pisać szyfrem? – zauważyła Lisa.

– Dokładnie. Jeśli nikt nie czyta, to można napisać wprost, a jeśli czyta, to i tak zrozumie.

– Mogła założyć, że moja poczta nie jest bezpieczna.

– Proszę cię, Lisa, jeśli w Europie jakaś poczta jest bezpieczna, to twoja. Mam rację?

– Masz.

Ruhsar Varank patrzył w swoją kartkę bez słowa, zdając się nie uczestniczyć w dyskusji, którą głównie ze względu na niego prowadzili po francusku.

– Za dużo kombinujecie – powiedział.

Spojrzeni na niego.

– Gadacie o jej motywacjach, nie mając żadnych danych do oceny sytuacji, zamiast zrozumieć wiadomość. Przeczytajmy i zastanawiajmy się, co dalej. Twoja żona to humanistka, historyczka sztuki, zgadza się?

Karol przytaknął.

– Zakładam, że cyfry nie są jej naturalnym habitatem, różne permutacyjne szyfry, zabawy w równania, kryptografia?

– Prędzej wysyłałaby znaki dymne, ogniskiem rozpalonym przez pocieranie patyków.

– Tak myślałem. Czyli może przekazała dane, których nie da się przekazać w formie innej niż liczbowa. Biorąc pod uwagę, że może być więźniem na statku, podstawową informacją jest pozycja geograficzna i kurs: 0100 00726 045.

– Dlaczego tak?

– Powiedzmy, że zauważyła te dane gdzieś na mostku. Nie bawiła się w cyfry po przecinku, zapamiętała stopnie i minuty. Każde morskie urządzenie podaje najpierw szerokość, a potem długość. Od pana dyrektora dowiedzieliśmy się, że ich Latający Holender pływa przy Afryce w okolicach równika. Czyli – zapisał  $01^{\circ}00'$  i  $007^{\circ}26'$  – pierwsza liczba oznaczałaby jeden stopień szerokości północnej lub południowej a druga, siódmy stopień długości wschodniej lub zachodniej. Kurs zero cztery pięć, czyli na północny wschód.

– Niemożliwe – zaoponował momentalnie Kluzka.

– Bo?

– Za blisko południka zero. To Zachodnia Afryka, Atlantyk. Kenia i Somalia są po wschodniej stronie.

– Chyba że... – powiedział Varank.

Zrozumiał.

– Chyba że nie doceniliśmy Bogdana Smugi i jego sekty. Że przewidział nasze naciski i nasze poszukiwania i przygotował się, żeby ktoś podał nam fałszywy trop. Spójrzmy na mapę.

Spojrzeni. Varank przejął dowodzenie, wyraźnie zachwycony występowaniem w filmie przygodowym.

– Stopień w górę czy w dół równika nie ma aż takiego znaczenia, ale spójrzmy na długość. Siedem *east* to będzie w głąb Zatoki

Gwinejskiej, a kurs zero cztery pięć wskazuje Doualę w Kamerunie. Z kolei siedem *west* – wpisał cyfry w przeglądarkę – wypada bliżej Atlantyku, a kurs prowadzi prosto do Abidżanu na Wybrzeżu Kości Słoniowej.

Nachylał się nad ekranem, kiedy Varank to powiedział i wypowiedziane przez Turka słowa sprawiły, że w mózgu momentalnie złożyło się wiele wspomnień. Tych dobrych i jasnych, związanych z ojcem Andrzejem, wiarą i małym kościółkiem, oraz tych najciemniejszych, przed którymi do małego kościółka uciekł.

– Marcel? Wszystko w porządku? Jesteś biały jak ściana.

Pokiwał głową, nie mogąc wykrztusić słowa, i usiadł ciężko na krześle. Dał Varankowi znak, żeby kontynuował.

– Zakładając, że mam rację, to po kursie zostaje zapis 012018. Gdybyśmy zostali w kręgach marynistycznych, powinna to być prędkość lub godzina, wtedy mielibyśmy wszystkie dane, żeby wyliczyć gdzie i o której będzie jej statek.

– To ma sens – powiedziała Lisa.

– To nie ma sensu – odparował Karol. – Nie zadała sobie trudu, żeby wskazać, czy długość geograficzna jest wschodnia czy zachodnia, co oznacza w tym wypadku pewnie z tysiąc kilometrów różnicy, a bawiłaby się w godzinę? Znam ją. Chciałaby dać do zrozumienia, o co chodzi. To musi być proste, a jak możesz wysłać tylko cyfry, to załatwiasz to przez notację biblijną. Co wy, kryminalistów nie czytacie? W Piśmie Świętym jest wszystko, nawet jak jesteś totalnym laikiem, a ona jest historykiem sztuki. Czyli stawiałbym, że jest to albo Ewangelia Mateusza, rozdział dwudziesty, werset osiemnasty albo to samo w Księdze Rodzaju. Guglaj, Ruhsar.

Turek poklikał i przeczytał:

– „Oto idziemy do Jerozolimy. Tam Syn Człowieczy zostanie wydany arcykapłanom i uczonym w Piśmie. Oni skazą Go na śmierć”.

Karol przewrócił oczami.

– Nie no, kurwa, tutaj nie ma żadnej treści, chyba że chcą płynąć z Abidżanu do Jerozolimy. Przestańcie robić miny jak z Dana Browna i zaczynajcie myśleć. Dawaj Księgę Rodzaju.



Varank grzecznie znalazł odpowiedni cytat. Przeczytał najpierw sam. Pobladł.

– O Allahu, ja pierdolę – powiedział.

– Chyba powinieneś znaleźć bardziej wiarygodne tłumaczenie – mruknął Karol, zajrzał mu przez ramię i przeczytał: – „Bóg bowiem dotknął niepłodnością wszystkie łona w domu Abimeleka za Sarę, żonę Abrahama”. Nie no, to też jakiś bełkot. Te cyfry muszą oznaczać coś innego.

– Niekoniecznie – powiedział Varank dziwnym tonem. – W środowisku od dawna krążyły plotki, że jacyś naukowcy pracują tylko dla nauki. Że mają tajną bazę na Antarktydzie, finansuje ich Bill Gates i szukają eliksiru szczęścia. Ale kto był lepiej poinformowany, wiedział, że faktycznie paru kolegów dorwało się do kasy, żeby poza systemem pracować nad alzheimerem. Wedle moich danych żadne altruistyczne *ensemble*, tylko projekt konkurencji, skuteczny lek albo szczepionka na demencję oznaczają pierdyliardy zysku i nieograniczoną władzę dla właściciela patentu. Tak myślałem. Ale wiarygodne źródła podawały też inną wersję.

Zawiesił głos, ale nikt nic nie powiedział, więc kontynuował.

– Opowiadano tonem historii o duchach, że chodzi o uratowanie ludzkiej rasy, ale nie za pomocą leku na długowieczność, a wręcz przeciwnie, o wywołanie kontrolowanej depopulacji poprzez jakąś epidemię. Nie jest tajemnicą, dziś to wiedza ogólna, że zmiany klimatyczne w ciągu stu lat położą kres ludzkości w obecnej formie, a najprawdopodobniej w każdej formie. Od dawna też pojawiają się głosy, że trzeba przetrzebić ludzkość co najmniej o połowę, aby zatrzymać emisję, zanim się ugotujemy. Uważałem, że w poważnym środowisku naukowym takie plany są niemożliwe, nikt przy zdrowych zmysłach nie projektowałby ludobójstwa na niewyobrażalną skalę, takiego projektu nikt by nie poparł.

– Chyba że chodziłoby o epidemię bezpłodności – powiedział Karol.

– Dokładnie. Nikt nie umiera, nikomu się krzywda nie dzieje, a liczba mieszkańców Ziemi spada, jesteśmy uratowani, żyjemy może bezdusznie, ale długo i szczęśliwie.

– Nie wierzę – wycedziła Lisa.

– Dlaczego? – zdziwił się Varank. – To brzmi logicznie.

– Nie wierzę, że poszłam do łóżka z kimś, kto mówi z podziwem o wysterylizowaniu ludzkości. Poczytaj sobie historię Szwecji, turecki wieśniaku.

Varank zamierzał się albo tłumaczyć, albo kłócić, ale Marcel Kluzka nie dał mu dojść do głosu.

– Jedziemy do Abidżanu – oznajmił.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Bóg tak chce.

## 13

Nie rozumiała swoich emocji. Przecież od bardzo wielu dni, tygodni nawet, niczego nie pragnęła bardziej niż tego, żeby w końcu wydostać się z oceanicznego więzienia. Na „Vincencie”, w czasie strasznej samotnej doby na morzu, i potem w czasie sztormu i rejsu „Kometą” napędzała ją wizja chwili, kiedy zejdzie na ląd, złapie taksówkę i każe się wieźć na lotnisko. A teraz patrzyła na zbliżające się światła Abidżanu i czuła dziwny smutek, wzrok z niewiadomych przyczyn uciekał w drugą stronę, w kierunku falującej, sięgającej końca świata czerni.

Bez sensu, przecież światła obiecują powrót do wszystkiego, z czego składało się jej życie. Za światłami czekał Karol, Kasia, Warszawa, mieszkanie na Wiejskiej, spotkania przy kawie w „Ziółku” na Kruczej, muzeum, które zawsze będzie jej, nawet jeśli nie będą jej tam wpuszczać jako zwiedzającej, książki, podróże, te najlepsze imprezy, na które się nie ma ochoty iść, wieczory przy winie, kace, kruszenie ryżowymi chrupkami z humusem po kanapie w czasie oglądania seriali na HBO, całe to fajne, kolorowe życie. Które mogła stracić, a teraz znów ma je na wyciągnięcie ręki.

Odwróciła się, oparła o reling po zawietrznej, spojrzała na morze, wciągnęła jego zapach i pomyślała, że musi wrócić. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła spędzić resztę życia, nie wracając do tego uczucia, kiedy leży się w kokpicie, patrzy w górę na żagiel zasłaniający i odsłaniający gwiazdy i czuje, że jest się dzieckiem natury. Harmonia. Bogdan Smuga to szalenciec, ale w tym miał rację. Bez harmonii to wszystko nie ma sensu.

– Hotowa? – zapytał zza steru Martin Meller.

– Bardziej nie będę. Stopy wody, kapitanie – pocałowała go w policzek i wyskoczyła za burzę.

14

Stephane Breitwieser czuł dumę, podniecenie i niepokój. Dumę, ponieważ to jego i tylko jego zasługa, że dwudziestą piątą rocznicę ślubu świętowali nie w jakiejś śmierdzącej smażeniną lokalnej gaststubie w Sassnitz, nie w drogiej knajpie w Berlinie, gdzie wszyscy kelnerzy patrzyliby na nich jak na prowincjuszy, którzy przyjechali na rocznicę ślubu, ani nawet nie na wyjeździe do Paryża, gdzie każdy algierski recepcjonista traktowałby ich jak okupanta. Tylko dzięki jego obrotności – z małą pomocą wspaniałej koniunktury i polskiego kontrahenta ze Szczecina, którego tokarze pracowali szybciej i taniej – mógł podarować Anne-Catherine niezapomniane wspomnienia na „Edenie Mórz Południowych”. Który to „Eden” nie był jakimś tam wycieczkowcem, lecz – co mówił przyjacielom takim tonem, jakby go sam zwodował – połączeniem Las Vegas z Ku’dammem i Tropical Islands ze Spreewaldu, rozumiecie.

Z Anne-Catherine ustalili, że to nie będą zwykłe wakacje. „Eden Mórz Południowych” miał stać się areną odrodzenia ich związku, powrotu do czasów, kiedy ona pod pretekstem przyniesienia kanapek wpadała do warsztatu, żeby mogli baraszkować między beczkami politur, kiedy potrafili w zajeździe przy autobahnie schować się w toalecie dla niepełnosprawnych, a raz nawet kochali się na koncercie Scorpionsów, udając, że tańczą. Postanowili, że skoro ta namiętność towarzyszyła im wtedy, to może pojawić się i teraz. „Czułość i przyjaźń karmi się stałością, a namiętność potrzebuje nowości. Zaskakujcie się!” – poradziła im znajoma seksuolożka. Nie ufał jej do końca, bo specjalistka prowadziła też hotel dla kotów i udzielała się wśród wyznawców Świętowita w Arkonie. Ale rada brzmiała sensownie.

W praktyce wychodziło różnie. Na Majorce zlizywanie z siebie polewy czekoladowej zapowiadało się niezłe na etapie polewania, ale zemdliło ich, zanim doszło do dzikiego seksu, wzięli wspólnie

prysznic i poszli spać z bolącymi brzuchami. Na Gibraltarze miał ją przywiązać do łóżka, ale Anne-Catherine zaproponowała z dziwnym błyskiem w oku, że to ona jego przywiąże. I zrobiła to nader dokładnie. A potem kazała mu się zamknąć, dosiadła bez zbędnych ceregieli i rozwiązała dopiero po swoim trzecim orgazmie, bardzo głośnym i bezkompromisowym. To było dziwne. Na oceanie trochę nie wyszedł seks na pokładzie, wiało jak cholera i w tej zimnej bryzie nie chciał mu stanąć za żadne skarby. A teraz, w czasie wpływania do pierwszego portu czarnej Afryki, nadszedł czas na pokraka.

Stephane Breitwieser czuł podniecenie, myśląc o tym, że zgodnie ze scenariuszem Anne-Catherine czeka na łóżku tylko w pończochach, udając, że czyta książkę i że zaskoczy ją nagły atak zamaskowanego seksualnego drapieżcy. Ale czuł też niepokój, patrząc w lustrze na siebie w czarnym lateksowym kostiumie. Na brzuchu opinał mu się trochę za bardzo, za to na nabrzmiętym teoretycznie członku wisiał trochę za luźno, maska uwierała, a wszystko skrzypiało przy najlżejszym ruchu. Pomyślał, że jeszcze kilka dni tego rejsu i małżeński seks pod kołdrą stanie się ich największym erotycznym marzeniem. Dobra, miejmy to za sobą.

Wyszedł z łazienki, Anne-Catherine czytała na łóżku.

– To ty, kochanie?

Nie odpowiedział.

– Stęskniłam się za tobą, chodź.

Skrzypiąc niczym rycerz zakuty w nienaoliwioną zbroję, wlaź na łóżko. Spojrzał w lustro i o mało co nie westchnął. Zobaczył tam lśniąca czarną postać z najdurniejszego pornosu, nachylającą się z wystającym brzuchem i wystającym członkiem nad tyłkiem swojej żony. Poczuł, jak podniecenie z niego ucieka. W tej samej chwili Anne-Catherine też zerknęła w lustro, zobaczyła ten sam obrazek i zaczęła się drzeć ze strachu, wierzgnęła, łydką kopnęła go boleśnie w jądra i wyskoczyła z łóżka.

– *Scheisse...* – stęknął.

– Stephane, przepraszam, bardzo przepraszam, nie spodziewałam się czegoś takiego!

– Na tym polega zaskakiwanie – wyjęczał.

– Po prostu, czekaj, naprawię to. – Usiadła na podłodze obok okna. – Błagam, nieznajomy, nie zabieraj mi życia, a dam ci, co tylko chcesz. Moje przechodzone ciało może być twoje!

– Spokój mi daj, kobieto. I pomóż się z tego wydostać.

Jego żona zachichotała, wstała i oparła się rękami o okno, wypinając w jego stronę. Za nią niesamowitą scenografię tworzyła panorama oświetlonego miasta, z gigantycznymi dźwigami portowymi na pierwszym planie.

– No chodź, taki wysiłek nie może się zmarnować.

Miał kompletnie inne zdanie na ten temat.

– Och, nieznajomy, nie mówiłeś, że będzie was więcej.

Nie rozumiał, o co jej chodzi, więc podszedł do okna, wyjrzał i zdębiał. Nie spodziewał się, że zobaczy coś równie dziwnego, co jadące po lodzie ferrari – spotkało to ich kilka lat temu w czasie romantycznego rejsu po Bałtyku – a jednak. Na wodzie unosiła się postać w identycznym kostiumie jak ten, który miał na sobie, tyle tylko, że w dziwnym brudnoróżowym kolorze. Mało tego, tajemniczy przebieraniec młócił energicznie wodę rękami i nogami, starając się odsunąć od gigantycznego wycieczkowca.

## 15

Szczerze, naprawdę szczerze miała tego wszystkie dość. Wszystko szło zgodnie z planem, moment wybrali idealnie, przypyływ niósł ją w stronę plaży i tak naprawdę musiała tylko leżeć na wodzie, patrząc na zbliżającą się cywilizację, cieszyła się, że tak jak wyliczyli, prąd znosi ją na piaszczystą plażę w centrum miasta, słyszała muzykę z barów, odróżniała światła budynków od lampek w przybrzeżnych knajpach. I wtedy pojawił się wycieczkowiec, nie tyle statek, co gargantuiczne pływające miasto.

Zorientowała się szybko, że statek kieruje się do szerokiego kanału, wiodącego zapewne do portu. Dobra wiadomość brzmiała, że szlak znajdował się kawałek od niej. Zła – że właśnie w tamtą stronę spychał ją przypyływ. Teraz musiała podjąć decyzję – albo zacznie płynąć szybciej z prądem, mając nadzieję, że zdąży przemknąć przed dziobem wycieczkowca, albo zacznie walczyć,

czekając aż ten ją minie. Martin wiedziałby, co robić, znałby pewnie prędkość zarówno prądu pływowego, jak i statku. Tyle tylko, że „Kometa” już pół godziny wcześniej zniknęła jej z oczu.

Szlach by to trafił.

Uznała, że lepiej będzie zaufać prądowi i zaczęła płynąć w stronę ładu. Plaża się zbliżała, wejście do kanału się zbliżało, ale statek też się zbliżał. A im bardziej się zbliżał, tym bardziej niesamowite wydawały się jego rozmiary. Czuła w wodzie wibracje, wywoływane przez jego napęd, w porównaniu z tą pływającą górą „Vincent” wydawał się łupiną. Dudnienie śruby narastało, wibracje coraz mocniej przeszywały jej ciało, szumiały fale odkosów, wyrzucane na boki przez tnący wodę dziób z ogromną gruchą na końcu. Z jej perspektywy grucha miał wielkość kamienicy, a cały kadłub – wieżowca. Dużego wieżowca.

Od dziobu dzieliło ją nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, kiedy miłosierna fala zabrała ją i jednym ruchem wyrzuciła poza kurs wycieczkowca. W hysterii, rozpaczliwymi ruchami rąk i nóg walczyła, aby się od niego oddalić, bała się – nie wiedząc, czy słusznie – że jakieś tajemne hydrodynamiczne siły wciągną ją pod kadłub, po czym śruba zmieli ją na befszytk tatarski.

Walczyła, młóciła, płynęła, za nią przesuwiał się majestatycznie olbrzym, zerkający na nią z zaciekawieniem setkami okiem hotelowych pokoi, a przez szum odkosów i łomot silnika zaczął się przebijać inny dźwięk, jakby małej motorówki. Rozejrzała się i rzeczywiście, od strony kanału pędził w jej stronę czarny ponton.

– Hej! – krzyknęła, zupełnie bez sensu wśród tych wszystkich dźwięków, i zamachała rękami.

Prowadzący ponton musiał ją zauważyć, ponieważ zwolnił, zatoczył łagodny łuk, wrzucił silnik na luz i podpłynął do niej. Niewyraźna postać zamachnęła się i z czarnego pontonu poleciało w jej stronę pomarańczowe koło ratunkowe. Chwyciła się go kurczowo, silnik zwiększył obroty, poczuła szarpnięcie i kilka chwil później znajdowała się w bezpiecznej odległości od olbrzyma. Dopiero wtedy sternik zwolnił i podciągnął ją do burty, a następnie wciągnął na pokład. Dyszała ciężko, próbując uspokoić oddech, sternik stanął nad nią.

– Zrobiłbym usta-usta – powiedział Karol Boznański – ale pachnie pani gównem i rzygowinami.

## Rozdział 15. Zemsta Siwobrodego

*Ocean ma to gdzieś • Mordercy wracają na miejsce zbrodni • Nie masz wątpliwości? • Spowiedź najemnika • Obroże • Szatańska alternatywa • Na morzu najłatwiej zniknąć • 42 stopnie w cieniu • Półstanik łotr z ławki • Pseudomonas vincentae • Bracia Słowianie przybywają z odsieczą*

1

Natalia Przybysz skończyła smażyć kiełbasę, stanęła przy oknie, spojrzała na morze i pomyślała, ile ludzkich spojrzeń pada w tej właśnie chwili na ocean i co ocean na to. Pewnie ma to gdzieś, tak samo jak gdzieś mają nasz zachwyty gwiazdy, lasy i chmury, układające się w niesamowite kształty. Co czyni cuda natury i nasz stosunek do nich metaforą każdej nieszczęśliwej miłości. My się podniecamy, skręcamy w zachwytach, piszemy wiersze, malujemy pejzaże, zmieniamy fryzurę, przeprowadzamy się do innego miasta, całe nasze życie podporządkowujemy miłości do jednej osoby, a kiedy ona okazuje się oceanem, który ma gdzieś nasze spojrzenia, informując o tym w SMS-ie, zostajemy z niczym. No, niekoniecznie, zostajemy z rozpaczą, bólem, stratą, pustką i wstydem, że oddaliśmy wszystko oszustce, która wzrusza ramionami, wyjeżdża na stypendium do Grazu i pisze w mailu, że dla niej liczy się dopasowanie fizyczne i że chociaż jej kobiece kształty zachwyciłyby każdego, to nigdy nie był jej typ, wolałam bardziej androgyniczne, może jestem hetero, ha, ha, ha.

Innymi słowy, została porzucona po pięciu latach, ponieważ ma za duże cycki. Uwierzyłyś w to, oceanie?

– Siostró, a dałoby rady jeszcze trochę chleba do tej kiełbasy?

Nie odwracając wzroku od okna, pokazała pytającemu środkowy palec.



Martin Meller przygotowywał się do nocy. Odpadł od wiatru, żeby łódki za bardzo nie kładło, zwinął trochę żagle na wypadek nagłych podmuchów, sprawdził ustawienia alarmów na radarze i AIS, gdyby w zasięgu pojawiła się jakaś jednostka, i ustawił budzik na północ, trzecią i szóstą, żeby skontrolować sytuację. Noc zapowiadała się spokojnie, podobnie jak całe następne trzy tygodnie dzielące go od Przylądka Dobrej Nadziei.

Dopijał herbatę, siedząc na rufie, i patrzył w kilwater, myśląc o tym, ile osób wgapia się w tej chwili w ocean, byleby nie widzieć otaczających ich duchów. Wtedy na rynku w Ostrawie wyblągał u wszechświata dodatkowe siedem lat z Elišką. I kiedy w końcu umarła, a on zdecydował się wypłynąć w rejs dookoła świata, by dokonać czegoś, czego żaden Czech dotąd nie dokonał, ludzie mieli go za obłąkanego. Tymczasem on po prostu uciekał przed duchami. Widział ją w ich domu, na ulicach Ostrawy, w sklepie, w Cafe de la Ostrava, w biało-niebieskich autobusach, na dworcu i na wylotówce w stronę Cieszyna, podróżował od jednego wspomnienia do drugiego, a obecny w nich duch Eliški sprawiał, że pękało mu serce.

Ocean uwalniał od wspomnień. Tak długo, jak nie patrzył w stronę wnętrza jachtu, za każdym razem tak samo pewny, że zobaczy Eliškę wystawiającą głowę z zejściówki i pytającą, czy nie napiłby się kawy – tak długo czuł się bezpiecznie. Dlatego gapił się w ocean i myślał, że jak tu nie wierzyć we wszechświat, skoro obroty ciał niebieskich sprawiły, że taka nieznacząca istotka jak on, mogła ocalić drugą istotkę. Dzięki temu jego rejs stał się czymś więcej niż rozpaczliwą ucieczką – i to było dobre.

Bogdan Smuga znowu stał przy relingu koło wejścia do pomarańczowej łodzi ratunkowej, patrzył w fale za rufą „Vincenta” i myślał, że mordercy zawsze wracają na miejsce zbrodni. Zrobił to dla sprawy, w którą wierzył, dla ratowania ludzkości, jego czyn miał

sens, stanowiąc najprostsze i najskuteczniejsze rozwiązanie problemu.

Rozumiał to, ale wiedział też, że obiektywnie stawia go to w jednym szeregu ze wszystkimi, którzy w historii cywilizacji mordowali dla sprawy, za każdym razem wierząc, że jest ona słuszna. A czy faktycznie taka była, rozsądzała historia, zmieniając zresztą raz po raz swoje werdykty, o czym dobrze wiedzą czytający w zaświatach historyczną publicystykę krzyżowcy, żołnierze Napoleona i szeregowcy Armii Czerwonej.

Z logicznej analizy faktów wynikał jednoznaczny wniosek, postąpił słusznie i powinien się czuć usprawiedliwiony, ale i tak wracał co wieczór na miejsce zbrodni, słysząc, jak za każdym razem coraz głośniej dudni w jego głowie myśl, która towarzyszyła mu, kiedy obserwował lecącą w czarny ocean Zofię Lorentz: skoro ja cię nie mogę mieć, to nikt nie będzie cię miał.

## 4

Z balkonu roztaczał się piękny nocny widok na miasto, zaskakująco nowoczesne ze swoim może nie lasem, ale jednak zagajnikiem wieżowców. W ogóle Abidżan w pretensji do bycia mrugającą światełkami metropolią i wiarą, że jeśli ma asfalt, latarnie i pięć drapaczy chmur, to jest już „Paryżem Afryki” i „Manhattanem tropików”, przypominał jej Warszawę. Kierowcy parkowali byle gdzie, ulubioną formą prowadzenia handlu był stragan, a pod kościołem stał Jan Paweł II w świętej skali trzy czwarte do jednego. Afryka to widać taki sam stan umysłu jak Europa Wschodnia, śmiała się z tego, ale musiała przyznać, że duszne, tropikalne miasto miało charakter. Mimo to oparta o balustradę patrzyła nie na miasto, lecz na widoczny nad budynkami skrawek morza. Ocean wzywał ją, miała wrażenie, że przez smog czuje jego zapach.

Zofia Lorentz bała się, że rozwój wypadków może doprowadzić do kolejnej awantury, ale jednocześnie miała nadzieję, że stanie się coś, dzięki czemu wróci na ocean. Po kilku dniach spędzonych z Karolem, Lisą, Marcelem i Ruhsarem zgodziła się z nimi. Tylko ich mała grupa mogła powstrzymać Smugę.

Oczywiście prościej i bezpieczniej byłoby zrobić międzynarodową aferę, mieć czyste sumienie, oglądać w telewizji jak Smuga i Hamidou schodzą po trapie w kajdankach, pacjenci zostają uwolnieni, spisek ujawniony, alleluja. Kuszący scenariusz. Ale obarczony poważną słabością. Ile czasu zajmie różnym przyklejonym do stołków politykom i urzędasom podjęcie decyzji o przechwyceniu „Vincenta” i jego załogi? Tygodnie? Miesiące? W optymistycznym scenariuszu, kiedy udaje się ich przekonać, że sprawa jest niecierpiąca zwłoki i nie wystarczy wpisać jej do preliminarza spraw pilnych na czwarty kwartał następnej perspektywy budżetowej. Ale nawet gdyby szybko i sprawnie wysłano oddział komandosów, to i tak sekta na „Vincencie” miałaby wystarczająco dużo czasu, żeby zabezpieczyć próbkę. Każdy, nawet najbardziej optymistyczny scenariusz, zakładający umycie rąk i przekazanie kłopotu komuś innemu, dałby im szansę ocalenia patogenu, depopulacyjna katastrofa zostałaby co najwyżej odłożona na później. Albo, co podkreślał Ruhsar, w tym czasie na substancji położyłaby łapę któraś z wielkich korporacji i uczyniła z niej reglamentowane dobro, tworząc nieznaną dotąd linię podziałów społecznych.

Zadanie zapobieżenia katastrofie bez niczyjej pomocy wydawało się kuriozalne, ale Karol słusznie zauważył, że jest wśród nich włamywaczka, najemnik, naukowiec, osoba, która zna „Vincenta” oraz przystojny asystent wyżej wymienionych. I że to całkiem niezły początek.

– O czym myślisz? – Karol stanął obok niej, pachniał potem i seksem, tak samo jak ona.

– Cały czas o tym samym. Nie masz wątpliwości?

– Mam. Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym w Warszawie, kiedy Maria powiedziała, że nie będzie miała dzieci, ponieważ nie chce, żeby patrzyły na koniec świata. I zgodziliśmy się z nią. Katastrofa klimatyczna jest nie do zatrzymania, człowiek jest w swoich indywidualnych i plemiennych interesach zbyt egoistyczny, niezależnie od tego, jak będziemy to plemię identyfikować. Spójrz na nas, nie chcemy końca świata, ale odpalamy samochód dziesięć minut wcześniej przez aplikację, żeby nie wsiadać do zimnego. Niby mała rzecz, ale pomnóż ją przez sto innych w naszym życiu i potem

przez osiem miliardów w pozostałych życiach. Ludzkość musiałaby solidarnie zakazać prywatnego transportu, zakazać jedzenia mięsa, ograniczyć konsumpcję żywności i konsumpcję w ogóle, wprowadzić ścisłą kontrolę urodzeń, a i to tylko opóźniłoby apokalipsę, jeśli w ogóle. To początek końca, wszyscy to wiemy. Początek brzydkiego końca, ponieważ na fali rozpaczliwych ludzi pozbawionych wody, dostępu do elektryczności i pożywienia dojdą do władzy najgorsze szumowiny, w połączeniu z migracją doprowadzi to do fali ludobójstw, jakich ludzkość jeszcze nie widziała, wojen, także atomowych. Zginiemy w sposób, jaki przez wieki doskonaliliśmy: okrutny i bezwzględny.

– A mimo to chcesz powstrzymać Smugę.

– No wiesz, chciał mi odbić dziewczynę, to chyba dobry powód, żeby pokrzyżować mu plany.

– Nieśmieszne.

– Trochę tak, przyznaj. – Przyciągnął ją do siebie, zamknął w objęciach, położył brodę na jej ramieniu. Patrzyli teraz razem w dal, zastanawiała się, czy jego wzrok tak samo szuka oceanu. – A poza tym jestem humanistą, wierzę, że historia jest nauczycielką życia. Za każdym razem, kiedy ktoś próbował zmieniać świat dla dobra ludzkości, to się kończyło źle, nawet jak z początku wyglądało całkiem, całkiem, pomyśl o Cesarstwie Rzymskim, Kościele, Leninie, Piotrze Glińskim.

Parsknęła śmiechem.

– I może jestem marzycielem, ale zamiast zimno analizować fakty, wybieram wiarę w człowieka. Opamiętamy się, coś wymyślimy, po ciężkich chwilach staniemy się mądrzejsi, kto to może wiedzieć. Pytanie, dlaczego ty chcesz powstrzymać Smugę? Powinnaś wzruszyć ramionami, wziąć mnie za łeb i wrócić do domu.

Myślała o tym tyle razy, że odpowiedziała momentalnie.

– Nie pozwolę, żeby Kasi ktoś odebrał sens człowieczeństwa dla dobra ludzkości.

Halbe van Veldhoven, jeszcze do niedawna uważający siebie – zupełnie słusznie – za najnowocześniejszego pirata ery nowożytnej, siedział na podłodze tarasu swojej willi, gapił się na ocean i palił pyszną indycę, która, co prawda, nie eliminowała bólów fantomowych, ale sprawiała, że miał je gdzieś.

Jak co wieczór, a właściwie jak cały czas, patrzył na fale przyboju, na rozciągający się za nimi w nieskończoność ciemny ocean i myślał, że gdzieś tam są te skurwysyny. A skoro tam są, to można ich dopaść, można im zaszkodzić, można sprawić, żeby cierpieli, jak on cierpi, można sprawić, żeby zginęli tak, jak zginęli jego przyjaciele. Musi istnieć jakiś sposób i on, Halbe van Veldhoven, nawet bez nóg, nawet ślepy na jedno oko, ten sposób znajdzie.

Zachciało mu się sikać, przekręcił tułów i leżąc na boku, oddał mocz przez barierkę na piasek. Odkąd odkrył ten sposób, jego komfort życiowy poprawił się znacząco, teraz musiał dokonywać toaletowej ekwilibrystyki tylko raz dziennie, a czasami nawet raz na dwa dni, jeśli dbał o dietę. Małe zwycięstwa, ale jakże satysfakcjonujące.

Dużo już wiedział o „Vincencie”. Bardzo dużo. Wiedział, jak się naprawdę nazywał, w jakiej stoczni go zbudowano, kiedy zwodowano, do jakich portów zawijał, zanim został statkiem widmem, jak uzupełniał paliwo i zapasy. I siedział cicho. Rozumiał, że krzyczą biedni roślinożercy, drapieżnik w ciszy obserwuje ofiarę, czekając na właściwy moment. On stał się takim drapieżnikiem. Może te obserwacje zajmą rok, może dekadę, ale w końcu uzna, że nadszedł właściwy moment ataku.

Zapisał sygnał powiadomienia, sięgnął po telefon i przeczytał wiadomość od kogoś, kto podpisał się jako „Ronja”. Spojrzał na skręta, spojrzął na ocean, wyrzucił skręta, spojrzął na ekran, przeczytał jeszcze raz.

Bardzo ciekawe.

Marcel Kluzka lubił konfesjonał, ale nie lubił się spowiadać. Ojciec Andrzej odwrotnie – uwielbiał spowiadać, ale od siedzenia w konfesjonale bolał go tyłek, przeszkadzała mu klaustrofobiczna atmosfera, oddzielenie od wiernych oraz potęgowany przez ich szeptę nastrój grozy, jakby wszyscy mieli na sumieniu krwawe zbrodnie. A nie, jak to zwykle bywa, chciwość, zawiść, chutliwe myśli i codzienne wkurwienie na bliźniego. Zachęcał więc wiernych do spowiedzi podczas spaceru. Mawiając, że im więcej Bóg zobaczy, tym szybciej wybaczy, a i duszę łatwiej leczyć w pięknych okolicznościach przyrody. Poza tym bliższa mu była protestancka publiczna spowiedź niż katolickie anonimowe szemranie pod nosem. Zrobiłeś źle, to miej odwagę się przyznać, Bóg może i ceni synów marnotrawnych, ale nigdzie w Piśmie nie ma choćby wzmianki, żeby otaczał szczególną estymą mamroczących tchórzy.

Kluzka wiedział o tym i dlatego, chcąc nie chcąc, maszerował po miasteczku u boku rozdającego uśmiechy na prawo i na lewo zakonnika, opowiadając o wszystkim, co zrobił źle. Bouaflé nikt nie nazwałby „Manhattanem tropików”, nawet „Zgierz równika” i „Mszczonów dżungli” byłyby na wyrost, osiedle było zwyczajną afrykańską wiochą z błota, pustaków i eternitu, zakurzoną jak wszystko na tym kontynencie – ludzi, psy, domy i zwinięte w pierścień wędzone ryby na straganach, wszystko pokrywał bury pył.

– Marcel, mój drogi, czy ja dobrze rozumiem, że porzuciłeś los legionisty dla posady najemnika w korporacji?

Jeszcze jedno: ojciec Andrzej nie ograniczał się do potakiwania, aby na koniec odpuścić grzechy. Lubiał obsadzać się w roli katolickiego psychoanalityka, chcącego dotrzeć do sedna problemu.

– Specjalisty do spraw bezpieczeństwa.

– Za mniej czy za więcej?

– Więcej.

– Rozumiem.

– Wyszkolono mnie na żołnierza, szukałem pracy, w której mógłbym wykorzystywać swoje umiejętności, nie robiąc ludziom krzywdy.

– Pomiedzy „nie robić ludziom krzywdy” a „czynić dobro” jest jednak różnica. Mało kto robi ludziom krzywdę, jest to,

powiedziałbym, pewien podstawowy, niewymagający wysiłku domyślny tryb ludzkości. Myślałem, że chcesz odkupić to, czym się zajmowałeś wcześniej, a ty po prostu zmieniłeś pracę na lepiej płatną.

Były legionista westchnął tak ciężko, że duchowny zatrzymał się i spojrzął na niego z zainteresowaniem.

– Oho, widzę, że to dopiero początek.

– Niestety – zaczął Kluzka i opowiedział szczerze, czym się zajmował w korporacji. Wszystkie grzechy wylały się z niego szerokim strumieniem, a im dłużej mówił, tym bardziej rozumiał, jak bardzo zawiódł. Nawet ciężko powiedzieć, że jego plan przejścia na jasną stronę mocy nie wypalił. On się od jasnej strony odbił jak kauczukowa piłka i poleciał jeszcze głębiej w ciemność.

Ksiądz Andrzej patrzył na niego ze szczerym zdumieniem.

– Mój Boże, Marcel, zaczynam myśleć, że powinieneś zostać w Legii, tam byś tylko kogoś zastrzelił od czasu do czasu. Nad czym teraz pracujesz? Przyjechałeś mi zabrać dzieci ze szkółki niedzielnej do nielegalnych eksperymentów, zakończonych uroczystym wycięciem nerki bez znieczulenia?

Skrzywił się. Nie skomentował, za to opowiedział ze szczegółami sekwencję wydarzeń, które sprawiły, że wrócił na Wybrzeże Kości Słoniowej. Jak tropił poszukiwaczy leku na alzheimera, a odkrył ludzi planujących wywołanie epidemii długowieczności, ale za cenę bezpłodności, żeby doprowadzić do masowej depopulacji, przywracając tym samym harmonię w naturze i ratując ludzkość przed nią samą.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Szatańska oferta. Dostajesz długowieczność, czyli to, czego człowiek zawsze pragnął najbardziej. A tracisz jedyną możliwą nieśmiertelność, czyli życie we wspomnieniach potomnych, przekazywanie im swoich genów, zdobytej przez lata mądrości i wiedzy, żeby po nas czynili świat lepszym.

Nie był pewien, czy katolicki duchowny powinien głosić takie tezy, na wszelki wypadek uznał, że nie będzie wchodził w dysputy teologiczne.

– Ale czy ten plan nie doprowadzi do wymarcia ludzkości? – zapytał ojciec Andrzej.

– Ich zdaniem nie. Żaden patogen nie działa na wszystkich, zawsze pewien procent populacji będzie odporny.

– Słyszę podziw w twoim głosie.

Doszli do chluby Bouflé, mostu, przerzuconego nad żółtym wąwozem, po dnie którego płynęła równie żółta rzeczka. Weszli na kładkę dla pieszych, oparli się o balustradę i patrzyli razem na afrykański krajobraz.

– Wiesz, *padre*, w firmie miałem do czynienia z naprawdę bogatymi ludźmi, niewyobrażalnie bogatymi. Oni i ich przyjaciele pewnie mogliby zlikwidować nędzę, głód i choroby, może nawet powstrzymać kataklizm klimatyczny. Nie mówię, że kilkoma decyzjami, ale mogliby spróbować. Wezwali mnie kiedyś na spotkanie w kwestii procedur bezpieczeństwa, jakie trzeba będzie wprowadzić „po incydencie”, jak to nazwali.

– Incydencie?

– Chodziło im o apokalipsę. Koniec cywilizacji, który ich zdaniem nastąpi wkrótce z powodu zmian klimatycznych i związanych z nimi wojen lub rewolucji. Mają pobudowane luksusowe bunkry z basenami, tonami ryżu, klimatyzacją i zapasem paliwa do generatora na dwa pokolenia do przodu.

– Hmm, powinni przeczytać historię Francji, jeśli chcą sprawdzić, w jakim stopniu ucieczka do Wersalu uchroni ich przed gniewem ludu.

– Przeczytali. Dlatego spotkali się ze mną. Zrozumieli, że same mury i środki mechaniczne nie wystarczą i będą potrzebowali armii, aby obronić się przed wściekłym ludem. I zobaczyli w tym planie słaby punkt: jak w świecie, w którym pieniądze przestaną mieć wartość, zapewnić sobie lojalność tej armii.

Ojciec Andrzej spojrzał pytająco. Kluzka gestem dał do zrozumienia, że ciekaw jest, co ksiądz sądzi na ten temat.

– To nie jest trudna zagadka. Jeśli ci żołnierze będą bronić swojej siedziby i swojego ryżu, pozostaną lojalni. Wystarczy uczynić ich częścią rodziny.

– Odpowiedziałem niemal dokładnie tymi samymi słowami. Łzy im leciały ze śmiechu, byli przekonani, że żartuję. I zaczęli



dopytywać, już na poważnie, czy istnieje technologia sterowanych elektronicznie obrożi, którymi mogliby zmusić ludzi do posłuszeństwa.

– Nie.

– Tak. Dlatego, kiedy wyobrażam sobie koniec świata, w którym umierający z głodu ludzie szturmują schrony z zapasami ryżu i giną rozerwani na strzępy ogniem karabinów maszynowych obsługiwanych przez zakutych w obroże posłuszeństwa niewolników, po czym właściciele tych bunkrów stają się ojcami założycielami nowej ludzkości, to myślę, że być może projekt sprawiedliwej, przypadkowej depopulacji, która dotyka tak samo ludzi w tej wiosce, jak i właścicieli willi w Kalifornii, ma sens.

Upał w pełnym słońcu szybko zrobił się nie do zniesienia, mężczyźni zawrócili w stronę serca miasteczka i zapewniającego cień kościoła.

– Ocalić ludzkość za cenę człowieczeństwa. Szatańska alternatywa.

– Nie chcę być złośliwy, *padre*, ale sprowadzanie człowieczeństwa do prokreacji w twoich ustach brzmi jak hipokryzja. Można służyć Bogu i dobru na inne sposoby.

– Jeszcze powiedz, że mamy obsesję na punkcie macic.

– Już nie muszę.

Ksiądz zachnął się, ale nie odpowiedział, dalej szli w milczeniu, zbliżając się do kościoła. Wilgotny upał sprawiał, że mężczyźni spływali potem, złapani w pułapkę tropików, w której z jednej strony chciałoby się pobiec jak najszybciej w cień, a z drugiej nie wykonywać żadnego ruchu.

– Chciałbyś, abym wskazał ci kierunek, który pozwoli ci w tej sytuacji wybrać właściwie i odkupić swoje grzechy.

– Przemknęło mi to przez głowę, kiedy udawałem się w podróż do przewodnika duchowego.

– Dziękuję za zaufanie – powiedział ksiądz Andrzej. – Nawet wyrażone w formie kpiny. Ale Bóg daje nam siłę, żebyśmy kierowali się w życiu odwagą i roztropnością. Chcesz odkupienia, Marcel, to rusz głową. Myślenie jest najlepszą modlitwą. Lepiej samemu znaleźć dobre rozwiązanie, niż klęczeć w nadziei, że Bóg zrobi to za

ciebie. Doświadczenie uczy, że nader rzadko udziela prywatnych konsultacji.

Pomyślał. I zmartwił, ponieważ nagle wiele faktów wskoczyło na swoje miejsce.

## 7

Albo willa nie pasowała do właściciela, albo właściciel nie pasował do willi. Dom ucieleśniał wyobrażenie o kolonialnej posiadłości w tropikach. Wysadzana palmami piaszczysta aleja prowadziła do wybudowanego na skraju dżungli i plaży szerokiego piętrowego bungalowu z ogromnym, częściowo zadaszonym tarasem wybiegającym w stronę oceanu. Prostota, elegancja, klasa, po prostu nie można było zrobić tego lepiej. Tymczasem właściciel, cóż. Lisa, Zofia i Karol mieli przed sobą wychudzonego, zaniedbanego kalekę na wózku, w brudnej koszuli i gimnastycznych spodenkach, z których wystawały kikuty nóg, amputowanych nad kolanami. Jedno oko zakrywała opaska, drugie jaśniało nieprzyjemną, brudną wściekłością. Długa siwa broda i rozwiewane przez bryzę równie długie białe włosy dopełniały obrazu szaleńca, który za chwilę wybuchnie demonicznym śmiechem.

– Lemoniady? – zapytał. – Mam cytrynową i limonkową.

Wybrali limonkową i chwilę później siedzieli wszyscy na tarasie. Halbe van Veldhoven wysłuchał ich i w końcu, zaśmiał się demonicznie.

– Oczywiście! – krzyknął. – Teraz wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Rozważałem najróżniejsze opcje, od tajnego rządowego projektu przez bazę terrorystów po luksusowy burdel dla Marka Zuckerberga, ale laboratorium badawcze ma najwięcej sensu.

Poprosili, żeby wyjaśnił.

– Zaczniemy od tego, że na morzu najłatwiej zniknąć. Spójrzcie na globus, dwie trzecie planety to ocean. Nie ma tu miast i wsi, nie ma żadnych osad. Jedyne miejsca zagospodarowane to porty i szlaki żeglugowe, które rządzą się swoimi prawami, chodzi w nich o to, żeby jak najszybciej połączyć punkt A z punktem B. Co oznacza, że jeśli przez jakiś fragment oceanu taka linia nie przebiega, to pies

z kulawą nogą tam nie zagląda, co oznacza, że istnieją połączenie wielkości Europy, którymi nikt się nie interesuje.

– Nie ma jakichś nadajników, systemów identyfikujących? – zapytała Zofia, myśląc o pełnym ekranów mostku „Vincenta”. I o tym, że właśnie dzięki automatycznemu wysyłaniu swojej pozycji jej przyjaciółom udało się zlokalizować czeski jacht i wyłowić z kanału Vridi pod Abidżanem.

– Są. Ale można je wyłączyć jednym guzikiem. I wtedy niewielka w sumie rzecz, o powierzchni raptem pół hektara, znika na obszarze wielkości Europy. Można ją wypatrzeć, tylko znajdując się na morzu na tyle blisko, żeby złapał ją radar, na co ta jednostka nigdy nie pozwoli, bo zna ruchy innych statków, gdyż one nie wyłączają swoich systemów. Albo można ją wypatrzeć z satelity lub samolotu, pod warunkiem, że po pierwsze ma się do nich dostęp, a po drugie wie się dokładnie, gdzie i czego szukać. A nawet wtedy różnie bywa, przypomnijcie sobie poszukiwania malezyjskiego samolotu.

– A niewidoczność to dopiero początek korzyści – wtrącił się Karol. – Rozwoju branży nigdy nie hamował brak geniuszy chętnych do pracy. Nigdy w medycynie nie narzekali też na brak pacjentów, ludzie chętnie zaryzykują eksperymenty, wcale nie dlatego, że łapią się ostatniej szansy, tylko aby pomóc innym chorym w przyszłości. Bariery jest brak pieniędzy na niezależne badania oraz prawo, pisane pod bieżące emocje, interes lobbystów albo religijnych grup nacisku.

– I wtedy pojawia się druga, bardzo istotna zaleta, czyli obowiązująca na morzu pustka prawna – dodał Holender. – Wody terytorialne sięgają dwanaście mil od brzegu, dalej przez tysiące mil rozciągają się wody międzynarodowe, magiczna przestrzeń, teoretycznie prawnie uregulowana, ale często przez prehistoryczne kodeksy morskie. Powiedzmy, że na wycieczkowcu płynącym z Wenecji do Nowego Jorku dochodzi do zabójstwa. Kto prowadzi śledztwo i wedle jakiego prawa zostanie skazany sprawca?

– Amerykańskiego – odpowiedziała Lisa. – Bo tam zawinie statek i tam złożę zawiadomienie.

– Źle. Większość wycieczkowców jest zarejestrowana w Panamie, a ponieważ na wodach międzynarodowych obowiązuje prawo bandery, więc jedynie panamska policja może się tym zająć.

Teoretycznie na statku pływającym pod banderą Birmy można zostać skazanym na śmierć za palenie trawki, a na wycieczkowcu pakistańskim ujdzie wam na sucho zabicie żony, jeśli splamiła wasz honor. Nawet wtedy, gdy obie jednostki mijają się właśnie na Bałtyku.

– Czyli jeśli „Vincent” pływa pod banderą kraju – dopytała Zofia – w którym przepisy dotyczące badań naukowych są bardzo liberalne albo nie ma ich w ogóle, de facto nie obowiązują go żadne ograniczenia prawne? Nie byłoby prościej wybudować taką placówkę właśnie gdzieś w środku dżungli?

Halbe van Veldhoven zaśmiał się głośno.

– Chyba rzadko odwiedza pani Afrykę. Musieliby mieć w tym laboratorium specjalny dwudziestoosobowy zespół do orientowania się na bieżąco, komu w tym tygodniu płacić łapówki. A i tak by się w końcu pogubili albo o te łapówki ktoś by się pokłócił, wybuchłaby wojna domowa, napisałyby o tym gazety w Europie, tajemnica by się skończyła w dwa tygodnie.

– Ale przecież nie da się pływać cały czas po wodach międzynarodowych. Trzeba czasami wpłynąć do portu po paliwo, wodę, jedzenie. Naprawy, których się nie da zrobić na morzu.

– Ma pani rację i nie ma pani racji. Nie ma pani racji, ponieważ słodką wodę statek produkuje cały czas, odparowując morską przy okazji chłodzenia silnika. Zaplecze kuchenne pozwala swobodnie żeglować przez kilkanaście tygodni, tak samo zapas paliwa.

– Czyli co kwartał trzeba zawijać do portu?

– Niekoniecznie. Tak jest oczywiście najprościej, ale jeśli chcecie się trzymać od lądu z daleka, a „Vincent” chce, można zatankować i odebrać zapasy na morzu. Ta operacja nazywa się STS, *ship-to-ship*, i może nie jest bardzo częsta, ale jednak regularnie praktykowana. Do tankowania służą specjalne bunkierki, czyli pływające stacje benzynowe, zapasy może przekazać każda jednostka wyposażona w dźwigi, której wielkość jest kompatybilna z wielkością „Vincenta”, a pasażerów łatwo przewieźć ze statku na statek motorówką albo helikopterem.

– No dobrze, ale na pewno musi przejść jakiś przegląd?

– Zgodnie z przepisami każdy statek powinien przejść przegląd w suchym doku raz na pięć lat. W rzeczywistości mało który

armator to robi, przeciągając termin, jak tylko się da. Jeśli „Vincent” został zwodowany po ostatnim remoncie w dobrym stanie, spokojnie może żeglować dziesięć-piętnaście lat. Zwłaszcza że jego celem jest po prostu unosić się na wodzie w dobrej pogodzie na spokojnym morzu.

Zofia poczuła przygnębienie. Kiedy Lisa powiedziała, że przez swoje podziemne kontakty znalazła pirata, który zetknął się z tajemniczym okrętem wojennym przebrany za kontenerowiec, pomyślała, że los się do nich uśmiechnął. A teraz miała przed sobą szalonego siwobrodego staruszka bez nóg i jednego oka, który pił lemoniadę i wyjaśniał, dlaczego nie ma szans, żeby dostali się na statek. Pozostali chyba pomyśleli to samo, ponieważ nikt nie wyrywał się z pytaniami.

– To, co powiem dalej – przerwał ciszę van Veldhoven – zależy od tego, po co wam ta wiedza.

Spojrzeli po sobie.

– Najchętniej byśmy go zatopili za pomocą głowic nuklearnych – odezwała się Zofia. – Ale zaakceptujemy każdy scenariusz, który pozwoli nam dostać się na statek i przerwać to, co się tam dzieje.

## 8

W tym samym czasie, kiedy niektórzy popijali lemoniadę limonkową nad brzegiem oceanu, a inni korzystali z cienia kościoła na prowincji, Ruhsar Varank pocił się niemiłosiernie, myśląc, że nawet w jego rodzinnej Anatolii pogoda nigdy nie jest aż tak kurewska. Zarówno na zewnątrz, jak i w każdym nieklimatyzowanym pomieszczeniu miał wrażenie, że otacza go mgła parzących drobinek, jakby wlażł do garnka do gotowania na parze. Dlatego z ulgą dostrzegł na ścianie małej lecznicy w biednej dzielnicy Abidżanu antyczny i rzeźący, ale jednak działający klimatyzator.

Po wejściu odnotował, że faktycznie w pomieszczeniu jest o kilka stopni chłodniej niż na zewnątrz, chociaż zapewne wciąż powyżej trzydziestu kresiek, w Europie przy takiej temperaturze radzono by dzieciom i starcom zostać w domach. A może już nie? Przecież tego lata w Paryżu odnotowano ponad czterdzieści dwa stopnie w czasie

fali upałów, w końcu trzeba będzie przestać ogłaszać alarmy i uznać, że taka po prostu jest nowa norma. Tak jak tutaj, gdzie nikt się przecież nie przejmował temperaturami w okolicach czterdziestu. Pytanie, co się stanie w tropikach, kiedy w Europie będzie czterdzieści stopni? W Indiach i Pakistanie zanotowano już ponad pięćdziesiąt. Na całym świecie pojawiła się nowa kategoria „zgonów z przegrzania”. Gdzie jest granica? Czy dożyjemy momentu, kiedy na ulicach europejskich miast pojawią się zwłoki ludzi zmarłych z powodu temperatury?

Inni pacjenci w poczekalni nawet nie udawali, że się na niego nie gapią. Choć w białej Europie uchodził za ciemnoskórego, to w czarnej Afryce świecił jak płatek śniegu.

W końcu nadeszła jego kolej. Wszedł do gabinetu uśmiechnięty i zadowolony, nie tylko dlatego, że nic mu nie dolegało. Był pewien, że bez żadnego problemu zamieni kilka banknotów na receptę na pewną legalną, powszechnie stosowaną substancję.

Zresztą najważniejszy dla swojego planu specyfik i tak mógł kupić byle gdzie bez recepty.

## 9

Nikt nie skomentował w czasie wysłuchiwania historii Halbego van Veldhova, że dzięki utracie oka i nogi (a nawet dwóch) wreszcie dopasował wizerunek do uprawianej profesji. Zofię zaszokowała informacja, że dziwaczny staruszek parał się korsarstwem. Oczywiście jego opowieści o tym, w jak bardzo cywilizowany, europejski i lewicowy sposób prowadził swój biznes, mogły być prawdziwe, ale nie musiały. Na jego korzyść przemawiało to, że ani razu nie wspomniał o swoim kalectwie jako źródle nienawiści do załogi „Vincenta”. Zupełnie jakby go nie zauważał, za to ciągle wspominał o swoich „oficerach”, ich rodzinach i dzieciach, zwłaszcza o maluchu, który żył jeszcze, kiedy podniósł ich z wody kuter baza. Żył krótko, umarł na jego rękach, zanim dopłynęli do brzegu.

– Dlatego myślę, że Bóg istnieje, skoro zesłał was tutaj, żebym mógł się zemścić.

Zofia pomyślała, że nawet jeśli Bóg istnieje, to niekoniecznie przebiera nogami, żeby pomóc w vendecie idiotcie, który sam się prosił o kłopoty i jeszcze ściągnął je na innych.

– Jak? – Zofia wypowiedziała pytanie, które zadawali sobie wszyscy. – Jak się do niego dostać, skoro to wojenny okręt widmo, który nie zawija do żadnych portów?

Holender uśmiechnął się. Upiorny miał ten uśmiech, wyglądał wtedy jak prawdziwy wariat.

– Wiem więcej, niż moglibyście przypuszczać. Jak mówiłem wcześniej, skoro nie cumuje, regularnie musi organizować dostawy paliwa i zapasów. Próbowałem wytropić bunkierki, czyli pływające stacje benzynowe, bo to rzadkie statki, ale są za cwani, nieźle im to ktoś wymyślił. Korzystają ze zwykłych drobnicowców. A ponieważ ta branża, jak każda, ma swój czarny i szary rynek, nie sztuka znaleźć kogoś, kto podejmie się za dużą kasę lipnego frachtu, po drodze przerzucając parę kontenerów na morzu i dając sobie odpompować kilka tysięcy ton paliwa.

– Jak pan to stwierdził?

– Powiedzmy, że ciągle potrafię czytać różne dane z systemów frachtowych. I ciągle znam ludzi, którzy znają ludzi, którzy mi takie niewinne dane załatwią. Regularnie co dziesięć-piętnaście tygodni z Abidżanu wypływa drobnicowiec z niewielkim ładunkiem do bliskiego afrykańskiego portu, Casablanki, Tangeru albo Tunisu. To niewielki dystans, mimo to zarówno przed wyruszeniem, jak i po przycumowaniu zawsze tankuje pełne zbiorniki paliwa.

– Czy to zawsze ten sam statek? – dopytywał się Karol.

– Nie.

– Ten sam armator?

– Nie. Ale to nigdy nie jest wielka korporacja, raczej niewielka firma. Taka, której można zaproponować dziwny deal i nawet jak się nie zgodzi, to po prostu grzecznie odmówi, bez robienia szumu.

– To już coś – powiedział Karol. – Tylko nie wiem, jak nam to może pomóc. Mamy kupić drobnicowiec i czekać tu na kotwicy miesiącami, aż ktoś nam zaproponuje zaopatrzenie „Vincenta”?

– Ten problem też mam przemyślany. Jestem w stanie czekać tu statkom dać kilka lipnych zleceń w regionie, żeby został tylko ten, który będzie naszym statkiem. I który, biorąc zlecenie dla

„Vincenta”, tak naprawdę będzie wykonywał zlecenie dla nas. Nawet nie powinno to w specjalny sposób obciążyć sumienia kapitana, przecież fracht zawiezie, paliwo odda, wszystko jak trzeba. A że przy okazji jeden z pasażerów wejdzie na drugi statek, cóż, chwila nieuwagi, nie da się wszystkiego upilnować.

Zofia wstała, oparła się o barierkę tarasu, uważając, żeby nie wyjść z cienia na bezlitosne słońce. Patrzyła na morze, na południe. Gdzieś tam przed nią, o ile dobrze pamiętała kontur Afryki, płynie Martin, zmierzając wzdłuż Czarnego Łądu do Przylądka Dobrej Nadziei. A Smuga? Raczej bardziej na zachód, Olga szuka zapewne spokojnej pogody wzdłuż równika. Czy to ona, sympatyczna kapitanka w czarnym golfie, wydała rozkaz zatopienia łodzi Holendra z kobietami i dziećmi? Czy patrzyła przez lornetkę, jak z morza wystrzeliwuje fontanna wody zmieszanej z krwią, wnętrznościami i urwanymi kończynami? Czy czuła zadowolenie z dobrze wykonanego zadania?

– Wszystko pięknie – usłyszała za plecami głos Karola. – Tylko skąd mamy wziąć ten „nasz statek”.

– Widzi pan, i tutaj znowu widzę znak od Boga, że do mnie przyszliście. Akurat mam jeden upatrzony. Trochę już tu stoi, odpowiednio zdesperowany, armator niby z tradycjami, ale żaden potentat. Myślę, że bez problemu przyjmie zlecenie. A żeby kapitan nam pomógł, to już wasza w tym głowa, drodzy przyjaciele.

A niby dlaczego, pomyślała. To jakiś szalony miłośnik sztuki, dla którego będą musieli ukraść mumię kota z British Museum? Na tym etapie żadne dziwactwo już jej nie zdziwi.

– A niby dlaczego? – zapytała.

– Bo statek nazywa się Półstanik łotr z Ławki.

10

Patrzył na zdjęcie bakterii. Wyglądała jak profesjonalny mikrofon ze studia nagraniowego, za którym ciągnie się długi kabel. *Pseudomonas* jak z podręcznika, ale jaki? Na razie nazywała się V19-143-F, ale przydałoby się ją jakoś ochrzcić. *Pseudomonas vincentae*? Wyobraził sobie wpis z encyklopedii. „Pałeczka sachalińska lub



pałeczka vincenta (*Pseudomonas vincentae*) – bakteria z grupy Gram-dodatnich, występująca endemicznie na wyspie Sachalin (Rosja), odkryta przez polskiego biologa strukturalnego Bogdana Smugę i dzięki swym wyjątkowym właściwościom wykorzystana przez naukowców zrzeszonych w grupie Vincent do powstrzymania zagłady ludzkości”. Nie, dziwnie to brzmi, chyba się nie nadaje do pisania notek encyklopedycznych. Poza tym zbiorowa mądrość internetu na pewno wymyśli bardziej seksowną nazwę niż V19-143-F albo pałeczka vincenta. Sachalina w sumie dobrze brzmi. Epidemia sachalińska.

– Idź do pani kapitan, może ślub wam dam, tobie i twojej pałeczce.

Zamyślony, nie zauważył, kiedy Andrij wszedł do laboratorium.

– Jesteś pewien, że to ona?

– Jeśli chodzi o to, jak radzi sobie z płytkami starczymi, stuprocentowo. Powiedz słowo i zamiast zbawiać świat, możemy zakładać firmę. Dzień po wypuszczeniu akcji naszego start-upu będziemy się martwili wyłącznie o kolor tapicerki w prywatnym odrzutowcu. Wolisz jasną czy ciemną skórę? A ja zamówię sobie kostkę ze złota i kamieni szlachetnych.

Powinien się zachnąć z wyższością, ale nie zrobił tego. Andrij miał rację. Patrzył na bezcenny skarb. Spieniężenie receptury na długowieczność bez demencji przyniosłoby fortunę. Nie, nie myślał o odrzutowcach, tylko o fundacji, która mogłaby uwolnić naukę. Finansować szajbusów i wizjonerów, a nie tylko tych, którzy już dostali Nagrodę Nobla. Pozwalać błądzić w poszukiwaniu nowych ścieżek. Badać leki na choroby zbyt rzadkie, żeby ich leczenie się komuś opłacało. Może sfinansować wielki projekt, który przekonałby wszystkich, że katastrofa klimatyczna to nie „opinia”, lecz nasze niezaprzeczalne dzieło. Sprawić, aby cała ludzkość zatrzymała się, wzięła głęboki oddech i przekierowała cały swój wysiłek na przetrwanie, a nie na puszczanie jeszcze głośniejszej muzyki w sali balowej na „Titanicu”.

– Zwariowałaś? Z czego tak rechoczesz? – Andrij spojrzał zaskoczony, kiedy Smuga nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

– Przepraszam, wyobrażałem sobie, na co by można wydać taką kasę i rozbawiłem sam siebie. A co z funkcją B?

– Działa. Uniemożliwia zapłodnienie, tylko nie wiemy jeszcze, jaki to mechanizm. Czy działa na pojedynczą komórkę jajową w macicy, czy na wszystkie? Czy to ten sam enzym, który nie dopuszcza do powstawania płytek demencyjnych, czy inny? W tym sensie to jeszcze długa droga, tak samo jak wyposażenie twojej narzeczonej w umiejętność szerzenia się drogą kropelkową i antybiotykoodporność. Plus sto tysięcy testów, czy przypadkiem nie powoduje jednocześnie raka trzustki i odpadania jajec. Jednym słowem, przed nami jeszcze lata pracy, zanim pójdziemy spryskać nią terminal na Heathrow. Ale mamy ją. To ona. Ślicznie namnożona panienka. Daj tylko znać, przygotuję ci paczkę z koloniami, z próbkami ze stalaktytowego miśka, wszystkie dane i wyniki.

– Dobrze. Czuję niepokój, że sachalina jest tylko tutaj.

– Sachalina?

– Tytuł roboczy.

– Potrzebujesz urlopu, Bohdan. Wracasz jak zwykle?

– Tak. Nie lubię tego, ale to najbezpieczniejszy sposób. Nie możemy już korzystać z łodzi i helikopterów, za duże ryzyko.

– Kiedy?

Smuga wzruszył ramionami.

– Olga się tym zajmuje. Wczoraj mówiła, że ma już upatrzone dwa statki, w tym jeden, nie uwierzysz, z Polski.

– Bracia Słowianie przybywają z odsieczą. Kozacy! Albo husaria, jak wolisz.

Roześmiał się z towarzyskiego obowiązku, ale czuł niepokój. Ostatnio kontakty z krajanami nie wychodziły najlepiej, najpierw rodak celował do niego z pistoletu, a potem rodaczkę musiał wypchnąć za burzę. Całe szczęście, że akurat on nie będzie miał w ogóle do czynienia ze statkiem i jego załogą. Przynajmniej nie bezpośrednio.

## Rozdział 16. Powstaniec Warszawski

*Tu jest Polska • Na morzu wszyscy są równi • Czarna kielba • Kopalnia Grzybów • Uczynicie, co uczynicie • Wykład ze skutnictwa • Kod matka • Lody • Tępa niewdzięczna dzida • Wankomycyna • Rozmiar apokalipsy • Przygoda ludzkości nie może się tak skończyć*

1

Zofia uważała, że to zbytek ostrożności, ale na pokład „Powstańca Warszawskiego” weszli osobno w dużych odstępach czasu, przebrani za robotników portowych. Problem Holendra rozwiązali w ten sposób, że Kluzka, najsilniejszy z nich, wniósł go na pokład w wielkiej płóciennej torbie. Pirat zniósł to upokorzenie z godnością i dużą dozą wisielczego humoru. Teraz siedzieli zamknięci w sali konferencyjnej, gdzie na białej tablicy ktoś napisał: „Motto dnia: przeżyć!”, i czekali na zakończenie załadunku, popijając herbatę i przekąszając kanapki.

– Trzy pytania – zapytała zimno Lisa. – Czemu czajura jebie na słodko i czemu suchar z padliną, z padliną albo z padliną, i z czego ta padlina, bo nie lipię tu żadnej zwierzu.

– Prawo bandery – odpowiedział Karol. – Tu jest Polska.

– I na która pytań to riposta?

– Wszystkie.

Kluzka parsknął śmiechem, Varank i Holender patrzyli bezradnie, nie rozumiejąc ani słowa z prowadzonego po polsku dialogu.

Nie minęły dwie godziny i poczuli silne wibracje, kiedy „Półstanik” zwiększył obroty silnika i po kolejnym kwadransie, kiedy zapewne zbierano cumy i manewrowano w basenie portowym, Zofia poczuła znajomy, delikatny ruch unoszącego się na fali statku.

– Płyniemy! – krzyknęła, nie potrafiąc ukryć entuzjazmu.

Reszta spojrzała podejrzliwie, jej mąż zwłaszcza, ale nikt nie skomentował wybuchu radości. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł kapitan. Wojciech Ukiel musiał zbliżyć się do siedemdziesiątki i nie wyglądał na wilka morskiego, bardziej na intelektualistę o żydowskim pochodzeniu z gęstą czupryną szpakowatych włosów, semickim nosem, okularami w grubych oprawkach i sympatycznym, smutnym spojrzeniem człowieka, który za dużo czyta i przez to pozbył się wielu złudzeń. Nosił się po miejsku, czarne dżinsy i czarna koszula z krótkim rękawem opięta na okazałym brzuszku, jedynie żeglarskie mokasyny na bosych stopach kojarzyły się z morzem.

– Witajcie na pokładzie – powiedział. – Rodacy na pokładzie „Powstańca” zasługują na powitalnego grzańca.

Postawił na stole termos i rozlał do kubków z duraleksu płyn, który faktycznie pachniał jak grzaniec galicyjski, czyli goździkami, cukrem i tanim jablem.

– Musimy rozmawiać po angielsku, panie kapitanie – powiedziała Zofia, myśląc jednocześnie, że kapitan ma przepiękny, głęboki głos, jakby w wolnych chwilach dorabiał prowadzeniem wieczornych audycji radiowych poświęconych literaturze.

– Mówcie mi Wojtek. Kapitan, oficer, biskup, prezydent, to są tylko puste słowa, które pozwalają nam dzielić ludzi. Na morzu wszyscy są równi wobec potęgi natury.

Zdziwiła się, ponieważ do tej pory uważała marynarkę za organizację paramilitarną, w której hierarchia jest niezbędna do efektywnego zarządzania, ale cóż. Nie jej cyrk i nie jej mały.

Wypili grzańca, wymienili uprzejmości, pozostawiając na później techniczne ustalenia związane z ich misją – mieli przed sobą kilkudniowy rejs – i zeszli do mesy na kolację. Holender na plecach Kluzki, niczym kilkulatek niesiony przez ojca.

„Powstaniec” wydawał się skromniejszy i starszy od „Vincenta”. Nie zainstalowano tu oczywiście strzeżonych elektronicznie drzwi na każdym kroku, ale poza tym różnic nie było wiele. Takie same niskie stropy, wąskie korytarze, stroma klatka schodowa, wszędzie poręcze i znaki kierujące do punktów ewakuacyjnych, gaśnic i środków ratunkowych.

– Myślisz, że jedzą tu coś poza fasolą z puszki? – spytał Karol.

– Zaczekaj – uśmiechnęła się. – Nigdy chyba nie jadłam tak dobrze i tak różnorodnie, jak na „Vincencie”. I wszyscy mówią, że to standard. Ciężka robota, w zamknięciu, w izolacji, każdy armator, zanim w ogóle kupi statki, zatrudnia dobrych kucharzy, żeby załoga nie szemrała. Najlepsze curry z owocami morza jadłam w stołówce tych świrów.

Zeszli na poziom głównego pokładu i wkroczyli do mesy, zazwyczaj podzielonej na oficerską i załogową, ale tutaj stanowiącej jedno pomieszczenie. Nad talerzami siedziało kilkunastu mężczyzn, oczy wszystkich zwróciły się na nich. Poprawka: oczy wszystkich zwróciły się na nie, czyli na Lisę i Zofię. Zrozumiały, biorąc pod uwagę, że najwidoczniej „Powstaniec” był pływającym klasztorem męskim, bez ani jednej kobiety na pokładzie. Poczuli się nieswojo.

– Kochani, przywitajcie pasażerów, którzy płyną z nami do Casablanki. Część z nich to rodacy.

– Dzień-do-bry – powiedzieli chórem marynarze, niczym dzieci w klasie na wejście pani. Zofia nie miała pojęcia, jak się zachować, więc skinęła głową, reszta tak samo, jedynie Kluzka odpowiedział gromkim: „dzień dobry”.

Przy stole, cóż, przy stole nie czekało curry z owocami morza, ratatouille, spaghetti alla norma, ani nawet micha pierogów. Czekał kubek z nalaną już herbatą, talerz, a na talerzu pęto wysmażonej na czarno, ponacinanej kiełbasy, dwie kromki białego chleba i kleks musztardy. Wszyscy dziarsko zabrali się do jedzenia, jedynie ona z Lisą wymieniły skonsternowane spojrzenia.

– Szama serio tylko z padliny?

– Sprawdzę.

Rozejrzała się, za jej plecami drzwi prowadziły do pentry i dalej do kuchni. Przeprosiła, wstała i poszła w tamtym kierunku, odprowadzana męskimi spojrzeniami, w drzwiach minęła się z młodym marynarzem, który odnosił talerz.

– Przepraszam – powiedziała – szukam kucharza.

Marynarz spojrzał na nią z politowaniem, ale odwrócił się w stronę kuchni.

– Sostro! – wrzasnął. – Klient do ciebie!

Podziękowała skinieniem głowy i wsadziła głowę do kuchni, po chwili z zaplecza wyszła prześliczna dziewczyna o figurze

warszawskiej syreny i dwóch słowiańskich blond warkoczach, sięgających pasa. Twarz miała zaciętą, a w oczach agresywne znużenie pani z poczty.

– Czego? – spytała.

– Dzień dobry. Jestem nową pasażerką i chciałam spytać, czy może jest szansa dostać na kolację coś bez mięsa. Dla mnie i dla koleżanki. Cokolwiek, żeby zrobić kanapki. Nie chcę sprawiać kłopotu.

– Oczywiście – uśmiechnęła się „Siostra” – zaraz przyniosę.

Posągowa kucharka zniknęła na zapleczu, Zofia wróciła do stolika, pokazując Lisie wyciągnięty w górę kciuk. Kucharka pojawiła się po chwili, stawiając przed nią i przed Lisą talerze, na których leżały dwie kromki jasnego chleba, a obok nich kleks z musztardy.

– Smacznego – powiedziała.

Karol parsknął śmiechem, kapitan udawał, że jest bardzo zajęty krojeniem kiełbasy – co najwyraźniej nie należało do zadań łatwych – reszta marynarzy też błędziła wzrokiem po ścianach. Nikt nie chciał narazić się Siostrze.

## 2

Po porannym seksie z widokiem przez okno kajuty na morze i po śniadaniu, na które zaserwowano serdelka z wody, dwie kromki chleba i musztardę, zaprowadziła Karola na mostek „Powstańca”, żeby pokazać mu magiczne miejsce, za jakie uważała wiszące nad oceanem skrzydło. Sterownia wyglądała nieco biedniej niż na „Vincencie”, ale poza tym podobnie, tak jak deska rozdzielcza dacji w sumie nie różni się bardzo od tej w mercedesie. Takie same radary, mapy elektroniczne, kompasy, przypominający wolant w samolocie ster. W środku zastali pierwszego i drugiego oficera, sympatycznych gości o wyglądzie weselnego wuja z Żyrardowa i weselnego przystojniaka z Pułtusza, debatujących nad jakimiś aktualizacjami i zwracającymi się do siebie per „panie chiefe” i „panie second”.

Pogadali z nimi chwilę i wyszli na skrzydło w wiatr, słońce i zapach oceanu. Wciągnęła go pełną piersią.

– Czujesz? – zapytała.

– Czy co czuję?

– Jak tu wspaniale.

– Serdelka przede wszystkim czuję, postanowił w moim żołądku urządzić przyjęcie razem z wczorajszą kiełbasą. Bujanie nie pomaga.

Pomyślała, że będzie musiała go nawrócić na morze, cokolwiek się wydarzy, nie wyobrażała sobie, żeby w jej życiu mogło zabraknąć tego elementu. Przytuliła się do Karola i pomyślała znowu, jak wiele razy w ciągu ostatnich dni: czy oni na pewno są pozytywnymi bohaterami tej afery? Sami siebie obsadzili w roli ratujących świat Jamesów Bondów, ale co jeśli to Smuga ma rację, a oni w swojej naiwności odgrywają rolę szalonego złoczyńcy dążącego do zagłady cywilizacji?

– Jak wam się podoba na naszym dużym „Powstańcu”? – kapitan zmaterializował się obok nich.

– Zastanawiałem się – powiedział Karol – czy taka nazwa nie utrudnia komunikacji.

– W naszej firmie pływał już „Batalion czwartaków”, „Jedność robotnicza” i „Lipsk nad Biebrzą” oraz ulubiony bohater dowcipów młodych marynarzy, czyli „Kopalnia Grzybów”. Jak widzicie, przyzwyczailiśmy już morza i oceany do „sz”, „cz” i „rz”. Nie jesteśmy jedyni, kiedyś jako „Manifest PKWN” wymieniałem przez radio pozdrowienia z „Trzydziestą Rocznicą Rewolucji Październikowej”.

Na skrzydło wyszli dwaj oficerowie.

– Poznaliście już Staszka i Witka? – zapytał kapitan.

Skinęli głowami.

– Dobrze. Tylko nasza trójka wie, dlaczego plyniecie państwo z nami, i tylko my będziemy wam pomagać w czasie przeładunku. Dla reszty marynarzy jesteście po prostu turystami, którzy chcieli doświadczyć przygody na morzu. Myślę, że tak będzie lepiej – poprawił okulary gestem wykładowcy akademickiego, na którego wyglądał nawet w słońcu i wietrze. – Swoją drogą, gratuluję znajomości, z samej góry przyszła sugestia, że „z mojego rozkazu

i dla dobra kraju osoba posiadająca ten dokument uczyni to, co uczyni”, jeśli kojarzycie cytata.

Zofia oczywiście kojarzyła i nagle zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Panie kapitanie...

– Wojtku, proszę. Na morzu wszyscy jesteśmy równi.

Oficerowie wymienili za plecami kapitana znaczące spojrzenia, wiele mówiące o ich stosunku do równościowej obsesji Starego.

– Wojtku, proszę nie myśleć, że my i obecna władza...

Powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Ja nikomu w karty nie zaglądam, także te do głosowania. Uczynicie, co uczynicie, a kto wam wydaje list żelazny, to wasza sprawa i waszego sumienia. Cieszymy się ładną pogodą, dziś jeszcze wakacje, od jutra bierzemy się do roboty. Lubię, kiedy każde szaleństwo jest dobrze przygotowane.

Zofia zaczekała, aż oficerowie wrócą do sterowni, dopiero potem z mordem w oczach odwróciła się do Karola.

– Nie pytaj, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi – powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta. – Ale myślisz, że jak się znajduje wejścia do spółki skarbu państwa? Przez opozycję?

### 3

Holendra zakwaterowano na głównym pokładzie z kuchnią i mięsą, żeby mógł łatwiej przychodzić na posiłki. Nawet nie brał wózka, wiedząc, że wewnątrz statku handlowego jest jedną wielką barierą architektoniczną, poruszał się nad wyraz sprawnie na krótkich protezach zakończonych gumowymi kulami, podpierając się rękami, z założonymi nań ochraniaczami w rodzaju tych, jakich używają rolkarze. Niezależnie od tego, jak bardzo by się chciało okazać mu szacunek, nie można tego było określić inaczej: Halbe van Veldhoven śmigał po „Powstańcu” ruchem goryla. Goryla w koszuli w kwiaty, z rozwianymi siwymi włosami. I z opaską na oku.

Teraz siedział na stole konferencyjnym i prowadził wykład ze skutnictwa, na ścianie wyświetlał zdobyte plany „Vincenta” z czasów, kiedy był jeszcze zwyczajnym kontenerowcem.



– Każdy statek, podobnie jak każdy samochód i każdy samolot, zbudowany jest podobnie. Można dać inne światła, inną tapicerkę i sportowe zawieszenie, ale musi mieć w ogóle zawieszenie, kierownicę, silnik i hamulce. Dlatego jest z nami pan *second* – drugi oficer skinął głową – żeby potem móc pokazać Zofii na „Powstańcu” wszystkie te elementy, o których zaraz opowiem, żeby potem mogła się sprawnie poruszać po „Vincencie”. Nie wiemy, jak dokładnie będzie wyglądał przeładunek, zapewne gdzieś na śródokręciu, dla nas im bliżej dziobu, tym gorzej, a im bliżej nadbudówki, tym lepiej. Plan jest taki, żeby zacumować późnym popołudniem i przeciągnąć sprawę do zmierzchu, żeby Zofia mogła dostać się na ich statek pod osłoną nocy. O tym jeszcze będziemy rozmawiać. Musisz niezauważona dostać się tutaj – pokazał wskaźnikiem laserowym miejsce na samym dziobie – i wejść do tunelu serwisowego, który biegnie pod ładowniami aż do maszynowni.

#### 4

Siedzieli na golasa na łóżku i jedli chipsy, które kupili jeszcze w Abidżanie, wszystko było lepsze niż posiłki serwowane przez okrętową kuchnię.

– Nie podoba mi się, że to ty tam idziesz. To jakiś absurd.

– Wręcz przeciwnie, tylko to ma sens. Siedziałam tam dwa tygodnie, pamiętam rozkład pomieszczeń zarówno na statku, jak i w żyrolabie. A na przeprowadzenie całej operacji mamy tylko tyle czasu, ile trwa załadunek i tankowanie. Nie ma sensu wysłać tam kogoś, kto zna „Vincenta” wyłącznie z częściowo nieaktualnych planów.

Pokręcił głową.

– Potrzeba sprawności, siły fizycznej, refleksu, to jest zadanie dla Lisy albo dla Kluzki.

– Potrzeba wejść do jednego pomieszczenia i wsadzić jedną strzykawkę w jedno miejsce, jeśli jeszcze raz zasugerujesz, że mnie to przerasta, to się pokłócimy.

– Każda karta albo czip otwierający drzwi działa na tej samej zasadzie – tłumaczyła Lisa – wszystko jedno, czy to hotel z pokojami na godziny, siedziba NASA, czy nasz Latający Holender. W karcie znajduje się pasywny układ elektroniczny, który można w dowolny sposób zakodować, nadając mu wyjątkowy identyfikator. Kiedy układ znajdzie się w zasięgu anten zamka, czytnik odczytuje jego kod i reaguje w zależności od programu. Proste, niedrogie, szalenie efektywne, ponieważ system jest bardzo plastyczny, dzięki prostemu interfejsowi można zaprogramować, żeby karta A otwierała wszystkie zamki, karta B tylko te na drugim piętrze, a C tylko do kibla i schowka na szczotki. Teraz chcecie dobrą wiadomość czy złą?

– Dobrą – powiedziała Zofia, po wczorajszym zwiedzaniu maszynowni z jej dziesiątkami schodków, setkami zakamarków oraz tysiącem rurek i zaworów, pośrodku których huczał silnik wielkości domku letniskowego, miała ochotę tylko na dobre wiadomości.

– Za pomocą tego oto urządzonka – pokazała czarne pudełko wielkości etui na okulary – można w kilka sekund znaleźć kod matkę, dzięki czemu nasza karta otworzy każde drzwi w systemie.

Zofia pomyślała, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Po czym przeanalizowała odpowiedź Lisy i zrozumiała złą wiadomość, zanim Szwedka powiedziała:

– Niestety, żeby moje cudo zrobiło swoje czary-mary, potrzebuje karty działającej w systemie.

Poszła się przespacerować wzdłuż burty, żeby pomyśleć, a im dłużej myślała, tym gorszy ogarniał ją nastrój. Nie pomagała przyjemna bryza, nie pomagał bajkowy turkus oceanu, nawet baraszkujące koło „Powstańca” stadko delfinów nie poprawiało jej humoru. Cała akcja wydawała się straceńcza, bezsensowna, zapewne samobójcza, najprawdopodobniej nieskuteczna. A wszystko po co? Żeby przyspieszyć koniec cywilizacji? Łudząc się, że wszystko będzie dobrze, że człowiek coś wymyśli, że przyszłość to będzie taka

teraźniejszość, tylko że lepsza? Każde pokolenie przed nią tak myślało i prawie każde się myliło. Przeczytała kiedyś, nie pamiętała gdzie, a może to po prostu mądrość ludowa: fałszywa nadzieja jest gorsza niż brak nadziei.

Zerknęła na zegar. Jedenasta trzydzieści. Pora na obiad. Nie dość, że za to jedzenie pieprzona syrenka powinna pójść siedzieć, to jeszcze godziny jak w szpitalu: śniadanie o siódmej, obiad w południe, kolacja o siedemnastej. Chciałaby przestać jeść, żeby pokazać kuchcie, kto jest silniejszy, ale nie mogła. Od morza, wiatru i kołysania bez przerwy czuła głód.

Wróciła do nadbudówki, wpadła na zbiegającego w dół drugiego, pogwizdującego wesoło.

– A pan co taki wesoły?

– Niedziela, szanowna pani, dzień szczęścia, radości i wygranych w totolotka.

– Bo?

– Siostra da nam lody!

I pobiegł.

Lody! Na samą myśl roześmiała się od ucha do ucha i przyśpieszyła kroku, ale przed wejściem do mesy zwolniła i spowaźniała, czując narastającą wściekłość. Od prawie tygodnia dostawała żarcie tak podłe, że nawet o swojej szkolnej stołówce zaczęła myśleć z nostalgią. Od prawie tygodnia upokarzano ją bezmięsną dietą polegającą wyłącznie na tym, że z mięsnych dań, a stanowiły one sto procent jadłospisu, wygrzebywano mięso. A ona, zamiast napluć kuchcie w twarz i wydrapać oczy, gotowa była całować ją po rękach, ponieważ będą lody.

Do stołu usiadła z miną więźnia gułagu oczekującego spleśniałego, nasączonego wodą chleba. Rosołu nie tknęła. Zwykle nie miała problemu z zupami i rybami, ale postanowiła, że się nie złamie i będzie najbardziej ortodoksyjną berlińską ekoweganką, żeby nie dać Siostrze satysfakcji. Wiedziała, że załoga obstawia zakłady, czy wytrwa. Zwłaszcza że Lisa złamała się drugiego dnia i grzecznie jadła wszystko, co kuchnia wydała.

Na drugie podano pieczonego kurczaka z ziemniakami i mizerią. Przed nią steward postawił ziemniaki z surowym ogórkiem.

Podziękowała z uśmiechem, zjadła ze smakiem. Lody, jeszcze chwila i dostanie lody!

Zjedli, steward przyniósł lody. Wszystkim oprócz niej. Duże, marynarskie porcje. Drgnęła niespokojnie na krześle. Z tyłu załoga zaszemrała. Odwróciła się i zobaczyła, że Siostra idzie do niej z deserem. Zbliżyła się, staje przy stole i stawia przed nią miseczkę, w której pływa kilka kostek lodu.

– Wegańskie lody dla pani – powiedziała, uśmiechając się.

– Zosi – poprawił ją kapitan. – Panowie to byli za sanacji. I panie oczywiście.

– Dla Zosi – uśmiechnęła się jeszcze słodziej kucharka.

## 7

I stał się wieczór, i stał się zaranek, dzień szósty. Z taką oto myślą obudziła się Zofia, a dlaczego przyszła jej ona do głowy? Może śniła o rejsie „Kometą”? Skąd ten dziwny styl rodem z Biblii Gdańskiej? Faktycznie nadszedł dzień szósty, po południu mieli dotrzeć w miejsce, którego współrzędne zostały im przekazane w zleceniu, wcześniej jeszcze musieli omówić z Varankiem szczegóły uśmiercenia ukochanej bakterii Smugi. Czuła niepokój. I burczało jej w brzuchu. Na niepokój nie miała pomysłu, ale z głodem musiała sobie poradzić.

Wstała cicho, żeby nie obudzić śpiącego Karola, założyła spodnie, wyszła na korytarz na bosaka i zeszła trzy pokłady niżej do mesy. Statek jeszcze spał, na mostku czuwał samotnie oficer wachtowy. W sali jadalnej było ciemno, ale z kuchni dolatywały zapachy, jakich nie czuła od dawna: zapachy normalnego jedzenia. Cicho podeszła do drzwi, zajrzała, Siostra siedziała przy wyspie kuchennej, wsuwała szakszuke z patelni i czytała grubą powieść graficzną.

– Ahoj, Sostro – przywitała się Zofia.

Siostra, jakkolwiek miała na imię, spojrzała na nią wzrokiem psa, który spodziewa się, że inny kundel chce mu zabrać jedzenie z miski.

Zofia, niezrażona, przysunęła sobie taboret i usiadła naprzeciwko pięknej kucharki.

- Dlaczego? – spytała.
- Dlaczego co? – burknęła blond syrenka.
- Po pierwsze, dlaczego gotujesz te gówna?  
Wzruszyła ramionami.

– Chcą, to mają. Próbowałam inaczej, a wierz mi, kochanie, że potrafię, miałam restaurację rybną w Szczecinie, a przed nią co weekend kolejkę berlińczyków. Potrafię nawet tutaj, gdzie stawka żywieniowa wynosi tyle, co w więzieniu Trzeciego Świata, w którym chcą rozwiązać problem przeludnienia. Ale zawsze, kurwa, coś było nie tak. Bo w firmie taka tradycja, że w niedzielę rosół i kurczak.

I lody, pomyślała Zofia, przełykając ślinę.

– Że marynarz to lubi mięso. Że młodszy to nawet chętnie takie rzeczy próbują, ale starsi to lubią, wiesz, moja droga, takie zwyczajne, dobre, polskie jedzenie. Dwa miesiące walczyłam, aż w końcu musiałam znaleźć najmniejszy wspólny mianownik, który odpowiada wszystkim. I znalazłam: smażenina. Smażę mięcho, nikt nie narzeka. Jeśli postaram się choć trochę, zawsze ktoś zrzędzi. No to się nie staram, uszczęśliwiająć w ten sposób wszystkich. Zostałam królową smażeniny i dobrze mi z tym.

Mówiąc, cały czas jadła szakszuke, prześlicznie pomarańczową, z idealnie ściętymi jajkami, obłędnie pachnącą pomidorami i przyprawami. Zofia miała nadzieję, że ułamię jej kawałek bagietki, poda, powie: „masz, spróbuj”, ale Siostra zdawała się nie zauważać jej wygłodniałego spojrzenia.

– Po drugie, dlaczego ja?

Siostra wpatrywała się w nią bez słowa, chwilę mieszała bezmyślnie jajko z pomidorami, w końcu puściła gwałtownie łyżkę i odchyliła się na krześle.

– Bo mi strasznie przypominasz moją byłą. Tępą, niewdzięczną dzidę, przekłeta niech będzie ziemia, po której drobi swoimi ślicznymi stópkami – westchnęła ciężko. – Wiem, kurwa, wiem. Jesz jajka i nabiał czy jesteś ortodoksyjna?

Zapewniła, że nie jest. I kwadrans później jadła boski omlet z kozim serem i szpinakiem, popijając smoothie z mleka kokosowego i masła orzechowego. Rozmawiając o trudnych związkach, ucieczkach na morze („a obiecywałam sobie, że nigdy nie pójdę w ślady ojca”), kuchniach świata, durnych marynarzach

i ekologicznych kosmetykach Z każdym kolejnym słowem docierało do niej, jak bardzo potrzebowała rozmowy niedotyczącej losów cywilizacji.

## 8

Narysowany przez Varanka na tablicy schemat połączonych ze sobą prostokątów, kwadratów i trójkątów przypominał zadanie z testu na inteligencję. Patrząc na figury, zaznacz, jaka będzie następna w ciągu.

– Rekuperacja – mówił – polega na tym, że powietrze nawiewne i wywiewne przepływa przez splątane ze sobą kanaliki, cieplejsze oddaje część ciepła zimniejszemu, co ogranicza konieczność jego ogrzewania lub ochładzania. Centrala rekuperacyjna jest jednocześnie centralą wentylacyjną, tam znajdują się filtry i, nazwijmy ją, rura matka. I to ona nas interesuje.

– Znajduję, wkłuwam się do rury matki i załatwiam?

– No, to by było trochę za proste. Całe laboratorium ma na pewno centralę rekuperacyjną, która pompuje czyste, przefiltrowane powietrze do wszystkich pomieszczeń. Ale pracownia biochemiczna musi mieć osobną centralę, obsługującą dygestoria.

Przerwał, widząc niezrozumienie na twarzach słuchaczy.

– Zofia widziała to na „Vincencie”, a wy na filmach, jak naukowcy siedzą przed takim ni to akwarium, ni to inkubatorem, i władają ręce w zamocowane na stałe w szybie rękawice, żeby pracować w szczelnej komorze, tak? To właśnie dygestoria, w których namnażane są bakterie Smugi. Kluczowym elementem takiej komory jest system obiegu powietrza. Każde zanieczyszczenie, które wlatuje do środka, jest niebezpieczne dla badań, a każde wylatujące może być niebezpieczne dla badaczy. Dlatego elementy systemu są dobrze oznaczone, nie powinno ci być trudno po przewodach i manometrach odnaleźć centralę rekuperacyjno-wentylacyjną dygestoriów i zlokalizować rurę matkę. Kiedy ją zlokalizujesz, użyjesz tego.

Gestem iluzjonisty Varank postawił na stole urządzenie wielkości młynka do pieprzu.

– To przenośny, ładowany przez USB nebulizator, używany do inhalacji. Zamienia sól fizjologiczną, olejek na przeziębienie albo lek w aerazol. Ty naładujesz go tym.

Postawił obok niewielką butelkę z przezroczystym płynem.

– Od razu muszę powiedzieć, że to nie jest rozwiązanie optymalne ani stuprocentowo pewne. Stuprocentową pewność mielibyśmy tylko wtedy, gdybyśmy posiadali bakterię Smugi i stworzyli faga, czyli specjalny wirus, który przyczepia się do bakterii i ją unicestwia. Na to nie ma szans, dlatego przygotowałem ten koktajl antybiotykowy oparty na wankomycynie w dużym stężeniu, najmocniejszym znanym antybiotyku, stosowanym w leczeniu najgorszych zakażeń szpitalnych. Z dodatkiem kilku innych, działających na inne szczepy. Jednak jeśli Smuga ma rację i jego bakteria może zasiedlić się w jelicie, to rachunek prawdopodobieństwa mówi, że pewnie należy do popularnych Gram-dodatnich bakterii typu *Firmicutes*. A na takie wankomycyna działa jak... – zawiesił głos. – Przepraszam, przyszło mi do głowy niefortunne porównanie. Działa piorunująco. Czyli: najpierw musisz wykąpać w antybiotyku kawałki artefaktu, o których opowiadałaś. To załatwia, jak by to powiedzieć, bakterie matki. Potem, żeby zniszczyć wyhodowane potomstwo, znajdujesz centralę wentylacyjną, wkłuwasz się w rurę nawiewną za filtrem, wkładasz przewód nebulizatora, wciskasz guzik, czekasz dziesięć minut...

– Dziesięć minut?! – jęknęła Zofia. – Mam tam stać dziesięć minut? Myślałam, że wstrzyknę coś w odpowiednie miejsce i po sprawie.

– Nie sądzę, żeby coś ci groziło – wtrącił się Kluzka. – Przeładunek na morzu to skomplikowana operacja. Na pewno zamkną laboratorium, zabezpieczą wszystko, wygonią naukowców do kajut. Myślę, że poza pacjentami będzie tam pusto.

– No skoro tak myślisz, to od razu czuję się lepiej.

– Myślę też, że na wszelki wypadek powinnaś użyć tego. – Były legionista postawił na stole fiolkę leku, oznaczoną po francusku jako chlorowodorek wankomycyny.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Co? – Varank otworzył szeroko oczy. – A niby dlaczego?

– Ponieważ nie wierzę w twój magiczny koktajl. Dużo myślałem o naszych wspólnych przygodach, Ruhsar, i zdecydowałem, że ci nie ufam. Upierałeś się, żeby jechać ze mną w Pireneje. To raz. Taki ważny dyrektor z taką obiecującą karierą chce brać udział w brudnym szantażu? Dziwne. Bez mrugnięcia okiem zaakceptowałeś pierwszą odpowiedź, jaką dostaliśmy od dyrektora w Céret. Mimo że powinieneś podejrzewać, że środowisko może i portfelem jest po naszej stronie, ale ich naukowe serduszka na pewno biją dla Smugi. To dwa. A zaraz potem przekonywałeś mnie, skutecznie zresztą, żeby w imię Boga, człowieka i wszechświata w ogóle zaniechać poszukiwań i pozwolić Smudze obdarzyć ludzkość darmową długowiecznością. Im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej coś mi śmierdziało. Jesteś mądrym gościem. Wybitnym naukowcem. Rozumiesz, w jakim momencie historii jesteśmy, że cywilizacja właśnie chwieje się nad przepaścią, licząc na to, że stanie się cud i ktoś ją złapie za fraki, by pociągnąć do tyłu. Ale wspianała darmowa długowieczność dla wszystkich to nie ratunek, to kopniak w tyłek. Doprowadzi w ciągu kilku dekad do astronomicznego przeludnienia, za tym pójdzie gigantyczny przyrost wyrzucanego w niebo dwutlenku węgla, to jak dorzucenie paliwa do kotła, w którym i tak już strzelają nity. Po prostu nie wierzę, że ze swoją wiedzą stanąłbyś po stronie takiego projektu.

Ruhsar, zaskoczony, spojrział po nich bezradnie, szukając pomocy, ale nikt się nie odezwał, myśląc zapewne, że trudno słowom Kluzki odmówić logiki.

– Ale, przepraszam, co sugerujesz?

– Sugeruję, że od początku albo zwyczajnie wiedziałeś, albo podejrzewałeś, o co toczy się gra. I że nawet jeśli nie pracujesz z nimi, to jesteś po ich stronie. Zgadzasz się, że idea „randomowej depopulacji” to jedyny ratunek dla ludzkości, zimne naukowe racje są po twojej stronie, a znam cię na tyle, żeby wiedzieć, że na drugiej szali nie masz żadnych religijnych dogmatów, które mogłyby je zrównoważyć. Z czego prosty wniosek, że ściemniasz, a ten preparat to zapewne sól fizjologiczna.

– Bzdura.

– W takim razie nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby zastąpić twój koktajl po prostu wankomycyną buchniętą z okrętowej



apteczki „Powstańca”?

– To nie ma sensu. Mój preparat jest silniejszy i bardziej wszechstronny od jednego antybiotyku.

– Jednego najsilniejszego antybiotyku świata, używanego w najgorszych zakażeniach, jak sam przed chwilą powiedziałaś.

Zofia nie wiedziała, co o tym sądzić. Patrzyła na zmianę to na Varanka, to na Kluzkę, którzy powiedzieli, co mieli do powiedzenia, i teraz stali nieruchomo, jak bokserzy po walce, czekający na werdykt. Do tej pory nie przyszło jej do głowy podważyć motywacji tureckiego naukowca, uznała po prostu, że projekt „randomowej depopulacji” budzi w nim taki sam naturalny sprzeciw, jak w nich. Ale Kluzka miał trochę racji, nawet nimi targaly wątpliwości, tymczasem Ruhsar Varank, trzeźwo myślący naukowiec, nigdy się z nimi swoimi nie podzielił, więcej, zdawał się omijać ten temat. Cóż, istniał łatwy sposób, żeby dowiedzieć się prawdy.

– Nikt tu nie będzie prowadził śledztwa – powiedziała. – Myślę, że zgadzamy się, że bezpieczniej będzie użyć obu.

Wstała i zgarnęła z biurka nebulizator oraz oba flakoniki.

– Ogłaszam koniec tych wszystkich bzdurnych szkoleń, i tak się już czuję jak Tom Cruise. Wchodzę, wstrzykuję antybiotyki, wychodzę, może się uda, może nie, zobaczymy.

Miała już rękę na klamce, kiedy dogonił ją cichy głos Varanka.

– Nie rób tego. Po prostu tego nie rób. Tak, Marcel ma rację, mój koktajl to sól fizjologiczna. Ale jest prostsze wyjście. Po prostu tego nie rób. Idźmy na obiad, poprośmy kapitana o butelkę wina, zobaczymy interesującą operację cumowania dwóch statków, a potem z Casablanki wrócmy do domu, do przyjaciół, do rodzin. Idąc spać ze świadomością, że być może uratowaliśmy świat. Musicie zrozumieć, że wy nie jesteście superbohaterami w tej historii. Jeśli wam się uda i zrobią o tym kiedyś film, będziecie najgorszymi złoćmićami w dziejach świata, arcyłotrami, którzy podpisali wyrok śmierci na ludzkość. Błagam, opamiętajcie się.

Chciała parsknąć śmiechem i wyjść dostojnie, ale w jego głosie brzmiała tak autentyczna, głęboka rozpacz, że nie potrafiła.

– Musicie zrozumieć rozmiar apokalipsy. Podgrzaliśmy ziemię do temperatury sprzed ośmiuset tysięcy lat, a do końca wieku podgrzejemy ją do stanu sprzed dwustu pięćdziesięciu milionów lat,

kiedy na lądzie żyły tylko grzyby i pewne stworzenie podobne do świnki. Wiemy to od bardzo dawna, tak naprawdę od dziewiętnastego wieku, i nie zrobiliśmy nic, i ciągle nie robimy nic. Za naszego życia dziesięć procent ludzkości zostanie zmuszone do migracji przez podniesienie poziomu morza, a trzydzieści procent straci dostęp do wody pitnej, bo lodowce przestaną zasilać rzeki, a słona woda wypełni ich koryta i zatruje zbiorniki podziemne. Ludzie w panice wybiorą na przywódców szaleńców, przy których Stalin i Dżyngis-chan to para dobrotliwych staruszków, dojdzie do krwawych wojen, ktoś zacznie rozrzucać atomówki i paradoksalnie im szybciej do tego dojdzie, tym lepiej.

Parsknęła na te słowa, czekając, żeby ktoś wyśmiał i opieprzył Varanka za marzenia o wojnie nuklearnej, ale jej towarzysze słuchali z uwagą.

– Nie przesadzam, to fakt: dziś globalny konflikt atomowy byłby zbawieniem ludzkości. Zima nuklearna potrwałaby około dekady i zapewne część populacji by to przeżyła, a uniknęlibyśmy przekształcenia planety w miejsce nienadające się do zamieszkania dla prawie wszystkich żyjących dziś na niej gatunków na kolejne miliony lat. Jeśli nie wojna atomowa, to zapewne jakiś geniusz w Waszyngtonie lub Pekinie uzna, że rozpęta epidemię wyhodowanego w wojskowych laboratoriach wirusa. Który może wybije nas do nogi. A może tylko sprawi, że miliony będą musiały oglądać, jak ich najbliżsi i najukochańsi duszą się w męczarniach. I to ciągle są optymistyczne warianty, podkreślam: optymistyczne. Inaczej będziemy się wybijać w wojnach o wodę i jedzenie, w histerii kotłować jeszcze więcej paliwa, aby wyprodukować energię dla systemów, w których da się żyć, proces przyśpieszy, łatwopalny metan uwolni się z oceanów, pierwsza burza sprawi, że niebo zapłonie. I płonące niebo będzie ostatnim obrazem, jaki wasza córka, gdyby jakimś cudem dożyła sędziwego wieku, zobaczy, zanim cywilizacja zginie ostatecznie i nieodwołalnie, nie pozostawiając po sobie ani jednego rozbitka, żadnej szansy na odrodzenie i planetę, na którą życie porównywalne do znanego nam dziś powróci po milionach lat, jeśli w ogóle.

Skończył swoje kazanie i chyba czekał na pytania, ale nikt żadnego nie zadał, więc mówił dalej.

– W tej sytuacji rozwiązanie Smugi jest darem bożym. Ratujemy cywilizację. Nikt nie umiera. I dostajemy długowieczność w pakiecie. Albo to, albo śmierć w męczarniach i koniec cywilizacji.

– Mylisz się, mówiąc, że nikt nie umiera – powiedział Karol. – Każdy człowiek umiera. Każda cywilizacja się kończy. Nikt i nic nie jest nieśmiertelne. Zmiana klimatu, asteroida, nowy wirus, w nasz los wpisany jest koniec. I ja naprawdę rozumiem, że wasza próba odwrócenia tego losu płynie wyłącznie z miłości i wiary w wyjątkowość naszego gatunku. Ale ta droga zawsze kończy się źle. Masz rację, nasza cywilizacja dogorywa. Dlatego powinniśmy być dla siebie mili. Po prostu.

Jej mąż mówił mądrze. Ale czy się z nim zgadzała?

– Proszę... – Ruhsar już nie prawił kazania, szeptał ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Proszę, to się nie może tak skończyć. Ta piękna przygoda ludzkości nie może się tak skończyć.

Marcel Kluzka otworzył drzwi na korytarz.

– Chodź, Ruhsar. Rozumiesz, że musimy cię odizolować. Kapitan przygotował miejsce, w którym będzie ci wygodnie do czasu, aż skończy się akcja.

Naukowiec bez słowa minął ich wszystkich. Na końcu odwrócił się i po kolei spojrzał wszystkim w oczy.

– Mam nadzieję, że Bóg istnieje – powiedział. – I że nigdy wam tego nie wybaczy.

## Rozdział 17. Do abordażu

*Ludzkość ma gdzieś swoje przyszłe przygody • Skok na jokohamę •  
Musimy ją odwołać • Yennefer z małym cycem • W maszynowni •  
Stalowy walec • Pozbyć się tego jak najszybciej • Kto im to wybudował? •  
Wrota ładowni zamknęły się z głuchym hukiem • Sto dwadzieścia lat na  
wyciągnięcie ręki • Córka natury • Zjawą • Józek Gąsienica • Mejdej,  
kurwa, mejdej • Paradoks Fermiego • Zwyciestwo*

1

Olga Gavrilesca spojrzała na zegarek i skrzywiła się. Wolałaby przeprowadzić całą operację za dnia, ale drobnicowiec spóźnił się i teraz miała wybór: albo jak najszybciej połączyć statki, co by oznaczało część pracy już w nocy, albo przełożyć całą operację na następny dzień. Przesunąć wszystko do rana byłoby bezpieczniej, ale uciążliwiej. Żyrolab już zamknięto, załoga czekała na stanowiskach, jokohamy przygotowane, a w prognozie spokojna, bezwietrzna noc.

Postanowiła, że lepiej mieć to z głowy.

– Panie drugi, proszę ich wywołać na radiu i poinformować, że będą cumować do nas lewą burtą. My wydamy im springi ze śródokręcia, po ich stronie bresty i cuma dziobowa, są trochę krótsi od nas, a równamy rufami. Współrzędne RDV bez zmian, kurs dwa osiem zero, nasza prędkość w czasie STS trzy knoty. Niech meldują ETA co piętnaście minut.

– Tak jest.

Wzięła lornetkę, aby obserwować, jak wzdłuż prawej burty załoga napełnia sprężonym powietrzem jokohamy. Były to olbrzymie czarne odbijacze, każdy wielkości dużej ciężarówki, mocowane poprzecznie wzdłuż burty. Dzięki nim „Vincent” stanie się statkiem matką, czyli zabezpieczonym pływającym nabrzeżem, a „Powstaniec Warszawski” – cumującą do tego nabrzeża jednostką.

Operację wykonywali na tyle często, że stała się standardowa, każdy znał swoją rolę i miejsce, ale i tak czuła miłe podniecenie, że w końcu dzieje się coś więcej niż pływanie w kółko po najnudniejszych wodach świata.

Popatrzyła dłużej na krzątających się na dziobie przy linach cumowniczych marynarzy, dopiero po chwili zauważyła, że za nimi, na klapie do tunelu serwisowego siedzi nieruchomy niczym stalowe polery Bogdan Smuga.

## 2

Patrzył w dal, chcąc wchłonąć jak najwięcej powietrza i światła, zanim da się zamknąć w kontenerze i wyekspediować do Casablanki. Nie pierwszy raz wyjeżdżał z „Vincenta” tą drogą i niezmiennie było to upiorne doświadczenie. Nie potrafił się do tego przyzwyczaić, za każdym razem musiał tłumaczyć sobie, że przecież bycie zamkniętym w stalowym kontenerze niczym się nie różni od zamknięcia w kajucie stalowej nadbudówki albo kadłubie samolotu.

Nie mógł przestać myśleć o wszystkich urazach i schorzeniach, jakie mogą mu się przytrafić, kiedy przez kilkanaście dni będzie całkowicie odcięty od świata. Miał apteczkę, więc poradzi sobie z rozwolnieniem, nagłą infekcją lub atakiem paniki. A co jeśli dostanie zapalenia wyrostka albo rozwali sobie czaszkę, kiedy statkiem będzie bujać na fali? W końcu to nie „Vincent”, polujący bez przerwy na ładną pogodę. Czy to zły omen, że statek nazywa się „Powstaniec Warszawski”? Ma w tym szukać analogii do bohaterstwa za wszelką cenę czy do idiotycznego samobójstwa popełnionego z niewiedzy i głupoty?

Wzdłuż burty puchły ogromne czarne odbijacze, jakby nagle na statku pojawiły się cielska martwych wielorybów. Przypomniało mu to niedawne czasy, kiedy można się było przejmować gatunkami zagrożonymi, walczyć o wieloryby, koralowce i misie koala. Wiek niewinności, ileż by dał, żeby żyć w tamtych czasach i umrzeć spokojnie, ufając, że następne pokolenia będą uczestniczyć w wielkiej przygodzie ludzkości, wyruszać do gwiazd i przemieniać

fikcję fantastyki naukowej w rzeczywistość. A przy okazji ratować wieloryby.

Świadomość, że ludzkość ma gdzieś swoje przyszłe przygody i chce wyłącznie tu i teraz nazreć się do porzygania, zostawiając po sobie zgliszcza – nieustannie go przygnębiała.

### 3

Czuła się już na tyle kompetentna, żeby napisać zgryźliwy esej pod tytułem „O czym nie powiedzą ci bohaterowie kina akcji”. Przede wszystkim o tym, że cały czas jest im niewygodnie, są spoceni, zdyszani i śmierdzą. Miała na sobie czarną piankę do nurkowania, teoretycznie lekką i nowoczesną, ale z jej punktu widzenia ciężką jak diabli, uwierającą w każdym miejscu, gdzie wypadałoby mieć swobodę ruchów. Pod pianką gniołło ją w żebra radio i nadmuchiwana bojka na wypadek, gdyby jej przygoda znowu miała się skończyć w falach. Do pojemnika przy pasie wcisnęła nebulizator, antybiotyk, urządzenie do hakowania kart, czołówkę i nóż, ten ostatni cholera wie po co, nie planowała podrzynania gardeł naukowcom z „Vincenta”.

Kiedy nad jej głową zakończyło się zamieszanie związane z cumowaniem, a zegarek pokazał, że zapadł zmierzch, wyszła z magazynu bosmańskiego na pokład dziobowy, mając cichą nadzieję, że gdy tylko wystawi głowę, zostanie zauważona i będzie mogła zrezygnować z poczuciem, że mimo wszystko próbowała.

Nikt jej nie zauważył. Ukryła się za bębniem z łańcuchem kotwicznym, grubym jak jej udo, i oceniła sytuację. „Powstaniec” kiwał się delikatnie na falach razem z „Vincentem”, z którym został połączony skomplikowanym systemem lin, a między statkami trzeszczały gumowe poduchy, wyglądające jak powiększony do ogromnych rozmiarów podłużny balonik, z gatunku tych, z których dzieciom robi się jamniczka na urodzinach. Zgodnie z planem właśnie jeden z tych baloników stanowił jej drogę na drugi statek.

Zeszła na poziom głównego pokładu i stanęła za małym dźwigiem, kryjąc się przed wzrokiem tych, którzy mogliby patrzeć

w jej stronę z mostków, i tych, którzy uczestniczyli w przenoszeniu ładunku na śródkręciu. Wyjrzała przez reling.

Kurwa mać.

W planie wyglądało to tak, że przechodzi po odbijaczu na drugi statek jak po trapie. Tymczasem ogromny czarny serdelek z gładkiej, więc zapewne śliskiej, gumy znajdował się na tyle nisko, że trzeba było na niego zeskoczyć. I wyglądał jak kłopoty. Kłopot w postaci wpadnięcia między odbijacz i burłę, oznaczający zmiżdżenie, albo kłopot w postaci ześlizgnięcia się do morza pomiędzy podskakujące na falach stalowe kadłuby o masie dziesiątków tysięcy ton.

Skoczyła.

Wylądowała niezgrabnie na powierzchni, przypominającej trampolinę na placu zabaw, odbiła się dwa razy i ześlizgnęła w stronę „Vincenta” głową w dół, w ostatniej chwili wyprostowała ramiona, zapierając się o wilgotną, stalową burłę. Chciało jej się rzygać ze strachu, ale nie została zmiżdżona i nie wpadła do wody, nie jest źle. Ostrożnie stanęła na ruchomej gumie, cały czas opierając się o burłę „Vincenta”, wyprostowała się, sięgnęła do krawędzi pokładu – i stwierdziła, że brakuje jej pół metra.

Oczywiście, jakżeby inaczej. Że też nie pomyślała o zabraniu taboretu. Co teraz? Odbijacz wisiał na biegnących ukośnie linach, żeby spróbować wspiąć się po nich na pokład, trzeba by najpierw do nich doskoczyć, rzucając się w stronę wody. Łatwizna, od skoku na zwisającą lianę Tarzan zaczynał każdy odcinek swoich czarno-białych przygód. Na dodatek liny wyglądały na zbyt cienkie, żeby przejść po nich na czworaka, ale zbyt grube, żeby na nich zawisnąć. Chyba żeby...

Nie, Zofia, nawet o tym nie myśl.

Ale jaki miała wybór?

Podskoczyła ostrożnie. Nawet nieźle, chyba lepiej niż na trampolinie. Szybko, żeby nie zdążyć pomyśleć, że to bez sensu, podskoczyła raz, drugi, trzeci, wybiła się mocno, chwyciła krawędzi burty pod relingiem, podciągnęła i nagle, po dwóch tygodniach, znów znalazła się na pokładzie „Vincenta”.

Zgodnie z planem opuściła półpokład, wdrapała się na podwyższenie na dziobie i dopadła prostokątnej kłapy wielkości stolika kawowego, zabezpieczonej ośmioma sworzniami na

motylkowych śrubach. Odkręciła je, podniosła właz i zeszła po drabince w duszną, ciasną, śmierdzącą olejowo-dieselową stęchłą ciemność.

Schodziła nadspodziewanie długo, na pewno kilka pięter, dopiero na dnie dała sobie chwilę, żeby wzrok przyzwyczaił się do mroku. Ale wzrok ani myślał dokonać tego wyczynu, ponieważ znalazła się w najciemniejszym, najmroczniejszym miejscu na planecie Ziemia. Wyciągnęła czołówkę, zapaliła, rozejrzała się.

Nad sobą miała wysoki szyb, którym na pewno nie odważyłaby się zejść, gdyby wcześniej zapaliła latarkę. Przed sobą zaś nie tyle tunel, co rurę o średnicy półtora metra, sięgającą, na ile była w stanie to ocenić, w jakiś nieskończenie odległy zakątek wszechświata powstały z mieszaniny smoły i atramentu. Cóż, jeśli Holender miał rację, na końcu powinny znajdować się drzwi do maszynowni.

Zamocowała latarkę na czole i lekko zgarbiona ruszyła przed siebie.

4

Karol Boznański postawił lornetkę z noktowizorem na parapecie okna w kajucie.

– Musimy ją odwołać – powiedział. – To nie ma sensu.

Stali razem z Kluzką w zaciemnionym pomieszczeniu na pokładzie C, tuż pod mostkiem i obserwowali desant Zofii na pokład „Vincenta” do momentu, kiedy zamknęła się za nią kłapa na dziobie.

– Dlaczego?

– Widziałeś, jak to wyglądało. Jeszcze na dobre nie zaczęła, a już szło nie tak. Ten skok? To odbijanie się jak na trampolinie? Między dwoma statkami, nad oceanem. Musimy ją odwołać.

– Nawet jeśli masz rację – spokojnie odpowiedział Kluzka – to i tak nie możemy. Ma wyłączone radio i to ona zdecyduje, czy go użyć.

Karol spojrział na leżące obok lornetki małe radio UKF, ustawione na umówiony kanał 24, mając nadzieję, że pod wpływem jego wzroku urządzenie ożyje, zaszumi, a on usłyszy głos żony, mówiący,



że to wszystko jakaś bzdura i ona zaraz będzie z powrotem, odbiór. Jasne, wracaj jak najszybciej, odpowiedziały. Bez odbioru.

## 5

Doszła do drzwi na końcu tunelu z nadzieją, że okażą się zabezpieczone zamkiem elektronicznym, co zakończy jej durną misję, ale chyba projektant stref bezpieczeństwa nie zapuścił się tak głęboko w bebecchy statku, ponieważ po odkręceniu klamr zabezpieczających otworzyły się bez problemu, wpuszczając do tunelu jaskrawe światło lamp jarzeniowych i ogłuszający łomot silnika.

Wyjrzała. Powoli zlustrowała, na ile mogła ze swojego zakamarka, wnętrze maszynowni, większej i czystszej niż na „Powstańcu”, ale poza tym bliźniaczej konstrukcji. Kuriozalną niczym teatralną dekoracją płatanina rur, pośrodku wysoki na kilkanaście metrów, ciągnący się przez cztery poziomy silnik, a wokół niego system galerii, chodników, schodów i drabin.

I ani jednego człowieka.

Kapitan „Powstańca” i Holender zgodnie twierdzili, że choć normalnie w nocy w maszynowni byłoby pusto, a dyżurny mechanik spałby smacznie, o ile nie obudziłby go jeden z alarmów, to w czasie operacji połączenia statków ktoś na pewno będzie czuwał w pomieszczeniu centrali kontrolno-manewrowej.

Przymknęła drzwi i powoli, cały czas rozglądając się uważnie, weszła dwa piętra wyżej, na poziom centrali. Prowadziły do niej dwie pary drzwi oraz panoramiczne okno, przez które wachtowy mógł obserwować przedział silnikowy. Przycupnęła obok okna, odetchnęła kilka razy i zajrzała do środka, przekonana, że w najlepszym wypadku zobaczy otwartą ze zdziwienia gębę mechanika, a w najgorszym – wylot lufy pistoletu.

Nic z tych rzeczy. W środku przy biurku siedział tyłem do niej łysy facet w roboczym kombinezonie i zapisywał coś w dużym kajecie, podrygując lekko, jakby słuchał muzyki.

Kolejny dzień, kolejny sukces, pomyślała i szybko przystąpiła do realizacji dalszej części planu. Wycofała się, rozejrzała, żeby

sprawdzić, czy nie zaskoczy jej inny niż na „Powstańcu” układ komunikacyjny, po czym przeszła na drugą stronę bloku silnika i przekręciła regulator na generatorze, którego przeznaczenia zapomniała, ale kazali jej to przekręcić. Biegiem wróciła pod okno centrali.

Przez chwilę nic się nie działo, mężczyzna podrygiwał i pisał, ale jej kręcenie tajemniczym pokrętkiem musiało szybko uruchomić alarm, ponieważ zaczął przeglądać dane na jednym z monitorów, a chwilę potem wstał, sięgnął po słuchawki ochronne i ruszył w stronę lewych drzwi. Zofia stanęła przy prawych i kiedy zobaczyła, że w drugich poruszyła się klamka, weszła do środka.

Chwilę stała nieruchomo w nieoczekiwanej ciszy wytłumionego pomieszczenia i czekała aż zza rogu wyjrzy łyśy facet w słuchawkach i powie: „a kuku”. Nic takiego się nie wydarzyło, więc padła na kolana i na czworakach podeszła do biurka.

„Lalka, to nie jest zamek czarnoksiężnika, tylko pływające biuro – mówiła Lisa – gwarantuję, że wszędzie tych kart leżą stosy, ludzie je gubią, zostawiają w ciuchach, dostają nowe, trzymają na biurkach. Znajdź jedną i tyle”.

Łatwo, kurwa, powiedzieć. Co ma teraz zrobić? Przeszukiwać szuflady? Przetrzasać papiery? Śmietniki? Kieszenie kombinezonów roboczych?

Nie musiała. Na biurku koło komputera stała stacja kodująca, kilka pudełek z nowiutkimi kartami i koszyk ze starymi. Ha, w końcu szczęście się uśmiechnęło. Wzięła garść starych kart i wcisnęła do torebki przy pasie, po czym zerknęła przez okno, mechanik ciągle grzebał przy generatorach.

Wyszła ze sterowni. Tylko po to, żeby stwierdzić, że w przedziale silnikowym są teraz trzy osoby, z tego dwie przy generatorach, a jedna dokładnie między nią a drzwiami do tunelu serwisowego, na szczęście odwrócona plecami. Nie mając innego pomysłu, pobiegła skulona w stronę rufy.

Zachrobotowało, szarpnęło, zakołysało i niewielki dwudziestostopowy kontener uniósł się w powietrze. Bogdan Smuga siedział w jego kącie, w kompletnej ciemności, starając się przybrać taką pozycję, żeby nie przelecieć przez całe wnętrze i nie rozwalić sobie łba przy gwałtownym ruchu, w końcu jako jedyny element wyposażenia nie został na trwałe przytwierdzony.

Operator dźwigu nie cackał się jakoś specjalnie z ładunkiem, Smudze żołądek podszedł do gardła, kiedy jego domek śmignął w powietrzu pomiędzy statkami, a potem jeszcze długo kołysał się wahadłowym ruchem, zanim zaczął zjeżdżać w dół. Stuknęło metalicznie, kiedy kontener dotknął dna ładowni na „Powstańcu Warszawskim”.

– Trzy baby, no pomyślałbyś? Trzy baby! – przez zamaskowane otwory wentylacyjne w kontenerze usłyszał rozmowę polskich marynarzy. – To się nie może dobrze skończyć.

– Weź ten pas, z drugiej strony złapiemy. Ja tam się cieszę, jest na czym oko zawiesić. Która ci się najbardziej podoba?

– Zębata wagina, proste. Boga chyba nie ma, jakby istniał, toby takie ciało nie poszło na zmarnowanie.

– Jak na zmarnowanie? Po prostu inne baby mają używanie, kurwa, człowieku, dwudziesty pierwszy wiek jest. Że jak ktoś nie marzy o twoim pytonie, to od razu zmarnowanie?

– Dokładnie tak to widzę. Właściwie każda, która nie zna mojego pytona, nie wie, co to życie.

– Ja jebię. Ściągnij, jak powiem... teraz. Mi się ta stara podoba.

– Yennefer z małym cycem? Myślisz, że interesuje ją herpetologia?

Marynarze musieli zrobić swoje, głosy oddalały się.

– Co herbe?

– Nauka studiowania mojego pytona.

Obaj ryknęli śmiechem, trzasnęły drzwi. Smuga odczekał chwilę, wstał, żeby rozprostować kości, po czym wyciągnął się wygodnie na pościeli. Na wszelki wypadek nie chciał zapalać światła, dopóki nie skończy się załadunek. Pomyślał, że świat jednak poszedł naprzód, skoro nawet na polskim statku wśród załogi są aż trzy kobiety.

Znalazła się w ślepych zaułku, w miejscu, gdzie szybko obracający się lśniący stalowy wał o średnicy około metra zniknął w ścianie. Rozumiała, że znajduje się poniżej linii zanurzenia i gdyby nie kilka centymetrów poszycia kadłuba, to na wyciągnięcie ręki miałyby młócać ocean śrubę „Vincenta”. Wzdrygnęła się na myśl, że całkiem niedawno znajdowała się równie blisko jej stalowych łopat, tylko z drugiej strony.

Ślepy zaułek wydawał się bezpieczny. Domyślała się, że pozostali mechanicy pojawili się tutaj z powodu alarmu, pewnie szybko poprawią, co trzeba, i pójdą w cholerę, dyżurny wróci do sterowni, a ona będzie mogła spokojnie przejść do tunelu serwisowego, zrobić swoje w żyrolabie i pożegnać raz na zawsze pieprzonego „Vincenta”.

Wcisnęła się głębiej w kąt, obserwując ostrożnie sytuację zza płataniny przewodów. Wracają. Super. Mechanicy wykrzyknęli do siebie coś w języku, którego nie znała. Rumuński? Olga pochodziła z Rumunii, miałoby sens dobrać sobie rumuńską załogę. Niestety, zamiast iść w górę po schodach, mechanicy – obaj brodaci jak drwale – widocznie cholerni rumuńscy służbiści, pieprzone *securitate*, postanowili zrobić obchód.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Nie miała dokąd uciec. W tym miejscu nie przewidziano żadnych drabinek ewakuacyjnych, zakamarków, schowków, drzwiczek, jak na złość, biorąc pod uwagę, że cała reszta maszynowni przypominała labirynt z wesołego miasteczka.

Mężczyźni zbliżali się coraz bardziej.

Rozejrzała się panicznie. Z przodu niebezpieczeństwo, za plecami rufa, z lewej strony ściana, po prawej wirujący wał śruby, nad głową pusta przestrzeń.

Myśl!

Pod wałem jest zbiornik brudnej wody zęzowej, pokryty mieniącą się tęczowo warstwą oleju.

Bez wahania ześliznęła się z chodnika, położyła na plecach w czarnej cuchnącej wodzie i wczołgała pod wał. Stalowy baobab wirował teraz kilka centymetrów nad jej nosem, czuła jego

metaliczny zapach, czuła na twarzy ruch powietrza, czuła spadające jej na usta drobne kropelki oleju.

Wstrzymała oddech. Po chwili zobaczyła czarne robocze buty w miejscu, gdzie przed chwilą stała. Właściciel obuwia postanowił nie urządzać tutaj pikniku, rozejrzał się i zawrócił. Wypuściła powietrze z płuc, odczekała jeszcze chwilę, zanim uznała, że niebezpieczeństwo minęło i wyczołgała się spod wału, cały czas w irracjonalnym strachu, że wystarczy jeden zły ruch, by wirujące żelastwo porwało ją i zmieliło.

Nie została przemieniona w pięćdziesięciokilogramową porcję tataru, więc wstała i w tym samym momencie zdała sobie sprawę z nowego problemu. Nie było mowy, żeby poszła dalej w piance, z której ciekła wstrętna, oleista, przypominająca śluz woda, oznaczałoby to zostawienie za sobą śladu tak wyraźnego, że nawet inspektor Clouseau zdołałby ją wytropić.

Nie namyślając się wiele, ściągnęła kombinezon, wywinęła go na lewą stronę, zwinęła, wsunęła pod pachę i poszła dalej w samym kostiumie kąpielowym, krzywiąc się, ponieważ ażurowe metalowe chodniki boleśnie kłuły ją w stopy.

Tyle dobrego, pomyślała, że przynajmniej nie pocę się już w tym gównie.

## 8

Cargo zostało przeniesione, dźwigi zabezpieczone, czekali już tylko na przepompowanie paliwa. Kluzka siedział na koi, Karol tkwił nieprzerwanie przy oknie, z lornetką przy oczach, obserwując wąż do tunelu serwisowego na dziobie „Vincenta”. Cały czas tak samo nieruchomy.

Głośny metaliczny stuk sprawił, że odsunął lornetkę i spojrzał na pokład „Powstańca”, gdzie ze zgrzytem i łomotem zamykały się właśnie ogromne wrota ładowni.

– I co? Masz jakiś pomysł? – zapytał Kluzki.

Długo wcześniej rozmawiali o tym, co zrobić z ładunkiem zabranym z „Vincenta”. Na logikę powinny to być głównie odpady, których nie dało się spalić ani przetworzyć w inny sposób. Ale

szybko doszli do wniosku, że naukowcy mogli też postanowić dla bezpieczeństwa część wytworzonych substancji wysyłać w zaufane miejsca. Rozwiązanie oczywiste, nawet jeśli większość badań miała miejsce tutaj, to tylko idiota nie sporządziłby biologicznej kopii zapasowej, żeby trzymać ją w dobrze zabezpieczonym laboratorium, bardziej odpornym na kaprysy pogody.

„Vincent” nie przekazał im wiele, trzy małe kontenery do rozładowania w Casablance.

– Myślę. Kusi mnie, żeby sprawdzić, co tam jest, ale Varank słusznie mówił, że cholera wie, jaki materiał biologiczny się tam znajduje i jakie jest jego przeznaczenie. Niby swoje już przeżyłem, ale nie uśmiecha mi się zdychanie w krwawych wymiocinach.

Karol pokiwał głową, przetrząsanie kontenerów zdawało się zbyt dużym ryzykiem.

– Myślę też, że moglibyśmy rozładować towar w jakimś małym porcie po drodze i zdecydować, co dalej. Zawieźć gdzieś, gdzie będzie to można prześwietlić i zbadać przy zachowaniu procedur bezpieczeństwa? Czy raczej zakopać na złomowisku na wieczne nieodnalezienie?

– Ta druga opcja bardziej mi się podoba – mruknął Karol. – Wymyślmy, jak pozbyć się tego jak najszybciej raz na zawsze, i zapomnijmy o sprawie.

Drgnął, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

– Jeszcze piętnaście minut – usłyszał głos kapitana. – Mogę przeciągnąć do trzydziestu, ale nie dłużej.

9

Udało jej się szybko i niezauważenie minąć silnik, przejść całą maszynownię i wrócić do tunelu. W znajomej ciasnej przestrzeni po zamknięciu drzwi poczuła się stosunkowo bezpiecznie. Dała sobie chwilę na złapanie oddechu, rozprostowała kombinezon, żeby choć trochę przesechł, skorzystała też z narzędzia Lisy do hakowania kodów RFID. Żadna to nie była fizyka kwantowa, włożyła między dwa kawałki plastiku jedną ze zdobytych kart, światełko pomrugało na czerwono, potem zaświeciło się na zielono i tyle. Przerobiła

w ten sposób kilka kart, na wszelki wypadek. Po czym ruszyła w drogę powrotną, do wjazdu znajdującego się mniej więcej w połowie długości tunelu.

Tamtędy wyszła do ładowni i teraz stała pod żyrolabem, zastanawiając się, ile to u diabła kosztowało i skąd Smuga *et consortes* wystraszeni taką gotówką. Mówił, że ma zaplecze finansowe, i nawet rozumiała, że mogli przecież przekonać jednego z multimiliarderów do szalonego projektu ratowania cywilizacji – ale i tak była pod wrażeniem. Ukryte w „Vincencie” laboratorium musiało być arcydziełem sztuki inżynieryjnej, skutniczym odpowiednikiem Wielkiego Zderzacza Hadronów. Sześcian z mlecznego tworzywa sztucznego o boku dwudziestu metrów, w którym – co wiedziała – mieściły się trzy poziomy labu, zawieszono wewnątrz dwóch krzyżujących się metalowych obręczy o skomplikowanej strukturze. Domyślała się, że obręcze – kojarzące jej się z głównym rekwizytem z filmu *Gwiezdne wrota* – służyły stabilizowaniu laboratorium, aby kołysanie oceanu nie przeszkadzało w procedurach klinicznych i naukowych.

Z mlecznego kubika wychodziły najróżniejsze rury, przewody i kable, biegnące do ustawionych wokół urządzeń. Prąd, woda, tlen, próżnia, zapewne też wentylacja. Razem sprawiało to niepokojące wrażenie istoty nie z tej planety, podłączonej do systemu podtrzymywania życia.

Kto im to wybudował? Jak? Gdzie? Za ile?

Wzruszyła ramionami. Przyjdzie czas, żeby o tym dywagować przy porannej kawie, jak już wrócą z Karolem do Warszawy.

Skierowała się w stronę windy, którą kiedyś widziała, zwiedzając najniższy poziom labu. Po drodze minęła urządzenie niepokojąco przypominające nowoczesny piec kremacyjny oraz ustawione obok stalowe szafy z kwadratowymi szufladami. Nikt, kto obejrzał choć jeden serial kryminalny, nie mógł mieć wątpliwości, że szuflady to chłodnie na zwłoki.

Pełne?

Bez wątpienia pacjenci w labie umierali, bez wątpienia ich zwłok nie transportowano na ląd, nie urządzano im też uroczystych morskich pogrzebów. Winda, szuflada, piec. To miało sens. Starła

się nie myśleć o tym, czy właśnie tutaj wyląduje, jeśli ją złapią. Drugi raz nikt nie zaryzykuje wrzucania jej do morza, to pewne. Wszyscy ustawią się przy piecu i odetchną z ulgą dopiero wtedy, kiedy ze środka wyjedzie garstka popiołów z diamencikiem z pierścionka zaręczynowego.

Wzdrygnęła się. Zatrzymała. Spojrzała tęsknie w stronę wjazdu do tunelu. Jest wolna. Może wrócić. Może mieć to gdzieś.

Nie bez trudu zmusiła się, żeby odwrócić wzrok i iść dalej.

Podeszła do windy, łączącej najniższy poziom labu z dnem ładowni. Na szczęście nie musiała jej przywoływać, do ażurowego szybu przytwierdzono drabinkę, po której wdrapała się na górę i stanęła przed dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi do głównego korytarza najniższego poziomu laboratorium. Trzy pary drzwi po prawej, środkowe prowadzące do laboratorium Andrija. Z lewej najpierw gabinet ginekologiczny, a potem pokój „dziewczynek” i toaleta. Na końcu klatka schodowa, którą mogłaby pójść do kantyny na cappuccino z takiego samego ekspresu, jaki można zobaczyć na lepszych stacjach benzynowych.

Czy korytarz jest pusty? Czy ktoś na nią czeka? Z bronią w ręku i ironicznym uśmiechem na gębie?

Wyciągnęła z torebki jedną z kart, przyłożyła do czytnika, licząc w głębi serca, że nie zadziała, ale dioda mrugnęła zielono, szczękniętą elektromagnes, drzwi zostały otwarte.

Położyła rękę na klamce, zawahała się. Trwało to na tyle długo, że znów cyknęło i drzwi się zablokowały.

Niestety za drugim razem karta też zadziałała. Od razu nacisnęła klamkę. Korytarz był pusty. Zamknęła cicho drzwi za sobą, na palcach bosych stóp minęła salę „dziewczynek” i doszła do laboratorium mikrobiologicznego. Tym razem już bez zbędnych ceregieli, wściekła na siebie za nieustające deliberowanie i wahanie, przyłożyła kartę i gdy tylko dioda błysnęła na zielono, otworzyła drzwi i weszła do środka.



Dopiero kiedy wrota ładowni zamknęły się z głuchym łoskotem, Bogdan Smuga zapalił światło w swoim domku o rozmiarach sześć na dwa i pół metra. Wyposażenie prezentowało się nad wyraz skromnie. Dla niego materac z poduszką i śpiworem, dwa baniaki wody, suchy prowiant, mały bagaż podręczny oraz hermetyczne woreczki strunowe na fekalia. Dla pasażerów z klasy biznes, mikrobów długości jednego mikrometra, chłodnie na materiał biologiczny i bateria akumulatorów, które miały zapewnić chłodzenie podczas podróży.

Sprawdził, że wszystko gra, wyciągnął z plecaka Kindle'a i po chwili wahania między opracowaniami na temat klimatu i materiałami z ostatniej konferencji mikrobiologicznej na temat osi jelita-mózg, otworzył folder zatytułowany *Clive Cussler*. Jeśli jest jakiś moment w życiu, kiedy zasługuje na małą *guilty pleasure*, to na pewno właśnie ten.

Otworzył jedną z powieści na chybił trafił, ale nie mógł skupić się na lekturze. Cały czas podświadomie czekał na wibracje oznaczające zwiększenie obrotów silnika, na bujanie na fali, chciał mieć już pewność, że V19-143-F znajduje się w dwóch miejscach świata, a nie tylko w jednym. I przestać myśleć o tym, że głupi zbieg okoliczności, meteoryt, fala tsunami albo zabłąkana rosyjska torpeda zatopią „Vincenta”, a razem z nim ostatnią szansę ludzkości na przetrwanie.

Westchnął, odłożył czytnik i położył się na plecach, patrząc na blaszany sufit kontenera.

Minuty. To już tylko minuty.

W królestwie Andrija nikt na nią nie czekał, w sterylnym laboratoryjnym wnętrzu jedynym śladem obecności człowieka była absurdalnie kolorowa kostka Rubika, leżąca koło jednego z dygestoriów.

Ruhsar Varank w tej akurat sprawie nie kłamał, system wentylacyjny opisano czytelnie i w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości. Do każdego dygestorium prowadził przewód

nawiewny z niebieskimi strzałkami i wywiewny z czerwonymi strzałkami. Przewody łączyły się w stojącej w kącie pomieszczenia dużej skrzynce z pokrętłami, guzikami i komorami na filtry.

Przeszła obok wszystkich urządzeń, prześledziła przebieg każdej rurki. Chyba wszystko jasne.

Zatrzymała się przy okruchach sachalińskiego miśka. Śmieszne, nigdy nawet nie podjęła próby jego oceny w kontekście historii sztuki. Miał sto lat czy tysiąc? Bez badań nie można tego sprawdzić, plemiona Sachalinu przed pojawieniem się kolonizatorów rosyjskich i japońskich żyły w strukturach neolitycznych, niezmiennie przez kilkadziesiąt wieków. Kiedy odkryli miejsce, które dawało długowieczność ich starszyźnie, ale zabierało płodność młodym kobietom? Ile pokoleń minęło, zanim rozpracowali ten mechanizm? Ile, zanim zbudowali wokół niego kult i wyrzeźbili niedźwiadka, uznając, że tylko ich najwyższe bóstwo może dysponować taką siłą? I co poszło nie tak w historii ludzkości, że lokalny totem może zmienić losy wszystkich zamieszkujących planetę? A może właśnie wszystko poszło jak trzeba, skoro nawet lokalny totem należy do całej ludzkości?

Założyła maseczkę i jednorazowe rękawiczki, otworzyła szklane drzwi szafki, w której znajdowały się okruchy miśka. Zawahała się. A co jeśli się zarazi? I zaraz za tą myślą podążyła następna: może powinna się zarazić? Dziecko już ma, a po czterdziestce następnego nie zaryzykuje i ze względu na swój wiek, i ze względu na to, że wierzyła Smudze i Varankowi w kwestii danych klimatycznych. Sprowadzanie ludzkiej istoty na świat tylko po to, żeby zginęła w męczarniach, doświadczając końca tegoż świata, jest głupie i okrutne. Bezpłodności się więc nie boi. A długowieczność to chyba nie taki zły pomysł. Podniosła jeden z okruchów, z jednej strony szary i niepozorny, z drugiej mieniący się turkusowo. Sto dwadzieścia lat. Na wyciągnięcie ręki.

– Jezu, Zośka, weź się w garść – wyszeptała do siebie.

Wyciągnęła pojemnik z antybiotykiem, specjalnie dla tej części operacji przelany z butelki do płaskiego słoika, odkręciła i zabrała się za mycie okruchów w wankomycynie, czując się jak jakiś cholerny laboratoryjny kopciuszek, oddzielający groch od soczewicy. Każdy kawałek musiała opłukać i odłożyć na miejsce,

zgarńnięcie ich do kieszeni i wyrzucenie do morza sprawiłoby, że pierwsze zaspany laborant odkryłby, że coś jest nie tak, a nie chcieli, żeby „Vincent”, wyposażony – jeśli wierzyć Holendrowi – jak okręt wojenny, zaczął ich ścigać.

Skończyła, resztką antybiotyku skropiła na wszelki wypadek wewnątrz szafki i zamknęła ją dokładnie. Etap pierwszy zakończony. Teraz etap drugi, znacznie ważniejszy, czyli likwidacja wyselekcjonowanych, namnożonych bakterii. Różnica polegała na tym, że okruchy miśka można było porównać do nieoczyszczonej rudy uranu, a dygestoria – do gotowej bomby atomowej, czekającej na naciśnięcie guzika.

Jeszcze raz, żeby nie popełnić błędu, upewniła się, że rury wentylacyjne są ze sobą połączone.

Były.

Wybrała odpowiednie miejsce przewodu nawiewnego i wkuła się do niego grubą igłą. Zasycało uciekające powietrze, poczuła je na twarzy i cofnęła się gwałtownie, nieomal się przewracając.

– Uspokój, się idiotko – szepnęła. – Zrób swoje i przestań gadać do siebie jak wariatka.

Wróciła do igły, podłączyła do niej przezroczysty giętki przewód, drugi koniec wetknęła w gniazdo nebulizatora, wypełnionego wankomycyną. Położyła palec na przełączniku. Spojrzała na antybiotyk. Spojrzała na dygestoria z pełnymi bakterii szalkami Petriego.

Kurwa mać, pomyślała, dlaczego to musi być moja decyzja.

12

Na półpokładach „Vincenta” i „Powstańca” pojawili się marynarze, rozbłysły mocne, robocze reflektory, zaczęła się krzątanina przy linach łączących statki. Najwidoczniej zakończono tankowanie i teraz obie jednostki przygotowywały się do rozłączenia.

– Nie mogę na to pozwolić – oznajmił Karol.

– Wiem – spokojnie odpowiedział Kluzka, leżąc na koi z rękami pod głową. – Dlatego tu jestem.

Karol spojrzął nie niego zdziwiony, ale gdy tylko zrozumiał sens wypowiedzi, rzucił się do drzwi. Które oczywiście były zamknięte.

– Otwieraj.

– Nie mogę, Karol, przecież wiesz. Od początku ten plan miał cztery wersje. Pierwszą, że wszystko idzie jak po maśle, Zofia wraca, odpływamy, pijemy szampana. Drugą, że to jest w ogóle niemożliwe, melduje nam na radiu, zwija się, odpływamy i pijemy wódkę na smutno. To już nieaktualne. Zostały nam dwa scenariusze. Pesymistyczny, że zostaje złapana, a my nic nie możemy zrobić. Skoro „Vincent” jest wyposażony w obronę rakietową, na pewno ma też wśród załogi kilku uzbrojonych po zęby najemników. Oraz optymistyczny, że musi tam zostać, próbując wykonać misję. Wiedziała o tym i uznała, że stawka jest warta ryzyka. Wiesz o tym, więc pod emocjami męża i kochanka na pewno rozumiesz, że nie mogę ci teraz pozwolić biec na mostek, żeby rozpętać aferę i zaalarmować wszystkich. Bo to oznacza totalną klęskę. A tak ciągle mamy szansę na zwycięstwo.

Rozejrzał się, szukając czegoś, czym mógłby zaatakować Marcela i odebrać mu klucz. Kompletna głupota i desperacja, zapewne, nawet gdyby miał pod ręką karabin maszynowy, były legionista obezwładniłby go, zanim on zdążyłby znaleźć lufę i skierować ją we właściwą stronę.

Wrócił do okna, podniósł lornetkę, wyłączył noktowizor, ponieważ oślepiały go światła i lustrował „Vincenta” wzdłuż i wszerz, licząc na to, że w jednym z zakamarków zobaczy szczupłą sylwetkę swojej żony.

Natalia Przybysz zamknęła kuchnię, wróciła do kajuty, przebrała się w koszulę nocną, rozczesała włosy i jak co dzień poszła się pomodlić. Modlitwa nie miała nic wspólnego z jakimkolwiek Bogiem, a już na pewno nie chrześcijańskim homofobicznym, seksistowskim bucem, ale tak właśnie nazywała ten rytuał. Wiedziała, że dziś to nie będzie to samo co zwykle, z ruchem na pokładzie i innym statkiem obok, ale odkąd tata pierwszy raz zabrał

ją na statek w Szczecinie, robiła to zawsze, jeśli wieczór zastał ją na wodzie. Na dużych statkach, na małych żaglówkach, na otwartym morzu, w porcie i na redzie, w ciepłą noc i w czasie zacinającego deszczu ze śniegiem.

Na „Powstańcu” już pierwszego dnia znalazła odpowiednie miejsce na modlitwę i tam też udała się teraz. Znając wszystkie przejścia, ominęła krzątaninę przy cumach na rufie i bocznymi schodami przeciwpożarowymi weszła na szczyt nadbudówki, w miejsce zwane pokładem kompasowym, a będące de facto dachem statku. Zwykle kończyła tutaj, ale ponieważ dziś chciała uciec od ludzi na dole, a statek stał wyjątkowo spokojnie, wdrapała się po drabinie na maszt radarowy. To było jej ulubione miejsce, czasami modliła się tutaj nocą, mając wrażenie, że unosi się w przestrzeni niesiona wiatrem, zawieszona między oceanem i gwiazdami, nie tyle jedno z dzieci matki natury, co jej najukochańsza córka.

14

Olga Gavrilescu słuchała komend wydawanych przez pierwszego, gotowa w każdej chwili zareagować, a sama stała na skrzydle z lornetką przyklejoną do oczu, kontrolując oddawanie kolejnych lin z obu statków. Nawet w spokojnym basenie portowym takie manewry wymagały największej precyzji, nieplanowany ruch kilkudziesięciu tysięcy ton stali mógł sprawić, że ogromne cumy trzaskały jak nitki, a ich latające końce potrafiły okaleczać i zabijać marynarzy, stojących w złym miejscu. Z ulgą skonstatowała, że załoga „Powstańca” znała się na robocie równie dobrze, jak jej ludzie, wszyscy stali na idealnych pozycjach. Ich kapitan też nie zaczął pracy wczoraj. Odstawiła lornetkę, spojrzała na drugi statek, na skrzydle stał sympatyczny intelektualista w okularach w grubych oprawkach. Podniosła dłoń w geście pozdrowienia. Odpowiedział tym samym.

Wróciła do lustracji pokładów. „Powstaniec” zebrał już cumy i bresty, trzymał się teraz na dwóch springach, dociskając się do nich silnikiem.

Luz na linach, pomyślała.

– Luz na linach – usłyszała wypowiedzianą do radia komendę pierwszego.

Oba springi zwiotczały, załoga „Powstańca” momentalnie zdjęła je z polerów.

– Zebrać spring dziobowy i rufowy – powiedział pierwszy.

Patrzyła na zielonkawe liny, wracające na bębny, jedna na rufę, druga na dziób. Teraz statków nie łączyło już nic, a mimo to „Powstaniec” cały czas trwał przyklejony do ich odbijaczy, delikatnie manewrując silnikiem i sterami strumieniowymi, naprawdę dawno nie zdarzyło jej się przeprowadzić tego manewru tak idealnie.

– Thruster pięć na lewą burtę – zakomenderował pierwszy.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem dzioby statków zaczęły się oddalać, między nimi pojawiła się biała, spieniona przez ster strumieniowy kipiela.

## 15

Czuła ruch statku i bała się, że już za późno. „Powstaniec” odpłynął bez niej i teraz jedyne, co może zrobić, to ukryć się w szalupie ratunkowej jako pasażer na gapę i podjadać nocami ze śmietników w nadziei, że statek w końcu gdzieś zacumuje. A nie, poprawka, ten pieprzony statek nie zawija do żadnych portów.

I choć każda komórka jej ciała krzyczała, żeby wydostać się ze stalowego lewiatana jak najszybciej, to zmusiła się, żeby na dole prowadzącej na zewnątrz drabiny założyć śliską od oleju piankę, zabezpieczyć kaptur, schować dobrze za pazuchą radio i boję ratunkową. Na wypadek, gdyby musiała – co byłoby ostatecznym dowodem na to, że Bóg siedzi z miłą popcornu i umiera ze śmiechu, oglądając przygody ludzi – skakać za burtę.

Uporała się z garderobą, zgasiła czołówkę, żeby nie widzieć wysokości cholernego szybu, i zaczęła się wspinać po drabinie do włazu, na którym tyle razy siedział Bogdan Smuga, patrząc w gwiazdy i dumając nad perspektywami, a raczej brakiem perspektyw rodzaju ludzkiego.

Oba statki dzieliła już bezpieczna odległość, ale ciągle uważnie lustrowała, co się dzieje, ciągle błęd w manewrowaniu albo pojawiająca się znikąd złośliwa fala mogły doprowadzić do kolizji.

– Ster pięć lewo na burt, mała naprzód.

W tej samej chwili przyśpieszył też „Powstaniec”, jednostki, tworzące teraz szeroką literę V, zaczęły się od siebie szybko oddalać. Już odkładała lornetkę na parapet, kiedy wydało jej się, że zauważyła ruch w przedniej części dziobu, na samym końcu pokładu, między windami kotwicznymi.

Podniosła lornetkę do oczu.

– Pani kapitan! – krzyknął pierwszy. – Musi pani to zobaczyć!

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Mam nadzieję, że ta ekscytacja jest uzasadniona, pierwszy.

– Jest – odparł, wskazując miejsce, w które z cielecymi minami gapiała się cała obecna na mostku załoga.

Podążyła za ich spojrzeniami i też zbaraniała, dziwny dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Kilkadziesiąt metrów od nich, nad nadbudówką „Powstańca”, unosił się duch. Zjawa w białej szacie, z długimi włosami i wyciągniętymi ramionami leciała nad statkiem.

Przełknęła ślinę, zmusiła się, żeby podnieść lornetkę i przyjrzeć się temu zjawisku. Wyregulowała ostrość i wypuściła wstrzymywany oddech, latająca zjawa okazała się dziewczyną w koszuli nocnej, która z uniesionymi w górę ramionami stała na maszcie radarowym „Powstańca”. Dziewczyną z długimi blond włosami, ubraną jedynie w koszulę nocną. Wiatr przyklejał koszulę do jej ciała, rzeźbiąc w ten sposób kształty tak niezwykle zmysłowe, że nawet ona, zatwardziała heteroseksualistka, poczuła ciepło w dole brzucha.

Zofia Lorentz opuściła bebechy „Vincenta” tylko po to, żeby zobaczyć jak „Powstaniec Warszawski” odpływa, powiewając na pożegnanie cypryjską banderą. Statki zostały rozłączone, cumy zwinięte, nie miała najmniejszej szansy, żeby tam wrócić. Zaklęła,

nieświadoma faktu, że gdyby cała obsada mostka na „Vincencie” nie gapiła się właśnie na Natalię Przybysz, została by zauważona i wszystkie dotychczasowe starania szlag by trafił. Modląca się do matki natury kucharka, która uciekła na morze leczyć pęknięte serce, sprawiła, że Zofia mogła niezauważona rozpędzić się i wyskoczyć za burzę.

Nauczona doświadczeniem podciągnęła kolana do piersi i złapała się za nos, żeby spaść elegancko „na bombę”, unikając zarówno siniaków na dupie, jak i przepłukania zatok morską wodą.

Plan niezły, zapomniała jedynie o ogromnych jokołach, wiszących wzdłuż burty „Vincenta”. Wyrznięta z impetem tyłkiem w gumowy odbijacz, odbiła się od niego jak piłka i poleciała w dół, machając bezładnie rękami i nogami, po czym uderzyła o wodę kompletnie bez żadnego stylu i elegancji.

18

Czuł pustkę i patrzył w pustkę. „Vincent” odpłynął i zniknął z pola widzenia, światła na pokładzie wygaszono, a on stał nieruchomo przy oknie, patrząc w ostatnie miejsce, w którym widział miłość swojego życia, w absurdalnej nadziei, że nagle, jak na filmach, zobaczy dłoń chwytającą krawędź burty. Symfoniczna muzyka uderzy mocniej i rzewniej, a Zofia Lorentz wdrapie się na pokład, burknie na niego, że nie czekał, żeby jej podać rękę, a potem będą się kochać na rozkołysanym statku, chichrając jak małolaty.

Z tyłu szcęknął zamek.

– Chodźmy – powiedział Marcel Kluzka. – Bardzo mi przykro.

– Jak ty się właściwie nazywasz, najemniku?

– Józek Gąsienica.

W każdej innej sytuacji pewnie by parsknął śmiechem, teraz nawet nie wzruszył ramionami.

– Przepraszam, ale muszę ci to zabrać, dopóki są w zasięgu – Józek Gąsienica chwycił leżące na parapecie obok lornetki radio, złapał palcami za pokrętło włącznika i dokładnie w tej samej chwili głośnik gwałtownie zaszumił.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.



– Mejdej, kurwa, mejdej, słyszycie mnie? – wychrypiał głośnik.

19

Zofia Lorentz patrzyła w gwiazdy, leżąc w wodzie na wznak i czekając na motorówkę, która miała przy płynąć, kiedy „Vincent” znajdzie się w bezpiecznej odległości. Nie przeszkadzało jej to, że będzie musiała przez dwie godziny unosić się samotnie w ocenie. Wręcz przeciwnie.

W gwiazdy patrzyła też Natalia Przybysz, prosząc je o pomyślność dla wszystkich, których zna i kocha, nawet dla tej niewdzięcznej pindy, bo w końcu to przecież jej wspaniała pinda, niech jej się wiedzie jak najlepiej.

Martin Meller leżał na ławce w kokpicie, starając się wypatrzyć na niebie Galaktykę Andromedy, i myślał o paradoksie Fermiego. Biorąc pod uwagę rozmiary wszechświata i to, co już o nim wiemy, czyli że sama tylko Droga Mleczna składa się z kilkuset miliardów gwiazd, a podobnych do niej galaktyk są miliardy, rozumne formy życia po prostu musiały powstać w więcej niż jednym zakątku kosmosu. Właściwie zaś, na co wskazywałby elementarny rachunek prawdopodobieństwa, cały wszechświat powinien być pełen latających w tę i w tę statków kosmicznych. A nie jest.

Enrico Fermi zapytał: gdzie oni wszyscy są? Zaproponował kilka rozwiązań problemu. Niektóre aroganckie i buńczuczne, że jesteśmy absolutnie wyjątkowi albo przynajmniej pierwsi z rozumnych ras. Niektóre godne literatury science fiction, zakładające, że reszta siedzi cicho, bo się boi wielkiego kosmicznego drapieży, i tylko my jesteśmy na tyle głupi, żeby wysyłać w kosmos sygnały radiowe. I niestety tylko jedno, które wydawało się Martinowi Mellerowi wiarygodne: że każda rozumna rasa, zanim osiągnie etap rozwoju technologicznego pozwalający jej ruszyć do gwiazd, musi sama siebie unicestwić, doprowadzając do zniszczenia swojego habitatu.

Długo dekady lubił zabawiać – ku rozpaczycy słyszającej to po raz setny Eliški – towarzystwo przy piwie rozważaniami o paradoksie Fermiego, ale tak naprawdę nie przypuszczał, że za swojego życia przekona się, które rozwiązanie jest właściwe.

Szkoda. Wolałby chyba umrzeć w nieświadomości.

Bogdan Smuga w gwiazdy nie patrzył, ponieważ jego firmament stanowił zawieszony dwa i pół metra nad podłogą sufit z blaszanych kątowników. Ale i tak wypełniało go więcej szczęścia niż pozostałych, mających nad sobą prawdziwy nieboskłon.

Udało się. Płynęli. Z każdy obrotem śruby, z każdą falą, z każdą milą zwiększały się szanse powodzenia. Teraz V19-143-F znajduje się w dwóch miejscach, wkrótce postara się, żeby tych miejsc było cztery, osiem, szesnaście, za kilka tygodni próba zapanowania nad sachaliną będzie oznaczała próbę zapanowania nad wirusem grypy albo bakterią coli.

Zwycięstwo.

## Rozdział 18. Długowieczny

*Błada niebieska kropka • Ile można jeść kotlety? • Nosiciel zero • Stan nieważkości • To wspomnienie*

Przeczytał w dwa dni trzy powieści Cusslera i uznał, że jednak stary Clive ma wiele wspólnego z tortem szwarcwaldzkim. Pyszny, ale tylko czasami i tylko w małych dawkach. Na dodatek trzeciego dnia żegluga „Powstańcem Warszawskim” zaczęło rzucać na wszystkie strony, potłukł się, posiniaczył, nie wyspał się, a chorobie morskiej zapobiegł jedynie dzięki mocnym lekom.

Teraz się uspokoiło, ale na lekturę nie miał już ochoty, wyciągnął notes i zabrał się za pisanie przemówienia. Jego siostra siłaczka pracowała w publicznej szkole na obrzeżach Warszawy i postanowiła wykorzystać go jako „prawdziwego naukowca”. Najpierw oprowadzał licealną młodzież po swoim warszawskim miejscu pracy, które na szczęście wyglądało odpowiednio atrakcyjnie, jak skrzyżowanie pałacu czarnoksiężnika z nazistowskim laboratorium, a niedługo miał wygłosić przemówienie na finał szkolnego konkursu naukowego.

„My, ludzie nauki, jesteśmy beznadziejni” – zapisał pierwsze zdanie Bogdan Smuga. „Jesteśmy chciwi i kochamy pieniądze. Cieszymy się, gdy koleżance nie wyjdzie eksperyment, szlag nas trafia, kiedy kto inny dostanie Nagrodę Nobla, kopiemy pod sobą dołki, odbijamy sobie partnerów, nie dbamy o dzieci, powodujemy wypadki drogowe i zapominamy wyprowadzić psa. Co to o nas mówi? Że jesteśmy ludźmi”.

Hmm, mógłby podkreślić to trochę bardziej pod nastoletnią publicznością. Może raczej, że chlamy na umór i ćpamy więcej, bo mamy dostęp do lepszego towaru? Czy młodzież w ogóle ciągle ćpa, czy to już passé? Chyba to powinno być śmieszniejsze, bardziej po bandzie. No dobrze, wróci do tego, teraz pora na cytaty, na których mu naprawdę zależało.

„Ale czasami zdarzy się wśród nas ktoś, kto naprawdę ma głowę na karku. Postanowiłem swój godzinny wykład skrócić do piętnastu minut, żeby dalej się zajmować chciwością, ćpaniem i małostkową walką z kolegami, dlatego przeczytam wam pewien cytat. To słowa astronoma Carla Sagana, któremu udało się trzydzieści lat temu namówić ludzi z NASA, żeby sonda Voyager przed opuszczeniem Układu Słonecznego odwróciła się i sfotografowała Ziemię z odległości sześciu miliardów kilometrów. Udało się. I trzeba się dobrze przypatrzeć, żeby na tym zdjęciu, zrobionym z bardzo bliskiej jak na kosmos odległości, dostrzec mikroskopijny bladoniebieski punkcik. Carl Sagan napisał potem takie słowa:

*Spójrz raz jeszcze na tę kropkę. To tutaj, to jest nasz dom, to jesteśmy my. Na niej każdy, kogo kochasz, każdy, kogo znasz, każdy, o kim kiedykolwiek słyszałeś, każde ludzkie istnienie, które kiedykolwiek było, toczyło swój byt. Całe nasze szczęście i całe cierpienie, tysiące zbyt pewnych siebie religii i ideologii, doktryn politycznych, każdy łowca i każdy zbieracz, każdy bohater i każdy tchórz, każdy twórca i niszczyiciel cywilizacji, każdy król i każdy chłop, każda młoda zakochana para, każda matka i każdy ojciec, każde dziecko, każdy wynalazca i każdy odkrywca, każdy nauczyciel moralności i każdy skorumpowany polityk, każda „gwiazda”, każdy „najwyższy przywódca”, każdy święty i każdy grzesznik w historii naszego gatunku żył tutaj, na źdźble kurzu zawieszonym na słonecznym promieniu.*

*Ziemia jest bardzo małą sceną w przeogromnej arenie kosmosu. Pomyśl o rzekach krwi przelanych przez generałów i cesarzy po to, by w glorii i chwale mogli na chwilę stać się panami ułamka tej kropki. Pomyśl o niekończących się okrucieństwach, które mieszkańcy jednego krańca tego piksla są gotowi uczynić ledwie odróżnialnym mieszkańcom innego krańca, jak częste są ich zatargi i nieporozumienia, jak chętnie zabijają się nawzajem, jak płomienna jest ich nienawiść.*

*Nasze pozy, nasza wyimaginowana ważność, złudzenie specjalnej i uprzywilejowanej pozycji we Wszechświecie, są kwestionowane przez ten punkt bladego światła. Nasza planeta jest samotną drobinką w ogromnej, oszałamiającej ciemności kosmosu. W tym mroku, w tej pustce, nic nie wskazuje, żeby pomoc mogła nadejść skądkolwiek, aby uratować nas przed nami samymi.*

*Czy ci się to podoba, czy nie, na razie Ziemia jest wszystkim, co mamy. Dla mnie to zdjęcie tylko podkreśla naszą odpowiedzialność, aby traktować się nawzajem z większą uprzejmością, a także aby zachowywać i troszczyć się o bladą niebieską kropkę, jedyny dom, jaki kiedykolwiek znaleźliśmy.*

Trudno coś dodać do tych słów, jednych z najmądrzejszych wypowiedzianych w historii nauki, ale spróbuję. Ludzie zajmują się różnymi sprawami. Bywają kapłanami, politykami, artystami, rzemieślnikami, ba, niektórzy zostają nawet nauczycielami. Z różnych powodów. Możecie usłyszeć, że naukowcy wybrali swój zawód, żeby poznawać tajemnice natury, rozszyfrować zagadki wszechświata, szukać lekarstwa na raka lub zdobyć nieśmiertelność. Pewnie to też prawda, ale najważniejszy powód to miłość do ludzi. Wierzmy, że ludzkość to wspaniała przygoda i staramy się...”

Huknęło, zgrzytnęło, zadudniło, po czym wewnątrz ładowni wypełnił świst silnika elektrycznego i pisk rolek, na których otwierały się wrota ładowni. Na wszelki wypadek szybko zgasił światło. O co chodzi? Nieoczekiwana inspekcja? Zawinęli wcześniej do portu? Coś się stało i Mireille uznała, że musi wrócić z próbkami na „Vincenta”? Szybko pochował swoje rzeczy w zamykanych szafkach, na wypadek, gdyby miało nim rzucać.

Trzasnęły drzwi do ładowni. Usłyszał kroki, rozmowę, najpierw niewyraźną, zniekształconą przez echo odbijające się w prawie pustej ładowni, ale po chwili mógł już zrozumieć dialog.

- ...jędze zamykają się w kuchni i jedzą razem?
- Cały czas się skarżysz, że przynoszą pecha, ciesz się, że się chowają.
- A jeśli dostają lepsze jedzenie?
- Kurwa, to by nie było trudne. Ty weź z tamtej strony.
- Czepiasz się, dobre dziś były kotlety.
- I wczoraj. I przedwczoraj. Ile można jeść kotlety?
- Codziennie. A co byś chciał na obiad? Kotlet, ziemniaki i surówka.
- Ja pierdołę, i ty jesteś marynarz, światowiec, co zawijał do setek portów na całym świecie. Kotlet, ziemniaki i surówka.
- To też może być lepsze i gorsze. I ja podejrzewam, że jędze dostają lepsze. Zębata Wagina gotuje frykasy dla starej elfki i pani

profesor. Masz?

Bogdan Smuga zmartwiał. Stara elfka? Pani profesor? To zbieg okoliczności. To nie może być prawda. Ponieważ jeśli marynarze mówili o złodziejce i Zofii Lorentz, znaczyłoby to, że wszystko poszło bardzo, bardzo, bardzo nie tak.

– Za „panią profesor” to by cię objęła. Masz?

– Mam, mam. Powiedz Antkowi, że gotowe. Niby dlaczego?

– Ładownia do dźwigu, odbiór. Bo to nie jest „pani profesor”, tylko „pani profesorka”, słyszałem, jak Staremu tłumaczyła, uwierzyłbyś? Ładownia do dźwigu, odbiór. Co on tam, zasłabł od walenia konia czy jak?

Bogdanowi Smudze zakręciło się w głowie. Elfka. Pani profesorka. Coś, co powinno być absolutnie niemożliwe, stało się możliwe, Lisa Tolgfors i cudem wskrzeszona Zofia Lorentz znalazły się na statku cumującym do „Vincenta”. Po co? Logika podpowiadała, że po to, aby zniszczyć efekt ich badań. Czy dlatego go teraz wyciągają? Zniszczyły laboratorium na „Vincencie” i sprawdzają, czy w kontenerach nie ma zapasowych próbek? Co robić?

Zaszumiało radio.

– Dźwig, dawaj.

– Pojechali.

Na górze zaskrzypiały taśmy, kontener zazgrzytał o metalową podłogę, drgnął i wolno ruszył do góry. Smuga oparł się dłońmi o ścianę, żeby zachować równowagę.

– Może po prostu pani profesorka, w przeciwieństwie do ciebie, rozumie, że posiłki można komponować z warzyw, przypraw, ryżu? Po coś do szkoły chodziła.

– Przestań, kurwa, kto się ryżem naje. Baba najwyżej i to taka, co w kółko na dupie siedzi.

– I miliard Chińczyków. Nie no, osłabiasz mnie, nic dziwnego, że się przed tobą chowają.

– Boją się...

Zapewne bały się „pytona”, ale tego już się domyślił tylko dlatego, że słuchał ich wcześniejszej rozmowy. Tymczasem kontener wędrował coraz wyżej, kołysało nim bardziej, rozpoznał moment opuszczenia ładowni po tym, jak zafalował od uderzenia wiatru. Majtnęło nim gwałtownie w bok, aż upadł na posłanie, potem

kontener zatrzymał się, silnik dźwigu ucichł. Spokój. Przyłożył ucho do blaszanej ściany, próbując usłyszeć zgiełk portu albo silnik motorówki, nawoływania marynarzy albo celników. Nic, zapewne chcą sprawdzić ładunek na morzu, na pokładzie. O siebie się nie bał, ale jeśli znajdą bakterię, jeśli ją zniszczą, jeśli na „Vincencie” im się udało – to będzie koniec.

Musi być jakiś sposób.

Sekundę później już go miał. Otworzył szyfrowe zamki, broniące dostępu do lodówek, znalazł odpowiedni pojemnik, oznaczony symbolem V19-143-F, schował do kieszeni. Wyciągnął apteczkę, rozbebeszył ją na łóżku, rozdarł opakowanie ze strzykawką. Szybko, nie ma ani chwili do stracenia. Wstrząsnął pojemnikiem z bakteriami, otworzył, nabrał do strzykawki, ile się dało i wstrzyknął sobie w udo, a resztę wypił. Bał się, że zwymiotuje, ale sachalina zaskakująco pozbawiona była smaku i zapachu jak na swoje cudowne właściwości. Szkoda, mogliby pisać potem historycy, że „nowy początek ludzkości pachniał karmelem”.

Usiadł na łóżku. Okej, teraz, nawet jeśli przejmą próbki, on będzie nosicielem bakterii.

Przez następne siedemdziesiąt lat, jeśli dobrze pójdzie, pomyślał i roześmiał się głośno. Właśnie stał się nosicielem zero epidemii, która uratuje ludzkość przed nią samą.

Musi tylko na siebie uważać.

Zazgrzytało i Bogdan Smuga, ku swemu wielkiemu zdumieniu, znalazł się w stanie nieważkości. Zdążył pomyśleć, że jakimś cudem wystrzelili go w kosmos, zawstydzić się z powodu bezsensowności tej myśli, zrozumieć, że spada, i dopiero wtedy kontener uderzył o wodę, a on o kontener, łamiąc sobie piszczel, nadgarstek i kilka żeber, całe ciało eksplodowało niespodziewanym, strasznym bólem. Wrzeszczał, aż zaczęły mu latać plamki przed oczami, minęło kilka długich chwil, zanim się uspokoił na tyle, żeby zapalić światło i ocenić straty.

Po pierwsze pojemniki z materiałem biologicznym nie zostały naruszone. Ulga.

Po drugie kontener wydawał się cały. To też dobra informacja.

Po trzecie żadna z jego złamanych kości nie przebiła skóry. Znowu plus.

Trzy plusy, myśl o tym w ten sposób. Pierdolony „Powstaniec Warszawski” z niewiadomych powodów wyrzucił cię za burzę, to oczywiście minus, bardzo duży minus, ale poza tym trzy plusy. Jesteś połamany, ale żyjesz, masz tratwę, zapas wody i jedzenia na jakiś czas. Ocean jest pusty, ale nie bezludny, może ktoś cię zauważy, może prąd wyrzuci na brzeg, nie takie rzeczy się zdarzały.

Wstał z trudem, sycząc z bólu, żeby przenieść się na posłanie, zamiast leżeć w słonej wodzie na blaszanej podłodze kontenera.

Ostatnia myśl odleciała, po czym wróciła i wybuchła w jego umyśle, jakby każde słowo ułożono na niebie z fajerwerków. Słonej. Wodzie. Na. Podłodze. Kontenera.

Przypomniał sobie o zamaskowanych otworach wentylacyjnych, dzięki którym miał się nie udusić podczas rejsu.

Długowieczny Bogdan Smuga pomyślał, że to wszystko bardzo jest ironiczne, wyciągnął się wygodnie na posłaniu i zaczął wspominać. Miał jedno wyjątkowe wspomnienie z ostatnich tygodni, do którego obsesyjnie wracał, przeżywając wciąż na nowo każdą chwilę tamtej nocy.

Postanowił zostać w tym wspomnieniu do końca.



## Epilog

Producenci pocztówek dobrze wiedzą, że natura i kultura nie muszą być przeciwieństwami, że najlepiej sprzedają się te widoczki, w których obie łączą się w niezwykłej, pełnej piękna symbiozie. Do takich miejsc należało bez wątpienia skąpane w słońcu Portoferraio, niewielkie miasteczko na Elbie. Kryte czerwoną dachówką kamieniczki piętrzyły się wokół naturalnego portu, nad miasteczkiem górowała tajemnicza forteca, a całość otaczały mieniące się wszystkimi odcieniami zieleni i błękitu fale Morza Tyrreńskiego.

W tych pięknych okolicznościach przyrody i cywilizacji Zofia Lorentz wciągnęła głęboko powietrze, policzyła w myślach do dziesięciu i dopiero wtedy się odezwała.

– Powiedz to, po prostu to powiedz, zamiast wymyślać głupie wymówki. Masz mnie za neofitkę, za amatorkę, za niedoświadczoną entuzjastkę i zwyczajnie boisz się ze mną wypłynąć.

Stali w kokpicie wycarterowanego jachtu w takich pozach, że nikt z przechodzących nabrzeżem toskańskiego portu nie miałby wątpliwości, że przenieśli tutaj swoją małżeńską sypialnię razem z jej dramatami. Ona wyprostowana, z zadziornie uniesioną głową i rękami skrzyżowanymi na piersiach. On w pokornej pozie, ze spokojną rezygnacją w oczach, z dłońmi wyciągniętymi w geście „no ale proszę, porozmawiajmy”. Pomiedzy nimi kilkuletnia dziewczynka w kostiumie kąpielowym, z maską do nurkowania na czole.

– Mogę skoczyć do wody?

– Co? Nie, nie możesz skoczyć do wody. Jesteśmy w porcie, na miłość boską. Wypłyniemy, znajdziemy miłą zatoczkę, rzucimy kotwicę i wtedy się wykąpiesz.

– A teraz? Możesz mi założyć rękawki.

Schowała twarz w dłoniach.

– Zaczekaj. Skończę rozmawiać z tatą i pójdziemy na plażę, dobrze?

– Dobrze. A kiedy skończysz rozmawiać?

– Zaraz. Idź do swojego pokoiku.

– Nie chcę, tam jest za gorąco.

Karol, słysząc to, zrobił gest „a nie mówiłem”, ona w odpowiedzi zagroziła mu wzrokiem, że jeśli teraz sprzymierzy się z dzieckiem przeciwko niej, to zrezygnuje z rodzinnego żeglowania na rzecz samotnego opływania świata bez zawijania do portu.

– Profesorko Lorentz – powiedział wolno. – Kocham cię, chcę z tobą przeżywać nowe przygody, wierzę w twoje żeglarskie kompetencje, zwłaszcza przy brzegu w bezwietrzną pogodę.

– Uważaj.

– Ale jest za gorąco. Tutaj możemy się schować gdzieś, gdzie jest klimatyzacja, pójść do sklepu, do knajpy, w najgorszym przypadku do hotelu. Na morzu pokład zamieni się w patelnię, wnętrze w piekarnik, a my nie będziemy mieli dokąd uciec. Zostanie nam wyciąganie wiaderkiem wody z za burty i polewanie się nawzajem.

Kasia zapiszczała z radości.

– Pierwsza! Ja pierwsza polewam!

Rozumiała, co do niej mówi, wiedziała, że ma rację, ale tak bardzo chciała już płynąć. Nie z instruktorem, nie z kursantami, tylko właśnie ze swoją rodziną. Połączyć miłość do nich z miłością do morza, przeżywać to wszystko, co wspólnie przeżywali w domu, na morzu, pod żaglami, tylko oni i siły natury.

Karol miał rację. Wiedziała to, ale nie mogła się zmusić, żeby mu ją przyznać. Poprawiła ramięczko sukienki, żeby zyskać na czasie, słońce zamigotało w jej bransoletce zrobionej z małych turkusowych okruchów, zatopionych w szkle. Powiedziała mu, że to pamiątka z Sachalinu. Uwierzył.

– Masz rację – powiedziała w końcu. – Chodźmy się wykąpać i na zimną lemoniadę.

Spojrzała na zwinięte żagle, na morze za główkami portu, na odbijające się w wodzie słońce.

– Jutro zaczniemy naszą przygodę. – Uśmiechnęła się do swojej rodziny. – Ten upał nie może trwać wiecznie.

## Od autora

Długa jest lista osób, bez których ta książka nie mogłaby powstać, ale na szczególne wyróżnienie zasługują Igor Newerly i Wojciech Ogrodziński. Ten pierwszy, ponieważ od czasu lektury jego genialnej książki *Wzgórze Błękitnego Snu* tłukł mi się po głowie motyw wielkiej syberyjskiej przygody i w końcu zmaterializował się w ten sposób. Wojtek to mój teść, zapalony żeglarz, który kilka lat temu zabrał mnie na morze. Przyznaję, miałem żeglarstwo za idiotyczny, pozbawiony wysiłku fizycznego sport, który polega na pływaniu od szuwarów do szuwarów w rytmie browarów. Tymczasem kiedy łąd po raz pierwszy zniknął mi z oczu, coś w moim życiu się zmieniło. Drogi Teściu, dziękuję. Cieszę się, że możesz to czytać, korzystam z okazji, żeby podziękować za to ekipom Szpitala Wojewódzkiego w Olsztynie i Szpitala Klinicznego im. WAM w Łodzi z profesorem Adamem Dzikim na czele. Panie Profesorze, co prawda motorowodniak z Pana, ale i tak spotkamy się na wodzie.

Postać Benedykta Czerskiego jest oczywiście wzorowana na Bronisławie Piłsudskim, wykorzystałem wiele elementów jego prawdziwej biografii, ale dopisałem też tyle nowych, że postanowiłem ukryć wielkiego polskiego naukowca za fikcyjnym nazwiskiem. Jeśli kogoś ciekawią losy „Bronisia”, Ajnów, Sachalinu i polskich zesłańców, którzy zostawali na Dalekim Wschodzie pionierami nauk przyrodniczych, powinien sięgnąć do *Pożytków z katorgi* Wojciecha Lady, wymienionego *Wzgórze Błękitnego Snu* Igora Newerlego, *Sachalinu* Antoniego Czechowa, literatury Wacława Sieroszewskiego (zwłaszcza reportażu *Wśród kosmatych ludzi* – opis szamańskiej uroczystości w mojej książce jest parafrazą opisu Sieroszewskiego), *Dziejów i legend Ajnów* Alfreda F. Majewicza (tej pozycji zawdzięczają Państwo podania przytaczane przez Igora Piotrowicza), *Bronisława Piłsudskiego pojedynku z losem* Jerzego

Chociłowskiego oraz niedawno wydanego albumu *Świat Ajnów oczami Bronisława Piłsudskiego* Andrieja Sokołowa i Weroniki Bielajewy-Saczuk. Na szczególne podziękowanie zasługuje Paweł Goźliński, autor niezwyklej powieści *Akan* o Bronisławie Piłsudskim. Pawle, dziękuję Ci za emocje przy lekturze, za wiedzę i przede wszystkim za rozmowę o Bronisiu i o Twojej wyprawie na Sachalin jego śladami.

Wyjątkowe ukłony, wdzięczności i czołobicia należą się Marii Pawłowskiej, PhD, która uprzejmie zgodziła się zostać konsultantką naukową tej powieści. Marysiu, wybacz, proszę, przycięcie i wypaczenie Twojej szlachetnej wiedzy do potrzeb literatury sensacyjnej. Dziękuję Olkowi Masnemu, staremu kumplowi i mojemu „naukowcowi pierwszego kontaktu”, który nieoczekiwanie jako szef Zakładu Wirusologii PZH znalazł się na pierwszej linii walki z pandemią. Trzymaj się! Dziękuję też Dorocie Romanowskiej, przyjaciółce z czasów wspólnej pracy w „Newsweeku” i szefowej działu naukowego w tymże tygodniku, za opracowania dla mnie listy naukowych lektur. Dla zainteresowanych: Alanna Collen, *Cicha władza mikroobów*; Ben Goldacre, *Złe leki*; Jennifer A. Doudna, Samuel H. Sternberg, *Edycja genów*, Michio Kaku, *Przyszłość umysłu*; Frank Ryan, *Tajemniczy świat genomu ludzkiego*; Yuval Noah Harari, *Sapiens* oraz *Homo deus*; Nathaniel Rich, *Ziemia. Jak doprowadziliśmy do katastrofy*.

Obszerna część marynistyczna tej powieści ma wielu ojców. W dziale żeglarstwo to wspomniany już Wojtek Ogrodziński, moi wspaniali kapitanowie i nauczyciele: Krzysiek Kosiński, Sławek Drużyński i Maciek Biechowski oraz Tomasz Cichocki, który samotnie opłynął świat dookoła, i Marcin Mastalerz, który opisał jego przygody w książce *Zew oceanu*. Przy okazji: Bracie, jeszcze będziemy mieć ten jacht!

W czasie pracy szybko się okazało, że żeglarska wiedza to jedno, a prawdziwy morski świat marynarki handlowej – zupełnie co innego. Dziękuję Sebastianowi Michalikowi za jego wiedzę o frachcie, kapitanowi Janowi Masnemu za jego wspomnienia

(z atakiem piratów włącznie) oraz Krzysztofowi Gogolowi, kpt. Mirosławowi Folcie oraz Przemysławowi Janasikowi z PŻM, którzy umożliwili mi rejs drobnicowcem MV Iryda z Holandii do Stanów Zjednoczonych. Planowana „szybka przelotka” zamieniła się w pięcioletnią przeprawę z przygodami. Dziękuję kapitanowi Piotrowi Szczęśniakowi oraz całej załodze, znoszącej dzielnie zadającego durne pytania pisarza. Danielowi, Kubie i Grześkowi za szachy, Radkowi za urodzinową imprezę, Tomkowi za nocne rozmowy i inżynieryjne tajemnice, a przede wszystkim Mikołajowi, bez którego bym tej szalonej imprezy nie przetrwał. Panowie, to było niezapomniane przeżycie, bez Was ta książka nigdy by nie powstała.

Pisarz pisze i podpisuje, ale tekst wymaga pracy wielu osób. Dziękuję Eli Kalinowskiej, Marcie Miłoszewskiej, Filipowi Modrzejewskiemu, Jakubowi Szamałkowi, Marcinowi Mellerowi, Kamilowi Barbarskiemu, a przede wszystkim mojemu przyjacielowi Marcinowi Mastalerzowi, który słowo po słowie zredagował tę powieść. Marcinie, Twoja pierwsza reakcja, że czujesz się, jakbyś znowu był dzieciakiem, który czyta powieści przygodowe, to najlepsza recenzja, jaką mógłbym dostać. Dziękuję ekipie wydawnictwa W.A.B.: Krzyśkowi, Łukaszowi, Maćkowi, Adze, Uli i Maksowi, a przede wszystkim Tobie, Małgosiu.

Pisałem *Kwestię ceny* w zupełnie absurdalnych warunkach. Najpierw w kajucie na pokładzie „Irydy”, potem w Olsztynie, gdzie nie miałbym miejsca do pracy, gdyby nie Mariusz Sieniewicz i Grzegorz Gromek. Panowie, wielkie dzięki. Za gościnę dziękuję też Marii i Belinowi oraz niezrównanym gospodarzom Domu Imprez i Pracy Twórczej, czyli Ani i Marcinowi. Kiedy robiłem u nich redakcję powieści, szalała już pandemia, stanowiąc nieoczekiwany komentarz do głównego tematu tej powieści, jakim jest przemocowy stosunek człowieka do swojej planety oraz samobójczy kurs, jaki obraliśmy jako gatunek. Nie będę tutaj cytował obszernej literatury dotyczącej zmian klimatycznych, napiszę tylko, że przytoczona w książce historia o najbogatszych, którzy szukają sposobu na zakucie swoich ochroniarzy w elektroniczne obroże, aby wymusić posłuszeństwo w czasie nadchodzącej apokalipsy – jest niestety

prawdziwa. Proszę wyszukać esej *Survival of the Richest* Douglasa Rushkoffa. I niech to Państwu da do myślenia.

Dziękuję swojej wspaniałej rodzinie za anielską cierpliwość, do tej pory musiała się użerać tylko z pisarzem, a teraz ma też na głowie żeglarza neofitę. Marto, Maju, Karolu – jesteście najlepsi.

\*

W książce wykorzystałem cytaty z następujących utworów muzycznych: *Nie jem nic* Łydki Grubasa, *Jest taki samotny dom* Budki Suflera, *Si jamais j'oublie Zaz*, *Śmierć za idee* Georges'a Brassensa w tłumaczeniu Aniry Wojan i Filipa Łobodzińskiego, *Kometa* Jaromira Nohavicy w tłumaczeniu Andrzeja Ozgi. Oraz literackich: *Ten, kto bardziej kocha* W. H. Audena w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka, *Modlitwa oddania* Thomasa Mertona w tłumaczeniu Krystyny Poborskiej, *Błękitna kropka* Carla Sagana w tłumaczeniu Marka Krośniaka oraz cytaty biblijne za Biblią Gdańską i Biblią Tysiąclecia. Sam tytuł, podobnie zresztą jak *Ziarno prawdy*, jest przypadkowo tytułem jednego z opowiadań Andrzeja Sapkowskiego. Zdałem sobie z tego sprawę teraz, niech to będzie mój wyraz uznania dla najwybitniejszego polskiego autora powieści przygodowych.

Z.

Warszawa-Olsztyn-MV Iryda, 2019–2020

PS. Dziękuję też oczywiście Adrianowi Zandbergowi za inspirację. Mam nadzieję, że słusznie odczyta swój udział w tej powieści jako wyraz podziwu i szacunku z mojej strony.

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski  
Redaktorka prowadząca: Elżbieta Kalinowska

Redakcja: Marcin Mastalerz  
Korekta: Anna Dworak, Julia Topolska  
Konsultacja naukowa: Maria Pawłowska, PhD

Projekt okładki: Joanna Górską, Jerzy Skakun • homework.com.pl  
Fotografia wykorzystana na pierwszej stronie okładki: © NIAID

Projekt typograficzny i łamanie: Marzena Madej

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[gwfoksal.pl](http://gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-8369-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**